

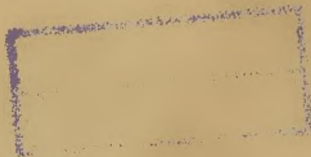
Tom 187.

Nr

PRZEGLĄD P O L S K I.

ROK CZTERDZIESTY SIÓDMY.

Zeszyt VII. Miesiąc Styczeń 1913 r.

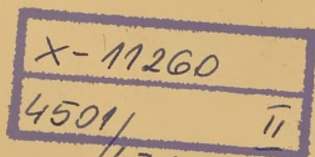


W KRAKOWIE,

EKSPEDYCJA W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1913.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Wpływy rosyjskie na duszę polską, przez Dr. Ma- ryana Zdziechowskiego	1
II. Z podróży po Skandynawii, przez Dr. Józefa Flacha	33
III. Budżet krajowy, przez Dr. Adama Krzyża- nowskiego	61
IV. Listy z Francyi: XXIV, przez Konrada Ostrowskiego	83
V. Kronika literacka	104
X. T. Kruszyński: Stary Gdańsk i histo- rya jego sztuki. <i>Z literatury powieściowej.</i> S. Żeromski: Wier- na rzeka. — L. Stasiak: Srebrny dzwon. — A. Gruszecki: W starym dworze. — A. Gru- szecki: Przed burzą.	
VI. Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego . .	120
VII. Muzyka w Krakowie, przez Dr. Zdzisława Ja- chimeckiego	134
VIII. Przegląd polityczny, przez * * *	142
IX. Ks. Jerzy Czartoryski. Wspomnienie pośmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego	153
X. Karol hr. del Campo Scipio. Wspomnienie po- śmiertne, przez Stanisława Tarnowskiego	158



/47/1913

3.k4.



Adres Redakcyi: Rynek główny, Nr 43, I piętro.

X-11260

4501

II

3.kd.

147/1913



20.000,-

WPŁYWY ROSYJSKIE NA DUSZĘ POLSKĄ.

Nieraz już porównywano u nas russyfikację z germanizacją, a zestawienie to, zdaje się, zawsze do tego samego doprowadzało wniosku, że system pruski, zmierzając do wytępienia polskości, wbrew zamiarom swoim, wychowywał nas, wyrabiał hart, wytrwałość i odporność, gdy system rosyjski tylko demoralizował. Na równi z innymi państwami typu mongolskiego Rosya, od początku epoki moskiewskiej aż do dziś, występowała jako państwo wyłącznie zaboreze. Zagarniane przez się olbrzymie przestrzenie oddawała na pastwę i łup głodnym hordom urzędniczym, które zawzięcie w zdobywanych krajach niszczyły tubyleżą kulturę, krępując i unieruchamiając tam wszystkie czynniki, stanowiące podwaliny zdrowia społecznego i rękomię ładu. Wyniki polityki takiej oglądaliśmy u nas w latach rewolucyjnych, patrzmy na nie dotąd. Prowadziła do zdziczenia powszechnego, które stałoby się faktem dokonany, gdyby nie tajemne wśród podbitych i skrupowanych narodów przeciwdziałanie najlepszych sił, czerpiące moc swoją z religii i tradycji przeszłości.

Ale w niszczytelstwie rosyjskiem upatrywać należy nie tyle uświadomiony jakiś cel, ile raczej dziką zabawę. Sam widok dobrobytu, porządku i zadowolenia gdziekolwiekbyż wśród obcoplemiennych poddanych imperyum był zawsze, jest dziś jeszcze czemś, wprowadzającym w szal wściekło-

ści tych Rosyan, którzy sobie monopol prawdziwej rosyjskości i prawowiernego nacyonalizmu przywłaszczyli. Nie przesadzam; powołać się w tem mogę na najszlachetniejszego z myślicieli rosyjskich, a gorącego patryotę, Borysa Cziczeryna. Krwia zbolełego serca kreślił on w r. 1900 swoją obronę Finlandyi; żadne potrzeby państwowe — wołał — żadne wyrachowania strategiczne nie spowodowały oblawy na nieszcześliwą Finlandyę, rozpoczętej za Aleksandra III; jej źródłem „jest wyłącznie nienawiść, którą w bezdusznych biurokratach i dzikich jenerałach, uznających tylko prawo pięści, budzi wszelki porządek legalny, wszelkie rękojmie prawa, wszelkie ograniczenia samowoli; nie mogli oni znieść widoku Finlandyi, kwitnącej pod ochroną swej konstytucyi, więc postanowili ją zmiazdżyć“...

Ale obok takich oczywiście bezsilnych w zakresie ducha prób polityki russyfikacyjnej, szukającej sojuszu z najnikczemniejszymi namiętnościami motłochu, zaczęły się także zaznaczać russyfikacyjne wpływy literatury i kultury rosyjskiej, te zaś są niebezpieczniejsze.

Od zdobywczych państw mongolskich, od Tatarów i Turków, tem się Rosya odróżniła, że przyjęła chrześcijaństwo — i choć je przyjęła z rąk Bizancyum, nie mogła ona po upadku Cesarstwa Wschodniego oprzeć się działaniu prądów, idących z Zachodu. Idee, które one niosły, przetworzyła ona po swojemu i dała im wyraz w literaturze oryginalnej i bogatej. Rozkwit jej zaczął się wraz z wiekiem XIX, rzeczą zaś znamienneą jest to, że zrazu była ona nawskróś europejską z ducha; Europejczykami byli nawet twórcy antieuropeizmu, pierwsi Słowianofile: Kirejewscy i Chomiakow. Dopiero od drugiej połowy wieku zeszłego zaczynają się objawiać w literaturze cechy specyficznie rosyjskie — i im bliżej nas, tem wyraźniej i silniej. Streszczają się one w maksymalizmie, zuchwale stawiającym przed sobą ostatnie cele i zuchwale dążącym do natychmiastowego ich urzeczywistnienia; precz z rezonowaniem, precz z kompromisami, albo wszystko, albo nie — oto hasło maksymalizmu. I właśnie ów maksymalistyczny rewolucjonizm mam na myśli, mówiąc o wpływie ducha rosyjskiego na Polskę; poeci, pisarze i myśliciele rosyjscy, którzy, czując się współpracownikami wszechludzkiej

kultury, nie bawili się w negacyę i nie stroili rosyjskości swojej w krzyczące barwy, wrażenia głębszego u nas niestety, nie wywarli.

W lipcu r. 1912 znalazłem w rosyjskim tygodniku kijowskim *Ogień* obszerną a entuzyastyczną ocenę trylogii powieściowej Kazimierza Zdziechowskiego (*Przemiany, Łuna, Opo-ka*). Napisał je jeden z redaktorów tego pisma, Polak z urodzenia, Aleksander Zakrzewski. Po przeczytaniu artykułu jego ujrzałem przed sobą w oświeceniu nadzwyczaj wyraźnem skutki duchowego obcowania z Rosyą i przejęcie się jej ideologią. Uwagi, które mi się z tego powodu nasunęły, spróbuję tu skreślić.

Śmiertelna nuda — czytamy w studyum Zakrzewskiego — wieje z całej współczesnej literatury polskiej; talentów wielkich w niej niema; z tych zaś pisarzy, co się wzbili cokolwiek nad poziom, jedni spoczęli na laurach, inni — nawet Reymont, nawet Żeromski, który zrazu tak wielkie podawał nadzieje — zajmują się fabrykowaniem patryotycznych roman-sów i w ten sposób spłacają dług tryumfującemu szowinizmowi. Teraźniejszość i jej wielkie zagadnienia zdają się nie istnieć wcale dla narodu polskiego; dusza polska zastygła w marzeniu, zapatrzona w daleki miraż niepodległej ojczyzny. Stąd rozpaczliwa jednostajność literatury; można ją porównać z błotem gnijącym. Ale czy tylko literaturę współczesną? Autor idzie dalej i na całym obszarze dziejów myśli polskiej nie dostrzega ani głębi, ani polotu; niema tam genialności, niema rozmachu twórczego; nie znajdziemy ani jednego dzieła, któreby posiadało wartość powszechno-ludzką. A to stąd, że idea narodowa zabiła tam wszelkie inne idee; Polacy żyją i myślą tylko w jej ramach; ona zasłoniła przed nimi świat ze wszystkimi jego zagadnieniami. Nawet u Kra-sińskiego i Słowackiego, których autor poczytuje za najgłębsze duchy, jakie wydała Polska, trzeba jeszcze doszukiwać się prawdziwych dyamentów pod grubemi pokładami patryotycznego gadulstwa. Słowem, w przeciwieństwie do Rosyi, literatura w Polsce nie jest twórczością, lecz sportem, nie jest religią, lecz zabawą, nie jest skarbnicą ducha, lecz po-

lem do czczych popisów. Dopiero twórczość rosyjska wznosi nas ponad nędzę powszedniości; powstała ona z kultu cierpienia i objęła jego ogrom; to Golgota, to prawdziwa teurgia; ona jedna kotwicą jest zbawienia dla świata, zwiastunką jego odrodzenia religijnego, kopalnią niewyczerpanych bogactw duchowych.

W tak surowych wyrazach usiłował autor przedstawić i napiętnować płytkość polską, aby tem silniej uwydatnić głębokie znaczenie rozbieranej przezeń trylogii. Poruszono w niej odwieczne zagadnienia bytu; wylewem jest tęsknota duszy, zadreżanej wątpleniami. Autor jej, zdaniem krytyka, odczuł grozę śmierci, jak nikt inny w literaturze współczesnej — i uczucie to stało mu się natchnieniem w pracy twórczej, treścią rozmyślań; popchnęło go na drogę bezlitosnej analizy życia i podyktowało mu słowa, których niepodobna czytać bez głębokiego wzruszenia, które palą głodem Boga, namiętnością odkrycia przystani jakiejś i wypoczynku w mękach rozdzielenia między uczuciem a rozumem. Religia autora trylogii jest religią tragiczną, a dzieło jego jako potężny wyraz tragizmu duszy, którą żądza absolutu pochłania a świadomość jej bezsilności gnębi, jest czemś w Polsce zupełnie odosobnionem i dla ogółu niezrozumiałem, więc niepotrzebnem. Krytycy pogardliwie wzruszają ramionami na widok człowieka, który zamiast pisać o sprawach potocznych, wgłębia się w tajemnice życia i śmierci, podnosi nikogo nie obchodzące zagadnienia metafizyczne — a za krytyką idzie ogół. Biada w Polsce człowiekowi z duszą; jeśli chce zdobyć uznanie, powinien przestać być sobą, zniżyć się do niskiego poziomu społeczeństwa i lechząc jego szowinistyczną gorączkę, marnować swój talent. Z rozważań krytyka możnaby wysnuć wniosek, że literatura rosyjska, to morze niezgłębione, na którym człowiek nietylko szuka Boga, ale go stwarza w duszy swojej — to teurgia; literatura zaś polska, to buda jarmarczna, w której figurki zgrabnych ułanów z epoki Napoleonowskiej wprawiają w zachwyty głupców.

Nie wypada mi zastanawiać się tutaj, o ile słuszną jest powyższa ocena trylogii, której autor jest moim bratem. Cbeiałbym jednak zwrócić uwagę krytyka na to, że najgłębsze zagadnienia religii nie są wcale tak obce literaturze na-

szej, jak on twierdzi; czyżby zapomniał, jak pochłaniały one Prusa w *Emancypantce*, a Orzeszkową w *Australczyku*, w *Melancholikach*, w *Chamie*? Lecz mniejsza o to. Treść artykułu p. Zakrzewskiego podałem, jako charakterystyczny okaz sądu Polaka, olśnionego literaturą rosyjską. Od tego zaś olśnienia bardzo niedaleką jest rusyfikacya duszy, czyli — przechodząc z teoryi do dziedziny praktycznej — zupełna zatraata odporności wobec obcej i wrogiej nam potęgi. Nad zjawiskiem tem należy zastanowić się głębiej. Początkami swemi sięga ono lat, które bezpośrednio po powstaniu 1863 roku nastąpiły. Mogę o tem mówić na podstawie osobistych wspomnień. Wychowywaliśmy się w atmosferze, przeżywanej strasznymi wspomnieniami; nie było w niej miejsca dla myśli o trudach i walkach w imię niepodległości polskiej. Dzieckiem będąc, marzyłem, iż wywalczę wolność ojczyzny, ale działo się to w tych latach najwcześniejszych, kiedy wyobrażnia gości w cudnych krajach bajki. Wraz z wiekiem i rozwagą opadała ona, zbliżając się do surowej rzeczywistości. Niemniej jednak nie przestawały buchać młode uczucia i rwać się do czynów, dawały się unosić tym szlachetnie rycerskim marzeniom, które najpoetyczniejszy pierwiastek duszy polskiej stanowią. Rozczytywaliśmy się w powieściach Fenimore Coopera, Mayne-Reida i Gustawa Aimarda, i myślą i duszą żyliśmy w dziewiczych puszczech Ameryki, układając plany przyszłych walk w obronie biednych Indyan przeciw ich białym ciemieżcom. Znałem śmiarków, którzy, nie mając cierpliwości czekania, aż wyrosną, uciekali „do Ameryki“ — i srodze upokorzeni wracali z najbliższej stacyi kolejowej pod eskortą żandarma do rodziców lub opiekunów.

Lecz nieublagana rzeczywistość zabrała nam wraz z wiekiem puszcze i stępy nowego świata. Dokądże nieliśmy kierować nasze loty? W szkołach nie żywiliśmy zaufania do nauczycieli Rosyan, ale, choć z niedowierzaniem słuchaliśmy wszystkiego, co nam o przeszłości naszej lub o Kościele katolickim gadali, jednak systematyczne oczernianie tak Polski, jak katolicyzmu, pozostawiało swój osad w umysłach naszych. Wyrabiało się przekonanie, że kastowy egoizm szlachty i jezuicki klerykalizm doprowadziły Polskę do upadku, że

dzieje jej, to szereg błędów i zbrodni. Już dorastającym byłem chłopcem, gdy zapisywałem w dzienniku swoim, że przeszłości powinniśmy się wstydić, lecz na szczęście to, co w niej złem było, zmasali wieszczowie nasi i wielkie przez nich głoszone ideały. Należy przeto iść wskazaną w ich natchnieniach drogą pracy wewnętrznej i czynów, które staną się odkupieniem win przodków. Hasła te kojarzyły się w głowach naszych z hasłami postępu, idącemi z Warszawy. Któż bowiem z nas młodych miałby czoło powiedzieć, że jest przeciwny postępowi i zapisać się w poczet bojowników mroku?

Przodownictwo w duchowem odrodzeniu ojczyzny spadało z natury rzeczy na tę jej część, której daną została wówczas możność swobodnego rozwoju — t. j. na Galicyę. Tymczasem właśnie stamtąd, jak się nam zdawało, szły najgroźniejsze chmury, tam gaszono ducha narodowego, tam padły słowa: „Przy tobie stoimy i stać chcemy“, tam uczono podlej służalczości wobec rządów zaborezych. Dowiadywaliśmy się o tem z postępowej prasy warszawskiej, wierzyliśmy jej ślepo — i gdy przyjezdni z Krakowa znajomi opowiadali nam, że ani Szujski, ani Paweł Popiel, ani Tarnowski, ani ich przyjaciele nie tylko nie są tak czarni, jak ich malują, lecz przeciwnie, dalecy od wstrętnego karyerowiczowstwa, w czynach swoich kierują się troską o dobro kraju, braliśmy to tylko za dowód niebezpieczeństwa wpływów galicyjskiego serwilizmu, który zaraża każdego, kto w Krakowie lub Lwowie się znajdzie. Pamiętam, później — byłem już uczniem uniwersytetu — gdy przyszła wiadomość o śmierci Szujskiego, powitałem ją niemal z radością, jak gdyby Polska miała lżej odetchnąć i raźniej odtąd pójść drogą postępu i odrodzenia. Z oburzeniem czytałem wtedy w *Słowie* warszawskiem feljetony prof. Smolki, poświęcone pamięci Szujskiego — i one to stały się przyczyną, że nie pojechałem do Krakowa dla uzupełnienia studyów swoich, czegoż bowiem mogłem nauczyć się tam, gdzie profesorowie uniwersytetu nie wstydzieli się publicznie składać hołdu czynom człowieka, w którym się wcielał zły duch narodu — gdzie celem szkół był „sztuczny chów Stańczyków“.

W zniechęceniu naszem stawaliśmy się tem pochopniejsi do przyjmowania powiewów, które nam Rosya słała. Przyносили je nam, do gimnazyów na prowincyi, nasi starsi koledzy z wyższych szkół w Petersburgu. Z niecierpliwością wyczekiwaliśmy końca maja, czyli wakacyj uniwersyteckich. Rojno i gwaro było wówczas na skwerze i publicznych spacerach Mińska. Pisarew i Dobroljubow, Ławrow i zakazana gazeta *Wpierod*, Marx i Lassalle, Bebel i Liebknecht — oto imiona i nazwy, które rozbrzmiewały w powietrzu; z zachwytem wpatrywaliśmy się w twarze i postawy tych, co je wymawiali. Petersburszczanie stawali przed nami, niby zwiastuni jacyś nowego porządku, przybysze z wyższego świata, za którym tęskniliśmy z głuszy naszej. I w rzeczy samej pod względem nastroju Rosya ówczesna stała na przeciwnym w stosunku do Polski biegunie. T. zw. lata sześćdziesiąte, które nas wyzwały z nadziei, były dla Rosyi nieustającym upojeniem, po którym pamięć wciąż jeszcze wtedy trwała. Rząd przeprowadził był reformę włościańską, którą powszechnie przyjęto z entuzjazmem, jako zapowiedź nowej epoki. Nowy czynnik miał istnienie swoje i siłę zaznaczyć: lud rosyjski — i lud ten miał zdumionej Europie objawić, czym jest Rosya. Wierzano, że w ciągu lat kilku Rosya dopędzi Europę i ją przepędzi — i losy ludzkości w jej ręku spoczną. Narody Zachodu nawet w najśmielszych zamiarach swoich zdążyły tylko do reform połowicznych; Rosyi — ściślej mówiąc, rewolucyi rosyjskiej — sądzonem było przeobrazić świat. Tym duchem wiary w nieskończoną moc narodu rosyjskiego i w odrodzenie świata przezeń tchnęły dzieła Czerzynszewskiego, Pisarewa, Dobroljubowa i wielu innych, przyjmowano je, jako Ewangelię.

Mieliśmy i my swój postęp w Warszawie; mieliśmy *Przegląd Tygodniowy* Wiślickiego i *Prawdę* Świętochowskiego. Ale jakżeż było to blade i nieśmiałe w porównaniu z Rosyą! Od czasu do czasu zwymyślano księży lub szlachtę, a po za tem nudna „praca organiczna“, zamiast wielkich przewrotów. Cóż dziwnego, że Rosya olśniewała nas szerokością widnokregu, który roztaczali postępowcy jej i rewolucyoniści! Urokowi temu podlegałem i ja, pomimo kultu dla wieszczów naszych i pomimo tradycyi patryotycznej, wynie-

sionej z domu. Cóż powiedzieć o tych, co nie mieli możności przeczytania Mickiewicza i którym w domu nie zaszczytowało patryotyzmu, a takich przecie było najwięcej, zwłaszcza w niższych warstwach na Litwie i Rusi, gdzie podstawy polskości były chwiejne. Więc coraz szersze zastępy porывał kult Rosyi, wiara w zbawienie świata przez rewolucyę rosyjską, której z tego powodu powinny być podporządkowane wszystkie inne cele, nie wykluczając dążeń narodowych. Na tem polegała wówczas russyfikacya duchowa.

Wypadki, które niebawem nastąpiły, dały nam wymowną jej krytykę. Na wiosnę, którą rewolucya rosyjska prowadzić miała, patrzaliśmy niedawno wszyscy — i cóż nam przyniosła? Przedewszystkiem rozwarła przed nami w narodzie rosyjskim, w niższych i w wyższych jego warstwach, otchłanie dzikości i okrucieństwa, których nie przypuszczali tacy nawet, co Rosyę najlepiej znali. Następnie wykazała brak twórczej energii: w zastępie ludzi wybitnych, uczciwych i szlachetnych, którzy wystąpili wówczas na widownię, nie znalazł się żaden zdolny do zapanowania nad sytuacyą i do pchnięcia Rosyi na nową drogę. I gdy górę wzięli obrońcy starego porządku, władza wpadła w ręce człowieka z umysłem ciasnym i tępym, ale z odwagą i energią, który dla ratowania istniejącego ustroju, oraz powagi rządu, nie znalazł środka lepszego, jak rozpętać w społeczeństwie najgorsze instynkty i rzuciwszy im na pastwę podległe cesarstwu narody, w ten sposób odciągnąć masy od antyrządowych czy antyspołecznych knowań. Rozpoczęło się cofanie się na całej linii — i, niestety, w parze z cofaniem się zewnętrznem szło, jak wyraził się jeden z publicystów, odstępstwo wewnętrzne: wczorajsi rewolucyoniści przeobrażali się w zbirów reakcyi. Czegoż się dziwić, że rozpacz zapanowywała nieraz tam nawet, gdzie pierwsze pożogi rewolucyi brano za jutrzeńkę dni nowych. Jaka czarna beznadziejność ogarnęła najwybitniejszego w chwili obecnej, gdy zabrakło Tolstoja, przedstawiciela twórczości rosyjskiej, Mereżkowskiego!

Po rewolucyi reakcyja, po reakcyi rewolucya. Ta mechanika historii — rozumuje Mereżkowski ¹⁾ — objawia się

¹⁾ *Bohaja Rossija*. (Peter-sburg, 1910).

w Rosyi wręcz odmiennie, niż na Zachodzie; dzieje Zachodu są ciąglem rwaniem się naprzód — i reakcyja wypływa tam z rewolucyi, czyli z przyspieszonego *tempa* w pochodzie: w Rosyi przeciwnie: reakcyja jest czemś pierwotnem, jakby *materia prima*, z której powstała Rosya: „Gdy zanadto ściśną nam gardło pętlą, wówczas zaczynamy więc się w konwulsjach; wtedy ściągną pętlę jeszcze mocniej — i my znów sztywniejemy“. Rewolucyj w Rosyi niema, są tylko bunt, „wieczny bunt wiecznych niewolników“. Do Rosyan zastosować można słowa Arystotelesa o barbarzyńcach, że natura ich jest taką, iż nie mogą i nie powinni żyć inaczej, jak w niewoli: *quod in servitute boni, in libertate mali sunt* ¹⁾. Gdy pierwiastek woli u innych narodów objawia się jako chęć wznoszenia się coraz wyżej i dalej, woła Rosyi jest w istocie swojej wolą i chęcią spadania. Najwięksi pisarze rosyjscy niezmordowanie zalecali pokorę, jako najwyższą cnotę; wytworzyła się nawet mistyka pokory i niewoli. Mereżkowski opowiada, że znał urzędnika w synodzie, który lubił rozprawiać o ofiarniczym stosunku do władzy: „Ażeby cię niedźwiedź nie dotknął — mawiał — musisz położyć się i udawać zmarłego, nie oddychać, nie ruszać się. Niedźwiedź obwącha cię i odejdzie. To samo z władzą: powinieneś poddać się jej, upokorzyć się aż do śmierci, tak, ażebyś sam się poczuł nieboszczykiem w trumnie leżącym. Wtedy władza przestanie być straszną, rozbroi się — i poprzez zwierzęce jej oblicze dostrzczyemy oblicze Chrystusowe“ ²⁾. Przerażeni tą mistyką niewoli, tą niewolniczą lubieżnością w nicestwieniu się, jedni z najlepszych synów Rosyi, jak Czaadajew lub Włodzimierz Solowjew, szukali schronienia w zachodniem chrześcijaństwie, inni, jak Hercen lub Bakunin, w zachodniej bezbożności, a tych i tamtych pożerała takąż sama mniej lub więcej ukrywana rozpacz.

O jakżeż słodko ojczyznę nienawidzić
 I chciwie czekać jej upadku,
 I w ostatecznem jej zniszczeniu widzieć
 Świt powszechnego w świecie odrodzenia!

¹⁾ Ib. str. 258.

²⁾ Ib. str. 89.

Czy to modlitwa, czy bluźnierstwo? — pyta Mereżkowski. Mniejsza o to; w każdym razie tak modlić się lub bluźnić mógł tylko Rosyanin; słowa te kreślił w drugiej ćwierci wieku zeszłego profesor uniwersytetu moskiewskiego, Włodzimierz Pieczerin, który uciekł zagranicę, ażeby wstąpić do zakonu Redemptorystów ¹⁾.

Czemże jest taki nihilizm w negacyi patryotyzmu, jeśli nie rozpaczliwym a bezsilnym protestem przeciw owej „woli spadania“, ale wola ta ma także swój kres — i zdaje się — kończył Mereżkowski rozmyślania swoje — że się już tam zbliżamy i że nie będziemy mieli gdzie spadać; „jeszcze krok, a Rosya — naród historyczny — stanie się trupem historycznym“.

Maksymalizm rosyjski stworzył w zakresie polityczno-społecznym anarchizm, czyli maximum rewolucyjności i dał Europie największych teoretyków i praktyków kierunku tego (Hercen, Tolstoj, Bakunin, Krapotkin). Ale anarchizm właśnie dlatego, że jest anarchiczny, nie posiada w sobie siły organizacyjnej; wywoływać może straszne, lecz chyba tylko przelotne nawałnice. Tem się tłumaczy, że organizacją rewolucyi musieli wziąć w ręce swoje Żydzi. Stało się to tem łatwiej, że ze zbuntowaną Rosyą łączyła ich jedność głównego celu: walka z caratem. Zdołali oni zająć miejsca przednie nie tylko wśród żywiołów wywrotowych, ale i w stronnictwach umiarkowańszych. Daremnie naprzykład szukalibyśmy w oficjalnym organie kadeckim w *Rjeczi* jakiegoś rozróżnienia między stanowiskiem rosyjskiem a żydowskiem w poglądach na te lub owe sprawy. A chyba niema tego naiwnego człowieka, któryby przypuszczał, iż zespalać się z dążeniami rewolucyi rosyjskiej, Żydzi mogli zapomnieć o sobie. Cóż wynika stąd? To, że ci z młodzieży naszej, których zachwycał i porywał rozpęd rewolucyi, stawali się nieświadomem narzędziem wojującego judaizmu; russyfikacya duchowa była zarazem judaizacyą.

Dążności centralistyczne, które są wypływem całego układu dziejów Rosyi i weszły w głąb duszy rosyjskiej, znalazły najgorętszych popleczników w Żydach. Doskonale zo-

¹⁾ Ib. str. 91.

stało to wyjaśnione w pouczającej rozprawie W. Sedeckiego *Socjal-litwactwo w Polsce* (Kraków, 1911). Najbezpośredniejszy interes Żydów polega na tem, ażeby, gdziekolwiek są, stanowić mogli zwartą jednolitą całość; to warunek ich siły i znaczenia, ich cel, który oczywiście urzeczywistnić się daje łatwiej w niepodzielnem państwie rosyjskiem, niż w Rosyi rozczłonkowanej na autonomiczne prowincye lub tem bardziej na odrębne państwa. Stąd otwarta niechęć Żydów do haseł decentralizacyi i w tem nacjonalizm żydowski styka się z nacjonalizmem rosyjskim. Stosunek zaś obu nacjonalizmów do Polski jest ten sam, t. j. że Polskę zdegradować należy do stanowiska jednej z gubernij rosyjskich; Polski nie ma, jest tylko polsko-żydowskie terytoryum w obrębie cesarstwa. Pogląd taki otwarcie głoszą Litwacy i organy sympatyzujące z nimi. Raczej Rosya z Puryszkiewiczami, niż niepodległa Polska ¹⁾. W r. 1905 w jednej z odezw litwackich uroczyscie objawiono, że „Polska — to trup, który winien być rzucony na śmietnik“ ²⁾. Najdziwniejsze zaś i zarazem najboleśniej-sze to, że bezczelność ta w antypolskiej zaciekłości nie otworzyła oczu rozmaitym krańcowym grupom młodzieży naszej. Zagranicą, zwłaszcza tam, gdzie większość kolonij rosyjskich składają Litwacy, pod wpływem żywiołów tych o potrójnej (żydowsko rosyjsko-polskiej) narodowości, nastąpiło masowe zacieranie się różnicy między Polakami i Rosyanami, a „w tej okropnej atmosferze wiedla młodzież polska, karłały jej porwy i wzloty; poddawała się ona bezwiednie wpływom rusyfikacyi duchowej, czyniąc wszystko, co jest w jej mocy, aby wyrobić sobie u litwactwa opinię, że nie jest nacyonalistyczną“, więc „polskość zaczynała być dla niej czemś poniżającym“, czemś „czego się wstydzić należy“, bo polskość to synonim burżuazyi, szlachetczyzny, klerykalizmu, zacofania; na jednym ze zjazdów naszej młodzieży postępowej potępiono organizacje patryotyczne, bo one „demoralizują młodzież polską“ ³⁾.

¹⁾ W. Sedecki: *Socjal-litwactwo*, por. str. 18.

²⁾ Ib. str. 58.

³⁾ Ib. str. 88 — 90.

Dalej w dobrowolnej russyfikacyi duszy zabrnąć niepodobna, to kres, od którego zacząć się musi zwrot i powrót do ojczyzny. Ale to stanowi jedną tylko stronę wpływów maksymalizmu rosyjskiego na duszę polską. Rewolucya domagała się doskonałego ustroju, zapewniającego wszystkim maximum dobrobytu i szczęścia, czyli czegoś bardzo małego w porównaniu z żądzą absolutnej szczęśliwości. A przecie w imię tej żądzy sekciarze rosyjscy umieli, umieją jeszcze teraz palić lub grzebać siebie żywcem. Otóż ten ich maksymalizm religijny obudził się dziś, pod wpływem rozczarowań rewolucyi, wśród intelligencyi, w innej, ma się rozumieć, występując formie, niż w sektach ludowych; popchnął ją na pole zagadnień o Bogu i duszy, lecz zamiast uspokoić, rzucił w oteblanie rozpaczy.

Nowy ten szal, z praktyki dążeń wywrotowych w sferę szukania prawdy absolutnej przeniesiony, znalazł także u nas adeptów swoich — i tu wracam do artykułu p. Zakrzewskiego, do rozmowy o tem, którą niedawno prowadziłem z Polakiem, wychowawcem jednego z uniwersytetów rosyjskich, marzycielem z usposobienia, entuzyastą Rosyi, ale szukającym najwyższych wyrazów jej twórczości nie w planach i przedsięwzięciach prowodyrów rewolucyi, lecz w marzeniach poetów jej i myślicieli.

Spotkałem go w wagonie, czytającego wymieniony artykuł Zakrzewskiego.

— Piszę się na wszystko — odpowiedział zapytany przezemnie — co wygłosił Zakrzewski; jedno mu zarzucam: zbytętną powściągliwość pióra, gdy mówi o naszej nędzy duchowej i upadku. Idea narodowa — czytam w rozprawie jego — zasłoniła przed nami świat. To prawda, ale zastanówmy się bliżej, co znaczy sam wyraz idea narodowa; jakkolwiekbydż zarysowuje się ona przed nami, czy to w postaci niepodległości, czy tylko autonomii w związku z innem silniejszym państwem, jest ona ideą ciasną, zamkniętą w obrębie warunków dzisiejszego życia, ideą ziemską, materyjalną, redukującą się ostatecznie do pogoni za chlebem powszednim, za dobrobytem. Więc zatruwa ona duszę polską; pod jej

wpływem Polacy odzwyczajają się myśleć, filistrzeją, stają się podobni do zwierząt, *quae natura prona atque ventri obedientia finxit*. Polska ginie dla świata; co mówię, już zginęła, wyjałowiała, spróchniała. Gdzie te klejnoty, któremi herb swój upiększyłaby mogła? gdzie piękno kultury duchowej, które, jako tarczę, przeciwstawiłaby naciskowi wrogieli żywiołów? Nie widzę u nas talentów, nie znajduję myśli żywej w całej naszej produkcji umysłowej, a jeśli coś gdzieś się wybija, nie jest to polskie; pierwszym krytykiem jest Żyd Feldman, pierwszym historykiem — Żyd Askenazy. Absolutne nic — oto imię Polski, i w tej absolutnej nicości, nie zaś w niewoli politycznej, tkwi jej hańba wobec świata. Polak współczesny jest nieskończenie nieszczęśliwszy, niż sam o tem sądzi, albowiem ze stanowiska wartości ogólnoludzkich jest zerem, niczem więcej. Stroi się on w cierpienie, które poeci na wyżynę messyanicznego jakiegoś posłannictwa wznieść usiłowali, ale ponieważ cierpienie to wypływa ze znikomej żądzy wolnej ojczyzny, czyli poprostu mówiąc, polepszenia warunków bytu doczesnego, więc jest cierpieniem ciała, nie zaś duszy. Zresztą duszy u moich szanownych współziomków nie dostrzegam wcale. Więc przypuśćmy teraz, że im dadzą wolną Polskę; cóż z nią zrobią? czy nie zmarnują jej i nie zgubią postawione na jej czele półgłówki i błazny, których wychowała bezmyślna i bezduszna szowinistyczna ideologia *Rodziny Połanieckich* Sienkiewicza lub *Literatury Polskiej* Tarnowskiego?

— Ideologię tę nazwij pan przynajmniej patryotyczną.

— Wszystko jedno, jak nazwiemy: patryotyzm czy szowinizm; różnicy nie widzę, ale widzę, że to epidemia, która nas gubi.

— Więc cóż stawiasz pan na miejscu patryotyzmu?

— Jestem anarchista i stawiam moje *ja*, duszę moją, tę mękę mej duszy, wobec której niczem są dla mnie losy państw wszystkich. Śmierć i wieczność — czy te dwa wyrazy nie wyzwalają pana z wszelkich przykazań patryotyzmu, nie wznoszą ponad wszelkie odrębności narodowe i nie wtrącają zarazem w przepastną jakąś i nieucieszoną rozpacz. Zginiemy i zgniemy wszyscy, cóż wobec tego znaczy, że ten jest Polakiem, a tamten Rosyaninem, że dziś lub jutro Pol-

ska powstać może, a Rosya upaść? Patrzę i widzę przed sobą przyszłą ziemię, toczącą się po odwiecznych szlakach swoich wraz z prochami naszemi, z prochami ludzi wszystkich i narodów, z Polską i Rosyą; nie zostało nic z uczuć, które nas wstrząsały, z zachwyków naszych i gniewów, z miłości i nienawiści... Śmierć i wieczność, niewiadoma, tajemnicza, straszna wieczność! Wieczna nicość, czy wieczne bytowanie i cierpienie jednaką zgrozą przejmuje i w jednakiej rozpacz pogrąża, a zgroza ta i rozpacz jest moim światem, w którym niema narodów i narodowościowych zrzeszeń, a są tylko pojedyncze, cierpiące dusze — jest moją Golgotą, po której dźwigam mój krzyż, mój ciężki, niepotrzebny krzyż. Ach, rozumiem tych, którzy, poznawszy głębie duchowe Rosyi, z pogardą patrzą na wszystko, co inne narody pochłania. Dusza Rosyi jest moją duszą, duszą każdego człowieka udreżonego zagadką bytu. W Rosyi tylko znaleźć mogę zrozumienie i współczucie.

— W Rosyi?

— Tak, tylko w Rosyi. Oczywiście nie mówię o tych cechach rosyjskich, które dla mnie są równie wstrętne, jak dla pana, są zaś wynikiem wieków niewoli, naleciałością, stanowiącą warstwę wierzchnią i cienką. Aby do duszy Rosyi dotrzeć, trzeba zejść głębiej, a zrozumiemy wtedy, że niepodobna przykładać do niej zachodnio-europejskiej miary. Mówią o jakiejś rewolucyi w Rosyi, o socyalizmie rosyjskim. Ależ wyrazy te w zastosowaniu do Rosyi tracą wszelką treść. To, co w Europie jest tylko socyalizmem i tylko rewolucyą, to w Rosyi staje się religią, cierpieniem świętem, nakładającym cierniowe korony na czoła przedziwnych męczenników. Czy sądzisz pan, że to w imię socyalistycznego państwa, jakiegoś przyszłego „wielkiego Chama“, młodzież rosyjska znosi tortury więzienne i idzie na szubiennice? O, nie; ona to czyni w imię królestwa, o którym powiedzieć musimy, że nie z tego jest świata, a prowadzi ją tęsknota bezmierna, nadludzka, pogrąża ją w rozpacz i buncie przeciw Bogu i ludziom, a pozbawia ostoi w życiu rzeczywistym. Gdyby socyalistyczne hasła *Ziemi i Woli* zwyciężyły naraz, nie wątpię, że wraz ze zwycięstwem tem rozsypałyby się w proch cały socyalizm, duszę bowiem rosyjską rozsadza żądza nieskończo-

ności, nie jej nie nasyci, ona chce cudu, cudu, którego nikt nie rozumie, nikt nawet o nim nie śni i śnić nie może, kto się z Rosyą nie zżył... Słyszę w duszy tej jęk szalonej tęsknoty za Nową Ziemią i Nowym Kościołem, mistycznym kościołem świętych umęczonych dusz. Cała t. zw. rewolucya rosyjska jest jednym wielkiem męczeństwem religijnem, jest straszną i krwawą religią męki dla męki, gdyż męką jest życie i męką wyzwolenie się z niego. Wszak słyszałeś pan zapewne o epidemii samobójstw, które, jak dżuma, przeszły przez serce Rosyi i pozabawiły ją jej najlepszej młodzieży? Spróbuj zmierzyć ogrom cierpienia, które szaleł takim ową młodzież objęło, uczcij krzyżowaną duszę Rosyi w jej wzlotach ponadziemskich, a bezsilnych, bo siły ludzkie przechodzących, i zrozumiesz wtedy, dlaczego człowiek z duszą, pochłoniętą zagadnieniami życia i śmierci, a nie znajdującą ukojenia w odpowiedziach, które jej dają nauczyciele rozmaitych religij i filozofij — dlaczego człowiek taki czuje, że dusza Rosyi jest jego własną duszą.

— Nie twierdząc — ciągnął dalej mój współbiednik — ażeby to wszystko zupełnie było obce Europie. Miała ona Hamletów i Manfredów, miała Leopardiego, który w słowach, majestatem zbolącej a spokojnej rezygnacyi namaszczonej, stwierdzał nieskończoną nicłość rzeczy wszystkich — miała Schopenhauera, który bezrozumną wolę ogłaszał jako pryncyp bytu, a cierpieniem treść jego oznaczał. Tych jednak głębin ducha, które Rosya poznała, żaden z nich nie zwiedził, nie odważył się zwiedzić. Kusząc się z pozorami wielkiej zuchwałości o rozwiązanie najgłębszych zagadnień bytu, religię łączyli oni nierozzerwalnie z etyką — i to stanowi charakterystyczną cechę religijności na Zachodzie — gdy zaś cierpienie doprowadzało ich do zwątpienia, a zwątpienie do negacyi religii, wówczas szukali oparcia w jakimś imperatywie moralnym. Więc byli to ludzie formy, nie zaś duszy — ci najzuchwalsi myślał na Zachodzie — ograniczeni i dzięki temu szczęśliwi w swoim ubóstwie duchowem. Nie wznieśli się oni do przeczcucia tej nadmoralnej, że się tak wyrażę, prawdy, iż są głębie cierpienia, wobec których tracą swoje znaczenie wszystkie wartości, jakimi mierzymy dobro i zło. Niby to Nietzsche stawał gdzieś po za Dobrem i Złem, ale

robił to, ażeby stamtąd przynieść radosną nowinę o śmierci Boga, czyli płytki ateizm. O jakżeż nieskończenie wywyższoną jest Rosya ponad te najwyższe wzloty Zachodu! Nie uznaje ona tych podstaw moralnych, na których wy stoicie, ale nie jest to czezą przechwałką z jej strony, ani oznaką zepsucia, czy zwyrodnienia, jak się wam wydaje; świadczy to o głębi duszy, genialnej, szalonej głębi, o bezmiarze tęsknoty, o której przed chwilą mówiłem, tęsknoty, wyzutej z ciała, przebywającej po za ziemią i życiem. Wsłuchaj się pan uważnie w szóstą patetyczną symfonię Czajkowskiego, a może zrozumiesz, co powiedzieć chcę, lecz wyrazić do stateczną siłą nie potrafię, zrozumiesz ów ból okrutny, który szarpie wnętrzości Rosyi; ma on swoją legendę męczeńską, swoje bunty i swoje modlitwy... Dla duszy, krwawiącej się takim bólem, co znaczą wasze formuły moralne, do których dostosować pragniecie życie jednostek i społeczeństw? Patrzy ona i sięga dalej, nieskończenie dalej. Nazywacie to nihilizmem, ale w tym nihilizmie są takie przepaści i tajemnice cierpienia, taka żądza królestwa Bożego, taka moc religijna, tyle ascetyzmu, że wobec tego niczem jest nie tylko Polska, ale cały pozarosyjski świat ze wszystkimi swemi ideałami i cierpieniami.

— W słowach pańskich -- przerwałem memu towarzyszowi, którego coraz silniej rozpalala wizya Rosyi, krzyżującej się za grzechy świata — słyszę odgłos, lecz spotęgowany odgłos słów, które niegdyś wyrzekł Hercen, gdy, stawiając Rosyę na tamtym brzegu w stosunku do przeszłości i kultury Zachodu, wyprowadzał stąd wiarę w jej wielką przyszłość. Rosya żyła swoim własnem odrębnem od Europy życiem dziejowem, dzięki temu nie jej nie wiąże z ideałami i dążeniami Zachodu, patrzy na nie jasnem, niezmaconem okiem — i w tej swobodzie sądu upatrzył Hercen jej pierwszeństwo przed innemi narodami. W jego określeniu Rosyi, jako tamtego brzegu, widzę genialną intuicyę rzeczywistego jej stosunku do reszty świata. Ale jakież są wyniki uwielbianej swobody sądu? Wiemy, że doprowadziła Hercena do bezwzględnej negacyi Europy, do anarchizmu, do „*vive la mort*“, niech żyje zniszczenie i chaos“. I to się wam podoba. Lecz czemuż zapominacie, że słowa te były wybry-

kiem idealisty, zrażonego niepowodzeniem rewolucyj 1848 r.? że Hercen był arystokratą z ducha i estetą, że miał serce wrażliwe na wszelkie piękno, gdziekolwiek je widział, że na Europę spoglądał nie z tamtego brzegu, że była mu bliską? Rewolucjonistów i sekciarzy traktował z prawdziwie arystokratyczną pogardą i, zdaje się, że z podobnem uczuciem, jako na rodzaj obłędu, patrzyłby dziś na wysławiane przez pana duchowe męczeństwo Rosyi, zrzucającej z siebie więzy „formuł moralnych“. Wszak sam należał do tych ograniczonych w mniemaniu pańskim ludzi, którzy, straciwszy religię, szukają imperatywu moralnego, i rozumiał, że nihilizm, choćby z bolesnych zawodów i najszlachetniejszych cierpień zrodzony, jest głupi i marny, jako przewodnik w życiu.

Słowa te oburzyły mego współbiesiadnika.

— O duszy Rosyi — zawołał — sądzisz pan z fanatycznym zaślepieniem Polaka, ale potęga jej i urok są takie, że nawet fanatyzmowi zdejmują bielmo z oka. Świadczy o tem między innemi i to, że fanatyk polskości, jakim pan jest, umiał odczuć i ocenić nawskróś rosyjską filozofję Hercena. Pozostaje teraz panu zastanowić się nieco głębiej nad tym jej spotęgowanym odgłosem, który przed chwilą potępiłeś, a w sercu zadrga nuta sympatyj i będziesz pan musiał wraz ze mną przyznać, że Rosya nietylko jest antieuuropejską, jak mówił Hercen, ale antyziemską. Cierpienie jej bowiem niema nic wspólnego z ziemskimi znikomemi celami. Wyronicie łzy nad tem, że wywłaszczają was w Poznańskim, że odebrano wam kolej wiedeńską, że z terytorjum Królestwa wykrojono Chełmszczyznę, Rosya zaś patrzy w wieczność. Cierpienie jej jest metafizyczne. To cierpienie ducha, który się wznosił ponad granice narodów, wyzwolił siebie z formuł moralnych i szuka prawdy nie dla Rosyan lub Polaków, nie dla Piotra albo Pawła, ale dla człowieka w absolutnem znaczeniu wyrazu, szuka Boga, a widzi śmierć. Cierpienie to, ten konflikt żądy nieśmiertelnej szczęśliwości z faktem śmierci, stanowi najgłębszą tajemnicę bytu, która nigdzie tak głęboko się nie odbiła, jak w duszy Rosyi. Dlatego to w literaturze rosyjskiej mamy kopalnię skarbów, których „ani rdza, ani mól nie psuje“, królestwo objawień i tajemnic. Rosya jest jedynym narodem, który myśli nie o chwili

obecnej, lecz o wieczności, nie o dobrobycie ziemskim, lecz o królestwie Bożem — i stąd wiarę moją czerpię, że zwyciężą w niej nie hasła zniszczenia i chaosu, choć tak głośno tam rozbrzmiewają, ale zwycięży Chrystus, Chrystus bezwiednie nieraz w tych duszach przedziwnych żyjący, zwycięży ich czar nieziemski, legion święty pokona świat. Wierzę — i wiara moja daje mi siłę życia.

Rozumowania te mogą komuś, kto się z Rosyą nie zetknął, wydać się nieprawdopodobnymi — może zarzucą mi przesadę. Lecz zapamiętałem je, zapisałem i przytaczam ze stenograficzną prawie ścisłością, przytaczam zaś, ponieważ na charakter wpływu Rosyi na Polskę rzucają, zdaniem mojem, światło bardzo jaskrawe, wykazując, że rusyfikacja duchowa, której są wyrazem, nie jest tylko kultem literatury rosyjskiej, która ma być „królestwem objawień i tajemnic“, ani duszy rosyjskiej, która w literaturze tej się odbiła. Gdyby rusyfikacja zatrzymała się tu, to russofilom naszym moglibyśmy spokojnie wskazać na literaturę polską. Wprawdzie dziś zagadnienia religijne i metafizyczne nie mają w niej tego znaczenia, co w Rosyi, ale one to jednak stanowiły pathos twórczości wieszczów naszych, gdy w ich sferę przenosili ideę i sprawę ojczyzny. Mówią nam z tryumfem, że dusza rosyjska umiała wydostać się z nędzy znikomych celów i starań i zapatrzyła się w wieczność i śmierć. Ale czyż nie w wieczność i śmierć patrzył Krasiński, gdy „miotany rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą“, streszczał wątplenia swoje i męki w strasznym dylemmacie: albo nicłość, albo wieczysty trud i ból? Mówią o Golgocie nadludzkich cierpień, na której Rosya dźwiga swój krzyż. Ale czy nie prześcignął jej w cierpieniu swoim Mickiewicz, gdy go ono niosło w otełbianie nieznane Faustom i Manfredom i gdy w przystępie pesymizmu rzucając słowo, które się śniło największym pesymistom, Leopardiemu i Schopenhauerowi, określał pryncyp bytu wyrazem oznaczającym zło najwyższe i zło świadome nie zaś bezrozumną wolę Schopenhauera? Lecz to wszystko wrażenia na naszych wyznawcach i czcicielach Rosyi nie robi. Dlaczego? Tajemnice wieczności i śmierci nie były ani dla

Krasińskiego, ani dla Mickiewicza obezwładniającym narkotykiem; żyli oni i tkwiąc w życiu wszystkimi silami jeststwa, brali najgłębsze zagadnienia bytu w związku ze sprawami, które ich i ich naród pochłaniały. Rosyanin zaś bierze je teoretycznie, ze stanowiska „człowieka absolutnego“, lecz myśląc o człowieku absolutnym, myśli on oczywiście o sobie, o swojej jaźni — i teoretyczność jest tu niezem więcej, jak stanowiskiem subiektywnem i anarchistycznym. I to właśnie, ten sposób brania rzeczy pociągnął russofilów polskich — i w tem widzę świadectwo, że rusyfikacja duchowa objęła u nich nie tylko sferę uczucia, przejętego i olśnionego duchowem pięknem Rosyi, ale że przyswoili sobie rosyjską technikę rozumowania, że stali się przeto więcej niż zrusyfikowanymi Polakami, bo Rosyanami, którzy od Rosyan z urodzenia tem się tylko różnią, że umieją mówić po polsku.

Cechę zaś charakterystyczną owej techniki rozumowania rosyjskiego stanowi — użycie tu wyrazu rażącego ucho polskie, ale innego nie znajduję — prostolinijność, która się nie liczy ani z doświadczeniem wieków, ani z poglądami innych ludzi, nie ogląda się ona na przeszkody i w logiczności swojej, pędzącej od wniosku do wniosku, nie cofa się nawet przed absurdem. Umie ona być śmiałą aż do bohaterstwa — i tem pociąga. Lecz śmiałość ta wynika z nieznamomości życia, a nieznamomość stąd pochodzi, że, wychowana w jarzmie absolutyzmu, Rosya nie miała dostępu do tych sfer życia, które samodzielności wymagają i ją urabiają.

W świetle Hercenowskiego określenia Rosyi, jako stojącej na tamtym brzegu, występują w całej sile wszystkie następstwa prostolinijności. Z tamtym brzegiem Rosyanina nie wiąże nic, przeszłość Europy jest mu obcą; na swoim zaś brzegu niema on do czego się przywiązać, własna rosyjska przeszłość budzi w nim wstręt; tamten daleki brzeg jest jakby mgłą przysłonięty i niewidzialny, od swojego lepiej odwrócić oczy. W skutek tego niezmiernie jest trudno Rosyaninowi dojrzeć cokolwiekbądź po za tem, co go bezpośrednio otacza. Zuchwała jego prostolinijność bywa nawet głęboką, lecz jest zawsze ciasną. Niegdyś Dostojewski w słynnej manifestacyjnie patryotycznej mowie przy odsło-

nięciu pomnika Puszkina w Moskwie, nazwał Puszkina „wszechczłowiekiem“ i uznał wszechczłowieczeństwo za najwyższy i najznamienniejszy wyraz duszy rosyjskiej. To oznaczało w myśli Dostojewskiego, że Francuz może być tylko Francuzem, a Polak Polakiem, jeden tylko Rosyanin wśród narodów zdoła czuć, kochać, cierpieć za wszystkie narody i we wszystkie się wcielać. Nigdy większego fałszu z większym aplombem nie wygłoszono.

Na czym oparł Dostojewski twierdzenie swoje? Na tem, że Puszkina w młodości z wdziękiem naśladował liryków francuskich, że potem przeszedł przez Byrona, później przez Szekspira, że w jednym z ostatnich utworów umiał wczuć się i odtworzyć ducha epoki Odrodzenia. Cóżby powiedział Dostojewski, gdyby najuniwersalniejszy z poetów i prawdziwy wszechczłowiek, Jarosław Vrechlicky, był Rosyaninem? Nie wszechczłowieczeństwo uderza nas u Rosyan, ale, odwrotnie, ciasnota duchowa, brak zmysłu do rozumienia innych narodów. Umieją oni w nich uchwycić tylko rysy ujemne. W powieściach Dostojewskiego Polak jest zawsze blagierem i frazesowiczem, albo tchórzem, albo jednym i drugim; nie wiele lepiej przedstawiał Tolstoj Francuzów. W ciągu tylu wieków miała Rosya do czynienia z plemionami syberyjskimi, ale pisarze rosyjscy przeszli koło nich, nie widząc ich; dopiero zesłańcy polscy, Adam Szymański, potem Wacław Sieroszewski, dostrzegli duszę tych ludów i umieli ją odtworzyć w obrazach, pełnych wdzięku, sympatyj i zrozumienia. — W oczach mego towarzysza z wagonu byłem fanatykiem polskim, jednak „fanatyzm“ mój nie przeszkodził mi nigdy całą duszą czuć piękno poezji Puszkina i Lermontowa, podziwiać rozmach światoburecznych zapędów Hercena lub Tolstoja i przejmować się tkwiącym na dnie ich idealizmem, wielbić potęgę i wzniosłość myśli Wł. Sołowjewa i Cziczierina. Wierzyłem i wierzę, że w duszy rosyjskiej są pierwiastki dobroczynne. I to samo mógłby za mną powtórzyć niejeden z „fanatyków polskich“. Tymczasem przejęcie się „szaloną“ głębią i pięknem duszy rosyjskiej spłotło się u mego towarzysza z namiętą antypatyą do tradycji polskiej, do duszy polskiej z jej religią ojczyzny, z jej kultem heroizmu duchowego, który jest jej najcudowniejszym wykwitem, owo-

cem jej strasznych a bardzo realnych cierpień, choć ze stanowiska rosyjskiego są to marne cierpienia ciała. I ten fakt mogę uogólnić, stwierdzałem go bowiem bardzo często w stosunku tak Rosyan, jak zrusyfikowanych duchowo Polaków do nas. Więc cóż jest lepsze, czy „fanatyzm“ „spróchniałej“ Polski, który umie rozumieć, szanować i nawet ukochać to, co pięknem jest i dobrem u obcych — czy fanatyzm Rosyi, wznoszącej się na „Golgotę Chrystusowych bólów“, lecz stamtąd zapamiętałe odrzucającej wszystko, co Rosyą nie jest?

Drugiem po ciasnocie następstwem owej prostolinijności, z tamtego brzegu spoglądającej na resztę świata, jest pycha, ta bezdenna pycha, która tak nas nieraz razi w obcowaniu z Rosyanami. Ale czy mamy się jej dziwić? Wszak na tamtym dalekim brzegu wszystko wydaje się bardzo i bardzo małym, czyli niegodnym patrzenia, a godnym tylko pogardy... A zatem z pogardą i, co za tem idzie, z nienawiścią patrzą ci ludzie „krzyżowani“ przez żądzę prawdy i szukający jej nie dla narodu, lecz „dla człowieka“ w absołutnem znaczeniu wyrazu — patrzą z wysokości swej na nędzne polskie, bezduszne, nikomu niepotrzebne robaki. Więc zdeptać je! Puryszkiewicze wzywają do tego w imię polityki — oni, ci ludzie ducha, gdyby do tego się zniżyli, robić to będą w imię Chrystusa, jak niegdyś Aksakow.

Wreszcie prostolinijność jest z natury swojej doktrynerską i maksymalistyczną, bo pędząc prosto do celu, nie widzi i widzieć nie chce przeszkód, więc wszystko wydaje się jej łatwem. Maksymalizm to, nie liczenie się z rzeczywistością, z dalekim tamtym brzegiem, który ginie we mgle i ze swoim, który jest pustką. I tu zapytać można, czy nie świadczy o przeniesieniu rosyjskiego sposobu rozumowania na nasz polski grunt ta nasza dzisiejsza krańcowa antirosyjska literatura polityczna, którą określono wyrazem: *neoirredentyzm* ¹⁾). Wszak słusznie jej zarzucono, że odgradza się od rzeczywistości chińskim murem, że wpada w bizantyzm, więcej dbając o teoretyczną poprawność w rozumowaniu, niż o utrzymanie jego związku z życiem realnem, że zatracza róż-

¹⁾ K. Srokowski: *Neoirredentyzm polski*. (Kraków, 1912).

żnicę między państwem istniejącem a państwem pomyslanem ¹⁾).

Wszystko to razem wzięte, te wszystkie cechy człowieka na t a m t y m brzegu stojącego: ciasnota widnokregu myśli, nie zdolnej objąć innych jaźni, zarówno indywidualnych, jak narodowych, pycha i doktrynerski maksymalizm — rodzą wstręt do wszelkich więzów. Prawda zaś nakłada więzy. Stąd strach przed prawdą. W skutek zaś tego ówa religia męki dla męki, która takim zachwytem przejęła mego towarzysza z podróży, owo nurzanie się w otchłaniach własnej duszy i jej nienukojonego cierpienia, owo życie wewnętrzne, mające pozory mistycznego wgłębiania się w niezgłębione tajemnice absolutnego bytu, stają się u wielu Rosyan mistyczną mistyfikacją i to w daleko większym stopniu, niż u tych pisarzy naszych, których twórczość tą nazwą J. A. Herbachewski określił. Szukanie prawdy u owych mistyfikatorów nie jest rzetelnem jej szukaniem. Gdyby prawda stanęła nagle przed nimi, uciekliby od niej, bo jej nie chcą. Uznał to nawet czciciel Rosyi, Al. Zakrzewski: „Pytania — pisze on ²⁾ — lubi Rosyanin, nie zaś odpowiedzi, i tak się rozkochał w pytaniach, że sama możliwość odpowiedzi wywcluje w nim smutny uśmiech wątpienia“. Sybarytą bólu jest ów Rosyanin, a to znaczy, że żądzę rozwiązania zagadki bytu spycha u niego i niszczy rozkoszowanie się w samym bólu szukania, bez nadziei znalezienia. Dobrowolnie wybrał on ciemność, albowiem w ciemności wszystko wolno, gdy natomiast światło idei Boga żywego i nieba narzuca człowiekowi konieczność współpracy z Bogiem, w celu strącenia zła w niebyt i realizacji nieba. Więc czyż nie wygodniej objawić ludziom, że prawdy znaleźć niepodobna i że ból jej szukania zapędza człowieka w otchłanne ciemne głębie, w których giną różnice między Dobrem i Złem.

Szczególnie charakterystycznem i zajmującym w tym względzie zjawiskiem jest Rozanow. Pisarz świetny i umysł niepospolity; z umysłów rosyjskich chyba najbardziej rosyj-

¹⁾ Por. B. Nawroczyński w recenzji *Polityki niepodległości* J. Brzozy. (*Rzeczpospolita*, 1912, Nr. 83).

²⁾ *Karamazowszczyzna* (po rosyjsku) (1912). Por. str. 90.

ski, nie da się bowiem przypuścić nawet, ażeby na tle innej kultury coś podobnego powstać mogło. Otóż ten wierzący syn prawosławnej cerkwi — takim przynajmniej się przedstawia w wielu pismach swoich — człowiek z duszą nawskróś religijną, równie dobrze wczuwającą się w wewnętrzną mistyczną, jak w zewnętrzną estetyczną obrządkową stronę religii, znalazł religijność w jedno z erotycznymi pierwiastkami własnej duszy i uczciwszy miłość, jako najwyższą radość i tryumf życia, zapragnął światłem religii oświecić tajemnicę płciowości i wzajemnego obu płci stosunku, która jest najgłębszą tajemnicą natury. Ale chrześcijaństwo przekłóło miłość w imię ideału ascetycznego, odebrało życiu jego poezję i zatruliło sumienie świadomością, iż grzechem ma być to, co szczęście i piękno człowieka stanowi. Stąd u tego wierzącego chrześcijanina nienawiść do istoty chrześcijaństwa i więcej jeszcze do osoby Chrystusa. Nienawiścią tą przesycone są rozmaite jego pisma, a wyrażone to jest tak subtelnie, że trzeba pilnego nieraz wczytania się, aby to dostrzedz — i dotąd cenzura duchowa jakby wcale tego nie dostrzegła. „Rozanow całuje chrześcijaństwo i Chrystusa — powiedział Zakrzewski ¹⁾ — pocałunkiem Judasza, ale Judasza z umysłem nieskończenie głębokim, nawet genialnym... to żmija na łonie chrześcijaństwa wygrzana“. Oczywiście rozdwojenie między zrośniętym z duszą pociągiem do cerkwi, do obrządku, do mistyki obrządku, a nienawiścią do treści chrześcijaństwa, jest męką, „dźwiganiem krzyża na Golgocie“, ale z mąk tych — nie przeczę, że mógł je doznać — umiał Rozanow zrobić źródło doskonałego „interesu“. Świetuemi ich opisami olśniewa on od wielu lat czytelników najnikczemniejszej i zarazem najbogatszej gazety rosyjskiej *Nowoje Wremia*, płacącej mu za to grube pieniądze. Nie dość tego. Jakiś Anglik, znawca Rosyi, trafnie powiedział, że właściwością umysłu rosyjskiego jest skłonność do zaciemniania każdej prostej i jasnej rzeczy z pomocą mistycznego frazesu i do podnoszenia jej w ten sposób na mglistą jakąś wyżynę. Jabym poszedł jeszcze dalej i powiedział, że mistyczny frazes robi nieraz u Rosyau czarne — białem, zło — dobrem, łajdactwo — czynem bohaterskim.

¹⁾ Ib. por. str. 74.

I w tym zakresie Rozanow niepoślednią wykazał zdolność. Oto umarł niedawno Suworin, głośny redaktor *Nowoje Wremia*. Za młodu należał on do opozycyi liberalnej; potem wyjaśniło mu się, że lepszym będzie interesem popierać politykę rządu, a mianowicie politykę russyfikacyjną, gdyż w tę stronę najłatwiej dadzą się popchnąć namiętności tłumu — a ten, kto tego dokona, stanie się ulubieńcem i tłumowi i rządowi. W tym kierunku poszedłszy, wytrwał w nim aż do śmierci, t. j. lat kolo 40 i dorobił się milionów na rozbudzaniu najniższych instynktów w swoim społeczeństwie. Rozanow napisał po nim nekrolog i właśnie za to — za zdradę przekonania i miliony — wyniósł go; umiał wytłómaczyć, że było to aktem bohaterskim, złożeniem własnych przekonań narodowi w ofierze, mistycznym zlanie się z jego duchem!... Ale czyż godzi się takie lub inne podobne wytykać drobiazgi, zapominając o tej cierniowej koronie męczeńskiego szukania prawdy, która zdobi czoło wielkiego pisarza! — I p. Zakrzewski w zachwycie woła, że „w jednej tylko Rosyi możliwem jest takie zjawisko, jak Rozanow, jedna tylko Rosya kryje w dziewiczych głębiach swoich bogactwa obce całemu światu, takie cudy i dziwy, że dla Europy nie przyszedł jeszcze czas na uczczenie ich, choć niezawodnie czas ten przyjdzie!“

Literatura polska ma być, zdaniem Al. Zakrzewskiego, śmiertelnie nudną, Rozanow naturalnie nudnym nie jest. Człowiek, który umie myśla i sercem jednoczyć się z duszą ludu, wznoszącego w świątyni modły swoje ku Zbawicielowi świata, a równocześnie tegoż Zbawiciela świata nienawidzi, jest „zjawiskiem w jednej tylko Rosyi możliwem“ i dla tego właśnie zajmującym. Ale wewnętrzne rozdwojenie Rozanowa prowadzi do nihilizmu moralnego o zakroju cynicznym, w tem zaś, pomimo najlepszych chęci, nie zdołamy dopatrzeć się, my Europejczycy, czegoś „godnego uczczenia“ dla Europy. Sfera moralna jest sferą rozróżniania między dobrem a złem. W sferze tej stał mocną nogą Lew Tołstoj — i tem się tłómaczy, że pomimo swej bezwzględnej negacyi Kościoła i anarchistycznego stanowiska wobec religii, został zrozumiany i oceniony na Zachodzie nawet przez ludzi w Kościele będących, nawet przez kapłanów katolickich,

że przypomnę tu studium o jego *Spowiedzi* X. Maryana Morawskiego ¹⁾). Ale Rozanow stanął po za dobrem i złem. W tejże sferze amoralizmu przebywa wielu pisarzy Rosyan. W amoralizm zaś wepchnęło ich, jak nas ucza, namiętne szukanie prawdy, której nie znaleźli. Należy więc im się przyjrzeć, aby poznać charakter tego męczeństwa duszy rosyjskiej, które tak olśniewa naszych czcicieli Rosyi, które Zakrzewski miał odwagę nazwać „teurgią zwiastującą religijne odrodzenie świata“. Pisarzy tych znam mało, niektórych zupełnie nie czytałem, więc biorę za przewodnika Zakrzewskiego, jako entuzjastycznego ich komentatora; poświęcił im trzy tomy studyów, napisanych z werwą i talentem, pociągających czytelnika głęboką szczerością tonu.

Jedna z tych książek ma charakterystyczny, z Dostojewskiego wzięty tytuł, *Podpolje* ²⁾). Zdaje się, że wiernie oddam myśl autora, tłómacząc to wyrazem „nora“. Nora jest tu symbolem szalu rozpacz, w którym dusza, niby zwierzę szczwany, uciekając przed ścigającym ją nieszczęściem, rada by znaleźć schronienie od losu, od ludzi, od siebie samej, gdzieś w najciemniejszym miejscu, w norze, dokąd nie sięgną ani promienie światła, ani oczy ciekawych. „Do tego schroniska — wola autor — schodzi wszystko, co wyrzucone zostało z życia, znużone jest i ginące, rozdarte lub złamane, ale niepospolite, święte i zarazem wyrafinowane“... „Tu się kryją ciche, przez los pokrzywdzone dusze, prorocy przedwczześni, szaleńcy, co w myślach swoich kołysali jakieś zuchwałe marzenia, wieczni pielgrzymi i nieukojeni poszukiwacze prawdy, dla których słońce już zagasło“... „*Podpolje* to nasza dusza zapatrzona w wieczność, to nasz ból, nasza tęsknota, to nowy świat, który z tęsknoty tej się rodzi, świat, w którym zgasły wszystkie złudzenia“.

I jeden po drugim przesuwają się przed nami pisarze, dla których *podpolje*, ciemna nora, dokąd nie dochodzi światło, stała się jakby rozwiązaniem zagadki bytu. Albowiem byt jest nie tylko cierpieniem, lecz strachem; można zwyczaj-

¹⁾ W *Przeglądzie Powszechnym* z 1884 r.

²⁾ *Swierehczetowiek nad bezdną* (Kijów, 1911); *Karamazow-szczina* (Kijów, 1912); *Podpolje* (Kijów, 1912).

żyć ból, ale jakże pokonać strach? Protoplastą ich, „natchnieniem — jak się wyraził autor — i punktem wyjścia dla wszystkich pisarzy, poetów i myślicieli współczesnych rosyjskich“, jest Dostojewski, który staje przed światem, jako „wspaniały i żywy symbol tajemniczego państwa duszy rosyjskiej, jej nadziei i polotów, jej modlitw i przekleństw“. On to powiedział, że źródłem świadomości jest ból, a ból tak nas opamowuje, że, ratując się od niego, „człowiek poczyną kochać się aż do namiętności w zniszczeniu i w chaosie“. Jednak u Dostojewskiego pierwiastki zemsty, przekleństwa i niszczenia znajdowały przeciwwagę w żywym uczuciu, że Bóg jest i że jest celem człowieka.

Tego uczucia, tej wiary w Boga już niema u jego następców. Za motto ich twórcy ści możnaby wziąć technący nieskończonem znużeniem wiersz Zeneidy Hippiusa o ziemi pustej, która zawisła wśród pustyni wszechświata, podobna do skamieniałej zadumy szatana. Jedni straszą na niej wiecznem piekłem, inni gadają o zbawieniu... Lecz po co, po co? „Ja nie chcę ani prawdy, ani fałszu; chcę zapomnienia tylko, zapomnienia. Ach zamknij mocniej puste oczy i zgnij prędeż, człowiecze; niema dni, niema poranków, są tylko noce“... „Istnieje strach przestrzeni, a ja — skarżył się nieżyjący już Czechow w opowieści *Strach* — chory jestem na strach życia“. Skarżył się tak, bo szukanie prawdy doprowadziło go do tego, że o własnych czynach nie umiał powiedzieć, co w nich dobrem było, a co złem: „To tylko wiem, że warunki życia i wychowania zamknęły mię w ciasnem kole kłamstwa, że całe życie moje niczem innem nie jest, jak codzienną troską o to, jak oszukiwać siebie i ludzi, a nie dostrzegać tego — i straszno mi się robi na myśl, że do samej śmierci nie wydostanę się z tego kłamstwa“. — Ten strach i ten ból ścigają przerażonego i uciekającego Andrejewa, aż w ucieczce swojej natrafia on na ścianę — i wyjścia niema. I dochodzi on do wniosku, że istnienie jest wiekuistym robijaniem głowy o ścianę, wiekuistym więzieniem, śmierci bowiem niema, gdyż niema we wszechświecie tej siły, coby zniszczyć zdołała na zawsze tę krwawą i straszną rzecz, która nazywa się życiem — i to jest rzeczywistą przyczyną, dla której śmierć, śmierć doczesna, taką nas grozą przeję-

muje; czujemy, że nasz ból i nasza tęsknota nie opuszczają nas, że obiecują nam wiekuiłą mękę po za grobem. A zatem od obrzydliwości życia pozostaje szukać schronienia w owej ciemnej norze, którą staje się już, ową obrzydliwością przerażona. *Moje zapiski* Andrejewa są genialną apologią *podpolja*. „Rzec tę — woła w zachwycie Zakrzewski — czytać będą i upajać się nią; doprowadzać będzie i do samobójstwa i do obłąkania i do zmartwychwstania! Od czasu ksiąg Schopenhauera nie było żadnej, któraby z taką matematyczną ścisłością wykazała i grozę i niepotrzebność całego naszego życia“.

Ale czyżby szal uczucia i upojenie zmysłów nie były czemś pewniejszym i powabniejszym, niż rozpacz dobrowolnej ciemności *podpolja*? Pytanie to stawia Walery Brjusow. „Jego twórczość — według Zakrzewskiego — to muzyka nieskończonej nocy rozkoszy, zachwytów i perwersyi płci; to drogocenny purpurowy płaszcz, narzucony na szaleństwo zwierzęcych pierwiastków natury ludzkiej“. On nam opowiada, jak w zachwycie zmysłów ciała i duszy człowiek staje się bogiem, absolutem, środkowym punktem wszystkiego, co jest, apoteozą i końcem wszystkich możliwości — i w rozpalonym mózgu jego zapanowuje wściekle radosna myśl, że „na świecie istnieje tylko jedno jego *ja*, tylko jedno prawo, tylko jedna wola“. Lecz cóż z tego? Zachwyt taki trwać może tylko chwilę; przechodzi, pozostawiając po sobie bolesną świadomość, że nawet w podniesieniu wszystkich mocy swoich do najwyższej potęgi, człowiek nie jest w stanie zapanować nad duszą umiłowanej i pożądanej tak, aby przeistoczyła się w jego własną duszę. — I oto zjawia się inny poeta zmysłowości, F. Solłohub, i z innej strony usiłuje ją wyzyskać. Przejmuje go również rozpacz bytu, ale tylko mali ludzie, według niego, szukają ratunku w takich małych lekach, jakimi są religia, moralność, miłość, polityka. Bohater jego powieści, nadezłowiek i mag, znajduje pociechę w okrucieństwie, w pojeniu się widokiem mak ciała, zwłaszcza ciała kobiecego. Ma się rozumieć nie jest to rozwiązanie, to tylko rozrywka dla rozpasanej wyobraźni. Rozwiązaniem jest śmierć — i w przeciwieństwie do Andrejewa, który lęka się śmierci, Solłohub upaja się myślą o niej, albowiem życie ta-

kiem jest złem, takim cierpieniem, że cokolwiekbyś po niem nastąpi, będzie to lepsze, niż to, co jest teraz. „Śmierć — słowa Zakrzewskiego — staje się alkoholem jego twórczości“.

Lew Szestow szukał odpowiedzi na dręczące go pytania u Tolstoja, lecz przekonał się, że Bóg Tolstoja zaczyna się od małego *b* i jest „nudnem, płaskiem, znoszonym Dobrem“. Boga niema, istnieje tylko nieskończone, wieczne, straszne szukanie Boga, a wynikiem tego — bezdenna, wściekła rozpacz. I Szestow wysławia apoteozę negacyi wszystkich pryncypów (*Apoteoz bezpoczwiennosti*), czyli tego najstraszniejszego, ale i najwyższego w jego mniemaniu stanu, w którym człowiek traci grunt pod nogami. „Obowiązany jestem — woła — głosić niewiarę. Bo niema dla mnie idei wyższej nad tę, że Boga niema. A mam za sobą całą historję ludzkości. Wszak człowiek to tylko dotąd robił, że wymyślał dla siebie Boga, ażeby mógł żyć, nie odbierając sobie życia. W tem się streszczają dzieje aż do dnia dzisiejszego. Jam jest pierwszy — wykrzykuje on z arrogancją Żyda — którym nie zechciał wymyślać Boga!“... „Niech ze zgrozą — ciągnie on dalej, naśladując czy parodując styl Hercena — odwróć się od nas pokolenia przyszłe, niech historia piętnuje imiona nasze, jako tych, co zdradzili ludzkość; wszystko jedno, nie przestaniemy układać hymnów na cześć potworności, zniszczenia, szalu, chaosu i mroku“...

Zdaje się, że trudno iść dalej. Znalazł jednak na to sposób Aleksy Remizow. Bohaterce powieści jego *Staw*, odbierającej sobie życie, szatan szepce, że mrok tylko jest schroniskiem, mrok daje pocałunek zapomnienia — i poznajemy wtedy, że wszystko to, co za życia nazywaliśmy pięknem i świętością, jest potworne i obrzydliwe. To już prawie satanizm, a u kresu tego stanął również pisarz dużo znaczniejszy od Remizowa — Rozanow.

Więc „po co — skarżył się M. Pautiuchow w powieści *Cisza i starzec* — balać się pustemi zagadnieniami, które utraciły już wszelką wartość — po co chodzić (ach, jak ciężko, jak straszno chodzić), po co ruszać się, po co wyrazy wymawiać, gdy wszystko to tyle trudu kosztuje, a tak jest bolesne, tak niepotrzebne, tak śmieszne, tak upokarzające“....

Tak czują, tak rozumują pisarze, których Zakrzewski zaliczył do potomstwa Dostojewskiego, których określił (z wyjątkiem Czechowa i Brjusowa) jako takich, co od świata i ludzi uciekli do ciemnych nor swoich, do niedostępnych głębin jaźni, ażeby tam dzięki rozkoszy szukać w rozkrwawianiu własnych krwawiących się ran. Pessimizm jest ich wspólną cechą, ale pessimizm bywa dwójaki: relatywny, t. j. chrześcijański, przeciwstawiający nędzę bytu doczesnego absolutnemu szczęściu wiekuistego obcowania z Bogiem, i absolutny, ateistyczny, uznający tożsamość bytu i bólu. Pessimizm mistycznych mistyfikatorów, których Dostojewski zrodził, jest absolutny, lecz bez wdzięku rezygnacji i nirwany, miotający się jakiś i wściekły. Dopiero w odbiciu, jakie wywołał w polskiej duszy Zakrzewskiego, przybrał on wymowniejszą postać.

„Krytyka — wyraził się Zakrzewski w przedmowie do jednej z książek swoich — pełni dziś najczęściej drugorzędną funkcję suflera, jest komentarzem, filologią, publicystyką“; tej krytyki Zakrzewski uprawiać nie chce; on występuje jako przedstawiciel krytyki twórczej, która jest analizą i kontemplacją pisarzy i ich dzieł przez pryzmat duszy krytyka ze wszystkimi jej požądaniami i zagadnieniami. Krytyk staje się wówczas współpracownikiem autora, współtwórcą, on go uzupełnia; odtwarzając jego świat, on stwarza świat nowy, swój własny, z głębin jaźni powstający świat. W przeciwieństwie zaś do Rosyi, tego kraju, w którym warunki rasowe i historyczne wyrabiały heroizm niewoli, cechę wybitną jaźni polskiej stanowi indywidualizm. W skutek tego rosyjska rozpacz, pociągawszy Polaka zawartemi w niej pierwiastkami buntu, wywoła w duszy jego pessimizm, straszniejszy od tego, którego nauczali Leopardi i Schopenhauer. Pessimizm ten nazwałbym indywidualistycznym, t. j. opartym na poczuciu niezniszczalności jaźni; jaźń zaś szuka Boga, chciałaby ucześć się czegoś absolutnego; ale niema Boga i niema nirwany — i byt przeistacza się w rozpaczliwy szal wiekuistego szukania. Ten indywidualizm pessimistyczny, zarysowujący się u pisarzy rosyjskich, zwłaszcza u Andrejewa, stał się u Zakrzewskiego prawie systemem, wskazującym, jakby wyglądała filozofia pol-

ska, gdyby przyswoiła sobie rosyjski sposób odczuwania życia.

„Dawniej — pisze Zakrzewski — ludzie żyli; my nie żyjemy; my szukamy ratunku od życia“... „...Szcześliwi ci, co nie zajrzeli w głębie życia i nie dostrzegli jego pracy“. I to ratowanie się od okropności istnienia ma być przykazaniem literatury rosyjskiej, essenecją jej filozofii, ową Golgotą, z której duchowi przewodnicy Rosyi objawiają światu nową religię. Byli między nimi wielcy, bardzo wielcy: Dostojewski, Tolstoj, mistrzem jest Mereżkowski, choć nie tak wielkim, ażeby postacią swoją mógł zasłonić przed nami Zachód — ale nikt nie dojrzy wielkości u tych epigonów Dostojewskiego, których Zakrzewski przedstawił nam w *Podpoliu* i innych książkach swoich. Patrząc z uboacza na Rosyę i obejmując okiem i myślą jej twórczość, nie tylko nie jesteśmy olśnieni jej wielkością, lecz przeciwnie, skoro uwzględnimy ilość ludności w Rosyi, potęgę państwa i ogrom środków materyalnych, to uderza nas wówczas ubóstwo jej produkcji umysłowej. Zachwyt zaś Zakrzewskiego tłumaczyć należy przede wszystkim brakiem perspektywy, następnie jego polskością — polską bowiem, choć go oskarżam, że uległ urokowi Rosyi — specyficznie polską, wbrew teorii Dostojewskiego o rosyjskiem „wszechczłowieczeństwie“, jest owa z zapalnością temperamentu skojarzona szerokość widnokładu, umiejająca ogarnąć, odczuć i ukochać obce światy. Czy możemy sobie wyobrazić Rosyanina, któryby o Polsce pisał tak, jak Zakrzewski o Rosyi?

Głęboko i słusznie powiedziano, że kult Rosyi „jest zasadniczo sprzeczny z tem wszystkim, co zbudowało naszą kulturę i przeciwdziała wszystkiemu, co jeszcze w nas leży, jako potencyalna potęga i powołanie“¹⁾. Bo cóż nam Rosya dała? „Analizę cierpienia i grzechu — odpowiada p. Marciniowska — pojętą, jako cel twórczy, nie środek“, analizę gubiącą się w przepaściach stanów obłądnych i „uwieńczoną poczuciem rozkoszy w tem właśnie, że to wszystko jest bez wyjścia“ — słowem, analizę, której wynikiem: negacya prawa

¹⁾ Jadwiga Marciniowska: *Z myśli o Duchu i Domu w Przebudzeniu*. (Warszawa, 1912).

moralnego. Tymczasem cała literatura i kultura polska stoi na afirmacyi tego prawa, „znamieniem stanowiącem jej indywidualność i wartość jest dążność do wcielenia ideału w czyn, czyli do prawdziwego tworzenia życia“. Niepodobna zaś tworzyć życia ani nad przepaściami, „z których wyjścia niema“, ani tem bardziej w przepaściach. Aby je tworzyć, trzeba stać na twardym gruncie, czyli patrząc w przyszłość, trzymać się przeszłości, obejmując wraz z Mickiewiczem wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia narodu. Na tym gruncie i Sienkiewicz i Tarnowski, każdy w swojej sferze twórczości, stanęli bardzo mocno — i stąd ta szczególna antypatya, którą czują do nich nasi polscy Rosyanie.

Idealizm, czerpiący swoje soki żywotne z przeszłości, gotowi byliby określić, jako *poszłość*. Wyraz ten spotykam w pracach Zakrzewskiego po kilka razy na każdej stronicy. Nie istnieje on u nas, a oznacza pospolitość, poziomość duszy, dochodzącą aż do nikczemności. Wszystko, co na Zachodzie nazywa się uczciwością, Rosyanie skłonni są pożytywać za *poszłość*. Oto najcharakterystyczniejszy owoc ich maksymalistycznych upodobań — i na tem polega istotna różnica między Europą a Rosyą. Gardzić powszedniemi cnotami, a marząc o szczytach bohaterstwa, spadać w otchłań nihilizmu — taką jest tragedia rosyjskiego maksymalisty.

Traf zdarzył, że w chwili, kiedy się nad tem zastanawiałem, wpadł mi do rąk numer gazety *Utro Rossii* z feljtonem T. Ardowa, poruszającym tenże sam przedmiot. Chętnie głos mój odstępuję wybitnemu publicyście. „Cnoty — pisze on — w Rosyi nie lubią“... „Cynicznie wyśmiewamy wszystko, co dla innych narodów jest święte“... „Zewnętrzne ubóstwo uczciwego, pracowitego życia nazywamy *poszłość*“... „Urzędnik, który codziennie nakłada mundur i chodzi do biura, sumiennie obowiązek swój spełniając, jest dla nas człowiekiem *poszłym*, kobieta, która dzieciom swoim ceruje pocięchochy, a w chwilach wolnych gawędzi z sąsiadką, prowadzi życie *poszłe*“... „Wszystko, co jest określone, prawdziwe, możliwe do wypełnienia, wszystko, co jest ładem życia, my odrzucamy, jako *poszłość*. Tak się dzieje w warstwach średnich. Spójrzmy wyżej, a będziemy mieli zaiste przerażający obraz. „Tam pogarda powszedniości — streszczam słowa

autora — zrodziła mistycyzm, ale nie ów mistycyzm Novalisa, który w człowieku widzi świątynię Boga żywego. Nie; nasz mistycyzm jest obrzydliwą obłudą; to mroczny szatański mistycyzm gaszenia ducha i orgij zmysłowych, mistycyzm chłopów wszeteczników (Rasputin), którzy głupim damom-arystokratkom wmówili, że najmiłszą Bogu ofiarą — szal roz-pusty, splugawienie własnego plugawego z natury swojej ciała.

Oto obraz Rosyi — kończył autor — obraz głębokiego upadku i rozpadania się.

Dr. Maryan Zdziechowski.



Z podróży po Skandynawii.

Są podróże, które się odbywa niejako z obowiązku cywilizowanego człowieka, są inne, które się robi w miłym przeświadczeniu, że spełnia się coś, co już po za ten obowiązek wykracza, co jest nie daniną na rzecz molocha kultury, ale zadowoleniem własnych chęci i upodobań podróżującego. Jadąc do Paryża, podróżując po Włoszech, wiem, że idę szlakami, utartymi przez tysiące wielkich i małych moich poprzedników, z których niejeden zapewne dążył tam z tęsknoty za istotnymi wrażeniami, ale ogromna większość ciągnęła tam tylko pchana owczym pędem naśladownictwa. Stąd podróż po tych krajach, obok niezaprzeczonych ogromnych korzyści i przyjemności, nieraz jest również i źródłem wielu przykrości; indywidualność podróżnika — o ile oczywiście nie jest wyjątkowo odporną na obce wpływy — odbywa często walkę z narzuconemi jej przez lekturę, obrazy, ustne opowiadania cudzemi pojęciami, by patrzeć na ludzi i rzeczy swoim własnym okiem.

Inaczej jest z podróżami po krajach, leżących po za sferą zwykłej turystyki. Naturalnie nie mówię tu o nich bynajmniej jako o jakichś „dziewiczych“ krajach. Takich już dzisiaj, w dwudziestym stuleciu, może i nie ma na całym szerokim świecie. A jeśli są, to w żadnym wypadku nie mogą być celem krótkiej stosunkowo, bo jeno wakacyjnej wycieczki współczesnego człowieka, nie idącego wprawdzie stadem, ale z drugiej strony przyzwyczajonego do wygod, które dać może tylko kraj, do odwiedzin cudzoziemców

baż co baż już przysposobiony. Ale ziemie, leżące niejako w pośrodku pomiędzy tamtymi utartymi szlakami a temi „dziewiczemi“ krainami, one będą zawsze marzeniem turysty, dumnie przekonanego, że spełniwszy „obowiązki“ kulturalnego człowieka może sobie pozwolić już i na to, co jest po za i ponad tym obowiązkiem. W Europie zaś taką ziemią jest chyba w pierwszym rzędzie — Skandynawia.

Do niedawna trzy północne królestwa mogły nawet do pewnego stopnia uchodzić za „dziewicze“ pod względem turystycznym. Oczywiście odwiedzali je poszczególni podróżnicy, ale tylko bardzo rzadko i przeważnie tylko ich najdalej na południe położone części, zwłaszcza Kopenhagę. Ale większych co do czasu i co do przestrzeni podróży po Skandynawii prawie że nie odbywano. Jeżeli weźmiemy n. p. tę kategorię turystów, która w pogoni za wrażeniami najwięcej podróżuje, poetów, to wśród nich nie ma zapewne ani jednego głośnego europejskiego nazwiska, któreby się zapisało w księdze jakiego skandynawskiego hotelu: Goethe czy Byron, Chateaubriand czy Słowacki, oni wszyscy byli n. p. we Włoszech i w Szwajcaryi, jeden był ponadto jeszcze w Hiszpanii, drugi w Grecyi, ten w Ziemi św., tamten aż w Ameryce — w Skandynawii nie był żaden. Zwykli śmiertelnicy tem mniej tam zaglądali. Nie zachęcało ich — mniej — o to, że błędne — mniemanie, jakoby z tych krajów nie można było przywieść do domu cenniejszych wrażeń; odstręczała ich bardziej już uzasadniona obawa niewygód, zwłaszcza dla posiadacza skromniejszych tylko zasobów pieniężnych.

Co umieściło jednak wreszcie i te okolice w rzędzie krajów, odwiedzanych bodaj przez samodzielniejszych i ciekawszych współczesnych ludzi? Obok naturalnego zjawiska, że zakres turystyki ustawicznie się rozszerza i zwolna cały świat obejmuje, działały tutaj niewątpliwie i inne przyczyny. Jedną z nich jest zmiana w naszym pojęciu „romantyczności“: istnieje ono oczywiście już oddawna, i ono to pchało dawniejszych ludzi do zwiedzania n. p. Szwajcaryi, jej lodowców i górskich przełęczy. Z czasem jednak postulaty tego pojęcia spotęgowały się: to, co przed stu laty uchodziło za dziką romantyczną okolicę, dzisiaj niejednokrotnie

już ani podziwu, zwłaszcza zaś grozy nie budzi; z tych przyczyn Skandynawia, a zwłaszcza północna Norwegia, grozą krajobrazu istotnie górująca nad najdzikszymi stronami Szwajcaryi, musiała jej w turystyce stać się współzawodnikiem, który niechybnie stawać się będzie coraz niebezpieczniejszym. Przyłącza się do tego cały szereg dalszych przyczyn. Naprzód, pozostając jeszcze w zakresie górskiej turystyki, trzeba stwierdzić, że Szwajcaryja osiągnęła już zenit swojej turystycznej wartości, może nawet już go przekroczyła. Tunnel przez górę św. Gottharda, a tem bardziej nowszy przez Simplon ułatwiły wprawdzie jednym zwiedzanie kraju, ale drugich pozbawiły za to wielu wrażeń, których doznawali, spinając się powoli i z mozolem w górę w pocztowym dyliżansie, ciągnionym przez sześć koni. Rozsiane po małym kraju hotele i koleje żelazne, nie oszczędzające już nawet dawnych dziewiczych lodowców, zbanalizowały ten kraj w oczach wielu wybredniejszych smakoszków górskiej przyrody. Skandynawia dopiero od niedawna na tę, może i dla niej kiedyś w przyszłości szkodliwą drogę wstąpiła. Kolei tu jeszcze nie wiele, prawie tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, dróg dostępnych tylko dla pieszych, lub dla tak w tym kraju rozpowszechnionych wózków jeszcze bardzo wiele, hotele też tyle tylko, ile potrzeba, a i te, które są, zrzadka tylko mają pospolity ogólnoeuropejski wygląd, przeważnie zachowały tak cenne dla cudzoziemca — chociaż nie zawsze dogodne — miejscowe cechy.

Dodawszy do tego lokalny charakter ludności, zarówno w usposobieniu wewnętrznym, jak i w strojach ludowych, zrozumiemy, jak malowniczą musi być ta kraina: jeżeli np. w Hollandyi zwiedza się małą wysepkę pod Amsterdamem dlatego tylko, że na niej ludność zachowała swe pierwotne stroje, to n. p. w Norwegii takich konserwatywnych wyjątków jest tak wiele, że aż się regułą stają. Nie na tem koniecznie: dokonywujący się w naszych czasach rozwój sportów z pomocą Skandynawii do wywołania zaciekawienia całego świata; wszak stąd wywodzą się i „szwedzka gimnastyka“ i norwęgskie „ski“, tu wogóle jest ojczyzna wszelkich sportów zimowych, dzisiaj tak ulubionych, że za-

grożona w swem powodzeniu Szwajcarya, gwałtem je adoptowała i dochodami zimy wynagradza sobie deficyt lata.

Nie można również i o tem zapominać, że Skandynawia jest zapewne nie wyjątkowem, ale bądź co bądź nie tak częstem połączeniem górzystego kraju z morskimi wybrzeżami. W najnowszych czasach, równocześnie jeśli nie z zupełnem usunięciem, to znacznem złagodzeniem wszelakich dolegliwości morskich podróży, nabieramy do nich coraz większej ochoty a nawet lekarze zalecają je, zwłaszcza zdenerwowanym pracą umysłową. Ileż to razy w Tatrach żałuje się, że natura nie dała im bodaj większych jezior, unoszących na swych falach choćby małe łodzie parowe; ileż to razy cieszymy się na taką miniaturową jazdę okrętem po szwajcarskiem jeziorze Czterech Kantonów. W Skandynawii jest wiele sposobności nawet do dłuższego, kilkudniowego pobytu na statku, będącym dla wielu nieznanym a ogromnie zaciekawiającym mikrokosmem: to sławne, może nawet przesławione fjordy, to wogóle zachodnie wybrzeża Norwegii wzdłuż których płyną już pokaźne okręty, przyczem kto chce może puścić się i w odleglejszą od brzegów podróż morską, dostarczającą już wszelkich z tem przedsięwzięciem związanych wrażeń.

Drugą kategorią przyczyn ożywionego dopiero w ostatnich czasach podróżniczego ruchu po Skandynawii odnajdziemy w sferze literatury i sztuki. Prawda, miały te kraje i dawniej pisarzy europejskiej sławy; miała Szwecya w XVIII stuleciu botanika Lineusza i filozofa Swedenborga, w połowie XIX wieku poetę Tegnéra, byli w duńsko-norweskiej literaturze pisarze dramatyczni Holberg i Oehlenschläger, bajkopisarz Andersen i teolog Kierkegaard, ale oni wszyscy byli dla Europy tylko sporadycznymi zjawiskami, zaciekawiającymi jako indywidua, nie jako reprezentanci tych narodów i krajów. Dopiero w czwartej ćwierci poprzedniego stulecia literatura skandynawska jako taka ukazała się na europejskim targu księgarskim, zdobyła sobie poklask a przynajmniej rozgłos i mimo całej różnorodności poszczególnych osobistości wykazała tyle wspólnych tym wszystkim pisarzom a wyodrębniających ich od innych znamion, że w myśl zasady, iż „kto chce poetę rozumieć,

musi iść do jego kraju“, zachęciła do poznania ich ojczyzny. W krytyce Duńczyk Jerzy Brandes, w literaturze pięknej Norwegowie Henryk Ibsen i Bjørnstjerne Bjørnson, Szwed August Strindberg i Selma Lagerlöf, a w ich orszaku cały tłum pisarzy z trzech królestw, zarówno w zakresie teatru, jak zwłaszcza w dziedzinie powieści i nowelli, zwrócili na siebie uwagę Europy, szczególnie Niemców i tych narodów, które ulegają ich wpływowi literackim. Później i skąpiej poznał świat współczesną sztukę skandynawską, w której przeszłości widział dotychczas tylko Thorwaldsena: na wystawach w Monachium i w Berlinie, wreszcie także i w Paryżu wystąpili ze swojemi dziełami szwedzcy malarze Andrzej Zorn, Bruno Liljefors i inni, norwegi rzeźbiarz Sinding, i przyuczili miłośników sztuki patrzeć i na północ także.

Podrzedniejszą rolę odegrało wreszcie i zaciekawienie polityczne. Pod Poltawą, pogromem wojsk szwedzkiego Karola XII zakończyło się europejskie znaczenie państw skandynawskich; pokonanym pozostała tylko neutralność, nie więc dziwnego, że i Europa neutralnie się do nich odnosiła. Dopiero duńsko-niemiecka wojna w r. 1864 przypomniła światu bodaj część północnego półwyspu, wzbudzając dla niego szacunek i współczucie u tych wszystkich narodów, którym rosnąca niemiecka potęga coraz groźniejszą się stawała, w nie ostatnim rzędzie zatem i u Polaków, w berlińskim parlamencie zawsze mogących liczyć na poparcie nielicznych duńskich posłów. Rozerwanie unii pomiędzy Szwecją i Norwegią, dokonane w r. 1905 w tak niezwykłe „współczesny“ sposób, ponownie przypomniło czytelnikom dzienników tamtejsze kraje, a jeśli w Niemczech przykład cesarza Wilhelma II, corocznie odbywającego morskie podróże wzdłuż norweskich brzegów, pociągnął wielu jego rodaków, to u nas prędzej czy później musiały odżyć wspomnienia historyczne.

A tych wspomnień historycznych jest tyle! Wszak córka Zygmunta I, Katarzyna Jagiellonka, poślubiła w Wilnie wśród wspaniałych uroczystości ówczesnego księcia fiński, Jana, brata króla szwedzkiego Eryka XIV. Jeden z najtragiczniejszych rozdziałów historii szwedzkiej, okrutna walka pomiędzy tymi braćmi, tak blisko dotyka na-

szych dziejów, nawet gdybyśmy nie wierzyli, jakoby właśnie owo ożenienie polskie miało być zarzewiem bratobójczej nienawiści. Eryk uwięził Jana, a od Katarzyny zażądał, by się z mężem rozwiodła; Katarzyna jednak była nieodrodną siostrą Zygmunta Augusta, który wołał raczej swą koronę na szwank narazić, niż na rozkaz panów polskich porzucić Barbarę — nie rozwiodła się z mężem, lecz poszła z nim do więzienia w Gripsholm. Tu porodziła naprzód córkę Izabellę, później syna, Zygmunta. Jego ojciec z kolei wtrąca brata Eryka do więzienia, każe czy pozwala go otruć i pod imieniem Jana III panuje nad Szwecją dwadzieścia cztery lat. Ów Zygmunt, od r. 1587 król polski a jako taki oczywiście katolik, osobiście bardzo żarliwy, jest krótki tylko czas także królem szwedzkim; powstaje przeciwko niemu na koncylium w Upsali gwałtowna opozycja protestancka, z Karolem ks. Sudermańskim na czele Zygmunt III wyrusza do Szwecyi, by ratować koronę przodków. Robi daleko idące ustępstwa dla protestantów, krzywdzi niemi nawet katolicyzm, ale ostatecznie czuje, że traci grunt pod nogami, że prócz straży polskiej nikomu ufać nie może. Musi wracać do Polski. W Szwecyi tymczasem bunt podnosi głowę, a gdy Zygmunt teraz już z wojskiem wkracza do królestwa swoich ojców, klęska pod Linköping kładzie koniec jego szwedzkiego panowania. Jeszcze są pewne układy, jeszcze Szwedzi godzą się na Zygmunta, byle pozostał w Szwecyi i przyjął protestantyzm, jeszcze po jego odmowie, proponują toż samo jego synowi Władysławowi — ale rychło rwą się i te ostatnie nici, sejm z r. 1600 pozbawia polską gałęź dynastyi Wazów korony szwedzkiej, wkłada ją na głowę Karola. I odtąd, aż do pokoju oliwskiego w r. 1661, trwać będzie długoletnia wojna Polski ze Szwecją. Walczy w niej Zamoyski, zwycięża Chodkiewicz pod Kirchholmem, stawiając królowi przed oczy przelotną a złudną nadzieję odzyskania szwedzkiego tronu, ale w rezultacie Zygmunt III północnego królestwa nie odzyskuje, a Polska dla jego czczego tytułu ponosi coraz cięższe ofiary. Po śmierci Gustawa Adolfa w bitwie pod Lützen była może jedyna chwila odzyskania dawnych praw, ale następcą Zygmunta III, Władysław IV z niej nie skorzystał. I oto wnet odwraca się karta; teraz

już szwedzki Karol Gustaw ma na Polskę apetyt. Wkracza do Polski, zdrada mu pomaga, otwiera bramy Warszawy, prowadzi aż pod Kraków, gdzie nawet dzielny Czarniecki poddać się musi. Ale jak Zygmunta III za katolicyzm ze Szwecyi wygnano, tak przeciw protestanckiemu Szwedowi budzi się do oporu katolicka Polska — Częstochowa! Zręczna polityka odosobnia Karola Gustawa, wojna duńska, gdzie walczą i Polacy pod Czarnieckim, absorbuje go, i oto Polska nareszcie widzi się wolną od obcego najazdu, a pokój oliwski kończy długą wojnę. Jeszcze potem, w wojnie Północnej znajdują się Polacy i Szwedzi w wrogich obozach, ale świadomość wspólnego moskiewskiego wroga, dla obu narodów równie groźnego, wymaże niebawem z ich serc i umysłów pamięć dawnej nienawiści. W walkach o niepodległość, jak w Turcyi tak i w Szwecyi, polscy bohaterowie będą z zapalem witani; uwolniony z petersburskiego więzienia Tadeusz Kościuszkó wraz z wiernym druhem, Julianem Niemcewiczem przez Finlandyę jadą zimą z r. 1796 na r. 1797 do Szwecyi, doznają entuzyastycznego przyjęcia w Stockholmie, w maju z Göteborgu przeprawiają się do Anglii (por. T. Korzon: *Kościuszkó*, Kraków 1894, str. 481 i n.). A i później, tutaj schronił się niejeden z polskich emigrantów, że wspomnimy tylko tak zasłużonego około polskich pamiątek i Muzeum narodowego w Rapperswilu Henryka Bukowskiego, a dzisiaj jest tam też wielu polskich wychodźców, ale już innych... biednych chłopów galicyjskich, którzy muszą chleba szukać na obczyźnie. — Gdzie tyle wspomnień historycznych łączy dwa kraje, tam nie może być brak i ech tej łączności w literaturze pięknej. Jak w polityce, tak i tutaj z trzech północnych królestw, Norwegia jest zupełnie nieobecna, Dania pojawia się bardzo rzadko, Szwecya natomiast w polskiej poezyi, w powieści i w dramatach występuje bardzo często. Wymieniając tu kilka najważniejszych utworów, idziemy śladami zasłużonego szwedzkiego poety i historyka literatury, p. Alfreda Jensena, szczerego przyjaciela Polaków (por. Alfred Jensen: *Obrazy szwedzkie w literaturze polskiej*. Referat. Podał Wawrzyniec Benzestjerna Engelström. Poznań 1907). P. Jensen drukował świeżo w lwowskim *Pamiętniku literackim* także rozprawę o *Polskich obrazach*

w szwedzkiej literaturze. Więć jest n. p. już w r. 1570 *Historja prawdziwa* o nienawidzących się braciach, Eryku XIV i Janie III, przypisywana Marcinowi Kromerowi; jest z końcem tego samego wieku Andrzeja Zbylitowskiego *Droga do Szwecyi*, opisująca pierwszą wyprawę Zygmunta III; jest w XVII stuleciu Kordeckiego *Novu Gigantomachia*, Samuela ze Skrzypny Twardowskiego *Wojna domowa* i Paska *Wspomnienia z wyprawy Czarnieckiego do Danii*; w XVIII wieku o Szwecyi mówi Niemcewicz zarówno jako pamiętnikarz jak i w powieści, gdzie przedstawia romans Jana Tęczyńskiego, posła polskiego, z siostrą Eryka XIV, królowną Cecylią, Syrokomla (w *Starych wrotach*), Gorecki, Romanowski, Kajetan Koźmian (w *Czarnieckim*), Kraszewski i Sienkiewicz w *Potopie* malują obrazy szwedzkich najazdów. W przeciwieństwie do tej bogatej literatury, mówiącej głównie o Szwedach w Polsce, a więc przedstawiającej z natury rzeczy Szwedów jako naszych wrogów, mało, zbyt mało polskich autorów idzie śladami Zbylitowskiego, Paska i Niemcewicza, przedstawiając Szwedów na ich własnej ziemi. Nasza literatura podróżnicza, wogóle nader uboga, o Szwecyi prawie nic nie wie, a o reszcie Skandynawii jeszcze mniej. Aleksandra Przeździeckiego *Opis podróży po Szwecyi* wydany w r. 1895 a w rok potem też w Wilnie ogłoszone *Listy o Szwecyi* Eustachego Tyszkiewicza — oto jedyne, o ile wiemy, cenniejsze książki z tego zakresu. Nawet tak pracowity, główny dzisiaj przedstawiciel tego działu literatury, p. Stanisław Belza, w wędrówkach po całym świecie do Skandynawii jeszcze nie dotarł.

* *

Na „szczecińskim“ dworcu w Berlinie tłum ludzi: liczone dziećmi obdarzone matki średnich i wyższych warstw społeczeństwa cisną się do zamkniętych drzwi wozów kolejowych, które nieubłagany strażnik przepisów dopiero na kilka minut przed odejściem pociągu otworzyć raczy. Ten tłum opuszcza najnieznośniejszą w lecie ze wszystkich stolic i dąży ku brzegom Bałtyckiego i Północnego morza, które to ostatnie podoba mu się nazywać Niemieckiem. Po ziemi,

przed wiekami słowiańskiej, mknie długi pociąg, mija pątną średniowiecza pokryte ceglane ściany kościoła w Stralsundzie, na promie wjeżdża w wodę, przecina równiny Rugii i zatrzymuje się na przeciwnym brzegu wyspy, w Sassnitz. Jak smutne i jak nudne są te niemieckie nadmorskie miejsca kąpielowe! Wszak to jedno z najgłośniejszych, ma corocznie kilkanaście tysięcy gości, więc już uprawnia do pewnych wymagań. A jednak żadne z nich nie zostaje tu spełnionem; ani plaży, ani dobrych kąpeli, ani wytwornych lokali publicznych, ani eleganckich toalet, ani pięknych kobiet — tylko wszystko oszczędnie, pospolicie, po małymiejszczańsku. Jeszcze w południe, gdy słońce trochę jaśniej zaświeci, jest jakieś życie na brzegu, ale wieczorny chłodny wiatr zmiata je bez śladu.

Następnego więc zaraz dnia uciekam stąd. Już między Stralsundem a Rugią pociąg przeprowił się na promie przez wąski przesmyk morski; ale to trwało tylko niespełna pół godziny, więc nie robiło większego wrażenia, bo straciwszy jeden brzeg z oczu, widziało się zaraz drugi. Teraz co innego: teraz jadę tak niemal cztery godziny, połowę tego czasu zdała od wszelkich brzegów, jakby na pełnem morzu. Ten pociąg na promie, to naprzód jeden z wybitniejszych tryumfów współczesnej techniki, największe tego rodzaju przedsięwzięcie w Europie. Ponieważ wagony kolejowe wjeżdżają nie na pokład okrętu, ale do jego wnętrza, mają silne oparcie i nie kołyszą, z drugiej zaś strony, dzięki temu urządzeniu powstają w dzień bardzo zajmujące kontrasty świetlne: kto zostaje w wagonie, tego ogarnia ciemność, przerywana tylko elektrycznymi żarówkami i czerwonymi prześwietlającymi drogowskazami na kurytarzach — kilka zaś schodów w górę i już mam całą pełnię słonecznego światła, świeże technienie morskiego powietrza, w dole pod stopami widzę zielono białą pianę morskich bałwanów, w górze ponad głową przelatują lotne mowy.

Chociaż prom istnieje już od r. 1909, cała ludność Prelleborgu przypatruje się wieczorem „przeładowywaniu“ podróżnych na normalny pociąg. I mnie to tak zajmuje, że nie mam czasu przypatrzeć się tym pierwszym Szwedom, których w życiu widzę. Jadę zresztą trochę dalej, do Mal-

mö. Tu dopiero stącam rzeczywiście po szwedzkiej ziemi. Główne miasto najdalej na południe wysuniętej części królestwa, kraju Schöner, wygląda jakby dalszy ciąg nadbałtyckiej ziemi z tamtego brzegu. Ciemno-brunatne cegły kościołów, starych i nowszych gmachów publicznych nadają miastu poważny, surowy charakter, ale bardzo ożywiony ruch portowy dowodzi, że kolo czasu nie zatrzymało się tutaj w swoim pochodzie. I ten i inne skandynawskie porty odmienne robią wrażenie, niż n. p. handlowe przystanie niemieckie lub hollenderskie, na większej stosunkowo rozłożone przestrzeni; mniej skąpiąc na miejscu, oddychają jakoś swobodniej i z wyjątkiem oddziałów przeznaczonych wyłącznie na rybi targ, a wskutek tego niemiły wydających zapach, mogą być miejscem miłych przechadzek. Chociaż dla nich ma się i w Malmö i w każdym szwedzkim mieście, przedewszystkiem parki. Tak pięknych parków, jak w Szwecyi, nie wiele się widzi na kontynencie europejskim; to też w niedzielę tłumy w nich, ludzie, po których poważnym kroku widzi się, że i ta przechadzka i ta zieloność są dla nich niedzielnym odpoczynkiem po całotygodniowej pracy, odpoczynkiem połączonym zresztą z pouczeniem, bo nie rzadko widzi się gromadki, odczytujące botaniczne objaśnienia drzew i krzewów. Mimo wszystko jednak Szwecyi tu jeszcze mało, jak zawsze na kresach. Chyba jej przeszłość, zamknięta w miejskiem Muzeum. W całej Skandynawii, z wyjątkiem chyba jednej Kopenhagi, nie ma żadnego rozsławionego po całym świecie muzeum, ale z drugiej każde miasto i miasteczko przechowuje tutaj z pietyzmem pamiątki przeszłości. Trochę to wszystko bezładnie; miniatura naszego Zygmunta III znajdzie się obok starych ludowych strojów, japońskie trofea podróżnicze sąsiadują czasem z renesansowymi meblami, ale materiału jest i w tem małym Malmö i gdzieindziej bardzo wiele — może nawet za wiele: kto, jak podpisany, postanowi sobie z początku zwiedzać dokładnie każde muzeum i wszystkie w niem zbiory, ten po dziesiątych z kolei już dozna przesytu i zmieni dotychczasową metodę.

W odległości dwudziestu minut jazdy koleją, leży Lund, miasto Tegnéra i miasto uniwersyteckie. To jego dwa główne tytuły sławy, niegdyś promienniejszej, niż obecnie. W śre-

dnich wiekach to ciche dzisiaj miasteczko było podobno największem na północy, dziesiątki wieżyc kościelnych świadczyło o pobożności tego „skandynawskiego Rzymu“, w którym dzisiaj jest tylko stara romańska katedra z połowy XII stulecia z obszerną ponurą kryptą, z wydeptanemi płytami grobowemi na posadzce, z ucieśnzeniemi płaskorzeźbami na filarach; najzabawniejsza wyobraża w groteskowych kształtach małżonkę olbrzyma Finna, mitycznego fundatora kościoła. Inna, młodsza sława Lundu, jego wszechnica, w XVII stuleciu założona, dochowała się do dzisiejszych czasów, skromnością ale i wzorowością naukowych urzędów, przypominająca małe a stare i szanowne uniwersytety niemieckie lub belgijskie, zewnątrznie mniej — zwłaszcza od ostatnich, ciekawa, bo mieszcząca się w nowym gmachu, dość ładnie zresztą naśladowującym greckie motywy, na renesans przeszczepione. Jeszcze młodszą chlubę Lundu stanowi mały domek, przechowujący pamiątki po Esajaszu Tegnérze (1782—1846). Nie tutaj się urodził i nie tutaj umarł, ale jako naprzód ubogi uczeń lundzkiej wszechnicy a później jej młody, rzeszą słuchaczy otoczony profesor przebył tu większą część swej „górnjej i chmurnej młodości“ a z wieku męskiego tę część, która nie była jego „wiekiem klęski“; tu otrzymał protestanckie święcenia, tu ogłosił *Axla* a rozpoczął *Fritjofową Sagę*, te najpiękniejsze dzieła swego niepośledniego talentu poetyckiego. Ten domek Tegnera w Lund, to nie siedziba Goethego w Frankfurcie nad Menem lub Wiktora Hugo w Paryżu; znać, że w tych małych pokojkach mieszkał poeta drugorzędny ostatecznie, o horyzoncie umysłowym nie tak znowu obszernym, o sławie, rzadko wybiegającej po za granice ojezyny, wreszcie o bardzo ograniczonych zasobach pieniężnych; starsza kobieta, oprowadzająca po staroświeckiem mieszkanku przybysza z Polski, umie tylko po szwedzku, więc z nim porozumieć się nie może, a tylko wyraz „Polska“ zdaje się brzmieć w jej uszach jako nazwa jakiegoś strasznie dalekiego kraju, skąd do Lund i do tego domku nikt nie zagląda. I rzeczywiście, gdy szukam w małej bibliotecze polskich przekładów dzieł Tegnera, znajduję tylko jeden: tłómaczenie jego poematu *Svea*, dokonane przez wspomnianego już tutaj Wawrzyńca Benzelstjerna-

Engeströma, wydane w r. 1883 w Poznaniu; a przecież tensam zasłużony pośrednik pomiędzy szwedzką i polską literaturą w przedmowie do swego przekładu *Ulotnych poezyj Ezajasa Tegnéra* (Poznań, 1897), takich tłumaczeń wymienia więcej, poczynawszy od drobnych urywków z *Fritjofowej Sagi*, z niemieckiego języka na polski przełożonych przez Franciszka Morawskiego. Już nie po raz pierwszy więc robię przykre spostrzeżenie, że my Polacy, chociaż tak bardzo zawsze pragniemy, by zagranica o nas pamiętała, poprostu z niedbalstwa nie staramy się o to, by obcy wiedzieli, że i my także o nich pamiętamy.

Lund jest dla cudzoziemca pierwszym, prawdziwie szwedzkim miastem. Fala turystycznego ruchu skąpo go oblewa, więc n. p. w hotelach mówią prawie tylko po szwedzku, co jest źródłem wielu kłopotów i nieporozumień, lecz z drugiej strony dowodem, że nareszcie jesteśmy w prawdziwej Skandynawii. Zależnie od temperamentu lub nawet od chwilowego usposobienia obcego turysty, bawić go będzie lub gniewać, że w tym kraju po za większemi hotelami i sklepami znajomość „europejskich“ języków nie na wiele się przyda, że obcych dzienników prawie się tutaj nie widzi („austriacki“ Polak, dumny ze „swojej“ *Neue Freie Presse*, jako rzekomo światowego organu, w Szwecyi po za Stockholmem nigdzie jej nie znajdzie), że z konieczności trzeba wyuczyć się na pamięć bodaj stu najpotrzebniejszych szwedzkich wyrazów i zwrotów, a nawet z ich pomocą niejednokrotnie musi się uciekać do mimiki i gestykulacji (za to można w takich wypadkach mówić z równym skutkiem w dowolnym języku, choćby nawet w polskim...). W Lund poznaje się po raz pierwszy także gastronomiczne właściwości tego kraju. Zrazu mogą one człowieka przejąć podziwem, zmieszanym ze zgrozą: kto n. p. dotychczas był przekonany, że hollenderskie narodowe śniadania są najobfitszemi, temu po pierwszym szwedzkim posiłku wydadzą się one idealną prostotą: może dwadzieścia kilka najrozmaitszych potraw, wśród których przeważają marynaty rybne, sery słone, ostre, kwaśne, słodkie i nie wiem jeszcze jakie — pobudzające apetyt sałaty, to wszystko, z dodatkiem suchego chleba żytniego, wypiekanego na oliwie w cienkich okrągłych plastrach, popite... mle-

kiem. Zwie się to wszystko *smörgas* i podawane jest w kawiarniach i restauracjach na osobnych tacach przez służbę żeńską — *n. b.* wszędzie w Skandynawii bardzo daleką od... poufalości *n. p.* monachijskich kelnerek, dystynkcyą przypominających raczej usługę przy szwajcarskiem *table-d'hôte* — w hotelach zaś i większych lokalach jest ustawione na stole, skąd każdy gość sobie *ad libitum* bierze, co i ile chce. „Europejczyk“ naprzód się bawi tą egzotycznością jadła, potem... choruje, wreszcie z obfitości *smörgasbord'u* wybiera to tylko, co mu smakuje. Tubylecy jedzą wszystko i z takim zapalem, jak gdyby przez trzy dni nie w ustach nie mieli. Dzięki temu apetytowi może nie ma w Szwecyi szczupłych ludzi, tylko chłop w chłopa zażywny, chociaż bez zbytecznej tuszy; rumiana, czerstwa twarz przy siwych włosach w Szwecyi wcale do rzadkości nie należy, a przy przeciętnie średnim tylko wzroście mężczyźni mają wyraz jakiejś dobroduszej jowialności. Kobietom mniej to służy: brzydkich jeszcze nie ma — będą dopiero w przerażającej ilości w Norwegii — ale i pięknych brak; wszechwładnym jest typ jasnej, aż płowej blondynki, tak często przez Zorna malowany, przy pierwszych dziesięciu okazach pociągający, przy ciągłem powtarzaniu się nudny. Ale i strojem różnią się Szwedki od kobiet środkowej Europy; nie mówię na razie o ludowych strojach, ale nawet i „miastowa“ pani, a zwłaszcza młoda panna, ma widocznie narodowe upodobanie do pełnych, nasyconych barw: półtonów tu niema, tylko zdecydowane kolory, szczególnie rozmaite odcienia żółtego i brązowego, oraz niebieskiego i granatowego (może w związku z narodowymi barwami królestwa). Bardzo miłe wrażenie sprawiają żałobne suknie pań: bez wszelkiej krepy i nie w całkowitej czerni, ale w łagodnym czarnym kolorze, zawsze przerywanym białym.

Przechadzka po ulicach Lundu daje również pierwsze wyobrażenie o przemyśle szwedzkim, zwłaszcza o jego metalowym dziale, który po za tkackim, interesującym przeciętnego obserwatora tylko w wyrobach o charakterze etnograficznym, najwięcej na siebie zwraca uwagi. Wsparty o bogate pokłady rudy, ten metallurgiczny przemysł zogniskowany jest zwłaszcza w Eskilstuna, posiadającym w Szwecyi podo-

bnę znaczenie, jak n. p. Solingen w Niemczech. Prześliczny scyzoryk z tamtejszych fabryk stali uznali nasi fachowi znawcy za pierwszorzędną wyrób, a niewątpliwie ta sama pochwała dostałaby się też szwedzkim wyrobom z cynku i mosiądzu, bardzo lekkim i zgrabnym, a przytem niezwykle tanim. Osobny dział stanowią wyroby ze złota i szlachetnych, oraz półszlachetnych kamieni. W tej co tutaj cenie a tak pięknych chyba tylko we Włoszech można dostać, w Szwecyi mają one jednak osobliwy charakter powagi i stylu; często są wzorowane na znalezionych w kurhanach starożytnych ozdobach, lub też z pewną stylową powagą i surowością trzymają się głównie pionowych linii, oprawiając w złoto kamienie o zdecydowanych barwach, jak czarne kryształy górskie, niebieskie jaspisy, czerwone karneole. Sklepów z tą biżuterią, z wyrobami mosiężnymi i srebrnymi w Szwecyi tyle, ile nigdzie w Europie.

Wśród dość jednostajnego krajobrazu wiezie mnie pociąg kolejowy dalej na północ. Dopiero tuż przed stolicą państwa z okien wagonu otwiera się prześliczny widok na jezioro Mälär i Stockholm! Nie ma w Europie piękniejszego miasta, nie wiele mu w tem dorówna. Opiewają je też szwedzcy i obcy poeci. Tegnér poświęca mu natchnione strofy, z których jedną przytaczamy tutaj, zarówno jako próbkę szwedzkiego języka:

»Hur praktigt speglar ej den strömmen af
Forn, hjeltestoder, slott och sängartempel,
Och aftonrodnan öfver Riddarholmen,
Der Sverige ära sofver under marmor«.

(„Jak przepysznie odzwierciedlają się w wodzie wieża, posągi bohaterów i świątynie muz i tam w zorzy wieczornej Riddarholm, gdzie pod marmurem śpi Szwecyi chwała“). Nasz Zbylitowski sławi „królowę Mälaru“, Niemcewicz zwie w *Pamiętnikach* Stockholm „wielce przyjemnym“, a w *Janie z Tęczyna*, wzorowanem na Walter Skocie piórem kreśli jeszcze wymowniej jego czar. I rzeczywiście to miasto, w skale częściowo wykute, tryumf człowieka nad granitowaną naturą, ma zarazem tyle przyrodzonego uroku w swem malowniczym

nadbrzeżnem położeniu, że pamięć o niem obcemu przyby-
szowi na zawsze pozostanie. Stojąc na granitowym moście
Norrbro, patrząc na poważną budowlę królewskiego zamku,
na mknące w pobliżu małe łódki, na przewożone i wolno się
w dali posuwające parowce, na wyspy i wysepki rozsiane
po horyzoncie, na miasto z tysiącem światła i kontrastem
ciemnych drzew, na wznoszące się po drugiej stronie domy
na wysokich górach zbudowane — doznaje się wrażenia przy-
pominającego salzburskie lub pragskie, ale z tym nieocenio-
nym dodatkiem, jakim jest zawsze i wszędzie nieskończony
bezmiar morza, otwierający nieograniczone perspektywy.

Rojno i gwarno w Stockholmie, nie od trzystu pięćdzie-
sięciu tysięcy ludzi, stale tu zamieszkałych, ale od przybyszów,
którzy z bliska i z daleka, z Europy i ze wszystkich innych
części świata przybyli na wielkie międzynarodowe święto
V Olimpiady. Przesławne greckie igrzyska olimpijskie, przez
przeszło dwadzieścia wieków zamarłe, odnowiono w r. 1896
i uczyniono z nich międzynarodowy turniej we wszelakich
rodzajach fizycznych ćwiczeń. Że w r. 1912 na miejsce tych
zapasów wybrano Stockholm, dziwić się nie można — raczej
temu, że tak późno dopiero o szwedzkiej stolicy pomyślano.
Bo mniejsza o to, że całe miasto żyło pod znakiem „Olim-
piska spelen“, że o nich prawie tylko pisały tutejsze dzien-
niki, dwa razy na dzień podając wyniki konkursów, portrety
i życiorysy zwycięzców, że tłumy ludzi oblegały biura, ogła-
szające te rezultaty, że we wszystkich sklepowych oknach
wystawowych były przenajrozmaitsze pamiątki tych dni — to
wszystko możnaby sobie wytłómaczyć zapalem *ex post*, zwy-
kłym wyzyskaniem raz już postanowionego międzynarodo-
wego zjazdu. Ważniejszem jest to, że Stockholm, Szwecya,
cała Skandynawia sportowi oddaje się niemal że z namię-
tnością. Oczywiście ma to swoje dobre strony, i liczne i wa-
żne; przypuszczam, że temu zamiłowaniu do sportów przy-
pisać należy zdrowy wygląd tutejszych mieszkańców, że te
wytrwałe ćwiczenia fizyczne są między innemi znakomitą
przewagą i... nadmiernego apetytu i ostatecznie niehygieni-
cznej kuchni. Z drugiej jednak strony po głębszym namyśle
dostrzeże się i ujemnych skutków tej szwedzkiej sportoma-
nii. Prawda, najnowszy kierunek wychowania stara się wy-

korzenie z nas dawną pruderyę, nie wiem jednak, czy nawet bardzo postępowy człowiek dozna przyjemności i zadowolenia na widok takiego n. p. obrazka: jeszcze w obrębie miasta płynie mały parowiec, napęczniony dążącymi na wycieczkę w okolice; patrzymy się wszyscy na oba brzegi morskiej odnogi i oto na jednym widzimy gromadkę mężczyzn i kobiet; panie *en costume d'Eve*, panowie również w pełni swej naturalnej piękności, siedzą obok siebie, wskazują do wody i t. d., a jeden z mężczyzn, dojrawszy parowiec, wita go powiewając chorągwią, na prędcie zrobioną z najpotrzebniejszej części ubrania; i to wszystko nikogo nie żenuje, nie dziwi ani tych ludzi na brzegu, ani szwedzkich pasażerów łodzi. A takie obrazki ani pod Stockholmem, ani pod Kopenhagą w lecie do rzadkości nie należą. Albo scena w wagonie: prócz mnie jedna pani i kilku „tubyleców“, młodych akademików w sportowych ubraniach; nagle jeden z nich podaje projekt, przyjęty przez towarzyszków hucznym oklaskiem: zdejmują surduty, odwijają powyżej łokci rękawy bardzo już nieświeżych koszul, zrzucają kołnierzyki i ustawwszy w pośrodku kuferek, grają na nim w karty; na siedzącą kobietę nikt z nich nie zważa... Czego dowodzą te dwa obrazki? Oto tego, że sporty, zwłaszcza uprawiane przez obie płci razem, przytłumiają w mężczyźnie — i w kobiecie — subtelniejsze poczucie tego, co już chyba pruderyą nie jest, zacierają wrodzone różnice pomiędzy tem, co mężczyźni lub też kobiety robić mogą, gdy są w swoim kółku, a tem, co jest nakazanem przez wzgląd na drugą pleć. Niezależnie już od kwestyi sportów trzeba stwierdzić, że dzięki zdemokratyzowaniu się tutejszego społeczeństwa, szczególnie w Norwegii, grzeczność w zachodnio-europejskiem, salonowym, że tak powiem znaczeniu, jest w Skandynawii nieznaną: nie żeby ci ludzie byli gburowatymi, ale do form zewnętrznych nie przywiązują wagi i nawet kelner w restauracyi, zrobiwszy, co do niego należało, nie widzi się obowiązany do jakiegokolwiek czołobitności względem gościa.

Zacząłem opis stockholmskich wrażeń od sportu i igrzysk olimpijskich, bo one w czerwcu i w lipcu tego roku ponad wszystkim tu górowały. Z góry zapowiadam, że to, com z „Olimpiska spelen“ naocznie widział, zbyt wielkiego zado-

wolenia we mnie nie wywołało. Prawda, że na to potrzeba być samemu sportowcem, znać się dobrze na rzeczy i mieć do niej duże zamiłowanie, może także i w danym wypadku należeć do jego współzawodniczących narodów. Jeżeli wznowione Igrzyska olimpijskie pojęte są również jako święto zbratania się narodów, to cel ten tylko zewnętrznie osiągają: tak, były tu reprezentowane wszystkie bezmała narodowości kuli ziemskich — Polaków niestety nie było wcale — nie brakło nawet murzynów i Chińczyków. To zebranie nie było jednak pokojowem; przeciwnie, namiętności grały tu nie słabiej, jak podczas orężnej walki, współzawodnictwo wszystkich tak gorączkowało, że tryumf przedstawiciela jednej narodowości był witany przez nią odurzającami okrzykami zwycięstwa, przez inne niejednokrotnie złorzeczeniem. Gdy po zamknięciu Igrzysk okazało się, że na ogół i Szwecya i Europa cała poniosły klęskę w stosunku do innych części świata, zwłaszcza Ameryki i Afryki, w dziennikach pojawiły się gwałtowne oskarżenia i skargi, oraz zapowiedź odwetu. Tak n. p. Amerykanów podejrzewano, że wbrew przepisom, wysłali nie sportowców z amatorstwa, ale zawodowych atletów, a z drugiej strony zapowiadano już teraz rozpoczęcie *training'u* do następnej Olimpiady (w Berlinie), domagając się całkiem na seryo od państwa, by wydelegowanym sportowcom na przeciąg tych pięciu lat wyznaczyć pensję, aby wolni od wszelkiego innego zajęcia, mogli się wyłącznie poświęcić ćwiczeniu sił i zręczności.

Areną zapasów było głównie umyślnie na ten cel zbudowane wspaniałe Stadion, mieszczące pod gołym niebem na amfiteatralnie ustawionych miejscach około dwudziestu tysięcy widzów. Takie tłumy zbierały się jednak bardzo rzadko, n. p. w czasie popisu tysięcy śpiewaków z całego królestwa, którzy naprzód w prześlicznych etnograficznych i historycznych grupach, z bardzo ładnymi allegorycznymi wozami, przedefilowali przed królem, a potem bardzo nieartystycznie przed nim śpiewali. Na codzień amfiteatr ani w dziesiątej części nie był wypełnionym. Wpłynęła na to trochę wygórowana cena biletów, trochę zaś okoliczność, że Igrzyska rozłożone były na kilka dni, tak, że ostatecznie na każdy z nich nie wiele wypadało. Oto n. p. opis takiego jednego dnia zwy-

kłego i „sensacyj“, które można było oglądać za dziesięć tutejszych koron (około 13 austriackich). Słońce praży nie-
miłosiernie, ale tylko król i dwór mają dach nad głową. Na
arenie w jednym końcu mocuje się dwóch atletów: Szwed
i Węgier. Zapasy trwają już kwadrans, pot leje się z czoł
i karków mocujących się z sobą, a jeszcze rozstrzygnięcia
nie ma. Następuje więc przerwa: posługacze zlewają wodą
karki współzawodników, którzy obeierają się i... zaczynają
mocowanie *da capo*. Znowu kwadrans mozołu, i tym razem
bez rezultatu, i powtarza się procedura zmywania wodą i t. d.
i walka zaczyna się pomiędzy tymi samymi na nowo: wi-
docznie i Szwed uparty i Węgier też. Ale ja już odwracam
oczy: może to dla znawcy i miłośnika sportu, dla mnie to ka-
torga... Patrzę więc w przeciwną część Stadionu. Tu znowu
trzech młodzików biega do mety, oddalonej od startu może
tylko o jakie dwadzieścia metrów — oczywiście również
przedstawiciele trzech różnych narodowości. Wyznaję, że
mnie to tak bardzo nie zajmuje, bo ostatecznie wiem, że je-
den z trzech przecież pierwszy do celu dobiegnie, a który?
o to mniejsza. Zresztą jeden taki bieg trwa z przygotowa-
niem pięć minut, więc na godzinę dwanaście razy się to
powtórzy. Znudzony wychodzę z gorącego Stadionu do chłó-
dniejszego ogrodu. Ale za chwilę wracam, bo dochodzi mnie
stamtąd nieludzki ryk: nareszcie uparty Szwed i uparty Wę-
gier załatwili się z sobą. Który jest tryumfátorem, nie wiem.
Wychodzi wprowadzić na środek areny jakiś pan i na cztery
strony świata przez ogromną tubę ogłasza rezultat zapasów,
ale ponieważ mówi to, a raczej krzyczy, po szwedzku, więc
go nie rozumiem. Skonstatowawszy, że na miejscu Szweda
i Węgra stanęło dwóch innych uparciuchów, a gdzieindziej
trójka młodzików ciągle biega, opuszczam już stanowczo
Stadion, nie mogąc pozbyć się wątpliwości, czy za 10 koron
nie miałem prawa oczekiwać i ważniejszych i przyjemniej-
szych wrażeń... Ponieważ już w te strony Stockholmu nigdy
nie zajrzę, zwiedzam po drodze „Olympię“, park zabawowy,
prawie że oficjalnie włączony do programu międzynaro-
dowego święta. Jakież to marne, pospolite, wprost ordynarne!
Jak miłym jest wobec tej „Olympii“ — *Du sprichst ein gros-
ses Wort gelassen aus* — wiedeński Prater, jak wytwornym

paryski, a choćby nawet inny „Luna-Park“. Przytem jeden szczegół charakterystyczny: jeżeli w Wiedniu ulubioną zabawą ludową w Praterze jest karuzel, to w Stockholmie tłumy młodych i starych, biedaków i zamożnych, oblegają jarmarczne budy z hazardową grą: kto kupioną za kilka öre obrączkę rzuci tak, że leżący na ziemi pieniądz znajdzie się w jej środku, ten go wygrał. Oczywiście dzieje się to bardzo rzadko, a przedsiębiorca zagarnia drobną monetą duże sumy. Aż dziwno, że policya szwedzka na takie gry pozwala...

Teraz więc mogę już wrócić do Stockholmu, mogę go zwiedzać. Chociaż początki miasta sięgają XIII stulecia, ma ono raczej nowożytny charakter, bo z przeszłości zachowało się niewiele, a i to, co jest, nosi na sobie ślady późniejszych przeróbek, o dobrym smaku tutejszych artystów niezbyt korzystnie świadczących. Ani jedna ulica nie zachowała starożytnego charakteru, tylko tu i ówdzie stoją jeszcze najstarsze pomniki budownictwa, kościoły. Z nich jeden „wielki“ Storkyrka w ogólnych zarysach niezem już nie świadczy o tem, że jest fundacją XIII wieku, wszystko w nim mówi raczej o nieumiejętnym odnowieniu w XVIII stuleciu i o dalszych podobnej wartości dodatkach; ze wszystkich chyba na świecie dworskich kościołów ten ma najbardziej oficjalny wygląd: wszystko tu czyste i godne, a sztywne i prozaiczne, i te filary z cegły odsłoniętej z białymi pasami murarskiej zaprawy, motyw tu tak dalece ulubiony, że nawet stara ogromna rzeźba w drzewie, przedstawiająca św. Jerzego ze smokiem, stoi na postumencie okrytym płótnem, malowanym w czerwona cegłę z białymi pasami; wytwornie zimne są białozłote stalle, i ołtarz kombinujący heban z kością słoniową i srebrem, i szkarłatem przykryte trony dla królewskiej pary. Drugi stary kościół, Riddarholmskyrka, rycerskim zwany od mnóstwa portretów rycerzy Serafińskiego orderu (przeważnie królowie i ministrowie szwedzcy i obcy), malowanych po prawnie, ale z urzędową banalnością, jest już ciekawszy, jako bardzo swobodne połączenie pierwotnego gotyckiego głównego zrębu, z wieloma renesansowymi przybudówkami; tu śpią wiecznym snem królowie szwedzcy w potężnych marmurowych sarkofagach, przeważnie bez natrętnych allegory-

eznych rzeźb, dzięki czemu robią istotnie poważne wrażenie, zwłaszcza ciemno-zielony sarkofag Gustawa Adolfa i czarny grobowiec Karola XII. Kto jednak w Stockholmie szuka jednolicie stylowych budowli minionych lat, ten znajdzie tylko jedną, Riddarhus, za czasów królowej Krystyny w szlachetnym hollendersko-francuskim barokku przez Simona de la Vallée zbudowany, z ogromnie charakterystycznie wygiętym dachem. Inne wielkie budowle świeckie pochodzą już z nowszych i najnowszych czasów: więc pałac królewski jest wprawdzie częściowo dziełem najwybitniejszego starszego architekta szwedzkiego na pograniczu XVII i XVIII wieku, Nikodema Tessina, ale dzisiejszy swój wygląd otrzymał dopiero w ubiegłym stuleciu; z tych ostatnich czasów pochodzi także i renesansowy gmach parlamentu, wewnątrz tętnący prostotą i skromnością, i biblioteka uniwersytecka, w środku kryjąca mnóstwo nader cennych rękopisów średniowiecznych, między niemi sławny *Codex aureus* koło r. 600 spisany i metrowej wysokości *Gigas librorum*, złożony z manuskryptów IX — XIII stulecia. Na chlubę najnowszej architektury szwedzkiej trzeba stwierdzić, że ostatnie stockholmskie budowle przedstawiają się bardzo szanownie: gonienie za rzekomo oryginalną „secessją“ jest równie rzadkie, jak naśladowanie, raczej fałszowanie starych stylów; przeważa prawdziwa nowoczesna pomysłowość, przyczem mile działa fakt, że artysta-budowniczy używa przede wszystkim czystych architektonicznych motywów, a nie ucieka się do tanich efektów nalepek ze stiuku lub malowanek; nowa poczta, zbudowana przez Boberga, jest pięknym dokumentem szwedzkiej architektury dzisiejszej doby.

Już z tego, co się powiedziało o stockholmskiej architekturze, wywnioskować łatwo, że sztuka szwedzka nie osiągnęła jeszcze dotychczas szczytu rozwoju. Jest ona zjawiskiem stosunkowo dość młodem. Przypomina się niesprawdzone zresztą proroctwo Juliana Klaczki o sztuce polskiej, gdy się jeszcze u Scholandera, szwedzkiego architekty z drugiej połowy XIX wieku, czyta dwuwiersz, że „sztuka jest jednak zanadto południową rośliną, aby mogła na szwedzkim gruncie rósć“ (cytowane w książce Jerzego Nordensvana: *Schwedische Kunst des 19. Jahrhunderts*, Leipzig, E. A. Seemann, 1904). Zwiedzając poświęcone sztuce sale stockholmskiego

„Muzeum narodowego“, którego podwaliny położyły zakupna Gustawa III (pod koniec XVIII wieku), widzi się i w rzeźbie i w malarstwie wiele wybitnych dzieł dawnych obcych mistrzów: w rzeźbie n. p. płaskorzeźbę Wita Stwosza, przedstawiającą Dzieciątko Jezus w szopie z Rodzicami (najnowszy niemiecki biograf mistrza, p. M. Lossnitzer, nie o niej nie wspomina), w malarstwie kilka Rubensów (n. p. szkic z Samsonem, zabijającym lwa), Rembrandta *Sprzysiężenie Batawów*, Halsa *Kucharkę mistrza*, dużo innych Hollendrów, Francuzów, jak Boucher i Lancret — szwedzcy jednak rzeźbiarze i malarze reprezentują wyłącznie XIX i XX wiek. Dopiero około r. 1850 w paryskiej kolonii szwedzkich malarzy budzi się ruchliwsze i samodzielniejsze życie. Wspomnienia ojczyzny, za którą tęsknią, historyczne i krajobrazowe, łączą ci artyści z zamiłowaniem barwy i psychologią swoich francuskich mistrzów: to n. p. Höckerta *Pożar stockholmskiego zamku* (1866), powstały pod wpływem Eugeniusza Delacroix, dziś jeszcze przykuwający w Muzeum oczy widzów, zwłaszcza przepyszną twarzą odrętwiałej staruszki, uciekającej przed ogniem. Düsseldorfskie i monachijskie wpływy widnieją na obrazach hr. Jerzego Rosena, którego *Syn marnotrawny* lub *Eryk XIV*, celują wyborną kompozycją, podczas gdy Gustawa Cederströma popularny w całej Europie *Pochód ze zwłokami Karola XII*, przy całym realizmie, ma wiele prostego patosu. Do młodszego od poprzednich pokolenia należą ci malarze, których sławę głoszą dzisiejsze międzynarodowe wystawy sztuki. Przed laty pisząc, jeśli dobrze pamiętam, o monachijskiej wystawie, wyróżniłem jako tryskającego życiem kolorystę Andersa Zorna; teraz w Stockholmie rozumiem go może lepiej: z całym podziwem dla jego brawury i malarzkiej inteligencji, nie sędzę jednak, by mógł on uchodzić za wyobraziciela szwedzkiej duszy; oddaje przewybornie swym barwnym pędzlem ze Szwecyi to, co jest jej zewnętrzzną cechą, ale w głąb duszy nie sięga; jego wirtuozowskie wielkie dziełeczyny jużci są szwedzkie i w kostymach ludowych i w fizyognomiach i — zwłaszcza — w tych jasnych włosach, o których już pisałem, a jednak one tutaj, w Stockholmie, robią wrażenie jakiegoś „szwedzkiego“ balu kostymowego w... Paryżu. Wyżej jako przedstawiciela szwedz-

kiego sentymentu cenię Brunona Liljeforsa, chociaż jego tematem są prawie zawsze zwierzęta, szczególnie mewy, dzikie kaczk i gęsi, orły morskie i t. p.; ale te śmiałe impressionistyczne dzieła, one tutaj dopiero, wśród szczerej skandynawskiej przyrody, powinny być oglądane, a nie w międzynarodowych pałacach sztuki nad Sekwaną albo Izarą. A jeśli zerwie się związek twórcy z jego ojczyzną, to znowu Karola Larssona rozkoszne, trochę rokokowe, trochę japońskie, śmiało i z fantazyą w jasnych konturach malowane portrety i sceny dziecinne odniosą zawsze i wszędzie niezaprzeczony tryumf.

Parowa barka przenosi mnie w kilka minut dalej. Płynę śladami Tegnara:

»W sztokholmskich wrotach łódź się kołysze,
Wietrzyk ogarnia nas w świeży chłód —
Szepty z Djurgardu w oddali slysze —
I płyniem głębią — na morski cud!«

Cud? Może nie, ale Djurgard, ten wielki park, założony przez Gustawa III na miejscu dzikiej pustyni, jest istotnie piękny, piękniejszy może od paryskiego Bois de Boulogne, z którym go porównywa Baedeker, chcąc mu najwyższą oddać pochwałę. Tylko że niestety przechadzać się po nim nie można, bo najstraszliwsza współczesna plaga ludzkości wtargnęła i tutaj: ledwo kilka dróg się znajdzie, na które nie mają wstępu samochody. Chronię się więc do „Muzeum północnego“. W jego niezliczonych salach zebrano wszystko, co charakteryzuje przeszłe życie i obyczaje skandynawskich ludów rozmaitych krajów, od chłopca do króla. Oddział poświęcony odtworzeniu izb wiejskich jest najbogatszym i najciekawszym: każda z dawniejszych prowincyj ma swoje odrębności etnograficzne, a ponad całością widnieje jedna myśl: walka ludzkiego pocucia barwy z ponurą szarżyzną natury; w tych ciemnych chatach, technących surową powagą, dla wyróżnienia jakiego przedmiotu potrzeba było pomalować go pstro, bardzo postro; w mieszkaniu ta pstrokacizna ledwo jest widoczną, ale gdy n. p. taki czepiec panny młodej lub kaftan smalandzkiego chłopca wyjdą na nich na sło-

neczne światło, wyglądają tak „bajecznie kolorowo“, jak chyba tylko krakowskie ludowe stroje. Lecz Szwecya, to nie tylko chłopski kraj — stąd bogactwem i rozmaitością współzawodniczy z tym ludowym mieszczański i szlachecki oddział: znowu kilkadziesiąt sal z zupełnem urządzeniem mieszkalnem i mnóstwem strojów mężczyzn i kobiet, zbiór tak obfity i tak systematycznie ułożony, że równych mu w Europie nie wiele znajdzie; a przytem pokoje z okresu gustawiańskiego (XVIII wiek) nie są samem tylko naśladowaniem obcych wzorów, mają swój własny styl. Jedną z największych osobliwości Stockholmu jest jednak znajdujący się w pobliżu tego „Muzeum północnego“ założony przez Dr. Hazeliusa Skansen. Przez pół zwierzyniec, przez pół muzeum etnograficzne pod gołym niebem, pokazuje współzycie ludzi ze zwierzętami, na odludnej północy znacznie ściślejsze niż w środkowej Europie. W niedzielę, gdy na wolnych placach Skansenu odbywają się taneczne zabawy ludowe, ten park przemienia się w najpiękniejsze miejsce prawdziwie szwedzkiego Stockholmu.

Już muszę jechać dalej. Z okolicy wybrać mogę tylko jedną miejscowość, jeden zamek, i wybieram oczywiście Gripsholm. Z dzieciństwa jeszcze pamiętam wśród „premiów“ krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych starą reprodukcję obrazu Józefa Simmlera, przedstawiającą *Katarzynę Jagiellonkę w więzieniu w Gripsholmie*. Jak jadąc przed laty po raz pierwszy do Szwajcaryi czekałem niecierpliwie, kiedy nareszcie zobaczę więzienie Bonivarda w Chillonie, tak wycieczkę do Gripsholmu dawno już sobie w Krakowie postanowiłem. Gustaw Waza założył ten „sępi zamek“; za Eryka XIV i Jana III odegrały się tu wspomniane już dwa akty straszliwej tragedyi bratobójczej nienawiści, inny Gustaw za czasów rococo zbudował sobie tutaj weselsze *theatrum*, na którem kazał grać własne sztuki. Już z daleka widać cztery czerwone baszty zamku, wynurzające się z zielonej wody Mälaru. W dziedzińcu „Dzik“ i „Świnia“, dwie rosyjskie armaty na Iwanie Wasilewiczu pod Iwangrodem przez Szwedów zdobyte, mówią milcząco o sławie tego narodu, ale szlachetnie ozdobnemi kształtami i o dawnej „sztuce stósowania“ nawet do takich śmiercionośnych narzędzi. Drugi dzie-

dziniec z pięknymi renesansowymi formami, ze studzienką, podobną jak w rzymskim klasztorze Trinita de'Monti, prowadzi do właściwych zamkowych komnat. Przebiegam je naprzód, szukając jednej, tej, w której wraz z uwięzionymi rodzicami spędził pierwsze dzieciństwo nasz Zygmunt III. Oto ona: basztowy pokój z dobrze zachowanym charakterem końca XVI wieku, z obrazami oprawnymi w drewniane taflowanie ścian, ze sklepieniem, malowaniem w liście i kwiaty. Może rozczarowanie: ta komnata grozy więzienia niema, mogłaby równie dobrze być miejscem dobrowolnego pobytu. A dopiero, gdy ten wytworny renesansowy pokój zestawisz z ciemnym lochem o małych zakratowanych oknach, o zimnych nagich ścianach, który — podobno zresztą niesłusznie zwie się „Erik XIV fängelse“ (więzieniem Eryka) — z dwóch nienawidzących się braci ten ojciec Zygmunta, szwedzki Jan III, wyda się nie tyle ofiarą, ile katem.

Teraz dopiero mogę spokojnie oglądać inne komnaty Gripsholmu. Gotują one polskiemu podróżnikowi miłą niespodziankę. Już w t. zw. salonie Gustawa III, wśród portretów jego królewskich „kolegów“, jest ogromny wizerunek Stanisława Augusta w pełnej figurze. W innych salach ściany od dołu do sufitu pokryte są portretami, pochodzącymi z XVII — XVIII wieku: jest ich podobno 1900. Przypadek kowo trafiam na jeden polski, potem na drugi, zachęcony powodzeniem szukam już tylko wyłącznie naszych i oto dochodzę do nieoczekiwanego wyniku, że jest ich tutaj około trzydzieści, jeśli dokładnie policzyłem, 28! W chronologicznym porządku zaczyna ten poczet polskich portretów Kazimierz Jagiellończyk — niemiecki napis na portrecie robi go synem Ludwika Węgierskiego(!) — potem idzie jego żona Elżbieta, córki: Zofia, żona Fryderyka Brandenburskiego, i Anna, żona Bogusława Pomorskiego; w sali tronowej (Rikssalen) jest Zygmunt I, cała postać, w futrze, z jabłkiem koronnym w ręku, jego córki, ostatnie Jagiellonki, Anna i Katarzyna, bardzo ciekawy młody Zygmunt III, jeszcze jako *dux Finlandiae, Regni Sueciae hueres et electus Rex, aetatis suae XVIII*, dający sposobność do porównań z bardziej znanymi portretami z późniejszych już lat życia; jest jeszcze kilka innych jego wizerunków, Władysław IV i jego żona

Cecylia Renata, Jan Kazimierz jako *princeps*, Jan III Sobieski, August II z żoną, kilkakrotnie malowany Stanisław Leszczyński z całą rodziną, zwłaszcza z żoną Katarzyną Opalińską, i córką Maryą, królową francuską, jest August III, a wreszcie wspomniany już ogromny portret Stanisława Augusta zamyka ten poczet królów polskich. Wobec ich liczby nie starczy już ani czasu, ani ciekawości do przeglądania innych, obcych portretów; utkwila mi w pamięci tylko czteroletnia Marya Stuart z r. 1547.

Jestem więc w ognisku wspomnień polsko-szwedzkich związków: w gripsholskiem więzieniu Zygmunt III przyszedł na świat, w Upsali koronował się królem szwedzkim. Zbylitowski w trzeciej pieśni swego poematu przedstawia naprzód uroczystości pogrzebowe Jana III, a potem intronizację jego syna w prastarej katedrze Upsalskiej; Engeström mówi — czego sam stwierdzić nie zdołałem — że odtąd góra zamkowa zwie się „polską“, *Polakenberget*. To jednak mi wystarcza, bym, jadąc już ze Stockholmu na północny zachód, zatrzymał się jeden dzień w Upsali, w historycznych tradycjach najszanowniejszym szwedzkim grodzie, chociaż już w średnich wiekach godność monarszej rezydencji musiał odstąpić Stockholmowi.

Ciche miasto, przypominające tem opuszczone dzisiaj siedziby małych niemieckich książąt. Na głównym placu katedra, dzieło jednego z budowniczych paryskiej Notre Dame, Etienne de Bonneuil, w gotyckim dobrze odrestaurowanym stylu. Ale co Polaka ku sobie w niej pociąga, to wieniec kaplic grobowych wokoło bocznych naw i chóru, a wśród nich jedna, „Jagellonska grafkoret“, z sarkofagami Jana III szwedzkiego i jego żony Katarzyny Jagiellonki, fundowanemi przez syna. Bogato zdobna renesansowa kaplica mieści te grobowce, ustawione nie obok siebie, ale przy osobnych ścianach: króla wielki sarkofag i mniejszy z ciałem królowej z jej leżącym posągiem na wierzchu; po bokach herby polskie i szwedzkie i panegiryczno-sentencyonalne napisy łacińskie, w górze pod łukiem, łączącym kolumny, w których pośrodku stoi grobowiec, powtarza się w wielkich rozmiarach herb polsko-litewski, a nad łukiem na ścianie, tak miły dla polskiego turysty widok Krakowa! Nie koniec na tem: przy

poprzecznej nawie jest skarbiec z bogatym zbiorem kosztownych ornatów i jeszcze cenniejszych relikwiarzy, kielichów i krzyżów. Nikt po nim nie oprowadza, tylko przy wejściu stoi jedynie po szwedzku mówiący dozorca; katalog zbiorów też tylko w tutejszym języku, trudno się więc rozeznać. A jednak przywoławszy na pomoc cały mój, tak zresztą niesłuchanie skromny zasób znajomości szwedzkiej mowy, widzę i tu polskie pamiątki. Więc ta *krona förgyldt silfver, frau Johan III: s tid 1584, hänger öfver Katarina Jagellonicas († 1583) grafvård* — to korona z pozłacanego srebra, z czasów Jana III, która wisała nad grobowcem Katarzyny (dziś jest tam inna); droższą od niej, bo właściwą królewskoszwedzką koronę Jagiellonki oznacza nr. 20 katalogu; jest i jej berło, i bardzo ładny, oryginalnej niderlandzkiej roboty medalion, jest wreszcie w oddziale naczyń kościelnych kielich z polskim napisem z r. 1655.

Myśląc, że załatwiłem się już w zupełności z polskimi pamiątkami, zwiedzałem dalej, co Upsalę przedewszystkiem po świecie rozślawia: Uniwersytet. Dawniejszy (założony w r. 1477) i szanowniejszy od lundzkiego, liczący około 150 profesorów i docentów, a przeszło 2000 słuchaczy, zachował wiele ze staroświeckich urządzeń: i tak uczniowie dzielą się do dziś dnia stósownie do swego pochodzenia z rozmaitych prowincyj państwa na *nationer*, mieszkają według tego podziału w osobnych domach akademickich, rządzą się tutaj autonomicznymi prawami, obierając sobie któregoś z profesorów za kuratora; przypomina to nieco zwyczaje w niektórych małych niemieckich uniwersytetach, n. p. w Bonn, z tą jednak różnicą, że wśród szwedzkich studentów nie kwitnie wcale nałóg pijaństwa, a pojedynki jeszcze w wieku XVII zostały nietylko urzędowo, lecz i w rzeczywistości zniesione; stąd ci młodzi ludzie w biało-czarnych czapkach nie mają ani szpetnych *bierbauchów*, ani pseudo-bohaterskich szram na policzkach; nawet i pies, już według goethowskiego *Fausta*, ów *der Studenten trefflicher Skolar*, tutaj albo wcale się nie pojawia, albo w mniej groźnej postaci spokojnego szkockiego *collie*. Chlubą upalskiego Uniwersytetu jest jego biblioteka, ze szwedzkich najzabniejsza (350.000 tomów, 14.000 rękopisów), jej zaś znowu klejnotem najstarszy pomnik gockiego,

a przez to i niemieckiego piśmiennictwa, przesławny *Codex argenteus*, na czerwonym pergaminie srebrnem i złotem pis-mem zawierający tłómaczenie Biblii biskupa Ulfilasa z IV wieku, najdroższe może szwedzkie trofeum z wojny Trzydziestoletniej, w Pradze zrabowane. Dla tego rękopisu przyszedłem tutaj jako germanista, znający go dotychczas tylko z reprodukcij; ale gdy spełniwszy ten obowiązek, oglądam inne skarby bi-blioteki, tutejszym zwyczajem umieszczone wszystkie razem w osobnej sali wystawowej (*visningssalen*), już nie jako ger-manista, ale jako Polak dostrzegam znowu polskich pamiątek. Że wśród listów sławnych ludzi jest i pismo Zygmunta III, to eszcze nie jest niespodzianką, bo wszak jestem w koronacyj-nem mieście tego króla. Ale nagle pod szkłem pulpitu czytam nazwisko „Tarnowski“. Wielki, około 60 cm. szeroki, a metr długi kawał frendzłowanej materyi jedwabnej złotawego ko-loru, częściowo zwinięty. Za uprzejmem pozwoleniem zarządu bibliotecznego wyjmuję tę wypłowiałą i popękaną materyę z pulpitu, ostrożnie rozwijam i czytam te czarne litery, oto-czone złotemi, czarno obwiedzionemi arabeskami, przedsta-wiającemi to orły, trzymające w dzióbie infulę i pastorał, to allegoryczne postacie kobiece, gdzieindziej znowu kwiaty, kłosy, sierpy lub pochodnie z koroną. U góry objaśnienie: *Perillustri ac admodum Reverendo Domino Casimiro Tar-nowski Canonico Loviciensi praeposito capellae tarnovia-nae P. F. Joannes Vagrovicius Ord. Cisterc. Monast. Andreon Professus felicitatem*. Pod monogramem Najśw. Panny Maryi wypisany naprzód panegiryk na cześć owego Tarnowskie-go (herbu „Rola“), dzisiaj już nie ze wszystkim czytelny, a po-tem drobniejszemi charakterami pięćdziesiąt tez filozoficznych, rozdzielonych na *ens logicum-physicum-metaphysicum*. Obja-śnienie do nich dodane mówi, że tezy te były bronione *ab eodem Calissii in aula Collegii Karnkovisni (sic) Societ. Jesu anno Do-mini 1636* (gdzieindziej jest r. 1630) *Mense Junio die.... hora....* Wreszcie u samego dołu miejsce druku: *Calissii in Typogra-phia P. P. soc. Jesu*. Oto opis tego dokumentu, nie wiem, czy u nas znanego. Dla mnie, bez względu na swoją treść, był on równie jak gripsholmskie polskie portrety, jak upsal-skie pamiątki po Katarzynie Jagiellonce i ten widok Kra-

kowa nad jej sarkofagiem — nad wyraz milem przypomnieniem Polski na dalekiej północy.

Jeszcze mała przechadzka do Gamla Upsala, dzisiaj skromnej wioszczyny, niegdyś za pogańskich czasów rezydencji królów szwedzkich, jeszcze jedno spojrzenie na pagórki mieszczące w sobie kurhany tych książąt i na równinę, gdzie się wówczas odbywały wiece ludowe, przez Gustawa Wazę po raz ostatni wznowione; jeszcze krótki odpoczynek w wiejskiej gospodzie, gdzie cudzoziemcom podają miód w okutym w srebro rogu, używanym przez królów, wymienionych w napisie — i wracam do Upsali, aby na razie porzucić Szwecję, przerzucić się na przeciwny brzeg skandynawskiego półwyspu, do Norwegii. „Przerzucić się“... tak się to mówi. W rzeczywistości nie wygląda to wcale ponętnie. Szwecya jest krajem telefonów: na każdej ulicy Stockholmu jest mały kiosk z publiczną rozmównicą, w każdym pokoju hotelowym jest telefon. Ale za to pociągi kolejowe wcale się tutaj nie spieszą. Prawda, przestrzenie są wielkie, warunki przyrodzone trudne, a jednak mimo wszystko pragnęłoby się szybszej jazdy. Z Upsali do Trondbjem mam niecałe 800 km., zatem nie wiele więcej jak ze Lwowa do Wiednia; austriackie pociągi osobowe robią tę drogę w niecałych 22 godzinach, pospieszne w 11; gdybym tutaj jechał osobowym pociągiem, włóklbym się 28 godzin, wsiadłszy na pospieszny będę u celu za 23! Ale darmo: wszak to podróż dla .. przyjemności.

Dr. Józef Flach.

(Dokończenie nastąpi).

BUDŻET KRAJOWY.

I.

Nieliczne przepisy ustawodawcze są podstawą działalności skarbowej Sejmu galicyjskiego. Jeden z załączników patentu cesarskiego z dnia 26 lutego 1861 r. zawiera statut krajowy (*Landes-Ordnung*), którego drugi rozdział określa „zakres działania Sejmu“. Pod tym nagłówkiem § 18 wymienia sprawy krajowe, a więc przekazane Sejmowi. Jedną z nich są „wszelkie zarządzenia, dotyczące preliminarza budżetowego i zamknięć rachunkowych kraju w dziale dochodów, pochodzących z majątku krajowego, z podatków na rzecz kraju, z zaciągniętych pożyczek, oraz w dziale zwyyczajnych i nadzwyczajnych rozchodów“. Sejm nie uchwalił żadnej ogólnej ustawy o układaniu budżetu i zamknięć rachunkowych. Nadaje rocznym budżetom formę uchwał, a nie ustaw sejmowych, skutkiem czego naprózno byśmy szukali, choćby ich streszczenia w dzienniku ustaw krajowych. Budżet państwowy w Austrii dochodzi zawsze do skutku w formie ustawy. Nie może być inaczej, bez zmiany ustawy zasadniczej. Budżet austriacki, jak każda inna ustawa, jest zgodnym objawem woli trzech czynników: identyczne uchwały Izby posłów i Izby panów zatwierdza Cesarz. Budżet krajowy uchwalają posłowie sejmowi. Zgoda Izby drugiej nie wchodzi w grę, ponieważ jej nie ma. Sankcya cesarska nie jest potrzebną do prawomocności uchwał sejmowych, a więc budżet krajowy bez niej dochodzi do skutku. Jest objawem woli tylko jednego czynnika. Ten stan rzeczy może każdej

chwili uledez zmianie. Sejmowi wolno uchwalić budżet w formie ustawy, która od uchwały budżetowej Sejmu różniłaby się uwarunkowaniem jej prawomocności zatwierdzeniem cesarskiem.

Dlaczego Sejm zadawałniala się uchwałami? Uchwała budżetowa urzeczywistnia w wyższym stopniu, niż ustawa budżetowa, zasadę samorządu krajowego. Istotnie dziś budżet sejmowy jako całość dochodzi do skutku bez sankcei, a więc bez wtrącania się rządu centralnego (ministerstwa), który przedkłada Cesarzowi wnioski o udzielenie lub odmówienie sankcei projektom ustawodawczym przez Sejm uchwalonym. Jeżeli bliżej wnikniemy w rzeczywistość, odnajdziemy poprzez obłonki formy, w dojściu do skutku uchwały budżetowej współudział rządu centralnego.

Uzupełnieniem postanowień skarbowych §-18-go jest § 20 i 22 statutu krajowego. Ustawodawca uważa za źródło pokrycia wydatków krajowych w pierwszym rządzie dochody z własnego majątku kraju. Gdyby nie wystarczały, wolno Sejmowi nałożyć dodatki do państwowych podatków bezpośrednich do wysokości najwyżej 10% we własnym zakresie działania. Przekroczenie tej granicy wymaga cesarskiego zezwolenia. Bezeń nie mogą być prawnie wykonane uchwały sejmowe o nałożeniu innych podatków lub opłat krajowych, o pozbyciu, trwałem obciążeniu lub zastawie majątku krajowego. Pierwsze budżety krajowe z przed lat pięćdziesięciu zawierały w dochodach i rozchodach kwoty, które wydają nam się w porównaniu z dzisiejszemi nieprawdopodobnie szczupłemi. Obecnie nie można sobie wyobrazić budżetu krajowego bez dodatków do podatków bezpośrednich, znacznie przekraczających granicę 10%, bez innych podatków i opłat, bez corocznie powtarzających się pożyczek, aczkolwiek rząd udziela krajom koronnym rok rocznie zasiłków na oznaczone cele, lub dotacyj, któremi kraje dowolnie rozporządzają. Dziś długi szereg niezbędnych części składowych budżetu wymaga cesarskiego zatwierdzenia.

Ten stan rzeczy wytworzył się pod naciskiem dwóch czynników: Sejmu i rządu. Dochody z majątku krajowego były i są prawie bez znaczenia. Dochodów czystych dziś majątek kraju w Galicyi nie daje wcale i, zdaje mi się, ni-

gdy nie dawał, ponieważ wydatki przewyższają dochody. Do majątku kraj dopłaca z podatków, czem zresztą nie wiele różni się od państwa austriackiego. Dodatki musiały rychło przekroczyć granicę 10⁰/₀, ponieważ Sejm chętnie podejmował się nowych zadań, a rząd państwowy, tak wstrzeźliwy, gdy chodziło o określenie uprawnień do samoistnego stwarzania przez Sejm źródeł dochodu, okazał się szczodrym w nakładaniu wydatków na kraj. Ustawa zasadnicza z grudnia 1867 r., zmieniając wspomniany patent lutowy, rozszerzyła ustawodawczy zakres działania sejmów, ale nie zapewniła im nowych źródeł dochodu. Natomiast nie brak wcześniejszych i późniejszych ustaw państwowych, przysparzających krajom wydatków. Rozwój stosunków doprowadził do uchwalania budżetów, dochodzących do skutku przy pośrednim współudziale rządu.

Jego współudział nie polega wyłącznie na stawianiu wniosków o zatwierdzenie cesarskie skarbowych uchwał Sejmu. Zdarza się, że stanowisko rządu doprowadza do pewnego skrępowania Sejmu w jego staraniach o zapewnienie dochodów, potrzebnych na pokrycie wydatków przez Sejm uchwalonych. Wolno Sejmowi uchwalać dodatki do podatków bezpośrednich we własnym zakresie działania poniżej 10⁰/₀. Sejm może tego prawa zrzec się w całości lub w części. Zrzekł się prawa nakładania dodatków do podatku osobisto-dochodowego, niekoniecznie dobrowolnie. Art. XIII ustawy państwowej o „bezpośrednich podatkach osobistych“ (z dnia 25 października 1896 r., l. 220 dz. p. p) orzeka: „Opusty przyznane zobowiązany do opłaty podatków rzeczowych na mocy poprzednich artykułów, oraz zawarte w nich przyrzeczenia wypłaty pewnych kwot na rzecz skarbow krajowych przypadną w udziale opodatkowanym i skarbow krajowym tylko wtedy, jeżeli sejmy krajów koronnych, w których wymierzono im podatki rzeczowe, zrzekną się prawa nakładania wszelkich dodatków do nowego podatku osobisto-dochodowego na rzecz kraju i jeżeli sejmy uchylą prawa powiatów i gmin nakładania dodatków do tego podatku, które im przysługiwało na podstawie dawniejszych ustaw krajowych samoistnie, względnie za zgodą Wydziału Krajowego lub Sejmu“. Sejm nie mógł narażać opodatkowanych w Galicyi

na utratę opustów podatkowych i skarbu krajowego na utratę kwot, przez państwo przyobiecanych, dla ratowania swego prawa nakładania samoistnie 10⁰/₀ dodatku do podatku osobisto-dochodowego. Ustawa krajowa z 24 czerwca 1898 r. (l. 75 dz. u. k.) zgodnie z ustawami innych krajów koronnych wyklucza możność nakładania jakichkolwiek, choćby najmniejszych dodatków do podatku osobisto-dochodowego przez kraj, powiaty i gminy, a więc przez wszystkie czynniki do tego w myśl dotychczasowych ustaw uprawnione, aż po koniec r. 1909. Moc obowiązująca nowej ustawy krajowej wygasła z końcem r. 1909. Sejm nie uchwalił nowej, podobnej treści, ale Sejm i Wydział Krajowy przestrzegają nadal postanowienia w niej zawarte. Rząd zadawał się faktycznem nienakładaniem dodatków do podatku osobisto-dochodowego, przyznaje nadal opodatковanym opusty, a skarbowi krajowemu wypłaca kwoty, przypadające mu w udziale w myśl ustawy z r. 1896 o podatkach osobistych. Także i ustawą o podatku od wódki z r. 1901 państwo zobowiązało się do wypłaty pewnych kwot na rzecz krajów koronnych. Powróć jeszcze do tych postanowień obu ustaw.

Jak widzimy, Sejm nie zawsze może wykorzystać przyznane mu prawo nakładania dodatków do podatków bezpośrednich i to nawet wtedy nie może go wykorzystać, gdy chodzi o nakładanie dodatków poniżej 10⁰/₀, a więc w jego własnym zakresie działania. Pomijając podatek osobisto-dochodowy, rząd nie przeszkadzał w nakładaniu dodatków do innych podatków i przedkładał do zatwierdzenia cesarskiego uchwały, nakładające dodatki, znacznie przekraczające 10⁰/₀. Przedkładał także do sankcyi liczne, rok rocznie powtarzające się uchwały o zaciąganie nowych długów. Zatwierdzenia cesarskiego wymaga każda stała pożyczka w przeciwstawieniu do bieżących — rozróżnienie wielce nieuchwytnie. Ciekawem byłoby zestawienie pożyczek krajowych, zaciągniętych za zatwierdzeniem cesarskiem i zaciągniętych wyłącznie na podstawie uchwał Sejmu. Zdaje mi się, że wynikiem byłoby stwierdzenie niejednorodności w wykonywaniu tego przepisu. Byłoby dziwnem, gdyby było inaczej. Przepis ustawy nie jest jasnym, a także teorya nie daje zadawalniającego określenia różnicy między długami stałemi a bieżącemi. Znany

§ 14 austriackich ustaw zasadniczych wyklucza zaciąganie tą drogą, a więc bez poprzedniego zezwolenia Rady państwa, długów stałych. Milczy o długach bieżących. Zdarzały się wypadki ich zaciągania na podstawie § 14. Ani ustawy państwowe, ani krajowe nie określają istoty długów bieżących. Nie stwierdzają, czem różnią się od stałych. Komisya Rady państwa dla kontroli długów przedłożyła obu Izbow projekt ustawy, ustalającej pojęcie długów stałych i bieżących. Zachodzi niewątpliwie potrzeba uzupełnienia także ustawodawstwa krajowego w tym kierunku. Pytanie, kto jest upoważniony do zezwalania na zaciąganie długów imieniem kraju, nasuwa jeszcze inne wątpliwości.

Długi stale zaciąga Wydział Krajowy na podstawie uchwał sejmowych, zatwierdzonych przez Cesarza, a do zaciągania bieżących wystarcza upoważnienie sejmowe. Czy Wydział Krajowy może zaciągać pożyczki bez poprzedniego zezwolenia Sejmu? Statut krajowy jasno i stanowczo daje odpowiedź przeczącą, zawartą także pośrednio w zasadzie, że budżet uchwalony przez Sejm obejmować winien wszystkie dochody i wydatki, że więc nie wolno szukać dochodów bez zezwolenia Sejmu. A jednak zachodzą wątpliwości pokrewne tym, które nasuwa państwowe ustawodawstwo skarbowe. Ustawa zasadnicza z 21 grudnia 1867 r. stanowi w § 11 lit. c., że poprzednie zezwalanie na zaciąganie nowych długów należy do zakresu działania Rady państwa. Ale czy wszystkich? Dojście do skutku pożyczek stałych i bieżących¹⁾ niewątpliwie uwarunkowane jest poprzedniem zezwoleniem Rady państwa. Austriacka praktyka skarbową i teoria dopuszczają zaciągania przez rząd nowych długów administracyjnych bez zezwolenia Rady państwa, aczkolwiek żadna z obowiązujących ustaw nie zna słowa: dług administracyjny. Gdy chodzi o państwowy ustrój skarbowy, można zapatrywania tego bronić powołaniem się na brak w ustawie zasadniczej wyraźnego stwierdzenia, że zakres działania Rady państwa obejmuje zezwalanie na zaciąganie wszystkich nowych długów, aczkolwiek ustawodawca

¹⁾ Por. § 10 ust. z dnia 10 czerwca 1868 r. l. 54 dz. p. p. o kontroli długu państwowego.

z pewnością nie co innego, jeno to właśnie miał na myśli. Statut krajowy jest pod tym względem zupełnie jasny i stanowczy. Zalicza do zakresu działania Sejmu zezwalanie na zaciąganie wszelkich pożyczek. A jednak istnieją krajowe długi administracyjne, powstałe bez poprzedniego zezwolenia Sejmu.

Co to jest dług administracyjny? Kraj, a także państwo, stają się niejednokrotnie dłużnikami z inicjatywy swych wierzycieli, którzy składają do rąk ich urzędników kaucye, wadya, depozyta różnego rodzaju w papierach wartościowych, albo w gotówce. Nie mamy tu do czynienia z rzeczywistym obciążeniem skarbu, póki chodzi o przechowywanie papierów wartościowych. Inaczej przedstawia się sprawa depozytów gotówkowych. O ile zarząd skarbu krajowego depozyta w gotówce uważa za *depositum regulare*, czyli, o ile przechowuje je w całości, aż do chwili zwrotu, a więc nie używając ich na zaspokojenie bieżących potrzeb skarbowych w przeciwstawieniu do banków, które obracają depozytami swych klientów, wówczas nie może być mowy o rzeczywistym obciążeniu skarbu krajowego. Póki gotówka w całości *in specie* jest przechowywaną, depozyt w gotówce niczem się nie różni od złożenia papierów wartościowych. Ale Wydział Krajowy nie zawsze idzie tą drogą. Zdarza się, że używa części depozytów gotówkowych chwilowo na opędzenie wydatków krajowych. Sądzi, że będzie mógł zadosyć uczynić żądaniom zwrotu ze strony wierzycieli, aczkolwiek przechowuje w kasie tylko część depozytów. Liczy na to, że wierzyciele będą tylko w małej mierze żądać zwrotu, że nowe depozyta będą równoważyć żądania zwrotu. W ten sposób przyjmowanie depozytów zwiększa długi krajowe.

Są jeszcze i inne długi administracyjne. Mam na myśli różne zaległości, które wykazują doroczne zamknięcia rachunkowe, które są często nieuniknionem opóźnieniem wypłat, nie polegajacem na zamiarze zaciągnięcia pożyczki, które mogą nie być rzeczywistym obciążeniem skarbu. Wydział Krajowy odebrał zamówione towary, ale nie zapłacił ich przed końcem roku, ponieważ dostawcy spóźnili się z przedłożeniem rachunków lub urzędnicy Wydziału Krajowego wśród nawału zajęć nie zdążyli ich sprawdzić przed

zamknięciem ksiąg. W ten sposób rachunki roczne wykazują nowy dług, nieprzewidziany uchwałą sejmową, który jednak może nie stanowić rzeczywistego obciążenia skarbu krajowego, może bowiem znajdować pokrycie w dochodach budżetowych, jeśli chodzi o wydatek budżetem przyzwolony. Sejm już przy sposobności uchwały budżetowej postarał się o zapewnienie dochodów, potrzebnych na pokrycie przewidywanych wydatków. Jeśli dochody nie zawiodły, a wydatki nie przewyższały granic wytkniętych budżetem, dług zostanie zapłacony z już istniejących a na ten cel przeznaczonych środków pieniężnych. Tego rodzaju chwilowe zaległości powstają raczej z konieczności peryodycznego zamykania rachunków, niż z zamiaru zaciągania pożyczek. Należy je odróżnić od kupna na kredyt połączonego z chęcią zaciągnięcia tą drogą długu. Inne rodzaje długów administracyjnych (czynsze najmu lub dzierżawy, emerytury urzędników), dochodzą do skutku przeważnie za poprzednim zezwoleniem parlamentów, względnie sejmów.

Zaciągania długów administracyjnych bez uchwały Sejmu można bronić różnemi argumentami. Część ich powstaje z inicjatywy wierzycieli. Część nie jest rzeczywistym obciążeniem skarbu krajowego. Są nieraz nieuniknionem zjawiskiem w normalnym toku administracji krajowej. Poprzednie zezwalanie Sejmowi jest nieraz niemożliwe. To wszystko nie uchyla oczywiście sprzeczności ustawy z praktyką. Ustawa zawiera lukę, którą należy wypełnić, tem więcej, że część długów administracyjnych jest rzeczywistym obciążeniem skarbu krajowego. Niema dla nich pokrycia ani w budżecie, ani w funduszach uzyskanych przy sposobności powstania długu. Zamknięcia rachunkowe powinny wykazywać stan wszystkich długów krajowych, a więc także i administracyjnych. W takim razie Sejm miałby przynajmniej *ex post* możność kontroli długów krajowych bez jego zezwolenia zaciągniętych (por. rozdz. II).

Wymieniłem ograniczenia, z którymi liczyć się musi Sejm w swej działalności, podejmowanej gwoi zapewnienia dochodów krajowi. Także i w oznaczaniu wydatków jest skrępowany ustawami państwowemi. Państwo ogranicza Sejm w ustanawianiu dochodów, ale narzuca mu pewne wydatki.

Sejm jest także krępowany dawniejszemi ustawami lub uchwałami sejmowemi, które nakazują uskutecznianie określonych wydatków. Ale te ustawy i uchwały może zmienić. Ustawy państwowe, narzucające krajom wydatki, może tylko państwo zmienić. Na tej podstawie dzielimy wydatki na dobrowolne, o których uskutecznianiu Sejm swobodnie rozstrzyga, i przymusowe, przez państwo na skarb krajowy nałożone. Do wydatków przymusowych należą t. zw. „koszta szupasowe“, kwaterekowe żandarmeryi i wojska, zakładanie osad poprawczych i zakładów pracy przymusowej, wydatki na cele zdrowotne i humanitarne, wydatki na szkolnictwo ludowe, o ile nie starczą środki gmin i powiatów. Skarb krajowy na mocy ustaw państwowych ponosi tylko ściśle oznaczone wydatki na te cele. Zazwyczaj może przerzucić je na gminy, względnie powiaty ¹⁾.

Ustawa nigdzie nie postanawia, że budżet krajowy ma być zestawieniem wszystkich przewidywanych w ciągu roku budżetowego dochodów i rozchodów, ale też nie zawiera przepisu, wykluczającego zestawiania w nim wszystkich dochodów i rozchodów. Sejm może uchwalać budżety zupełne. Powinien je uchwalać, ponieważ głównym celem budżetu jest wywarcie za jego pośrednictwem rozstrzygającego wpływu na gospodarkę skarbową kraju i jej kontrola przez Sejm, oraz przez całe społeczeństwo, opłacające podatki na pokrycie wydatków krajowych. Tylko zupełny budżet umożliwia osiągnięcie tych celów w całej pełni ²⁾. Jeżeli Wydział Krajowy, który z ramienia Sejmu zarządza skarbem krajowym,

¹⁾ Pierwszy zeszyt urzędowego wydawnictwa: *Die Landeshaushalte der im Reichsrath vertretenen Königreiche und Länder. Nach den Voranschlägen für das Jahr 1905 bearbeitet vom K. K. Finanzministerium*. Wien. 1907. zawiera zestawienie przepisów ustawowych o krajowych wydatkach przymusowych.

²⁾ Austriacka ustawa zasadnicza z r. 1867 o zakresie działania Rady państwa, wylicza uchwalanie budżetu w dziedzinie spraw przekazanych Radzie państwa. Również nie postanawia, że budżet ma obejmować wszystkie państwowe dochody i rozchody, należy jednak w tym duchu ten przepis tłómaczyć i stosować.

uskutecznia wydatki i pobiera dochody, nieprzewidziane w budżecie, wówczas wpływ Sejmu i społeczeństwa na ich wysokość i zużycie nie jest dostatecznie zabezpieczony. Nie ma możliwości należytego zdania sobie sprawy z gospodarki skarbowej kraju, ponieważ nie jest ujęta w obraz, obejmujący całość stosunków. Trudno osądzić, czy dochody wystarczają na pokrycie wydatków i czy zaciąganie długów jest uzasadnione? Pominięcie w budżecie pewnej części dochodów i rozchodów byłoby połączone z mniejszą szkodą, gdyby zamknięcie rachunków dawało jednolity obraz całości dochodów i rozchodów kraju. Zamknięcia rachunkowe, przedkładane przez Wydział Krajowy Sejmowi, mają na celu zdanie sprawy z wykonania budżetu, z czego wynika dostosowanie ich układu do układu budżetu. Zamknięcia rachunkowe także nie obejmują wszystkich dochodów i rozchodów. Budżet niezupełny utrudnia w wysokim stopniu możność kontroli skarbu krajowego przez Sejm i społeczeństwo. Prócz Rady państwa wykonuje kontrolę austriackiej państwowej gospodarki skarbowej najwyższa Izba obrachunkowa, oraz stała komisya kontroli długów państwowych, wybierana z łona obu Izb Rady państwa. Kraj nie rozporządza zawodowym urzędem kontroli¹⁾. Sejm nie wybiera w tym celu komisji stale czynnej. Tem większe znaczenie ma kontrola Sejmu, wykonywana w normalnym toku prac sejmowych, niestety utrudniona układem budżetu i zamknięć rachunkowych. Można by bronić dotychczasowej praktyki uchwalania budżetu niezupełnego, powołując się na to, że Wydział Krajowy uskutecznia wprowadzić wydatki i pobiera dochody, nieprzewidziane budżetem, ale na podstawie uchwał lub ustaw sejmowych. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby było inaczej. Ale także i w tych warunkach trudno się zgodzić z istniejącym stanem

¹⁾ Do zakresu działania państwowej najwyższej Izby obrachunkowej należy także w myśl obowiązujących ustaw kontrola zużycia subwencji i dotacyj państwowych. Miałyby więc prawo kontroli rachunków krajowych w zakresie zużycia przez kraj udzielonych mu ze skarbu państwowego subwencji i dotacyj. Prawa tego nie wykonuje ani wobec kraju, ani wobec innych instytucji przez państwo zasilanych.

rzeczy, ponieważ mniej lub więcej ogólnikowe upoważnienie sejmowe, pochodzące nieraz z przed szeregu lat, nie jest w stanie zastąpić zupełnego budżetu i wynagrodzić szkody, związanej z jego brakiem. Upoważnienie nie uchyla żadnej ujemnej strony budżetu niezupełnego. Jest tylko pożądanem, ale niewystarczającym ograniczeniem dowolności w zarządzie skarbu krajowego. To też nie dziwnego, że wedle zgodnej opinii teoretyków i powszechnej praktyki budżetowej państw zachodnio-europejskich jeden budżet winien obejmować wszystkie dochody i rozchody.

Jednym ze środków zadosyćuczynienia zasadzie budżetu zupełnego jest układ brutto dochodów i rozchodów, w budżecie i zamknięciach rachunkowych od r. 1907 przestrzegany ściślej, niż poprzednio, ale dotąd niestety w zamknięciach rachunkowych w całej pełni nieurzeczywistniony. Istnieją wbrew zasadzie jedności budżetu i rachunków odrębne fundusze po za budżetem i fundusze dotowane w obrębie budżetu. Icb liczba rok rocznie wzrasta. Jedne z nich powstają z uchwały Sejmu, inne na podstawie zarządzeń Wydziału Krajowego. Jedne i drugie są wyłomem w zasadzie zupełnego budżetu (*ut infra*). Najjaskrawszymi z nich są upoważnienia do czynienia wydatków i zaciągania pożyczek bez oznaczenia kwoty wydatku i pożyczki. Uchwały skarbowe składają się z dwóch części: z mniej lub więcej szczegółowego oznaczenia celu wydatków lub źródła dochodów i z przewidywanej kwoty wydatków lub dochodów, n. p. na budowę szkoły koronkarskiej w Jaworowie 100.000 kor., ze sprzedaży zboża z folwarku dublańskiego 2.000 kor. Sejm galicyjski powziął szereg pozabudżetowych uchwał skarbowych, złożonych tylko z pierwszej części: „1) Sejm uznaje potrzebę rozszerzenia szpitala w Husiatynie przez dobudowanie pawilonu na 40 — 50 łóżek i przeprowadzenie wymienionych adaptacyj. 2) Sejm upoważnia Wydział Krajowy do zaciągnięcia pożyczki w tej wysokości, jaka okaże się potrzebną na pokrycie $\frac{1}{2}$ kosztów tej budowy, oraz kosztów adaptacji z powodu przeobrażeń lokalności istniejących“¹⁾. W dwa lata później, w r. 1907,

¹⁾ Protokół 38 posiedzenia z dnia 24/10 1905 r., str. 12.
(Protokóły z II sesji VIII peryodu z r. 1905).

Sejm powziął cztery uchwały zupełnie podobne w sprawie budowy szpitali w Białej, w Sanoku, w Brzeżanach, w Tarnowie¹⁾. Wszystkie cztery uchwały upoważniają Wydział Krajowy do „zaciągania pożyczek w wysokości, jaka okaże się potrzebną“. Uchwał podobnych znalazłoby się prawdopodobnie więcej.

Jestem przekonany, że upoważnienia, udzielone Wydziałowi Krajowemu do czynienia wydatków bez oznaczenia ich kwoty, nie dały powodu do jakichkolwiek nadużyć, ale sądzę, że uchwały skarbowe Sejmu powinny wykluczać wszelką możliwość nadania nadużyciom pozorów legalności. Gdyby *per maxime inconcessum* nadużycia popełniono, winni łatwo mogliby usprawiedliwiać zbyt hojne szafowanie funduszami krajowemi powołaniem się na ogólnikowość uchwał sejmowych. Ich ujemny wpływ na porządek skarbowy i przejrzystość rachunków jest oczywisty. Upoważnienia tego rodzaju wejść w budżet nie mogą, bo nie opiewają na cyfry, których wykaz i zliczenie jest budżetem. Istnieją więc obok budżetu. Ułatwiają wytworzenie się kategorii wydatków pozabudżetowych. Wydatki zaliczkowe, nieuwidoczniane w zamknięciach rachunkowych ze szkodą dla ich wartości (*ut infra*), opierają się w znacznej mierze na tych połowicznych uchwałach skarbowych Sejmu. Uważam je za niewłaściwe nie tylko dlatego, że nie zawierają oznaczenia kwoty, ale także i dlatego, że nie stanowią części budżetu.

Zdarzają się uchwały skarbowe pozabudżetowe bez oznaczenia wysokości wydatku i inne, bardziej zbliżone do budżetowych, nie pomijają bowiem wysokości wydatku, na który Sejm zezwala. Ich uchwalanie po za budżetem dałoby się usprawiedliwić, gdyby chodziło o wydatki nieprzewidywane w chwili jego układania, które natychmiast muszą być uskutecznione, których uchwalanie właśnie dlatego nie można połączyć z budżetem przyszłorocznym. Przebieg wypad-

¹⁾ Posiedzenie z dnia 21 lutego 1907 r. (*Stenograficzne sprawozdania z III sesji VIII peryodu z r. 1907.* T. I, str. 202 i 203). Posiedzenie z dnia 23 lutego 1907 r. (l. c. str. 241). Posiedzenie z dnia 11 marca 1907 r. (l. c. str. 879).

ków bywa odmienny. Wydział Krajowy nie uskutecznia zaraz wydatku przyzwolonego po za budżetem. Nie wstawia go w budżet następny. Sejm go nie uchwala w łączności z nim, skutkiem czego mamy do czynienia w gospodarce krajowej z wydatkami, których uchwalanie po za budżetem jest nieuzasadnione. Uchwały skarbowe pozabudżetowe bez oznaczenia kwoty również niejednokrotnie powodują wydatki, nienskuteczniiane zaraz po uchwale. Można by je uzupełnić oznaczeniem kwoty i włączyć do najbliższego budżetu. Uniknęłoby się tym sposobem wydatków pozabudżetowych, niezgodnych z zasadą zupełnego budżetu, obejmującego wszystkie dochody i wydatki. Wydatki uskuteczniiane na podstawie kredytów przeniesionych, aczkolwiek nie objęte budżetem, uchwalonym na rok ich uskutecznienia, nie są pozabudżetowymi, są bowiem częścią budżetów dawniejszych (*ut infra*).

Uchwalanie pozabudżetowych^{*} wydatków łączyć się musi z uchwalaniem pozabudżetowych dochodów, ponieważ ani przewidywane w budżecie, ani majątek kraju, nie wystarczyłyby na ich pokrycie. Sejm prawie zawsze upoważnia Wydział Krajowy do zaciągania długów na ten cel w kwocie oznaczonej lub nieoznaczonej. Upoważnienia do zaciągnięcia długów, zawarte w budżecie, nie uprawniają do przypuszczenia, że w roku, na który budżet opiewa, Wydział Krajowy zaciągnie imieniem kraju długi tylko w wysokości budżetem przewidzianej. Gdyby Wydział Krajowy, przedkładając projekt budżetu, dołączał wykaz już zaciągniętych długów krajowych i długów, które może zaciągnąć na podstawie dotychczasowych uchwał sejmowych, można by ocenić lepiej wpływ na stan skarbu krajowego nowych upoważnień do zaciągania długów w projekcie budżetu zawartych. Wyrobienie sobie sądu o tej kwestyi jest dziś wielce utrudnione z powodu istnienia upoważnień pozabudżetowych w wysokości Sejmowi nieznaney w chwili, gdy, uchwalając budżet, udziela nowych. Także i z nich w całości ani Sejm, ani czelnicy budżetu nie zdają sobie łatwo sprawy, ponieważ nie są nigdzie wyrażone w jednej kwocie. Ustawa budżetowa austriacka w artykułach wstępnych wylicza, ile ogółem wolno zaciągnąć długów na jej podstawie, podczas gdy uchwały

budżetowe Sejmu galicyjskiego obejmują nieraz kilka upoważnień, które trzeba wyszukiwać w budżecie i zliczać celem wypośrodkowania, ile właściwie Wydział Krajowy może imieniem kraju pożyczyć na ich podstawie. W układzie ostatnich budżetów widoczny jest postęp w tym kierunku. Sejm zazwyczaj określa tylko najwyższą kwotę, którą Wydział Krajowy może uzyskać w gotówce z pożyczek zaciągnąć się mających, ale nie określa, ile wyniesie kwota, którą kraj będzie oprocentowywał i amortyzował. Większe pożyczki krajowe dochodzą do skutku przez puszczenie w obieg papierów krajowych lub Banku krajowego. Z ich sprzedaży czerpie kasa krajowa potrzebną gotówkę. Sejm upoważnia do zaciągnięcia pożyczki 900.000 kor. w gotówce. Wydział Krajowy sprzedaje obligacje krajowe, opiewające na milion koron po 90 za sto. Uzyskuje gotówką 900.000 kor., ale oczywiście opłaca procent i amortyzację od miliona koron, którego zwrot i oprocentowanie przyrzekają obligacje. Kraj otrzymał 900.000, ale pożyczył milion koron. Podobny jest przebieg wypadków, gdy kraj zaciąga pożyczkę w obligacjach komunalnych Banku krajowego. Bank pożycza mu milion koron w swoich obligacjach, które równocześnie od niego odkupuje za 900.000 kor. w gotówce. Ponieważ stale papiery sprzedają się niżej *pari*, przeto upoważnienia Sejmu do zaciągnięcia pożyczek w gotówce doprowadzają do rzeczywistego zadłużenia kraju kwotami wyższymi, o czym nie zawadzi przypomnieć, ponieważ przytrafia się Wydziałowi Krajowemu, że zdając sprawę z wykonania tych upoważnień, zapomina o rzeczywistej wysokości pożyczek i określa ją mylnie kwotą uzyskaną w gotówce! (str. 9 zamknięcia rachunków za r. 1910).

Budżet dzieli dochody i wydatki na zwyczajne i nadzwyczajne. Podatki, a tylko w malej części majątek ruchomy i nieruchomy, dostarczają krajowi zwyczajnych dochodów, które powinny wystarczyć co najmniej na pokrycie zwyczajnych wydatków. Nadzwyczajnymi dochodami są pożyczki, które można usprawiedliwić jedynie wtedy, gdy służą gwołi uskutecznienia nadzwyczajnych wydatków. Podział dochodów i wydatków na zwyczajne i nadzwyczajne ma doniosłe znaczenie, chodzi bowiem o stwierdzenie, czy istnieje równowaga między dochodami

i wydatkami, czy kraj, zaciągając długi, nie nadużywa tego sposobu pokrywania rozchodów? Wobec poważnych trudności, na które natrafia racjonalne i konsekwentne przeprowadzenie podziału dochodów i wydatków na zwyczajne i nadzwyczajne, wobec doniosłości podziału dla oceny stosunków skarbowych, należy dołożyć jak największej staranności w ustaleniu i w zastosowaniu zasad miarodajnych dla tego rozróżnienia. Już ministerstwo skarbu wyraziło zapatrywanie, że „nie jest ściśle przeprowadzone we wszystkich rubrykach, skutkiem czego nie można dojść na jakich polega zasadach“¹⁾, a dla poparcia swego poglądu przytacza szereg przykładów, stwierdzających znaczną dowolność w zapisywaniu poszczególnych dochodów i wydatków do zwyczajnych lub nadzwyczajnych. Przykłady te chcę uzupełnić jeszcze jednym. W r. 1910 kraj zaciągnął pożyczkę pięciu milionów koron, celem zakupu akcji Banku przemysłowego. Zdawałoby się, że dochód i wydatek mają znamiona nadzwyczajnych. Zamknięcie rachunków z r. 1910 zapisuje dochód do nadzwyczajnych, ale wydatek do zwyczajnych, aczkolwiek tylko umorzenie i oprocentowanie wypożyczonego kapitału ma znamiona wydatku zwyczajnego, który będzie się co roku powtarzał. Na domiar złego koszt zakupu akcji, mylnie nazwany dotacją, znalazł się w rubryce „długi“, zamiast w poprzedzającej: „przemysł i rękodzieła“. Zapisywanie w budżetach i zamknięciach rachunkowych kraju dochodów i rozchodów do zwyczajnych, względnie nadzwyczajnych, jest dowolne, niema więc znaczenia dla poznania i oceny krajowego gospodarstwa skarbowego.

Sejm, uchwalając budżet, orzeka rok rocznie zakaz t. zw. *virement*: „Kwoty, przyzwolone na r. 1912 w rubrykach i pozycjach wydatków budżetu funduszu krajowego, jako też wszystkich zakładów krajowych, będą wydawane tylko na cele oznaczone w poszczególnych rubrykach i pozycjach, a to osobno w dziale wydatków zwyczajnych, osobno w dziale nadzwyczajnych“. Gdyby nie było tej uchwały, Wydział Krajowy miałby w wykonaniu budżetu znacznie swobodniejszą rękę. Przekroczenia wydatków dozwolanych przez Sejm w je-

¹⁾ *Die Landeshaushalte*, zeszyt XVI, str. 25.

dnym pozycyach mógłby usprawiedliwiać oszczędnościami, poczynionemi w innych (*virement*). Musiałby dbać o nieprzekroczenie ogólnej sumy wydatków przez Sejm dozwolonej, ale mógłby je dowolnie rozkładać na poszczególne cele w budżecie wymienione. Chcąc zapobiedz tej ewentualności, Sejm zakazuje *virement*. Dozwala przenoszenia oszczędności tylko wyjątkowo między pozycyami, wyszczególnionemi w uchwale budżetowej.

Stopień skrupowania organu wykonawczego zakazem przenoszenia oszczędności zależy od większej lub mniejszej specjalizacyi budżetu. Jeżeli budżet rozbity jest na wiele drobnych pozycji, zakaz przenoszenia oszczędności jest daleko bardziej kępującym, niż w przypadku przeciwnym. Budżet galicyjski jest w wielu pozycyach raczej za wiele, niż za mało wyspecjalizowany. Zamknięcia rachunkowe są niepotrzebnie jeszcze bardziej wyspecjalizowane. Dawniej Sejm w uchwałach budżetowych wyraźnie zezwalał na wszelkie *virement*, pod warunkiem późniejszego usprawiedliwienia. Instrukcyja dla Wydziału Krajowego ¹⁾, uchwalona na posiedzeniu Sejmu z 24 listopada 1890 r., zawiera w § 9 zakaz *virement* między rubrykami. W stosunku do tego postanowienia współczesne uchwały budżetowe są jego zastrzeżeniem, ponieważ orzekają zakaz *virement* między rubrykami i pozycyami, które są poddziałami rubryk.

Uchwały budżetowe zawierają nieraz upoważnienie Wydziału Krajowego do wydatkowania kwot preliminowanych na rok, którego budżet jest uchwalany, także później, a mianowicie do chwili w budżecie oznaczonej. Uchwala tego rodzaju niema znaczenia. Mimo wyraźnego postanowienia wspomnianej przed chwilą instrukcyi, zakazującego wydawania kwot w budżecie przyzwolonych po upływie roku budżetowego, Wydział Krajowy wedle własnego uznania rozstrzyga o chwili wygaśnięcia upoważnień budżetowych, a więc ile razy uzna za wskazane, wydaje kwoty w budżecie przyzwolone także i po upływie roku budżetowego (por. ustęp o kredytach przeniesionych w rozdz. II a), wobec czego upo-

¹⁾ § 32 galicyjskiego statutu krajowego przewiduje uchwalenie przez Sejm instrukcyi dla Wydziału Krajowego.

ważnienie Sejmu do stósowania tej praktyki w szczegółowo oznaczonych przypadkach jest zbędne, bo Wydział Krajowy stale ją stósuje, aczkolwiek rok budżetowy obejmuje o kilka miesięcy więcej, niż rok kalendarzowy. Przedłużenie roku budżetowego usuwa potrzebę częstego przenoszenia kredytów (*ut infra* rozdz. II c), a jednak Wydział Krajowy często je przenosi i to w sposób w wysokim stopniu obniżający wartość zamknięć rachunkowych, aczkolwiek istnieją wypróbowane sposoby należytego przenoszenia kredytów.

Sejm przekazuje projekt budżetu, przedkładany przez Wydział Krajowy, komisji budżetowej. Uchwała budżet na podstawie jej sprawozdania o projekcie Wydziału Krajowego. Jeżeli komisja szkolna lub inna ma zamiar zwrócić się do Sejmu z wnioskami, nakładającymi ciężary finansowe na kraj, wówczas powinna, wedle zwyczajów przyjętych w Sejmie, najpierw porozumieć się z komisją budżetową. Sejm powinien obradować i uchwalać na podstawie sprawozdania obu komisyj. Ten sposób postępowania nie zawsze jest przestrzegany. Choćby zawsze był przestrzegany, nie zabezpiecza przeprowadzenia zasady, że żadna ustawa lub uchwała sejmowa, pociągająca za sobą finansowe obciążenie kraju, nie dochodzi do skutku bez zasięgnięcia opinii komisji budżetowej, ponieważ Sejm podczas obrad budżetowych uchwała wnioski poselskie o podwyższenie wydatków, proponowanych przez komisję budżetową, bez poprzedniego odesłania ich do komisji budżetowej, celem wydania o nich opinii. Komisja budżetowa jest powołana specjalnie do czuwania nad ogólnym stanem skarbu krajowego. Właśnie dlatego dochodzi do większej znajomości jego każdorazowego stanu. Inne komisje, Sejm w całości, mają mniej czasu i sposobności zapoznania się z całokształtem skarbowości krajowej, skutkiem czego okazują większą skłonność podwyższania wydatków. Każdemu posłowi zależy na zaspokojeniu wielu pięknych potrzeb, a inni popierają jego wnioski w nadziei wzajemnego poparcia, gdy oni wystąpią ze swojemi. Wniosek niejednokrotnie czyni zadosyć istotnej potrzebie, ale przecie ze względu na konieczność utrzymania równowagi budżetowej może być w danej chwili przedwczesnym lub dopuszczalnym tylko pod warunkiem równoczesnego zapewnienia dochodów, wystarcza-

jących na pokrycie wydatków, złączonych z jego przeprowadzeniem. Odsyłanie wniosków, zawierających obciążenie finansowe, do komisji budżetowej ma na celu zapobiedz nadmiernemu podwyższaniu wydatków wnioskami dorywczymi lub finansowo niezbadanymi.

Dalej idącym środkiem osiągnięcia tego samego celu byłoby poprzednie zasięgnięcie opinii Wydziału Krajowego przed rozstrzygnięciem każdego wniosku, nawet pochodzącego z łona komisji budżetowej, o podwyższenie wydatków ponad granice, proponowane przez Wydział Krajowy. Angielska Izba posłów zadawalnia się prawem obniżania wydatków, proponowanych przez rząd. Podwyższa je tylko za jego zgodą. Sejm galicyjski w ostatnich kilku latach obrał politykę skarbową wprost sprzeczną z wnioskami Wydziału Krajowego. Uchwalał pokrywać niedobory pożyczkami, podczas gdy Wydział Krajowy wnosił pokrycie ich podwyższeniem dodatków do podatków.

Odrzucenie wniosków Wydziału Krajowego wywołało nadmierne obciążenie długami kraju. Może wywołać jeszcze inne, daleko sięgające skutki.

Z powodu obstrukcyi ruskiej Sejm w lutym 1912 r. uchwalił jedyńie prowizoryum budżetowe, zezwalające na uskutecznianie wydatków w pierwszych trzech kwartałach 1912 r. na podstawie projektu budżetu na r. 1912, opracowanego przez komisję budżetową, zezwalające na pobór dodatków do podatków w dotychczasowej wysokości aż do 1 października 1912 r. i na zaciągnięcie wielu milionów nowego długu, zgodnie z projektem dochodów budżetu na r. 1912, uchwalonym przez komisję budżetową¹⁾. Zachodzi pytanie, czy Sejm będzie mógł uchwalić budżet na lata następne?

Jeśli Sejm nie uchwali budżetu²⁾, Wydział Krajowy nie będzie miał prawa uskuteczniania nowych wydatków nie-

¹⁾ W r. 1907 Sejm nie miał czasu budżetu zatwierdzić. Uchwalił prowizoryum budżetowe, przedłużające ważność budżetu, uchwalonego na r. 1907, na pierwsze półrocze 1908 r.

²⁾ Mniej więcej podobne prawne skutki wywołałoby odrzucenie budżetu przez Sejm, bez uchwalenia nowego. Wy-

przewidzianych w ostatnim przez Sejm chwalonym budżecie, o ile nie zajdzie oczywista konieczność ich uskutecznienia. Będzie miał nie tylko prawo, ale i obowiązek wydatkowania z kasy krajowej na cele uzasadnione w obowiązujących umowach, ustawach i uchwałach Sejmu. Można nawet twierdzić, że podstawą wydatków byłyby w takim razie i nadal upoważnienia budżetowe, ostatni raz przez Sejm uchwalone. Ale z czego pokryć wydatki? Głównym źródłem dochodów są samoistne podatki krajowe i dodatki do podatków. Pobieranie podatków państwowych bez ustawy budżetowej byłoby w Austrii prawnie niedopuszczalne, gdybyśmy pytanie to rozstrzygali wedle dosłownego brzmienia ustawy, ponieważ ustawa wymaga corocznego zezwolenia budżetowego na pobór podatków. Ustawodawstwo krajowe nie zna podobnego przepisu. Samoistne podatki krajowe, oparte na ustawach sejmowych, byłyby i nadal prawnie pobierane, mimo nieuchwalenia budżetu, ponieważ sejmowe ustawy podatkowe, nakazujące pobór podatku, oznaczają chwilę, w której ustawa zaczyna obowiązywać, ale nie przepisują, kiedy mają być zniesione pobór podatku, a żadna inna ustawa nie łączy ich mocy obowiązującej z corocznym zezwoleniem budżetowym¹⁾. Inaczej przedstawia się wybieranie krajowych dodatków do podatków państwowych bez budżetu, albowiem Sejm uchwała dodatki wyraźnie na rok jeden. Rząd jest zdania (i wprowadził je już w czyn), że Cesarzowi, względnie Cesarzowi i Wydziałowi Krajowemu, przysługuje prawo przedłużenia w nadzwyczajnych wypadkach ważności uchwał sejmowych, ale nie podwyższania dodatków ponad poziom, ustanowiony przez Sejm w chwili, gdy po raz ostatni uchwalał pobór do-

dział Krajowy byłby wówczas bardziej ograniczonym w uskutecznianiu wydatków.

¹⁾ Prof. Tezner jest innego zdania. Sądzi, że wedle właściwej myśli statutów krajowych (*der Landes-Ordnungen*), także i samoistne podatki krajowe są jednoroczne (*leges annuae*). Obowiązują tylko na przeciąg roku, którego budżet przewiduje ich pobór. (*Die Volksvertretung*, Wien, 1912, str. 663 i nast.). Prof. Tezner wyprowadza ten wniosek na podstawie rozumowania z analogii. Wyraźnego przepisu tej treści ustawa nie zawiera.

datków krajowych. W r. 1880 Sejm galicyjski zebrał się w lipcu i dopiero wówczas uchwalił budżet na r. 1880, oraz pobór dodatków krajowych na r. 1880. Rządowe władze skarbowe rozpiwały i pobierały już przedtem dodatki krajowe na rachunek r. 1880 w wysokości ustanowionej w r. 1878 przez Sejm na r. 1879, w ciągu którego Sejm nie obradował. Na początku r. 1880 pojawiło się w dzienniku ustaw krajowych obwieszczenie namiestnictwa z dnia 6 stycznia 1880 r., l. 65.180, podpisane przez ówczesnego namiestnika, Alfreda hr. Potockiego: „Jego Ces. i Król. Apostolska Mość raczył Najwyższem postanowieniem z dnia 19 grudnia 1879 r. najlaskawiej pozwolić, ażeby dodatki na pokrycie potrzeb krajowych w r. 1880 w królestwach i krajach w Radzie państwa reprezentowanych, z zastrzeżeniem konstytucyjnego ustanowienia budżetów krajowych na rok wspomniany, tymczasowo rozpisane i pobierane były według wymiaru z r. 1879“. W r. 1908 Cesarz zatwierdza uchwałę galicyjskiego Wydziału Krajowego o poborze dodatków do podatków w dotychczasowej wysokości na III kwartał 1908 r. (Obwieszczenie c. k. Namiestnictwa z 24 lipca 1908 r. w dzienniku ustaw kraj. z dnia 5 sierpnia 1908 r., l. 77). W r. 1908 Cesarz w tej sprawie współdziałał z Wydziałem Krajowym, podczas gdy w r. 1880 rozstrzygał ją samoistnie.

Sejm czeski, od kilku lat, przestał obradować i uchwalać pod naciskiem obstrukcyi niemieckiej. Dodatki do podatków są pobierane na pokrycie wydatków krajowych w wysokości ostatni raz przez Sejm uchwalonej na podstawie uchwał Wydziału Krajowego, sankcyonowanych przez Cesarza. Wydział Krajowy wprawdzie uchwalał pobieranie wyższych dodatków, ale bez skutku, ponieważ te uchwały sankcyi nie otrzymały. Cesarz udzielił jej jedynie uchwałom, przedłużającym poprzedni stan rzeczy, zgodny z ustawą. Mimo tego ograniczenia wysokości dodatków, opodatkowani odmówili zapłaty w szeregu wypadków i udali się pod ochronę sądów, powołując się na ustawę, wedle której Sejm, a nie Wydział Krajowy, uchwała dodatki do podatków na przeciąg jednego roku. Trybunał administracyjny odrzucił skargę. Przyznał, że ustawa mówi tylko o uchwale

sejmowej, a nie Wydziału Krajowego, ale wobec wyjątkowych okoliczności uznał uchwałę Wydziału Krajowego za zgodną z duchem ustawy, za konieczny wynik stosunków. Można zresztą powołać się na jej niewątpliwą zgodność z wolą Sejmu, którego większość jest gotowa uchwalić dodatki w wymiarze, nie tylko dorównującym, ale nawet przewyższającym stopę po raz ostatni ustaloną uchwałą sejmową. Uchwała nie zapadła, albowiem z powodu obstrukcyi Sejm nie obraduje, większość niema sposobności uzewnętrznienia swej woli w formie ustawą przepisanej. Można więc mówić o niewyrażonej woli Sejmu, która uzasadnia pobór dodatków w braku wyrażonej uchwały. A jednak stan rzeczy w Czechach osłabia poczucie prawne wśród społeczeństwa, bo jest sprzeczny z ustawą. Zachodzi obawa, że Sejm galicyjski będzie także bezczynnym z powodu obstrukcyi ¹⁾. — Pobieranie dodatków do podatków w dotychczasowej wysokości będzie możliwem i nadal. Trudno będzie przeprowadzić ich podwyższenie na podstawie uchwały Wydziału Krajowego, aczkolwiek byłoby to pożądanem. Gdyby Sejm był podwyższył dodatki na r. 1912, zwyżka zasililaby skarb krajowy także i w r. 1913, zmniejszając szkody finansowe, związane z obstrukcją. Bylibyśmy lepiej uzbrojeni do walki z nią. Późniejsze podwyższenie dodatków do podatków odbędzie się w warunkach gorszych. W międzyczasie zapewne państwo podwyższy podatki. Wobec wzrostu obciążenia podatkowego na rzecz państwa, trudniej będzie Sejmowi uchwalić nowe ciężary.

Czy w czasie trwania obstrukcyi Wydział Krajowy będzie mógł zaciągać pożyczki? Sejm czeski od lat kilku nie obraduje. Wydział Krajowy wprowadzić nakłada i pobiera dodatki do podatków w wysokości ostatni raz przez Sejm uchwalonej na przeciąg jednego roku, ale dochody z tego źródła są szczupłe. Wydział Krajowy zaciąga rok rocznie ogromne

¹⁾ Dowiaduję się z dzienników, że Wydział Krajowy z początkiem października wniósł prośbę do rządu o wydanie cesarskiego zezwolenia na dalszy pobór dodatków krajowych do podatków w dotychczasowej wysokości. Sejm zezwolił na pobór do 30 września 1912 r.

długi głównie w Banku krajowym, oczywiście bez zezwolenia Sejmu, unieruchomionego niemiecką obstrukcją. Nie puszczają w obieg nowych obligacyj krajowych. Zaciągają rzekomo „bieżące długi“, które bieżącymi są tylko formalnie. Statut krajowy czeski zawiera te same postanowienia o zaciąganiu pożyczek przez kraj, które przytoczyłem poprzednio, pisząc o galicyjskich stosunkach. Nie może ulegać żadnej wątpliwości, że postępowanie Wydziału Krajowego jest wprost sprzeczne z ustawą. Bez zezwolenia Sejmu nie wolno żadnych długów zaciągać Wydziałowi Krajowemu. Choćbyśmy nawet przyznali możliwość zaciągania w pewnych wypadkach krajowych długów administracyjnych przez Wydział Krajowy bez poprzedniego zezwolenia Sejmu, toć tym sposobem nie uchylilibyśmy sprzeczności między ustawą a postępowaniem Wydziału Krajowego, ponieważ długi przezeń zaciągane nie są administracyjnymi. Nie są bieżącymi. Są stałym obciążeniem skarbu krajowego, które wedle ustawy wymaga nie tylko poprzedniego zezwolenia Sejmu, ale nadto zatwierdzenia tej uchwały przez Cesarza. Także i ten przepis nie jest zachowywany. Prawomocności pobierania dodatków do podatków bez uchwały sejmowej można było bronić powołaniem się na niewyrażoną zgodę Sejmu. Ale gdy chodzi o długi, Sejm jest niewątpliwie przeciwny zaciąganiu ich w tak znacznej wysokości. Sejm, gdyby obradował, z pewnością podwyższyłby dodatki, względnie nałożył nowe podatki. Długami pokryłyby tylko część wydatków, obecnie pożyczkami przez czeski Wydział Krajowy pokrywanych. Obstrukcja jest naruszeniem ustaw. Nie dziwnego, że je wywołuje. Ile się w tem mieści niebezpieczeństw, nie potrzeba dowodzić. A jednak wobec współczesnych stosunków politycznych musimy i w Galicyi liczyć się z możliwością długotrwałej obstrukcji, której jednym ze skutków będzie zaciąganie pożyczek przez Wydział Krajowy bez zezwolenia Sejmu. Dowiadujemy się o nich z zamknięć rachunkowych.

Ich zatwierdzanie przez Sejm jest koniecznym uzupełnieniem prawa uchwalania budżetu, którego znaczenie byłoby nikłe, gdyby nie można sprawdzić z zamknięć rachun-

kowych wykonania uchwał budżetowych. Czy galicyjskie zamknięcia rachunkowe dają Sejmowi możność sprawdzenia? Na to pytanie odpowiem, przedstawiając i oceniając sposób ich układania.

Dr. Adam Krzyżanowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LISTY Z FRANCYI.

XXIV.

Teatra. Porte-Saint-Martin: *La Crise*, komedia w 3 aktach przez Pawła Bourget i Andrzeja Beaunier. — Komedia Francuska: *Le Ménage de Molière*, komedia w 5 aktach i 6 obrazach, przez Maurycego Donnay. — *Sapho*, sztuka w 5 aktach przez Alfonsa Daudet i Adolfa Belot.

La Crise, komedia w 3 aktach Pawła Bourget i Andrzeja Beaunier ma podwójny charakter — satyry i dramatu uczuciowego. Te dwie właściwości nie łatwo się z sobą godzą. Zwykle jedna z nich, jeżeli drugiej nie wyłącza, to przynajmniej ją osłabia, tak, iż jej działanie staje się zupełnie nieznacznem. Tego szkopułu nie uniknęli też autorowie niniejszej sztuki, w której ten rozdzźwięk pomiędzy satyrą a uczuciem jest, pomimo skądinąd wybitnych zalet dzieła, nader widocznym, a nawet — powiedzmy szczerze — rażącym. Satyra jest tu przeważającą, rzuca się w oczy i wystarczałaby sama przez się dla zajęcia widza, gdy strona uczuciowa, której autorowie chcą dać więcej znaczenia, błędnie przy tamtej i sprawia wrażenie jakoby była nie na miejscu. A jednak leży ona w samym założeniu sztuki, jak się dowiadujemy o tem od p. Bourgeta, który w artykule odnośnym do traktowanego w niej tematu, objaśnia, iż zamiarem autorów „jest wystudyować w osobie publicznej, jaką jest polityk,

deformację osoby prywatnej“. I deformację tę pokazują nam w jego życiu lub, by wyrazić się ściślej — w jego sprawach uczuciowych. Ravardin jest więc politykiem — z tych, rozumie się, dla których polityka jest wyłącznie karyerą, środkiem wywyższenia się i zbogacenia — łatwego, obfitego, wesołego, a dla naiwnych nawet zaszczytnego życia bez pracy. Takimi zresztą mniej lub więcej są w dzisiejszych warunkach wszyscy politycy francuscy. Wyjątki, jeżeli się znajdują, uderzają swą niewłaściwością w takim środowisku, a nadewszystko swą zbytecznością. Ravardin jest typem — typem polityka z lewicy, bo po tej stronie znajduje się żłób, o który mu idzie. Pochodzi on z południa, jak większość radykałów — jest zręczny, wolny od skrupułów, wymowny i ma szczęście. Właśnie bowiem obalił ministerium i uczynił to przypadkiem, w zapale wymowy. Ale przypadek ten mu służy, gdyż daje mu sposobność utworzenia nowego gabinetu, do czego zostaje powołanym przez prezydenta Rzeczypospolitej. Ravardin jest w siódmym niebie. Być tym, który rządzi, w którego rękę znajduje się władza istotna i który zatem ma wszystkich w rękę, mogłoby być szczytem ambicji dla wielu wysoko mierzących politycznych karyerowiczów. Ale ambicya Ravardina nie zatrzymuje się i na tem. Pięknie jest być prezydentem ministrów, ale też jest to stanowisko pełne zasadzek, na którym trudno zagrzać miejsca. I oczyma ducha widzi się już w Pałacu Elizejskim, gdzie przynajmniej przez lat siedem można z całą pewnością przeżuwać milion listy cywilnej i pomimo iż się jest niczem, odgrywać pompatycznie rolę naczelnika państwa, który przyjmuje monarchów i imponuje gawiedzi, jeżeli nie własną osobą, to przynajmniej eskortą kirasyerów, otaczającą jego powóz. Wszakże, obok spraw politycznych, Ravardin ma też sprawy sercowe. Gizela Prieur, obecnie wdowa, jest jego kochanką, dla której żywi uczucia prawdziwe. Pani Gizela, gdy ją poznajemy, obchodzi po raz czterdziesty swe imieniny, pośród masy kwiatów, otrzymanych od swych przyjaciół i wielbicieli, do jakich należą baron d'Artigues, niegdyś przyjaciel jej ojca i młody deputowany, Wawrzyniec Bernard, socjalista-milioner. Wśród tego, przybywa Ravardin, cały przejęty swą rolą polityczną, mówi tylko

o swych kombinacyach i widokach dotyczących nowego gabinetu, robi mimochodem swej metresie drobną scenę zazdrości, czem zaznacza swe dla niej uczucia, ale zapomina o wszystkim natychmiast i spieszy na zebranie lewicy, gdzie go oczekują.

Gizela czuje się opuszczoną i płacze, co spostrzega przybywający właśnie Wawrzyniec, który ją kocha i pragnie pocieszyć, zresztą, jak dotąd, daremnie. Baron d'Artigues, który też przychodzi, w chwili, gdy Gizela, nieco zmieszana, że widziano jej zmartwienie, wyszła zmyć ślady łez. Od barona dowiadujemy się wtedy, że Gizela była nieszczęśliwą w pożyciu z mężem, zazdrosnym, który w przystępie tej namiętności zabił w pojedynku młodego Roberta Vindel, podejrzewając go o romans z jego żoną, co było mylnem. Od tej chwili Gizela rozstała się z nim i następnie została kochanką Ravardina. Stosunek jej z tym ostatnim trwa już od lat kilku. Dziś, pani Prieur doszła do wieku, w którym kobieta zaczyna rozumieć, iż nie może żyć dalej samą miłością i że trzeba zapewnić sobie poważanie, tak mało cennie, póki się ma młodość i piękność i gdy się jest kochaną, ale tak niezbędne, gdy miną lata tryumfów.

To też życzy ona sobie uregulowania tego stosunku do swego dotychczasowego przyjaciela. Tymczasem Wawrzyniec Bernard, który pozostał z nią sam na sam po odejściu gości, oświadcza jej swą miłość i prosi o rękę. Gizela odrzuca z oburzeniem jego oświadczenie i zabrania mu ją widywać. W tej chwili powraca Ravardin i widząc, że się coś święci, robi jej gwałtowną scenę. Nazajutrz, w najgorętszej chwili konstituowania nowego gabinetu, Gizela przybywa do Ravardina i stawia mu *ex abrupto* żądanie, by się z nią ożenił. Próżno biedny polityk, który ma teraz myśl zajętą czem innem, prosi o odłożenie tej kwestyi do czasu spokojniejszego — pani Prieur nie ustępuje. Chce natychmiastowego rozstrzygnięcia i stawia *ultimatum*: albo Ravardin ożeni się z nią zaraz, albo ona zrywa z nim wszelkie stosunki. Dlaczego Gizela jest tak natarczywą w chwili szczególnie do tego niestósownej, nie wiemy dokładnie, bo autorowie nie dali nam bliżej poznać ani jej uczuć, ani jej intencji. Wygląda to ze wszechmiar na postępowanie metresy, która ko-

rzysta z okoliczności, aby coś wyludzić dla siebie i grozi skandalem. W istocie zobaczymy zaraz, że idzie jej o co innego. Znając widocznie dobrze swego kochanka, przewidywała, że nie zgodzi się na jej żądanie i to będzie dla niej powodem zerwania, którego sobie życzy. Tak też dzieje się naprawdę. Ravardin pragnie zatrzymać ją, jako kochankę, ale nie chce się żenić, bo w przewidywaniu wysokich stanowisk, jakie go oczekują, nie życzy sobie żony „z przeszłością“. W ostateczności woli zerwać, niż zawiązać sobie przyszłość. Tylko nie daje on tak łatwo za wygraną, lecz obmyśla kombinację polityczną, którą stósuje do tego zajścia o charakterze wyłącznie uczuciowym. Domyśla się on, że to Wawrzyniec Bernard wchodzi mu w drogę, więc postanawia go przekupić, ofiarowując mu stanowisko ministra w swym gabinecie pod warunkiem, że się nie ożeni. Pomysł ten wydaje mu się genialnym, bo przecież kobietę w rodzaju Gizeli zawsze mieć można, ale sposobność zostania ministrem, marzenie każdego deputowanego, może się drugi raz nie trafić. Ale Wawrzyniec odmawia. Wtedy Ravardin, wobec tak niepojętego uporu, unosi się. Następuje wymiana obelg i skutkiem tego — pojedynek.

Pani Prieur, w której życiu pojedynek już był raz powodem przewrotu, jest przerażoną. Chce nawet doń nie dopuścić, chociażby to miało wywołać skandal. Ale pojedynek odbył się już bez szwanku dla nikogo. Ravardin, który strzelił w górę, powraca z przestrzelonym kapeluszem, dumny i uszczęśliwiony z rozgłosu, jaki mu przynosi ta sprawa i wobec którego małżeństwo z Gizelą dodałoby mu jeszcze więcej romantycznego uroku i popularności. Teraz więc on to z tryumfalną pewnością siebie proponuje Gizeli, by została jego żoną. Ale za późno — Gizela zostanie żoną Wawrzyńca, którego kocha. Ravardin, który pocieszy się w następstwie sukcesami politycznymi, nie opuszcza pola bez zemsty. Oto pozostaje aż do przybycia Wawrzyńca i ze szlachetnem wyrzeczeniem uczuć własnych, sam łączy zakochanych. Taka zdradziecka szlachetność Ravardina wywołuje również szlachetny odruch u Gizeli, która powstrzymuje Wawrzyńca, by się z nią nie żenił, wyznając mu, że była kochanką Ravardina. Tego właśnie on oczekiwał, a tylko nie przewidział zno-

wu wyniku swego podstępu, bo Wawrzyniec odpowiada, że wiedział o tem od wczoraj i powtarza swe oświadczenia o rękę Gizeli, która też nie daje się długo prosić. I kończy się to dla widza pewnem zdziwieniem, bo nikt nie przypuszczał, że Wawrzyniec nie wiedział o tym stosunku od początku, ani, że w środowisku, jakie tam widzimy, może to mieć jakiegokolwiek znaczenie. No i widać ostatecznie, że to tylko Ravardin ludził się co do tego. Ten cynik zdradza jeszcze, jak się pokazuje, spory zapas naiwności!

Jak zauważyliśmy na wstępie, komedia ta ma dwie strony: satyryczną i uczuciową. Strona uczuciowa zajmuje dużo miejsca, stanowi bowiem kanwę całej akcji i jej motyw główny, a mimo to wydaje się jakoby dodaną, niemal zbiteczną. Nie przywiązuje się do niej żadnej wagi, bo uczuć Ravardina nie można brać na seryo, a serca Gizeli nie znamy — dowiadujemy się cośkolwiek o jej uczuciach dopiero na końcu i dziwnie nas to mało obchodzi. Zaś co do Wawrzyńca Bernard, to rola jego w tych sprawach uczuciowych ma raczej charakter automatyczny. Tyle o stronie uczuciowej. Satyra, którą znajdujemy w tym portrecie politycznego karyerowicza republikańskiej Francyi, jakim jest ów Ravardin, zajmuje nas o wiele więcej. Ale, znając przekonania autorów, ich wstręt do tej kategorii bezczelnych wyzyskiwaczy narodu i do ustroju, który oddaje im kraj cały na łaskę i niełaskę, możnaby sądzić, iż właśnie chcieli oni dać odczuć i podkreślić całą niecność tej zgrai i zgubność systemu, na którym opiera się jej panowanie. I rzeczywiście, gdy się rozpatrzy pobudki i spo-o-by działania Ravardina, oraz warunki polityczne, w jakich to ma miejsce, zwłaszcza zaś, gdy się porówna to wszystko z tem, co jest nam znane z rzeczywistości i gdy się przekona, że jest to z życia wzięte, nawet bez istotnej prze-sady, lecz tylko w rysach skoncentrowanych, to niewątpliwie podzielać trzeba oburzenie autorów. Ale ta strona poważna satyry jest tu osłonioną komizmem. W postaci Ravardina przeważa charakter komiczny. Jeżeli dostrzegamy niską pospolitość jego duszy, jego bezwzględny egoizm i utylitaryzm, jego absolutny brak skrupułów, jego zupełne niepojmowanie, by można mieć inne dążenia, inne uczucia, niż te, które prowadzą do zadowolenia

wyłącznie tylko własnych pożądlwości, to znowu bezdenna naiwność jego pychy i jego cynizmu rozbraja nas, bo nas bawi. A wiadomo, że nie tak nie skłania do pobłażliwości, jak śmiech. Stąd to pochodzi, że satyra, obliczona na komizm a więc na śmiech nie tyle szyderczy, ile wesoły, jak ją widzimy wogóle w t. zw. *Revue* na temat polityczny, nie tylko nikomu nie zaszkodziła, lecz przeciwnie przyczynia się bardzo często do popularności ludzi najgodniejszych pogardy. Tak też do pewnego stopnia rzecz się ma z Ravardinem, dla którego mimowolnie odczuwa się ten rodzaj pobłażania, jakie się ma dla dziecka, które dopuściło się łakomstwa, ale którego naiwność przesadnej pożądlwości, w stosunku do przedmiotu, jaki tę pożądlwość wywołał, rozbraja i odbiera chęć wymierzenia mu zasłużonej kary.

Niemniej może to być uzasadnionem, jeżeli autorowie chcieli pokazać, że ci, którym Francya powierza swe losy, są to nie tylko ludzie bez czci i wiary, ale też skończone błazny. I to zapewne było celem autorów *La Crise*.

Sztukę pp. Bourgeta i Beaunier grano nader starannie w teatrze Porte-Saint-Martin, z wybornym artystą, p. Huguenet, w roli Ravardina. P. Huguenet oddał tę postać z doskonałym odczuciem wszystkich cech jej charakteru, ale być może, iż jego naturalnie sympatyczna powierzchowność i całe wzięcie przyczyniło się mimowolnie do przytępienia ostrza satyry i wywołania tego śmiechu, wśród którego dość łatwo zapomina się o oburzeniu. Rolę trochę niewyraźną Wawrzyńca Bernard odegrał p. Gauthier, starając się niezbyt skutecznie, zresztą nie ze swej winy, nadać jej charakter sympatyczny. Bo Wawrzyniec ma być tem, co w teatrze uchodzi za postać sympatyczną, jak to widzimy z jego zachowania się jakoby szlachetnego w stosunku do Gizeli i Ravardina. Jest on również politykiem, jak i Ravardin, tylko należy do kategorii polityków „nieszkodliwych“, jeżeli taka kategoria istnieje. A według autorów widocznie nieszkodliwymi są ci politycy, którzy się polityką nie zajmują. Monarchia francuska w okresie Merowingów miała swych „królów gnuśnych“ (*rois fainéants*), Republika dzisiejsza ma swych „posłów gnuśnych“ — mówi Wawrzyniec z pobłażliwą ironią, wskazując siebie i sobie podobnych. Zresztą o Wa-

wrzyńcu Bernard wiemy tylko, iż jest milionerem i z przekonania konserwatystą, co nie przeszkadza mu zasiadać w Izbie deputowanych pośród socyalistów zjednoczonych, nie dlatego, by przekonania swe umiał godzić z zasadami socyalizmu, lecz dlatego, że, aby być wybranym w okręgu, który reprezentowali jego ojciec i dziad, trzeba dziś być socyalistą. Wawrzyniec ustąpił życzeniom wyborców, którzy zwykli od paru pokoleń wybierać swych przedstawicieli w jego rodzinie. Pominiemy małe prawdopodobieństwo takiego przywiązania do dziedziczności u socyalistów, oraz roli odwróconej przy wyborze tego szczęśliwca, bo wiadomo, że wyborcy nie kierują się nigdy swą wolą, lecz wybierają tego kandydata, który umie lepiej się im narzucić, że zatem nie od nich wychodzi inicjatywa, kto ma być wybranym, lecz od kandydatów i ich popleczników. Ale trudno dopatrzeć się stron sympatycznych u tego, który wypiera się publicznie swych przekonań, by zostać deputowanym i bierze 15 tysięcy franków za to tylko, że odbija swe piętno na ławie poselskiej, którą to funkcję spełnia jeszcze niesumienne, bo unika bywania w Izbie, uważając nie bez słuszności, że można w Paryżu spędzić czas przyjemniej. Jednem słowem, należy on do tych posłów milezących, dla których jedynym celem zasiadania w Izbie jest pobieranie owych 15 tysięcy, z tą wszakże różnicą, że autorowie, by oddalić odeń podejrzenie cheiwości, czynią go milionerem. Nieszkodliwymi takich ludzi, pomimo ich roli „niemych z Seraju“, trudno nazwać, bo oni to właśnie swą obecnością i swemi głosami wspierają takich, jak Ravardin i przyczyniają się w pierwszym rzędzie do utrzymania w ich ręku władzy, ze szkodą kraju. Takim jest ów sympatyczny Wawrzyniec. Ale czy było potrzebne czynić go politykiem?

Baronem d'Artignes, rezonerem, który wydaje się trochę nie na miejscu w tem towarzystwie, był p. Bour. Wreszcie Gizelą była pani Jane Hading, która tej roli, już samej przez się mało przemawiającej, bynajmniej nie czyni ani wzruszającą, ani więcej pociągającą. Wogóle, z wyjątkiem pani Brandès w *Un Divorce*, obsada ról kobiecych w sztukach p. Bourgeta wypadła jak dotąd dość niefortunnie.

wyłącznie tylko własnych pożądliwości, to znowu bezdenna naiwność jego pychy i jego cynizmu rozbraja nas, bo nas bawi. A wiadomo, że nie tak nie skłania do pobłażliwości, jak śmiech. Stąd to pochodzi, że satyra, obliczona na komizm a więc na śmiech nie tyle szyderczy, ile wesoły, jak ją widzimy wogóle w t. zw. *Revue* na temat polityczny, nie tylko nikomu nie zaszkodziła, lecz przeciwnie przyczynia się bardzo często do popularności ludzi najgodniejszych pogardy. Tak też do pewnego stopnia rzecz się ma z Ravardinem, dla którego mimowolnie odczuwa się ten rodzaj pobłażania, jakie się ma dla dziecka, które dopuściło się łakomstwa, ale którego naiwność przesadnej pożądliwości, w stosunku do przedmiotu, jaki tę pożądliwość wywołał, rozbraja i odbiera chęć wymierzenia mu zasłużonej kary.

Niemniej może to być uzasadnionem, jeżeli autorowie chcieli pokazać, że ci, którym Francya powierza swe losy, są to nie tylko ludzie bez czci i wiary, ale też skończone błazny. I to zapewne było celem autorów *La Crise*.

Sztukę pp. Bourgeta i Beaunier grano nader starannie w teatrze Porte-Saint-Martin, z wybornym artystą, p. Huguenet, w roli Ravardina. P. Huguenet oddał tę postać z doskonałym odczuciem wszystkich cech jej charakteru, ale być może, iż jego naturalnie sympatyczna powierzchowność i całe wzięcie przyczyniło się mimowolnie do przytępienia ostrza satyry i wywołania tego śmiechu, wśród którego dość łatwo zapomina się o oburzeniu. Rolę trochę niewyraźną Wawrzyńca Bernard odegrał p. Gauthier, starając się niezbyt skutecznie, zresztą nie ze swej winy, nadać jej charakter sympatyczny. Bo Wawrzyniec ma być tem, co w teatrze uchodzi za postać sympatyczną, jak to widzimy z jego zachowania się jakoby szlachetnego w stosunku do Gizeli i Ravardina. Jest on również politykiem, jak i Ravardin, tylko należy do kategorii polityków „nieszkodliwych“, jeżeli taka kategoria istnieje. A według autorów widocznie nieszkodliwymi są ci politycy, którzy się polityką nie zajmują. Monarchia francuska w okresie Merowingów miała swych „królów gnuśnych“ (*rois fainéants*), Republika dzisiejsza ma swych „posłów gnuśnych“ — mówi Wawrzyniec z pobłażliwą ironią, wskazując siebie i sobie podobnych. Zresztą o Wa-

wrzyńcu Bernard wiemy tylko, iż jest milionerem i z przekonania konserwatystą, co nie przeszkadza mu zasiadać w Izbie deputowanych pośród socjalistów zjednoczonych, nie dlatego, by przekonania swe umiał godzić z zasadami socjalizmu, lecz dlatego, że, aby być wybranym w okręgu, który reprezentowali jego ojciec i dziad, trzeba dziś być socjalistą. Wawrzyniec ustąpił życzeniom wyborców, którzy zwykli od paru pokoleń wybierać swych przedstawicieli w jego rodzinie. Pominiemy małe prawdopodobieństwo takiego przywiązania do dziedziczności u socjalistów, oraz roli odwróconej przy wyborze tego szczęśliwca, bo wiadomo, że wyborcy nie kierują się nigdy swą wolą, lecz wybierają tego kandydata, który umie lepiej się im narzucić, że zatem nie od nich wychodzi inicjatywa, kto ma być wybranym, lecz od kandydatów i ich popleczników. Ale trudno dopatrzeć się stron sympatycznych u tego, który wypiera się publicznie swych przekonań, by zostać deputowanym i bierze 15 tysięcy franków za to tylko, że odbija swe piętno na ławie poselskiej, którą to funkcję spełnia jeszcze niesumiennie, bo unika bywania w Izbie, uważając nie bez słuszności, że można w Paryżu spędzić czas przyjemniej. Jednem słowem, należy on do tych posłów milczących, dla których jedynym celem zasiadania w Izbie jest pobieranie owych 15 tysięcy, z tą wszakże różnicą, że autorowie, by oddalić odeń podejrzenie chciwości, czynią go milionerem. Nieszkodliwymi takich ludzi, pomimo ich roli „niemych z Seraju“, trudno nazwać, bo oni to właśnie swą obecnością i swemi głosami wspierają takich, jak Ravardin i przyczyniają się w pierwszym rzędzie do utrzymania w ich ręku władzy, ze szkodą kraju. Takim jest ów sympatyczny Wawrzyniec. Ale czy było potrzebne czynić go politykiem?

Baronem d'Artigues, rezonerem, który wydaje się trochę nie na miejscu w tem towarzystwie, był p. Bour. Wreszcie Gizelą była pani Jane Hading, która tej roli, już samej przez się mało przemawiającej, bynajmniej nie czyni ani wzruszającą, ani więcej pociągającą. Wogóle, z wyjątkiem pani Brandès w *Un Divorce*, obsada ról kobiecych w sztukach p. Bourgeta wypadła jak dotąd dość niefortunnie.

Ale, pomijając to wszystko, sama postać Ravardina, bez względu na wszelkie zarzuty, jakie można jej uczynić, wybornie pomyślana w swym charakterze i świetnie interpretowana, nadaje sama jedna tej sztuce niepospolitą wartość i czyni ją prawdziwie zajmującą.

W sztuce p. t. *Le Ménage de Molière*, p. Maurycy Donnay wprowadza postać genialnego komedyopisarza i aktora na scenę, którą on stworzył. Za temat posłużyły autorowi nieszczęścia domowe i małżeńskie Molière'a. Rzecz opiera się zatem na wydarzeniach prawdziwych, dostrojonych tylko nieco i zestawionych w sposób, by nadać ciągłość akcyi i uwydatnić w odpowiednim świetle portret psychiczny głównej postaci. P. Donnay kierował się tu współczuciem dla cierpień autora *Mizantropa*, którym francuska literatura dramatyczna zawdzięcza to jedno z największych swych arcydzieł.

Ale zadanie takie nie było zbyt bezpiecznem, wypadło bowiem poruszyć okoliczności i szczegóły z życia Molière'a, nie przynoszące mu wiele zaszczytu i nie dające wysokiego wyobrażenia o jego charakterze. Molière w r. 1662 ożenił się, mając lat przeszło czterdzieści, z dziewiętnastoletnią Armandą Béjart, aktorką swej trupy i córką Magdaleny Béjart, również aktorki, która była jego kochanką, co dało powód do pogłoski, że Molière ożenił się z własną córką. Armanda wyszła za niego dla korzyści, jakie dawało stanowisko żony dyrektora i człowieka sławnego, ale go nie kochała. Jej zmienność, jej przewrotna natura i jej niewierność zatruiły ostatnie dziesięć lat jego życia, ale nie powstrzymały od tworzenia arcydzieł, gdyż wszystkie najlepsze jego komedye powstały w tym okresie. Rzecz zaczyna się w sztuce p. Donnay od umizgów Armandy, uchodzącej wówczas za siostrę Magdaleny, do Molière'a, który ulega urokowi pięknej dziewczyny i wpada w jej sidła, pomimo starań ostatniej, by do tego nie dopuścić. Sceny, które mu robi Magdalena są bezskuteczne; próżnym wreszcie okazuje się jej ostateczny argument, gdy mu wyznaje, że Armanda jest jej córką i nie odpowiada na pytanie, kto jest ojcem. Może sama tego nie wie na pewno? Miłość jest ślepa — Molière niechce wcho-

dzie w te szczegóły i trzyma się dokumentów, które czynią Armandę siostrą Magdaleny.

Armanda zostaje jego żoną. I wkrótce złośliwe przypowiednie Magdaleny sprawdzają się. Armanda, którą wyróżnia jej piękność, jest poszukiwaną przez najświetniejszych kawalerów dworu Ludwika XIV: Molière sam natrafia przypadkiem na jej schadzkę z księciem de Guiche, po królewskim przedstawieniu w Wersalu. W następnej scenie jesteśmy świadkami kłótni małżeńskiej. Armanda z naiwnym cynizmem opowiada swe spotkanie z Guichem. Molière wpada w gniew i zapowiada, że zabroni jej występować w teatrze, czem ją rozdrażnia do żywego. Teraz ona robi mu wyrzuty, wymienia komedyantki, które były jego kochankami, aż do Magdaleny, tak, że ludzie mogą sądzić, iż wyszła za swego ojca! Magdalena, która słyszy to wszystko, przybywa z sąsiedniego pokoju i stara się kłótnię załagodzić. Molière ostatecznie korzy się i przeprosta żonę. Ale ta nie przestaje w dalszym ciągu broić i klamać, tak, iż nawet mąż tak wytrwały znieść tego dłużej nie może. Skutkiem tego następuje między nimi przerwanie stosunków małżeńskich, ale się nie rozstają. Cały niemal akt wypełnia oczekiwanie Molière'a, który w tym okresie pracuje nad *Mizantropem*, na powrót Armandy ze schadzki miłosnej. Wkońcu słyhać jej kroki i piosenkę, którą nuci na schodach, ale nie wchodzi, lecz idzie na wyższe piętro. Molière rozgoryczony rzuca rękopis i skarży się na pracę w takich warunkach. W przedostatnim akcie nastąpiło zbliżenie pomiędzy małżonkami. Molière gra rolę Scapina w *Fourberies* i oddycha lżej po tyłu przejściach. Niestety niedługo jest jego radość, bo za chwilę natrafi na scenę zazdrości, jaką robi Armanda młodemu aktorowi nazwiskiem Baron, którego jest kochanką i który ją zdradza. Tym razem Molière jest pomszczony, bo Armanda cierpi, jak on, męki zazdrości, gdyż kocha Barona. I to zapewne wpływa na jego pobłażliwość, bo zamyka oczy na wszystko i udaje, że nic nie słyszał. Tu przy sposobności próby teatralnej z *Psyche*, wprowadza autor scenę epizodyczną z Piotrem Corneillem. Stary poeta-autor *Psyche* i przyjaciel Molière'a ma lat 65 i jest, jak wszyscy, pod urokiem Armandy, z tą tylko różnicą, że jego afekty są platoniczne. Ale

Armanda wmówiła w niego na żart, który on bierze na serio, że Molière jest o niego zazdrosny, więc, na chwilę po scenie Armandy z Baronem, której Molière był świadkiem, idzie przeproszać przyjaciela. Scena ta dzięki talentowi autora i taktowi p. Pawła Mounet, który odtworzył postać Corneille'a, wyszła szczęśliwie z tej próby, unikając karykaturalności, jaka jej tu groziła. Ale po co p. Donnay ośmieszył tem niepotrzebnie i niesłusznie tak szanownego poetę, którego nazwisko w istocie w sprawy małżeńskie Molière'a wmięszaniem nie było?

Wreszcie piąty akt, który wypełniają ostatnie chwile życia Magdaleny, przynosi, pod jej wpływem, pojednanie. Magdalena chce widzieć stroje swych ról, więc pokazują jej suknie, jedną po drugiej i w tej formie przesuwają się przed oczyma widza wszystkie dzieła Molière'a. Armanda nakoniec czuje się wzruszoną i prosi męża o przebaczenie, którego ten udzielił jej zawczasu. I na tem kończy się sztuka.

Autor miał do przewyciężenia niejedną trudność: utrzymać swego bohatera, pośród tak delikatnych okoliczności, w charakterze szlachetnym, nie skazić jego sławy, lecz dodać do otaczającej go aureoli promień męczeństwa, z uniknięciem śmieszności, przywiązanej do tego rodzaju cierpień moralnych — podkreślić różnicę, zachodzącą pomiędzy wynikającym stąd ukrytym stanem jego duszy, a charakterem komicznym jego twórczości i zaznaczyć tragizm takiego rozbratu pomiędzy naturalnymi właściwościami umysłu a bolesnym nastrojem wewnętrznym, pochodzącym z przyczyn zewnętrznych — wreszcie ze zlepku epizodów, nie zawsze wiążących się z sobą, uczynić nie szereg zestawionych obrazów, lecz całość jednolitą, dającą żywe odbicie danego okresu życia znakomitej postaci, bez zbytniego oddalenia się od prawdy biograficznej i bez naruszenia cech zasadniczych jej charakteru. Ze wszystkich tych trudności p. Donnay wyszedł zwycięsko i stworzył dzieło zajmujące i efektowne skutkiem świetnego tła, jakie mu daje pełna galanterii wspaniałość otoczenia dworu „Króla Słońca“, oraz styl, w umiejętnie i pięknie zastosowanej formie molierowskiego wiersza.

Trudna rola Molière'a przypadła p. Grand, co do którego gry zdania krytyki były nieco podzielone. Zważywszy jednak nie zupełną zapewne odpowiedniość do tej roli jego temperamentu, trzeba przyznać, że wywiązał się z niej dobrze, jeżeli nie koniecznien ku całkowitemu zadowoleniu wszystkich, co nie przeszkodziło mu wszakże zyskać sobie wielkich pochwał i żywych oklasków publiczności.

P. Paweł Mounet jako Corneille umiał nader szczęśliwie pogodzić naiwność zakochanego starca ze szlachetną godnością wielkiego poety.

Rolę Armandy, zarazem naiwnej w swej lekkomyślności i przewrotnej, odegrała z właściwą sobie delikatnością panna Leconte, kładąc większy nacisk na pierwszą z tych dwu właściwości, jako lepiej odpowiadającej jej własnemu charakterowi.

Magdalene, pomimo nikłości tej roli, godnie odtworzyła panna Cerny. Pociągającym aktorem o niestálych uczuciach był p. Guilhène w roli Barona.

Całość wreszcie interpretacyi, przy bardzo dobrej obsadzie charakterystycznych ról drugorzędnych, była, razem wzięwszy, godną i dzieła p. Donnay i Komedyi Francuskiej, która w tem przedstawieniu wskrzesiła największe swoje chwały.

Pod koniec minionego sezonu (w maju) na tejże znakomitej scenie ukazał się po raz pierwszy utwór dramatyczny, znany już ze scen bulwarowych od lat blisko trzydziestu. Takie opóźnienie ze strony Komedyi Francuskiej może dziwić, gdy zwłaszcza się zważy, że dzieło, o którym mowa, jest podpisane jednym z najslawniejszych i najbardziej popularnych, choć na innem polu, nazwisk, w literaturze francuskiej końca XIX wieku. Utworem tym jest *Sapho* Alfonsa Daudeta, sztuka w 5 aktach, przerobiona z jego słynnego romansu pod tymże tytułem, przy współpracownictwie Adolfa Belot. Grana najpierw w r. 1885 w teatrze Vaudeville z p. Jane Hading w roli tytułowej, wznowiona w r. 1893, w tymże teatrze, z panią Réjane, miała, jak to wskazują sprawozdania ówczesne, duże powodzenie. I niewątpliwie na nie zasługiwała, jak zasługuje na to i dzisiaj, pomimo pewnych głosów krytycznych, odmawiających jej wartości na tej zasadzie, iż jest żywcem.

zaczepniętą z romansu, a nie pomyślaną na nowo. Byłby to zarzut słuszny, gdyby *Sapho*, jako dramat, była mechanicznem zestawieniem obrazów, wyjętych z powieści, bez istotnego związku ze sobą. Ale tak nie jest. Prawda, że ta sztuka nie jest na nowo i niezależnie pomyślaną, jako utwór dramatyczny. Co więcej, zawiera całe ustępy dosłownie powtórzone z powieści. Niemniej posiada ona jedność i łączność, nie tyle może w samej akcji zewnętrznej, ile w rozwoju wzajemnego ustosunkowania uczuciowego postaci głównych i w walce wewnętrznej, jaka toczy się w duszy jednej z nich. To wystarcza, by dać utworowi dramatycznemu właściwą mu wartość i dowodzi siły i żywej plastyki dramatycznego pierwiastku zawartego w powieści, która w tego rodzaju przeróbce dała się z takim skutkiem przenieść na scenę. Do dawnego powodzenia *Sapho* przyczyniły się też bardzo wiele artystki które grały rolę główną — pp. Hading i Réjane, które, każda w swoim rodzaju, nadawały się wybornie do charakteru postaci. Jak to zaraz zobaczymy, nie można powiedzieć tego samego z powodu dzisiejszego wystawienia tej sztuki na scenie Komedyi. *Sapho*, to imię, nadane w kołach artystycznych pięknej Fanny Legrand, która pozowała do posągu, wyobrażającego lesbijską poetkę. Ale właściwiej jeszcze, niż *Sapho*, nazwałaby ją można Kalipso lub Cyrce, z powodu dziwnego czaru fizycznego, jakim potrafiła podbić i ujarzmić wszystkich mężczyzn, którzy się do niej zbliżyli. Wszyscy, którzy mieli sposobność doznać na sobie działania jej uroku, potracili dla niej głowy, a jeden z nich nawet cześć, gdy dla zadowolenia jej kaprysów popełnił fałszerstwo i dostał się do więzienia. Ale *Sapho*, pomimo tak specjalnych zdolności, nie jest kurtyzana, wielką i słynną, jak te, które mieszkają w pałacach, rozpierają się w eleganckich ekwipażach i przebierają jak w ulegalkach w złotej młodzieży i w starych lecz podatnych do oskubania birbantach. Fanny Legrand, córka prostego ludu — ojciec jej jest doróżkarzem — nie miała sposobności zrobienia takiej kariery. Od początku dostała się do mało zasobnej sfery młodych artystów, poetów i studentów i w tym mocno ograniczonym światku zużytkowywała świetne dary, jakich nie pożałowała jej natura i które, w warunkach właściwych

mogłyby jej przynieść berło wielkiego półświatka. Zresztą jej ambicya nie sięgała może nawet tak wysoko. Przy tym szczególnym darze zmysłowego przykuwania mężczyzn i zmiennych gustach grisetki, miała ona zamilowania gospodyni, pragnęła być u siebie panią domu w znaczeniu średniomieszczańskiem i tego rodzaju życia zaznała już z tym właśnie nieszczęśliwym drzeworytnikiem, aż do chwili, gdy biedak dostał się do więzienia. Z licznych kochanków, tego jednego, z którym miała dziecko, kochała też naprawdę, o tyle, o ile jej natura na wskrós zmysłowa pozwalała na uczucie trwalsze, niż namiętne uniesienia krwi gorącej i nie-nasyconej. To też, pomimo, iż wierną mu nie pozostała, zachowała dlań współczujące wspomnienie.

Ale tymczasem, wkrótce po tej katastrofie, na balu kostyumowym artystów, poznała młodego studenta prawa, Jan Gaussin, który uległ natychmiast jej urokowi i piękności, jaką podnosił jeszcze w sposób oryginalny jej strój egipski. Po balu Jan Gaussin zabrał ją do siebie. Ale stosunek ich, choć bardzo gorący, nie trwał długo. Młody człowiek ukończył swe studia i wyjechał na wakacye do Prowancyi, swego kraju rodzinnego, z zamiarem przygotowywania się w następstwie na stanowisko konsula handlowego, jakie zajmował jego nieboszczyk ojciec. Sierota, wychowany w domu poczciwego wieśniaka swego wuja, przez ciotkę, kobietę doskonałą, przy pozorach nieco szorstkich i męskiej energii, Jan Gaussin miał dla niej przywiązanie, połączone z podziwem, kult, jaki syn może mieć dla matki, którą nie tylko kocha instynktownie, ale ceni w niej wysokie i rzadkie przymioty serca i charakteru. To też oboje mają lzy w oczach, gdy w pierwszej scenie, od jakiej rozpoczyna się akcyja sztuki, rozstają się na czas dłuższy. Po wakacyach wujostwo zainstallowali Jana w Paryżu w wygodnem kawalerskiem mieszkaniu, gdzie pozostanie, by przygotować się do egzaminu na konsula, aż do czasu otrzymania posady w krajach egzotycznych. Teraz powracają do domu i zabierają ze sobą młodszą kuzynkę, sierotę, wychowywaną w klasztorze pod Paryżem na ich koszt, aby zajęła opróżnione przez wyjazd Jana miejsce w ich domu. Zaledwie odjechali i Jan, po chwili melancholijnej zadumy, zabrał się do swych studiów, wsuwa

się przez drzwi nie zamknięte młoda kobieta. Jan podnosi głowę i ze zdumieniem poznaje tę Sapho, którą znał zaledwie z kilku uścisków i której nie wie nawet prawdziwego nazwiska. Przyjmuje ją zimno i niechętnie, bo gdy myśl siłą woli skupił w treści czytanej książki, serce jego jest jeszcze przepełnione tą dobroczynną atmosferą rodzinną, którą unieśli ze sobą ci tak mu bliscy dobrzy ludzie. Uczucia, które opanowują w tej chwili całą jego istotę, są dalekie od amorów i żądz zmysłowych. Ale próżno tłumaczy się pracą — Sapho zapewnia, że mu nie będzie przeszkadzać i prosi, by jej pozwolił usiąść w kąciaku. Nie przeszkadzać! Tak się to mówi. Sama obecność młodej kobiety, która tak niespodzianie wtargnęła do jego nowej siedziby, rozrywa myśl Jana, więc rzuca książkę i odpowiada półsłówkami na jej pytania, jak gdyby oczekiwał jej wyjścia. Tymczasem Sapho rozgląda się po mieszkaniu, spostrzega, że jest kuchnia, robi uwagę, że można tu wygodnie mieszkać we dwoje, zachwala swe zalety gospodarskie, swój talent kulinarny, swą praktyczność i oszczędność, przymawia się Janowi, by ją zachował, jako gospodynię a czyni to zarazem natrętnie i nieśmiało z taką uległą i pełną obietnicę zalotnością, z takim błagalnym akcentem, że młody człowiek, który się opiera, pomny przestrogi ciotki Divonny, by zachował serce świeżem i niezależnem, wolnem od tych pokątnych stosunków, które je wyjaławiają, przynoszą zawód i gorycz i zdolne są skrzywić życie człowieka na zawsze, daje się powoli zmiękczyć. Boć wreszcie dlaczego nie spróbować? Sapho jest czarującą i tak pełną, że byłoby barbarzyństwem wyprosić ją za drzwi. Zresztą jest on dość pewnym siebie, by miał się czego obawiać i nie ma zamiaru wiązać się na dłużej. Po takim krótkim rozumowaniu, młody Prowansaleczyk, który nie zna przeszłości Sapho i nie wie, że jest ona właśnie tem, co się nazywa pospolicie *une femme collante*, widzi w tem wszystkim już tylko idyllę przyjemną, ale nie winną i w żadnym razie niczem poważniej nie grożącą. Tak się wogóle zaczyna wszelki *collage* — strony ujemne takiej idylli dają się uczuć później. Tymczasem jest ona w pełni rozkwitu i trwa o wiele dłużej, niż to przypuszczał z początku Jan Gaussin, gdy widzimy oboje kochanków na pod-

wieczorku, w altance podmiejskiej restauracyi, gdzie przybywają artyści zabawić się i odetchnąć świeżem powietrzem w towarzystwie młodych kobiet. Sapho, która lubi gospodarstwo, idzie ze służącą do kur. Podczas jej nieobecności przybywa grupa artystów, a z nimi niejaki Déchelette, konsul, który większą część roku spędza w Marokku, w zupełnem odosobnieniu od świata cywilizowanego i nagradza sobie to podczas urlopu spędzonego w Paryżu i w eleganckich miejscach kąpielowych, używając po epikurejsku wszystkiego, co daje wysoka kultura, co jest wytworne, wyszukane, co piękne lub przyjemne, począwszy od sztuk, literatury, towarzystwa a skończywszy na uciechach zmysłowych — ucztach w rodzaju tych, w jakich celowali starożytni, i kobietach. Zasadą jego jest: „Wszystkiego używać, do niczego się nie przywiązywać“. I to jest koniecznem przy jego rodzaju życia, bo gdyby się do czegokolwiek przywiązał, nie mógłby już powrócić do warunków pierwotnych, gdzie powołują go obowiązki. Zasadę tę zwłaszcza najściślej stosuje do kobiet, u których poszukuje wyłącznie wrażeń zmysłowych. Aby nie dopuścić do powstania uczuć, któreby mogły stanowić dlań choćby najłżejsze więzy, nie chce znać bliżej tej samej kobiety dłużej nad dwadzieścia cztery godzin. I oto widzimy go w towarzystwie młodej dziewczyny Alicyi Doré, która nie dowierza i zresztą nie bardzo rozumie tej teorii, wykładanej przez jej przygodnego przyjaciela zgromadzonym, a zwłaszcza Janowi, który znając Déchelette'a przyłączył się do towarzystwa. Wśród tego, ktoś wspomniał o rytowniku, skazanym za fałszerstwo, którego się dopuścił z powodu kobiety. Stąd, nie wiedząc, że Sapho jest kochanką Jana, bo ta zręcznie potrafiła oddalić go od przyjaciół, a zwłaszcza od tych, którzy mogli znać jej historię, zaczęto mówić o jej sprawkach i Jan dowiedział się wtedy szczegółów, jakich się nie domyślał. Ogarnęło go wielkie oburzenie na kobietę, która go w tak niegodny sposób okłamywała. Więc, w przystępie gniewu, postanawia zerwać z nią natychmiast, i aby być pewniejszym wykonania zamiaru, odchodzi, nie czekając jej powrotu. Tymczasem Sapho wraca i widząc dawnych znajomych oraz spostrzegając nieobecność Jana, domyśla się, co się stało, robi im gorzkie wymówki i jest blizką

szalu. Ale po chwili Jan powraca, chwyta go więc pod rękę, przyciska się do jego ramienia i odchodząc wraz z nim obrzuca wszystkich tryumfującym i wyzywającym spojrzeniem, w którym odgaduje się te słowa: „On jest mój! Kto ośmieli się mi go odebrać!”

Za jej namową, Jan wynajął dom z ogrodem w miejscowości podmiejskiej, gdzie zamieszkali. Ale, od pamiętnego zajścia, nie ma już między nimi zupełnej zgody. Jan jej nie ufa, jest zazdrosny, myśl o jej przeszłości jest mu nieznośną. Drażni go również towarzystwo jakiejś niemłodej pary małżeńskiej sąsiadów, państwa Hettema, zwłaszcza gdy dowiedział się, że pani Hettema jest dawną grisetką, znaną niegdyś w Quartier Latin pod imieniem Pellicule, o której nasłuchiwał się tyle razy od wuja, gdyż była w swoim czasie jego kochanką. I mimowolnie śmiech go bierze, pomimo swych utrapień, na myśl, jakie wrażenie zrobiłaby na wuju ta karykaturalna matrona, była Pellicule, którą ten wspomina dotąd, jako jedną ze swych zdobyczy lat młodych!

Więcej jeszcze drażnią go wizyty papy doróżkarza, a najbardziej ze wszystkiego obecność małego Józia, dziecka zgubionego, które Sapho, zresztą za jego zgodą, przytuliła. Dziecko to budzi w nim podejrzenia, czyni go drażliwym i niespokojnym. Ale Sapho jest uległą, wypełnia jego kaprysy i wymagania, posuwa się aż do spalenia paczki dawnych listów, nie wyłączając nawet jednego, który jej był drogim i przed którego spaleniem zawahała się. To wszystko jednak nie pomaga. Jan jest nie swój, spory i kłótnie wynikają między nimi o byle co. Wreszcie pewnego dnia dowiaduje się, że ów rytownik wyszedł z więzienia, że Sapho widuje go potajemnie i że mały Józio jest ich synem. To przebiera miarę. Następuje gwałtowna scena zerwania. Sapho, z początku spokojna, bo nie wierzy w stałość postanowienia Jana, wpada w uniesienie, gdy ten żąda swej walizy. Wtedy wśród wzajemnych wyrzutów, słusznych i niesłusznych, odbywa się gorączkowe pakowanie jego rzeczy, które Sapho rzuca mu w największym nieładzie przez szerokość pokoju. I w tej gorączce do tego stopnia nie zdaje sobie sprawy z położenia, iż jest w stanie wyrzekać na nie-

porządek, jaki przyczynia ten wybryk Jana, w rzeczach, które dopiero co tak porządnie ułożyła! Na tej scenie kończy się akt trzeci.

W czwartym, który przedstawia posiadłość wuja Cezarego, spuszcza ją się tarasami do Rodanu, z cudną perspektywą na rzekę, most starożytny i piętrzące się w dali, na przeciwnym brzegu, najeżone basztami i wieżami miasto Papięzy, widzimy Jana w stadium duchowej rekonwalescencji. Poczciwe serca wujostwa, delikatne starania ciotki Divonny, długie przechadzki pośród pól w towarzystwie jej wychowawcy młodzieńki, Ireny, niewinne, ale współczujące spojrzenia jej modrych oczu i chwytający urok swojskości rodzinnego kraju działają na świeże jeszcze jego rany sercowe, jak cudowne leki. Ból jeszcze nie ustąpił, ale odzywa się coraz słabiej i przyjdzie chwila, że ustąpi niknącemu wspomnieniu jakoby minionego bezpowrotnie snu, aż zatrze się zupełnie. Czy chwila ta już nadeszła, czy uprzedzając ją, Jan chce się chwycić kotwicy zbawienia, która potrafi zatrzymać go przy jasnym brzegu? Dość że, po wzajemnych wyznaniach, zostaje narzeczonym Ireny. Od chwili rozstania, Sapho przysyła codziennie błagalne, pełne gorącego uczucia listy, które pozostają bez odpowiedzi, bo Jan ich nie dostaje. Odbiera je, z jego upoważnienia, i sam tylko je czyta wuj Cezary. W dniu, w którym Jan odgrodził się od przeszłości najsilniejszą zaporą nowych uczuć i zobowiązań, list Sapho szczególnie zafrasował Cezarego. W liście tym donosi Janowi opuszczona, że nie mogąc znieść dłużej jego milczenia jedzie sama do Avignonu i musi się z nim widzieć. Co tu robić? Wuj Cezary rozmówi się z nią w hotelu i ofiaruje pieniężne odszkodowanie. Za wszelką cenę trzeba nie dopuścić, by tu przybyła. Tak się też dzieje. Ale wkrótce Cezary powraca wzruszony i oznajmia, że Sapho odrzuciła z oburzeniem wszelkie odszkodowania, że chce koniecznie widzieć Jana i zaręcza, iż się to nigdy więcej nie powtórzy. Za chwilę więc tu będzie. Jan pod puklerzem świeżych uczuć jest pewien siebie, przyjmie ją sam, bo wie, że czar jej nie może nań już działać.

Przychodzi Sapho, smutna, zmieniona, znać na niej noce bezsenne, twarz jej jest od łez wyżłobiona. Spokojnie, na-

turalnie opowiada Janowi męczarnie tęsknoty, która toczyła jej serce od jego odjazdu, jej nadzieję, że powróci i nieustanne oczekiwanie każdej chwili czy to ujrzenia jego samego, czy to listu z zapowiedzią powrotu, i ciągły zawód, którego dłużej znieść nie mogła. Teraz go błaga, by choć czasem ją widywał, by jej nie opuszczał zupełnie, by nie odmówił jej tej jałmużny, bo ona bez niego żyć nie może. Chce go objąć za szyję, ale Jan ją odpycha, więc pada przed nim na kolana, czepia się jego odzienia, w gorączce rozpacz czy tarza się w prochu. Ale na próżno. Jan oznajmia jej, że wszystko musi być między nimi zerwane, bo jest narzeczonym. I biedna Sapho mdleje. Wyprowadzają ją na wpół bez czucia.

W tej chwili przybywa Déchelette. On spokojny, zadowolony i pewny siebie Epikurejczyk, wygląda dziś jak z krzyża zdjęty. Co mu się stało? Na pytanie obecnych, opowiada, co zaszło. Oto wbrew swej zasadzie, przeciągnął swój stosunek z Alicją Doré przez kilka tygodni. Był z nią u wód i nad morzem, wreszcie odwiózł do Paryża, odprowadził ją do domu i tu swoim zwyczajem pożegnał ją na zawsze. Gdy schodził ze schodów, Alicja, która pożegnała go spokojnie, zawołała doń: „Spiesz się, bo będę przed tobą na dole“. Déchelette nie zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć. Gdy znalazł się na dole, usłyszał nagle ciężkie uderzenie o kamienie bruku, jakoby z wysoka spadającego ciężaru. Tknięty złowrogiem przeczuciem wybiegł na ulicę i ujrzał przed domem w kałuży krwi nieszczęśliwą Alicję, która podniosła na niego gasnące, pełne bolesnego wyrzutu spojrzenie i wyzionęła ducha. Odtąd nieszczęśliwy chodzi jak błędny i nie może sobie znaleźć miejsca. Wyrzuty sumienia, zgryzota i rozpacz trawia go. Czeką go obłąd lub samobójstwo. I oto, gdzie zaprowadziła go egoistyczna teoria, której zresztą, gdyby trzymał się ściśle, możeby uniknął katastrofy. Ale kto może ręczyć za własne serce, a cóż dopiero za serca drugich, których on nie brał w rachubę? Opowiadanie Déchelette'a wywołało na Janie bardzo silne wrażenie. Przed chwilą niewzruszony wobec ataku, jaki wytrzymało jego serce, czuje się teraz trochę zachwianym w swej pewności siebie.

Gdybyż Sapho miała uczynić to samo? Ale wuj uspakaja go. Gdyby wszystkie kobiety miały się zabijać w takich okolicznościach, toćby oddawna zabrakło kobiet w Paryżu.

Piąty akt jest zakończeniem prawie bez akcyi, ale mimo to pełnem głębszego wyrazu.

Wnętrze domu podmiejskiego, gdzie mieszkali Jan i Sapho. Na dworze ponuro, śnieg. Wewnątrz pusto i zimno, meble powynoszone, zostaje jeszcze tylko kanapa. Służąca zabiera walizki. Sapho opuszcza to gniazdo krótkiej miłości i długich utrapień. Dom jest do wynajęcia. Naraz ktoś wchodzi. Służąca zdziwiona, poznaje Jana i biegnie oznajmić tę nowinę swej pani. Sapho przychodzi nieco roztargniona. Jan, jak gdyby się nigdy nie rozstawali, oświadcza jej, że otrzymał miejsce konsula w dalekich krajach, wyjeżdża zaraz i zabiera ją ze sobą.

A narzeczona? — zapytuje Sapho. Narzeczona? Biedne dziewczę było bezsilnem przeciw potędze namiętności. Jan tłómaczy to: „Obawiałem się dla Ciebie losu Alicyi Doré!“ Ale rytownik, który chce się z nią ożenić? To już postanowione. Co z tem zrobić?

Jan każe jej pisać do niego natychmiast, że zrywa wszystko. Sam zaś zmęczony, bo noc spędził w wagonie, kładzie się na tej jedynej kanapie. Sapho okrywa go starannie i całuje w głowę. „Czy piszesz?“ zapytuje Jan, usypiając. „Piszę, śpij spokojnie“ — odpowiada Sapho. I rzeczywiście pisze te słowa na skrawku papieru: „Pisałam do Ciebie błagalne listy, padłam Ci do nóg, znosiłam męczarnie tęsknoty i zazdrości, wylałam potoki łez, zaznałam rozpacz i próbowałam się otruć — tyś nie dał się wzruszyć. Teraz już za późno. Idę, gdzie mnie powołuje przeznaczenie i obowiązek — do tego, który jest ojcem mego dziecka“. Napisawszy to, Sapho kładzie kartkę obok śpiącego i wysuwa się na palcach. Tak kończy się ten dramat, rozpoczęty jak idylla, od zabawy, po przejściu przez wstrząsające fazy tragedyi. I głębokiem jest też to niedokończone zakończenie, pozostawiające widza pod wrażeniem sceny, przebudzenia się Jana, której nie widząc, naprzód odczuwa jej grozę.

Jestto tragedia dwóch istot, które nie mogąc żyć ze sobą, nie mogą też żyć bez siebie. Wszystko je rozdziela:

wychowanie, pojęcia, uczucia, dążenia, warunki i reguły społeczne i moralne, a z drugiej strony popycha je ku sobie jakaś tajemnicza siła, zwana, nie zawsze ściśle, namiętnością i wiąże, nawet wbrew ich woli i wrodzonym skłonnościom, fatalnym węzłem, który można rozciąć, ale rzadko kiedy rozwiązać. Alfons Daudet powieść swoją, która zawiera ten dramat, zadedykował swym synom, gdy będą mieli lat dwadzieścia. I rzeczywiście jest tu przykład dla młodych ludzi, odstrasżający od tych lekkomyślnie zawiązywanych stosunków, które nieraz ciężko ważą na ich życiu następnem, a narażenie szybko stają się codzienną i często poniżającą torturą. Ale jak mało znaczy przykład i doświadczenie drugich, gdy wchodzi w grę namiętność lub przeznaczenie!

Rolę Fanny Legrand, którą niegdyś odegrała p. Jane Hading z namiętną siłą, a p. Réjane z realnem zrozumieniem pospolitej trywialności, w jakiej wyraża się burza uczuć dziecka paryskiego bruku, oddano w Komedyi Francuskiej, podobno na jej usilne życzenie, pannie Sorel, wytwornej artystce, uosabiającej dystynkeyę wysokich sfer, gdzie najgwałtowniejsze wybuchy nie mogą przekroczyć pewnych zaznaczonych przez kulturę granic, nawet wtedy, gdy posuwają się do obelgi lub zabójstwa. Panna Sorel jest artystką wysokiej miary, więc pomimo tej niestósowności swych naturalnych właściwości, odtworzyła rolę Sapho z prawdziwym artystem, zdobyła się nawet w drugim akcie, w restauracji podmiejskiej i później w scenie zerwania na pewną pospolitą gwałtowność, a w scenie rozstania zwartego aktu (pod Avignonem) na szal namiętnej rozpaczy, jakiego się po niej nie spodziewano. Ale wszystko to było jakoby transponowane o kilka tonów wyżej, pod względem dystynkeyi, w stosunku do prawdy realnej, tak w obejściu, jak i w elegancji strojów, co raz przyjąwszy, trudno było nie uznać pięknej sztuki i wysokich zalet takiej interpretacji i nie uleść jej urokowi. P. Grand, pierwszy kochanek, również z natury więcej światowy, dostroił się w roli Jana do dyapazonu swej partnerki, ale odegrał ją, jak wogóle, z bardzo dobrem odczuciem charakteru postaci, kładąc może nadto nacisk na zazdrość, a nie dość na zniechęcenie i obrzydzenie, wynikające z niestósowności warunków i fałszywego położenia, w ja-

kiem się postawił. Ale też wpłynął na to ten pewien brak pospolitości w całym nastroju interpretacji sztuki, któremu nadała ton swą grą panna Sorel, co utrudniło zaznaczenie różnic społecznych, zachodzących pomiędzy Janem a Sapho i jej otoczeniem. Nawet papa-dorózkarz (p. Garay) był dorózkarem trochę salonowym. Nieocenionym za to i zupełnie w swej roli był p. Siblot, jako wuj Cezary, poczciwy z kośćciami, ale nieco słabego charakteru południowiec, prowadzony przez żonę na pasku, jak dziecko; wesół, towarzyski, trochę chępliwy, lubiący popisywać się swemi sukcesami z czasów studenckich u kobiet i opowiadający Janowi, w wielkim sekrecie przed żoną, po sto razy historię owej Pellicule, swej niegdyś kochanki. Awantura siostrzeńca zajmuje go i bawi, jak romans. Odczytuje listy Sapho z zacięciem i jest dumny z roli, jaką przy tem odgrywa. Gdy Sapho przyjechała do Avignonu, idzie, aby rozmówić się z nią stanowczo, w takim podnieceniu, że Jan musi mu zalecać, by nie był nadto brutalnym, ale na widok cierpienia pięknej dziewczyny, mięknie jak воск i byłby zdolniejszym ją pocieszać, aniżeli w czemkolwiek się jej sprzeciwić. Pani Roch dała bardzo naturalną sylwetkę zacnej i energicznej ciotki Divonne.

Z pozostałych ról, odznaczyli się: p. Mayer, jako Déchelette, pp. Numa i Bernard, w postaciach epizodycznych, panny Maille i Lifraud, jako Alicya Doré i Irena, wreszcie pani Kolb, typowa w swej roli zamężnej ex-kokoty, pani Hetteema, dawnej Pellicule. Razem wzięwszy, całość przedstawienia, z zachowaniem wyżej wyrażonych zastrzeżeń, wypadła bardzo zajmująco.

Konrad Ostrowski.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika literacka.

— X. Dr. Tadeusz Kruszyński: *Stary Gdańsk i historia jego sztuki*. (Kraków, 1912. Nakładem Księgarni wydawniczej J. Czerneckiego w Wieliczce, str. 137). — Sto podobno lat temu, jak Sędzia z *Pana Tadeusza* mówił: »Niech żyje miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze«, a tę sympatyę do »północnej Wenecyi« zachowaliśmy i my, terazniejsi. A kochamy to miasto nie tylko dlatego, że po za chwilowemi buntami, tak wiernie zawsze stało przy Rzeczypospolitej, nie tylko dlatego, że tak serdecznie nie cierpiało buntnego, krzyżackiego Zakonu, ale lubimy je i kochamy za to, że piękne, że oryginalne, że chociaż z dawien dawna w mowie i piśmie niemieckie, przecież od innych miast niemieckich, zwłaszcza w Prusiech Królewskich, zgoła jakieś inne, jakieś przystępne, swojskie, jakieś »familiijne«. A piękne ono bardzo! Kto patrzy na nie od strony morza z parowca, ten oczu odebrać nie może od szczytów wieżyc, od okrętowych masztów i reji. Czasem obsiada morze gęsta mgła. Wówczas patrzącemu zda się, jakoby miasto całe w górę się podniosło, fundamenta i podstawy otuliło i zakryło w mglistym obłoku, i tak, jak okręt wspaniały, którego kadłub w wodzie zanikł, a tylko maszty i szczyty widne dla oka, unosiło się nad niezmiernym, nieobjętym przestworem. Istna wizya — marzenie senne!

Ladny Gdańsk, jako całość — nie mniej piękne i cenne jego szczegóły, jego kościoły od Maryackiego począwszy, jego budowle świeckie, jak ratusz, Artushof, jego drobnostki, jak gdańskie szafy i warowne bramy, ba, nawet kuchnie i ich urządzenia.

Żeby to odczuć i podziwiać naprawdę, trzeba tam być, a warto być koniecznie. Polacy podróżować lubią i podróżują, i czyniąc tak, czynią dobrze. Jeden tylko w tych podróżach popełnia kardynalny błąd i grzech. Oto najpierw zwiedzają Paryże, Londyny, Szwajcaryę, Włochy, na końcu do-

piero poznają Warszawę, Wilno, Poznań, Gdańsk, Kaszuby. Dobrze jeszcze, gdy choć »na końcu« zaszczyca obecnością swoją ojezyste miasta. Iluż bowiem takich, którzy po tysiąc-kroć razy wolą pojechać do Danii nawet, na fiordy norwęgskie, a o szmat ziemi polskiej nie zawadzą wcale. Bo i po-co? — powiadają — »tam« przecież »ciekawego« czegoś i nowego niema zgoła nie.

Nie dysputujmy z takimi jednostkami. Zostawmy ich kulturze i gorącemu patryotycznemu sercu przynajmniej Wiedeń i Ronachera, wyścigi zagraniczne i znajomość obcej stadniny.

Do Gdańska warto jechać i trzeba jechać koniecznie, choćby z tej także przyczyny, że jadąc do tego miasta, można wygodnie i tanim kosztem zwiedzić najważniejsze miejscowości tak Szląska, jak i Wielkopolski, jak wreszcie poznać znaczną i piękną część Prus Królewskich, otrzeć się w końcu o »prawdziwych« Kaszubiaków. Wrocław, Poznań, Gniezno, Toruń, Malborg, Gdańsk, Oliwa, Puck, Gdynia, półwysep Hela, w drodze powrotnej znów inne miejscowości, oto najważniejsze i najgłówniejsze etapy podróży, gdzie trzeba się zatrzymać, trzeba z pociągu wysiąść bodaj na parę godzin, jeśli niema czasu na dni.

Podróż to dla duszy Polaka zapewne że nie radosna i nie wesola. Na każdym kroku jeden wyraz: Niewola, i drugi butny, niemiecki: Ja tu pan!! Tak jest wszędzie, z wyjątkiem może właśnie Gdańska, mimo, iż miasto to od wieków niemieckim żyło językiem. Głębokie to spostrzeżenie uczynił już St. Tarnowski, pisząc swe przepiękne wrażenia z podróży. W książce p. t. *Z wakacji* (1888 r.) w tomie II (str. 132) pisze, co następuje: »Orły na budynkach, parę tysięcy biedaków, jeden dom polski i to dom bezdzietny, oto co zostało! Gdzie Kazimierz Jagiellończyk, gdzie Batory, gdzie choćby ten Leszczyński tak wiernie przez Gdańszczan broniony? Smutno? A przecie mimo to wszystko lubi się to miasto, nie za jego przeszłość tylko, ale i za teraźniejszość. W teraźniejszości bowiem człowiek nie czuje się tu w Prusiech. Jest w Gdańsku, miście niemieckiem, którego ludność zawsze niemiecką była, to go ani dziwi, ani gniewa: owszem, czuje jakąś dobrą wolę, jakąś sympatyę do tych Niemców, myśląc, że zawsze mogą tleć między nimi choć przygasłe iskry tego ducha, co ożywiał prace Lengnichów lub Janockich, a obronę stronników Leszczyńskiego. Ale Berlina, Prus, Fryderyka, jakos się tu nie czuje; wpływ ten — jeżeli to nie złudzenie — nie zeszpecił Gdańska, ani go zepsuł, i tu Polak nie czuje się ani między nieprzyjaciółmi, ani nieprzyjacielem; owszem, przybywa i odjeżdża z miłem uczuciem, z dobrą wolą, z serdecznem życzeniem, żeby Bóg szczęścił szlachetnemu miastu, które się tak pięknie rozwinać i tak dobrze zachować umiało«.

Najzupełniejsza prawda w tych pięknych a bezstronnych słowach — doznaje jej na sobie każdy, który do Gdańska zaglądnął bodaj raz. Ustęp Tarnowskiego, odnoszący się w cytowanej książce do opisu i odebranych wrażeń z Gdańska, jest doskonały a jeśli się nie mylę, był do tej pory jedynym, obszerniejszym szkicem, przez nas po polsku napisanym, mówiącym o Gdańsku, jego historii, sztuce, piękności i charakterystycznych cechach.

Niemcy o mieście tem mają monografij sporo, niektóre wcale dobre, nawet nieszwiniestyczne. U nas w Polsce monografia taka wychodzi po raz pierwszy, a pisze ją właśnie, jak zaznaczono na nagłówku, X. Dr. Tadeusz Kruszyński.

Ze szkicem St. Tarnowskiego o Gdańsku a raczej o »Prusach Królewskich« książki tej porównać nie można, jakkolwiek mają jedną cechę wspólną, a jest nią przedmiotowość w opowiadaniu, oraz gorące uwielbienie i dla miasta i dla jego pamiątek. Tarnowski atoli podaje przedewszystkiem wrażenia z pobytu w Gdańsku podróżnika Polaka, a podaje je w niesłychanie wykwintnej formie. X. Kruszyński natomiast kreśli historję Gdańska i jego opis źródłowo, szczegółowo, metodycznie. Stąd też pochodzi pewnego rodzaju »wstrzemięźliwość« języka i stylu, stąd moc dat i faktów, mniej zaś refleksyj, uczuć i osobistych wynurzeń. Nie traci jednak na tem książka X. Kruszyńskiego wcale. Wprawdzie my sami wolelibyśmy może nieco więcej barwności i żywości w opowiadaniu, jednakowoż z drugiej strony zaprzeczyć się nie da, że ten spokój w książce, pewnego rodzaju nawet powaga, tem większą dają rękojmię, że dziełko powyższe napisane zostało z gruntownem znawstwem. Z niemieckimi, hakatystycznymi i szwiniestycznymi monografiami autor wcale nie polemizuje, faktami tylko udowadnia, że było tak a nie inaczej, że Gdańsk lgnął do Polski, a nie cierpiał Krzyżaków i ich brutalnej pięści.

Rozpatrzmy się w tej książce trochę bliżej. Rozpoczyna ją krótki ustęp, w rodzaju ekspozycji. Między innemi czytamy tutaj: »Ktoś może pomyśli, że jeżeli w Gdańsku mieszkali Niemcy, to sztuka gdańska nie jest czem innem, jak tylko naśladownictwem rzeczy niemieckich. Tak jednak nie jest. Wiedzieć trzeba o tem, że w Gdańsku wielu osiadało Niderlandczyków z Hollandyi i Fryzyi, i wielu Włochów, którzy przedewszystkiem byli artystami i tu dalej zawód swój wykonywali. Gdańszczanie jeździli na nauki do Niderlandów i Włoch, a tem samem zostawali pod silnym wpływem tych krajów. Sztuka niemiecka na Gdańsk niema prawie żadnego wpływu...«.

Po opisanu okolicy Gdańska przystępuje autor do jego dziejów od najwcześniejszych początków. Wyjmujemy par ważniejszych dla nas dat.

Powstaje Gdańsk (wedle podania) za Sobiesława, syna Świętopelka I. W r. 1238 Świętopelk II pozwolił Niemcom osiadać się w Gdańsku, uznając równocześnie zwierzchnictwo Leszka Białego. Za Łokietka zajmują Gdańsk Krzyżacy niegodziwym podstępem. Panowanie żelaznych a niemieczych »rycerzy« daje się mieszkańcom we znaki coraz bardziej. Już w r. 1397 powstaje u pomorskiej szlachty »Związek jaszczurczy«, a pod Grunwald wysyła Gdańsk Polakom 15.000 ludzi z burmistrzem na czele i 100.000 czerwonych złotych na koszt wojenne. Po bitwie grunwaldzkiej poddał się Gdańsk Jagielle, z powodu atoli powołności wojsk polskich Krzyżacy dalej władali tym krajem. W samym Gdańsku dopuścili się Krzyżacy ohydnej zbrodni, morderstwo w nieczemny sposób a niezasłużenie burmistrza i radnego. Zawiązano przeciw Krzyżakom nowe przysiężenie, wreszcie burmistrz gdański jedzie z dwunastoma posłami do Kazimierza Jagiellończyka i prosi o wcielenie Pomorza do Polski. W r. 1454 burzą Gdańszczanie zamek krzyżacki, w roku tym kończy się nareszcie krzyżackie nad Gdańskiem panowanie. Kazimierza Jagiellończyka podejmuje Gdańsk wspaniałe. Król ten odbiera przysięgę wierności od miasta i czyni je miastem wolnem, nadając mu zupełny samorząd. Gdańsk ma własne urzędy, sądy, bije własną monetę. W czasie wojny z Krzyżakami pomaga Gdańsk królowi i przyczynia się niemało do zdobycia Malborka.

W r. 1552 bawił tu ośm tygodni Zygmunt August. Na jego cześć urządzają mieszkańcy wspaniałe zabawy i turnieje. Odtąd na ratuszu stoi złocona postać Zygmunta. Za Batorego przyszło do wojny domowej o ograniczenia cłowe. Wnet burmistrz króla przeprosił, do winy się przyznał i złożył sumę 220.000 czerw. złotych na zapłcenie odszkodowania.

Ludwikę Maryę zaślubioną Władysławowi IV, a jadącą do Polski na Gdańsk, przyjmują mieszkańcy serdecznie. W czasie wojen szwedzkich stoją wytrwale i biją Szwedów na głowę. W r. 1667 bawił w Gdańsku Sobieski, gdzie jego żona rodzi mu syna Aleksandra. Wreszcie szczyt poświęcenia i miłości okazuje miasto Leszczyńskiemu, znosząc z ochotą dwumiesięczne oblężenie przez wojska saskie i rosyjskie, nie żałując straty 1500 ludzi i zbombardowanych 1800 domów. Po pierwszym rozbiórce pozostał Gdańsk wolnem miastem pod opieką Polski, lecz Prusacy gnębili go w różny sposób. Po rozbiórce drugim musiało się miasto poddać. Jednakowoż ludność i wojsko miejskie ani słyszeć o tem nie chciało. Lud zdobył zbrojownię i zabrał broń. Nic nie pomogły namowy starszych, lud i wojsko z wściekłością rzucało się na pruskich żołnierzy, tak, że ci tydzień cały wejść do miasta nie mogli. W r. 1797 knuje się spisek celem oswobodzenia miasta. Dzięki pokojowi w Tylicy

staje się Gdańsk wolnem miastem, w r. 1815 oddano go znowu Prusom i pod ich panowaniem zostaje dotąd.

Jak powyższa historia życia tego miasta, tak też i men-nica gdańska uczy nas wymownie, jak bardzo i gorąco miasto to przywiązane było do Polski. Osobny też mennicy poświęca autor rozdział, gdzie przechodzi grosz za groszem, medal za medalem. A piękne na tych ostatnich rzeźby i napisy. Na jednym z nich czytamy: »W Gdańsku. Przed dwustu laty pod najmiłościwszą opieką króla Kazimierza całe Prusy od niego-dziwego Krzyżaków ucisku oswobodzone, trzeci swej wolności wiek, za panowania Jana Kazimierza zaczawszy, na pamiątkę r. 1654«. Albo napis na medalu wybitym za Augusta III: »Krzyż rycerzy (Krzyżaków) gnębi Prusów — orły pruski i polski wyrzucają go, a król i szczęście panują«. Wszędzie zaś na wszystkich pieniądzach i medalach przesłiczna, deli-katna płaskorzeźba.

Główną część książki zajmuje historia sztuki gdańskiej. Zaczyna autor od kościołów, w porządku, jak powstawały. Oczywiście, że najszerzej pisze o kościele Maryackim, zbudowanym (zrazu był to kościółek) około r. 1245, skończonym zupełnie na początku XV wieku. Omawia w nim autor każdy szczegół, każde ważniejsze malowidło, skarbiec, architekturę, rzeźbę. Podobnie rozprawia o kościołach innych.

Z kolei pisze X. Kruszyński o ważniejszych budowlach świeckich, osobny rozdział poświęcając ratuszowi prawego mia-sta i »dworowi Artusów«. Rozdziały te liczą się w książce do najlepszych.

W drugiej połowie książki zajmuje się autor »dziejami kupiectwa i przemysłu gdańskiego«, dziejami bardzo ciekawemi i pouczającemi, bo potęga gdańskiego kupiectwa i przemy-słu daje równocześnie miarę potęgi Rzeczypospolitej. Już Długosz podaje, że szło do Gdańska Wisłą drzewo dębowe a nawet cisowe. Pływały dalej artykuły potrzebne do budowy okrętów, jak smoła, potas, płótno, żywica, воск, ołów i że-lazo, a »zapiski w archiwach w Madrycie i Lizbonie świadczą, że na maszty dla floty hiszpańskiej i portugalskiej sprowadzano drzewo z puszczy Białowieskiej, które spławiano Narwią i Wi-ślą do Gdańska«.

»W r. 1588 — pisze autor — powstał we Włoszech nie-urodzaj, a trwał lat kilka. Do Gdańska wysyłano posłów z Włoch po zboże. Całe floty polskiego zboża szły odtąd do Rzymu, Wenecyi i Florencyi. Zwłaszcza gdy nastał nieby-wały głód w Toskanii i Państwie Kościelnem, kupców polskich przyjęto jako zbawców. Sam papież i wielki książę Toskanii czynili wielkie dogodności kupcom, by ich tylko zachęcić do dalszego przywozu. W r. 1597 Wenecya udzieliła kupcom polskim znacznych przywilejów i utrzymywała posłów w Gdań-

sku. Włosi odwiedzali nieraz Gdańsk, a niektórzy z nich osiadali tu na stałe i otrzymywali obywatelstwo, Gdańszczanie znów posyłali do Włoch zdolnych młodzieńców na nauki.

Niezmiernie ciekawe szczegóły znajdujemy w ustępach poświęconych polskiej flocie, znajdują się nawet trzy polskie, okrętowe flagi (bandery). Jedna przedstawia białego Orła na czerwonym polu, druga (flota wojenna) rękę z mieczem, trzecia na białym polu niebieski krzyż i orła w rogu u góry na polu czerwonym.

Książkę zamyka rozdział o żegludze rzecznej i wskazówki, jak można miasto zwiedzić najlepiej.

Wdzięczni jesteśmy X. Kruszyńskiemu za tę książkę całym sercem, raz, że potrzebna ona było bardzo, powtóre, że napisana tak sumiennie, tak źródłowo, a przecież przystępnie. Pożądaną ona będzie i czytana skwapliwie przez każdego Polaka, któremu leży na sercu poznanie chwały własnej przeszłości. Przedewszystkiem zwrócić się do niej wszyscy, którzy pojadą Gdańsk zwiedzać. Będzie ona dla nich nie tylko polskim »Baedekerem«, lecz lekturą nadzwyczaj miłą i pożyteczną.

Uznanie zyskał sobie X. Kruszyński tą książką niemałe, uznanie tem większe, że jest — księdzem. Wprawdzie, z dumą to powiedzieć sobie musimy, mamy pośród naszego duchowieństwa wielu badaczy, uczonych, pisarzy znakomitych, ale nieliczni z nich zajmują się w książkach swych sprawami, pozostającymi zgola po za kwestyami religijnymi, kościelnymi, społecznymi i ekonomicznymi. X. Kruszyński do tych wyjątków należy.

Lecz nie dość na tem, że rzecz samą napisał dobrze i sumiennie. Ozdobił też jeszcze tekst własnymi akwarelkami, z których n. p. taki »żóraw nad Motławą« jest dobry tak w rysunku, jakoteż i kolorze. Wogóle całą książkę zdobi mnóstwo reprodukcji, tablic, planów, słowem całość przedstawia skończenie dobre wrażenie. Zasluga co do tego wielka również i wydawcy. Jest nim p. Czernecki z Wieliczki, nakładca i właściciel drukarni, dbały bardzo o estetyczną formę swoich wydawnictw, starający się usilnie, aby dostarczyć czytelnikom książek dobrych i pięknie wydanych.

Jeszcze raz podnosimy wartość powyższego dzieła, dodając, że kto je przeczyta uważnie, a później uzupełni lekturę barwnym szkicem Tarnowskiego, ten o Gdańsku mieć będzie najzupełniej wystarczające wiadomości. *A. E. Balicki.*

Z literatury powieściowej.

— Stefan Żeromski: *Wierna rzeka*. (Kraków, Spółka nakładowa »Książka«). — Odwraca się karta kalendarza. Po roku, który przyniósł dla całego świata setną rocznicę moskiewskiego pogromu »boga wojny« dopełnia się stulecie lipskiej »bitwy narodów«, które najgłośniej obchodzić się będzie tam, na miejscu, u stóp pomnika, niby międzynarodowego, lecz przede wszystkim postawionego dla chwały tego ludu, który rok 1813 zwie swą »walką o wolność«. I my w tej pamiętce uczestniczyć będziemy, my, cośmy się bili w przeciwnych szeregach, w nich stracili jedną z największych naszych porozbiorowych sław, której polskie nazwisko czerni się do dziś dnia na skromnym pomniku w przeciwnym kącie niemieckiego Lipska. Ale dla nas rok 1913 będzie także i szczególnie półwiekową rocznicą innej walki o wolność, niestety, nie jak tamta skutecznej, lecz nieszczęsnej, nieszczęsnej w swym przebiegu, najnieszczęśliwszej w swych następstwach. Tamto wspomnienie ożyje może nie w sercach, ale w umysłach całego świata, to wzruszy tylko polskie serca. Był czas, kiedy wśród świeżego jeszcze bólu serca rozum polski rozpatrywał te tragiczne wydarzenia, szarpał się w stwierdzaniu i wymierzaniu winy, na ruinach nowe budując życie, z przeszłości wyciągał naukę i ostrzeżenie, gromił dawne błędy, by uchronić się przed ich powtórzeniem. Dzisiaj to już minęło, i rozum powiedział już swoje, w ścieraniu się, nieraz namiętne, obrońców i oskarżycieli, zamknięte już akta procesu, wyrok spisany w księdze historii. Dzisiaj głos ma już tylko serce polskie, zgodne w uczuciu, prawda, że dziwnie złożone z żalu i podziwu, z wyrzutów i uwielbienia, ale jednolicie wszystkie polskie serca przepełniającem. A dzisiaj, gdy przychodzi nam święcić wspomnienie r. 1863, nad wszystkim innem góruje uczucie wysokiego tragicznego patosu, że to ostatnia bohaterska doba naszych dziejów, że ona się już nie powtórzy, bo i my, urodzeni po niej, tego bohaterstwa nie jesteśmy zdolni w naszej trzeźwości, w naszym mierzeniu zamiarów na siły, i świat dzisiejszy już nie dopuszcza powtórzenia tego bohaterstwa, bo on od nas jeszcze trzeźwiejszy.

W ten ton patosu uderza p. Stefan Żeromski w swoim najnowszym utworze, w kilka miesięcy po *Urodzie życia* ogłoszonym, a osnutym na tle styczniowego powstania. Jest wprawdzie jedno miejsce w *Wiernej rzece*, które słabem echem przypomina rozumowe spory po katastrofie r. 1863; oto panna Salomea Brynicka czuje, że »jedni rzucili się w odmęt walki w skutek zaślepienia, które nie liczy i nie mierzy — inni, popełnili przez błędny rachunek — inni, porwani przez wielki sen wolności, albo jej nadzieją — jeszcze inni z rozkazu, dla

mody, idąc w stadzie — inni z tchórzostwa przed opinią. Ale moment to przelotny i jedyny. Bo nie można postawić obok niego tego drugiego, gdy chłopci, polscy chłopci, spotkawszy ciężko rannego rodaka i dowiedziawszy się z jego własnych ust, że jest powstańcem, ścigają go ze słowami: »No, bracie, skoro sam powiadasz, iżes buntownik, i żeś w bitce był, to my cię w arest zajmujemy«. Ten błysk jednego z najstraszszych piorunów roku 1863, on może nie tyle ma uprzytomniać historyczną prawdę o ówczesnej »niepolskości« polskiego chłopca, ile raczej ma, rozlany po prawie całej książce, patos jeszcze bardziej potęgować.

Już pierwsza kartka wprowadza czytelnika w ten wysoce tragiczny nastrój. Józef Odrowąż, ciężko ranny w potyczce powstańców z oddziałem Czengierego, pechany instynktem samozachowawczym, ratuje resztki dogasającego życia. Wymyka się owym chłopcom, chroni się do nawpół opustoszałego dworu. Rodzina dziedzica z niego wyszła, częścią do powstania, częścią w ucieczce, został tylko stary sługa, Szczepan, i Salomea, córka ich krewnego i rządcy, który także gdzieś się bije czy ucieka. Sługa się lituje nad rannym, ale i boi zemsty Moskali, panna tylko się lituje. Obmywa jego krwawe, okrutne rany, karmi go tem, co jeszcze pozostało z rabunku rosyjskich wojsk, układa go na własnem łóżku. To podstawa opowiadania, a nie wiele już potrzeba dodać, by je w głównej części streścić. Oto, co jakiś czas wpadają Moskale do dworu, szukając śladów powstańca, którego chłopci zdradzili. Wtedy Salomea z pomocą sługi przenoszą nieszczęśliwego do stodoły i tu go tak dobrze ukrywają, że jakoś dzięki Bogu wojsko go nie znajduje. To prosty, ale tęgi, główny zrąb akcji — wszystko inne to dodatki poboczne, tysiącami celom, co on, służące. Więc i ta wierna Żydówka z pobliskiej karczmy, Ryfka, ostrzegająca zawsze Salomeę przed nadejściem wroga, i ten pokutujący duch wuja Dominika, w wielkiej sali dworu podrzucający podobno ciężkimi beczkami, i ten rosyjski oficer, Wiśniewicz, szukający powstańca, a w pannie Brynickiej bez pamięci i bez nadziei rozkochany, i ten członek rządu narodowego, Olbromski, potomek zapewne Rafała z *Popiołów*, z ważnemi papierami także w dworze szukający schronienia. Z tych ostatnich dodatków wytworzy się około głównego zrębu silna spistość. Raz w nocy napada znowu wojsko na dwór. Wiśniewicz szuka tym razem nietylko Odrowąża, ale i Olbromskiego. Ten mu się — jak jeszcze obaczmy — z rąk wymyka. Oficer, podrażniony i tem niepowodzeniem i dumną obojętnością panny Salomei, błąka się po dworze. Jest w sali, w której »straszy«. Aż nagle z głębi ogromnej beczki słyszy jęk ludzki: to Odrowąż, którego w pośpiechu do stodoły schować nie zdołano. Krótka rozmowa pomiędzy dwoma. Wi-

sniecyn może, i zrazu chce zabić powstańca, ale... zostawia mu życie, i tylko »pragnie, żeby wróciła piękna panna. Chciał zrobić jej podarunek, oświadczyć z owym uśmiechem wewnętrznym, że składa w prezencie owego w kadzi. Widział go i nie zabił, nie zabrał ze sobą. Chciał w jej oczach zobaczyć błysk wdzięczności, iskrę wzruszenia, bladość strachu, róż wstydu, ludzkie spojrzenie...«. Ale nie doczekawszy się panny Salomei, odjeżdża z żołnierzami.

Ta prosta, z rozmysłu prosta akcja i zapewne nie przypadkowo także przypominająca typ powieści o r. 1863, przedstawiona jest z ogromną siłą i harmonią patosu. Są dwie chwile, które są sztuki autora najtrudniejszą i zarazem najbardziej zwycięską próbą, bo w obu jest tylko krok, nietylko cząsteczka kroku od wzniosłości wprawdzie nie do śmieszności, ale do niemniej niebezpiecznej raz nieprzyzwoitości, drugi raz odrady. To naprzód moment, gdy panna Salomea tłómaczy szukającym powstańca brutalnym żołdakom krwawe plamy na pościeli, a potem, gdy po dwóch zabitych powstańcach zostaje w dworze tylko robactwo, »przyniesione tu z żydowskich zajazdów, z chłopskich tapezanów, z wyrobniczych legowisk«. Nie przytaczam obszerniej tych obu miejsc; wyrwane z toku, a więc i z nastroju, przekroczyłyby właśnie owe granice, do których kunszt autora ich nie dopuszcza. Wolę przepisać ustęp o pościgu za członkami rządu narodowego, kto wie, czy nie najwyższy dotychczas wyraz znakomitego talentu p. Żeromskiego. Wisniecyn powtarza żołnierzom rozkaz przelożonych, by, jeśli już jeden ze ściganych uszedł, drugiego schwytać, ale koniecznie żywcem. »Olbromski słyszał ten rozkazujący krzyk. Poczuł w sercu śmierć. Na sobie miał torbę ze wszystkimi dokumentami, z tysiącem sekretów rządu, ze wszystkim, co się dokonywało i działa jeszcze mogło. Niósł w tej torbie jak gdyby serce walczącej Polski, w którym żywa pulsowała krew. Nie mógł tej torby ani nigdzie ukryć, ani w biegu porzucić, ani zniszczyć, gdyż pędziło za nim dziesięciu żołnierzy. Olbrzymiemi skokami uciekał. Przesadzał krzaki, zmurszałe płoty, rozmiękle zagony, rów pełen jeszcze lodu. Dopadł łąk. Ujrzał jakoweś na błoniu zarośla. Tam gnał. /Lecz oto nagle przerażenie jak ogień zapaliło się w jego głowie. Niespodzianą ujrzał przed sobą — rzekę. Wezbrana po same górne brzegi od wiosennego roztopu i wylewu, pełna czarnej, wijącej się wody, która bujnemi mknęła białaniami, głęboka rzeka zamykała drogę półkolem w prawo, półkolem w lewo. /Uderzył ucho niemy jej szum, ukazał się zdziwiałym oczom zbiega czarny jej wąz, jak przekłeta, sztydząca moc, która przecina ostatni szlak ucieczki. Zmyliła się rozważna myśl. Przepadł jedyny sposób ratunku. Ciemna rozpacz oślepiła oczy. Wtedy tajemnicza, skłębiona woda rozwarła swój czarny nurt, jakoby łono. /Pojął. Jęknął.

Zdarł z ramion rzemień i z zamachem cisnął skórzaną torbę — sekret ojczyzny, w głębinę. Rzeka plusnęła, na znak, ni to głuchą odpowiedzią. Zawarła się. Tysiącem zawinęła fał skarb powierzony. Popłynęła w krętą, prastarą, a wiecznie nową, daleką drogę. Westchnął. Widzieli ten jego ruch żołnierze. Dopadli go, osaczając ze wszelich stron. Obrócił się do nich twarzą. Z tyłu biegł oficer Wiesniżyn, krzycząc swoje: »Żywego rękami brać! Żywego! Nie waz się ubić! Osaczaj!« Olbromski wznógł się na duszy. Wzgardził długim więzieniem, konaniem na szubiennicy. Przystanął. Pierwszemu z żołdatów, który doń podbiegł, wypalił w łeb z pistoletu. Poderwał szablę, która trupowi z ręki wypadła i ciał z ramienia w szyję drugiemu. Lewą ręką wyrwał z za pasa długi pistolet i trupem położył nowego napastnika. Za sobą miał rzekę, przed sobą siedmiu. Bronił się jak osaczony tygrys. Żołnierze, słysząc nieustanną oficera komendę, żeby go brać żywego, prawie nie zażywali oreża. Szli nań kupą z gołemi rękami. Korzystając z tego rozkazu, ciał z wysoka, rąbał na odlew, sztychem przebił i odskakiwał brzegiem, szukając dogodnego miejsca, gdzieby skoczyć w wodę i uchodzić na drugą stronę. Oficer, spostrzegłszy się, że trzech żołnierzy leży na ziemi, a reszta boryka się z tym jednym człowiekiem, rzucił się nań sam z gołą szablą. Olbromski zobaczył go za pierścieniem żołnierskim. Krzyknął nań z pogardą: »Ty! Tchórz!« Zakipiał w sobie ponury oficer Wiesniżyn. Skoczył sam w dragoniński szereg z palaszem w ręce, ażeby powstańcowi szablę z ręki wytrącić. Trzasnęły w siebie klingi piorunowem strzeleniem, raz, dwa! Lewą dłonią ujawszy pistolet za lufę, Olbromski rozwalil głowę żołdatowi, który go w trakcie tej walki chciał chwycić za ręce. Palaszem ciał w ramię oficera. Zwalil między oczy żołnierza z prawej strony. »Bierz go!« — ryknął oficer. Skoczyli. Siekli mlynicem. Uchodzili. Włókl ich za sobą, siepał się w tłumie. Rozszalały dowódca dragonów zajechał go szablą w kark, potem ciał w twarz. To rozpętało furę żołnierzy. Zapomnieli o rozkazie. Rzucili się rąbać osaczanego palaszami w głowę, ścinać szyję ślepemi rąkami. Olbromski puścił broń z ręki. Zachwiał się. Potknął. Rozłupali mu ciosami czaszkę, aż trysnął mózg i wywalil się na trawę. Siekli ręce, piersi i żebra. Rąbali leżącemu brzuch, nogi, dopóki zeń nie wyciekła wszelka krew. Spłynęła z jego szyi, wsiąkła w pastwisko i napoiła rozmiękłą, checiwą, wiosenną ziemię. Tak padł Olbromski, ale żołdacy i chłopci daremnie szukali torby z sekretami papierami.

Ale już po raz drugi muszę przy ocenianiu powieści Żeromskiego stwierdzić dziwne skrzywienie i obniżenie lotu w drugiej części. Już na samym początku mogło wydać się czytelnikowi dziwnem i niejasnem określenie *Wiernej rzeki*, jako »klechdy«. Przecież historyczne tło opowiadania nie godzi się

z zasadniczym charakterem klechdy, będącej rodzajem baśni ludowej. A potem: co to znaczy, że Odrowąż jest — czego umyślnie dotychczas nie podaliśmy — księciem? Ostatni utwór p. Żeromskiego jest przecież, jak widzieliśmy, typowem opowiadaniem o powstaniu z r. 1863; a jeśli w niem brała rzeczywiste udział także i arystokracja, to takie kastowe, że tak powiem, odróżnianie bohatera, wydaje się co najmniej niepotrzebnem. To były dwie niejasności pierwszej części *Wiernej rzeki*. Druga je usuwa, lecz niestety nie w dobrym znaczeniu. Oto naprzód autor przedstawia zawiązującą się miłość pomiędzy Odrowążem a Salomeą. Jest to jeszcze zupełnie typowem, prawie że aż zanadto oczekiwanem. Ale posłuchajmy, co się dalej dzieje. Do dworu przyjeżdża księżna, matka powstańca. Są jeszcze śliczne sceny, gdy Salomea, znając dobrze niebezpieczny stan chorego, którego lada wzruszenie może zabić, matce odrazu do syna zbliżyć się nie pozwala; szczerze wzruszy każdego opis, jak ks. Odrowążowa ukryta przed oczyma chorego spogląda ukradkiem z miłością na niego, jak potem obie kobiety łączą się w wspólnej trosce o biedaka. »Jedna pojmowała wzruszenia drugiej, umiała je poznać, gdy tylko zostały wzmiankowane, zobaczyć, jakie są, iść niemi, jak gdyby krajem zaświatowym, pełnym wzgórz, kwiecistych dolin, skal i przepaści śmiercią ziejących. Gdy chory spał, przytulone do siebie opowiadały wrażenia swe i wspomnienia. Salomea po tysiąckroć wyjawiała wszystkie perypetye, związane z pobytym młodzieńcem w tym domu, wszystkie etapy jego cierpień, przygody, smutki i radości. Dla matki było to tak zajmujące i wiecznie ciekawe, że musiała po tysiąc razy powtarzać. O niczem innem mówić nie mogły. Świat dla nich istniał w pokoju młodego«. Śliczne to, ale ostatnia to piękność książki. Bo oto, co się dzieje? Syn nieco wyzdrowiał, nastąpiło spotkanie się jego z matką, a ta teraz porusza wszystkie sprężyny, by zmyliwszy czujność władz rosyjskich wywieźć go na południe. Ale samego, bez Salomei. Co więcej, on ma być bez niej i w podróży i dalej w życiu. A czemu: bo ona jest Brynicka, a on »pan, i z rodu — książę!«. Ażeby uzyskać zgodę Salomei na to rozłączenie ks. Odrowążowa »włożyła w jej rękę długą sakiewkę, wypchaną złotem i monetami...«. To, to już nie jest piękne, to jest szkaradne. Nie tyle ze strony ks. Odrowążowej, ile u autora: po co wprowadził ten brzydkie dyssonans, w którym rozmyślnie zgrzyta nuta kastowych przeciwieństw i przesądów. Panna z chaty i pan z pałacu, biedna dziewczyna, rozkochana w paniczku, ale na pożegnanie »pocieszona« workiem złota, to może jest »klechda«, ale dalebóg i w szablownym i niezbyt szlachetnym guście. P. Żeromski nie powinien był tak pospolicie i tak niezgodnie zakończyć wielkiej symfonii prawdziwego, harmonijnego patosu. Mniejsza o ks. Odrowążową,

ale jak wygląda Salomea, bądź co bądź dająca sobie płacić za utratę ukochanego, a nadewszystko, jak wygląda on sam, opuszczający ukochaną, choćby nawet bez pełnej świadomości, że to jest rozłąka na zawsze, kto ją i z jakich powodów spowodował. Doprawdy: tych troje ludzi w jednej chwili spada z wyżyn tragicznej godności, by się już nigdy z nizin pospolitości nie podźwignąć. Matka i syn znikają nam zupełnie z oczu, więc nie widzimy nawet prób ich podźwignięcia się. Dziewczyna spada naprzód jeszcze niżej, gdy się raduje, co sobie za to złoto kupi, potem próbuje się dźwignąć, gdy rzuca je w nurt rzeki, tejsamej »wiernej rzeki«, ale już jest na taką rehabilitację za późno, i nie Salomei nie przywróci naszych dawniejszych serdecznych uczuć, nawet ta chwila, gdy martwa pada na mokry nadbrzeżny piasek.

Trudno. P. Żeromski nie chciał widocznie, byśmy aż do końca przebywali w krainie wzniosłości. Żal czując do autora za szkodę i krzywdę, którą i sobie i nam wyrządził, pamiętać będziemy mimo to, że więcej niż połowa *Wiernej rzeki* jest utworem pięknym, jest istotnie godnym hołdem znakomitego autora, złożonym pamięci ostatniej wielkiej tragedii polskiej.

Dr. J. Flach.

— Ludwik Stasiak: *Srebrny dxwon*. Powieść z dziejów dawnego mieszczaństwa polskiego. (Kraków, 1913. Wydawnictwo »Stelli« w Bochni, str. 202). — Powieści i nowelle p. L. Stasiaka mają swój odrębny, indywidualny charakter i styl. I to jest ich pierwszą i najwybitniejszą zaletą. Pośród istnej powodzi dzisiejszej beletrystyki wyróżniają się one znamiennie i samorzutnie, podobne do ciosów, kutyh ręką silną a pewną siebie. Ta ręka miękka nie jest, nie rzeźbi też delikatnych ornamentów lub filigranowych cacek, nie pieści się szczegółami, lecz paroma uderzeniami dłuta wydobywa te rysy postaci i te cechy obrazu, które są najistotniejsze, najpotrzebniejsze. Stąd pochodzi owa lapidarność i wstrzemięźliwość słowa, ów szalenie szybki, niemal piorunujący rozwój akcji. Tam, gdzie inny autor roztoczyłby przed nami jakąś scenę na kilka kartek długości, malując ją z zamilowaniem w najdrobniejszych szczegółach, tam p. Stasiak daje tej sceny zaledwo fragment, fragment jednak tak silny i w sobie skoncentrowany, że wystarczy za całość. Czasem zaledwie dzieje się to ze szkodą całej nowelli lub powieści, ale po największej części ten sposób czy zdolność pisania daje czytelnikowi prawdziwe zadowolenie, trzymając jego wyobraźnię i uwagę w wysokiem napięciu.

Tematy do swych powieści bierze p. Stasiak rozmaite, najczęściej jednak i z największem upodobaniem z bogatej przeszłości naszej, a zwłaszcza z dziejów dawnego mieszczaństwa polskiego. Średnie wieki i dzieje w nich mieszczaństwa zna p. Stasiak wybornie, a wystudyował je nie tylko ze źródeł

każdemu dostępnych, lecz z archiwów, z aktów, z dyplomów, z ksiąg cechowych, rot, papierów sądowych itd. To też wierne w jego opowieściach tło historyczne, wierny i prawdziwy charakter obyczajowy przedstawianych ludzi, prawdziwy sposób ich myślenia, ich czyny, pragnienia.

I książka powyższa przynosi również obrazy tych czasów i tych ludzi. Opowiadanie w niej rozmiarami najdłuższe p. t. *Srebrny dzwon* nadaje nazwę całości, tego rodzaju opowieści jest jednak jeszcze kilka. A między niemi pierwsza, to *Swary gwarków z plebanem; czyli zabrata bytomskiej żupy*, opowiedziane według kronik Długosza i Miechowity. Zdarzyło się raz, w sam dzień Bożego Narodzenia, że podziemna woda zalać miała kopalnię bytomską i miasto całe o zniszczenie przypawić. Aliści w pomoc Bytomianom przyszedł górnik olkusi Kacper Olchawa. Ten ci mieszczanów uratować postanowił, jako że znał kopalnię od młodu na wskrós. I uratował. Wody pokierował w inne podziemne lochy, miasto odetchnęło swobodnie. Lecz chełwi to ludzie byli. Plebanowi kawalka pola za kościołem żalowali, mimo, iż się mu prawnie należało. Rozpoczął się namiętny proces, aż przybył do Bytomia sam król Kazimierz i sprawę na korzyść plebana rozszadził, rajcą go miejskim czyniąc. Lecz ledwo mury bytomskie król opuścił, wściekłość mieszczan na księdza porwała. Postanowili plebana zohydzić, upokorzyć. Na posiedzenie rajców miejskich zaproszono go przez kata, który pędził przed sobą psa parszywego. Zapłakało serce w plebanie i wiernym mu Kacprze Olchawie na taki despekt. Lecz odpłacić się postanowił. Ubrał się tedy pleban w ornaty, *Sanctissimum* z kościoła wziął i tak w procesyi szedł na posiedzenie rajców. Pochyliły się głowy, pogięły bytomskie kolana. Proszą, by pleban *Sanctissimum* na stole położył. Pleban nie chce. Dlaczego? »Bo wasz stół nieczysty« — ksiądz odpowiada. — Przyozdabiają więc rajcowie stół kobiercem, złotogłowiem; pleban Ciała Pańskiego złożyć na tem nie chce. Blednie z żalu i lęku cała rada. Dopiero ksiądz oddał kawalek swej komży i na tem *Sanctissimum* postawił. Poczem rzekł: »Wy wszyscy, wietnica wasza, stół wasz i złotogłowy wasze jesteście za podli, aby dotknąć monstrancyi, która niesie Ciało i Krew Pańską...«. Następnie zabrał *Sanctissimum* i do kościoła wrócił. Zajęczało całe miasto od tego pohańbienia i niesłychanej sromoty. Gniew umysły zapalił, zemścić się postanowiono. Ledwo ksiądz z kościoła wyszedł, porwano go i na okrutnych torturach odebrano mu życie. Zapłakał gorzko Kacper Olchawa nad pohańbieniem się podłych ludzi i zemstę im obmyślił straszliwą. Wszedł z synem w żupne lochy i tam, gdzie rok temu zatamował wodę, wyjął teraz zawory i belki. Wnet rzeka otworem wpłynęła,

wnet w jezioro się rozlała, niszcząc kopalnię i do ruiny doprowadzając całe miasto.

To krótkie streszczenie daje zaledwie poznanie tematu, nie daje obrazu, jak ten temat autor obrobił. Obrobił istotnie pomysłowo, z wielką plastyką i siłą, rozsiewając przytem nie-małe bogactwo górniczego języka. Niejeden z tych wyrazów, rdzennie polskich, a pięknych i dosadnych, winien do użycia powrócić, rugując wyraz przybłędny, niemiecki. Boć sławniejsze jest górnictwo polskie, niżli niemieckie i dalsze zagraniczne. Wszak Ludwik XI osobnym edyktem — ogłosił to p. Stasiak — »polskich gwarków do siebie wołał, aby górników francuskich szukania rud, kopania soli, bachmaństwa i mincarstwa uczyli«.

Nie mniej piękne są opowieści następne. Niepotrzebnie tylko do nich weszło opowiadanie *W piwiarni świdnickiej*, zupełnie różne tematem i podstawowym tonem. Miejsce na nie było w innym zbiorze. Również niżej od poprzednich pod względem artystycznego obrobienia stoi opowieść p. t. *Gwiazda morza*. Wprawdzie samo opowiadanie o górniku, którego od śmierci w kopalni wyratowała Najświętsza Panna Marya, jest piękne, ale ten cały ratunek artystycznie umotywowany nie jest. Brak mu przytem dramatycznego napięcia, mimo, iż rzecz sama w sobie aż nadto tragiczna. Te dwie nowelle wydają się nam najslabsze, zwłaszcza w otoczeniu tak dobranem, jak omówione już *Swary*, jak *Szewc Znamirowski*, jak *Dzwon Jan*, jak *Misteryjne dzieło*, i wreszcie doskonały *Srebrny dzwon*, którego tłem historycznem są ciężkie i znojne zapasy Łokietka z Krzyżakiem i Niemczyzną. Odwieczną nieprzyjaźń między Słowianami a Niemcami podmałował autor kilkoma tylko rysami, ale za zamienienie, życie mieszczańskie za Łokietka, panoszenie się niemieckich osadników, boleść mieszczaństwa polskiego nakreślił z taką prawdą i siłą, że *Srebrny dzwon* pod tym względem nawet za dokument uchodzić może. Nieporównane w nim również obrazy, krótkie, zwarte, a przecież pełne i żywe. Do takich należy przedewszystkiem kapitalna scena lania srebrnego dzwonu i wydobywania go z glinianej formy. Scena godna prawdziwego malarza, artysty. A zasługuje na uznanie tem więcej, że w noweli *Dzwon Jan* mamy także obraz odlewania dzwonu. W obu jednak razach maluje autor tę chwilę zgoła odmiennemi środkami.

Książkę czyta się skwapliwie, zamyka z wyobraźnią pełną wrażeń. Wstają bowiem z niej dawne czasy, drogie, choć bolesne nieraz, wstaje chwila wielka i potężna w sobie, chwila z naszej świetnej przeszłości. A tę przeszłość ukochał p. Stasiak gorąco. To też tem serdeczniej czyta się jego książkę, że z jej kart miłość bije prawdziwa dla wszystkiego, co polskie i co kochania godne.

A. E. Baliński.

— Artur Gruszecki: *W starym dworze*. Powieść. (Kraków, Gebethner i Sp., 1913, str. 168). — Tenże: *Przed burzą*. Powieść. (Kraków, J. Czernecki, 1913, str. 235). — Gdyby chcieć podać dokładną charakterystykę literacką powieści p. A. Gruszeckiego, byłoby się w niemałym kłopotcie, a w każdym razie nie możnaby jej ująć w kilku dosadnych a krótkich wyrazach. A nie możnaby nie dlatego, by twórczość autora coraz inne zataczała kręgi i coraz rozmaitszych dotykała problemów, lecz z tej prostej przyczyny, że jego powieści już w samym artystycznym obrobieniu zbyt są różnorodne, czasami nawet tak nierówne i do siebie niepodobne, jak gdyby ich nie pisał tensam człowiek. Wspólną cechą posiadają jedną: są wszystkie pisane gładko i poczytnie, zająć też czytelnika potrafią. Nie wszystkie jednakże równej są one wartości. Są (pod względem techniki i artystycznej inwencji) niektóre nawet słabe; zda się, że pisane pobieżnie, od niechcenia. Są inne, gdzie spotykamy i artystyczne ramy i doskonałe w nich obrazy, gdzie każda postać pełna życia i to życia bujnego, samoistnego, gdzie wyborna charakterystyka, znakomite pogłębienie tematu, słowem powieści, których rezultatem: interes artysty a nie wydawcy.

Do takich powieści, naprawdę dobrze i pięknie zbudowanych, liczymy książkę *W starym dworze*. Rozmiarami nie wielka, nie obfituje też w jakieś nadzwyczajne wypadki lub przygody bohaterów, przynosi atoli doskonałą charakterystykę «starego dworu», w którym przed laty stu przesuwaly się jak cienie piękne panie, przebrane najczęściej za arkadyjskie pasterki, piękne jak boginie, powiewne, słodkie, z oczyma rozróżnionemi, rozsiewające woń czaru i sentymentalnej miłości — panowie w pysznych deliach i kontuszach, lub — co częstsze u młodszych — w barwnych, obcisłych frakach francuskich. A dziś? Dziś w tym samym starym dworze, tam, gdzie był salon — spichlerz i na posadzce rozsypane ziarna zboża, kaplica zaśmiecona i zawałona gratami, portrety pokryte kurzem, pyłem, obtulone pajęczyną, nierzadko twarzą w kacie do ściany patrzają...

Tak jest dziś. Lecz dziś rezyduje w tym dworze podolskim Andrzej Maluk, przed wiekiem siedziała tu wykwintna szlachta, Osiecimscy.

Inne życie było tamtych, inne Maluków. U Maluków ważnie i spory o zagon ziemi, o korzec ziemniaków, brudna pięść i zabłocone buty palone — ongiś, przed wiekiem, boje i polityka, zabawy i festyny, a nadewszystko Amora królowanie. Amor ten był czasami ckliwy i sentymentalny podług upodobań Rousseau'a, wedle zachceń Laury i Filona Karpińskiego — ale, mimo wszystko, inną atmosferę wносił w podwładne sobie istoty. Dziś ten sam Amor w tłustego a swar-

liwego handlarza się zmienił. Żeni parę za parą, ale przy swatach targuje się o tysiąc rubli, spuszcza lub podnosi cenę o pięćdziesiąt.

Takie życie dziś, takie było przed laty stu — a jedno i drugie w krótkich, ale dosadnych rysach autor wykwiłtnie naszkicował. To też powieść *W starym dworze* liczyć będziemy p. Gruszeckiemu do najlepszych w jego bogatym a tak nierównym literackim dorobku.

Że nierównym — niechże zaraz świadczy o tem dopiero co wyszła powieść p. t. *Przed burzą*. Zajmującą ona jest, przeczytać ją można bez znudzenia. Ale ani obmyślana, ani pogłębiona. Opowiada w niej autor, jak to młodzież przygotowywała powstanie roku 1863, jak to odbywała tajemne schadzki, wydawała tajne broszury i rewolucyjne pisma, jak w społeczeństwie ścierała się partya »Czerwonych« z »Białymi«, jak bezwzględnie rządził i panował Wielopolski, jak wreszcie na rozkaz branki (wydany przez Wielopolskiego), rozpoczęto powstanie zawczasie, bez należytego przygotowania. Wszystko to prawda i wszystko to czyta się nawet (zwłaszcza miejscami) z zajęciem. Lecz cóż z tego, gdy nie oświecił nam autor tych (tak dobrze zresztą znanych!) spraw ze strony nowej, nie pokazał ani jednej figury oryginalnej, nie dał ani jednego obrazu naprawdę silnego, ominął nawet postać samego Wielopolskiego. Szkoda zaś tem większa, że p. Gruszecki miał i ma wszystkie po temu dane, aby napisać na przypadający jubileusz powieść z powstania dla szerokiej intelligencji i staranną i (o ile to możliwe) wszechstronną.

Tak, jak jest, powieść *Przed burzą* jest zajmującą wprawdzie, ale pobieżną, zbytą, przypominającą przytem aż nadto *Bojowników*. Jej też do *gloryi* dla autora liczyć nie będziemy. Będziemy natomiast zawsze mówić i wspominać o książkach p. Gruszeckiego takich, jak *W starym dworze*. Oby tego rodzaju utwory jego wychodziły jak najczęściej. A. E. Balicki.

TEATR KRAKOWSKI.

(Repertuar z miesiąca listopada i grudnia. Nowości: Svena Lange *Samson i Dalila*, tragikomedia w 3 aktach; Gabryela Drégely *Dobrze skrojony frak*, krotchwila w 4 aktach; St. Kozłowskiego *Jeniec Napoleona*, sztuka historyczna w 3 aktach; Henryka Kistemaeckersa *Szpieg*, sztuka w 3 aktach; Stefana Krzywoszewskiego *Dyabeł i karczmarzka*, komedia w 3 aktach. — Wznowienia: Hermana Sudermańna *Sobótki (Johannisfeuer)*, sztuka w 4 aktach; Lucyana Rydla *Betleem Polskie*. — XI. przedstawienie Koła Akademickiego Miłośników Dramatu klasycznego).

Samsonem — w tragikomedyi Svena Lange'go *Samson i Dalila* — jest poeta Piotr Krumbach. Człowiek pozornie zdrow i silny, pod względem fizycznym rozwinięty — zwłaszcza w stosunku do poetyckich natchnień — aż zanadto (tak przynajmniej mówią ci, którzy żądają od poety stanowczo postaci »nawskróś« uduchowionej), w rezultacie atoli człowiek słaby i nieszczęściu łatwo podatny. Słabością jego, chorobą, trawiącą i niszczącą jego siły żywotne i umysłowe — jest żona Krumbacha, Dagmara, aktorka z powołania. Mózg to ptasi, obejście pospolite, gminne, wyższego polotu i górniejszych pragnień niema w niej żadnych, troskę jedyną stanowi dla niej (co najwyżej i w ostateczności!) poklask widowni za rolę, piękną tulaletę i dobrą kolacya. On, mąż, pan, poeta tego wszystkiego jej nie daje, gdyż sam biedny. W zamian za to on może ofiarować jej tylko swoją miłość, swoje natchnienie twórcze i wreszcie swoją zazdrość. Krumbach bowiem, ten Krumbach, który żyje tak górnio i chmurnie, który dobywa dramatów z własnej duszy (co nie przeszkadza, że lubi zjeść na obiad kotletów aż kilka), jest o swą żonę zazdrosny. Zna jej wszystkie wady, zna całą płaskość umysłu — przecież kocha ją do szaleństwa. Kocha — a równocześnie drażni umysłnemi słowami

ją i siebie. Nic dziwnego, że stosunek w ich pożyciu naprężony mocno, zwłaszcza od czasu, gdy kolo Dagmary począł się kręcić kupiec hurtowny, Sophus Majer, typ ugrzeczniejszego kupczyka, którego największymi zaletami są: zawsze dobrze i starannie u fryzjora głowa, wyszczotkowana a równo obcięta broda, wypomadowany wąs, modna krawata, zawsze uśmiechnięte oblicze, dużo głupoty, wiele zarozumiałości i wcale grubo wypchany pugilares.

Krumback przeczuwa w tym człowieku rywala. Akt pierwszy, to właśnie rozmowa poety z żoną na ten temat, rozmowa paląca, koląca, w której widoczne piekło w duszy Krumbacka, bezdenna nicość w głowie i sercu Dagmary. A przecież nie można powiedzieć, ażeby żona w tem, co mówi, nie miała słuszności. Wszak każdemu (a cóż dopiero każdej!) musi się sprzykrzyć i częsty niedostatek w domu, i brudna, bo tania, służąca w kuchni, i — co najgorsze — wieczna od męża podejrzliwość, zazdrość.

Dagmara przystaje do kupca hurtownego p. Majera. Czy przystaje do »ostateczności« — tego jeszcze Krumback nie wie. Obecnie zajęty jest reżyserowaniem i wystawianiem własnej sztuki w teatrze p. t. *Samson i Dalila*. Dalilę ma grać jego żona. Na próbie (akt to drugi) Krumback niezadowolony z aktora, odtwarzającego rolę Samsona. Podług niego (Krumbacka) aktor ten nie mówi do Dalili zbyt gorąco, namiętnie. Trzeba zaś, aby mówił tak, iżby Dalila, poruszona istotnie, sama oddała mu się duszą całą, ciałem całym. Krumback postanawia ów najważniejszy ustęp sam oddeklamować, aby pouczyć aktora o sposobie ujęcia tej roli i sceny. Klęka przed leżącą na wezgłowiu Dalilą i poczyną mówić. Mówi własne słowa, samą miłość natchnioną, a mówi nie do Dalili, lecz do własnej żony, mówi zaś tak gorąco, że — o, szczęście niewypowiedziane! — Dagmara, jego żona, rozszerza żrenice radości, uśmiecha się z tęsknotą. Krumback o mało nie zwaryuje ze szczęścia. Obudził w Dagmarze gorące dla siebie uczucie, ten jej uśmiech, spojrzenie dla niego i tylko dla niego! W tejże samej atoli chwili spostrzega, że Dagmara podczas jego płomiennych słów uśmiechała się, ale do handlarza hurtownego p. Sophusa Majera, który właśnie wszedł niepostrzeżony do niej — na scenę.

Krumback oszalał. Jak tygrys rzuca się na Majera, byłby go utłukł jak psa, odciągnęli go jednak przemocą.

Nikt nie wie, nie pojmuje, co się stało — domyśla się czegośkolwiek pocziwy dyrektor teatru, mówiąc do siebie: »Tu było prawdziwe ludzkie serce«.

Dagmara poszła za Majerem. A Krumback? Przez parę dni błądził oszalały po lasach. Wychudł z głodu i gorączki, zarosła mu broda, podkuły się oczy, zmierzwiły włosy, stał

się cieniem-upiorem. W jego obłąkanym mózgu kielkowała tylko jedna myśl: zabić ich, pomścić się. Wrócił tedy do własnego mieszkania. Właśnie podczas tego wieczoru mieli się tu zabawić kupiec hurtowny Sophus Majer z Dagmarą. Jak widmo grobowe stanął przed nimi Piotr Krumbach. Wyciągnął rewolwer, zamierzył się, strzelił... lecz we własne serce. Przebacza wszystkiemu, zresztą w jego oszalałym mózgu rodzi się nowa myśl, że przecież on nieszczęściu winien... Dagmara z Majerem uciekli. Życ będą szczęśliwi dalej, choć pękło na świecie jedno wielkie, ludzkie serce, choć padł potężny Samson u stóp zimnej, płytkiej Dalili.

Sztuka napisana z talentem. Widać ten talent w oryginalnem ujęciu tematu (bądź co bądź bardzo starego i zużytego), w ciekawym i efektownym dyalogu, w pomysłowej budowie aktów, zwłaszcza drugiego. Wprawdzie mieliśmy już nie jedną sztukę, gdzie akcja rozgrywała się za kulisami lub między niemi, wprawdzie nam Wyspiański pokazał scenę całą od jej boskiej nagości aż do bogactwa rozmieszczonej na niej dekoracyi — przecież akt drugi w powyższej sztuce zaciekawia już samą techniką i rodzajem opracowania. Harmonijnego jednakże układu w omawianej tragifarsie niema. Jest w niej coś z umyślnej ekscentryczności, jest także sporo autorskiej brawury. Figury, zwłaszcza naczelna, postawione doskonale, brak atoli Krumbachowi w akcji pierwszym rysów więcej wyrazistych, plastycznych. Wogóle postać ta przez pierwsze dwa akty (po części i w trzecim) jest dla widza niezdecydowana. Dobrze się nie wie, jak ją rozumiał sam autor.

To »niezdecydowanie« postaci Krumbacha, to jego kameleonowe oblicze i słowo sprawiają, że aktorowie-artyści, grający tę rolę, jak mają z jednej strony wiele z jej ujęciem kłopotu, tak z drugiej — mają w niej szerokie pole do popisu własnej inwencji i intuicji. Można pojmować Krumbacha rozmaicie, można go brać »poważnie« i przez pryzmat artystycznej »ironii« czy satyry. To wszystko zależy od ochoty interpretowania jego słów i uczuć. W każdym jednak razie musi się odwozować człowieka, usprawiedliwić i umotywowwać wszystkie jego słowa, czyny i uczucia. P. Bończa to uczynił, dlatego liczymy mu tę rolę do bardzo dobrych i bardzo szacownych. Dagmarę grała najzupełniej trafnie i dobrze p. Górską, artystka, czyniąca w ostatnich latach niespodziewane wprost postępy. — P. Jednowski odtwarzał Majera. Jeśli takim go chciał mieć sam autor — to rola dobra. Nam się jednak wydaje, że za mało p. Jednowski przeciwstawił się Krumbachowi, oczywiście w oczach Dagmary. Również nie wiemy, czy tak rozumiał autor rolę dyrektora teatru, jak ją nam pokazał p. Stanisławski. W interpretacyi tego artysty pan dyrektor był nawet... leciutkim matolkiem. Prawda, że tego rodzaju »felery«

po dyrektorach (teatralnych i nieteatralnych) grasują, ale mamy wrażenie, że w powyższej sztuce postać ta winna być inaczej ujętą i lepiej pogłębioną. — Poprawnie aktora Lundberga zagrał p. Nowacki. Reszta z grających ról nie popsula. — Sztukę wyreżyserował p. Pawlikowski nadając jej cechy bardzo misternej i ekscentrycznej budowy.

Jeżeli krotochwila daje dużo śmiechu, a śmiechu przytem zdrowego — już swój cel osiągnęła. To też mamy wrażenie, że *Dobrze skrojony frak* Gabryela Drégely pod tym względem na wzmiankę i to dodatnią zasługuje. »Pretensyi« sztuka ta nie rości sobie chyba żadnych. Wprawdzie chwilami daje ona nawet satyrę na stosunki polityczne, na dobieranie i mianowanie panów ministrów — jednakowoż tej części i sprawy nikt sobie głęboko do serca nie bierze. *Dobrze skrojony frak* jest wyborną i zabawną krotochwilą o pewnym ubogim krawczyku, co to z czeladnika wyszedł na ministra.

A było to tak. U majstra krawieckiego Leopolda Buberama zamówił sobie człowiek z arystokracji frak. Skroił go i uszył elegancko czeladnik Antoni Melcer. Ale z tego Melcera wielki malkontent i filozof. Szyjąc frakowe szwy, rozmyślał w głos, jak to on, pełen zdolności i polotu, biednym jest tylko krawczyzną, upośledzonym przez los i nieszczęśliwy zbieg okoliczności. A przecież i on mógłby być »czemś«, i on mógłby znaczyć, błyszczeć. Ta myśl nie dała mu spokoju... Aż pewnej minuty przyszła mu genialna myśl do głowy. Będzie znaczył, będzie błyszczał, jeżeli się dostanie na woskowane posadzki, a dostanie się tam, jeżeli będzie miał dobrze skrojony frak.

Przypadek chciał, że frak, szyty dla człowieka z arystokracji, leżał na Melcerze »jak ułak«. Melcer nie namyślał się długo. Wystroił się, włożył frak na siebie i z gęstą miną, nieproszony wszedł do salonu baronostwa Reimerów, parweniuszów i dorobkowiczów na kopalni nafty. Nikt go tu nie zna, ale p. Melcer tak umie dobrze obracać językiem, że wnet staje się ulubieńcem całego towarzystwa. Co więcej, zasłyszana u kogoś innego jakąś historyjkę o zamachu na ministra Duffa, umie temuż ministrowi tak zręcznie opowiedzieć, że ten święcie wierzy, iż ma w Melcerze niepospolitego człowieka. Obiecuje mu też protekcję na każdym kroku. Rośnie tedy p. Melcer i »idzie w górę«. Wtem oliwa poczyna wypływać na wierzch. »Życzliwi« (a któż ich niema?) zwiertzyli, że p. Melcer to prosty krawiec, ba, nawet złodziej cudzego fraka. Szczęście czeladniczka poczyna się chwiać, lada chwila Melcer runie. Lecz od czegoż bogini fortuna, no i krotochwila? Kiedy Melcera nieżyczliwi chcieli zdemaskować, przychodzi wiadomość, że Ekscellencya Duff wyprowadził go na ministra handlu. Na tę piorunującą wiadomość ci sami, którzy się od Mel-

cera już odwracać poczęli, laszą się teraz przed nim i zginają w pół, ba, nawet ci, co na niego od »krawców« i »złodzieja« wymyślali, przeczą teraz temu, ubolewając szczerze, że padli ofiarą tak niskiej mistyfikacji — słowem p. Melcer jest ministrem — a zawdzięcza to tylko dobrze skrojonemu frakowi. O innych bowiem środkach nawet mówić nie warto.

Grano tę farsę arcyzabawnie, w czem zasługa także reżysera p. Rygiera. — Oczywiście najwięcej interesowano się p. Stanisławskim, który Melcera grał z nieporównanym humorem, bez najmniejszej przesady a z niemalą (jak na krawca) dystynkcyą i elegancyą. — Przepyszne typy o semickich rysach różnych bankierów, dorobkowiczów, ministrów, członków akademii, ich żon, mam, córek stworzyli następujący panowie i panie. (Wymieniamy ryczałtem, gdyż wprost trudno czynić różnice, kto był lepszy, kto zabawniejszy, tak dobrze i dowcipnie grali wszyscy). — A więc Reimera grał p. Rygier, jego żonę p. Czaplńska, Silberberga p. Kosiński, Gahla p. Noskowski, Kürschnera p. Szymborski, Sonnberga p. Biegański, Sterna p. Bogusiński, Lilli p. Jarszewska, Duffa p. Jednowski, Zimkę p. Bończa. Bardzo serdecznie krawczyka Melcera kochała p. Janiczówna, jako Irena Buber, córka krawieckiego mistrza. Całość szła składnie, wesoło.

W r. 1898 wyszły dwa tomy *Naszej literatury dramatycznej* Piotra Chmielowskiego. Nie jest to dzieło zwarte, jednolite; sam autor nazywa je szeregiem »szkiców« tylko. Jako takie nie dają one dokładnego obrazu polskiej twórczości dramatycznej, przynoszą jednakże sporo uwag trafnych, charakterystyk i ocen zupełnie sprawiedliwych. Do takich sprawiedliwych recenzyj liczymy słowa, jakie Chmielowski napisał, rozbiegając utwory p. Stanisława Kozłowskiego. I tak, omawiając jego *Esterkę*, powiada: »Dramat p. Kozłowskiego nie porywa czytelnika, a zająć go może w szczupłej tylko mierze. Nie porywa dlatego, że niema w nim starcia ani wielkich idei, ani potężnych namiętności. Budowa dramatu dobrą nazwaną być nie może. Stosunki, podrzędne w znaczeniu dramatycznym, są przedstawione zbyt szeroko; zasadnicza sytuacja — ogólnikowo. Wiersz p. Kozłowskiego jest poprawny, a nawet bardzo staranny, lecz brak mu dźwięku metalicznego«.

Omawiając znowu parę stronnic dalej *Turniej* tego autora, tak pisze Chmielowski i o nim i o jego sztuce: »W opowiedzianej tu treści, z wątku głównego wysnutej, można już zauważyć pewne braki psychologiczne. Autor doskonale obmyślił efektowne sceny i słowa, każdy akt kończące, ale nie chcąc widocznie osłabiać efektów, zapominał o należytem motywowaniu postępków. Do obniżenia wrażeń podnioslejszych przyczynia się styl i wiersz autora. Są one wogóle

staranne, wypracowane należyście; ale napróżno byś tu szukał prawdziwej siły słowa i polotu poetycznego. Wszystkie osoby mówią stylem jednakowym, poprawnym i czystym, ale jakby skrępowanym więzami rymu, nie mogącym się wylać swobodną, żywą strugą. Przenośnię i porównania nie czarują wyobraźni, a niekiedy rażą nielogicznością».

Kilkanaście z górą minęło lat, gdy te słowa były pisane, przez ten czas talent pisarski p. Kozłowskiego winien był zmęźnieć, spotęźnieć. Nie spotęźniał, ale też i nie obniżył się. Powiedzmy z góry, że te same wady i zalety, które widzieliśmy w sztukach autora przed trzydziestu laty, widzimy i dzisiaj, choćby w świeżo wystawionym *Jeniu Napoleona*. Cechą tego utworu, podobnie jak wszystkich dotychczasowych, jest najzupełniejsza poprawność. »Poprawne« w nim figury, poprawny język, styl, poprawny rozwój akcji. Czegoś wybuchowego, żywiołowego, bodaj jednego uczucia lub okrzyku nie znajdziemy.

Temat autor obmyśla starannie, pragnie go uczynić dla widza i czytelnika zajmującym, ozdabia go różnemi, mniej lub więcej potrzebnemi epizodami, występującym osobom każe mówić językiem prawie że w czystości nieposzlakowanym — a wszystko to czyni spokojnie, bez gorączkowych uniesień, bez palącego dreszczu natchnienia. Przeważa u p. Kozłowskiego refleksya, ta refleksya, która nie przeleje myśli i wiersza z głowy na papier, a z papieru nie wypuści na świat, dopóki ich ze wszystkich stron starannie i bacznie nie obejrzy, nie zbada i nie przekona się, że sukienki na nich dobrze leżą, że bucik zasznurowany dokładnie, że wyglądem swoim i zachowaniem się swoim autorowi wstydu nie zrobią.

Istotnie. Żadna z dotychczasowych sztuk p. Kozłowskiego wstydu mu nie zrobiła, owszem przyjęte były nawet z uznaniem i życzliwością. Nie zaintrygowały jednakże nikogo, gdyż podobne były do tej poprawności, jaka w salonie panuje i zawsze panować zwykła. Tam, żeby wywołać ruch, zdziwienie, a może nawet przerażenie i martwość, trzeba wejść olbrzymem, lub przynajmniej mieć rozczochrane włosy, długą drogą zapyłone obuwie — słowem trzeba nie być podobnym do otoczenia.

Jeniec Napoleona nikogo z gości w osłupienie nie wprowadził, nikogo też nie poruszył i nie »zaintrygował«. Wzruszył podobno tylko Warszawę, ale to łatwo zrozumiałe. Wszak w sztuce tej zwycięża Napoleon, wszak tryumfalny wjazd do Berlina odbywa, wszak stamtąd obmyśla swoją kampanię na Rosyę *via* właśnie Warszawę. Miło przecież bodaj takimi (gdy na inne nie pozwala cenzura) ucieszyć się scenami... Jest w nich coś, co obchodziło — a może i jeszcze obchodzi — nas.

Ale po za postacią samego Napoleona i tych paru scen, gdzie o Polsce mowa, niema naprawdę nic, zgola nic, coby żywiej mogło interesować, coby przedewszystkiem pomyślane było oryginalnie i z nowej oświetlone strony.

Rzecz dzieje się w Berlinie, w r. 1806. W tym to czasie i w tem to mieście, mieszkał p. Adam Korczak, Polak z pochodzenia, ale, że jadł pruski chleb i uwieszony był u pruskiego dworu, przeto sam głosił i uważał się raczej za Niemca, niżli za Polaka. Czynił to, rzecz prosta, nie tyle z nieuczciwego i przedajnego sumienia, ile ze strachu, a może i przyzwyczajenia do obcego otoczenia. Dzieci atoli (ku strachowi i zgorszeniu ojca!) czuły się Polakami i w głos radowały się ze zwycięstw Napoleońskich. Mały chłopak Jerzy na całe gardło wymyślał na pruskie pludry, a ładna córeczka Karolina wręcz odrzuciła rękę pruskiego księcia Dalberga, mimo, iż ten był i przystojny i wpływowy. Uczyniła to jednak panna Karolina nie tylko dlatego, że Dalberg był Prusakiem. Powód był jeszcze inny, a mieścił się w sercu Francuza, Henryka Langerona. Ten Langeron był wygnańcem, emigrantem. Gdy Napoleon owładnął Paryżem i Francją, posadzono Langerona, że był wmieszany czynnie w spisek na życie Bonapartego. To prawdą nie było. Langeron był gorącym republikaninem, nienawidził jedynowładztwa, ale do zbrodni ręki nie przyłożyłby nigdy. Mimo wszystko, skazano go na śmierć. Uciekając przed nią schronił się Langeron w Berlinie, gdzie zawędrował pod dach p. Korczaka i tu rozkochał się w jego córce, będąc nawzajem przez nią serdecznie kochanym.

Właśnie (akt to pierwszy) wyrusza na bój z Napoleonem Dalberg. Przed tem prosi Karolinę o rękę i o wstążkę. Karolina odmawia, gdyż kocha innego. Mimo to Dalberg nie zlorzeczy, lecz z całym szacunkiem oddala się. Na wojnę, do bitwy jednak nie poszedł, gdyż właśnie wpadają do miasta kurjerzy, a za nimi uciekające wojsko. Napoleon pobił Prusaków na głowę, w tryumfie ciągnie do Berlina. Przygnębienie ogólne, cieszy się tylko z tego szczerze p. Ulm, dyplomata austriacki, cieszą dzieci p. Korczaka, a przedewszystkiem młody Jerzy, który z zapalem zdejmuje ze ściany portret »Fryca«, a wieszna na to miejsce portret ukochanego Napoleona. Smuci się jednakże nie mało sam Langeron. Nie dlatego, iż Prusy pobite, a Bonaparte zwycięzca, lecz, że nad nim wisi kara śmierci, której zwycięzki Napoleon może nie omieszkąć podwładnym przypomnieć. Tę śmierć poniesie Langeron z odwagą i spokojem, serce mu tylko pęka na widok zrozpaczonej Karoliny. To też Karolina i jej przyjaciółka pani Adela postanawiają ocalić Langerona za wszelką cenę. Gdy na nic nie zdały się protekcy wielkiego marszałka Napoleona, Berthiera, pani Adela wpada na myśl, ażeby Langeron

udał się do Polski, do Warszawy i tam wszczął agitację przeciw Rosyanom, przygotowując polskie powstanie. W ten sposób przysłużył się Polakom, zejdzie z oczu Bonapartemu — wreszcie — i jemu samemu zasłużył się nie mało. Ta myśl spodobała się wszystkim. Karolina i Adela piszą polecający dla Langerona list, piszą go jednak tak, aby na wypadek przychwycenia Langerona przez Prusaków, list ten dla niego nie był kompromitujący. Langeron przy boku księcia Dalberga (swego rywala) z Berlina ucieka — lecz nie daleko. Straże napoleońskie przychwyciły obu i stawiły przed sąd.

W akcie trzecim przechodzą do Napoleona całe procesy ludzi z różnemi prośbami. Są między nimi także pani Adela i Karolina. Napoleon jednak na Langerona się »zawzięł«. Wszystkim Prusakom przebaczył, jemu jednemu darować winy (i to teraz podwójnej) nie chce. Langeron śmierci się nie lęka. W dłuższej tyradzie wymyśla Napoleonowi od tyranów i zdrajców, poczem odchodzi — na niechybną zgubę. Lecz czuwa nad nim autor, Opatrzność i znane nam już kobiety. Te ostatnie i ładne i sprytne. Wnet przekonały Bonapartego, że znaleziony przy Langeronie list, nie tylko, że nie dowodzi zdrady napoleońskiej sprawy, lecz owszem jest pisany dla jego korzyści i powodzenia. Niech tylko Bonaparte papier obróci pod światło, a przekona się, jakie tam słowa wypisane — cytryną.

Napoleon przekonał się, Langeronowi winę i karę darował, Numa wychodzi za Pompiliusza, wszyscy zadowoleni, w sztuce nie stała się nikomu bodaj najłżejsza krzywda, jedne Prusy płaczą pobite, lecz ich płacz smutku w audytorium lży radości wzbudza.

Tak się przedstawia w zarysie osnowa powyższej sztuki. Nowego i oryginalnego nie przynosi ona nic, ani ciekawych pomysłów lub problemów, ani nadzwyczajnych sytuacji i wydarzeń, ani też psychologicznie głęboko pomyślanych postaci. Zaprzeczyć się jednak nie da, że wysłuchać jej można w teatrze z zupełną cierpliwością, a dla ogółu jest nawet nabytkiem wcale pożądanym. Ogół ten bowiem ma tu — jak wspomniano — i postać samego Napoleona, który w akcie trzecim nie tylko załatwia sprawy dotyczące przewrotu w świecie, ale zwraca uwagę nawet na podrożenie artykułów żywności (i on się na drożyznę skarżył! — sztuka »w całości« na czasie!), widzi dalej ten ogół na scenie zupełnie niepotrzebnego starego wiarusa, kaprała, który z emfazą woła do Bonapartego: »Kontent jestem z ciebie!«, widzi stałą miłość Karoliny, drży o los Langerona, podkpiwa sobie z banalnej postaci Korczaka — słowem ogół ma się tu czem zainteresować, bodaj przez parę minut.

Dla twórczości natomiast autora sztuka ta pozostanie wcale obojętną. Od utworów bowiem poprzednich nie różni się

na korzyść niezem zgola. Jest sobie, podobnie, jak tamte, sztuką zupełnie średniej wartości.

Grano ją na ogół wcale starannie. P. Stanisławski jako Bonaparte był, jak zawsze w tej roli, doskonały. I maska i giest i sposób mówienia nie do życzenia nie pozostawiają. — Miłą niespodziankę sprawiła swym występem p. Zielińska, grająca Karolinę. W grze tej zauważyliśmy wiele ciepła i serdeczności, wiele prawdziwego uczucia, głos bardzo dźwięczny, o lirycznym zabarwieniu. Nie mniej dobra postawa, spokojny, harmonijny chód i giestykulacya. Mamy wrażenie, że z artystki tej będzie wkrótce zasłużona siła. — Pogodnie i z naturalnym humorem Ulma zagrał p. Noskowski, dobrze Adele p. Pytlińska, Bertę p. Olska a Hatzfelda p. Bogusiński. — Rola Dalberga — zdaje nam się — p. Biegańskiemu nie odpowiadała, bezbarwnie też Korczaka zagrał p. Rygier. — Bohaterem sztuki, Langeronem był p. Kosiński. Grał z przejęciem, siłą, brakło jednak tej roli pewnego »zabarwienia poetyckiego«. — Berthiera odtworzył p. Maryański, gwardzistę »zadowolonego« z Napoleona p. Ruszkowski.

W grudniu rok temu wystawiono w Paryżu w teatrze Porte Saint Martin sztukę w 3 aktach Henryka Kistemaeckers'a p. t. *Szpieg* (*La Flambee*). Jak czytaliśmy w *Listach z Francji* p. K. Ostrowskiego (*Przegląd polski*, czerwiec, 1912), sztuka ta zyskała w Francji olbrzymie powodzenie. — Co tego powodem? »Na czasie« była — i to wszystko! *Szpieg* bowiem jest sztuką »nawskróś« patryotyczną, technie miłością ojczyzny, nienawiścią do wroga, do Prus! Nie dziwnego, że rozgrzały się narodowe serca, że złożyły się dłonie do poklasku a usta do dytyrambów dla autora, że równocześnie przymknęły się powieki na okropną wprost pod względem prawdopodobieństwa psychologicznego budowę tego dramatu. Nie dramat to budowany zwarcie i logicznie, lecz łamaniec cyrkowy lub przekładaniec świąteczny, gdzie po daktylach następuje — figa.

Treści tej sztuki nie powtarzamy, gdyż podał ją obszernie p. K. Ostrowski (*L. c.*), zaznaczamy tylko, że nawet dobrze się stało, iż sztukę tę wystawiono u nas. Pomijamy bowiem szczegół, iż naród nasz miał sposobność poznać narodową sztukę innego narodu, lecz ważniejszem jest to, iż na *Szpiegu* można się także przekonać, że nie wszystko złoto — co z zagranicy, że tam także pojawiają się utwory, niewytrzymujące zgola najmniejszej krytyki. My jednak zwykliśmy je chwalić — a to dzięki sile przyzwyczajenia.

Słaby ten i na efekt robiony utwór zagrano u nas pod reżyserią p. Pawlikowskiego wcale starannie. Pułkownika Felta, tego, który udusił niemieckiego szpiega, gdy ten pragnął przebiegle wydrzeć mu plany fortacy granicznej, grał

p. Maryański, a grał z rozmachem i przejęciem się. Znać było szczerłość w tej grze i staranność. P. Maryański musi jednakże koniecznienie uczyć się lepiej ról na pamięć. — P. Pytlińska Moniki źle nie grała; owszem, w akcie drugim (w wielkiej scenie z mężem) stopniowała i przechodziła z uczucia w uczucie wcale umiejętnie, ale dlaczego p. Pytlińska od pewnego czasu już od pierwszej sceny robi »grobowe nastroje« i »wiecznie się martwi?« Tego nie rozumiemy, a szkodzi to i rolowi i artystyce bardzo, grozi bowiem szybką manierą.

Kochanka, czy kochającego Monikę ministra Beaucourt'a zagrał p. Kosiński bez zarzutu, zwłaszcza w akcie trzecim. Zupełnie dobrą sylwetkę szpiega, bankiera Glogau stworzył p. Szymborski. — Inne role, zgola drugoplanowe, dobrych i sumiennych wykonawców znalazły w grze pp. Czaplińskiej (Stettin), Bogusińskiego (biskup), Noskowskiego (de Mauret) i t. d.

Dyabeł i karczmarzka, komedia p. Stefana Krzywoszewskiego zyskała sobie w Warszawie przeważnie uznanie znaczne. Mimo całej sympatyj dla autora uznania tego podzielić nie możemy, sztuka bowiem powyższa nie przynosi w rezultacie ani oryginalnych scen, ani spodziewanej wesołości. Szkoda zaś tem większa, iż sam pomysł do tej komedyi zły nie był, owszem, niemało dostarczał pola i do subtelnej satyry i do szczerzego komizmu. Wprowadzić dyabła na scenę i pozbawić go wszelkiego na sprawy ludzkie wpływu, upokorzyć go i wyśmiać, wplątać w taką — babską do tego — awanturę, że z niej pocziwy piekielnik wygramolić się nie może, było zadaniem wcale pojętnem i miłym, było pomysłem naprawdę zabawnym, tak, jak serdecznie zabawnym jest ów Kusy z Mickiewiczowskiej ballady, który ścierpi nawet wodę święconą, nie znieśie zaś pożyicia z dostojną panią Twardowską. Temata to różne, podobne jednak ostatecznie w komicznej niedoli zwyciężonego dyabła.

P. Krzywoszewski jednakowoż pomysłu swego nie wyzyskał i zajmująco go nie przeprowadził. Jego dyabeł banalny wielce i nudny, a *milieu* sztuki trywialne i wcale niecharakterystyczne.

Pewna karczmarzka, arcycnotliwa i piękna przytem jak aniołek wychodzi za mąż za przystojnego mistrza od golenia i strzyżenia. Gromada dyablów postanawia atoli karczmarzkę sprowadzić z drogi cnotliwej żony i kobiety. W tym celu przełożony piekiel nakazuje Roźnikowi, aby tak sprawę pokierował, żeby karczmarzka stoczyła się w jego objęcia na pociechę ogniem gorejących podziemi. Roźnik zrazu się wymawia, nie chce zaczynać z kobietą, uważa bowiem jej pokonanie za zbyt łatwe i niegodne dyabła-rycerza. Lecz przełożony kazał, Roźnik zabiera się do roboty. W pańskich przebraniach zjeżdża on wraz z dyabelskim orszakem na wesele karczmarzki.

Tu w zręczny sposób (w sztuce dość prymitywny) klóć z sobą zgromadzonych gości i nowopobrane małżeństwo tak, że karczmarka wyrzuca wszystkich i męża od siebie... precz! Rożnik teraz karczmarkę atakuje z całą bezwzględnością i mocą. Ta zrazu oburzona, potem zdziwiona, wreszcie zaintrygowana, — w końcu jednak już się do Rożnika czuli i na jego żądania przystaje. I byłoby zwycięstwo dla dyabła pewne, gdyby nie drugi dyabeł, który z zazdrości daje koledze do wypicia »lubczyk ziele«.

Od tego trunku zgłupiał nasz Rożnik. On, pierwcy dumny władca, zdobywca serc niewieścieh, teraz wodzi za karczmarką rozkochanemi oczyma, jak nieletni za pensyonarką studenciak. Jęczy, wzdycha, oczyma wywraca, nie tylko, że nie atakuje, lecz nawet nadstawionego buziaka odcalać się wstydzi. Nudzi to i złości piękną karczmareczkę. Takiego mężczyzny ona nie chce, gardzi »niedojdami«. To też wkrótce z ochotą wraca do dziarskiego swego fryzjerczyka, bo też chłopak to do tańca i różańca.

A dyabeł? Jego przełożony wyjaśnił mu zdradę i podstęp kolegi. Z Rożnika zdjęto czar ze ziela »lubczyk«, ale jego zazdrosny kamrat, Kuternoga, skazany został za karę na wieczne wzdychanie do cnotliwej teraz karczmarki, u której najal się na służbę za stróża domu.

»W Polsce nawet dyabeł dyabłu buty uszyje« — powiada ktoś imieniem autora na scenie. Nie wiemy, czy o tego rodzaju alluzye w sztuce chodziło, czy też inne ma ona jeszcze satyryczne cele na oku. To pewna, że jest w powyższej komedyi nie mały rozdźwięk między zamiarem a wykonaniem, między założeniem a przeprowadzeniem akcji.

Że »świat fantastyczny« p. Krzywoszewskiemu się nie udaje, wiemy to już z *Rusalki*. Dziwimy się tylko, że autor bądź co bądź takiej sztuki, jak *Edukacya Bronki*, tak słabo pobudował w omawianym utworze sceny czysto realistyczne. Trudnem zaś to chyba nie było, zwłaszcza po tylu a wcale dobrych w tym kierunku wzorach.

Artyści swą grą nie mało całość ożywiali. Katarzyna (karczmarka) była p. Jarszewska, a przyznać trzeba, że dobrze oddała i wzrastające zainteresowanie dla dyabła-hrabiego w akcie drugim i śmiertelną przy nim nudę w akcie trzecim. P. Solski, jako dyabeł Rożnik (w Warszawie grał go p. Kamiński) był nieco za sztywny i za monotony. Wskutek tego różnica jego uczuć i postępowania przed i po wypiciu lubczyka nie wystąpiła w należycie jaskrawem świetle. Znakomicie dyabła Kuternogę zagrał p. Bończa, bawiąc całe audytorjum niesłychanie grą dowcipną a dyskretną. — Wcale dziarskim fryzjerem, mężem pięknej karczmarki był p. Nowacki, »siarczyście« Agnieszkę zagrała p. Słubicka. Nie mniej na

słowa uznania zasługuje reszta z grających. Reżyserię prowadził p. Jednowski.

Zupełnie nie rozumiemy powodu, dla którego Dyrekcya wznowiła sztukę w 4 aktach Hermana Sudermanna p. t. *Sobótka* (*Johannisfeuer*). Niejednokrotnie pisaliśmy na tem miejscu, że wznowienia są dobre i pożądane, jeśli na to zasługują, jeśli są umotywowane. Motywu do dzisiejszego wznowienia *Sobótek* zgoła nie widzimy żadnego. Ani sztuka, ani jej treść, ani myśl przewodnia autora za tem nie przemawiają, by w obecnej chwili, ni stąd ni z owąd, takie *Sobótka* wystawiać. Wygląda zaś takie postępowanie tylko i wyłącznie na pospieszne zszywanie nieobmyślanego z góry repertuaru.

Popisywała się w *Sobótkach* w próbnym występie («debiutu») p. Fryda Rychterówna w roli Maryjki. (Czy może dla tego «debiutu» *Sobótka* wznowiono?) Nie wątpimy, że kandydatka do laurów scenicznych posiada wiele dobrych chęci, dużo zapału i scenicznego temperamentu, widzimy i to, że jak na początek ma już nie złą dykcję i znaczną swobodę ruchów, ale roli Maryjki jeszcze nie podolała. Za wiele obcesowości w jej grze, zbyt wiele tupetu i nienaturalności.

Wogóle całe przedstawienie chromało i kulało. Aktorowie zgoła ról nie umieli, były chwile, że wprost nie wiedzieli, co ze sobą począć, sytuację ratowali nienaturalnemi minami i dopowiadaniem niepotrzebnych słów. Prym w tym kierunku dzierżył p. Maryński, jako młody pastor, to samo atoli odnosi się niemal do wszystkich grających. Wartoby wiedzieć, po ilu też próbach grali nasi artyści to epokowe wznowienie i po co ich tą nieuzasadnioną czyjąś (a czyją?) zachcianką męczono?...

Jak zwykle w tym okresie Świąt, tak i tego roku wznowiono Lucyana Rydla *Betleem Polskie*. Z przyjemnością notujemy, że tym razem grano całość o wiele staranniej i poważniej, niż po inne lata. Zmian w obsadzie sporo, jednak bez szkody dla całości. Dobrze Jędrka-Mędrka zagrał p. Miarczyński, niezłym kosynierem był p. Ruszkowski.

* * *

Dnia 16 grudnia 1912 r. odbyło się jedenaste z rzędu przedstawienie »Akademickiego Koła Artystycznego Miłośników Dramatu klasycznego w Krakowie«. — O zasługach tego Koła, a zasługach naprawdę niemałych, pisaliśmy już tyle razy, że powtarzać się nie mamy najmniejszej potrzeby, o przedstawieniach zaś jego pisaliśmy zawsze nie jako o wieczorach amatorskich, lecz jak o przedstawieniach naprawdę artystycznych, na wielką zakrojonych skalę. Wystarczy przypomnieć choćby przedstawienie zeszłoroczne, wspaniałe w niem

chóry, znakomitą grę jednostek, aby zrozumieć, że na tak zaszczytne uznanie Koło istotnie zasługuje.

Z tem większą przykrością zanotować musimy, że tego roku przedstawienie klasyczne dalekie było od doskonałości. Naprzód dobrano utwory nieodpowiednie. Powiedział o tem w doskonałym »słowie wstępnem« sam prof. dr. Leon Sternbach, mówiąc, że Seneki się wogóle grać nie powinno, gdyż tragedye jego nadawały się i przeznaczone były tylko do recytowania. Powtóre, ani chóry zbiorowe, ani gra amatorów nie były już tak starannie obmyślane, jak po inne lata. Ze sceny wiał jakowyś chłód.

Słowa powyższe piszemy umyślnie na dowód, jak wysoko cenimy zasługi i przedstawienia Koła. Ponieważ zaś wiemy, czego możemy się od niego spodziewać, przeto tem skwapliwiej pytamy, dlaczego opuszczono skrzydła, co powodem obniżenia lotu? Kto do tak wspaniałych doprowadził rezultatów, jak wieczory lat poprzednich, ten nie może dawać takich, jak wieczór tegoroczny.

Po zajmującym słowie wstępnem prof. Sternbacha odegrano naprzód *Thyestesa*, tragedye L. A. Seneki w przekładzie Jana Bardzińskiego (z 1696 r.) z muzyką B. Raczyńskiego, oraz *Przeprawę przez Styks*, farsę charakterystyczną Lukiana w przekładzie prof. M. Boguckiego, z muzyką także B. Raczyńskiego.

Ponieważ utwory te publiczności mało znane (drugi zgola — prócz filologów — nie znany) przeto podajemy ich treść według obrobienia przez Koło.

Treść *Thyestesa*, tragedyi Seneki: W początkowej scenie tragedyi każe Furya duchowi wywołanego z piekieł Tantalośa, praszczura rodu Pelopidów, na który przez najmłodszą jego odrośl Atreusa i Tyestesa świeże mają spaść klęski, do krwawej waśni niezgodnych braci pobudzić. Niebawem widzimy Atreusa, knującego przeciw Tyestesowi okropny plan. Towarzysz jego stara się go wprowadzić w rozmowie pełnej głębokich myśli politycznych odwieść od zamiaru, ale napróżno. Atreus, skrzywdzony przez brata na czci i władzy, postanawia synów Tyestesa zamordować i bratu jako potrawę podać. Straszliwa myśl przechodzi rychło w czyn. Zjawia się Tyestes, który na wezwanie brata wrócił do ojczyzny. Trapi go jednak trwoga i ciemne przeczucia: nie wie, czy zostać, czy uciekać. Syn jego atoli, Tantalos, dodaje mu otuchy, przedstawiając, że Atreus zupełnie się już pogodził i że nawet władzą królewską chce się z nim podzielić. Tyestes postanawia zostać. Nadchodzi Atreus i udaje radość wielką z powodu przybycia brata, tak, iż chór starców mykeńskich cieszy się z takiego obrotu sprawy. Ale rzecz okropna stała się już tymczasem. Przybywający właśnie poseł opowiada, jak Atreus

zamordował dzieci Tyestesa i ciała ich dal zjeść temuż. — Ostatni akt zemsty rozgrywa się przed naszymi oczyma: Atreus podaje bratu puchar wina, do którego dodał krwi zabitych chłopiąt. Gdy Tyestes zbliża go do ust, odmawiają mu ręce posłuszeństwa. Pelen wzburzenia pyta o synów, a Atreus pokazuje mu ich odrąbane ręce i głowy. Ale tego, co najstraszniejsze, nie wie jeszcze. Gdy prosi, by mu dano ciała do pogrzebania, dowiaduje się, że je spożył.

Treść *Przeprawy przez Styks* Lukiana: Rzecz dzieje się w krainie umarłych. Pelen niecierpliwości, zrzedząc i marudząc, czeka przewoźnik dusz, Charon, na sprowadzającego do podziemia mary nieboszczyków Hermesa. Bogini losu Klotona stara się go uspokoić. Ale oto zjawia się winowajca i usprawiedliwia swe opóźnienie: jeden ze zmarłych, tyran Megapentes, zbiegł, a on musiał go ścigać, co mu dużo zabrało czasu. Umarli wsiadają na łódź. Tylko Megapentes opiera się i błaga, by mu chociaż na chwilę pozwolono wrócić do domu, gdzie ma jeszcze niektóre sprawy do załatwienia. Ale Klotona nie chce się zgodzić. Nieboszczykowie odjeżdżają. Zostaje tylko biedny szewc Mikyllos, dla którego w przepełnionej łodzi niema miejsca. Robią mu je wreszcie na plecach tyrana. Wśród lamentów i żalów, które Mikyllos przedrzeźnia, jadą mary przez Styks i stają wreszcie przed tronem sędziego Radamantesa. Ten posyła filozofa Kyniskosa i szewca Mikyllosa do krainy Błogosławionych, tyrana zaś Megapentesa za jego zbrodnicze życie skazuje na mękę wiecznego rozpamiętywania przeszłości.

A. E. Balicki.

MUZYKA W KRAKOWIE.

Artur Rubinstein należy do tych najmniej licznych wirtuozów, których talent wykracza niepomniernie po za granice, w jakich z estrady widzimy ich sztukę. Jak wibrująca struna wioloncelli pod palcami Casalsa stanowi ten materialny jeszcze punkt styeczny między ideą muzyczną i słuchem naszym, tak uderzenie Rubinsteina odmateryalizowuje dźwięk fortepianu i zamienia go w ducha muzyki. Można by powiedzieć o fenomenalnym talencie pianistycznym Rubinsteina, że jest to jego szósty i niezmiernie doskonały zmysł. Natura i organizacja psychiczna Rubinsteina używają go z taką bezpośredniością, jak wszystkich innych zmysłów do witalnych swoich przejawów i duchowych emanacyj. Poznawszy zbliska talent muzyczny Rubinsteina, zdumiewamy się nad jego głębią i rozległością. Talent ten imponuje w najwyższej mierze, zarówno przez nieopisaną wprost siłę pamięci muzycznej, jak przez swą jasność i ostrość. A czysta jak kryształ natura artystyczna Rubinsteina pociąga i przykuwa do siebie, każe w siebie, w swoje aspiracje i odtwórcze przejawy wierzyć silnie i trwale.

Grudniowy koncert krakowski Rubinsteina odsłonił ponownie czar i potęgę gry jego w szeregu dzieł Schumanna, Brahmsa, Szymanowskiego i Chopina. Na tym zenicie sztuki odtwórczej podziwiałoby się, w szczerym zachwycie, w równej mierze płomienną temperamencie i artystyczną kulturę Rubinsteina. Z całym przekonaniem musi się twierdzić, że Rubinstein stanął dziś na tym stopniu znakomitości w świecie fortepianu, na którym znajduje obok siebie najwyższej jednego lub dwóch równorzędnych sobie pianistów. Do wyższych sfer odtwórczy talent ludzki dojść nie może, wyższe od tych, do których doszedł Rubinstein, nie istnieją, są bowiem *certaines fines* i dla sztuki.

W jedną z niedziel grudniowych zapelniono estradę Starego teatru 60 śpiewaków, członków *Śpiewackiego związku*

nauczycieli morawskich. Koncert, wykonany przez zespół ten, był dla rodzaju muzyki chóralnej doskonałością samą w sobie. Aby dać pojęcie tej doskonałości, musi się uciec do porównań ze stylem wykonania jakiegoś znakomitego kwartetu smyczkowego i świetnej orkiestry symfonicznej. Subtelność w zaśpiewaniu się tego chóru, wydobywanie najczulszych i najpotężniejszych brzmień, czystość intonacyjna, wszystko to jest *unicum* swego rodzaju. W dodatku jest to chór amatorów, którzy, oddani w dzień powszedni ciężkiej pracy zawodowej, raz tylko na dwa tygodnie zjeżdżają się na próby z rozległego kraju morawskiego. Osiągnięcie i utrzymanie tej sprawności i kultura brzmienia należą chyba do jakichś tajemnic zespołu, którego widomą duszą rytmiczną jest ich dyrygent prof. Ferdynand Vach. Dla nas, patrzących na wadliwość organizacyjne w naszych ciałach muzycznych, jest spoistość *assocjacji* w Związku morawskim niedoścignionym ideałem. Jedyne na zdrowym fundamencie organizacyi towarzyskiej można było dojść do tego mistrzostwa, jakie dziś cechuje produkcyę Chóru nauczycieli morawskich. Co prawda, nie byłoby i mowy o tej silnej spoistości organizacyi, gdyby w członkach Chóru nie tliła równie żywa potrzeba muzyki, tak właściwa czeskiej narodowości. Ona właśnie jest kluczem do tych zagadek, które rodzą się w myśli każdego, biadającego na nasze niemal upokarzające stosunki na polu śpiewu chóralnego. Przykłady takie, jak Chór morawski, wydające się rzeczami niedościgłymi, zamiast zachęcić do wzmożonej pracy, tłumią niestety u nas inicjatywę do niej, paraliżują chęci w zarodkach.

Chór morawski jest wirtuozem, nie zespołem wirtuozów, jest jednością artystyczną, nie ciałem złożonem — mówiąc w przenośni. W tej cudownej syntezie czynników wokalnych, przedstawia się tylko ostateczny cel artystyczny ogólnego wysiłku. Idealne zrównoważenie poszczególnych głosów, wśród których nikt nie dąży do wybicia się nad wspólny poziom, to niesłychanie czyste stopienie się kilkudziesięciu indywidualności w jedną duszę muzyczną, wyróżnia chór ten pośród wszystkich znanych nam organizacyj śpiewackich. Chór synodalny w Moskwie jest zespołem olśniewająco pięknym, nie może jednak ani w przybliżeniu osiągnąć i rozwinąć tej techniki śpiewu, którą mają Morawianie. Wielkie chóry niemieckich towarzystw śpiewackich są niekiedy nieruchliwymi cielskami, śpiewającymi wprawdzie i pewnie, ale bez polotu, bez poetyckiej krasy. Nauczyciele morawscy umieją dobyć zefirowej powiewności, dynamiczne efekty (*crescenda* i *decrescendo*) przypominają w delikatnych miejscach wzrost tonów instrumentów smyczkowych, miejscami potężnieją głosy od *pianissima* do dźwięku puzonów i rogów, frazowanie z uwydatnianiem akcentów jest bezprzykładne, *staccata* mają zadziwiającą elastyczność

uregulowanie oddechu jest matematycznie równoległe do wymagań frazy. Nareszcie jeszcze śpiewają z pamięci, tak, jak z pamięci dyryguje nimi prof. Vach. Dość więc przyczyn do zupełnego porwania słuchaczy, którzy też tak w Krakowie, jak Berlinie lub Paryżu, nie mogą nie poddać się zupełnie sztuce Morawian.

Program koncertu krakowskiego obejmował kompozycje od najpoważniejszego rodzaju do pieśni ludowego charakteru, rzeczy smutne i wesołe, liryczne i bohaterskie. Z kompozytorów czeskich reprezentowani byli w programie koncertu J. Nešvera, Dvořák, I. Suk, Fr. Smetana i Křižkovský. Obok nich znaleźli się: kompozytor frankfurcki Fr. Neumann, francuski Kamil Saint-Saëns i Szwajcar Fryderyk Hegar. Ponadto wykonano trzy ludowe pieśni morawskie. Naczelne miejsce w programie zajęła ballada Hegara *Tabor umarłych*, jedna z najjędrniejszych w wyrazie nowoczesnych kompozycji chóralnych. Wykonanie jej odznaczało się tragiczną grozą, momenty niektóre wywoływały rozdzierające wrażenie. Wysoce interesującą jest *Pieśń na morzu* Smetany; maluje ona barwnie życie żeglarzy wśród stale powracających wykrzyków *halo*, tworzących fanfarę żeglarską. W dzielnicę łacińską Paryża z czasów *Cyganeryi* Murgera przenosi słuchacza *Serenada* Saint-Saënsa, utwór efektowny przez bogate wyzyskanie środków wokalnych i znakomity układ. Zupełnie zawrotne tempo panowało w piosnce ludowej *Dar za miłość*, stanowiącej *cheval de bataille* Chóru morawskiego. To jej *prestissimo* i nieporównana precyzyjność wykonania mogą stanowić przyczynę zazdrości niejednej orkiestry symfonicznej, prawie wykluczoną zaś jest kopia przez jakikolwiek zespół chóralny.

Wobec tych atutów doskonałości z mikroskopem chyba można szukać minimalnych czynników ujemnych. Jedyne z nich, zasadnicze, zamienia się istotnie w moralnie dodatni, bo, jakkolwiek członkowie chóru nie są solistycznie wykształceni, co w pewnej mierze wpływa na jakość brzmienia głosów, tenorom nie pozwala metalicznie błyszczeć, barytonom ujemuje nieco z jędrności tonu, basom nie pomaga do uzyskania najszlachetniejszej pełni, przecież ogólny ton barwy Chóru związku jest wysokiej bardzo wartości, miękki i potężny, a technika śpiewacka Nauczycieli morawskich stoi na zupełnej wysokości zadania. W śpiewie tym, w najtrudniejszych nawet miejscach, nie znać żadnego wysiłku fizycznego, wszyscy śpiewacy panują nad estetyczną stroną wyrazu twarzy, nadając jej wzorowy w śpiewie rys pogodnej powagi. Szczególnie świetnymi są przejścia od *fortissima* do *pianissima*, kultura *mezza di voce* okazuje się bardzo sumienną, falsety tenorów są znakomite.

W prostym stosunku do tych zalet nieporównanych Chóru morawskiego stało przyjęcie u publiczności. Zapal w oklaskach rósł od utworu do utworu, osiągając demonstracyjny charakter po wykonaniu hymnów: *Z dymem pożarów* i *Kde domow moj*. Mamy nadzieję, że sąsiedzki kraj niedługo znowu świetną swą drużynę śpiewacką przyśle do Krakowa, gdzie produkeya Chóru należy już do potrzeb artystycznych.

Kubelik nie zna dziś już wysiłku artystycznego. Było to można zauważyć po sposobie wykonania Sonaty Kreutzerowskiej Beethovena na ostatnim jego u nas koncercie. Ogarniało słuchacza wprost zdziwienie, jak niezmiernie mało temperamentu ma ten największy technik gry skrzypcowej, jak zimnym pozostawia go dzieło tej głębi i siły. Najprzeciętniejszy uczeń konserwatorium nie gorzej odegra sonatę, która Tolstojowi podsunęła temat jego drastycznie smutnej opowieści. Przed kilku jeszcze latami darzył Kubelik audytoryum ciepłem i serdecznością tonu, nieraz nawet umiał porwać namiętnie odegraną frazą, poetycznością interpretacyi, dziś o to nie stara się zupełnie. Musimy więc słuchać Beethovena jakby jakiejs błahostki na *lever de rideau* właściwej sztuki Kubelika. Ta otwiera się przed nami, jak zwykle, dopiero w *capricciach* i *etudach* Paganini'ego, fascynując niemniej słuch, jak wzrok słuchacza, który musi poddawać wrażenia słuchowe kontroli oczu, aby przekonać się, że Kubelik gra istotnie tylko czterema palcami i tylko jednym smyczkiem. Odczucia przyjemności tej kontroli pragnęła i tym razem taka właśnie ilość słuchaczy, jaką zdoła pomieścić sala Starego teatru.

Towarzystwo Muzyczne wystąpiło z trzecim koncertem symfonicznym dnia 13 grudnia. Wieczór ten poświęcono kompozytorom polskim, układając program z dzieł zarówno epok odległych, jak dzisiejszej. Nie sposób mi oprzeć się potrzebie zwrócenia uwagi na pewne niekonsekwencye w pojmowaniu pewnych zadań przez zarząd Towarzystwa Muzycznego i praktycznem przeprowadzeniu ich. W licznych komunikatach, umieszczanych w pismach codziennych krakowskich, wychodzących z kancelaryi Towarzystwa Muzycznego, miało być opinii publicznej zasuggestowane przekonanie o gorączkowej wprost działalności Towarzystwa Muzycznego, o bujnym rozwoju jego artystycznej żywotności. W praktyce zaś rzecz ma się tak, że ilość i jakoś koncertów Towarzystwa Muzycznego nie poszły w górę, natomiast ustawicznie spada i liczba członków zwyczajnych i członków czynnych Towarzystwa. Bardzo przekonującym argumentem był widok estrady na ostatnim koncercie. Żadania muzyki symfonicznej Towarzystwa Muzycznego spełniała niegdyś orkiestra amatorska, uzupełniona lub podwójona orkiestrą wojskową jednego pułku. Dziś stale zasiadają na estradzie dwie kompletne orkiestry wojskowe, obok nich

grają trzej profesorowie konserwatorium i jeden lub dwóch amatorów. Wokalne utwory przyniosły nową niespodziankę słuchaczom. Wykonała je drobna garstka adeptów śpiewu solowego. Jak nas słuchy doszły, chór Towarzystwa Muzycznego gremialnie wystąpił z Towarzystwa w skutek pewnych artystycznych nieporozumień. Jedyną podpora bytu i żywotności Towarzystwa Muzycznego przestała istnieć. Rzecz inna, że podpisany tu zawsze wytykał zupełną niedojrzałość artystyczną nieporadnie zorganizowanego zespołu, obiektywne zaś sądy te nie znajdowały posłuchu. Nareszcie i dyrektor artystyczny Towarzystwa Muzycznego miał podobno uznać, że nie wszyscy członkowie chóru mają kwalifikacyę do należenia do niego. Zarządzona proskrypcya spowodowała demonstracyę wystąpienia całego chóru. Na prędkę złożono chór z uczniów i uczennic klas śpiewu solowego i chóralnego Konserwatorium. Ponieważ zaś uczniowie nie mogą być członkami Towarzystwa Muzycznego i ze względów pedagogicznych nie powinni brać udziału w koncertach, konstatujemy tu, że ten sposób zastąpienia nieistniejącego już chóru Towarzystwa Muzycznego jest w dwóch równocześnie kierunkach niewłaściwy i dłużej trwać nie może. Na te najbliższe i o żywotności Towarzystwa Muzycznego decydujące zadania winien wydział Towarzystwa zwrócić najbaczniejszą uwagą; jeśli nie chce, aby istnienie instytucyi stawało się pod względem jej idealnych celów zawisłem od przypadku lub fikcyjnym.

Ponieważ swojego już czasu wykazałem, że Konserwatorium niczego faktycznie nie zawdzięcza Towarzystwu Muzycznemu i że stosunek zależności powinien być odwrócony, a szkołę tę i rozwój jej uważam za zgoda niezawisły od samych postanowień statutowych Towarzystwa Muzycznego, pragnę przy sposobności zdań kilka zapisać na własny rachunek Konserwatorium. Za kilka tygodni obchodzić ono będzie dwudziestopięciolecie swego istnienia i dyrektorstwa nad niem Władysława Żeleńskiego. Z wykazów statystycznych dowiemy się, że zakres działania Konserwatorium wzrasta z roku na rok w znacznym stopniu. Liczba uczniów jest dziś tak znaczna, że lokal staje się coraz bardziej szczupłym, a czas lekcyj przeciąga się do późnego wieczora. Jest to naturalnie rozwój ilościowy tylko, nie jakościowy, gdyż Konserwatorium nasze nie ma jeszcze warunków do wykształcania poważnych muzyków-kompozytorów lub dyrygentów. Dotychczasowa organizacya szkoły tej nie posiada tego skomplikowanego aparatu, który do przygotowania wyżej aspirujących jednostek jest niezbędny. Wymagalby kurs taki znacznych wkładów i sił pedagogicznych bardzo poważnych, aby mógł spełniać zadania wysoce trudne. Może kiedyś urzeczywistnią się dobre chęci w tym kierunku, a chęci tych nie brak. W kilku ostatnich

latach główną forszą Konserwatorium była klasa fortepianowa prof. Lalewicza. Historia następstwa po prof. Lalewiczu jest znamioną. Ogłoszony na posadę tę konkurs nie zainteresował wybitniejszych pianistów polskich; tak, że okazało się rzeczą konieczną oddać stanowisko pierwszego profesora fortepianu młodemu muzykowi obcego pochodzenia, Rosyjaninowi p. Ebellowi, który jako jedyny kompetował o nie. P. Ebell ukończył konserwatorium w Petersburgu, później przeszedł kurs prof. Godowskiego w Wiedniu. Poważne rekomendacye zapowiadały w nim poważnego muzyka, dobrego pianistę, sumiennego pedagoga. Trudno wprawdzie było dla zadowolenia uczuć patryotycznych pozostawić miejsce to w osieroceniu, niemniej jednak przykre dość wrażenie wywołała polemika prowadzona przez grono nauczycielskie Konserwatorium przeciw jednemu recenzentowi pism krakowskich, który zapewne w dobrej wierze zwrócił uwagę na coraz liczniejsze angażowanie jako nauczycieli Konserwatorium muzyków obcej narodowości lub pozostających z narodowością polską w dość wątpliwych związkach kulturalnych i uczuciowych. Aby na fakt ten zwrócić uwagę, nie trzeba być nawet kompetentnym muzykiem, jeżeli zwłaszcza dyablik drukarski powiększa pozory niekompetencyi. Pstra polemika nie zmieniła faktów krytykowanych, odgłosy zaś jej ze strony chyba dość kompetentnej i raczej życzliwej dla spraw Konserwatorium, niż tylko obiektywnej (w formie korespondencyi z Krakowa w *Kurierze Warszawskim*), mogły przekonać grono i wydział Towarzystwa Muzycznego, że na sprawę tę patrzą poważni członkowie naszego społeczeństwa z zaniepokojeniem, jeśli by ona miała być zapowiedzią zastosowania takiej metody na przyszłość. Niech uczciwe przestrogi nie obrażają nikogo, jeżeli zmierzają do zabezpieczenia jednego z czynników narodowego interesu. Zapewne dopiero wyniki pracy pedagogicznej p. Ebella okażą, czy na stanowisku tem będzie mógł na stałe pozostać. Cenną siłę pedagogiczną przedstawia Dr. Józef Władysław Reiss, który objął w Konserwatorium naukę historii muzyki i kurs form muzycznych, utworzony z jego inicjatywy. Można mieć pewną nadzieję, że z biegiem czasu, uzupełniając powoli różne braki w zakresie nauk muzycznych, obejmie Konserwatorium całokształt programu wszechstronnego praktycznego i teoretycznego przygotowania muzycznego.

Wracam do koncertu Towarzystwa Muzycznego. Najwcześniejszem dziełem muzyki polskiej, wykonanem w programie koncertu, był motet Wacława z Szamotuł: *In te Domine speravi*, wydany w Norymberdze w r. 1554 (w wydaniu zbiorowem Montani et Neuberi). Z unikatów królewskiej biblioteki w Monachium przepisał i opracował monumentalnie poważną

kompozycję podpisaną. Towarzystwo Muzyczne posługiwało się materiałem nutowym, sporządzonym na uroczystości Chopinowskie we Lwowie w r. 1910, nie uważało wszakże za stosowne zaznaczyć autora opracowania. Nadmieniam to dla ścisłości tylko. Motet Szamotulskiego brzmi jak spiż, dzięki sile polifonicznej faktury. Miniatura muzyczna Gomółki, jego Psalm 22 z r. 1580: *Deus meus, Deus meus respice*, mogła być uwydatnić głębokie swe piękno wyrazu i brzmienia w wykonaniu delikatniejszym i poważniejszym od tego, jakie przypadło w udziale w skutek niepokojącego kierownictwa p. Nowowiejskiego. Koncert Chopina *e-moll* odegrał prof. Jan Ebell technicznie i pamięciowo pewnie, ale zgolił bez tonu i temperamentu, co szczególnie trzeciej części przyniosło szkodę nie małą. *Morskie Oko* Zygmunta Noskowskiego było, historycznie biorąc, łącznikiem z dziełami najmłodszej symfoniki polskiej, reprezentowanej przez *Rapsodyę litewską* Mieczysława Karłowicza, nareszcie przez utwory Nowowiejskiego i Walewskiego. P. Feliks Nowowiejski wystąpił z dwiema kompozycjami. Wyjątek koncertu skrzypcowego (część druga) odegrał p. Zygmunt Szwarcstein, rytmicznie nieco nerwowo, ciepłym i wielkim jednak tonem. Zasadniczą cechą tej kompozycji jest — może symboliczne — przeciwstawienie skrzypiec potężnym masom dźwiękowym tuby basowej, puzonów i perkusyi. Programowy tytuł tej kompozycji powinien brzmieć: »Motylek na murze chińskim«... Dla drugiej kompozycji, intermezza symfonicznego z oratorium *In hoc signo vinces*, nie sposób nabrać artystycznego respektu, choć pewnie twórca przeznacza to dzieło do wykonania na Kongresie Eucharystycznym na Malcie. Życzę p. Nowowiejskiemu, aby ten jego nowy *dreadnought* muzyczny dopłynął do miejsca przeznaczenia.... Czy sam tytuł przyniesie mu zwycięstwo, nie wiem. Może tyle tylko będzie miał powodzenia w świecie, ile mimo hasła »Szczęście roku 1912« miał na konkursie Filharmonii warszawskiej, odegrany wcześniej w Krakowie *Romans słowiański* (na skrzypce), przeistoczony w drodze do Warszawy w *The harpist from the Glorification of St. Wyspiański*. *Romans słowiański* był kompozycją p. Nowowiejskiego, nie trudno więc przypuścić, czyją była ta druga, tak ładnie nazwana kompozycja, co do nuty identyczna z romansem...

Walc fantastyczny Bolesława Walewskiego jest niedługą (około 5 minut trwającą) kompozycją orkiestralną, o delikatnych zarysach melodyjnych i powiewności dźwiękowej, mimo starannej roboty kontrapunktycznej. Spłątana nie imitacyjna jest świadectwem rosnącej techniki utalentowanego wybitnie muzyka, pogłębiającej się kultury artystycznej. Bliższe obeznanie się z aparatem orkiestralnym, kryjącym tyle ta-

jemnie w sobie, doprowadzi u p. Walewskiego do wydobywania z orkiestry większej intensywności brzmienia; niekiedy bardzo kunsztownie opracowana partytura stwarza optyczną illuzję pełni dźwiękowej. Illuzya taka musiała zająć i co do *Walca fantastycznego*. W każdym razie możemy wyrazić radość, że ten wiele zapowiadający, prawdziwy talent muzyczny, nie ustaje w pracy nad sobą i pracą tą dojrzewa.

Dr. Zdzisław Jachimecki.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 grudnia.

Kończący się rok zostawia Europę w tym samym stanie niepewności co do dalszego rozwoju ogólnej polityki, jak ostatnie kilka miesięcy. Wojna pomiędzy Turcyą a państwami bałkańskimi dotychczas nie ukończona; w Londynie toczą się rokowania pokojowe pomiędzy reprezentantami Turcyi z jednej, Serbii, Bułgarii, Czarnogóry i Grecyi z drugiej strony — co do Grecyi, to to państwo nie przystąpiło do zawieszenia broni, głównie z tego powodu, że chciano nie wstrzymać akcyi floty greckiej na morzu Śródziemnem i przez to uniemożliwić wysyłkę nowych wojsk tureckich morzem dla wzmocnienia pozycyi armii tureckiej, stojącej dotąd pod Czataldzą. Pomimo to biorą reprezentanci Grecyi udział w rokowaniach pokojowych — a więc z jednej strony trwa wojna grecko-turecka, z drugiej toczą się rokowania pokojowe grecko-tureckie.

Równocześnie odbywają się w Londynie rokowania pomiędzy ambasadorami mocarstw europejskich co do ogólnych kwestyj europejskich, stojących w związku ze zdarzeniami na Bałkanie.

Jeżeli się te dwie konferencye ze stanowiska zasadniczego rozważy, to dochodzi się do przekonania, że są one wyrazem stanu rzeczy, stworzonego przez powstanie Związku bałkańskiego. Ten Związek bałkański, który tak nagle powstał wobec zdumionej Europy, który odniósł, co większe jeszcze zdumienie wywołało, tak wielkie zwycięstwa, który

obalił Turcyę i zajął cały prawie obszar jej posiadłości europejskich — ten Związek bałkański był w gruncie rzeczy odezwaniem się Balkanu z pod opieki Europy. Dotychczas był półwysep bałkański rodzajem terytorjum lenniczego mocarstw europejskich. Te mocarstwa postawiły tam jako zasadę utrzymanie terytorjalnego *status quo* Turcyi; żadna zmiana terytorjalna nie mogła się odbyć bez zgody Europy. Nawet tak wielkie mocarstwo, jak Rosya, które w r. 1878 stało pod Konstantynopolem i przez układ w San Stefano całą prawie Turcyę rozdzieliło, zmuszone wtedy zostało do poddania się woli Europy, która przez traktat berliński odebrała Rosyi owoce zwycięstw i zupełnie inaczej rozporządziła Bałkanem. Przez to, że Turcy a uchodziła od niepamiętnych czasów za „chorego człowieka“, stojącego pod opieką *consilium* europejskiego, był Bałkan od lat wielu rodzajem *noli me tangere*. Jak w izbie chorego, nie wolno tam było chodzić, ale potrzeba było do każdego poruszenia, do każdej czynności zezwolenia — *consilium* lekarskiego Europy. Że pomimo to chory turecki co chwila coś ze swojej chudoby tracił, że co chwila mu coś z izby wynoszono, to było faktem, ale działo się to zawsze w chwilach, w których członkowie *consilium* byli czemś innem zajęci lub też milcząco się na to zgadzali.

W ten cały system Związek bałkański nagle się wdarł. Jest wprawdzie pewnem, że powstanie tego Związku nie nastąpiło bez wiedzy niektórych albo choćby tylko niektórego członka *consilium* europejskiego, ale sposób, w jaki ten Związek na zewnątrz wystąpił i na zewnątrz działał, był wypowiedzeniem posłuszeństwa ze strony sąsiadów „chorego człowieka“ wobec *consilium* europejskiego. Przed rozpoczęciem wojny *consilium* europejskie żądało, ażeby członkowie Związku bałkańskiego czekali na wynik kroków, przedsięwziętych ze strony *consilium* w sprawie reform macedońskich — Związek odpowiedział na to wypowiedzeniem wojny. Czarnogóra pierwsza uderzyła na „chorego człowieka“.

Że Europa na to się zgodziła i nie interweniowała, że wszystkie mocarstwa zachowały podczas wojny zupełną neutralność, to pochodzi bezsprzecznie z dwóch przyczyn: raz dlatego, że cała Europa była przekonana, że „chory człowiek“ ma jeszcze tyle sił, iż potrafi się obronić sam i że w tym

razie będzie ten lub inny członek *consilium* europejskiego interweniował, powtóre zaś dlatego, że Związek bałkański nie głosił hasła zdobycia terytoriów tureckich, ale poprostu tylko uzyskania praw dla swoich pobratymców pod panowaniem tureckim, głównie dla Słowian w Macedonii. Turcyja przyrzekała przeprowadzenie reform już nieraz, a nigdy ich nie przeprowadziła, nawet ostatnie przyrzeczenie reform, jakie Turcyja już pod groźbą wojny uczyniła, odnosiło się do programu reform z r. 1880! A więc od r. 1880 nic nie uczyniła. W tym stanie rzeczy Europa podczas wojny nie chciała interweniować, ale — czekała.

Czy to czekanie odpowiadało interesom niektórych członków *consilium* europejskiego, trudno dotychczas osądzić. Ogólny skutek był ten, że „chory człowiek“ leży obecnie na ziemi, że nad nim stoi Związek bałkański, który chce go zupełnie prawie z jego posiadłości europejskich obdrzeć i że równocześnie obraduje *consilium* europejskie, co z „chorym człowiekiem“ i co ze Związkiem bałkańskim począć.

Za główny cel obecnego *consilium* Europy w konferencji londyńskiej uchodzi uniknięcie europejskich zawikłań wojowniczych. Zajęcia na Bałkanie mają dotknąć tylko Bałkanu, a nie dotknąć Europy. Pod tym względem był konflikt pomiędzy Austryą a Serbią najgroźniejszy. Serbia ogłosiła otrzymanie portu nad Adryatykiem za właściwy cel swoich dążeń i zajęła Durazzo. Przeciwno temu wystąpiły Austro-Węgry, które zarządziły mobilizacyę, ażeby okazać *urbi et orbi*, że gotowe są do najenergiczniejszych kroków dla obrony swoich interesów nad Adryatykiem. Z drugiej strony poczyniła Rosya przygotowania mobilizacyi, tak, że dwa mocarstwa stały naprzeciw siebie w postaci wojowniczej.

Pierwszym przedmiotem narad konferencyi ambasadorów mocarstw była więc sprawa austriacko-serbska. O ile można wierzyć doniesieniom, sprawa została w ten sposób załatwiona, że Albania, na której terytorium leży Durazzo i obszar do tegoż należący, otrzyma samodzielnosc, będzie ogłoszona za osobne państwo, Serbia zaś otrzyma na tem terytorium albańskim przystęp do Adryatyku. Nowe państwo albańskie ma stać pod protekcyą mocarstw europejskich i tymczasowo pod lenniczą władzą sułtana.

Przy tem tworzeniu samodzielnej Albanii odgrywała t. zw. zasada narodowościowa teoretycznie jedną z największych ról. Powoływano się na to, że ponieważ Związek bałkański został utworzony na podstawie zasady, że każda narodowość na Bałkanie ma być członkiem odpowiedniego państwa bałkańskiego, że więc Serbowie mają należeć do królestwa serbskiego, Bułgarzy do królestwa bułgarskiego, Grecy do królestwa greckiego — że więc logicznie także i Albańczycy, stanowiący osobną zupełnie narodowość, muszą być członkami osobnego państwa, albańskiego i nie podlegać, jak to początkowo Serbia żądała, w wielkiej części królestwu serbskiemu. Ta zasada narodowości ma bezsprzecznie z naszego, polskiego stanowiska, niemałe znaczenie. Zgadza się najzupełniej na to, ażeby Albania na podstawie tej zasady stała się samodzielnem państwem, ale musimy równocześnie podnieść, że zasady tego rodzaju są tylko płaszczykiem dla pokrycia innych, praktycznych a nie teoretycznych celów. Wszak Albańczycy są ludem bez historycznych tradycji, bez historycznej przeszłości, ludem, który nie posiada ani własnej literatury, ani własnej cywilizacji, ani nawet pewnej stałej mowy, który musi dopiero przejść przez pewne fazy rozwoju, ażeby stanąć na ogólnoeuropejskiej wyżynie cywilizacyjnej. I temu ludowi daje Europa samodzielność w imię zasady narodowości! Jeżeli ta zasada zostaje przez Europę tam uznana, to jakże większe prawo do jej uznania należy się Polakom, których przecież pod względem warunków do państwowego bytu z Albańczykami trudno porównywać. Albańczycy są zdolni na podstawie zasady narodowości tworzyć osobne państwo, Polacy zaś dotąd są uważani za niezdolnych! *Difficile est satyram non scribere.*

Jeżeli to tutaj piszemy, to czynimy to dlatego, ażeby dowieść na przykładzie, tak uderzającym, jak rzadko, że zasady, jakie głosi Europa w teorii, nie są niczem innem, jak tylko frazesem, użytym dla pokrycia innych celów, z temi zasadami, w gruncie rzeczy, w żadnym nie stojących związków. Utworzenie państwa albańskiego, jeżeli do niego przyjdzie, nie nastąpi dlatego, ażeby zasada narodowości na Bałkanie tryumfowała, ale dlatego, że nie chciano dopuścić nowego konkurenta, za którym stała podobno Rosya, do użytkowa-

nia portu nad Adryatykiem, a przez to do zmiany sił morskich na morzu Śródziemnem. Nie zasady sprawiedliwości, nie zasady etyczne rozstrzygały, ale interes chwili.

Właśnie jednak z tego przykładu powinniśmy wyciągnąć dla nas naukę, naukę tę, że wszystkie nasze, choćby teoretycznie najwięcej usprawiedliwione żądania i myśli, wszystkie nasze „prawa narodowe“ nie mają najmniejszej praktycznej wartości, jeżeli nie są oparte na interesie mocarstw europejskich, jeżeli nie odpowiadają faktycznemu stanowi rzeczy, tak, że ich urzeczywistnienie jest tylko logiczną konsekwencją pewnych danych. Nie wypada więc występować z inicjatywą, z porywami, jeżeli się tych danych nie ma, jeżeli cały stan polityki praktycznej jest urzeczywistnieniu praw narodowości wrogi; najpierw potrzeba wytworzyć te pewne dane i dopiero po ich wytworzeniu zastósować do nich porywy. Porywy bez przygotowania pracy są niebezpieczne dla samej sprawy, albowiem ją na długi czas usuwają z widowni publicznej, szkodzą rozwojowi społeczeństwa i rozwojowi samej tej zasady narodowości, którą chcą wprowadzić w życie.

Czy rokowania pokojowe pomiędzy Turcyą a państwami bałkańskimi już teraz doprowadzą do pozytywnych wyników, trudno osądzić. Jak zawsze w takim stanie rzeczy chodzi o — targ: i z jednej i z drugiej strony żąda się najpierw bardzo wiele, ażeby później spuścić z żądań. Jakkolwiek jednak będzie wynik rokowań, to się zdaje pewnem, że Turcyja na pomoc żadnego z państw europejskich liczyć nie może. *Consilium* przy łożu „chorego człowieka“ nie myśli już o pomocy choremu — zasada, że nie wolno mu nie zabierać, została usunięta, Turcyja nie stoi więcej pod opieką Europy, która liczy się ze śmiercią europejskiej Turcyi.

Czy jednak ta śmierć odbędzie się bez walk nad łożem śmiertelnem i bez konwulsyj samego umierającego, także i na to pytanie koniec roku nie daje odpowiedzi. Liczyć się wypada przede wszystkim z konkurencją państw bałkańskich przy podziale spadku po Turcyi. Są niektóre części Turcyi, o które ubiega się kilka państw, n. p. jedno z najważniejszych miast tureckich, Saloniki. I Grecy i Bułgarzy twierdzą, że ich wojska to miasto najpierw zajęły, że więc

się ono im należy. Król grecki w Saloniki stale się najpierw osiedlił, niezadługo przybył tam i król bułgarski. Zasada narodowości o posiadaniu tego miasta, jednego z najważniejszych portów tureckich, także nie może rozstrzygać, bo $\frac{3}{4}$ części ludności stanowią tam — Żydzi. Saloniki były zawsze rodzajem ideału, a również i postrachu, jeżeli mówiono o rzekomych aspiracyach austriackich do terytoryów tureckich; i rzeczywiście dla Austrii miałyby Saloniki ogromne znaczenie, jako najlepszy przystęp portowy do morza Egejskiego, a stąd do morza Śródziemnego. Utrata nadziei posiadania kiedyś w przyszłości Saloniki jest prawdziwą klęską dla Austrii.

Także i podział zdobytych obszarów w Macedonii na podstawie narodowości nie da się łatwo przeprowadzić, bo Macedonia jest mozaiką narodowościową; znajdują się tam obok siebie gminy z narodowością bułgarską, zaraz obok z narodowością grecką lub serbską. Niemalą rolę odgrywa i fakt, że największe stosunkowo obszary zajęli podczas wojny Serbowie, pomimo, że oni nie mieli tyle do walczenia, jak Bułgarzy. Bułgarzy mieli najtrudniejsze zadanie do spełnienia, oni pobili główną armię turecką, od ich zwycięstwa zależał cały los wojny — im więc należy się główna część zdobyczy, podczas gdy dotychczas Serbowie i Grecy najpiękniejsze zajęli terytorya, a Bułgarzy dotąd jeszcze stoją z całą armią na polu Czataldży i pod Adrianopolem. Niemalą rolę odgrywa także stara zawiść pomiędzy dynastją Njegus Petrowiczów a Karageorgewiczów; stary Nikita czarnogórski uważa się za właściwego króla wszystkich Serbów, w tej wojnie jednak nie miał on szczęścia, z trudnością tylko uniknął porażki i dotąd jeszcze toczy się oblężenie twierdzy Skutari, która miała zostać stolicą nowego królestwa serbskiego — Serbowie zaś z królestwa serbskiego bez wielkich wysiłków odnieśli niemalę zwycięstwa.

Widać pomiędzy członkami Związku bałkańskiego początki niesnasek.

Do tego wypadu jeszcze dodać niewyjaśnione dotąd stanowisko Rumunii. Rumunia, która nie wzięła udziału w wojnie, ale przez swoją neutralność oddała przysługę Związkowi bałkańskiemu, żąda za to pewnych terytoryalnych ustępstw

ze strony Bulgaryi. Ta na te ustępstwa początkowo się nie chciała zgodzić, tak, że i z tej strony gromadziły się chmury, zaciemniające horyzont polityczny.

Jakie wreszcie zajmie stanowisko monarchia austriacko-węgierska, także trudno obecnie ocenić. Jak długo rokowania pokojowe pomiędzy Turcyą a członkami Związku bałkańskiego nie zostaną ukończone, tak długo Austro-Węgry nie przedsiębrać nie mogą. Spełzną te rokowania na niczem i przyjdzie do nowego wybuchu wojny, w takim razie będzie mogła i monarchia, w razie gdyby jej interesa były dotknięte, opuścić stanowisko neutralne i zająć stanowisko więcej czynne. Doprowadzą jednak rokowania pokojowe do pozytywnego wyniku, to i w takim razie monarchia austriacko-węgierska będzie mogła, stosownie do tego wyniku, działać odpowiednio do swoich interesów i bez względu na dotychczasową neutralność.

Koniec r. 1912 musi więc i dla Europy w ogólności i dla Austro-Węgier w szczególności przedstawiony być jako wielki znak zapytania.

W polityce wewnętrznej Austrii i Węgier był ten koniec roku ważnym epizodem. W sesyi parlamentarnej austriackiej odznaczył się on całym szeregiem walk obstrukcyjnych, w których południowi Słowianie i Rusini główną odgrywali rolę. Jeżeli się zważy, że w polityce zagranicznej kwestya południowych Słowian, mianowicie Serbów, na pierwszym stała planie i że w stosunku Austrii do Rosyi, który był właściwą osią naszej polityki zagranicznej, kwestya Rusinów bardzo była drażliwą, to łatwo się zrozumie, że obstrukcya ze strony tych narodowości była w obecnej chwili z pewnością aktem niezbyt patryotycznym. I południowi Słowianie i Rusini powinni byli swoje specjalne żądania i dążenia na inną odłożyć chwilę. Ponieważ się jednak to już stało, przeto rekryminacje *pro praeterito* wypada odłożyć na bok i zając się kwestyą, która nas w pierwszej linii dotyczy, kwestyą rusińską, *pro futuro*.

W sprawie ruskiej chodziło tym razem o utworzenie uniwersytetu ruskiego we Lwowie. Pod względem formalnym wypada przedewszystkiem podnieść, że wszystkie sprawy sporne między dwiema narodowościami należą do spraw czy-

sto wewnętrznych, do spraw krajowych, że należą przed *forum internum*. Tę zasadę postawiono w Austrii po upadku ministerium hr. Kazimierza Badeniego, które chciało za pomocą znanych *Sprachenverordnungen* wpłynąć z góry, z Wiednia, na sprawę umowy czesko-niemieckiej. Wtedy najwyraźniej wykluczono rząd centralny od wpływu na spory narodowe, wykluczone egzekutywą od wpływu na legislatywę. Tej zasady stale się dotychczas trzymało — w sprawach czeskich. Pertraktacje o ugodę czeską odbywają się w Pradze, a ministrowie o tyle tylko na nie wpływają, o ile chodzi o jakieś formalne pytania.

Tę zasadę, jak wszystko w Austrii, łatwo jednak usunąć na bok, w sprawach nie czeskich, jeżeli jakie stronnictwo użyje za broń obstrukcyi w parlamencie. W sprawach czeskich także i obstrukcyja nie pomaga, sprawy te należą do *forum internum* czeskiego, ale sprawy narodowe nie czeskie dostają się za pomocą obstrukcyi z kraju do — Wiednia. W chwilach ważnych, krytycznych, w chwilach, gdy parlament rozstrzyga o sprawach ogólnopństwowych, występuje kilku posłów z obstrukcją, jeden choćby tylko poseł mówi kilkanaście godzin, ażeby nie dopuścić do głosowania, inny kładzie się jak długi na stół w izbie komisyi, ażeby nie dozwolić na funkcyę parlamentarną i skutek jest — że ta obstrukcyja zwycięża. Ministerstwo bierze sprawę w ręce, nie z powodów rzeczowych, nie dlatego, że stosunki wewnętrzne kraju tego wymagają, że sprawa jest rzeczywiście nagłą, konieczną lub choćby tylko sprawiedliwą, ale jedynie dlatego, że ta obstrukcyja psuje parlamentarne cele ministerstwa, jego potrzebę otrzymania pewnych wotów, jego stanowisko wobec Cesarza, który kładzie nacisk na prędkie przeprowadzenie jakiejś sprawy państwowej. Za pomocą posła, który się położył na stół w parlamencie, dostaje się sprawa czysto krajowa na tensam stół w Wiedniu. Zasada, że sprawy między narodowościami mają być załatwiane tylko między nimi, ustępuje na drugi plan — na pierwszy wchodzi potrzeba usunięcia obstrukcyi parlamentarnej. Rząd bierze sprawę w rękę, wszystko odbywa się pod naciskiem chwili, pod ciężarem leżącego na stole obstrukcyonisty, i im więcej patryotyzmem jest jakieś stronnictwo, im więcej mu chodzi

o interes państwa; tem słabsze ma ono stanowisko w tych rokowaniach o sprawę krajową. Każdą choćby najwięcej usprawiedliwioną opozycję przeciwko żądaniom obstrukcyonistów przedstawiają dzienniki wiedeńskie tylko ze stanowiska przeszkody do otrzymania żadanego wotum parlamentarnego — rzecz schodzi na drugi plan, obstrukcyja i jej usunięcie stoi na pierwszym.

Stosunki to z pewnością niezdrowe i niezdrowym jest z pewnością ich wynik; z tego stanowiska wychodząc, żalujemy, że sprawa tego rodzaju, jak sprawa uniwersytetu ruskiego we Lwowie, w ten sposób zostaje załatwiona.

Nowe uniwersytety należą do spraw, podlegających legislatywie, a więc na podstawie ustawy mogą być stworzone. Dlaczego Rusini żądali, ażeby ta sprawa ustawowa została najpierw załatwiona za pomocą cesarskiego odręcznego pisma, nie wiemy. Zapewne chodziło im najpierw o to, ażeby nadać całej sprawie jeszcze większe formalne znaczenie, a powtórę już przed parlamentarnem załatwieniem otrzymać załatwienie, dające pewność na przyszłość. Jeżeli Cesarz sam się zgodził na takie pismo odręczne, to oczywiście Polacy nie mogli się temu sprzeciwić, a otrzymali z drugiej strony przez to sposobność do stwierdzenia pewnych zasad, jakie miały wejść w życie przy stworzeniu nowego uniwersytetu, a jakie w piśmie cesarskiem najskuteczniej, lepiej jak w przyrzeczeniach ministerjalnych, mogły być gwarantowane. Według dotychczasowych umów ma pismo odręczne cesarskie ukazać się w miesiącu styczniu, rząd ma wnieść projekt ustawy, stwarzającej uniwersytet ruski we Lwowie w ciągu r. 1914; ma się postarać o to, ażeby ten projekt został wykonany w ciągu dwóch lat, tak, że w r. 1916 mają być profesorowie nowego uniwersytetu mianowani. Od tego czasu będzie dotychczasowy uniwersytet we Lwowie nosił charakter czysto polski.

Ze stanowiska polskiego, powiedzmy lepiej: ogólnie polskiego, wypada się cieszyć, że ugoda pomiędzy Polakami a Rusinami, choćby na tej nieformalnej i nieodpowiedniej drodze, przyjdzie do skutku. Nie Polakom więcej nie szkodzi zagranicą, jak dotychczasowa waśń z Rusinami. Wszędzie, gdzie mówiono o prawach narodowych polskich, wska-

zywano na rzekome gnębienie Rusinów przez Polaków, mianowicie szkodziło nam to u innych Słowian, u Czechów i u Słowian południowych. W Rosyi zaś samej jest rzekome gnębienie „russkich“ w Galicyi ciągłym tematem do artykułów dziennikarskich przeciwko Polakom i przeciwko Austrii. Ta sama Rosya, która gnębi Małorusinów, Polaków, Finlandczyków, krzyczy na gnębienie rzekomych „russkich“ w Galicyi.

Jeżeli więc utworzenie uniwersytetu ruskiego będzie krokiem do zgody między Polakami a Rusinami w Galicyi, to wypada je z radością powitać. Pytanie jednak zachodzi, czy z tego uniwersytetu skorzystają rzeczywiście Rusini, czy też „russkije“ ludzie, których mają na oku panslawistyczne dzienniki w Rosyi? Pytanie dalej zachodzi, czy utworzenie tego uniwersytetu nie przyczyni się do odebrania wschodniej Galicyi tego charakteru polskości, jaki jej się należy, jaki leży nie tylko w naszym interesie, ale i w interesie państwa, którego częścią jesteśmy?

Tak kończąc stary, a rozpoczynając nowy rok, widzimy, jak na wszystkich dawnych ziemiach polskich toczy się walka przeciwko polskości. W Rosyi uchwalono ustawę o ziemi chełmskiej, w Prusach dano komisji osiedlań prawo do ekspatryowania nas przemocą, w Galicyi tworzą we Lwowie uniwersytet ruski. Wszystko to jest jednak z drugiej strony dowodem, że my — żyjemy, bo tylko przeciwko żywym toczy się walka, umarłych albo umierających zostawia się w spokoju.

Ten stary rok rzucił jednak w świat, równocześnie, daleko od nas — na Balkanie — na nowo hasło, pod którem my tyle lat walczyliśmy, pod którem tyle cierpieliśmy, hasło praw narodowych. Ci Serbowie, ci Bułgarzy, ci Grecy, walczący w gruncie rzeczy o zdobycze państwowe, ale na zewnątrz pod hasłem, że każdy naród ma prawo tworzyć osobne państwo, albo należeć do niego, wszyscy ci Słowianie i nie-Słowianie bałkańscy działają właściwie także w idei naszych praw. Albowiem niema w całej Europie dzisiaj ważniejszego prawa narodowego, jako prawo Polaków, jak to, co lat tyle zwano „sprawą polską“. Jeżeli Europa to prawo teoretycznie na Balkanie uznała, to uznała ona przez to także

i istnienie „sprawy polskiej“. Doświadczeniem tylu lat i tylu przejść nauczani, nie podnosimy my tej sprawy dzisiaj czynnie, nie uważamy obecnej chwili za stosowną do porywów lub eksperymentów, ale mamy zupełne prawo do stwierdzenia wobec Europy, że żyjemy, skoro przeciwko nam toczy się walka i że jako żyjący mamy prawo co najmniej do tego, co dzisiejsza Europa daje — Albańczykom.

* * *

KS. JERZY CZARTORYSKI.

Wspomnienie pośmiertne.

Nazwiskiem, majątkiem, historią swego domu, z urodzenia przeznaczony był na to, by w kraju znaczyć; ale mógł mimo tych warunków nie znaczyć, gdyby był chciał i umiał żyć biernie, wygodnie, żyć dla siebie. On się zaznaczył w życiu tego kraju i zapisał sobie jedną kartę w jego dziejach, bo chciał: niezależnie od tego, co mu urodzenie przyniosło, chciał być sam przez się — być czynnym, służyć, przyłożyć rękę do spraw ważnych i przedsięwziąć pożytecznych. Z tej woli, z tej szlachetnej świadomości, wynikło jego znaczenie i stanowisko w życiu publicznym, wynikła powaga, jaką między nami miał, wynikła ta szkoda i ten żal, jakie czujemy żywo po jego śmierci. Stary był, sędziwy, od lat paru już się był usunął od spraw; a jednak dopóki żył jeszcze, strata nie była zupełną. Dziś mamy to uczucie, że znowu zabrakło nam jednego z tych niezwykłych, których nigdy i nigdzie nie ma wielu, a których nam więcej, niż innym, potrzeba.

Najmłodszy z dzieci ks. Konstantego, z jego drugiej żony Dzierżanowskiej z domu, był też i ostatnim żyjącym z tego pokolenia Czartoryskich, którego ojcowie rodzili się i chowali się jeszcze w Puławach albo w Warszawie. Znika z nim ten, który nas jeszcze, po wieku i więcej, łączył pośrednio z temi czasami, postaciami, wspomnieniami.

Ks. Konstanty osiadł w Wiedniu jeszcze przed r. 1830. Wpływu politycznego nie wywierał, od wszelkiej politycznej akcyi trzymał się zdaleka i mieszkając w Wiedniu, obcy pod-

dany, nie mógł robić inaczej. Ale znajomość politycznego świata austriackiego i jakieś z nim stosunki mieć musiał. Andrzej Zamoyski mówi w swoich *Wspomnieniach*, że kiedy był wysłany do Wiednia z tajemną misją w r. 1831, udawał się do tego wuja o radę i pomoc, i do jego wskazówek stosował swoje kroki. W świecie towarzyskim dom ks. Konstantego znaczył wiele, a różnił się od wielu charakterem przyjęć lub rozrywek. Był to charakter umysłowy i artystyczny, wysokiego wykształcenia, zamiłowania oświaty i sztuki. Sam książkę musiał być i znawcą i miłośnikiem pięknych rzeczy, jak świadczą pozostałe po nim zbiory dzieł sztuki, a na jego wieczornych przyjęciach muzyka była tak znakomita, amatorskie przedstawienia teatralne tak doskonałe, że ubiegano się a nieledwie dobijano o zaproszenia.

Dzieciństwo syna, jego nauki, przechodziły w tym domu, w tej atmosferze, i młody chłopiec bezwiednie kształcił i rozwijał bystrą intelligencję i wrodzony zmysł artystyczny. Kształcił je tem więcej i tem skuteczniej, kiedy z chłopca wyrósł na młodzieńca i sam chciał, pragnął, wyrabiać je w sobie własną pracą. Do zwykłego wiedeńskiego światowego życia, do balów i sportów pociągu nie miał; ale rozkoszować się piękną muzyką, ale podziwiać wielkich aktorów w wielkich tragediach, ale spędzać godziny w galeryach obrazów, a potem z równymi sobie wykształceniem mówić, rozprawać o tem, co się widziało lub słyszało, to była jego przyjemność, jego potrzeba i niewątpliwie ostateczne rozwinięcie jego umysłu i nauki. Dom z czasem stał się cichym i pustym: matka nie żyła, siostra wyszła za mąż i młodo umarła; w Wiedniu został tylko stary ojciec, a przy nim dwaj młodzi synowie, Konstanty i Jerzy. Ojcu służyli gorliwie, pięknie; ale całego młodego życia w domu zamknąć nie mogli, potrzebowali ludzi, stosunków, zamiany myśli. Znaleźli to w tej sferze wiedeńskiej ludności, która niewątpliwie intelligencją, wysokiem wykształceniem, przewyższa wszystkie inne, w sferze uczonych, artystów, w sferze pełnej niezwykłych męskich i niewieścich rozumów. Tam mieli młodzi Czartoryscy swoje najmiłsze stosunki i najmiłsze chwile, tam swoje przyjaźni. Wpływ tego otoczenia musiał działać na nich silnie; mógł się przyczynić do formacyi ich politycznych

także wyobrażeń i przekonań. Sami niebawem zwrócili na siebie uwagę, wyrobili sobie znaczenie w tym świecie. Należeli do stowarzyszeń, a recenzje i rozprawy ks. Jerzego były skwapliwie poszukiwane, były rozrywane przez pisma poświęcone literaturze i sztuce. A do ostatka słuchać go, jak mówił o rzeczach literatury i sztuki, to była prawdziwie rozkosz.

Po śmierci ojca ks. Jerzy objął w spadku klucz Pełkiński i niebawem, po ożenieniu, przeniósł się z Wiednia do kraju. Miał wtedy lat przeszło trzydzieści; w tym kraju był nie wiele i zawsze na krótko; o jego stosunkach musiał mieć jakieś wyobrażenie ogólne tylko: jak potrafi, on, przywykły do innego, do miejskiego życia, przełamać się do zupełnie różnego? jak potrafi rozpoznać się w tych zawikłanych stosunkach?

Na to pytanie jego rozum i jego wola dały odpowiedź bardzo prędką i bardzo świetną. We wszystkim się rozpoznał, do wszystkiego się nałamał, do wszystkiego się brał energicznie, rozważnie, praktycznie. Może jest niedyskretyą i zuchwalstwem wspomnieć, ale byłoby niewdzięcznością nie wspomnieć, jaką pomocą była mu księżna w tej zmianie egzystencji, jak rozumem, sercem i pracą towarzyszyła mu i wspierała go na każdym kroku. Zaczęło się to życie, częścią na wsi, częścią we Lwowie, w którym mąż brał na siebie i prowadził sprawy i własne majątkowe, i gminne, i powiatowe, a żona sprawy miłosierdzia, oświaty, sprawy ludności wiejskiej. Nie dość opatrywać chorych a dzieci uczyć w ochronkach, trzeba wymyśleć, wyszukać dla nich nowe sposoby zarobkowania: to ten przemysł domowy, hafeiarski i koszykarski, to hodowanie drobiu i bydła, w których księżna uczyła, łożyła kosztą, sama w początkach, później z pomocą córki, a obok tego dobre pisma i książki dostarczane, zbiorowe czytania i t. d.

Ks. Jerzy był marszałkiem swojego, Jarosławskiego, powiatu. Mówiono o nim, że mało który powiat w kraju był równie dobrze prowadzony. Mówiono także, że księżę na tem stanowisku doświadczył wiele niewdzięczności od tej ludności wiejskiej, której robił i zrobił bardzo wiele dobrego.

Do Sejmu wszedł w r. 1867 — wyszedł z niego, kiedy go wiek i zdrowie do tego zmusiły, na parę lat przed śmiercią. Na to, by przypomnieć, choćby najogólniej tylko, jakie zajmował w nim stanowisko, trzeba by i czasu dużo i przejrzenia sprawozdań sejmowych z tych lat przeszło czterdziestu. To w pośpiechu, w kilku ostatnich dniach miesiąca, niemożliwe. Zatem w dwóch słowach tylko zapisać trzeba, że stanowisko ks. Jerzego w Sejmie było bardzo wysokie, a on był jednym z posłów najbardziej znaczących. Nie należał do żadnego stronnictwa: dla tego, domyślamy się, że żadne nie odpowiadało w zupełności jego przekonaniom, a ze swoich przekonań ustępować cokolwiek nie był skłonny. Ale choć stał samotny w tym Sejmie, to otoczony był w nim zawsze. Jego zdanie, jego rada, szukane i słuchane były zawsze, choćby nie zawsze usłuchane. Rozum niepospolity, zmysł polityczny bardzo żywy i czujny, wsparte były głęboką znajomością i historią, i dzisiejszych europejskich politycznych stosunków i problemów. Ten szeroki horyzont, a zarazem bystre, głębokie rozumienie, dawały mu siłę zbiorowego niejako doświadczenia i siłę argumentacji. Mówił rzadko, właściwie tylko kiedy to uważał za konieczne i w ważnych tylko kwestiach — ale mówił zawsze bardzo dobrze, nieraz bardzo świetnie. Powoli, bardzo spokojnie, nie unosząc się nigdy, nie dbając o literacką stronę i o efekt: ale dlatego właśnie, że on nie dbał, nie chybił go nigdy, robił go zawsze. Nigdy się nie zużył, nigdy się nie powtarzał, nigdy słuchacze nie mieli przy nim tego wrażenia, że już z góry wiedzą, eo i jak on powie. Był zawsze nowy, niespodziewany, nieprzewidywany; zawsze ściśle rzeczowy, przygniatający przeciwnika siłą logiki i nieprzepartą siłą dowodzenia. Jako sprawozdawca i jako członek komisji (najwięcej pracował w szkolnej), był w pilności, znajomości spraw i ich strony praktycznej zadziwiający, a nie mniej w debacie, w obronie swego zdania, czy wniosku. Pod spokojem jego słowa i tonu czuło się żywość jego uczucia i głębokość jego przekonania. Prócz tego miał ten dar czy takt szczęśliwy, że umiał wypowiedzieć bardzo wyraźnie wszystko, co miał w sercu lub w myśli, czego pragnął i czego się obawiał, co kochał, a na co się wzdrygał, a zrobić to tak, że żadnego przeciwnika nie urażał, żadnemu

nieprzyjacielowi nie dostarczył pozoru i przyczepki do siebie. Ten jego przymiot sprawiał, że gdzie położenie wymagało szczególnego taktu, tam Sejm do ks. Jerzego się udawał, prosząc, żeby za wszystkich przemówił, uczuciu wszystkich dał wyraz. Tak było na przykład kiedy po katowaniach dzieci we Wrześni Sejm odezwać się musiał, a tak oględnie, żeby nie zaszkodzić. Ks. Jerzy zrobił to tak poważnie, tak świetnie, że lepiej nie można. Nigdy zaś nie był tak imponującym, jak kiedy mu przyszło mówić o wielkich kwestiach zasadniczych, o tych, na których stoją podstawy społeczeństw i ich przeszłość. Kiedy w Sejmie stanęła reforma ordynacji wyborczej i kiedy z różnych stron powtarzało się hasło głosowania powszechnego, ks. Jerzy powiedział o niem prawdę taką i powiedział ją tak, że jego mowa powinna być tłumaczoną na wszystkie języki i rozszerzoną po całym świecie! Na dziś zapewne nie wydałaby skutku: ale po pewnym czasie, może niedługim, zrobiłaby wrażenie, znalazłaby uznanie. Cała historia minionych wieków, od Greków po dziś dzień, stwierdza prawdę jego słów, stwierdza ją także obecny stan Europy.

Skończyła się wielka historyczna rola Czartoryskich, tak przeważna w naszej historii od dwóch wieków blisko. Nie było ani sejmów w Warszawie, ani emigracyjnej polityki ks. Adama, i syn jego zeszedł ze świata — a jednak nie skończyła się historia domu, jego stanowisko w historii polskiej. W zmienionych warunkach, na mniejszej scenie, bez śmiałych marzeń i planów, ale z energią, z poświęceniem, z pożytkiem, przejął ten spadek po swoich starszych, polityczną rolę ks. Jerzy. Przejął, i trzymał wysoko, pięknie, szlachetnie. Da Bóg, nie będzie takim ostatnim w swoim domu!

St. Tarnowski.

Karol hr. del Campo Scipio.

Wspomnienie pośmiertne.

Dla niektórych strata przyjaciela, osobistego i politycznego, dla innych prócz tego strata krewnego, dla wszystkich, dla kraju, strata człowieka, który służył przez całe swoje życie, z całego serca i ze wszystkich sił. Przyjaciół polityczny był stały, pewny, w przekonaniach niezmienny, w działaniu pilny, energiczny, rozważny. Przyjaciół osobisty był w uczuciach gorący, do usługi, do pomocy zawsze chętnie gotowy, do poświęcenia swego czasu, trudu, środków pieniężnych aż nadto prawie skory i łatwy. Jako uczestnik zaś lub kierownik wielkich instytucyj czynny, biegły, oddany im zupełnie, o sobie nie myślący nigdy. Prosty przytem i skromny tak, że zdawał się nie znać swojej wartości i za usługi. Życie miał trudne nieraz, ale piękne zawsze, bo rządzone piękną duszą, prostym sumieniem, umysłem jasnym, a te wskazywały zawsze drogę postępowania.

Stary ród, z królową Boną jeszcze do Polski z Włoch przybyły, osiadły najwięcej i najdłużej na Litwie lub na pograniczu Litwy z Koroną, skoligacony świetnie, możny, musiał mieć nie małe znaczenie, skoro była w nim laska marszałkowska W. Księstwa Litewskiego. Dziad zmarłego Karola, także Karol, żołnierz kościuszkowski, ożeniony z Maryanną Tarnowską (z Dziękowa), musiał się jakoś źle rządzić, bo jego wielkie majątki, w Lubelskiem i w Galicyi, topniały i topniały, aż znikły. Z dwóch synów, starszy, Jan, zaledwo ukończył liceum warszawskie, oświadczył rodzicom, że czuje w sobie powołanie

na księdza. Seminaryum i wyświęcenie w Rzymie, i tam w kilkuletnim pobycie nabyta bardzo niezwykła znajomość i gorące zamiłowanie w rzeczach sztuki. Do Krakowa przyszedł w kilka lat po wyświęceniu i został już na resztę życia, jako kanonik katedralny, miłośnik wielki miasta, ale nadewszystko katedry, w rzeczach polskich, w historii zwłaszcza, uczony do zadziwienia. Miało się to wrażenie, że on wszystko umie, wie, pamięta, od średniowiecznych do najnowszych czasów. Ale to mnóstwo wiadomości było w nim, z niego nie wyszło; notat i zapisków miał bez liku, nie napisał nigdy nic. Umarł blisko dziewięćdziesięcioletni, na umyśle zawsze żywy, w r. 1890.

Młodszy syn Karola, Maurycy, chodził do szkoły w Krzemieńcu, miał lat ośmnaście czy dziewiętnaście kiedy poszedł się bić w r. 1831; mówiono o nim wtedy, że to najładniejszy z Krakusów. W kilka lat później ożenił się z Anielą Jezierską, gospodarował na jej majątku w Królestwie. Synów chciał chować tak, żeby nie oglądając się na to, co kiedyś na nich spaść może, mieli każdy swój własny zawód i sposób do życia. Dwóch starszych, Stanisława i Karola, wysłał do Paryża do „Szkoły dróg i mostów“. Karol wyszedł z niej z patentem i musiał zaraz rozglądać się, jakby te nauki spożytkował. Zmiana stosunków w Królestwie, przewrót ekonomiczny po r. 1863, zachwiały majątkiem rodziców. W Galicyi budziły się różne przedsiębiorstwa: w nich szukał dla siebie miejsca. Pierwsze znalazł w Czerlańskiej fabryce papieru, podówczas akcyjnej, pod kierunkiem ks. Leona Sapiehy. Ten był zdziwiony biegłością, zawodem wykształceniem młodego człowieka, a zbudowany odwagą i energią, z jaką brał się do pracy, widział w nim przymioty rzadkie, w rzadkim stopniu. Ale papiernia nie szła dobrze i przeszła w inne ręce. Scipio nie chciał przy niej zostać w tych zmienionych warunkach, szukał innego zajęcia. Wtedy zaświeciło nad nim szczęście, w swojej najlepszej, najmilszej, najwdzięczniejszej postaci: miłość, miłość młodej dziewczyny, pod której niezwykłą uderzającą pięknością kryła się dusza nierównie jeszcze piękniejsza. Miłość wzajemna, ożenienie, szczęście. Osiadł na wsi, w Łopuszce (pod Kańczugą) i wziął się do gospodarstwa. Nie był się go uczył, ale pokazało się, że

je umiał. Jego sława, jako dobrego rolnika i administratora, rosła w okolicy, rozszerzała się — a z nią razem sława gorliwego, czynnego, zdolnego znawcy i uczestnika wszystkich spraw ekonomicznych i administracyjnych powiatu. Niebawem stał się znanym w kraju; zwrócona była na niego uwaga, do niego ufność. Wybór do Sejmu był jej naturalnym i koniecznym skutkiem. Był w tym Sejmie przez długie lata i był w nim jednym z najlepszych posłów. Nie myślał nigdy o tem, żeby na siebie zwrócić uwagę, żeby zrobić efekt, żeby się widzieć drukowanym i chwalonym w dziennikach — ale tego nie zaniedbał nigdy, żeby znać na prawdę, zbadać każdą sprawę, jaka miała przyjść pod obrady, żeby swoje zdanie wyrobić na podstawie takiej znajomości. Te zaś sprawy, do których należał bezpośrednio, o których razdził i dyskutował w komisjach, których jako sprawozdawca bronił w Izbie, studyował tak gruntownie, znał tak doskonale, przedstawiał tak jasno i dokładnie, że liczony był zawsze do najtęższych sprawozdawców sejmowych. Jego właściwem polem były sprawy ekonomiczne, należące do dobrobytu kraju i podniesienia jego bogactwa. Komisye, w których stale pracował, to budżetowa, gospodarstwa krajowego i administracyjna. Miał zaś jako poseł, jako parlamentarny debater, tę wielką zaletę, że w politycznych przekonaniach stały i niewzruszony, w politycznych przeciwnościach nie był namiętny, ani nerwowy. Jego przekonania to te, które stale wyznawali posłowie krakowscy od r. 1865, jego polityczni przyjaciele to ta grupa posłów, do której należał niegdyś Adam Potocki, Paszkowski, dwaj Wodzicey, Dietl, Zyblikiewicz, Dunajewski, Szujski, Gustaw Romer, w późniejszych latach młodsi, jak Kazimierz Badeni, Artur Potocki — za wsteczników ogłaszani, na prawdę najrzetelniej, najczynniej postępowi.

Sejm dał poznać Scipiona ze strony jego zdolności i biegłości w sprawach ekonomicznych: stąd staranie znakomitych instytucyj krajowych, żeby go dla siebie pozyskać, do swoich prac go wciągnąć. I on czuł się do takich prac powołanym: wiejskiego gospodarstwa nie zaniechał, doglądał go, ale cały swój czas i siłę oddał na usługi tych instytucyj. To Bank galicyjski dla handlu i przemysłu, to Towarzystwo

wzajemnych ubezpieczeń, to wreszcie Bank krajowy. Wszędzie i zawsze niezmordowany w pracy, w zabiegliwości, całą duszą oddany przyjętemu obowiązkowi i instytucyi, w której zajmował stanowisko.

Wśród takich prac spadło na niego wielkie nieszczęście: śmierć starszego syna Władysława. Młodzieniec pod wszystkimi względami doskonały, prawdziwie wzór młodości pełnej życia i zapału a cnotliwej, zapadł w chorobę i na samym wstępie do życia, przeszedł do życia lepszego. Ale tu zostawił po sobie żal wielki, był siłą wielkiej siły w dorastającym pokoleniu. Bolesć rodziców była równie ciężka i niezagojona, jak cnotliwa, pobożna, budująca poddaniem się woli Bożej. Biedny ojciec nie ustał w pracach, nie folgował sobie, wszystko robił jak przedtem, na pozór taki sam: tylko w głębi serca, przed Bogiem, przed żoną, inny jak przedtem, ugodzony w serce, zbolały.

Czas nie zagoił rany, ale ją jednak ukoił swoją władzą, a przyniósł i pociechę wielką w szlachetnej młodości drugiego syna, w jego ożenieniu, we wnuczętach.

Czynności obowiązkowe nie wyczerpywały całej energii Scipiona, tego zapału, który go pchał wszędzie tam, gdzie było coś dobrego, coś potrzebnego do zrobienia. Dlatego podjął się i pomimo wszystkich zajęć prowadził (z prof. Antonim Górskim) sprawy administracyjne Spółki wydawniczej polskiej. Dlatego w wolnych chwilach, jak żeby dla wypoczynku czy rozrywki, tłómaczył francuskie polityczne pisma Klaczki, Jemu mamy do zawdzięczenia, że ci z nas, co nie umieją po francusku, mogą czytać *Studia dyplomatyczne* i *Dwóch kanclerzy*. Ale zwłaszcza katolickie związki, przedsięwzięcia, zamiary, miały w nim zawsze gorliwego opiekuna, orędownika, nieraz kierownika, a niejeden z duchownych temi sprawami zajętych, mógłby zaświadczyć, jaką w nim znajdował pomoc, zawsze gotową i dzielną. I tu godzi się i należy wspomnieć. że do jego najbliższych, najserdeczniejszych przyjaciół należał nieodżałowany X. Stanisław Puszet.

Gdybyśmy mieli wspominać wszystkie osobiste powody wdzięczności dla Scipiona, dowody jego przyjaźni, pomoc daną nieraz bez prośby nawet, z własnego popędu dobrego serca, byłoby za długo, a dla czytelników obojętnie. Jedno

wszakże zapisać chcemy koniecznie. W r. 1891 *Przegląd Polski* kończył dwadzieścia pięć lat swego życia: przyjaciele obchodzili tę rocznicę w sposób dla nas bardzo miły. Ale *Przegląd* był wtedy (jak zawsze) w złych interesach: Scipio usiłował, i próbował, dźwignąć go z trudnego położenia. Sta-
rał się długo i gorliwie o pomnożenie liczby abonentów, a między bliższymi przyjaciółmi zebrał pewną sumkę, jako subwencję. Przyjęta ona była z wielką wdzięcznością. Na dalsze losy naszego pisma, na jego wziętość u publiczności nie wpłynęła — ale była bardzo droгим dowodem życzliwości i przyjaźni niektórych, a zwłaszcza tego, który tę myśl po-
wziął i wykonał.

Żegnamy w nim długie lata wspomnień domowych i kra-
jowych, wspólnie przebytych starań, prac, walk, zawodów; żegnamy krewnego i przyjaciela, wiernego i pewnego zawsze; żegnamy obywatela, Polaka, katolika, który całe życie, z ca-
łej duszy, służył umiłowanej sprawie, jak mógł najlepiej. Oby Bóg dał więcej takich, jemu podobnych, jemu równych — my pocieszamy się nadzieją, że ich da w jego domu.

St. Tarnowski.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Józef Supiński: *Szkola polska gospodarstwa społecznego*. (»Biblioteczka dzieł społeczno-ekonomicznych« pod redakcją Dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej. Serya I. Tom II. *Ekonomiści polscy*. Wydawnictwo i druk M. Arcta w Warszawie, 1911, str. 164).

Henryk Kamieński: *Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa*. (»Biblioteczka dzieł społeczno-ekonomicznych« pod redakcją Dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej. Serya I. Tom III. *Ekonomiści polscy*. Wydawnictwo i druk M. Arcta w Warszawie, 1911, str. 120 + III).

Program c. k. Szkoły Politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1911/12. XL. (Lwów, 1911. Nakładem Szkoły Politechnicznej. Z I Związkowej Drukarni we Lwowie, str. 125).

B. Bolesława: *Tułacze*. Opowiadanie historyczne. Tom VI. (Warszawa, 1911. »Biesiada Literacka«. Druk Synów St. Niemiry, str. 160).

Przewodnik po wystawie ludoznawczej kaszubsko-pomorskiej w Kościerzynie 1911 r. od 25 czerwca do 23 lipca. (Nakładem Komitetu wystawowego w Kościerzynie. Drukiem »Pracy« w Poznaniu, str. 39).

Wiktor Hugo: *Człowiek śmiechu*. Powieść. Tłómaczył z francuskiego Felicyan Faleński. Tom I. (Warszawa, 1911. »Ciekawe powieści«. Dodatek do »Tygodnika Ilustrowanego«. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Druk Piotra Laskauera w Warszawie, str. 199).

Teodor Jeske-Choiński: *Teror*. Powieść historyczna z czasów Rewolucyi francuskiej. Tomów II. (Warszawa, 1911. Nakładem Księgarni St. Sadowskiego. »Nowości literackie« tom 48—50. Tom I str. 263, tom II str. 353).

X. Zygmunt Storchenaus T. J.: *Wiara chrześciana* jaką być powinna, na nowo wydał X. Hugo Hurter T. J., zwyczaj. prof. teologii na c. k. Wszechnicy w Innsbruku, przełożył z niemieckiego X. Franciszek Starowieyski. (Brody, 1911. Nakładem Księgarni Feliksa Westa, str. 166).

A. J. Plattner: *Święta Elżbieta. Jej żywot i nabożeństwo do niej*. Przełożył X. Józef Janiszewski. (Brody, 1911. Nakładem Księgarni Feliksa Westa, str. 100).

Bronisław Czarnik: *Pierwsze utwory poetyczne Augusta Bielowskiego*. (Odbitka ze »Sprawozdania Zakładu Narodowego im. Ossolińskich za r. 1910«. Lwów, 1911. Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, str. 15).

Mieczysław Jankowski: *Kwiaty w ogrodzie*, z 236 ilustracyami. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, druk W. L. Anczyca i Sp., str. 315).

E. Bougaud biskup Laval: *Św. Wincenty à Paulo. Żywot i prace*. Tłómaczył z 4-go wydania B. Roszkowski. Tom I. (»Biblioteka dzieł chrześcijańskich«. Warszawa, 1911. Skład w Księgarni Gebethnera i Wolffa, str. XIV, 208).

X. Bolesław Żychliński: *Słowo do rodziców*. Siedem grzechów głównych przeciwko religijnemu wychowaniu dzieci. (Lwów, 1912. Ż drukarni Józefa Chęcińskiego, str. 138).

F. de Céz: *Dobrze xroxumiane życie*. Z francuskiego dla naszych pań przełożył X. Aleksander M. (Brody, 1912. Nakładem Księgarni Feliksa Westa, str. 140).

Jerzy Żuławski: *Na Srebrnym Globie*. Wydanie trzecie. (Lwów, 1912. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Druk W. L. Anczyca, Kraków, str. 321).

Jan Pietrzycki: *O Erosie i winie*. Przekłady z Saffony, Anakreonta i poetów polsko-łacińskich. Wydanie drugie. (Lwów, 1911. Nakładem Księgarni L. Chmielewskiego, str. 34).

Materyały i prace Komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom V. (Kraków, 1912. Nakładem Akademii Umiejętności, str. 488).

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filozoficzny. Serja III. Tom IV. (Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności, str. 419).

Henryk Grossmann: *Polityka przemysłowa i handlowa rządu terezyańsko-józefińskiego w Galicyi 1772 — 1790*. Referat na V Zjazd prawników i ekonomistów polskich. Odbitka z »Przeglądu prawa i administracji«. (Lwów, 1912, str. 43).

Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyśle za r. 1909 — 1911. Pod redakcją Feliksa Przyjemskiego. (Przemyśl, 1912, str. 136).

OD REDAKCYI.

Wspomnienie o ś. p. Arcybiskupie Popielu,
jako dłuższe, odkładamy do następnego zeszytu.

„PRZEGLĄD POLSKI“

pismo naukowe i literackie, wychodzi rok czterdziesty siódmy w Krakowie, w pierwszych dniach każdego miesiąca, w zeszytach zawierających 8 — 10 arkuszy druku w 8^{ce} (rocznie do 120 arkuszy druku).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor

Prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski.

Prenumerata „Przeglądu Polskiego“ z przesyłką pocztową wynosi:

w Austrii	Kor. 32.—	rocznie	Kor. 8.—	kwartalnie
w Niemczech	„ 37.50	„	„ 9.40	„
we Francyi, Belgii, Włoszech i w Ame- ryce	„ 40.—	„	„ 10.—	„
w Królestwie Pol- skiem i Cesarstwie Rosyjskiem	Rsb. 16.—	„	Rsb. 4.—	„

Cena pojedynczego zeszytu Kor. 3.

Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracyi „Przeglądu Polskiego“: Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie

Prenumeratę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie oraz urzędy pocztowe w kraju i za granicą.

Dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych prenumerata „Przeglądu Polskiego“ wynosi:

rocznie w Austrii	Kor. 24.—
„ w Niemczech	„ 28.—
„ we Francyi i t. d.	„ 35.—

którą przyjmuje wyłącznie tylko Administracya.

tom 187.

Nr. 561.

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK CZTERDZIESTY SIÓDMY.

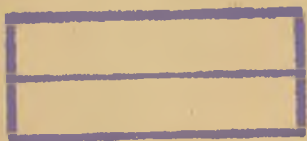
Zeszyt IX. Miesiąc Marzec 1913 r.



W KRAKOWIE,
W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1913.

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Hold Tadeuszowi Czackiemu, przez Stanisława Tarnowskiego.	3
II. Ze studyów nad epoką saską. II. Jakób Henryk Flenning w świetle swej rękopiśmiennej spuścizny. III. Upadek Sulковского (z 2 portretami), przez Dr. Kazimierza Maryana Morawskiego.	3
III. Bronisław Trentowski. 1808 — 1869. III. Listy Trentowskiego (ciąg dalszy), przez Dr. Władysława Horodyskiego	33
IV. Jeneral Ignacy Prądzyński w świetle własnych pamiętników, korespondencyj i nowszych badań (ciąg dalszy), przez Dr. Augusta Sokołowskiego	3
V. Budżet krajowy (ciąg dalszy), przez Dr. Adama Krzyżanowskiego	
VI. Kronika literacka	
L. Kolankowski: Zygmunt August wielki książę Litwy do r. 1548. — »Teatr«. Ilustrowany dwutygodnik artystyczny, zeszytów 6 (grudzień 1912 — luty 1913). Z literatury powieściowej. G. Daniłowski: Marya Magdalena. Polemika Dr. K. Hartleba i Dr. W. Bogatyńskiego.	
VII. Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego. — »Judasz z Kariothu«, dramat K. H. Rostworowskiego, przez Stanisława Tarnowskiego	434
VIII. Przegląd polityczny, przez * *	496



HOŁD TADEUSZOWI CZACKIEMU.

Dnia 20 lutego 1813 r. umierał Tadeusz Czacki. W tę stuletnią rocznicę nie myślimy pisać jego żywota, ani choćby najlżejszego szkicu tego żywota, ani wyliczać jego dzieł i zasług naukowych, ani tych, jakie miał względem ojezyny i cywilizacji przez założenie Krzemieńca. Chcemy tylko w kilku słowach złożyć hold tej wielkiej pamięci, schylić głowę przed jednym z najlepszych synów i sług Polski.

Wiek XVIII skończył się zawaleniem dawnej Polski. Wiek XIX, to jest ciągle ta sama podwójna praca odbudowania i burzenia. Dzieło burzenia prowadzi nieprzyjaciel, my ułatwiamy je, kiedy dajemy mu sposobność i pozór do dalszego coraz zupełniejszego burzenia. Dzieło odbudowania prowadzą jedni po drugich ludzie wielkiego serca, a głowy nie mniejszej od serca. Tym się nie udaje. Co założą jaki fundament i mur cokolwiek nad ziemię wzniosą, wali się to, co zaczęli; następcy wśród gruzów i zwalisk muszą zaczynać na nowo, od podstaw. Burzenie idzie łatwiej i prędzej; tego, co już zyskało, nie traci nigdy, tylko na tym swoim dorobku oparte, idzie dalej, śmiało, w tym samym celu, tą samą drogą, do tego samego kresu.

Jednym z tych naszych Ezdraszów, co próbowali dźwigać zwalone mury świątyni i miasta, był Tadeusz Czacki, a między nimi był jednym z najdzielniejszych. Kiedy się nad nim zastanawiać, dochodzi się z podziwieniem do pytania, jaką musiała być ta głowa, co mogła tyle rzeczy objąć tyłu podolać. Wielki uczony kładzie fundament pod naukę

historyi prawa, właściwie pierwszy ją u nas stwarza. Wielki ekonomista porządkuje, prowadzi, doprowadza do końca względnie dobrego trudne, nader zawikłane sprawy finansowe, a marzy o wielkich przedsiębiorstwach, o drogach komunikacyi i zbytu dla polskiego handlu. Praktyczny polityk w swoich czysto naukowych rozprawach podaje sposób rozwiązania wielkich kwestyj narodowych i społecznych (mianowicie żydowskiej). Zapalony biblioman nie tylko własną bibliotekę zbiera, ale zna, lustruje liczne biblioteki, rozsypane po całym kraju. Wielki organizator wychowania wreszcie, nie tylko zakłada Krzemieniec, ale wizytuje wszystkie szkoły na Litwie i Rusi, a swoich prac naukowych mimo to nie zaprzestaje. Bronić się zaś, bronić swego dzieła od zamachów burzenia, musi ciągle, bez ustanku, aż do chwili, kiedy w takiej obronie właśnie ducha wyzionął. Wielki był ten duch, i na swoje usługi miał głowę i zdolność wielką — a między nieszczęściami i klęskami burzenia do największych należy zburzenie tego, co on zrobił, co stworzył.

Podanie mówi, jeżeli nie zupełnie pewne, to wiarogodne, bo przekazane przez starszych, z Czackimi spokrewnionych i zaprzyjaźnionych, że Podczaszyna Czacka, kiedy się dowiedziała o porwaniu senatorów w Warszawie, modliła się przed cudownym obrazem Pana Jezusa w Boremlu, żeby nieszczęścia, jakie mają spaść na Rzeczpospolitą, spadły na nią i na jej dom. Od Rzeczypospolitej się nie odwróciły, ale na nią i na dom spadły. Mąż wywieziony w głąb Rosyi; ona wpadła w obłąkanie i w tym stanie po kilku latach umarła. Mąż, kiedy wrócił z wygnania, już jej nie zastał. Tadeusz, najmłodszy z czworga dzieci, był wtedy małym chłopcem: w takiej atmosferze się chował. W tem wychowaniu musiał i uczyć się wiele i rozwijać dziwnie, bo jako bardzo młody, ledwie dwudziestoletni, zwrócił na siebie uwagę w Warszawie. Tam musiał być pod okiem, jeżeli nie pod dozorem, swego wuja Stanisława Małachowskiego, referendarza, późniejszego Marszałka Sejmu konstytucyjnego, i przez niego miał ułatwione znajomości i stosunki; ale widocznie upatrywano w nim dużą zdolność i naukę, skoro tak młodego chłopca bierze za pomocnika Naruszewicz i poleca mu porządkowanie Metryki koronnej pod swoim kierunkiem. Że

pod tym kierunkiem mógł i skorzystać wiele, i rozpalic swoje wrodzone zamiłowanie do nauk i badań historycznych, domyślać się łatwo.

Zamiłowanie rosło; pamięć współczesnych podawała późniejszym szczegóły z jego ówczesnego życia, jak spędzał dnie w Bibliotece Żaluskich, a w domu zarzucony papierami, często nie ubrany nawet jeszcze, pracował od wczesnego rana. To tłumaczy jego uczoność historyczną i prawniczą; ale skąd i jak nabrał znajomości spraw ekonomicznych? Nie od Naruszewicza przecie? Musiał wyrobić ją w sobie sam, patrzeniem, rozważaniem i czytaniem; ale wyrobił ją tak, że uważany za znawcę tych spraw, w Sejmie konstytucyjnym powołany był do komisji skarbu, w niej przebył cztery lata Sejmu, a jak zeznaje świadek, Stanisław Potocki, „był duszą tej magistratury, która jemu zawdzięcza i wielką liczbę i wielką wartość prac przez siebie dokonanych“.

Wielbicielem, ani nawet zwolennikiem Ustawy 3-go Maja nie był. Jego broszura *O Konstytucyi 3-go Maja* jest jedyną rozumną ze wszystkich, jakie przeciw ustawie były napisane. Twierdzi on, że jest niebezpieczna dla wolności, bo władzy wykonawczej daje za wiele praw, a przez to łatwość krępowania wolności. Myli się, bo wszelka konstytucya może być do tego nakręconą i nadużyta, a dla Polski wzmocnienie władzy wykonawczej było koniecznością; ale sprawy swojej dowodzi i broni dobrze, a na jego zdanie wpływają zapewne tradycyjne pojęcie polskiego republikanizmu i współczesne teorie francuskie.

Po dwóch ostatnich rozbiorach nastał chaos finansowych zawikłań, upadłości, klęsk: upadki wielkich przedsiębiorstw bankowych pociągały za sobą ruinę wielkiej liczby majątków prywatnych. Do rozwikłania tej gmatwaniny interesów, do ratowania tych majątków, wezwano znowu Czackiego: i on prowadził likwidację banków Prota Potockiego i Teppera, ukończył ją w lat tylko parę, a przez nią uratował i zatrzymał w Polsce ogromną sumę półtrzecia miliona dukatów.

W tych latach najbliższych po rozbiorze powstawały w jego głowie pomysły i plany ekonomiczne, jako środek

„odbudowywania“: wyrabia projekt żeglugi na Dniestrze, rozmyśla, jakby kanałami połączyć rzeki polskie, bada stosunki handlowe i porty Morza Czarnego, zakłada Towarzystwo handlowe, które miało swoje własne statki (pierwszy z nich, „Tadeusz Czacki“, wypłynął z Odessy do Tryestu 9 lipca 1803 r.).

To nie jedyne pole odbudowy: jest inne, do ratowania i utrzymania nauki, literatury, oświaty. Czacki jest jednym z założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a pierwszym dziełem, jakie wyszło pod auspicjami Towarzystwa, było jego *O litewskich i polskich prawach*.

Ale równocześnie otworzyło się przed nim nowe pole pracy i zasługi, największe, najważniejsze, najbardziej obiecujące (zdawało się) skutki błogosławione, i rzeczywiście skutki takie wydające przez cały czas swego istnienia.

Jakim był cesarz Aleksander I: co w nim było prawdą, co chwiejnem marzeniem, a co wreszcie udawaniem, łudzeniem drugich i siebie samego, tego nikt nie dojdzie, tego i on sam zapewne dobrze nie wiedział. Ale niemniej to jest prawdą, że Polsce coś dobrego zrobił.

Reorganizacya wychowania publicznego na Litwie i Rusi, przetworzenie uniwersytetu wileńskiego, było pierwszym, co Aleksander zrobił dobrego Polsce, a obok konstytucyi Królestwa, największem. Znajdował on w tem swoją korzyść, sławę opiekuna i krzewiciela oświaty, ale Polska znajdowała swoją, i większą, rzeczywistszą. Szczęście to, tak wielkie i tak niespodziewane po rozbiorach, spadło na Polskę z ręki Aleksandra: ale tą ręką kierował podówczas ks. Czartoryski i jego to jest głównie zasługą i dziełem. A jedno i drugie dzieli z nim Czacki: ks. Adam wyjednał, Czacki urządził i wykonał, i na tem polu rozwija się główna, najświetniejsza i najdobroczynniejsza jego czynność, tak dobroczynna i świetna, że przyćmiewa nawet jego znakomitą czynność naukową.

Kiedy ks. Czartoryski zaraz po wstąpieniu Aleksandra na tron otrzymał to, że miała nastąpić reforma wychowania, udał się do niektórych ludzi w kraju o plan urządzenia szkół i uniwersytetu wileńskiego. Plan podany, oparty głównie na dawnych pracach i wnioskach Komisji Edukacyjnej,

zatwierdził Aleksander dnia 18 maja 1803 r. Czacki, wezwany na wizytatora już po zatwierdzeniu planu, upatrywał w nim wiele niedoskonałości, które częścią wykazało było doświadczenie, częścią przewidywać kazała rozważa. Oprócz niedostatków w samym planie, było jeszcze i to złe, że jedyna szkoła główna na wszystkie zabrane kraje polskie była w Wilnie, a Wołyń, Podole i Ukraina, tak odległe od Wilna, nie miały ani jednego wyższego naukowego zakładu, przez co dokończenie wychowania dla znacznej części młodzieży stawało się utrudnionem, a przez to wychowanie w tych krajach nie zupełnem. Ale jakżeż na to poradzić? Rozporządzenie było już podpisane i nieodwołalne, koszt utrzymania wszystkich gimnazyów oznaczone; skąd wziąć funduszków na zakład wyższy, i jak to zrobić, żeby on pod formą szkoły średniej, gimnazjum, był rzeczywiście zakładem wyższym?

Na pierwsze poradził Wołyń: na niego wypadło dać próbę gotowości i zdolności do służby publicznej, i trzeba mu oddać sprawiedliwość, że w tej mierze, w jakiej jej mógł dowieść, dowiódł jej świetnie. Prawda, że był podówczas bardzo zasobnym i bogatym, mieścił w sobie jeszcze największe majątki polskie, ale też dał budujący przykład gotowości i gorliwości w niesieniu ofiar na wychowanie. Składki prywatne, zobowiązania do datków rocznych, które się uważały i wybierały tak regularnie, jak rządowe podatki, wystarczały nie tylko na założenie i utrzymanie Liceum wołyńskiego, ale i na wszystkie z niem połączone potrzebne zakłady. Nie brakło i hojnych zapisów. Wszelako te środki same wystarczyć nie mogły i Czacki z Czartoryskim wyjednali dla szkół na Wołyniu, Podolu i Ukrainie zabrane fundusze pojezuickie, z czasem dochody z dawnego starostwa krzemienieckiego.

Z temi środkami mógł Czacki Liceum postawić na świetnej stopie: urządzić dla niego budynki pojezuickie i pobazylińskie, zakupić bibliotekę Stanisława Augusta, do której przybyła jego własna i inne z zapisów założyć gabinet fizyczny, ogród botaniczny, a obok Liceum szkołę geometrów, szkołę mechaników, szkołę chirurgów; w planie miał szkołę nauczycieli (wiejskich), szkołę guwernantek, ale tej już założyć nie zdążył — i środków zabrakło i skończyło się życie.

Liceum obejmowało cztery klasy niższe i trzy dwuletnie kursa. Skoro szkoła miała być niejako surrogatem uniwersytetu, więc te kursa dochodziły już do przedmiotów nauki uniwersyteckiej, do początków i podstaw prawa. Szkoły gimnazyalne (Winnica, Dubno, Kamieniec, Humań, Kijów i inne) miały sześć klas, cztery niższe z tym samym planem, co Krzemieniec, dwie wyższe, obejmujące mniej więcej te nauki, co na krzemienieckim pierwszym kursie. W korespondencyi Kollątaja przechował się wyraźny, bardzo zajmujący, bardzo piękny ślad, jak ten plan nauk, ten organiczny układ wychowania publicznego powstawał. Listów Czackiego nie ma, ale z tego, co pisze Kollątaj, widzi się, jak oni nie nie spuszczały z uwagi, jak od zasad aż do najdrobniejszego szczegółu, wszystko między sobą rozważali, dyskutowali i ustalali. Widzi się także, co to były za głowy prawdziwie ministerjalne.

Nad tą zaś wielką zdolnością Czackiego, nad jego wielką nauką, nad jego niezmordowaną pracą unosi się dopiero duch, w jakim te dzieła były poczęte i prowadzone, cel, który twórcy ich przyświecał: pojęcie obowiązku, pojęcie miłości ojczyzny najwyższe, najszlachetniejsze, najmędrsze, jakie być może. Dźwigać co upadło: dźwigać zaniedbaną oświatę, przez nią ratować, podnosić ojczyznę. Kształcić rozumy, wychowywać młodzieńców na ludzi oświeconych: ale wychowywać ich przedewszystkiem na ludzi porządných. Rozwijać umysł, ale przed umysłem i nad nim wyrabiać sumienie, uczucie honoru i obowiązku, godność, charakter. Kiedy przed objęciem swego urzędowania Czacki pisał dla Czarotoryskiego, kuratora, memoriał o stanie szkół w krajach jemu teraz powierzonych, kreślił obraz przerażający. Nietylko liczba szkół, nietylko liczba uczniów w tych szkołach, nietylko nauka w nich na stopniu wstydlivym i gorszącym, ale stan moralny nauczycieli i uczniów, pracowitość, karność, przyjaźń koleżeńska, prosta uczciwość wreszcie, w stanie jeżeli nie oplakany, to niepokojącym. Gdyby po dziesięciu latach istnienia Krzemieńca był kto zrobił taki wykaz statystyczny, jaki zrobił Czacki z dziesięciu lat przed jego założeniem, to byłoby się pokazało, że wzrosła nietylko liczba szkół i uczniów, ale i honor, i ambicja, i wszystkie szlachetne strony chara-

kteru. Pod tym względem Krzemieniec może najświetniej spełniał swoje zadanie. Rozrzucił po całej Polsce ludzi godnych, którzy do śmierci przechowali w sercu zasady tam wpojone i miłość, cześć tej szkoły, która ich tak wychowała. Starcy nad grobem z rozrzewnieniem, ze łzami, wspominali swoje szkolne lata, z radością i chlubą nazywali się uczniami krzemienieckimi; a kiedy przez długie lata, przez całe życie rozdzieleni, spotykali się w sędziwej starości, rzucaли się sobie w ramiona, jak koledzy, i wzdychali za Krzemieńcem.

Małe miasteczko było nietylko siedzibą szkół, ale ogniskiem oświaty, umysłowego wykształcenia, szlachetnego obyczaju dla Wołynia, Podola i Ukrainy; ściągało starszych, którzy tam nieraz osiadali na lata nauki synów -- i na tych starszych działało, działało wielkim duchem Czackiego.

Miał Czacki do zniesienia walk, trudności, przeszkód, przykrości, nie od samego rządu nawet, tylko od niechętnych swoich także, bez liku. Władze rządowe, z gubernatorem Komburlejem na czele, i prawosławne duchowieństwo, skarżyły raz po raz w Petersburgu niebezpiecznego „polonizatora i latynizatora“. Skargi nie były bez skutku. Czacki powoływany był do Petersburga, i musiał stawać przed komisją śledczą. Ale ta komisya, choć w niej zasiadał Nowosilcow, nie zdołała mu nie nietylko dowieść, ale zarzucić. I tu nasuwa się uwaga, jaki on był roztropny i zręczny, jak znał ten rząd i umiał przezornie unikać wszelkich pozorów jakiegś (jak się dziś mówi) „nieprawomyślności“. Przypominamy sobie przed laty w naszym Sejmie lwowskim jakieś rozprawy o szkołach, skargi na Radę szkolną, i żądanie, żeby działała „w duchu Czackiego“. Gdyby ci posłowie czytali raporta i memoryały Czackiego, gorszyliby się chyba z jego braku ducha, z takim uszanowaniem, z taką lojalnością mówili on o cesarzu i rządzie. Ale jemu nie o słowa chodziło, nie o pozory, tylko o rzecz: to jest prawdziwy duch Czackiego.

Jego wychowanie zaś, jego kształcenie młodzieży, opierało się i zasadzało na jednej, najpewniejszej podstawie, religijnej: na gruncie katolickim. Katolikiem był przez całe życie, z uczucia i z przekonania, szczerem, otwarcie wyzna-

jałym: w tem miał regułę swego sumienia i życia, i tę chciał dać wychowañcom swojej szkoły.

Gdzie ta szkoła! Gdzie ta oświata i ta cecha polska, jaką ona nadawała tylu krajom, i po swoim zamknięciu jeszcze zatrzymywała! Gmachy opuszczone, miasteczko wyludnione, biblioteka w Kijowie, ognisko światła zgaszone, a czarna noc zepsucia i fałszu szerzy się coraz dalej, zapada na coraz większe przestrzenie. Ze wszystkich ruin i zwałisk niezliczonych, nieocenionych, niepowetowanych, ruina Krzemieńca jest jedną z najboleśniejszych, najszkodliwszych: bo w dziele odbudowywania była warunkiem i środkiem jednym z najdzielniejszych, postępem jednym z najrzeczywistszych. Dzieło upadło, nie z winy Czackiego — ale powstało, żyło, skutki błogosławione miało z jego zasługi. Po stu latach, kiedy stracone i to, i tyle, tyle innego, złożmy na jego grobie świadectwo, że był jednym z tych, co chcieli najlepiej, działali najrozumniej, zdziałali najwięcej. Złożmy w sercu i sumieniu swoim przyrzeczenie, że nad odbudową będziemy pracowali ile zdołamy, a do burzenia ręki nie przyłożymy, sposobności i pozorów nie damy.

W tej pracy dźwigania Czacki nie był ostatnim w Polsce, nie był nawet ostatnim w swoim domu: i byłoby źle, niesprawiedliwie, niewdzięcznie, nie wspomnieć, że jego duch pozostał dziedzicznie i odezwał się w tym domu. Kto wie, czy ekonomiczna, praktyczna zdolność Tadeusza nie znalazła się na skromniejszym polu w czynnościach i pracach jego wnuka Feliksa, tak wielce, tylu ludziom w tych sprawach pomocnego. A drugi wnuk, Włodzimierz, prowadził wielkie dzieło odbudowy Kościoła w Polsce i spraw Kościoła polskiego w Rzymie „Umysłem i zdolnością był jednym z najznakomitszych, sercem jednym z najbardziej gorejących Polaków naszego wieku. Kiedyś historia polska, mówiąc o różnych duchach, „w których łonie przyszłość się wypracowuje“, będzie musiała wspominać kardynała Czackiego przy wszystkich nadziejach i uciskach narodu, a zwłaszcza Kościoła, historia powszechna napotka nieraz tę postać młodego Polaka przy wielkiej postaci Piusa IX¹⁾).

¹⁾ *Przegląd Polski*. Kwiecień 1888 r.

O Tadeuszu Czackim mówił hr. Zawadowski, minister oświaty w Rosyi: „Przez niego *nomen erit indelebile vestrum* (imię Polaków)“. Powtarzamy te słowa z chlubą — a do nich dodajemy inne, wyczytane na jednej rycinie Czackiego, podpisane pod nią jakoś wkrótce po jego śmierci:

»Tobie wdzięczni współcześni, wdzięczniejsi potomni.
Czacki! Twego imienia Polak nie zapomni«.

Potomni nie zbierają niestety plonu z jego posiewu — ale jego imienia Polak nie zapomni. W to wierzymy, i to, ufamy, możemy śmiało przyrzekać.

St. Tarnowski.

ZE STUDYÓW NAD EPOKĄ SASKĄ.

II. JAKÓB HENRYK FLEMMING

W ŚWIETLE SWEJ RĘKOPIŚMIENNEJ SPUŚCIZNY.

(SYLWETKA HISTORYCZNA).

O Flemingie!

Fle-super extremas generosae Poloniae ruinas,
Minge-super nomen, quod nova bella parit.

(*Anagram szlachecki*).

Jakób Henryk Flemming przyszedł na świat w r. 1667, jako syn Jerzego Flemminga, pruskiego tajnego radcy i prezydenta sądu dworskiego na Pomorzu ¹⁾. Studya uniwersyteckie odbywał we Frankfurcie nad Odrą i Utrechcie pod kierunkiem słynnego Gräviusa, wydawcy *Tezauru* starożytności rzymskich, i dzięki niemu nabrał wielkiej wprawy w mowie łacińskiej, co było nieocenionym nabytkiem dla późniejszego ministra króla polskiego, prawie zupełnie nieświadomego polskiego języka. Młodziutki Flemming wybrał się 1688 r. z Utrechtu w orszaku Wilhelma Orańskiego do

¹⁾ »Je suis né en Poméranie — pisze o sobie Flemming — d'une famille qui sans contredit est la première de tout le pays. Elle a depuis plusieurs siècles des gentilshommes vassaux et possède la charge héréditaire de maréchal de la noblesse, qui dirige l'Assemblée des Etats de ce Duché«. (*Portrait* z r. 1720 w rękopisie e 76 królewskiej biblioteki w Dreźnie).



JAKÓB HENRYK FLEMMING
 pierwszy minister gabinetowy saski
 (1667—1728).

Z ryciny Königa według portretu Antoniego Pesne.

Anglii, by być świadkiem wywyższenia tego księcia, epokowego zwrotu w dziejach wysp brytańskich. Wkrótce potem wstąpił do służby brandenburskiej, którą w r. 1694 zmienił na saską. August Mocny dał mu pułk grenadierów czy dragonów, z którym Flemming towarzyszył mu w węgierskich jego wyprawach. Był urodzonym żołnierzem¹⁾. „Kształciłem się — zwierzał się w r. 1722 swojej przyjaciółce, młodzieńczej Zosi Sieniawskiej — ...wbrew skłonnościom, ...chciałem być żołnierzem, a musiałem się uczyć astronomii“²⁾.

Na wiosnę r. 1697 wybierał się Flemming właśnie do Polski w odwiedziny do swojej ulubionej kuzynki Przebendowskiej, kasztelanowej chełmińskiej, córki feldmarszałka pruskiego hr. Henryka Flemminga, kiedy elektor Fryderyk August postanowił powierzyć mu misję przeprowadzenia swojej kandydatury do tronu polskiego. Wezwał go tedy do siebie, przez trzy wieczory dyskutowali o astronomii, astrologii i przepowiedniach Nostradamusa, wspomniął mu zapewne przy tej sposobności August o książce Grebnera i Petersena, która mu polską wywróżyła koronę i bodaj poddała myśl ubiegania się o nią. Flemming okazał się w tym wypadku gorliwym protestantem, bo, gdy August zażądał jego usług w sprawie kandydatury, wymógł na elektorze piśmienłą deklarację, że nikogo w Saksonii nie zmusi do przejścia na katolicyzm³⁾.

Znaną jest dalsza akcja Flemminga w porozumieniu z Przebendowskim na rzecz elekcji swego pana. Lata poelekcyjne spłynęły mu na zdzierczej gospodarce na Litwie na

¹⁾ »J'ai passé par tons les degrés militaires — stwierdza tamże Flemming — depuis la pique jusqu'au bâton de Marechal«.

²⁾ *Journal so von dem General Feld Marschall Hochwohlgeboren Graf(en) von Flemming währenden seines Aufenthalts zu Warschau über dessen particulieren Affairen*, 4 t. (Kgl. Hauptstaatsarchiv w Dreźnie, Loc. Nr. 3304. Źródło to wskazał mi Dr. Zygmunt Tarliński, który, o ile mi wiadomo, zamierza je wydać w całości), s. d. 25 sierpnia 1722; por. Vehse: *Geschichte der Höfe des Hauses Sachsen*, V, 252 sq.

³⁾ Haake: *Die Wahl August des Starken zum König von Polen (Historische Vierteljahrschrift, IX, 54 — 55)*.

czele wojsk saskich, na dość niefortunnych rokowaniach dyplomatycznych w Berlinie i Kopenhadze i na mężnym udziale w wojnie Północnej, która mu przyniosła naczelne dowództwo armii elektorskiej (1711 r.) i szesnastoletni zarząd Saksonią na stanowisku kierującego ministra stanu i gabinetu, po prostu premiera.

„Rządę poniekąd Polską i Saksonią — mawiał hrabia feldmarszałek — nie znając konstytucyi obu tych państw“. Nie dbał on także o ich dobro. Zdaniem Wolframsdorfa i Pöllnitza, on był inicjatorem fatalnej wojny szwedzkiej i narzędziem, jeśli nie jurgeltnikiem Prus i Austrii. Znaną jest także jego rola w dobie konfederacyi tarnogrodzkiej i w zawarciu małżeństwa Augusta III, są ślady jego absolutystycznych, sukcesyjnych i rozbiorowych planów ¹⁾.

Współczesnym wydawał się Flemming przedewszystkiem typem *bon-vivant'a*. Potwierdza w zupełności tę ich opinię jego dziennik z lat 1720 — 1724, który dochował się w rękopisie archiwum drezdeńskiego ²⁾. Karty tego dziennika pełną wyraznym libertynizmem: niemłody już wtedy, przeszło pięćdziesięcioletni feldmarszałek, przeplata swoje opowiadanie z lubością erotycznymi anegdotkami, które świadczą o jego wielkiej, godnej Augusta Mocnego, zmysłowości ³⁾.

¹⁾ Projekt, jak tron polski dziedzicznym uczynić i prawdziwą wolność w tym kraju zaprowadzić, ułożony przez generała Flemminga w r. 1714 i Deklaracya panów polskich z grudnia 1726 r. (*Archivum Tajne Raczyskiego*, II, 1 i 185). Por. Askenazy: *Dwa stulecia*, I, 14 sq. i *Nowe wczasy*, 8.

²⁾ L. c.

³⁾ Oto, jak formułował Flemming swoje zapatrywania na miłość: »J'aime les femmes en général, et je crois qu'il faut être brute pour ne les pas aimer... Car j'avoue, que je dois beaucoup aux femmes, elles m'ont donné plus d'instruction, et j'ai appris plus d'elles à me conduire dans le monde, que de ceux qui ont été chargés de ce soin... Dans l'amour aussi bien que dans l'amitié la raison me guide toujours: mon sentiment est qu'elle peut et doit guider les hommes dans toutes les passions, quoique en puissent dire les amants et amis romanesques«. (Autoportret spisany w Warszawie 7 grudnia 1718 r. w rękopisie królewskiej biblioteki w Dreźnie e 76).

Ale najcharakterystyczniejszym w tym względzie, wogóle najcharakterystyczniejszym epizodem całego dziennika, jest epizod sentymentalno-polityczny z małą panną Sieniawską, córką hetmana wielkiego koronnego Adama Mikołaja i słynnej Elżbiety z Lubomirskich.

Wiadomo, że niedołęga Sieniawski przelał zaraz po Sejmie Niemym 1717 r. komendę nad zaciągami cudzoziemskim i dragonami na Flemminga. Na następnym sejmie grodzieńskim 1718 r. wystąpił hetman przez nastawionych posłów ze skargami, że do tego był zmuszony¹⁾, a liczne głosy przemawiały za przywróceniem hetmańskiemu urzędowi dawnego zakresu władzy. Na sejmie warszawskim 1719 — 1720 r. wznowiono tę sprawę i wskutek niej sejm rozszedł się na niczem. Dworowi zależało na tem, aby przynajmniej następny sejm doszedł. Zawczasu rozpoczął więc odpowiednie zabiegi.

„Rozum w tem królestwie chodzi z kądziałą w parze — mawiał o Polsce Fryderyk Wielki — kobiety intrygują i rządzą wszystkiem, podczas gdy ich mężowie się upijają“. „Przysłowie niemieckie mówi — zwierza się jednemu ze swych korespondentów Flemming — że kiedy Panu Bogu stawiają kościół, to dyabeł pewno też obok kaplicę sobie buduje; tak też kiedy mężczyźni interesa robią, to kobiety pewnie się do nich wtrącają“²⁾. W dobie, o której mówimy, dwie zwłaszcza damy polskie rządziły się w Polsce i Polską rządzić chęć, t. j. Agnieszka Emerencyanna z Warszuckich hetmanowa Pocijowa i wspomniana Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska. „Kilka dam polskich utworzyło (podczas tego sejmu) — zdaniem Flemminga — konfederacyę przeciwko (jego) komendzie, ale król jakby drugi Aleksander przeciął ten węzeł gordyjski, odejmując pensyę hetmanowej wielkiej litewskiej Pocijowej, która była duszą tego związku damskiego. Pani hetmanowa w. litewska, żałując postępków swego, udała się do wielkich hetmanów, aby ich z dworem pogodzić“. Ze

¹⁾ Sprawozdanie, z jakich powodów panowie hetmani zdali komendę wojska hr. Flemmingowi, W. Koniuszemu W. X. Litewskiego (Raczyński, l. c. II, 13).

²⁾ Flemming do niewiadomej osoby z Warszawy 16 lutego 1720 r. (tamże, II, 21).

swej strony intrygowała, ale raczej w przeciwnym, niż Pocijowa, kierunku¹⁾, pełna temperamentu i to nie tylko politycznego, hetmanowa wielka koronna.

Wnuczka rokoszanina, marszałka Jerzego Lubomirskiego, córka spiskowca i warchoła, marszałka Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, po dziadku i po ojcu odziedziczyła skłonność do politycznych kabał. Podczas kiedy mąż dużo mniej od żony konsekwentny i stanowczy marzył, zwyczajem polskich oligarchów, o osiągnięciu jagiellońskiej korony z poręki cara czy Szweda, pani Sieniawska odgrywała rolę politycznego równoważnika hetmana, zabezpieczała ogromną fortunę rodzinną od strony szwedzkiej, potem, zmieniawszy oryentację partyjną, kaptowała stronników dla przywróconego na tron polski Augusta II, ba, mieszała się nawet, za przykładem ojca, do polityki węgierskiej. W rękopiśmiennej spuściznie owych czasów zachowało się kilka urywków, świadczących o jej życiowym rozpędzie i moralnej nad mężem przewadze: „Spuszczasz się na obietnice cara — pisała hetmanowa do męża w r. 1707 — a czyż on kiedy obietnicy dotrzymał? Ja przynajmniej z zawiązanym łbem koło niego latać nie myślę i pamiętaj, że familia moja przywykła dawać, ale nie brać. Piszę ci to otwarcie, nie cyframi, bom to gotowa samemu carowi w oczy powiedzieć, a nie chcę, żeby mnie ludzie posądzali, iż to ja ciebie do tego podmawiam. Straciłeś w zeszłych latach 800.000 gotówki; nie żałuję straty, bo to było potrzebne do zachowania godności domu; dzisiaj inaczej rzeczy stoją. Jak ty nie będziesz królem, to ma być nim pan miecznik (Stanisław Denhoff²⁾); niech sobie będzie kto chce, choć i miecznik nie dudek i woli być hetmanem, niż królem. Staraj się teraz o siostrę cara w małżeństwo, kiedy ci się królem koniecznie być zachciewa, ja od wszystkiego umyвам ręce“³⁾. Lata przemijają, ale temperament „rzędiochy“ koronnej się nie zużywa. W r. 1720 wpada pani

¹⁾ Askenazy: *Dwa stulecia*, II, 6.

²⁾ O kandydaturze Denhoffa wspomina ponownie, jeśli się nie mylimy, w rozmowie z Flemmingiem, biskup poznański w sierpniu r. 1722 (*Journal* l. c.).

³⁾ Kantecki: *Stanisław Poniatowski*, I, 20.

Sieniawska podczas narady hetmanów do komnaty, w której się znajdowali, z następującą admonicją: „Wy tu gadacie, a lepiej byście działali, a jeżeli wam na odwadze zbywa, to ja wsiądę na koń, poprowadzę wojsko i wszystko załatwię“¹⁾.

Część tego intryganckiego rozmachu przekazała hetmanowa córce, najbogatszej *anno* 1722, w chwili właśnie naszego opowiadania, „dziedzicze“ w Polsce, spadkobierczyni zjednoczonych fortun Tęczyńskich, Opalińskich i Sieniawskich.

Na tę panienkę, do bro d z i k ę swoją, jak ją stale w pamiętniku nazywa, rzucił pożądliwem okiem, wśród hufca innych konkurentów, także Flemming, człek cheiwy wdzięków i złota. Wszak w drogach do zysku i mienia nie przebiegał nigdy. Handel ziemią prowadził na wielką skalę w Polsce i na Szląsku, kupował także i sprzedawał domy, budował pałace, żył w bezgranicznym zbytku²⁾, grał o wysokie stawki, brał pieniądze od każdego, co mu je dawał³⁾. Hymen miał mu więc także ozłocić lata starości, bo, choć żyła jeszcze w Warszawie pierwsza jego żona Franciszka z Sapiehów, to jednak rozwód z nią był zapewniony i należało się tylko wystarać o następczynię. A gdyby Venus i Kupido odmówić mieli staremu zalotnikowi swej pomocy, można było wejść na inną jeszcze drogę, która wiodła równie prosto i bezpieczniej jeszcze do złotego runa: wystarczało, jak król August i jak przyjaciel, podskarbi Przebendowski, zmienić wiarę i następnie tłustych się dorwać beneficjów.

Gorliwy bowiem protestant z elekcyjnej doby, czuje snąć na starość jakieś poważne wątpliwości religijne. Czy wtedy właśnie korespondował na temat teologiczny z pastorem z Wermsdorf⁴⁾, nie wiemy; natomiast wiemy, że otaczał się

¹⁾ Flemming do niewiadomego, l. c. II, 24.

²⁾ Por. Biedermann: *Aus der Glanzzeit des sächsisch-polnischen Hofes* (*Zeitschrift für Deutsche Kulturgeschichte*. Neue Folge I, 214).

³⁾ Nie bardzo nam się chce wierzyć wyznaniu Flemminga w autoportrecie z r. 1720 (l. c.): »J'ai été incorruptible et cela par tempérament, aussi ne m'en fais-je aucun mérites«.

⁴⁾ *Allgemeine Deutsche Biographie* (artykuł o Flemmingu).

Jezuitami i dysputował z nimi o właściwościach bożych ¹⁾, pisał rozprawę *O Boskiej prescyencji* ²⁾, zastanawiał się głęboko nad pytaniem, które pragnął rozstrzygnąć zdrowym rozsądkiem, czy Adam był doskonalszy przed czy też po upadku swoim ³⁾, słowem parął się gorliwie teologią. Zapytać się musimy, czy tylko ta teologia była dlań potrzebą rozumu i serca, czy przypadkiem nie służyła kochającemu się w sztuczkach dyplomacie, jako maska do świeckich zgola celów. Bo z drugiej strony słyszymy ciągle o jakichś konferencyach kaccerza i libertyna z pobożnemi Sakramentkami czy Wizytkami warszawskimi, które mu mają raić to zasobną infułę warmińską, to kapelusz kardynalski. Flemming tego rodzaju propozycye zbywa niby żartem ⁴⁾, ale któż zaręczy, czy mu się naprawdę nie snuła po głowie myśl o bogatej heilsberskiej stolicy i myśl zostania polskim Richelieu lub Masarinim. Szeroko bowiem rozchodzi się po świecie ta dziwaczna plotka: słyszy ją na wiosnę tegoż roku 1722 w Mohylowie, dokąd udał się z ojcem w interesach, młody Michał Czartoryski i żartem obiecuje swemu protektorowi, że się osiedli w jego dyecezyi, gdzie nie będzie potrzebował grać roli *Tartuffe'a* ⁵⁾. Wie o niej

¹⁾ *Journal* l. c. s. d. 28 lipca 1722 r.: »Diné chez moi et ai eu des Jésuites à table. Dispute au sujet de Dieu et de ses attributs, en quoi ils ne me donnent pas satisfaction«.

²⁾ *Ibid.* s. d. 28 sierpnia 1722 r.: »J'ai corrigé mon raisonnement sur la prescience divine« i 30 września t. r.: »J'ai lu à Poniatowski une pièce, touchant la prescience, qu'il a goûté«.

³⁾ *Ibid.* s. d. 15 września t. r.: »A table nous avons un peu turlupiné le B. Schenk sur sa dévotion, et on est entré en matière de Théologie, pour juger par la saine raison, si Adam a été plus parfait avant ou après la chute«.

⁴⁾ *Ibid.* s. d. 30 lipca t. r.: »J'ai été chez les religieuses, elles m'ont tenu un drôle de discours, me voulant persuader de me faire faire évêque de Warmie, puis cardinal; comme je leur dis, que ce serait une chose fort avantageuse, elles crurent, que je leur parlais tout de bon«.

⁵⁾ M. Czartoryski do Flemminga z Mohylowa 25 kwietnia 1722 r.: »L'on a encore débité ici comme une chose fort sérieuse et positive, que Votre Excellence allait renoncer

przejeżdżający przez Warszawę w jesieni ambasador austriacki na dworze rosyjskim, Kinsky, bo na widok malej Sieniawskiej, zwierza się Flemmingowi, że „to male stworzenie warte jest kapelusza kardynalskiego“¹⁾. Wiedzą także biskupi polscy i kpią z Flemminga, że niebawem zostanie ich prymasem²⁾.

Dajmy na to, że są to wszystko „wolne żarty“ — nie na żarty stara się za to podstarzały Don Juan spodobać malej swej dobrodziejce Sieniawskiej. Gotów jej wprowadzić ustąpić, za cenę utrzymania swej komendy, hetmanowi polnemu, Denhoffowi³⁾, ale niemniej dba o dwa atuty w grze swojej i słuchając chętnie westchnień Denhoffa, bada y n u j e, jak się wtedy mówiło, z tą, któraby mogła mu być wnuczką⁴⁾ i jak przystało w wieku Gil Blasa i pani de Pompadour, nawet przy tym dziecinnym *marivaudage*-u nie zapomina o swoich intrygach, więc za pomocą rokokowych madrygałów pod adresem hetmańskiej latorośli, stara się ułagodzić pretensye buławy i udobruchać ambicyę Sieniawskich.

Czy może malować o lepiej nastrój epoki Regencyi w Polsce, jak zawarte w dzienniku Flemminga rozmowy jego z posażnym podlotkiem, jak ten zasadniczy dyskurs 25 sierpnia 1722 r., który feldmarszałek-grafoman kazał utrwalić na papierze swemu sekretarzowi, bo był on strategicznym kontrmarszem, wysłaniem Kupidyna na zwiady do hetmańskiego obozu?

Flemming spotyka się ze swoją bogdanką w salonie marszałkowej Ludwiki Maryi z Morstinów Bielińskiej. Bogdanka z całej plejady swych pretendentów wyróżnia hetmana pol-

à tons ses emplois pour devenir Evêque de Warmie; si cela était vrai, Monseigneur, j'irai d'abord m'établir dans Votre diocèse, puisque je suis persuadé qu'il y serait permis de n'être pas hypocrite». (Kgl. Hauptstaatsarchiv w Dreźnie, Loc 661 (683).

1) *Journal* l. c. s. d. 18 września 1722 r.

2) *Ibid.* s. d. 22 września 1722 r.

3) *Ibid.* s. d. 4 sierpnia 1722 r.

4) »Je puis me divertir intérieurement — pisze Flemming w r. 1720 — à parler avec de petits enfans, et à les faire raisonner à leur manière; cette simple nature me charme et me fait beaucoup de plaisir, en me faisant faire toute sorte de réflexions«. (*Autoportret* z r. 1720 l. c.).

nego Denhoffa, ale matka jej nie sprzyja hetmanowi bynajmniej. Flemming gotów poprzeć starania Denhoffa, ale pod pewnymi warunkami, które otwarcie formułuje. Naczelnym warunkiem ma być oczywiście pozostawienie Flemminga przy komendzie. „O, przenigdy! — zaklina się na to mała *précieuse'a* — przenigdy się to nie uda, nigdy hetmani na to nie pozwolą“. „A to czemu?“ — pyta się Flemming. — „Bo się komenda Waćpana sprzeciwia *publico bono*“. — „Od kiedy to — paruje Flemming — zależy tak dalece Rzeczypospolitej na skasowaniu mej komendy? Jeśli od dawna, to ojciec Waćpanny jest zbrodniem, że mi ją dał, chociaż go o nią się nie prosił“. I fechtują dalej feldmarszałek i podłotek argumentami i precedensami, fintami i ripostami. „Sam (hetman, ojciec Waćpanny) mi rzekł przecie — atakuje Flemming przeciwnika — że się cieszy z tego, iż mąż mej miary, wódz wojsk tyłu, chętnie poddaje się jego zwierzchności; czyż godzi się po takim oświadczeniu traktować mnie gorzej, niż kaprała?“ — „Zgadza się — zasłania się szermierz w krynolinie — lecz wchodzą tu w grę także inne względy, wchodzi w grę obawa, że wobec pańskiego przywiązania do króla, ponieważ nie jest wykluczonem, że Jego Królewska Mość może mieć odrębne cele od Rzeczypospolitej, skłonność pańska mogłaby w takim razie przeważać na szali interesu królewskiego, wbrew dobru Rzeczypospolitej“. Na to *dictum acerbum* małej nastąpiły ze strony starego wygi szumne protestacye wierności względem Polski.

W dalszym ciągu tej ciekawej pogawędki zaznaczył nagle feldmarszałek pewien swój pomysł, który nas musi zainteresować ze względu na osobę, której się tyczył. „*Ma foy* — zwierzał się pannie Sieniawskiej — gdybyś miała skłonność do podstolego (Michała Czartoryskiego), mego przyjaciela, chętnie bym go przybrał za syna, by mógł pojąć za żonę Waćpannę, także mą przyjaciółkę, pod warunkiem, że przyjmie moje nazwisko i tak jak Flodroff się pisze: *Flodroff von Wartensleben*, pisał się nadal *Flemming-Czartoryski*“.

Szczegół to charakterystyczny dla wyświeślenia stosunku Flemminga do Czartoryskich. Starożytna, „jagiellońska“ ta rodzina, mimo *aliansu* z Morstinówną, liczyła się na początku XVIII wieku do podupadłych. „Na troskach nam tu nie zby-

wa — pisał w maju 1710 r. z Nidborza (Neidenburga), podczas wciąż trwającej zawieruchy północnej, ks. Kazimierz Czartoryski, mąż Izabelli Morstinówny, ojciec Michała i Augusta, do wojującego i dyplomatyżującego feldmarszałka — a nie najmniej — jest dla mnie poczucie zupełnej ruiny (materyalnej). Jedynej pociechy spodziewam się od szlachetnego pańskiego serca, będąc przekonany, że Wasza Ekscellencya przyczyni się za mną u naszego wspaniałomyślnego króla, aby Jego Królewska Mość nie pozwoliła mi dłużej gnić zdala od swej uświęconej osoby i swemi dobrodziejstwami umożliwiła wierną dla siebie służbę. Jak się ma liczną rodzinę, jak ja, która domaga się wyposażenia, to chyba z przymusu żyje się na uboczu od świata“¹⁾. I w latach następnych pobrzmiwają te żale Czartoryskiego na swój los ciężki, a w parze z niemi słyhać w listach do Flemminga stały refren wdzięczności za to, że, czem jest i co ma, to wszystko dostał dzięki niemu. Bo też Flemming jest mu orędownikiem u króla, jest protektorem i swatem jego synów, z którymi, jak z przybranymi Dioskurami, włóczy się po salonach warszawskich i drezdeńskich. Zwłaszcza upodobał sobie Michała. Kiedy ten w r. 1720 bawił się, nad stan może, w Dreźnie, a skąpi i zubożali rodzice na gwałt sprowadzić go chcieli z nadłabskiego Babilonu do kraju, aby raczej na Litwie poświęcił się ekonomii dóbr swoich, niż w stolicy zbijał baki i tracił tyńfy, bronił go mecenas tych dworskich wczasów, Flemming, przed trybunałem ojcowskiej powagi, następującemi słowy: „Wierza mi, Mości Książę, że syn twój jest stworzony do dworskiego trybu, a nie dla ekonomii. W obecnej chwili stara się przypodobać królowi, który go już zgola cierpi“²⁾. Nie przekonwały tego rodzaju pochwały księcia podkanclerzego i tak rezonował w odpowiedzi: „Dwór jest krainą nadziei, a chuda to zupa, którą na nadziei zgotowano i z wyposzczonym brzu-

¹⁾ Kazimierz Czartoryski do Flemminga z Neidenburga 6 maja 1710 r. (Kgl. Hauptstaatsarchiv w Dreźnie, Loc. 661 (683).

²⁾ Flemming do K. Czartoryskiego z Drezna 18 października 1720 r. (brulion). (Kgl. Hauptstaatsarchiv w Dreźnie Loc. 661 (683).

chem źle się wygląda na dworze“¹⁾. Trzeba więc było koniecznie ożenić księcia podstolego i to dostatnio, bo, jak sam przyznawał: „Z tą bagatelą, którą mogę dostać od rodziny, muszę dobrze pamiętać o tem, że mógłbym unieszczęśliwić żonę, gdyby nie miała posagu, któryby jej pozwolił żyć, jak się należy“²⁾.

To też „dobry przyjaciel“ — piękny to w każdym razie rys charakteru Flemminga³⁾ — nie zapomina przy żadnej sposobności o matrymonialnej przyszłości podstolego i, nim mu wyswata krewną Waldsteinównę, zaręczyłby go chętnie z Flemminżanką, margrabianką de Craon-Beauvau⁴⁾ lub Sieniawską.

Ta ostatnia odgrywa wogóle w planach i wczasach feldmarszałka bardzo wybitną rolę. Niekiedy wspina się na palcach swej dziecinnej jeszcze nóżki do roli Egeryi, kiedy n. p. prosi starego przyjaciela, aby nie pozwolił Szembekowi zostać prymasem⁵⁾, kiedyindziej dyskutuje znów ze swym mentorem na temat historii Augusta Mocnego⁶⁾.

¹⁾ K. Czartoryski do Flemminga 26 listopada t. r. (tamże).

²⁾ M. Czartoryski do Flemminga 19 marca 1722 r. z Klewania (tamże).

³⁾ »J'ai toute ma vie été bon ami — świadczy sobie Flemming w autoportrecie z r. 1718 (l. c.). Por. Haxthausen cytowany u Vehsego *op. cit.* V, 271: »Ami chaud, constant et tendre quand il crut connaître ses gens«.

⁴⁾ M. Czartoryski do Flemminga z Berlina 6 kwietnia 1720 r. i St. Poniatowski do tegoż 1 czerwca 1722 r. (Loc. 661 — 700). (Kgl. Hauptstaatsarchiv w Dreźnie).

⁵⁾ *Journal* s. d. 22 września 1722 r. (l. c.).

⁶⁾ *Journal* s. d. 1 września 1722 r.: »Elle me dit, que l'histoire du Roi serait belle, et que je devais entreprendre de l'écrire, je lui répondis, qu'au moins j'en pourrais offrir la matière. Je lui dis encore que la postérité ne croirait pas ce qui s'était passé sous le règne du Roi, quand même on décrirait les choses naturellement, sans les embellir ni y rien ajouter; elle me dit, qu'elle le croyait. Je repris: qu'une chose, dont tout le monde s'étonnait, était, qu'après une guerre de 25 années il n'y avait point de dettes publiques, comme il y en avait en France et chez l'Empereur après une guerre; oui, dit-elle, et encore la guerre s'est faite dans notre pays au lieu que la France a faite la guerre dans les pays d'autrui; de plus, repris-je, la guerre en d'autres pays se fait avec

Na polityczną rolę, jaką Flemming odegrał w służbie Augusta, rzuca jego dziennik szczupłe tylko światło. O ile chodzi o przypisywane feldmarszałkowi nowe „Kallimachowe rady“, skłaniające króla do zaprowadzenia w Polsce absolutyzmu, to w zapiskach jego zachował się jedynie ślad projektu, przedstawionego Augustowi w r. 1722, aby miał po dwóch pensyonowanych mężów zaufania w każdym woje-

ordre, au lieu qu'ici amis et ennemis ont fait des désordres à l'envie l'un de l'autre, et cependant nous n'avons point de dette publique. Outre cela les autres Rois ont engagé ou perdu des provinces, mais le Roi a acquis Kamienieck et la Podolie. Oh, dit-elle, c'est assez de dire qu'il n'a rien perdu, car pour cette conquête, c'est au Roi roi, qu'il faut l'attribuer, car c'est lui qui a commencé à traiter la-dessus avec les Turcs, et le Roi en a eu le fruit. Elle s'échauffa même à soutenir cette thèse. Je lui laissai jeter son feu, après quoi je lui dis: que dans l'histoire on attribuait toujours les choses qui arrivaient à celui, sous le règne duquel elles arrivaient, et non pas à celui, qui en avait fait le projet, ainsi supposé, que le Roi Jean en eut fait le projet, on ne pouvait pas cependant dire, que sous son règne la Pologne avait regagné la Podolie, et que c'était là, ce que j'avais voulu dire. En cela Vous avez raison, me répondit-elle. Puis, repris-je, si le Roi Jean a formé ce projet, on ne l'a pas cependant communiqué au Roi, de sorte que ce que Sa Majesté a fait, elle l'a fait sans le plan du Roi Jean, ainsi on doit en attribuer l'honneur à lui seul; d'ailleurs comment le Roi Jean aurait-il pu traiter sur cette affaire avec les Turcs, sans se rendre infidèle allié de la Ligue Sacrée; je lui expliquais ensuite ce que c'était que cette Ligue Sacrée, et que les Turcs étant assurés sous main et par l'état de la République, qu'ils n'avaient rien à craindre de ce côté, auraient continué la guerre, mais le Roi étant monté sur le trône et ayant fait avancer ses troupes du côté de Kamienieck, les Turcs, voyant, qu'ils seraient attaqués de deux côtés, commencèrent à traiter avec les Chrétiens, et c'est le Roi, qui envoya le palatin de Posnanie Małachowski avec une instruction, dans laquelle il ne fut fait aucune mention de la prétendue convention du Roi Jean, de sorte que la paix et la restitution de la Podolie ont été faites sous le règne du Roi et par le Roi.

wództwie ¹⁾), projektu, który potem w odniesieniu do Stanisława Augusta miał zaakceptować kanclerz Młodziejowski ²⁾).

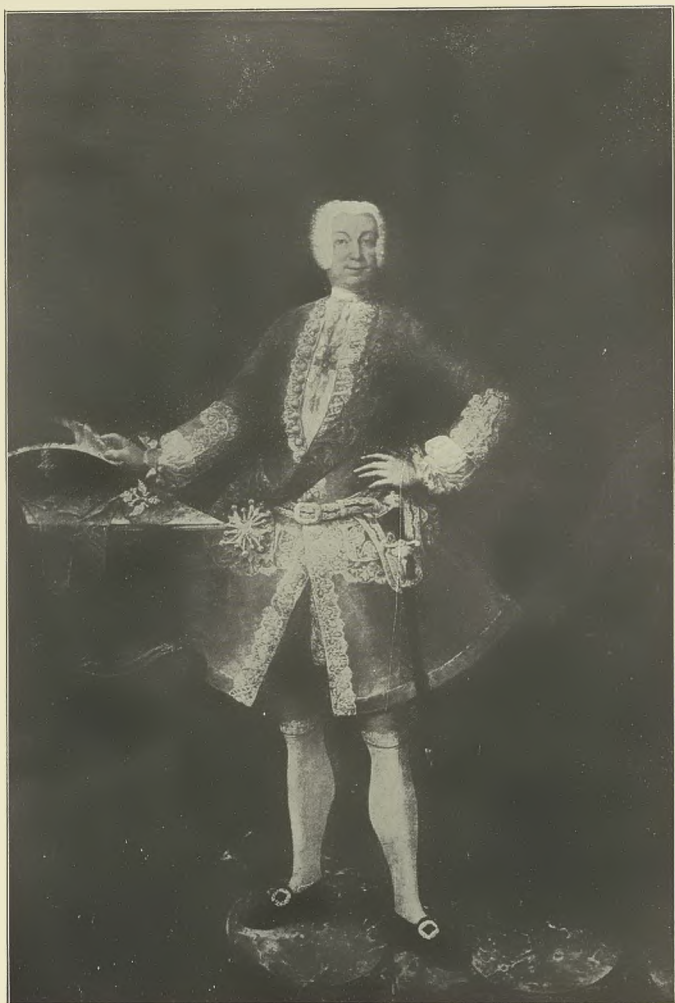
Zachowała nam się także oracya Flemminga, którą feldmarszałek wygłosił 13 grudnia 1722 r. na obiedzie u biskupa warmińskiego Teodora Potockiego, jedna z tych mów, gdzie „uważał za wskazane — zdaniem jednego ze współczesnych — maskować swoją politykę“ ³⁾, a która brzmiała: *Sum bonus Polonus et amo libertatem, unusquisque probus vir debet illum amare et si aliquis inter Polonos inveniretur, qui aliquid, vel Regis ipsius causa, libertatem opprimere vellet, me contra istum declararem, et nequam nuncuparem; sed iste qui sub specie libertatis, libertatem impugnare vult propter suum interesse et propriam utilitatem, ego dico quod talis*

¹⁾ *Journal* s. d. 17 listopada 1722 r.

²⁾ Por. Moszczeński: *Pamiętnik* (wydanie Mościckiego) str. 68: »Gdy tego samego ducha przeciwności magnatom (co król) był ksiądz Młodziejowski, zrobił go król podkanclerzem, a potem kanclerzem wielkim koronnym i biskupem poznańskim, dodawszy mu bogate opactwo. Ten królowi doradził, by na urzędy koronne i senatorskie wynosił szlachtę, których ojcowie ledwie docisnąć się mogli do urzędów wojewódzkich i z tych jednego więcej oświeconego i zręcznego, by postawił w województwie, aby przez jego jedynie rekomendacye szlachta tego województwa otrzymywać mogła urzędy sądownicze i wojewódzkie, które przedtem za rekomendacyą i wdaniem się magnatów od królów rozdawane były«.

³⁾ Por. *Projekt jak tron polski dziedzicznym uczynić*, I. c, II, str. 6: »Potrzeba także, aby w partykularnych rozmowach (do których w krajach republikańskich więcej wagi przywiązują, jak do mów publicznych) król się oświadczał z niezmienną wolą swoją utrzymania praw i wolności Rzeczypospolitej, i trzeba, aby okazywał do nich największe przywiązanie, głosząc, iż ma sobie za zaszczyt, wolnemu panować narodowi. W takim to duchu będzie król mówił z najściślejszymi przyjaciółmi i przyjaciółkami swymi, a tembardziej z ministrami dworów zagranicznych. Nie należy dać się złudzić ich zapewnieniami, jakoby sobie życzyli widzieć króla większą niż dotąd władzą obdarzonego w Polsce. A gdyby koniecznie wypadło kiedyś zwierzyć się któremu z nich w tym względzie, to niech to czyni raczej który z ministrów królewskich, aby monarchy nie skompromitować«.





ALEKSANDER JÓZEF SUŁKOWSKI
pierwszy minister gabinetowy saski
(1695—1762).

Portret naturalnej wielkości ze szkoły Ludwika Silvestre'a,
pochodzący z zamku w Rydzynie, obecnie własność hr. Henryka Potockiego w Chrzęstowie.

sit..... (wyraz nieczytelny) *hominis, nam, uti saepius dixi, inter nos liberos, nec Caesares nec principes esse debent.*

Natomiast rozprawa feldmarszałka *O obowiązkach władcy*, datowana w Warszawie 4 lutego 1726 r., a przeznaczona dla następcy tronu, stosunki polskie traktuje w sposób nader banalny ¹⁾).

Czekać zatem jeszcze należy na zapowiedziane wydanie korespondencji Augusta II, a niemniej na wyzyskanie całej, podobno 300-tomowej korespondencji samego feldmarszałka, zanim się ostatecznie potwierdzi pośmiertny sąd króla Stanisława Leszczyńskiego o Flemmingu: „Chociaż był mi wrogiem, oddaję mu sprawiedliwość, że był (także) wielkim człowiekiem na modłę naszego wieku“ ²⁾).

III. UPADEK SUŁKOWSKIEGO.

Polska oligarchia szlachecka, zazdrosna o swoje przywileje i pozorną równość, doczekała się w czwartym dziesiątku lat XVIII stulecia osobiwej uzurpacyi swego odziedziczonego i zdobytego stanu posiadania przez wyniesienie i dojście do władzy Aleksandra Józefa Sułkowskiego. Sułkowski bowiem, syn krakowskiego burgrabiego ³⁾, był człowiekiem nowym w kole dumnych rodów magnackich swego kraju, a rodzina jego — by użyć słów późniejszego pisarza — wyrosła z popiołów króla Leszczyńskiego i dostała się jednym skokiem z przedpokojów Augusta III pod książęcy baldachim ⁴⁾). Nie potrzeba wyliczać na tem miejscu wszystkich urzędów i godności, które mi łaska Augusta III zasypała osobę ulubieńca, wystarczy przypomnieć, że w pierwszych latach rządów Augusta uchodził Sułkowski obok Brühla za najpotężniejszą osobistość na sasko-polskim dworze. Cóż więc za tajemnicza przyczyna — spytać przychodzi raz więcej — wywołała jego nagły upadek, który, jak wiadomo, nastąpił

¹⁾ Rękopis R. 12 królewskiej biblioteki w Dreźnie.

²⁾ Boyé: *Stanislas Leszczyński*, str. 96.

³⁾ Zychliński: *Złota księga szlachty polskiej*, IV.

⁴⁾ Sokolnicki: *Jenerał Michał Sokolnicki*, str. 8.

w r. 1738? Byłaż to zemsta królowej, skoro doszło do jej wiadomości, że Sulkowski gotów zawieść swego pana i protektora na bezdroża niewierności małżeńskiej, aby umocnić swój wpływ za pośrednictwem metresy? ¹⁾). A może zazdrość i intryga Brühla? Czy raczej własne nieczyste sprawki, jak rzekome sprzeniewierzenie funduszów państwowych? — bo i takiej pogłoski nie brakło ²⁾).

Nie negujemy bynajmniej wrogich wpływów Maryi Józefy i Brühla, oraz spowiednika królewskiego, Ojca Guariniego T. J., ale skłonni byłibyśmy ująć przebieg tego wypadku głębiej, bo żaden fakt nie upoważnia nas do traktowania Sulkowskiego, jako prostego stręczyciela i złodzieja.

A ta ostatnia wersja trąci w dodatku niewiarogodnością, skoro dwa główne źródła polskie, zajmujące się charakterystyką Sulkowskiego, a odnoszące się zresztą do jego osoby zgola odmiennie, zgodne są ze sobą najzupełniej w jednym jedynym względzie, t. j. o ile chodzi o uczciwość księcia-ministra. I tak król Stanisław August, który w swoich Pamiętnikach wogóle krytykuje upadłego faworyta, stwierdza niemniej, że „nigdy go nie pomówiono czy to o oszustwo, czy to o brak uczciwości“ ³⁾). Podobnie wyraża się o panu na Lesznie i Rydzynie Wielkopolanin, Adam Moszczeński,

¹⁾ Askenazy: *Dwa stulecia*, I, 407.

²⁾ Tamże. Nawiasem stwierdzić należy, że treść relacyi hr. Wratysława, posła cesarskiego w Dreznie, zgadza się co do ostatecznego pretekstu nielaski Sulkowskiego z jednym z polskich źródeł. Wratysław pisze 24 lutego 1738 r.: *»Hat Er sich in dem Respect vergessen«,* a 3 marca t. r. cytuję słowa królewskie do faworyta: *»Sulkowski, begreife und erinnere dich, was du sagst und mit wem du redest.«* (K. k. Haus-Hof- und Staatsarchiv, Wien); Moszczeński zaś pisze (wydanie krakowskie, 1888 r., str. 23): *»Gdy powrócił Sulkowski... (z wyprawy węgierskiej), uprzedzony przeciwko królowi (o rzekome faworyzowanie Brühla), zirytowany przyszedł do króla i gdy król zapytał, co zrobił na kongresie (belgradzkim) (sic!), zuchwale i nieprzyстойnie odpowiedział: »Dowiesz się Wasza Królewska Mość, siedząc na tronie, gdy mu relacyę czynić będę w obecności zgromadzonego senatu.«*

³⁾ Wydanie drezdeńskie 1870 r., str. 24.

zwąc go „człowiekiem rozumnym, rządym, przywiązany do kraju Polakiem, nieinteresowanym“ ¹⁾.

Powody upadku Sulkowskiego były, mojem zdaniem, przeważnie politycznej natury.

Elektor Fryderyk August II osiągnął był koronę polską dopiero wtedy, kiedy zdecydował się uznać Pragmatyczną Sankeyę cesarza Karola VI, to znaczy zrzekł się imieniem swoim i żony praw do sukcesji po Karolu, co nastąpiło dnia 16 lipca 1733 r. W zamian za to obiecał mu cesarz swoje poparcie przy zabiegach o tron polski. Francya przeciwstawiła oczywiście elektorowi, jako kandydatowi austriackiemu, kontrkandydata a później antykróla w osobie Stanisława Leszczyńskiego, a chociaż królowanie Leszczyńskiego rychły wzięło koniec, to jednak wytrwali jego poplecznicy, nawet po zrzeczeniu się przezeń polskiej korony (w dniu 28 stycznia 1736 r.), wiernie w obozie francuskim. Pośród zaś tej partii francuskiej naczelną rolę przypadła w udziale przywódcom możnej rodziny Potockich, prymasowi królestwa arcybiskupowi Teodorowi i wielkiemu hetmanowi koronnemu Józefowi Potockiemu. Potoccy uważali Rosyę za głównego wroga Polski i pragnęli ją zwalczać z pomocą Turcyi, Szwecyi i Francyi. Do przeprowadzenia zaś tego planu udało im się pozyskać wpływowego sprzymierzeńca w osobie królewskiego faworyta, hr. Sulkowskiego.

Sulkowski nie sprzyjał wówczas domowi Habsburgów. Czy go tak usposobił ujemny stosunek do królowej, będącej latoroślą tej rodziny, czy też inne, poważniejsze motywy natury politycznej, jako to względ na przymierze Austrii z najpierwszym wrogiem Polski, Rosyą, nie myślimy tutaj rozstrzygać. Dość, że pozostawał w stosunkach z Francją, że używał w tym celu jako pośrednika samegoż Leszczyńskiego, obecnie już księcia Lotaryngii.

Dwaj ci ludzie, Sulkowski i Leszczyński, byli, jak się wydaje, zawsze lojalnie względem siebie usposobieni. Wszakżeż Sulkowskiemu przypisywano pośrednictwo w zawarciu małżeństwa między córką Leszczyńskiego a Ludwi-

¹⁾ Wydanie poznańskie 1867 r., str. 29.

kiem XV¹⁾. A gdy Leszczyński ostatecznie opuścił Polskę i postanowił pozbyć się swych wielkich dóbr w dzisiejszem Wielkiem Księstwie Poznańskiem, t. j. Rydzyny, Leszna i Śmigła, zgłosił się Sulkowski jako nabywca. Jako zaś pełnomocnik księcia Lotaryngii występował w tej okoliczności kuzyn jego, chorąży nadworny koronny Kazimierz Dąbski²⁾.

Do tegoż Dąbskiego zwrócił się tedy hr. Sulkowski, prawdopodobnie w końcu r. 1737³⁾, ze zleceniem politycznej natury pod adresem Leszczyńskiego. Szło tym razem o projekt matrymonialny. Sulkowski chciał mianowicie ożenić saskiego następcę tronu, piętnastoletniego ks. Fryderyka Krystiana Leopolda z jedną z małoletnich córek Ludwika XV i Maryi Leszczyńskiej. Projekt ten omawiano w Paryżu już trzy lata wprzód, na wiosnę r. 1735. Leszczyński miał teraz objąć rolę pośrednika. A zgodził się na nią bez trudności. „Bez wątpienia — pisał on do francuskiego pierwszego ministra, kardynała Fleury, w dniu 15 stycznia 1738 r. — trudnoby naszą księżniczkę lepiej wydać za męża, tak ze względu na ród, z którego książę pochodzi, jak i ze względu na przyszłe jego panowanie zarówno w jego krajach dziedzicznych, jak i w Polsce, której koronę kiedyś z pewnością otrzyma. O ile zaś chodzi o motywy racji stanu, to uważam (moim skromnym rozumem) za wielką korzyść dla Francji — tę sposobność wprowadzenia własnej księżniczki do jednego z pierwszych domów Rzeszy, a zarazem osadzenia jej na polskim tronie... Nie taję Waszej Eminencji, że gorąco sobie tego życzę, nie żywiąc po ostatnim traktacie pokoju, ani żalu, ani pragnienia, by o odstąpioną koronę raz jeszcze się ubiegać. Patrzałbym z wielką rado-

¹⁾ Korzon: *Historja wewnętrzna Polski za Stanisława Augusta*, III, 152 (na podstawie Muszyńskiego).

²⁾ Artykuł Bartoszewicza w »Encyklopedyi« Orgelbranda *sub voce*.

³⁾ Dąbski bawił pono w Dreźnie w przejeździe do Francji w grudniu 1737 r. po powrocie Sulkowskiego z kampanii węgierskiej. Dowiadujemy się o tem z listów Dąbskiego do Sulkowskiego s. d. 29 października i 24 listopada t. r. (Archiwum rydzynskie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu).

ścią na szczęście mojej ojczyzny, ucieszonej niechybnem wyniesieniem księżniczki francuskiej, a mej wnuki, na tron polski, co zresztą uważam za jedyny środek do zjednoczenia umysłów i przywrócenia pokoju“¹⁾. „Wszelako gorąca apostrofa, którą Leszczyński wystósował do kardynała — pisze francuski biograf króla — pozostała bez rezultatu“. A wprzód dy zaznacza, że „miał może Stanisław także na oku cenniejsze jeszcze korzyści dla samego siebie“. Z kolei o nie spytać przychodzi.

Odpowiedź na to pytanie daje, mojem zdaniem, list Leszczyńskiego do Sułkowskiego mniej więcej z tego samego czasu, list z 11 grudnia 1737 r., którego główny ustęp opiewa, jak następuje: *Vous dites au sujet des biens auprès de Varsovie que Vous a offert d'acheter Mr. le Duc d'Ossoliński* (Franciszek Maksymilian, były wielki podskarbi koronny, gorliwy stronnik Leszczyńskiego), *qu'il pourrait lui-même en avoir besoin, si le projet de la Porte, qui lui doit être connu réussira, et dans l'apostille, que le Duc d'Ossoliński doit compter („) que le Roi Votre maître a aussi des amis en Turquie* („)²⁾. Tyle Leszczyński.

¹⁾ Boyé: *Stanislas Leszczyński*, str. 500: »Il est certain qu'aujourd'hui, en Europe, il n'y a point d'établissement plus convenable pour notre princesse, soit par rapport de la maison, soit par la possession des États héréditaires de la couronne de Pologne à laquelle il succédera indubitablement. Quant aux raisons d'État, selon la petite portée de mon jugement, rien ne me paraît plus intéressant pour la France que de voir une princesse établie dans une des maisons principales de l'Empire et sur le trône de Pologne... Je ne vous déguise point que je le souhaite passionnément, n'ayant laissé après la dernière paix aucune ranenne ni aucun désir de disputer la couronne que j'ai cédée. Je verrais avec une grande satisfaction la consolation de ma patrie qui sera enchantée d'avoir une princesse de France et ma petite-fille un jour sur le trône, et le seul moyen pour jouir de la tranquillité par la réunion des esprits que cet événement produirait immanquablement«.

²⁾ Archiwum rydzyskie w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Wobec tego listu należy postawić nowe pytanie, a mianowicie, o jakim zamiarze Porty jest w nim mowa. Sądzę, że trzeba związać treść jego z francuskimi wpływami, a przede wszystkim z czynną polityką ambasadora Ludwika XV w Konstantynopolu, margrabiego de Villeneuve. Turcja pozostawała wówczas na stopie wojennej zarówno z Austrią, jak z Rosyą; Villeneuve, jako Francuz i doradca sułtana, musiał się tedy rozglądać za pomocą dla Osmanów, a szukał jej u naturalnych sprzymierzeńców Francji, urodzonych zaś wrogów Rosji, u Szwedów i Polaków. Wspólnie z nim działał nad Bosforem poseł szwedzki Sinclair, którego później, w czerwcu 1733 r., zamordowano skrytobójczo, w powrocie z Konstantynopola do Szwecji, na ziemi saskiej, celem zaś tej zbrodni, dokonanej z impulsu rosyjskiego, a nie bez udziału Brühla, była chęć dostania się w posiadanie jego papierów. Czy Sułkowski, który w r. 1737 walczył z Turkami¹⁾ jako dowódzca sprzymierzeńczego kontyngensu saskiego, ale — mówiąc nawiasem — okazywał względem swoich austriackich sprzymierzeńców wielkie rozgoryczenie, wszedł podczas tej wyprawy w kontakt z Villenuevem, to jest kwestya, którą z braku dowodów źródłowych muszę pozostawić nierozstrzygniętą; faktem jest jednak, że zaraz po powrocie do Drezna dał upust niechęci do Austriaków²⁾. Wtedy to napisał do Ossolińskiego, aby liczył się z faktem, że także Leszczyńskiemu nie brak przyjaciół w Turcji (może jeszcze z czasów Karola XII) i aby wstrzymał się ze sprzedażą swoich polskich dóbr wobec ewentualności, że plan Porty się uda i (to ostatnie czytamy między liniami) Leszczyński wróci do Polski. Nieco później, w początku r. 1738, jest w Polsce mowa o antirosyjskiej konfederacji w przymierzu z Turkami³⁾ — dnia 5 lutego t. r. upada Sułkowski.

¹⁾ Petroff: *Die Politik Friedrichs Augusts II von Sachsen, Königs von Polen während des Türkenkrieges 1736 — 1739*. (Inauguraldissertation, Leipzig, 1902, str. 21).

²⁾ Mimo łaskawego przyjęcia ze strony cesarza w Wiedniu. (Informacya Dr. Philippa, który zbadał wyczerpująco drezdeńską spuściznę archiwalną Sułkowskiego z tego czasu).

³⁾ Szuj ski: *Dzieje Polski*, IV (wydanie zbiorowe), str. 353—354.

Jeżeli Leszczyński miał znowu posiadać koronę polską, to i protektor Sulkowskiego, August III, nie byłby wyszedł z tej transakcyi politycznej z próżnemi rękami. Ale jemu przeznaczał Sulkowski większe widoki i godności. August miał zyskać na zamianie korony, bo osiągnąłby był w myśl tego planu, cesarską¹⁾, po śmierci Karola VI miały także Czechy przypaść Wettinom w udziale²⁾, a księżniczka francuska, wnuka Leszczyńskiego, pisaną była elektorowiczowi. Tak wyglądał plan Sulkowskiego, ten — by użyć późniejszego wyrażenia i analogii — *Mordplan* Sulkowskiego przeciw Austrii.

Plan ten został jednak odkrytym i ubitym przez Brühla. Kto go wydał, jest dla nas zagadką; może Dąbski, którego wkrótce potem łaska polskiego dworu wyniosła do godności podczaszego koronnego³⁾.

¹⁾ Waliszewski: *Potoccy i Czartoryscy*, str. 9.

²⁾ Frédéric le Grand: *Histoire de mon temps*. (*Oeuvres historiques de Frédéric II*. Berlin, 1846. T. II, 26).

³⁾ Potwierdza to przypuszczenie nasze nieufność, jaką Sulkowski, bezpośrednio po swoim upadku, żywił względem Dąbskiego (por. list Dąbskiego do Sulkowskiego z Dreżna 2 kwietnia 1738 r.: »Ubolewam wprowadzić na to, że lubo J. W. Mości Pan widzisz *aliquam* we mnie *capacitatem et activitatem*, przecież nie masz do mnie konfidencji, w tem Waszmość Pana upewniam, że nikt szczerzej, doskonalej ani *cum majori applicatione* J. W. Waszmość Panu służyć i radzić, osobliwie w Polskich interesach nademnie nie mógłby, który *proxim* mam *et intrinsece* interes przenikam W. Waszmość Pana *in situatione presentis* jego, i na przyjaciółach *ubique locorum* mi nie schodzi, cokolwiek byś J. W. Mość dla mnie wyświadczył, assekuruję J. W. MPana Dobrodzieja, że by to ziarno *non in sterilem* padło *glebbam*. Gdybyś szczerze poufać mi chciał, moja przyjaźń żadnej nigdy nie będzie podlegała odmianie i dla przyjaciela też menażu(?) rad się hazarduję. Miałeś Waszmość Pan wiele adoratorów szczęścia swego, ale prawdziwych przyjaciół mało, o których się zawsze usilniej starać potrzeba, gdyż *cum fortuna perit, nullus amicus erit*, przyjaciele zaś osoby prawdziwi *etiam* w odmianie szczęścia jednostajni być powinni... Świąt chwalebnych winszuję J. W. Panu Dobrodziejowi, prawdziwie szczerze życząc, abyś przy tryumfie z nieprzyja-

Natomiast z Leszczyńskim pozostawał nadal Sułkowski w dobrych stosunkach ¹⁾).

ciół Chrystusa Pana, z martwych powstającego, *ad vitam aeternam gloriamque* powracającego, z wielką konsolacją narodu ludzkiego, i Jegomość Pan Dobrodziej tryumfując z nieprzyjaciół swych z niewypowiedzianą narodu Polskiego pociechą i radością do łaski Pańskiej i serca królewskiego jako najprędzej powrócił. Archiwum rydzyskie l. c.).

¹⁾ Morawski: *Archiwum rydzyskie*. (Sprawozdania z czynności i posiedzeń Akademii Umiejętności w Krakowie za maj 1910 r., str. 9).

Dr. Kazimierz Maryan Morawski.

BRONISŁAW TRENTOWSKI.

(1808 — 1869).

III. LISTY TRENTOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy ¹⁾).

Karol Ludwik Królikowski, do którego pisał Trentowski siedem następujących z kolei listów (rękopisy Biblioteki Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu), emigrant z r. 1831, znany na gruncie paryskim komunista ze specjalnem religijnem zabarwieniem, autor dwutomowego pisma *Polski Chrystusowej*, nawiązał stosunki z Trentowskim około r. 1840, przesyłając filozofowi pierwsze zeszyty *Polski Chrystusowej* w podarunku. Zapraszał go jeszcze w r. 1843 do napisania czegoś „ostrego“ przeciw *Rzymczykom* i w tym celu ofiarowywał miejsce w *Polsce Chrystusowej* (wychodziła 1842 — 1846). Przypomnienie tego, co odpowiedział wówczas (list z dnia 12 października 1843 r.) Trentowski Królikowskiemu, przyczyni się do głębszego zrozumienia, kogo zwalczał Trentowski i jak zwalczał, a nadto będzie wstępem do poniższych listów. Otóż Trentowski odrzucił propozycję Królikowskiego. „Mojem postanowieniem — pisał — jest bowiem nie walka z Papieżnikami, lecz wyczynienie filozofii narodowej. Główna rzecz u mnie dawać coś i budować, a po-

¹⁾ Por. *Przegląd Polski* z września, października i listopada 1912 r.

boczna burzyć. Na stronnictwo Rzymczyków, równie jak na inne jednostronności, powstawać mogą li mimochodem“. Krytykował filozofię społeczną i religijną Królikowskiego, zarzucał mu popadanie tylko w „tuteczność“, t. j. szukanie zbawienia tylko na ziemi. „Prawda, że religia i polityka, tameczność i tuteczność¹⁾ stanowią bezwzględna jedni, lecz w jedni tej żyje, drga i gra względna różnia. Ty trzymasz jedni, a upuściłeś różni“. I dlatego jest jednostronnym pisarzem. Ciąg dalszy korespondencji na ten temat znajdujemy w podanych poniżej listach, które uprzytomnią stopień wszechstronności i braku zaciętrzewienia partyjnego u Trentowskiego. Zarazem przyjrzymy się w tych listach temu wybitnemu rysowi polskiej filozofii narodowej, t. j. wiążącej się bezpośrednio z życiem narodu, a mianowicie podnoszenie czynu samego do godności filozoficznego kierowania życiem.

10.

Freiburg w Bryzgowii, 26 maja 1845 r.

Szanowny Ziomku!

List Twój z dnia 1 maja 1845 r. otrzymałem. Oświadczam Ci, iż nigdy nie wątpiłem, ani dzisiaj nie wątpię, o najzaciejszych chęciach i usiłowaniach Twoich dla Ojczyzny; oświadczam także, iż krytyki pism Twoich nie pisałem i zapewne nigdy nie napiszę, gdyż przyjąłem za zasadę li filozoficzne pierwiastki i prace narodowe oceniać. Wszakże sam nie ogłaszasz się filozofem; prace więc Twoje wychodzą za mój literacki zakres. Szkoda, żeś nie przytoczył pisma i miejsca, w którym wyrzekłem o Tobie zdanie, a które, jak się zdaje, oburzyło Cię; byłbym wiedział o co Ci chodzi. Nie pisałem Twej krytyki, lecz zdanie o Tobie dałem już kilkakroć i w różnych pismach, najczęściej politycznych. Zdanie ogólne musiało wciąż wypaść nieprzychylnie, gdyż *Polska Chrystusowa*, to sprzeczność w przymiotniku. Mahometański, Hermesowy, Zoroastratowy, Chrystusowy i inne przymiotniki podobne

¹⁾ Terminy Kremiera.

należą do wiary, do kościołów, do religijnego pola; w polityce narodów są nazwiska: polski, francuski, angielski i t. d. Mięszasz rzeczy religijne z politycznymi i tego nigdy Ci nie pochwalę. Nie wątpię o dobrych Twych chęciach, lecz nie zgadzam się z Tobą; stąd wzruszники do wydanych zdań o Tobie. I Tobie wolno wydać zdanie o mnie, jako już niejeden wydał, a to bynajmniej mnie nie obrazi. Ty patrzysz na rzeczy z innego, a ja z innego stanowiska; więc możemy nawzajem zdaniować o sobie. Stąd nie wynika wcale osobista obraza. Chodzi tu li o teorię, nad którą pisarz każdy w swoim kierunku ma pracować. Żądasz, ażebym przesłał Ci do *Polski Chrystusowej* rozprawę i błędy Ci wytknął i sam rozwiązał zadanie od Ciebie położone i t. d. Bracie! Czytając to, musiałem się uśmiechnąć. Jakżeś chory na sekciarskiego ducha! Naród nie jest ani Królikowskim, ani Trentowskim. Nie jednostronność, ale wszechstronność do niego należy. On też ją rozwija na mnóstwie pisarzy różnorodnego kierunku. Wszyscy mamy cel tenże sam, t. j. wyjarzmienie Ojczyzny, lecz zmierzamy do tego innemi drogami. Każdy z nas ma zakres pewien, w którym wpływ wywiera i działa, a więc każdy równie pożyteczny. Działaj Ty swoją Polską Chrystusową, a ja działać będę moją filozofią! W celu spotykamy się z sobą, a może już niedługo spotkamy się także w jednym żołnierskim szeregu, gdy naród porwie za broń przeciw najeźdcom. — Jeżeli pragniesz przekonać się o moich politycznych zasadach, spojrzij w *Cybernetykę*, tudzież w poszyt czwarty *Teraźniejszości i przyszłości*, który wyjdzie niezabawem. Także drugie wydanie *Chowanny*, jeżeli je rząd pruski nie zagrabi, ma cele i barwy polityczne. Swojego czasu wydam obszerne księgi polityczne. Dzisiaj mogę Ci o tem zaręczyć i odwołać się śmiało na tych, co pisma me znają i z kraju świeżo przybyli, iż li niepodległość Ojczyzny jest gwiazdą moją polarną. Idę za gwiazdą tą po mojemu. Porzuciłem wszystkie widoki zagranicą i narażam się na wypędzenie z Niemiec, a służę krajowi, jako Bóg przykazał. Cenzura pruska wykreśla mi wiele; lecz teraz dzieła, przechodzące arkuszy 20, wychodzą bez cenzury. Jeżeli policja pruska niszczyć mi dzieł nie będzie, to wnet

przekona się każdy, iż zadania narodowego nigdy z oczu nie spuszczałem, iż filozofii, nie mającej związku z życiem, nienawidzę.

Bądź przekonany bracie, iż szanuję Cię szczerze. Popytaj się Nakwaskiego, który mi wiele listów Twych pełnych zaerności odczytał. Chcąc Ci tego dowieść, załączam prośbę. Odbierz rachunki i pieniądze moje, jakie są, od Januszkiewicza ¹⁾. Zostań ogniskiem mej korespondencji i mych spraw w Paryżu. Przy końcu kwartału wymów redakcyi *Dziennika Narodowego*, który mię nudzi piekielnie, moje *abonnement*, i daj mi radę, jaki dziennik emigracyjny, mający nowin wiele, a wolny od sekeiarskiego ducha i brudów, mam trzymać. Zapomnijmy o urazach i swarach, a kochajmy się jak bracia. Tego sobie życzy

Bronisław Trentowski.

Czy zechcesz przyjąć dziesięć egzemplarzy *Urywków politycznych*, osobno odbitych, ku rozesłaniu ich do najgłówniejszych Zakładów ²⁾ w podarunku odemnie?

11. *Freiburg w Bryzgowii*, 10 stycznia 1846 r.

Miły bracie! List Twój z dnia 20 listopada roku zeszłego dopiero w tej chwili otrzymałem, wraz z zawiązką przesłanych mi książek. Zapewne w Strasburgu nastąpiło spóźnienie. Za Twoje dzieła, które mi przesłałeś, t. j. za *Polski Chrystusowej* dwa zeszyty, za dziesięć obrazów i westchnienie pobożne dziękuję Ci uprzejmie. Lecz, poglądając na resztę, co mam mówić? Już dziesiątym jesteś z ziomeków, do którego się udałem z prośbą o prowadzenie rzadkich i drobnych spraw moich w Paryżu. Ten pragnął robić mię na gwałt Rzymczykiem, tamten Towiańczykiem, inny Demokratą, inny Czartoryjszczykiem i tak dalej przez stronnictwa. Każdy sierdził się i dąsał, że inaczej myślę

¹⁾ Księgarnia polska w Paryżu.

²⁾ Zakłady, czyli kolonie naszych emigrantów, utrzymywane przez rząd francuski. W r. 1843 ofiarował Trentowski bezinteresownie dla tych zakładów także dziesięć egzemplarzy *Urywków*.

i pisał mi listy albo szalone, albo grubiańskie. Ty, bracie, czynisz toż samo. Piękni mi z was obrońcy wolności w ogóle, kiedy nawet niepodległej myśli nienawidzicie! Wy nie ludzi wolnych, ale każdy z was małą istotę własnej, duchowego niewolnika, słowem moralnych Helotów mieć chcecie. Wolność, nie na ujarzmieniu głów, ale na swobodzie myśli i przekonań każdemu dozwolonej zależy. Jak śmiecie przywłaszczać to sobie, do czego sam Bóg, stworzywszy wolnego człowieka, nie ma prawa, t. j. pakowanie obcych przeświadczeń w ciasne własnego przeświadczenia dyby? Co za uroszczenie, wymagać tego od człowieka, który dał się już i narodowi poznać, że ma pierwiastek i widnokrąg wiedzy sobie właściwy? Zaiście, zbierając doświadczenia i przeżycia, jakich doznałem w styczności z bracią na francuskiej ziemi, muszę наконец lękać się każdego ziomka z Paryża, jako takiego, któremu by warto głowę ogolić i dać bilet do „czubków“. — Kiedym skarżył się przed Nakwaskim na uroszczenia i brak delikatności dziewięciu poprzedników twoich, i kiedy, zrozpaczywszy o rozsądku paryskich ziomków, chciałem udać się do pomocy jakiego Francuza, Nakwaski radził mi wejść w stosunek z Tobą. Jam zawołał: „Królikowski jest także mocno w głowę postrzelony“, i opowiadałem mu o dwu listach Twych najpierwszych, na które nie dałem Ci żadnej odpowiedzi. On Cię uniewinnił, jako mógł, i pokazał mi jakie pięć listów od Ciebie. Wszystkie uznałem za rozsądne, grzeczne i przychylne. Nabrałem ochoty i otrzymawszy trzeci list od Ciebie, w którym na gwałt wymagałeś odpowiedzi, weszłem z Tobą w terazniejszy stosunek. Jakżem się zawiódł! Czemu do Nakwaskiego pisać możesz po ludzku, a do mnie pisujesz, jak człowiek dziki? Czemu zniewalasz mię, ażebym na cierpkie listy, na które nie zasłużyłem, odpowiadał Ci również cierpko? — Ale już mniejsza o listy, o słowa. Czyn najlepiej charakteryzuje ludzi; czyn mówi najwyraźniej. Nie wedle myśli i słów, ale wedle czynów ocenia się na Sądzie ostatecznym. Kto Cię upoważnił do obstalowania dla mnie tygodnika, albo raczej miesięcznika *Le Populaire*? Ja odsyłam wciąż wszystkie numera napowrót; gniewam się na bezczelną natrętność redakeyi; idę na pocztę i dowiaduję się,

że wszystkie numera gazet francuskich, napowrót odsyłane, bywają niszczone na granicy i że chciawszy się uwolnić od nich, trzeba list wyprawić i frankować do Redakcyi. Już porywm za pióro i chcę pisać do Cabeta list niegrzeczny. W tem przekonanywam się, iżes Ty tego przyczyną. Zmiłujże się, odstawaj tego *Populaire* natychmiast; ja takiej biedoty duchowej nie czytam, choćbyś mi korony całego świata i wszech ludów przyobiecywał. Jakiem prawem śmiałeś ku pować dla mnie, bez mojej wiedzy i woli, one przesłane mi książki francuskie? Odsyłam Ci je na ręce Lipowskiego napowrót. Jest to, wedle mojego przekonania, wyrzut najnędniejszy dzisiejszego piśmiennictwa i wstydziałbym się mieć go w mej biblioteczkę, okalać nim najstaranniej dobrane książki. Czyli rozporządzenie cudzym woreczkiem tak dowolne i narzucenie mi kontrybucyi nie jest tyranią? Ażali chęć zniewolenia mię do uznania płytkiego Cabeta za własnego mistrza niepodobna do chęci carskiej, usiłującej być naszym mistrzem? Proszę Cię i zaklinam, nie przesyłaj mi żadnych dzieł, żadnych gazet, ani polskich, ani francuskich, których sam nie zażądałem, gdyż wszystkie wrócą do Ciebie. Atoli nie jedynie moją głowę i moją kieszeń, zgola samą osobę chcesz brać w ochmistrzostwo, i nakazujesz mi, abym Paryż obrał sobie za dalsze mieszkanie. Bogu dzięki, obejść się umiem bez wszelkiego ojczymstwa; jestem zupełnie pełnoletni; wiem, co czynię i nie potrzebuję Paryża do służenia Ojczyźnie.

Zdaje Ci się, iż nie znam dzisiejszych francuskich ruchów socyalnych i politycznych i dlatego radbyś mi podać na stół kommunistyczne słodziny. Mylisz się bardzo. Po muzeach niemieckich miast uniwersyteckich najdują się wszystkie gazety, pisma peryodyczne i hukliwe broszury nie jedno niemieckie, lecz także francuskie, angielskie i włoskie. Naczytałem się dość tej krzykliwej bezmyślności. Cabeta znam od lat wielu i dlatego ani powąchać go więcej nie pragnę.

Proszę Cię, mój Ludwiku, naprzód o to, ażebyś mi nie brał listu tego za złe, gdyż zasłużyłeś nań; powtóre, ażebyś mię nie trapił więcej ani twoją religią, ani twoją polityką, lecz pisał listy dotyczące się li sprawy, którą przyjąłeś, wtedy obadwaj możemy być dla siebie grzeczni; potrzeecie,

jeżeli prośby przerzeczone odrzucasz, racz odesłać to, coś zebrał i zbierzesz po sprzedaniu Ci dziełek przesłanych, albo wprost do mnie, albo Nakwaskiemu i dalej — dajmy sobie święty spokój. Ja, nie popierając z fanatyzmem żadnego stronnictwa, lecz starając się o zimne i wszechstronne poznanie prawdy, potrzebuję spokojności ducha, zaczem wdawać się w listowania nie mogę, które mi krew burzą.

Niechaj Cię chrześcijański Bóg błogosławi i szczęśliwie dalej prowadzi.

Twój *Bronisław*.

P. S. Jeżeli masz gotówkę, która do mnie należy, daj w mem imieniu 10 franków, mówię dziesięć franków na pomnik zacnej *Hoffmanowej-Tańskiej*.

12. *Freiburg w Bryzgowii*, 4 marca 1847 r.

Szanowny Spółtłaczcu i Bracie!

Pracuję właśnie nad dziełkiem politycznem, mającem tytuł *Wizerunki duszy narodowej* i dokończę go za dwa lub trzy tygodnie. Drukowane będzie w Niemczech, tutaj, z powodu, iż tu taniej i stąd bez miary laćniejszy przystęp do kraju, niż z Francyi. Ponieważ dzieło zajmuje przeszło 20 arkuszy druku, więc wyjdzie wolne od cenzury i nie narobi mi żadnego kłopotu, bo rzecz idzie drogą prawną. Tymczasem zaś kosztować mię będzie przeszło 200 franków mniej. Co większa, księgarz tutejszy zajmie się rozsyłką, rozprzedażą i stosunkami z księgarzami lipskimi, wrocławskimi i t. d., nie będę więc wystawion tyle na oszustwa i zdzierstwa, jak gdybym drukował we Francyi i sam rzecz prowadził. Na polskie kraje i Słowiańszczyznę, na cały Wschód rozeszłe dzieło me księgarz i drukarz tutejszy. Ale jeszcze chodzi o Zachód i Południe, o rozesłanie do Belgii, Anglii, Ameryki, Szwajcaryi, Włoch, gdziekolwiek są Polacy, i o sprzedaż we Francyi.

Czy nie chciałbyś się tego podjąć, Ludwiku? Możesz wiedzieć naprzód, że dzieło nieprzypadnie Ci zupełnie do smaku, gdyż ja idę w innym kierunku; lecz będzie w niem także niejedno, co może Ci się podoba. Zresztą nie chodzi

tu o spółredaktorstwo jednego pisma, lecz o księgarski stosunek, o sprzedaż dzieła i nie więcej. W jednej księgarni mogą się znajdować dzieła różnorodnego ducha, a księgarnia polsko-tulacza może li tylko wymagać, ażeby dzieło było patryotyczne i miało szczere wyjarzmienie Ojczyzny na celu. Z tej strony praca moja dopełni warunku, a bracia powinni się kochać, choć w niejednym punkcie myślał inaczej.

Jeżeli raczysz przyjąć na siebie sprzedaż nie tylko w Paryżu, lecz wszędzie na Zachodzie, gdzie są Polacy, napisz mi, ile egzemplarzy możesz potrzebować. Od tego zależeć będzie, ile egzemplarzy bić każę. Nie licz na rok jeden, ale na przeciąg lat pięciu, do dziesięciu. Dzieło to napisane jest mniej więcej w rodzaju *Powstania Mochackiego*; zaczem da się czytać i później. Donieś także, jakich warunków żądasz. Cena dzieła oznaczona będzie po ukończeniu druku i obliczeniu mojego wydatku. Radbym przedawać je dla tłumaczy taniej, nie szukając na nich żadnego zysku. Co do przesłania Ci, porozumieć się będzie można później.

Udaję się nasamprzód do Ciebie, w mniemaniu, iż bym Cię skrzywdził, gdybym tego nie uczynił. Wreszcie wolę mieć z Tobą do czynienia, niż n. p. z Rzymczykami. Dopiero wtedy, gdybyś odmówił, musiałbym szukać inszej pomocy. Spodziewając się, iż wysłuchasz mej prośby i wnet mi odpiszesz, załączam braterskie pozdrowienie.

Twój Bron. Trentowski.

P. S. W *Przeglądzie Teraźniejszości i przyszłości* praca moja nie mogła być drukowana, gdyż za długa. Ma w sobie sześć oddziałów. Gdyby *Przegląd* wychodził regularnie co miesiąc, dałoby się rozdzielić i drukować; ale że tak nie jest, więc było niepodobna.

13. Freiburg w Bryzgowii, 24 października 1847 r.

Szanowny Ludwiku!

Stósownie do listu Nakwaskiego posła, przesłałem Ci teraz 30 egzemplarzy *Wizerunków*. Dawniej odeszło stąd do

Ciebie 20 egzemplarzy; będziesz więc miał, podług życzenia własnego, 50 egzemplarzy. Gdybyś więcej potrzebował, napisz tylko, a przeszłę znów natychmiast. Prócz tego załączam 3 egzemplarze *Chowanny* tomu pierwszego ¹⁾. Tylko to mam u siebie. Drugi tom *Chowanny* zagrabiony został od rządu pruskiego. Toczy się oń proces w Berlinie przed najwyższym sądem cenzuralnym już przeszło dwa lata i dotąd rzeczy nie rozstrzygnięto. Z tego powodu wstrzymał się druk dalszych tomów tego dzieła. Jeżeli drugi tom oddadzą, to przeszłę Ci zeń także trzy egzemplarze. Gdybyś więcej wymagał, musisz się zgłosić do Poplińskiego w Poznaniu, którego drugie wydanie *Chowanny* jest własnością. Te trzy egzemplarze zaś są moje. Kosztuje egzemplarz 12 złp. — *Myśli* jest moją własnością i jeszcze nie rozprzedana zupełnie. Dostać jej możesz od Moraczewskiego w Poznaniu. Napisz doń, a przeszle Ci. Pieniądze za sprzedaż będziesz mógł mnie, kwit zaś mój jemu przesłać. — *Cybernetyka* i t. d., wszystko już rozprzedane. Tylko *Urywki polityczne* są u Nakwaskiego w jego *Przeglądzie*. Książki stąd odeszły do Ciebie dnia 19 b. m. Nie mogłem Ci natychmiast pisać, bo miałem wciąż gości z kraju i niepodobna mi było naleść ani chwili swobodnej. Przyjdzie zapewne list ten jednak pierwszej od książek do Ciebie. Nie pojmuję, co za powód zwłoki, iż jeszcze owych 20 egzemplarzy *Wizerunków* nie otrzymałeś. Odeszły stąd oddawna. Teraz idzie przesyłka nie na ręce Jaksztowicza, ale na ręce jakiegoś Francuza, będącego Emmerlinga, drukarza mojego, spedytorem w Strasburgu. — Pisałeś dawniej, czyby Emmerling nie podjął się sprzedawania *Polski Chrystusowej* i innych dzieł z księgarni Twojej. Onby to rad uczynił; ale jakiś niezręczny Niemiec. Nie umie wynaleść drogi do Polski. Wystaw sobie, iż ani jednego egzemplarza *Wizerunków*, chociaż je sam drukował, nie sprzedał i do nikąd nie przesłał. Na zapytania otrzymał listy odmowne. Ja sam rozsyłam dzieło, jak mogę, a Nakwaski pomaga mi.

Zajrzy do Ciebie z moją karteczką ołówkiem napisaną Hipolit Piłdowski, młody, garbaty, bardzo zacny człowiek,

¹⁾ Mowa o drugim wydaniu. Drugi tom wyszedł obcięty przez cenzurę. Reszty nie drukowano.

który chce zimę przepędzić w Paryżu. Jest krajowiec, nie bogaty. Bądź mu przychylny radą, czynem i wszelaką pomocą. Zaznajom go z jakim porządnym ziomkiem, któryby go ani okpić, ani do chorągwi stronnictwa którego namawiać nie żądał. Cokolwiek dlań uczynisz, będę Ci za to wdzięczny, jak gdybyś mi wyrządził przysługę. Nie potrzebuje on wsparcia, ale opieki, obrony od łotrów i oszustów, dobrej rady i t. d.

Proszę Cię o życzliwość i łaski. Pozostaję rodakiem bratem.

Bronisław Trentowski.

P. S. Ponieważ *Wizerunki* mają napis, że drukowane są w Paryżu, więc poszły do Ciebie z napisem *retour*, t. j. tak, jak gdybyś je tutaj przesłał do przedania, lecz nie przedane odbierasz napowrót. Może to ułatwi ich odebranie i zmniejszy koszt. Co spedyceya kosztować będzie, wpiszesz na rachunek mój.

14. *Freiburg w Bryzgowii*, 14 października 1848 r.

Kochany Ludwiku!

Przesyłam dopiero co wyszłego dziełka mojego p. t. *Przedburza* jeden egzemplarz dla Ciebie, w dowodzie mojego usiłowań Twych uznania, a dwa egzemplarze dla Konstantego Gaszyńskiego, któremu racz je natychmiast odesłać. Proszę i błagam Cię o to bardzo. — Gdybyś miał nadzieję, że mógłbyś we Francyi, w Anglii lub we Włoszech wyprzedać z dziełka tego nieco, napisz, a przeszłę, byle stało się to wnet, gdyż całe wydanie odeszłę do Lipska Michel-senowi. Pozdrowienie braterskie.

Bron. Trentowski.

P. S. Racz także list wraz z dwoma egzemplarzami Gaszyńskiemu doręczyć.

15. *Freiburg w Bryzgowii*, 24 października 1848 r.

Szanowny Ludwiku!

Dzięki za dopełnienie życzeń przeszłego listu mojego, t. j. spedycey listu i książek. Nikomu w Paryżu mojej *Przed-*

burzy nie przesłałem, a ponieważ wymagasz 50 egzemplarzy, to i nie przeszlę. Z *Wizerunkami* inaczej się stało, to dlatego, że nie wiedział, co Nakwaski z Tobą w tym względzie uczynił. Albo mi nie doniósł o tem, albo tak napisał, że nie przeczytać nie mógł. Ja listy jego, które wymagają godziny lub więcej czasu do odcyfrowania, rzucam w ką, zwłaszcza wtedy, gdy jestem zajęty mocno robotą. Dzisiaj odeszło stąd 50 egzemplarzy *Przedburzy* do Ciebie, pod przesłanym mi adresem. Gdybyś rozprzedał to, co przesyłam, a przeszlę więcej, jeżeli będę miał. Sprzedawaj je po 4 franki. Od Michelsena żądam 5 złp. za egzemplarz, którego cena jest 6 złp. Ustępuję mu więc $\frac{1}{6}$ rabatu. Czynię atoli uwagę, że księgarze polscy chcą koniecznie $\frac{1}{3}$ ceny dla siebie, że tedy, jeżeli nie zechcą od tego nadużycia odstąpić, niech sobie biorą za egzemplarz po 7 złp. Dość, ja wymagam 5 złp. za egzemplarz. Chciałem puścić tanio; stąd więc potrzeba aż 300 egz. rozprzedać, nim wrócą się koszty druku. Rozprzedawaj po 4 franki. Za każdy egzemplarz zwrócisz mi 5 złp., reszta na rabat i na koszty przesyłek. Posłano do Ciebie bez zafrankowania. Policz więc na rachunek, jeżeli tak się stało. — Wymagasz objaśnienia co do sprzedaży *Urywków politycznych*. Co było z nich osobno drukowane, rozpredało się od niepamiętnych czasów. Co zaś jest w Nakwaskiego *Przeglądzie*, o tem tylko on zawiadomić Cię bliżej potrafi. Zapewne zmyliłeś się w tytule i chodzi Ci o *Wizerunki*. Ale i o tem tylko Nakwaski Cię objaśni. Ja wiem to jedynie, że za wszystko zapłacił, a Nakwaskiemu 250 egzemplarzy do *Przeglądu* dał. On je przesłał Michelsenowi, który później i odemnie wziął resztę, pod osobnym tytułem odbitą. Te same warunki, które Nakwaski z nim zawarł, tkną się i mnie, ale ich nie znam. Spuściłem się całkowicie na rzetelność Nakwaskiego. Przedawaj więc *Wizerunki*, jeżeli można, około *Przedburzy*, i pospół z nią. Za *Przedburzę*, którą bezpośrednio odemnie odbierzesz, przesyłasz mi pieniądze, za *Wizerunki* możesz albo wprost do mnie, zawiadomiwszy o tem Nakwaskiego, albo też przez pośrednictwo jego do mnie przesłać. *Wizerunki* są także całkowicie moja własność, jako i

*Przedburza*¹⁾. Co do jednakich warunków i cen księgarskich, to na dzisiaj *pium desiderium*. Wiedz, że księgarze warszawscy po 80 zlp. za *Wizerunki* brali. — Byłem w Krakowie już, gdyś pisał list z rachunkiem. Nakwaski winien mi te pieniądze, które przesłałeś, lecz doniósł o nich. Odda mi je, gdy kiedy tu przybędzie, lub przywiezie mi za to obstalowany ze Szwajcaryi sprawunek.

Braterskie pozdrowienie i prośba o przyjacielską życzliwość.

Bron. Trentowski.

16. *Freiburg w Bryzgowii*, 7 kwietnia 1851 r.

Szanowny Ludwiku!

Dopytujesz się u Nakwaskiego, co się ze mną dzieje? Od dwu lat jestem chory i do niczego niezdolny. Pisarstwo na kolku aż do powrotu zdrowia. Świecę kośćcami, wegetuję i pożera mię melancholia. A chorobie nikt nie umie zaradzić.

Piszesz, że w ostatnim rachunku zapisałeś na moje miano co przypadało Kamieńskiemu z Poznania, a nie mając odemnie kwitu, musiałeś mu wypłacić i że teraz to chcesz mi odtrącić. Nakwaski zapomniał mi dawniej o tem donieść. Dzisiaj zaś uwiadamia, że podług owego rachunku ta sumka z Kamieńskim wynosiła za 3 egzemplarze *Wizerunków* 27 fran

¹⁾ Tytuły pełniejsze dzieł, o których mowa, są następujące: a) *Przedburza polityczna*. Dzieło to traktuje o wydarzeniach, które wobec nadciągającej »burzy« 1848 r. są »przedburzą«. Dzieło to wyszło w r. 1848. b) *Teraźniejszość i przyszłość*, czasopismo 1843—1847. (Paryż-Strassburg). Wydawcą był St. Głuwczyński. Pisywał prawie tylko Trentowski. Tom drugi zawiera: c) *Wizerunki duszy narodowej z końca ostatniego szesnastolecia*. Wydał je Trentowski za radą Krasińskiego pod pseudonimem »Ojezyźniaka«. d) *Urywki polityczne* (Paryż, 1845) zawierają dwa artykuły, a mianowicie *Powitanie Wielkopolan* (mowa w Poznaniu z r. 1843) i *Rzecz o wyjarznięciu Ojezyżyny*. Tworzyły zeszyt czwarty tomu I-go *Teraźniejszości i przyszłości*.

ków. Ponieważ Nakwaski przesłał mi dawniej pieniądze i teraz st. i ze mną w rachunku, więc niechaj będzie list ten wymaganem od Ciebie pokwitowaniem. Naturalna, że to odtrącisz, co wypłaciłeś po dwakroć.

Radbyś się pozbyć mojego składu. Zgoda. Poruczyłem rzecz tę zupełnie Nakwaskiemu. Gdzie on skład swój umieści, tam i mój niech idzie.

Oświadczasz, że pozbywając się mojego składu, chcesz mi to wypłacić, co przypadnie z rachunku. Jeżeli zatem okaże się, że mi jeszcze co winienesz, racz tę resztę oddać w ręce młodego wychodźca Władysława Wrześniewskiego, oddawcy tego liściku i przyjąć odeń kwit. Ostatni rachunek racz przesłać wraz z tym kwitem Nakwaskiemu, bo on rzeczą tą zaawiadował wciąż, a zobaczywszy się ze mną, obrachuje się ustnie. Nie utyskuj na czasy, bo są każdemu zarówno złe. Księgarskie sprawy, zgola w Niemczech, stoją odłogiem.

Racz przyjąć pozdrowienie braterskie.

Bronisław Trentowski.

List do Józefa Kremiera, ofiarowany mi przez p. Józefa Konopkę, zawiera prócz dowodu szczerych i zażyłych stosunków między filozofami, cenną wiadomość o *Bożycy*. Jest to po dziś-dzień rękopis; zaczął Trentowski pisać dzieło teozoficzne (*Bożyca* = teozofia) w r. 1842. Niedługo — wspomina o tem w jednym z listów do Królikowskiego — „powiesił na kołku“ teozofię. Data pisania i wykończenia tego, co Trentowski z *Bożycy* napisał, była chwiejną. Otóż wiemy teraz na podstawie tego listu, że z końcem r. 1846 pisał Trentowski już trzeci tom *Bożycy*. Czwarty, ostatni napisany (całość *Bożycy* jest niewykończona) wygotował Trentowski prawdopodobnie po r. 1848, bo r. 1847 zajął mu trzeci tom teozofii, i jedno dzieło polityczne, a r. 1848 pochłonęły zarówno pisma, jak i czyny obywatelskie. List do Kremiera zawiera treść następującą:

17. Szanowny i kochany nasz Józefie!

Ucieszyła mię wielce wiadomość, którą mi Staś M.¹⁾ przywiózł, iż zamyślasz wycieczkę naukową uczynić do Niemiec i odwiedzić mię przy tej nagodzie. Daj Boże, ażeby żadna przeszkoda niespodziana nie rozbila zamiaru tego! Będę Ci rad, jako rodzonemu bratu, a najdzie się dość rzeczy do pomówienia, które uprzyjemnią czas nam obu. Zabierz z sobą także małżonkę, jeżeli można. — Pracujesz około przetworzenia fenomenologii²⁾, i oto dzieło zupełnie nowe powstaje Ci pod ręką. Doświadczyłem i ja podobnej przyjemności nieprzyjemnej przy *Chowannie*³⁾. Pierwsze trzy tomy jej stały się niemal całkowicie insze i połknęły mi półtora roku, a tak mnie znużyły, iż inszą wziąłem przed się robotę, zostawivszy dokończenie na później. Jako dla tych, co pożywają obrok z rąk duchowieństwa, czczewa, kościele⁴⁾, wszystkie wiarowe rzeczy i sprawy, tak dla pisarzy dawniejsze dzieła własne szczerze są nietykałki. Stąd i ja postanowiłem mniej wydawać, a dłużej dusić każde świeże dzieło, by później zdolne było dać memu poprawczemu młotu przynależny opór i pozostało bez przemian znamienitych. Atoli jest to nieomylnie *pium desiderium*, albowiem duch ludzki, w którym studnica myśli Bożych, jest nieprzeczerpany, a znajduje zawsze coś świeżego. Dukwię od kwietnia b. r. nad *Bożycę*, czyli teozofią. Miało być tylko dwa tomy tego dzieła, ale, jako to bywa, jestem już w pośrodku tomu trzeciego, a do końca bardzo daleko. Będzie to nowa *Chowanna* co do ogromu. Drzę jako liść, poglądając na to, co mam napisać, lecz odzyskuję odwagę, obejrzawszy się w zad, czyli na to, czego się już dokonało. Bardzo mi jest miło, że bawisz się znowu około filozofii. O nie opuszczaj tych obszarów, które leżą u nas, ku sromocie narodu, odłogiem i tak mało mają upra-

¹⁾ Mowa o Mioszszewskim.

²⁾ Zob. tom pierwszy *Wykładu systematycznego filozofii* Kremera.

³⁾ N. b. drugie wydanie *Chowanny*; pruska cenzura skonfiskowała nakład i wyszły tylko dwa (okrojone) tomy.

⁴⁾ T. j. kanony i dogmaty.

wiaczów! Wzięło biednego Libelta. Oby duch jego nie upadł pod brzemieniem cierpienia!

Proszę o pozdrowienie najserdeczniejsze państwa Mieroszewskich odemnie. Staś przybył zdrow i zadowolony zupełnie z podróży ¹⁾. Pieniądze jego nadeszły także parę dni przed nim. Raduję się, iż rodzice i starszy brat Stasia mają przybyć do Freiburga, bo poznam się z nimi nieco bliżej. Życzyłbym, ażeby państwo M. przybyli tu latem, gdyż inaczej straciliby widok tutejszej prześlicznej okolicy, a w zimie, acz u nas nie biało, przecież szaro i buro, bo prawie wciąż mglisto.

Racz przyjąć uścisk mój słowny, zanim los dozwoli dać Ci rzeczywiście.

Twój *Br. Trentowski.*

Freiburg w Bryzgowii, 1 listopada 1846 r.

¹⁾ Stanisław Mieroszewski był na wychowaniu u Trentowskiego.

Dr. Władysław Horodyski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GENERAŁ IGNACY PRĄDZYŃSKI

w świetle własnych pamiętników, korespondencji i nowszych badań.

(Ciąg dalszy ¹⁾).

VII.

„Haniebna“, jak ją słusznie nazwał Skrzynecki, bitwa pod Ostrołęką, stoczona bez wszelkiej potrzeby, prowadzona najniefortuniej w świecie, miała dla sprawy powstania fatalne skutki. W rzeczy samej nie przegrana, bo plac boju pozostał przy nas i nieprzyjaciół na prawym brzegu Narwi ani pięćdziesiąt kilometrów nie zdobył, stała się ona jednak powodem demoralizacji u dołu i u góry, a nadto przyczyną własnej wewnętrznej, która ostatecznie sprawę narodową doprowadziła do upadku.

Już sam fakt, że Wódz Naczelny, zabrawszy ze sobą generalnego kwatermistrza, opuścił wojsko w najkrytyczniejszej chwili, musiał sprawić jak najgorsze wrażenie, dowodził bowiem, że ten, na którym wszelkie budowano nadzieje, stracił zupełnie zaufanie do siebie i do wojska i że jedynym jego celem jest jeszcze wykopać grób zaszczytny powstaniu, jak to niegdyś przyrzekał.

W istocie było o wiele gorzej. Skrzynecki napisał z Rozanowa dnia 27 maja o godz. 5-ej z rana ²⁾ list rozpaczliwy do

¹⁾ Por. zeszyt *Przeglądu Polskiego* z czerwca 1912 r.

²⁾ List do żony w papierach Horodyskiego. Archiwum Akademii Umiejętności.

żony, a w ślad za tem pierwszy swój raport do Rządu, świadczący o zupełnem jego zwątpieniu. Był on krótki, ale wymowny. „*Nous avons livré —* tak się wyrażał — *la plus hon-teuse bataille, finis Poloniae.* Nie pozostaje nic więcej, jak układać się z nieprzyjacielem i Rząd zaraz traktowanie rozpocząć powinien“¹⁾.

Tymczasem stała się rzecz zgoła niespodziewana: woj-sko, nie ścigane przez nieprzyjaciela, przybyło spokojnie około południa dnia 27 maja do Różana, gdzie zaczęła się zewsząd ściągać rozprószona piechota i nazajutrz pod Serockiem miał Łubieński około 12.000 bagnetów²⁾.

W Skrzyneckiego zaczęła wstępować otucha.

„List dzisiejszy rano o godzinie 5 ej pisany — donosił tak żonie z Pultuska o godz. 10-ej wieczór — musiał cię zmar-twić, jednak nie tak źle rzeczy stoją po dokładniejszym roz-patrzeniu się. Jutro ci wszystko opowiem, bądź u mnie na obiedzie na Pradze, o czem dam ci znać za przybyciem“³⁾. Spieszył więc na Pragę, armię zostawił pod Serockiem i ka-zał jej w parę dni później zająć obóz oszańcowany pod Pragę, sam zaś oddał się cały polityce.

Czując doskonale, że w skutek tylu popełnionych błę-dów, stanowisko jego jest zachwiane, postanowił użyć wszel-kich środków, aby się przy buławie utrzymać.

W Warszawie wiadomość o bitwie ostrołęckiej sprawiła przynębiające wrażenie. Wyprawie na gwardye przypisy-wano słusznie wielkie znaczenie. Raporty z głównej kwatery nadchodzące donosiły o postępach armii, o natarczymwem ści-ganiu nieprzyjaciela, o zdobyciu Tykocina. Zdawało się, że to wojsko zwycięskie, w pochodzie swoim niewstrzymane, przeniesie teatr wojny na Litwę, że niebawem na murach dawnej Jagiellońskiej stolicy powieje sztandar z Orłem i Po-gonią, że u stóp „Panny Świętej“ co „w Ostrej świeci Bra-mie“, zabrzmi wspaniale *Te Deum*, zwiastujące odrodzenie Unii, odbudowanie Rzeczypospolitej po brzegi Dźwiny i po-rohy Dnieprowe.

¹⁾ Barzykowski, IV, 67.

²⁾ Lewiński l. c., str. 65.

³⁾ Papiery Horodyskiego.

I po tych świetnych nadziejach doleciała nagle nad Wisłę głucha wieść o jakiejś wielkiej, niepomysłnej bitwie, a w ślad za nią zjawił się u bram stolicy hetman tych do niedawna zwycięskich zastępów, sam, bez armii, rozpaczony pełen, ze zwątpieniem w sercu, ze strasznym wyrokiem: *finis Poloniae* na ustach.

Spółceństwo osłupiało, osłupiał Rząd, przerażony lakonicznym a krótkością swoją aż nadto wymownym raportem Wodza.

Ks. Adam Czartoryski zwołał do siebie pentarchów na radę, pomijając Lelewela, z obawy, aby straszna tajemnica nie rozeszła się po kraju i do cna nie zdemoralizowała wrażliwych polskich umysłów. Przeciw takiemu wykluczeniu jednego członka Rządu zaprotestował Wincenty Niemojowski, ale mimo to narada się odbyła.

Zgodnie odrzucono wszelką myśl układów z nieprzyjacielem, jako małoduszną i nieprowadzącą do celu, i przystąpiono do kwestyi najważniejszej, naczelnego dowództwa.

W tym względzie nie było różnicy zdań. Wszyscy uznawali, że Skrzynecki zawiódł pokładane w nim nadzieje, że zdolności na wodza nie posiada, ale, gdy przyszło do konkluzyi, nikt nie umiał podać kandydata do buławy, odpowiadającego wszelkim wymaganiom. Rada nie powzięła więc żadnej uchwały i dopiero kiedy Morawski i Niemojowski opuścili zebranie, postanowił Czartoryski z Barzykowskim wezwać na wodza Chłopickiego, który, jak łatwo można było przewidzieć, dowództwa nie przyjął, mówiąc słusznie zresztą, że po Wielkim Dembie a nie po Ostrołęce należało mu ofiarować buławę.

Zanim ta odpowiedź ex-dyktatora nadeszła z Krakowa do Warszawy, upłynęło sporo czasu i chwila sposobna do działania minęła niepowrotnie.

Skrzynecki bowiem przybywszy w nocy z 27-go na 28-my maja na Pragę i założywszy tam główną kwaterę, wziął się natychmiast z właściwą sobie zręcznością do roboty.

Uspodobienie Rządu nie było dla niego tajemnicą. Wspomnieliśmy już o naprężeniu stosunków pomiędzy nim a ks. Czartoryskim w przededniu wyprawy na gwardye, a Ostrołęka nie mogła oczywiście przywrócić dawniejszej

harmonii. Książę był zanadto rozumny, aby nie widzieć błędów, jakie Wódz popełnił i przed członkami Rządu zapewne opinii swojej nie tail.

Obecnie więc, nie bawiąc się w niewczesne komplementy, postanowiono wysłać trzech członków Rządu, Morawskiego, Barzykowskiego i Lelewela na Pragę, nie z powitaniem Wodza, lecz dla wyrozumienia, jaki jest istotny stan rzeczy i jakich należałoby użyć środków do dalszego, skuteczniejszego prowadzenia wojny.

Skrzynecki oświadczył, że raport jego z Serocka, pisany pod pierwszem wrażeniem, jest nie zupełnie dokładny i może nie wolny od przesady. Straty nie są tak wielkie, jak z początku się zdawało, nieprzyjaciół musiał ponieść większe, skoro pościgu zaniechał i że zatem rozpaczać nie należy. Rządowi da wyjaśnienia; błędów nie zamileczy, „lecz trzeba, aby każdy do nich z chrześciańską przyznał się pokorą“. Środki, jakie mają być wzięte, przedstawi na piśmie, musi atoli dodać, że oprócz materyalnych, są jeszcze inne, które koniecznie spełnione być muszą, a te zależą nie od niego, lecz od Rządu ¹⁾.

Na tem skończyła się rozmowa, delegaci odeszli, Wódz zaś zaprosił do siebie dwóch swoich przyjaciół, senatora Gliszczyńskiego ministra spraw wewnętrznych i Antoniego Ostrowskiego, aby się dowiedzieć od nich, jakie jest usposobienie Sejmu i stolicy.

Skoro przybyli, zaczął im przedstawiać, że bitwy właściwie nie przegrał, bo plac boju pozostał przy nas, porównał Ostrołękę z bitwą pod Eylau i oświadczył, że cofnął się na Pragę, aby wypocząć i że zaraz zaczepnie działać będzie. Przekonani zupełnie i uspokojeni powrócili obaj do Izby sejmowej i Antoni Ostrowski, jak to był człowiek o gorącym temperamentem a mniej rozwadze, zażądał natychmiast głosu, powtórzył to, co Wódz mówił, rozwiódł się w wielkich dla niego pochwałach i wzniosł okrzyk: „Niech żyje Wódz“, który obie połączone wtedy Izby powtórzyły bez namysłu ²⁾.

¹⁾ Barzykowski, IV, 74.

²⁾ Protokół sejmowy przemilczał tę niewczesną manifestację. Por. Przedmowę do IV tomu *Dziennika*, str. XI.

Ośmielony takim uznaniem reprezentacyi narodowej, rozpoczął Skrzynecki wojnę z Rządem. W odpowiedzi na żądanie delegatów rządowych zamiast wskazać środki ratowania sprawy publicznej, złożył całą winę na Rząd. Rząd — pisał — domagał się wypraw i bić się kazał, żądał wyprawy do ziem ruskich. Dwernicki poszedł i przepadł; żądał wyprawy na Litwę i jeszcze jednej wielkiej bitwy i zwycięstwa, bo tego rządy Europy dla interwencji domagały się; i wyprawa miała miejsce i bitwa stoczona została. O sobie, o zmarnowaniu odniesionych zwycięstw, o nieumiejętnem prowadzeniu bitwy ostrołęckiej, ani słowa. Żądał od innych, aby „z chrześciańską pokorą“ do błędów się przyznali, a sam tego nie czynił, stawał przed Rządem, jako oskarżyciel, wolny od wszelkiej winy, jako ofiara rządowej polityki, opinię publiczną bałamucił świadomie, twierdząc w raporcie datowanym z Pułtuszka dnia 27 maja, że głównym celem wyprawy na gwardye było wysłanie posiłków Litwinom i że, skoro ten zamiar skuteczniono, on rozkazał odwrót „przed masami nieprzyjaciela, o tyle przemagającemi“. Tę samą legendę powtórzył w trzecim z kolei raporcie (z dnia 1 czerwca) ze znaczącym dodatkiem: „Tego wymagał po mnie Rząd Narodowy“.

Zdumiał się ks. Czartoryski i jego koledzy na takie, z prawdą niezgodne przedstawienie rzeczy, zabolaly ich mocno niesłuszne zarzuty, ale nie znaleźli w sobie tyle tęgości, aby je odeprzeć w sposób należyty i właściwego wskazać winowajcę. Prawda, chwila nie była po temu. Bezpośrednio po klęsce ostrołęckiej nastęrczała się sposobność do przeprowadzenia gruntownej reformy w Rządzie i w naczelnem dowództwie. Odebrać Skrzyneckiemu buławę, którą tak nieudolnie piastował, na miejsce pentarchii rządowej ustanowić władzę dyktatorską, prawo o Wodzu Naczelnym zmienić, rząd nad wojskiem oddać generałowi, zależnemu nie od Sejmu, lecz od Namiestnika czy Dyktatora, słowem, wykonać zamach stanu, czemu pod świeżem wrażeniem poniesionej klęski nikt zapewne nie byłby się sprzeciwiał, najmniej chyba sam Wódz, bez wojska przybywający na Pragę, poczuwający się w głębi serca do winy i z rozpaczą wołający o układy z nieprzyjacielem.

Obecnie, po manifestacyi w Izbie sejmowej, przedstawiało podobne działanie już wielkie trudności, mogło wywołać ostry zatarg pomiędzy Sejmem a Rządem, rozdzielić społeczeństwo, rozniecić walkę domową.

Wódz miał czas ochłonać, opinię publiczną uspokoił jako tako, uznanie Sejmu uzyskał i ufny w poparcie swoich przyjaciół, wojnę Rządowi wypowiedział. Jakoż nie zawiódł się.

Na sesyi dnia 31 maja poseł jędrzejowski, Jan Ledóchowski uczynił wniosek, aby Sejm postąpił tak, jak niegdyś Senat rzymski po batalii pod Cannami, aby powitał Skrzyneckiego, jak tamci konsula Varrona, i aby w stósownym adresie oświadczył Wodzowi, że pomimo niepomyślnej bitwy, dobrze się ojczyźnie zasłużył. „Na co cała Izba jednym głosem zawołała: Prosimy! jednomyślnie prosimy!“¹⁾

I stało się według woli Ledóchowskiego. Deputacya z senatorów i posłów złożona udała się dnia 1 czerwca na Pragę i wręczyła Wodzowi adres, który zasługuje na przytoczenie w całej osnowie.

Brzmiał on tak: „Naczelny Wodzu! W chwili, kiedy naród najdroższe nadzieje swoje w znanej całemu światu waleczności wojska polskiego położył, a wojsko to Izby Sejmowej jednomyślnie wodzy Twojej powierzyły, zaufanie ciągle, powszechne i zastępom naszym i wodzowi towarzyszyć nie przestawało. Wojsko polskie cudów waleczności dokazywało, a Ty je do nieprzeżytej wiekami prowadząc sławy, usprawiedliwiłeś położone w Tobie zaufanie. Izby Sejmowe nie tały przed sobą i nie tają trudności walki i zapasów z tak potężnym nieprzyjacielem, lecz przy takim wojsku i przy takim Wodzu z niezachwianym na nie patrząc umysłem“.

Skrzynecki tryumfował. Podziękowawszy za adres, w poufnej z delegatami pogadance opowiadał im, że wyprawa na gwardye się nie udała, że pod Tykocinem nie pę-

¹⁾ *Dyaryusz*, IV, 76. Brakuje tam klasycznego porównania Ostrołki z Cannami a Skrzyneckiego z Varronem, ale podają ten zwrot i Barzykowski (IV, 84) i Prądzynski, III, 23.

dził ich dalej jedynie dla braku żywności, której Rząd nie przygotował, a potem rzekł: „Panowie, mam sobie za obowiązek zwrócić uwagę panów, że w Rządzie jest brak jednności i co za tem idzie, sprężystości, że w terażniejszych okolicznościach naglających ten brak sprężystości, pochodzący z braku jednności, paraliżuje wszystkie działania, że widoczną jest rzeczą, iż mogłoby to szkodliwe mieć skutki na ogół sprawy publicznej“.

Wszystko to powtórzył Ledóchowski na tajnem posiedzeniu Izby w dniu 1 czerwca ¹⁾, a Sejm na wniosek marszałka uchwalił opinię Wodza oddać pod rozprawę połączonych komisyj, które miały w sobotę myśl swoją Izbie zakomunikować ²⁾.

Taka była geneza słynnego wniosku o reformie Rządu. Lekkomyślnie podjęty w chwili najniwłaściwszej, nie obmyślany i nieuzasadniony należycie, wywołał trzydniową nużącą dyskusję w Sejmie, podzielił społeczeństwo i posłów na dwa wrogie sobie obozy, odwrócił uwagę powszechną od spraw stokroć ważniejszych, a, upadając mniejszością zaledwie 7 głosów, podkopał tem samem zaufanie do Rządu, jedynej jeszcze władzy, która mimo słabości swojej, niezaprzeczone powstaniu oddała usługi.

Ale dla tego Sejmu, cierpiącego na chroniczną chorobę doktrynerstwa konstytucyjnego, była pożądana każda sposobność do dyskusyi zasadniczej, chociaż w gruncie jałowej i zbytecznej. A cóż dopiero, gdy chodziło o Rząd, którego ustanowienie w początkach powstania tyle zabrało czasu, którego zamierzona teraz reforma tyle budziła ukrytych ambicij, tak wdzięczne do popisów oratorskich i do pozyskania rozgłosu dawała pole!

Chwymano się więc skwapliwie wniosku, wytaczano przed społeczeństwem polskim i przed światem skargi na Rząd, wytykano jego zaniedbania, wyrzucano Lelewelowi jego rewolucyjne dążności, jego socyalistyczne rzekomo zasady; Ledóchowski odczytywał nawet pismo jakiegoś agenta dyplomatycznego za granicą, który dowodził, że trzeba najpierw

¹⁾ *Dziennik* IV, 156.

²⁾ Tamże.

„usunąć panowanie motłochu“, a następnie wyprzeć się „jakobinizmu“, aby uzyskać poparcie mocarstw.

Dlaczego nie streścił wspomnianego pisma w całości, dlaczego ograniczył się tylko do jednego wyjątku? To łatwo już dziś zrozumieć, skoro na szczęście ów akt dochował się aż do naszych czasów ¹⁾. Autorem jego nie był, o ile sądzić można, dyplomata polski, akkredytowany przy jednym z dworów europejskich, lecz prawdopodobnie znany nam już Andrzej Horodyski, komisarz rządowy u boku Naczelnego Wodza.

Wyjaśnwszy zapatrywania gabinetów europejskich na sprawę polską w sposób przytoczony już przez Ledóchowskiego, dochodzi on do wniosku, że reforma Rządu jest konieczną i że należy władzę, jaką on piastuje, złożyć w ręce jednostki.

Na pytanie zaś, kto ma być tym przyszłym Naczelnikiem czy Dyktatorem, odpowiada, że najwłaściwszym kandydatem jest ks. Czartoryski. Posiada on bowiem „niewątpliwie najwięcej tej siły, tej powagi wewnątrz kraju, w narodzie, w reprezentacji narodowej, w gabinetach europejskich“. „Jedna tylko okoliczność osłabia wpływ jego na gabinety, to, że mógł zasiadać przez pięć miesięcy w Radzie wraz z osobami, które czy to słusznie, czyli bezzasadnie uważane są od dworów zagranicznych za reprezentantów jakobinizmu w Polsce“. Co gorsza, „jeżeli nasze powodzenia wojenne, wsparte medyacyą lub interwencyą państw obcych, sprowadzą nakoniec rodzaj zgody i pokoju z Rosyą“, natenczas osoba ks. Czartoryskiego stanie się największą przeszkodą, bo „uchodzi on w Rosyi za prawdziwego sprawcę rewolucyi“, nazwisko jego jest tam znienawidzone.

Stósowniej więc będzie poszukać innego kandydata, a takim jest Wódz Naczelnny, „którego siła moralna osobista mogłaby się ważyć z siłą Księcia“. „Jeżeli Księcia zna naród, to wojsko, mogące się nazwać wyborem narodu, zna więcej swojego Wodza“. Wódz okazał się również nieprzyjacielem zasad przewrotnych, „a ponieważ nie miał żadnego udziału w Rządzie, stąd gabinety zagraniczne, tak w tej ma-

¹⁾ Rkp. Bibl. Ks. Czartoryskich, Nr. 5296.

teryi drażliwe, nie mają powodu zarzucać mu, że wszedł do wspólki władzy z ludźmi, których opinie ich przestraszają“. Co więcej „Wódz Naczelny z powodu władzy nad siłą zbrojną, z powodu świetnie rozwiniętych zdolności wojennych, zdaje im się być człowiekiem, który zdoła najlepiej dopełnić wziętych na siebie zobowiązań i danych przez siebie zapewnień“.

„Gabinety widzą niedogodność, przywiązaną do nazwiska ks. Czartoryskiego, znają wstręt, jaki nieuchronnie mieć będzie cesarz rosyjski do wejścia z nim w układy, a zatem postawienie Księcia u steru Rządu byłoby przeszkodą do ukończenia tej wojny“.

Powyższa rozprawa, obejmująca 8 kart in folio i nosząca tytuł: *O zmianie formy Rządu w Polsce*, wyjaśnia właściwe zamiary „reformistów“. Dowodzi ona, że cały plan ułożono i zadecydowano „na salonach Wodza“, jak już wspomniał Barzykowski ¹⁾, i że głównym celem akcji było Rząd obecny, a zwłaszcza prezesa Rządu usunąć, władzę dyktatorską oddać Skrzyneckiemu i rozpocząć z nieprzyjacielem układy.

Dla poparcia tej myśli, dla przekonania Sejmu, że taka a nie inna reforma zbawi Polskę, użyto argumentów naiwnych, które polegały na dowolnych przypuszczeniach o dobrej wierze gabinetów europejskich i ich życzliwym rzekomo dla nas usposobieniu, i na tem fałszywym założeniu, na tak kruchych podstawach — bo dziś już wiadomo, że żadne mocarstwo nie myślało ani o medyacyi, ani o interwencyi — budowano wszystkie nadzieje, łudzono naród możliwością układów, które po klęsce ostrołęckiej wymagały chyba tylko zdania się na łaskę, przyjęcia warunków, podyktowanych przez Mikołaja w manifestie grudniowym.

I z tym wnioskiem występował w Sejmie ten sam poseł, co na pamiętnej sesyi dnia 25 stycznia pierwszy zawołał: „Niema Mikołaja!“, co przeforsował w Izbie akt detronizacyjny, ten wniosek zrodził się w głowie Wodza, co obiecywał wykopać przynajmniej „grób zaszczytny“ powstaniu.

Niepomierne zdziwienie ogarnęło też niewtajemniczonych po pierwszej mowie Ledóchowskiego.

¹⁾ IV, 84.

„Gdyby — tak mówił Antoni Rembowski — komunikacye swoje Wódz Naczelny uczynił z nad Dźwiny lub Dniepru, powiedziałbym: Pojmuję je, lecz po bitwie ostrołęckiej, z przed szanću mostowego Pragi podobna propozycya uczyniona wprowadza mnie w najsmutniejsze myśli. Chcąc wzbudzić nieufność do Rządu Narodowego, rozdwaia on opinię publiczną i odwołuje się do naszego patryotyizmu, lecz ja pytam się: Jestże ku temu właściwa chwila, jakież zarzuty mogą na Rządzie ciążyć, czyliż wojsko nie jest regularnie płacone, czyliż nie jest zaopatrzone w amunicję i żywność, czyliż służba lazaretowa nie jest zapewniona, czyliż kredyt zewnętrzny i wewnętrzny doznał jakiego szwanku, czyliż nakoniec spokojność publiczna zachwiana? Nie. A więc jeżeli tego wszystkiego niema, nie widzę potrzeby zmiany Rządu“ ¹⁾).

Inaczej pojmował rzecz marszałek Ostrowski. Sądził on, że „jest marnotrawstwem zbyt rzadkich wyższych zdolności użycie aż pięciu członków niemi obdarzonych do Rządu, gdy tej potrzebie i mniejsza liczba równie dobrze lub i lepiej zadośćby uczyniła“ ²⁾), w zasadzie więc poparł wniosek reformistów.

Skorzystalı z tego przyjaciele Wodza, zwłaszcza poseł powiatu łowickiego, Ignacy Wężyk, i jęli wywodzić znowu, że Rząd z pięciu niema energii w działaniu i jednoci w dążeniach i że lepiej wcześniej, niż późno, złemu zabiegać.

Wtedy Zwierkowski, uchylając rąbek tajemnicy, zapytał: „Czyż chcemy przez Rząd z jednego układów znowu, lub przyprowadzenia do pokonania samych siebie zatargami domowemi?“ A następnie dodał: „Przepędźmy za Bug nie przyjaciół naszych, a zmianę Rządu wstrzymajmy aż do oczyszczenia ziemi naszej z najeźdników“.

¹⁾ Mowa Rembowskiego jest w *Dziaryuszu* (IV, 218) widocznie przez wtrącenie kilku słów we właściwym swoim sensie zmieniona i skutkiem tej interpolacyi niezrozumiała. Podaliśmy przeto tekst według Barzykowskiego (IV, 89).

²⁾ *Dziaryusz* IV, 268.

Taki przebieg miała w najogólniejszych zarysach dyskusja nad wnioskiem Ledóchowskiego, zakończona, jak już wspomniano, zwycięstwem „antireformistów“.

Nadwątlila ona powagę Rządu, podzieliła społeczeństwo na dwa wrogie sobie obozy, w chwili, gdy ciężkie położenie wymagało jednności i energicznego działania, wznieciła rozterkę pomiędzy tymi, co sprawą narodową kierować mieli, a uratowała jedynie od upadku Skrzyneckiego.

Tryumf ten, zdobyty podstępem, nie przyniósł ani Wódzowi, ani sprawie narodowej pożytku.

Szczegóły o bitwie ostrołęckiej nie mogły pozostać długo w tajemnicy. Wojsko, zgromadzone w obozie pod Pragę, ranni oficerowie i żołnierze, umieszczeni w lazaretach warszawskich, przynieśli zgoła inne wiadomości o wyprawie na gwardye.

Mówili oni zgodnie, że Wódz winien, bo dobrowolnie gwardye wypuścił i niepotrzebnie stoczył bitwę ostrołęcką, a ten głos, to oskarżenie rozbiegły się wnet po stolicy i po całym kraju.

Umiński, obrażony odjęciem dowództwa, Krukowiecki, mający najgorszą o Skrzyneckim opinię, dolewali oliwy do ognia Krukowiecki, od którego Wódz żądał posiłków po Ostrołęce, zaniepokojony o bezpieczeństwo Warszawy, bo rozmiarów klęski nikt na razie określić nie mógł, wysłał wprawdzie pułk grenadyerów do Modlina, ale napisał zarazem do Wodza list w tonie ostrym i niewłaściwym.

Skrzynecki, przybywszy na Pragę, postanowił butnego przeciwnika ukarać i pierwszemu adjutantowi swemu, pułkownikowi Szydłowskiemu, polecił, aby odebrał Krukowieckiemu szpadę. Ten oddania szpady odmówił i natychmiast przesłał Rządowi swoją dymisyę, wreszcie jednak, zagrożony aresztowaniem przez oddział wojska, uległ.

Wódz, nie poprzestając na tem, żądał sądu wojennego. Z drobnej w istocie sprawy robił głośną awanturę. Ks. Czarotoryski usiłował niewczesną jego porywczosć hamować.

„Jest to objaw pocieszający — tak pisał do Skrzyneckiego 29 maja — że gdy u nas w Polsce grzeszy się przez próżność, nienawiść i niepomiarłą miłość własną, błędy te

nie dochodzą jednak nigdy do tego stopnia, aby się sprzeciwiały uczuciom patryotycznym“.

„Jenerał Krukowiecki przyjął rozkaz Twój, jenerale, z największą rezygnacją. Jest on zupełnie spokojny i pragnie odjechać z rodziną do Krakowa, a napisał do mnie list, wyrażający uczucia godne dobrego Polaka“.

„Jenerał musiałeś przywrócić swoją zachwianą powagę, ale zdaje mi się, że nie byłoby właściwem sprawę dalej prowadzić. Mniemam, że aresztowanie jenerała Krukowieckiego i sąd nad nim byłyby tylko pożądanym żerem dla gapiów miejskich, dla dzienników i dla klubu. Mam przekonanie, że wyjazd Krukowieckiego lepszy odniesie skutek, niż stawienie go przed sąd. Obecnie nikt nie przyznaje mu racyi, ale w razie procesu, wzbudzi on w tłumach zainteresowanie“¹⁾.

Trafne uwagi ks. Adama, prorocze jego niemal słowa, nie przekonały Wodza. Sądu wprawdzie już nie żądał, bo przewidywał, że Krukowiecki, broniąc się publicznie, nikogo oszczędzać nie będzie i sposób prowadzenia wojny surowej a bezwzględnej podda krytyce, ale domagał się, aby Rząd, przyjąwszy dymisyę Krukowieckiego, zabronił mu noszenia mundur jeneralskiego, a gdy Rząd temu żądaniu, wyglądającemu już na szykanę, stanowczo się sprzeciwił, zagroził Skrzynecki złożeniem naczelnego dowództwa, i to w tonie, przechodzącym granice przyzwoitości.

Wtedy Ksiązę stracił już cierpliwość i odpowiedział ostro.

„Jenerał — pisał — nie będziesz potrzebował dawać dymisyi; ja ją wezmę, ażeby zostawić Jenerałowi wolne pole. Nie chodzi o świadczenie laski, ale jedynie o to, aby nie karać dalej. Sprawiedliwość każdemu powinna być oddana. Krukowiecki nie jest lubianym, ale nie powiem, że jest spodlonym. Nie bronię jego ambicyi, nie jestem zapłacony, aby brać jego stronę. Nie chodzi o niego; chodzi o sprawę i o Ciebie samego, Jenerale“.

„Widzę z najgłębszą boleścią, że wszyscy między sobą się skłócimy, że osobistości, nienawiść, zawziętość całkiem

¹⁾ *Korespondencja Ks. Adama Czartoryskiego ze Skrzyneckim.* Rkp. Bibl. Czart. Nr. 3934. List powyższy jest u Galdona l. c. opuszczony.

bierze górę. Co za smutna przyszłość! Już teraz to chyba tylko w Bogu możemy mieć nadzieję, choć na prawdę nie zasługujemy wcale na Jego opiekę“¹⁾.

Na to wszystko przyszedł wniosek Ledóchowskiego i niewłaściwe owacye, urządzane na cześć Wodza, przez gwardyę narodową i mieszczaństwo warszawskie. Rząd odpowiedział na nie przyjęciem dla wojska w ogrodzie Krasińskich, gdzie ks. Czartoryski wniósł toast na cześć wojska, „które już tyle cudów męstwa spełniło i na którym cała nadzieja ojczyzny polega“, nie wspominając wcale o Wodzu Naczelnym²⁾. Naprężenie stosunków w sferach rządzących było widocznem; cała Warszawa znajdowała się „w moralnej fermentacyi“³⁾; za kulisami wrzało i kipiało.

Prądyński, powróciwszy z wyprawy, brał z początku żywy udział w reorganizacyi wojska; później, doknięty atakiem podagry, musiał się przenieść do mieszkania żony w mieście i tu w łóżku leżąc, trapiiony przez chorobę, która go w końcu do grobu zaprowadziła, rozmyślał nad ostatnimi wypadkami i nowe układał plany. Nie kierowała nim ambicja lub niechęć do Naczelnego Wodza, lecz troska o dobro sprawy.

„Prądyński — powiada naoczny świadek tych wypadków⁴⁾ — był dobrym Polakiem i we wszystkim, co robił, ojczyznę, Polskę przedewszystkiem widział. W krokach, które teraz rozpoczynał, stał na tymże samym gruncie. Cel jego był czysty i patriotyczny i środki ku przeprowadzeniu także stosowne obrał. Nie do namiętności chciał przemawiać, nie stronnictwa zamierzał tworzyć, ale przez rozum do rozumu przemawiał“.

¹⁾ Tamże. List z 4 czerwca. O piśmie Wodza, grożącym dymisją, powiada Książę, że »sposób, w jaki list Jenerała jest napisany, nie pozwala mi go innym okazać«.

²⁾ Z biuletynu Błotnickiego. Gadon I. c., str. 92.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Barzykowski IV, 91. Opinia Barzykowskiego zasługuje tem więcej na uwagę, że nie jest on zupełnie przychylnym Prądyńskiemu i w niejednym wypadku sądzi go surowo i niesprawiedliwie.

Nie udał się do klubu, nie szerzył plotek pomiędzy oficerami — zamknięty w domu, cierpieniami trapiiony, rozważał środki ratowania sprawy narodowej.

U jego łóża zaczęli się wnet gromadzić ludzie najwybitniejsi, podobną jak on myślą przejęci, a więc ks. Czartoryski, Wincenty Niemojowski, Barzykowski i marszałek Izby poselskiej, Władysław Ostrowski.

Pragnęli oni przedewszystkiem wybadać prawdę, dowiedzieć się, dlaczego zmarnowano wyprawę na gwardye, dlaczego stoczono bitwę ostrołęcką i z jakiego powodu poniesiono tam sromotną klęskę?

Prądyński prawdy pod korcem nie krył i po żołniersku się wyrażał: „Jeżeli Skrzynecki dłużej Wodzem pozostanie, sprawę narodową zgubić musi, ojczyznę do grobu popchnie“¹⁾.

Taka opinia, poparta rzeczowemi dowodami, sprawiła nadzwyczajne wrażenie.

Książę przyznał, że już sam przekonał się o niezdolności Skrzyneckiego, „ale -- dodał — kogóżby to na jego miejsce wypadło postawić?“

Na to odpowiedział Prądyński: „Taka władza hetmańska, jaka jest, zupełnie niepotrzebna; znieść ją, zmienić formę Rządu. Książę zostać dyktatorem wyłącznie kierunku spraw wojennych. Albo też, jeżeli jenerałowi Chłopickiemu dozwoli już rana i zechce podjąć się ochoczo, tedy postawić go na czele wojska, ale zachowując sobie zawsze kierunek działań“.

Rada była niewątpliwie trafna, tylko niestety spóźniona. Chłopicki, jak wiadomo, odmówił; chwila stósowna do reformowania Rządu minęła.

Książę wyznał też, że Rząd nie jest mocen zwalić Naczelnego Wodza, bo to zależy od Sejmu, a tam ma Skrzynecki swoich stronników; rzecz byłaby publicznie debатовana, stąd złe skutki, a wypadek niewiadomy. Natomiast czy nie lepiej będzie, jeżeli on sam, jako prezes Rządu, ze Skrzyneckim wprost się rozmówi.

¹⁾ Barzykowski (tamże) całkiem prawie zgodnie z tem, co pisze Prądyński w *Pamiętniku*, III, 32.

Na tem stało. Ale konferencya żadnego nie odniosła skutku i obudziła w Skrzyneckim — bo Książę, tak jak ułożono, powołał się na zdanie Prądyńskiego — najzawziętszą nienawiść ku Prądyńskiemu.

Odtąd Prądyński nigdy już nie otrzyma oddzielnego dowództwa, odtąd każdy plan, jaki obmyśli, będzie odrzucony dlatego tylko, że od niego pochodzi, odtąd Skrzynecki nie przestanie go uważać za „oszczerec“, a w rok później nie zawaha się nazwać swego jeneralnego kwatermistrza zbrodniarzem ¹⁾).

Na tem się jednak nie skończyło. Obok Prezesa Rządu zasięgali opinii Prądyńskiego, jak wspomniano, także inni: Ostrowski, Wincenty Niemojowski i Barzykowski. Pierwszy, usłyszawszy jego zarzuty, przerażony „założył dłońmi uszy; wyraźnie uciekł“.

Barzykowski zapytał powtórnie, kto miałby zająć miejsce Skrzyneckiego? Na co Prądyński wymienił Jankowskiego, a gdy Barzykowski, zdziwiony, zawołał: „Jankowskiego? wszak to człowiek chory i nie okazał dotąd wyższych zdolności“, odparł, że wprawdzie jest tak istotnie, ale że Jankowski ma charakter łatwo dający się powodować i że, gdyby jego, Prądyńskiego, mianowano równocześnie szefem sztabu, byłby z nich dwóch jeden Wódz dobry, a przynajmniej lepszy od Skrzyneckiego ²⁾).

Zdziwienie Barzykowskiego, który tę rozmowę opisywał już po wyprawie na Rüdigera, da się łatwo zrozumieć, ale jeżeli Prądyński rzeczywiście wspomniał o Jankowskim, to miał pewną rację.

Jankowski uchodził w armii za doświadczonego i dobrego oficera i był gorącym patriotą. Dowodząc przednią strażą w pościgu za gwardyami, działał i przemawiał energicznie. „Nie traktujcie — wołał do oficerów — lekko, panowie, położenia naszego. Nam koniecznie trzeba zwyciężyć,

¹⁾ List do Ostrowskiego w *Świecie*, przytoczony wyżej.

²⁾ Barzykowski, IV, 94. Prądyński nie wspomina o takiej kombinacji i powiada (III, 91), że pragnął, aby naczelne dowództwo powierzono Kazimierzowi Małachowskiemu.

albo największe nie-zczęścia czekają nasz kraj i każdego z nas osobiście¹⁾. Widocznie czuł wtedy cały ogrom popełnionych błędów i opieszałości swoich kolegów.

Przypuszczać zatem należy, że jako Wódz Naczelny byłby w podobnym duchu pojmował swoje zadanie. Ale dyskusya o usunięciu Skrzyneckiego miała czysto akademickie znaczenie.

Wincenty Niemojowski, wysłuchawszy opinii Prądyńskiego, mocno się zaniepokoił i w kilka dni potem otrzymał Prądyński od niego urzędowe wezwanie, aby się stawił przed Rządem „dla popierania swojego oskarżenia przeciw jenerałowi Skrzyneckiemu“.

Prądyński uczynił zadość wezwaniu i zapytał Niemojowskiego, jaki obrót zamierza sprawie nadać?

Niemojowski odpowiedział: „Jawność jest zasadą Rządu konstytucyjnego; jawnie więc i protokolarnie będziemy tę rzecz prowadzić. Pan Jenerał na poparcie swego oskarżenia podasz świadków, którzy także protokolarne zeznania uczynią“.

A skutek? „Skutku na teraz żadnego nie będzie i być nie może, bo jenerał Skrzynecki ma jeszcze zbyt mocne stronictwo w Sejmie, ale ta cała czynność będzie mogła posłużyć na później, a my uczynimy zadość naszym obowiązkom i złożymy hołd zasadom konstytucyjnym“.

Prądyński odmówił podpisania.

Czy to była słabość z jego strony, jak pisze Smitt, a za nim powtarza Barzykowski?

Bynajmniej.

Prądyński nie wnosił oskarżenia, lecz ostrzegał Rząd przed grożącym sprawie publicznej niebezpieczeństwem, pragnął zmiany w naczelnem dowództwie, nie dla własnego wyniesienia, nie z zawiści do Skrzyneckiego, lecz w przekonaniu o jego niezdolności.

A gdy Rząd wyznał otwarcie, że nie ma siły Naczelnego Wodza usunąć, więc jakież cel mogła mieć owa biurokratyczno-konstytucyjna komedya, owo spisywanie protokółów, wzywanie świadków? Któż był świadkiem sceny we

¹⁾ Kruszewski, l. c., str. 112.

dworze troszyńskim? Kto słyszał dyskusye o operacjach wojennych pomiędzy Wodzem a Prądyńskim? A zresztą, kto miał w końcu ferować wyrok?

Oczywiście nikt inny, tylko Sejm, ten Sejm, w którym większość miał Skrzynecki, gdzie właśnie silne stronnictwo zamierzało jemu powierzyć obok buławy i władzę dyktatorską.

Winy nie ponosi więc Prądyński, lecz Rząd, a głównie Sejm. Izba poselska dała się niebacznie porwać deklamacyom Antoniego Ostrowskiego i gwałtownej wymowie Ledóchowskiego. Nie zbadawszy sprawy, nie zastanowiwszy się nad tem, co czyni, urządziła lekkomyślnie manifestacyę na cześć Wodza, który, jak sam wyznawał, „baniebną“ poniósł klęskę, pociągnęła za sobą mieszczaństwo warszawskie i gwardyę narodową, a dla ukoronowania dzieła uderzyła na Rząd, na tę przez siebie stworzoną „komisyę prowianeką“, pozbawioną istotnej władzy, z góry skazaną na niemoc i w poczuciu tej swojej niemocy niezdolną do energicznego działania.

O tyle też mieli słuszność „reformiści“. Ale reforma, powzięta z zamiarem wyniesienia na naczelne stanowisko Skrzyneckiego, była pomysłem dziwacznym, nieszczęśliwym i nie prowadziła do celu. Błąd tkwił w czem innem: w usposobieniu Izby poselskiej i powiedzmy otwarcie, w jej niezdarności. Nad miarę gadatliwa, goniąca za popularnością, marnująca czas na jałowych dyskusyach, nie pojmowała ona ani położenia kraju, ani swoich obowiązków. Mieszała się do wszystkiego, o wszystkim chciała wiedzieć, pragnęła wszystkim kierować, a rządzić nie umiała.

„Szaleństwem byłoby — pisze Prądyński ¹⁾ — oddawać kierunek powstania, rządu całej Polski, prowadzenie wojny w ręce licznego zgromadzenia. Ile razy bowiem zbiorą się ludzie, możesz być pewnym, że znaczna większość będzie między nimi głów ograniczonych“.

A jednak tak się stało. Nie formalnie, lecz faktycznie rządził Sejm. On mianował Naczelnego Wodza, on wybierał członków Rządu Narodowego i na nim przeto ciążyła cała

¹⁾ I, str. 240.

odpowiedzialność i za prowadzenie wojny i za kierunek powstania.

Wszelaka zmiana w tych zasadniczych, na początku powziętych postanowieniach, mogła być dokonana chyba tylko przez zamach stanu, a nie przez Izbę, o władzę zazdrosną, w wolności źle pojętej rozmiłowaną i najściślej przestrzegającą form konstytucyjnych.

Zrozumiałem też jest, że Wincenty Niemojowski w chwili, gdy największą należało rozwinąć energię, chciał sprawę nagłą, od której zawisły losy kraju i powstania, traktować konstytucyjnie, spisywać protokoły, przesłuchiwać świadków, zbierać dowody, zrozumiałem i to, że Prądyński „struchlał na takie widzenie rzeczy“. Mimo to jednak ducha jeszcze zupełnie nie tracił, w rozpaczy się nie pogrążył, rąk nie zakładał, w reorganizacji armii żywy brał udział, na jenerałnem kwatermistrzostwie pozostał ¹⁾.

Otuchy dodawała mu powolność Dybicza, fakt, że wojsko polskie, prawie nieścigane przez nieprzyjaciela na Pragę przybyło, że żołnierz rozprószony ściągał się gromadnie do obozu. Jakoż trzy dywizye piechoty, pod Ostrołęką rozbite, liczyły już dnia 5 czerwca 17.024 głów; jenerał Bontemps skompletował z arsenałów warszawskich artylerję; jazda, z wyjątkiem 2-go pułku ulanów, który poniósł znaczniejsze straty, znajdowała się w dobrym stanie. Energiczna czynność nowego szefa sztabu, jenerała Tomasza Łubieńskiego i jego zastępcy, jenerała Lewińskiego, przywróciła w obozie ład i porządek, tak, że armia polska była w kilka dni po Ostrołęce do boju gotowa.

Nieprzyjaciel tymczasem, osłabiony także stratami pod Ostrołęką — Puzyrewski ²⁾ oblicza je na 4867 ludzi, w tem 172 wyższych oficerów — rozłożył się w okolicach Pułtuska, z główną kwaterą w Kleczewie, wypoczywał, oczekiwał po-

¹⁾ Mylnem jest co pisze Lewiński (str. 66), że Prądyński otrzymał dymisyę z szefostwa sztabu i że stąd pochodziła jego nienawiść do Skrzyneckiego. Dymisyi nie dostał, bo, jak wykazano wyżej, nominacyi na szefa sztabu nie miał. On sam też nie zgola o dymisyi nie wspomina.

²⁾ III, 71.

silków, zniesienia Gielguda i stłumienia powstania litewskiego.

Położenie Dybicza, mimo odniesionego zwycięstwa, było trudne, stosunki z dworem naprężone. Od początku wojny odbierał on od cesarza listy, pełne wymówek i „wygowsłów”.

Mikołaj, mocno dotknięty w swojej dumie, pragnął wojnę ukończyć szybko, „buntowników” zetrzeć na proch, Europie raz jeszcze okazać siłę i potęgę Rosyi, hydrę rewolucyjną zdusić nad Wisłą, a potem ruszyć nad Ren, aby przywrócić porządek w gnieździe „jakobinizmu” we Francyi i legitymizmowi zachwianemu w posadach zupełny zgotować tryumf¹⁾.

O powodzeniu nie wątpił ani na chwilę; był pewnym, że z armią stutysieczną, z Zabalkańskim na czele, Polaków pokona w pierwszej bitwie, a gwardye wysyłał tylko na to, aby zdobyły tryumfalne wejście do Warszawy.

Nadzieje te zawiodły jednak. Raport o krwawej walce pod Grochowem rozwił marzenia samodzierżcy.

„Niepodobna prawie uwierzyć — pisał do Dybicza — ażeby po takiej porażce, nieprzyjaciół mógł ocalić wszystką swoją artyleryę i schronić się zupełnie do Warszawy, mając tylko jeden most. Można się było spodziewać, że porzuci większą część dział i że ujrzymy powtórzenie klęski berezyńskiej. Straciliśmy 8000 ludzi i, oprócz straty mniej więcej równej u nieprzyjaciela, niema żadnego innego rezultatu”²⁾.

Po Wawrze i po Wielkim Dębie wzmagało się rozdrażnienie Mikołaja. Nie dostrzegając żadnej jasności w zamiarach Dybicza, tracił nadzieję szczęśliwego zakończenia wojny³⁾; wyrażał feldmarszałkowi zdziwienie swoje i żał z powodu, że donosi częściej o klęskach, niż o zwycięstwach, a w liście z dnia 25 kwietnia lajał go już otwarcie.

¹⁾ Por. to, co mówił Dybicz Wyleżyńskiemu. *Bibl. Warsz.*, l. c., str. 242.

²⁾ Szczerbatow: *Kampania polska ks. Paskiewicza*. (Warszawa, 1899, str. 5).

³⁾ Tamże, str. 7.

„List pański z dnia 16 — tak brzmiał ów „wygovor“ — otrzymałem dziś rano i z nadzwyczajnem zdziwieniem dowiedziałem się, że zdecydowawszy się na przybliżenie i na atak na nieprzyjaciela w jego pozycjach, nagle zmieniłeś pan zamiary i zamiast korzystać z osiągniętych powodzeń, powróciłeś na dawne stanowiska, na których przez cztery tygodnie stałeś nieruchomy! Zaiste, nie pojmuję, co pan robisz i co się z panem dzieje i ręczę, że nikt tego nie pojmie!“¹⁾).

Gniew cesarski spadał gromem nie tylko na głowę Dybicza, ale i na jego pomocników, szefa sztabu Tolla i jenerału kwatremistrza Neudhardta.

„Dowiedziałem się — pisał 14 maja — że Toll pozwolił sobie uderzyć w twarz oficera polskiego, wziętego do niewoli; możesz pan sobie wyobrazić, jakie wrażenie na mnie wywarł podobny postępek. Proszę pana powiedzieć mu, że dziwię się, iż jenerał-adjutant potrafił splamić się tak dalece. Muszę przy tej sposobności powiedzieć panu, że wszystkie wiadomości, jakie nas dochodzą z armii, jednogłośnie brzmiały skargami na grubiaństwo Tolla, zwłaszcza względem jenerałów“²⁾).

Te nieustanne wyrzuty cesarza i niepomyślny przebieg wojny skłoniły wreszcie Tolla i Neudhardta do wniesienia prośby o dymisyę.

Mikołaj był niesłychanie oburzony, nie chciał wierzyć, aby tacy jenerałowie i w takiej chwili ustąpić zamierzali, na prośbę więc wcale nie odpowiedział, dodał tylko, że „jeżeli tak jest, to nie są godni noszenia munduru rosyjskiego“, bo „należy umrzeć na swem stanowisku, ale opuścić go nie wolno“³⁾).

Po bitwie ostrołęckiej nowy „wygovor“.

„Powolność pańskich operacyj — pisze Mikołaj — jest prawdziwą klęską; ona to pozbawiła pana wszelkich korzyści, jakie mógł przynieść pełen chwały dzień ostrołęcki. Wszystkie listy z Warszawy donoszą jednogłośnie o ich (Po-

¹⁾ Tamże, str. 12.

²⁾ Tamże, str. 13.

³⁾ Tamże, str. 14.

laków) zdziwieniu i radości, że ich pan nie ścigałeś. Teraz będą mieli dosyć czasu, by wynagrodzić swe straty, oszańcować się, jednym słowem zatrzeć ślady swej klęski“¹⁾.

Równocześnie z wysłaniem tego listu wyjeżdżał do głównej kwatery z Petersburga generał Orłow, używany przez Mikołaja do poufnych misyj, zręczny i przebiegły dyplomata. Miał on polecenie — tak przynajmniej wtedy mówiono — zbadać stan armii rosyjskiej i odebrać Dybiezowi naczelne dowództwo, które cesarz przeznaczył powołanemu z Gruzji Paskiewiczowi.

Tymczasem nastąpiła katastrofa. Dybiez, objadłszy się dnia 9 czerwca niestrawnych potraw (na obiad były kluski, wieprzowina i owoce, przytem poddostatkiem wina i likierów, bo feldmarszałek pijał wiele), zapadł w nocy na cholerę i umarł nazajutrz.

Powszechnie przypisywano nagłą śmierć jego zadanej jakoby przez Orłowa truciznie, co nie wydaje się prawdopodobnem, i łączono zgon Zabalkańskiego ze śmiercią W. Ks. Konstantego, którego także Orłow w Witebsku odwiedził.

Co do ostatniego faktu, to przypuszczać można w istocie śmierć nienaturalną. Dybieza mógł cesarz łatwo usunąć, tak jak uczynił z Wittgensteinem podczas wojny tureckiej. W Rosyi w podobnych wypadkach ceremonii się nie robi. Inna rzecz z Konstantym. Stosunek jego do Mikołaja był zawsze naprężony, nienaturalny, po wybuchu powstania stawał się wprost nieznośnym. Wiemy już, że Konstanty nie miał powrócić do Warszawy, że na jego miejsce cesarz przeznaczał Dybieza.

Jakie przeznaczenie dać W. Księciu? Nad tem zapewne łamano sobie głowę w Petersburgu napróżno. Śmierć więc jego przychodziła w porę, jak gdyby na zamówienie. Prądyński przytacza w tym względzie relację panny służącej, pochodzącej z Wołynia, która towarzyszyła księżnie Łowickiej.

Opowiadała ona, że razu pewnego, kiedy już były w Carskiem Siole, przyszedł do pani Jeannety cesarz w odwiedziny tak niespodziewanie, że owa panna służąca, znajdując się za

¹⁾ Str. 21.

ekranem, opuścić pokoju już nie mogła i była mimowolnie świadkiem całej rozmowy. Otóż Mikołaj, trzymając zwitek planów w ręce, złożył Księżnie najpierw kondolencję, oświadczył, że chce być zawsze dla niej bratem i że ze względu na jej zdrowie pragnie, aby nie zamieszkała w pobliżu Petersburga, lecz wybrała sobie inne miejsce, gdzie on każe jej wystawić rezydencję, godną cesarskiej bratowej i przynosi właśnie gotowe projekty. Na to Księżna odepchnęła z pogardą podawany jej zwitek i zawołała: „Niczego nie chcę i nie nie przyjmę od mordercy mojego męża“. Mikołaj zerwał się i wybiegł ze słowami: *Elle est folle, elle est folle*. W kilka dni później umarła ks. Łowicka ¹⁾.

Jakkolwiek z korespondencji ks. Łowickiej, o ile ona nas doszła ²⁾ i o ile może w owych warunkach przedstawiać prawdziwe usposobienie piszącej, wnosicby należało, że stosunek pomiędzy W. Księżną a Mikołajem był przyjazny, niemal serdeczny, to opowiadanie, powtórzone przez Prądyńskiego, zasługuje jednak na uwagę. Nie może ono być bowiem zupełnie zmyślonem, a okoliczności, które przytoczono wyżej, uzasadniają podejrzenie, że Konstanty nie zeszedł ze świata naturalną śmiercią. Tragiczne zaś wypadki, tak częste w rodzinie Romanowów, nadają podejrzeniu pewne cechy prawdopodobieństwa.

Takie stosunki panowały w armii rosyjskiej. Nie były one lepsze od naszych. I tam wódz naczelny nie okazywał ani wyższego uzdolnienia, ani wielkiej energii, i tam zachodziły nieporozumienia i niesnaski wśród trójcy sztabowej, ale różnica tkwiła w tem, że ponad rzeszą jenerałów, rozmaitej wartości i nad wodzem, stała władza surowa, w środkach nieprzebierająca, bezwzględna, przed nikim nie odpowiedzialna, celów swoich świadoma, że ona rozkazywała i rozkazywać umiała.

Chłopicki, wychowany w szkole napoleońskiej, dostrzegł tę różnicę odrazu, i kiedy Chłapowski, w początkach powstania, przedstawiał mu, że Mikołaj układać się nie może, że przeto wojna jest nieunikniona i że Rosya więcej niż sto

¹⁾ Prądyński: *Pamiętniki*, III, str. 53.

²⁾ *Przegląd Polski*, 1882, III.

tysięcy dobrego wojska wystawić nie zdoła, on odpowiedział: „Co ty mówisz? Przymaszeruje ich trzysta tysięcy, a wiesz co, gdybyśmy mieli trzykroć a Moskałe tylko sto, jeszcze oni zwyciężą — wiesz dlaczego, oto dlatego, że oni mają cesarza, a my nie“¹⁾).

I przewidywania jego spełniły się niestety.

Powstanie chorowało od pierwszej chwili na brak władzy i na doktryneryzm konstytucyjny i te choroby zawiodły sprawę narodową do grobu.

Gdy car z Petersburga przysyłał plany, zmieniał naczelnego wodza, generałom kłócącym się między sobą nakazywał milczenie i groził hańbą, u nas wszelkie wykroczenia i niedbalstwa uchodziły bezkarnie. Dybicz po zwycięstwie ostrołęckiem otrzymał surowe upomnienie, a następnie demisyę — Skrzynecki, stoczywszy „haniebną bitwę“, nie tylko pozostał przy dowództwie, ale stał się przedmiotem nadzwyczajnych owacyj, sięgał po dyktatorską władzę, groził obaleniem Rządu.

¹⁾ Chłapowski, str. 6.

Dr. August Sokołowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BUDŻET KRAJOWY.

(Ciąg dalszy).

II.

Najważniejszą częścią rachunków kupieckich jest bilans, wykazujący stan majątku w danej chwili. Spis dochodów i rozchodów stanowi właściwie tylko załącznik do bilansu, objaśniający bliżej zysk lub stratę, w bilansie zapisaną. Rachunki ciąż prawnopublicznych, czyli związków społecznych, opartych na przymusowej przynależności ich współuczestników, a więc państw, powiatów, krajów, gmin, składają się także z wymienionych dwóch głównych pierwiastków. Ale ich wzajemny stosunek jest odwrotnym. Spis publicznych dochodów i rozchodów, pobranych, względnie uskuteczniionych w czasokresie, z którego rachunki są sprawozdaniem, wysuwa się na plan pierwszy, uchodzi bowiem za ważniejszy. Różni się od rachunków kupieckich i innych przedsiębiorstw prywatnych, ponieważ celem jego nie jest wykazanie czystych zysków, względnie strat. Zdarza się, że zamiar ich wykazania znajduje wyraz w zestawieniu dochodów i rozchodów publicznych, ale i wówczas zamiar ów nie jest myślą przewodnią zestawienia. Odgrywa znacznie mniejszą rolę, niż w zestawieniach prywatnych. Zazwyczaj chodzi o wykazanie zysków, względnie straty, tylko w zakresie pewnej części działalności publicznej, n. p. w zakresie przedsiębiorstw, podejmowanych w zamiarze osiągnięcia zysków, a przynajmniej

pokrycia rozchodów ich własnymi dochodami, z przedsiębiorstwa pochodzącymi. Spis dochodów i rozchodów publicznych ma przede wszystkim służyć do stwierdzenia sposobu zużycia dochodów podatkowych. Wobec tego głównego celu wykaz majątku i zmian w jego stanie, złożony w rachunkowości prywatnej ściśle z chęcią dokładnego wypośrodkowania wzrostu lub ubytku majątkowego, czyli zysku lub straty, w rachunkowości publicznej staje się czynnikiem drugorzędym.

Zamknięcia rachunkowe, przedkładane przez Wydział Krajowy Sejmowi, nie stanowią wyjątku od tej reguły. Są przede wszystkim spisem gotówkowych dochodów i rozchodów. Nie brak jednak zestawień majątkowych. W następnych ustępach tego rozdziału będę się starał przedstawić możliwie najkrócej i najjaśniej sposoby rachunkowego zestawiania przez Wydział Krajowy dochodów i rozchodów. Na ich spisie opierają się obliczenia majątkowe. Spostrzeżenia, poczynione przy sposobności rozpatrywania zestawień, zawierających wykazy dochodów i rozchodów kraju, posłużą do oceny obliczeń majątkowych. — Podstawą rachunkowości krajowej nie jest zasada jedności budżetu i rachunków. Jest nią zasada odrębnych funduszków. Jej istota i ocena stanowi treść ustępu pierwszego (A): z metody rachowania funduszami wynikają, nią się tłumaczą inne charakterystyczne właściwości krajowych zamknięć rachunkowych. To też znacznie krócej przedstawiłem rzecz o zapisywaniu *brutto*, czy *netto* wyników cyfrowych gospodarki skarbowej (B) i o fikcyjnych pozycjach (C). W ustępie czwartym opracowałem sposoby obliczania majątku i długu krajowego.

Opracowałem przede wszystkim główne roczne sprawozdanie o „zamknięciu rachunków funduszków krajowych“, przedkładane Sejmowi przez Wydział Krajowy, a obejmujące kilkaset funduszków, złożonych na końcu w ogólne zestawienie. Istnieją nadto osobne roczne sprawozdania rachunkowe Wydziału Krajowego o jednym lub co najwyżej kilku funduszach, przynależnych do siebie ze względu na cel wydatku, a opuszczonych w głównym sprawozdaniu. Pomijam rachunki, znajdujące się w sprawozdaniach Wydziału Krajowego z czynności jego departamentów i biur lub z czynności

w poszczególnych sprawach przezeń załatwianych, których głównym celem nie jest cyfrowe przedstawienie skarbowego biegu wypadków. Są to rachunki zawarte także w głównym zamknięciu rachunków nieraz bardziej ogólnikowo lub bez pewnych uzupełnień, które są potrzebne w sprawozdaniu z czynności. Zachodzą różnice między obu rachunkami, zapewne pochodzące stąd, że obejmują różne czasokresy: zamknięcia rachunkowe lata kalendarzowe, a sprawozdania z czynności często lata inne, n. p. czas od 1 lipca do 30 czerwca roku następnego. Podwójne rachowanie wedle różnych czasokresów uważam za niewłaściwe, przysparza bowiem pracy i utrudnia rozejrzenie się w rachunkach krajowych. — Opracowania krajowych zamknięć rachunkowych, względnie budżetów z lat ostatnich, znajdują się w wydawnictwach Ministerstwa skarbu i Centralnej komisji statystycznej. Będzie o nich pokrótce mowa, jak również o dawniejszych opracowaniach, dokonanych przez Krajowe Biuro statystyczne.

Uwagi moje o sposobie układania krajowych zamknięć rachunkowych popieram przykładami, zaczerpniętymi przede wszystkim z zamknięcia rachunkowego za rok 1910. Wyjątkowo tylko sięgam wstecz. W chwili, gdy pisałem sprawozdanie o zamknięciu rachunków za rok 1911 jeszcze nie było wydrukowane. Otrzymałem je jednak dzięki uprzejmości posła Dr. Stefczyka przed oddaniem rękopisu do druku. To też mogłem tu i ówdzie uzupełnić rękopis powołaniem się na zamknięcie rachunków za rok 1911. Sposób układania zamknięć rachunkowych nie uległ zmianie w ciągu ostatnich kilkunastu lat, o ile chodzi o zasadnicze kwestye, do których ograniczyłem się, pisząc moje studyum.

A) Zasada funduszków.

Mąż daje żonie 400 koron miesięcznie. Trzysta na pokrycie kosztów gospodarstwa domowego, na wyżywienie rodziny i służby, sto na zakupno ubrania i obuwia dla żony i dzieci. Żona posiada pudełko o dwóch przegródkach. Do jednej kładzie z początkiem miesiąca 300 koron (fundusz A), do drugiej sto (fundusz B). Z powodu drożyzny kwota 300 koron, przeznaczona na gospodarstwo domowe, okazała się

niewystarczającą. Żona wydała na ten cel w ciągu miesiąca o 95 koron więcej, które „dopożyczyła“ z drugiej przegródki. Z powodu zużycia dawniejszych, kupiła nowych ubrań dla siebie i dzieci za sto koron na kredyt. W ostatecznym wyniku stan majątku małżeństwa pogorszył się o 95 koron. Rachując metodą funduszków, mamy przed sobą dwa rachunki odrębne. Z pierwszego dowiadujemy się, że z końcem miesiąca fundusz A winien funduszowi B 95 koron, a fundusz B posiada gotówką 5 koron, wierzytelność 95 koron do funduszu A i dług stu koron u krawca. Że ogólny stan majątku pogorszył się o 95 koron, to nie jest nigdzie napisane, ale w tym najprostszym wypadku łatwo tę cyfrę wyliczyć z dwóch rachunków, z których każdy przedstawia stan jednego funduszu. Gospodarstwa jednostek rozpadają się na poszczególne części w miarę różnych celów, które sobie jednostki zakreślają. Rachunek funduszami jest szeregiem obrazów, odzwierciedlających zmiany w stanie majątkowym każdej z poszczególnych części gospodarstwa — jest zestawieniem dochodów i wydatków danej osoby fizycznej lub moralnej (n. p. kraju), przez nią pobranych lub poniesionych dla osiągnięcia pewnego, określonego, z pośród innych wyodrębnionego celu. Słowo „fundusz“ oznacza nie tylko część gospodarstwa. Wydział Krajowy używa go w swoich rachunkach także i w innem znaczeniu. Wydział Krajowy przechowuje w kasach kraju cudze majątki. Zestawia w osobnych rachunkach wszystkie dochody i wydatki, o ile uskutecznione zostały przez Wydział Krajowy na rzecz jednostki gospodarczej, której zasoby znajdują się w całości lub częściowo w ręku Wydziału Krajowego.

Przypatrzmy się skutkom metody, polegającej na rachowaniu odrębnymi funduszami.

Wydział Krajowy przedkłada rokrocznie Sejmowi „zamknięcie rachunków funduszków krajowych“. Zamknięcia z lat ostatnich, to olbrzymie tomy, obejmujące tysiąc kilkaset stron w formacie dużej ósemki. Rozpadają się na trzy działy:

A) Fundusz krajowy i zakładów krajowych, oraz fundusze budżetem objęte.

B) Fundusze dotowane.

C) Fundusze samoistne.

W r. 1910 wpisał Wydział Krajowy do działu C) 273 „funduszków stypendyjnych“, 89 „funduszków dobroczynnych“ (posługując się terminologią Wydziału Krajowego), depozyta różnego rodzaju i kilka innych funduszków. Fundusze wszystkich trzech działów nazywa Wydział Krajowy funduszami „krajowymi“ i wszystkie włącza do ogólnych zestawień majątku krajowego.

Wedle powszechnie przyjętej terminologii, fundusz „krajowy“ oznacza fundusz, stanowiący własność kraju. Wydział Krajowy wychodzi z innych założeń. Do funduszków „krajowych“ wlicza wszelkie fundusze, znajdujące się w jego przechowaniu, a więc także i cudze, nie będące własnością kraju. (Dział C). Konsekwentnie należałoby nie liczyć do funduszków „krajowych“ kwot, należących do kraju, ale wypożyczonych osobom trzecim. Wydział Krajowy tego rodzaju pozycje zapisuje do stanu czynnego funduszków „krajowych“ zgodnie z powszechną praktyką i terminologią.

Nie można uważać funduszków, włączonych do działu C, za fundusze krajowe, za majątek kraju. Ich część stanowi niewątpliwy dług kraju. Mam na myśli depozyta, kaucyje, wadya etc., złożone w Kasie krajowej, a wykazane w dziale C pod nazwą funduszków krajowych i wliczone do majątku krajowego, aczkolwiek na skarbie krajowym ciąży niezaprzeczalny obowiązek ich zwrotu. Mogłaby zachodzić wątpliwość, czy funduszków stypendyjnych i dobroczynnych nie należałoby zaliczyć do funduszków krajowych? Niektóre z nich są także depozytami, przechowywanymi przez kraj, który ma obowiązek zwrócić je każdej chwili na żądanie ich właścicieli (efekta funduszu pomnika Kościuszki — zamknięcie rachunków za rok 1910, str. 1051). Innych funduszków działu C kraj nie ma obowiązku zwracać, ale nie może nimi dowolnie rozporządzać. Zawiaduje nimi za pośrednictwem Wydziału Krajowego w myśl woli fundatorów. Jest za nie odpowiedzialnym. Jeżeli by *per maxime inconcessum* skradziono je, na kraju ciąży obowiązek zwrotu, podczas gdy nie ciąży na nim prawny obowiązek zwrotu Kasie krajowej skradzionych pieniędzy podatkowych, ponieważ są jego własnością, a fundacye cudzą, jemu powierzoną. Fundusze działu A i B („administracyjne“, jak je nazywa jeden z niemieckich pisarzy,

w przeciwstawieniu do funduszków, które są fundacyami), powołała do życia ustawa lub zarządzenia władz krajowych, uprawnionych do ich zniesienia, ale nieuprawnionych do rozstrzygania o bycie fundacyj, stworzonych wolą fundatorów, choćby fundatorem był kraj. Nazwa „fundusze samoistne“ daje wyraz właściwej im niezależności od władz krajowych, które zarządzają nimi, ale jedynie w granicach niezmiennego aktu fundacyjnego. Fundacje stypendyjne i dobroczynne, przechowywane przez Wydział Krajowy, służą celom publicznym. Nie są własnością prywatnych jednostek, ale też nie są własnością kraju. Mają swój odrębny byt.

Niech mi wolno będzie poprzeć moje zapatrywanie powagą Wydziału Krajowego. Na str. 8 zamknięcia rachunków za rok 1910 czytamy: „Pierwsze dwa działy A i B przedstawiają wyniki gospodarki funduszków, będących przedmiotem uchwał budżetowych Wysokiego Sejmu, zaś dział C daje osobny obraz ruchu funduszków samoistnych, administrowanych¹⁾ tylko przez Wydział Krajowy“. Sejm wydaje Wydziałowi Krajowemu absolutorium z rachunków działów A i B. Rachunki działu C tylko przyjmuje do wiadomości. Dział C jest wyodrębniony, ale nie jest całkiem „osobnym obrazem“. Wydział Krajowy w ogólnym zestawieniu wlicza fundusze samoistne do majątku krajowego. Nacisk na okoliczność, że dział C jest „tylko administrowany przez Wydział Krajowy“, nie wydaje mi się ze wszech miar trafnem uwydatnieniem różnicy między działem C, a działami A i B. Także działy A i B są „tylko administrowane przez Wydział Krajowy“. Różnica leży w czem innem. W dziale A i B zdaje Wydział Krajowy rachunkowo sprawę z zarządu funduszami, które przeważnie²⁾ stanowią własność kraju i które przeważnie są zarządzane przez jego organa, przez Wydział Krajowy, podczas gdy w dziale C mamy do czynienia z funduszami, które nie stanowią własności kraju. Majątki, objęte

¹⁾ Spacyuje Wydział Krajowy.

²⁾ Wydatkami szkolnemi, zamieszczonemi słusznie w krajowych zamknięciach rachunkowych, ponieważ są wydatkiem kraju, zarządza Rada szkolna, a nie Wydział Krajowy.

działem C, nie zawsze są „administrowane“ przez Wydział Krajowy. W niektórych przypadkach Wydział Krajowy zajmuje się tylko ich przechowywaniem, w innych bierze udział w ich zarządzie, nie sprawując wyłącznego zarządu, w najliczniejszych jest istotnie ich zarządcą. Wydział Krajowy odrzucił odrębność funduszków, objętych działem C. Mimo tego, wliczając je wyłącznie do stanu czynnego funduszków krajowych, daje obraz rachunków wprost sprzeczny z rzeczywistością.

Czyżby więc Wydział Krajowy powinien zaniechać przedkładania rokrocznie Sejmowi sprawozdania o stanie finansowym fundacyj i depozytów przezeń zarządzanych lub przechowywanych? Czyż nie jest jego obowiązkiem zdawać publicznie sprawę z kwot jemu powierzonych? Dzięki jawności, przestrzeganej przez Wydział Krajowy, Sejm i cała opinia publiczna mają sposobność wejrzeć w działalność Wydziału Krajowego na tem polu, co przecie jest objawem dodatnim i pożądanym.

Doroczne zamknięcia rachunków państwowych w Austrii nie obejmują fundacyj, zarządzanych przez państwo¹⁾. Uważam ten sposób postępowania za niewłaściwy. Miasto Kraków także zarządza szeregiem fundacyj dobroczynnych. Wykazuje je osobno, ale nie podaje żadnego ogólnego zestawienia, skutkiem czego rachunki miejskie nie dają poglądu na całość funduszków, znajdujących się z końcem roku w ręku miasta. Wydział Krajowy trafnie postępuje, zdając sprawę z zarządu i przechowywania w kasach krajowych obcych funduszków. Postępuje trafnie, wciągając je do ogólnego zestawienia. Błąd leży w wyłącznem zapisywaniu ich po stronie czynnej. Powinny znaleźć się równocześnie po stronie biernej w tej samej wysokości. Wówczas mielibyśmy do czynienia z zestawieniem ogólnem, obejmującym całość obrotów w Kasie krajowej, a zarazem z prawdziwym obrazem ma-

¹⁾ Schematyzm, wydawany corocznie przez c. k. Namiestnictwo, zawiera wykaz majątkowy fundacyj przez namiestnictwo zarządzanych, bez ogólnego zliczenia majątku wszystkich fundacyj.

jątku krajowego, t. j. stanowiącego własność kraju (por. rozdz. II, D).

Chcąc sobie zdać należycie sprawę ze stanu skarbu krajowego, trzeba pominąć cały dział C zamknąć rachunkowych, przedkładanych Sejmowi przez Wydział Krajowy. Z zestawień ogólnych, zawartych w zamknięciach rachunkowych, trzeba wykreślić cyfry, pochodzące z działu C.

Fundusze samoistne działu C obejmują nieraz kwoty znaczne, jak na nasze stosunki. Obejmują Ossolineum, fundacyę hr. Baworowskich, liczne stypendya, a więc posterunki pierwszorzędnego znaczenia dla rozwoju naszej kultury. Ministerstwo skarbu wyraża mniemanie, że rachunki nie są zupełne¹⁾. Rozbiór tej kwestyi byłby w wysokim stopniu pożądanym.

Wydział Krajowy przedkłada Sejmowi osobne zamknięcie rachunków wielkiej, największej z istniejących w kraju, fundacyi hr. Skarbka w Drohowyżu, której Wydział Krajowy jest jednym ze współzarządców. Fundacya hr. Skarbka jest wyłączona zapewne dlatego z ogólnego zamknięcia rachunków krajowych, ponieważ Kasa krajowa nie przechowuje jej majątku ani w całości, ani w części.

Doroczne sprawozdania Wydziału Krajowego o zamknięciu rachunków funduszków krajowych zaliczają do funduszków krajowych dochody i wydatki, które nie są dochodami i wydatkami kraju (Dział C). To jest drobnostką w porównaniu z trudnościami w ocenie prawdziwego stanu finansów krajowych, wynikającemi z pominięcia w sprawozdaniu pewnej części dochodów i wydatków krajowych.

Wydział Krajowy przedkłada Sejmowi osobno zamknięcie rachunkowe funduszków propinacyjnych, które wywarły doniosły wpływ na rozwój wypadków finansowych. Ich zarząd spoczywał do niedawna w ręku Namiestnictwa. Kasa krajowa

¹⁾ *Die Landeshaushalte*, zeszyt XVI, str. 14 i 15. W r. 1912 komisya budżetowa Sejmu galicyjskiego wyraziła zapatrywanie, że zachodzi potrzeba przedstawiania w sposób odmienny od dotychczasowego rachunków fundacyi Baworowskich. Wydział Krajowy w zamknięciu rachunków za rok 1911 uczynił zadosyć życzeniu komisyi budżetowej.

nie pobierała dochodów i nie skuteczniała wypłat propinacyjnych. W r. 1911 kraj objął ich zarząd. Odtąd stanowią część Kasy krajowej. Były przedtem i są dziś własnością kraju. Nadwyżką ponad kwotę potrzebną do zapłaty krajowych długów propinacyjnych kraj dowolnie rozporządza. Zużył ją (są to t. zw. długi funduszu krajowego w funduszu propinacyjnym, dziś już umorzone uchwałą Sejmu) na bieżące potrzeby krajowe — jeden dowód więcej, że są własnością kraju ¹⁾).

Zamykając rachunki za rok 1911, Wydział Krajowy włączył galicyjski fundusz propinacyjny do działu C — oczywiście najniewłaściwiej w świecie, ponieważ chodzi o majątek kraju, a nie osób trzecich, których majątek dział C wyodrębnia i przeciwstawia majątkowi, dochodom i rozchodom kraju, objętym działami A i B. Wprawdzie także i w ich obrębie niema miejsca dla galicyjskiego funduszu propinacyjnego, ale z tego wynika jedynie konieczność utworzenia dlań działu D, a nie włączenia go do działu C.

Wydział Krajowy przedkłada osobne sprawozdanie Sejmowi o zamknięciu rachunków krajowego funduszu solnego, którego znaczne dochody i wydatki stanowią dziś i stanowiły od pierwszej chwili utworzenia tego funduszu część dochodów i wydatków krajowych bezpośrednio przez kraj uskutecznianych. Fundusze samoistne działu C włącza Wydział Krajowy do swoich zamknięć rachunkowych na tej podstawie, że stanowią część Kasy krajowej. Czemuż wyłącza z nich część swoich własnych zasobów, także w Kasie krajowej przechowywanych?

Zamknięcia rachunkowe osobno przedkładane są zestawiane wedle zasad niezgodnych z przyjętymi w głównem zamknięciu rachunków, co w wysokim stopniu utrudnia uzupełnienie cyfr, zawartych w głównem zamknięciu rachunków cyframi, zaczerpniętymi z zamknięć osobno przedkładanych. I tak zamknięcie rachunków funduszu solnego jest spisem

¹⁾ Fundusze propinacyjne, o których mowa, należy ściśle odróżnić od »funduszków propinacyjnych 37 miast«, zarachowanych w dziale C krajowych zamknięć rachunkowych, nie stanowiących własności kraju.

bieżących dochodów i wydatków bez wyszczególnienia majątku, zazwyczaj osobno wykazywanego w głównym zamknięciu rachunków funduszy krajowych, o którym była mowa na początku tego rozdziału.

Wydział Krajowy w r. 1910 miał do rozporządzenia na pokrycie niedoboru z tytułu dawniejszych pozostałości kasowych i nowo zaciągniętych pożyczek przeszło 15 milionów koron, ale do dochodów nie wpisał całej kwoty, znajdującej się w Kasie i stanowiącej własność kraju. Wpisał tylko 11,755.250 koron, t. j. kwotę, wystarczającą do pokrycia rachunkami wykazanego niedoboru za rok 1910. Pozostałe 3.629 miliony koron przeniósł, jak świadczy przedmowa do zamknięcia rachunków, na rachunek lat następnych, ale pominął je w zestawieniach cyfrowych. Kwota ta powstała z pożyczek, zaciągniętych na pokrycie niedoborów krajowych, a zapisanych w całości w stan bierny. Jest rzeczą jasną, że z końcem roku 1910 rzeczywisty majątek kraju był o tę kwotę większy od wykazanego w ogólnem zestawieniu. Okazuje się więc, że główne, największe zamknięcie rachunkowe, przedkładane Sejmowi przez Wydział Krajowy, obejmuje fundusze cudze, ale nie obejmuje wszystkich funduszy, stanowiących własność kraju, ani nawet nie obejmuje wszystkich funduszy, zarządzanych przez kraj i stanowiących część Kasy krajowej (fundusz solny).

Także w obrębie działów A i B, któremi chcę się zająć z kolei rzeczy, zawierają bowiem lwią część dochodów i wydatków kraju, metoda rachowania funduszami jest przeprowadzona w sposób, utrudniający rozejrzenie się w rzeczywistym stanie skarbu krajowego.

Zamknięcie rachunków za rok 1910 obejmuje 525 funduszy rachunkowo wyodrębnionych ¹⁾, z czego 368 przypada na dział C. Fundusze w dziale C są własnością osób trzecich, przeważnie moralnych. Tylko co do niektórych mogłyby zachodzić wątpliwości, czy nie są przypadkiem własnością kraju? Wydział Krajowy nie uważa ich za własność kraju; właśnie dlatego wpisał je do działu C, zawierającego

¹⁾ Zamknięcie rachunków za rok 1911 obejmuje 540 funduszy.

fundusze, nie stanowiące własności kraju. Natomiast fundusze, w dziale A i B wymienione, są prawie wszystkie własnością kraju. Jeden z nich, a mianowicie t. zw. „fundusz krajowy“, odgrywa rolę łącznika pomiędzy nimi. Wszystkie inne fundusze działu A i B są z nim mniej lub więcej związane, podczas gdy fundusze działu C są samoistne, nie wchodzą bowiem w styczność ani między sobą, ani z funduszem krajowym.

W dziale A metoda rachunkowego wyodrębniania funduszków występuje w formie zasadniczo uprawnionej dlatego, że wyodrębnienie jest zatarte przez włączenie do pierwszego funduszków pozostałych. Na pierwszym miejscu opracowanym jest „fundusz krajowy“. Także i inne fundusze, działem A i B objęte, są krajowe. Chodziłoby więc o fundusz krajowy w znaczeniu ściślejszem, obejmujący wszystkie dochody i wydatki innych funduszków, włączonych do działu A. W funduszu krajowym w znaczeniu ściślejszem są one zapisane ryczałtowo w dwóch cyfrach, w jednej, obejmującej wszystkie dochody, w drugiej, obejmującej wszystkie rozchody. Rachunki funduszków dalszych zawierają bliższe wyszczególnienie w szeregu pozycji tego wszystkiego, co się złożyło na ryczałtowe cyfry, podane w funduszu krajowym. Z zamknięcia rachunkowego funduszu krajowego za rok 1910 dowiadujemy się, że wydatki zwyczajne na cele Dublańskiej Akademii rolniczej wynosiły 264, nadzwyczajne 22, a dochody 119 tysięcy koron (str. 166 i 210 — setki opuszczam). Dział A zawiera osobny rachunek funduszu: Akademia rolnicza w Dublanach, w którym te same wydatki wyszczególnione są w 53 pozycjach rozchodowych, a w 9 dochodowych (str. 420 i nast.). Obok rachunków funduszami poszczególnymi, istnieje zestawienie całokształtu działalności gospodarczej.

Nie można tego samego powiedzieć o dziale B, o t. zw. funduszach dotowanych. Przez dotację rozumieć należy kwotę zazwyczaj stałą, z góry na szereg lat przeznaczoną na cele w uchwale przewidziane. Gdyby cała dotacja nie została wydana w ciągu roku, należy pozostałą resztę odłożyć, utworzyć z niej osobny fundusz, z którego możnaby czerpać w latach następnych oczywiście tylko na cele przez Sejm wska-

zane. W rubryce VIII poz. 10 wydatków funduszu krajowego w znaczeniu ściślejszem (str. 126 zamknięcia rachunkowego za rok 1910) czytamy, że w r. 1910 kraj wydał 100.000 koron tytułem dotacyi dla funduszu pożyczkowego drogowego, z którego Wydział Krajowy udziela wydziałom powiatowym bezprocentowych pożyczek na budowę dróg. Str. 662 i nast. tegoż zamknięcia rachunkowego zawierają sprawozdanie ze stanu przed chwilą wymienionego funduszu pożyczkowego. Wydział Krajowy udzielił pożyczek wydziałom powiatowym w łącznej kwocie 297.200 koron. Z czego? Wydział Krajowy zapisuje w dochodach funduszu pożyczkowego 194.289-05 kor., pochodzących prawie wyłącznie ze zwrotu pożyczek dawniej udzielonych, a niezapisanych w dochodach funduszu krajowego w znaczeniu ściślejszem. Nadto w dochodach funduszu pożyczkowego Wydział Krajowy zapisał 100.000 kor., które wpisał w rozchód funduszu krajowego w znaczeniu ściślejszem. Brakujących kilka tysięcy pokrył, umniejszając o tę kwotę dług funduszu krajowego, zaciągnięty w funduszu pożyczkowym drogowym. W latach poprzednich kwoty, rachunkowo wydatkowane na pożyczki drogowe w funduszu krajowym, nie zostały rzeczywiście w całości wydane na ten cel, skutkiem czego pozostała reszta kasowa w książkach. W kasie prawdopodobnie nie było jej w całości, ponieważ pieniądze Wydział Krajowy wydał zaliczkowo na cele nieznanne (*ut infra*). Reszta kasowa funduszu pożyczkowego drogowego, „wypożyczona“ funduszowi krajowemu, jest jedną z licznych pozycji fikcyjnych krajowych zamknięć rachunkowych.

Wydział Krajowy wpisuje dotacje w rozchód funduszu krajowego. Ta sama kwota figuruje w dochodach funduszu dotowanego. Po za tem nie zachodzi żaden związek między funduszem krajowym, a dotowanymi. Rozpatrując bliżej zamknięcia rachunków, odnajdujemy drugi sposób zarachowania w funduszu krajowym funduszków dotowanych, zaliczonych do działu B zamknięcia rachunkowego. W poprzednio rozpatrywanym, pierwszym sposobie zarachowania funduszków dotowanych, nie znajdujemy żadnej kwoty w dochodach funduszu krajowego. Wszystkie dochody tym funduszom właściwe, przeznaczone na uskutecznienie wydatków, dla pokrycia których fundusze dotowane powołane zostały do życia, figurują

jedynie w dochodach funduszków dotowanych wraz z dotacją kraju. Inna jest praktyka, gdy chodzi o kilkadziesiąt funduszków przedsiębiorstw melioracyjnych. W dochodach funduszu krajowego Wydział Krajowy zapisuje zasiłki, przeznaczone przez państwo na pokrycie kosztów przeprowadzenia poszczególnych przedsiębiorstw melioracyjnych. W rozchodach zapisuje dotację kraju i zasiłek rządu. Oczywiście obie pozycje figurują także w dochodach funduszków dotowanych. Prócz nich znajdujemy w dochodach funduszków dotowanych inne dochody tychże funduszków, nie wciągnięte do dochodów, a więc także pominięte w rozchodach funduszu krajowego, na które składają się w pierwszym rzędzie datki konkurencyjne stron bezpośrednio interesowanych. Koszta przedsiębiorstw melioracyjnych ponoszą częściowo właściciele gruntów, na których Krajowe Biuro melioracyjne przeprowadza roboty wspólnym kosztem rządu, kraju i stron interesowanych.

Drugi sposób zarachowywania funduszków dotowanych jest bliższym zasady budżetowania *brutto*, ponieważ daje pełniejszy obraz ogółu dochodów, wpływających do Kasy krajowej na cele kraju. Stósując pierwszy sposób, wszystkie dochody własne funduszków dotowanych (z wyłączeniem dotacji, którą wpisuje Wydział Krajowy w rozchody funduszu krajowego) znajdujemy jedynie w rachunkach funduszków dotowanych. Niema ich całkiem w rachunku funduszu krajowego. Nie stanowią więc części ogólnego obrazu dochodów i rozchodów, którym powinien być fundusz krajowy w myśl zasady jedności budżetu i rachunków. Drugi sposób wprowadza część dochodów własnych funduszków dotowanych do dochodów, oczywiście także w tej samej kwocie do rozchodów funduszu krajowego. W ten sposób ta część staje się częścią składową obrazu ogólnego, a raczej do ogólnego z tych, któremi rozporządzamy, najbardziej zbliżonego. Słabą stroną tej metody jest jej połowiczność. Włączenie do dochodów funduszu krajowego tylko pewnej części dochodów dotowanych jest nieuzasadnione i dowolne. W myśl zasady budżetowania *brutto*, stósowanej, gdy chodzi o włączenie do funduszu krajowego innych funduszków, stanowiących część działu A, należałoby wszystkie dochody funduszków dotowa-

nych wpisać do dochodów (równocześnie w tej samej wysokości do rozchodów) funduszu krajowego. Połowiczna metoda Wydziału Krajowego jest nieuzasadniona także i z powodu swej dowolności. Dlaczego ta, a nie inna część dochodów funduszy dotowanych ma być wpisywaną do funduszu krajowego? Mógłby ktoś powiedzieć, że chodzi o wykazanie w funduszu krajowym wysokości zasiłków rządowych, udzielanych na poszczególne cele. Wydział Krajowy nie trzyma się konsekwentnie tej zasady. Jak wiemy, fundusz krajowy obejmuje w jednej ryczałtowej cyfrze wszystkie dochody każdego z funduszy do działu A zaliczonego. Niejednokrotnie ryczałty te zawierają w sobie zasiłki rządowe n. p., wypłacane na rzecz krajowych szkół rolniczych, osobno w funduszu krajowym nie wyszczególnione (wyszczególnione jedynie w rachunkach funduszy). Drugi sposób zarachowania w funduszu krajowym funduszy dotowanych jest nieuzasadnionym, ponieważ wprowadza niepożądaną różnorodność do rachunków. Koniecznym warunkiem ich przejrzystości jest możliwie największa jednolitość sposobów rachowania. Wydział Krajowy bez żadnej potrzeby rachunki funduszy dotowanych prowadzi w sposób dwojaki. Stósuje oba sposoby dowolnie. Nie kieruje się żadną zasadą w wyborze jednego lub drugiego.

Rozpatrywałem dwa sposoby zarachowania funduszy dotowanych. W jednym i w drugim przypadku istnieje pewna łączność między funduszem dotowanym a funduszem krajowym w znaczeniu ściślejszem, polegająca na tem, że część dochodów funduszu dotowanego znajduje się w rozchodach (sposób pierwszy), ewentualnie w dochodach i rozchodach funduszu krajowego (sposób drugi). Zająć może z biegiem czasu zupełne zerwanie łączności między funduszem krajowym a funduszem dotowanym. W chwili powstania funduszu dotowanego istnieje prócz rzeczywistej także i rachunkowa łączność, wyrażająca się conajmniej w zapisywaniu dotacji w rozchód funduszu krajowego. Z chwilą, gdy w latach następnych kraj zaprzestanie wyznaczania dotacji na rzecz funduszu dotowanego, dotacya zniknie z rozchodów funduszu krajowego, ale fundusz i jego rachunek mogą, choć nie muszą, istnieć dalej. Jeżeli dotacye z lat poprzednich

nie zostały wydane w całości, wówczas rozporządza Wydział Krajowy pozostałościami, z których może czynić wydatki na zaspokojenie potrzeb, już poprzednio pokrywanych z zasobu funduszu dotowanego. Prócz pozostałości kasowych Wydział Krajowy może rozporządzać dochodami własnymi funduszków dotowanych, wpływającymi także i nadal niezależnie od wyznaczenia dotacyi ze skarbu krajowego. Mogą więc istnieć dochody i rozchody funduszu dotowanego, które są dochodami kraju, które nie znajdują najmniejszego wyrazu w rachunkach funduszu krajowego. Wówczas fundusz dotowany i fundusz krajowy istnieją obok siebie, już niczem nie związane — wypadek rzadki, ale przecie nie zupełnie obcy zamknięciu rachunków z r. 1910.

W miarę porostania w pierze fundusz dotowany przestaje być ciężarem kraju. Kto wie, czy z biegiem czasu nie stanie się dlań źródłem dochodów? Można sobie pomyśleć świadczenia funduszu dotowanego, przeznaczone na pokrycie ogólnych wydatków krajowych. Zdaje mi się, że galicyjskie fundusze dotowane czerpią z funduszu krajowego, ale nie zasilają go. Jedynie fundusze propinacyjny i solny skuteczniały wpłaty do funduszu krajowego na pokrycie wydatków krajowych, nie mających nic wspólnego z propinacją i z solą. Chodzi tu o fundusze, które mają własne dochody ze sprzedaży soli i wydzierżawiania prawa sprzedaży napoi gorących, które nie pobierały dotacyi z funduszu krajowego. Powstały niezawisłe od niego, a dziś są w stosunku doń funduszami „dotnjącymi“.

Prócz funduszków dotowanych, wyraźnie przez Wydział Krajowy wymienionych, istnieją inne fundusze dotowane. Nazywam je dotowanemi, ponieważ sposób ich zarachowania w funduszu krajowym jest identyczny w głównych zarysach ze sposobem zarachowania w nim funduszków, dotowanemi przez Wydział Krajowy nazywanych. Sejmowi przedkłada Wydział Krajowy osobne zamknięcie rachunków funduszków przeznaczonych na restaurację zamku królewskiego na Wawelu. Nie wspomniałem o nim wtedy, gdy była mowa o zamknięciach rachunkowych, przedkładanych po za głównem zamknięciem rachunków funduszków krajowych, ponieważ jest powtórzone w przypiskach do głównego zamknięcia rachunków

(wydrukowanych pod nagłówkiem: „Uzasadnienie różnie“ — str. 93 zamknięcia rachunkowego za rok 1910), a mianowicie w przypisku czy w uwadze do poz. 12 rubr. VI wydatków r. 1910 funduszu krajowego. W pozycji tej zamieszczona jest dotacya kraju i dworu (po 100.000 kor.). Dotacya dworu powtarza się w tej samej wysokości w dochodach tej rubryki¹⁾. Mamy więc do czynienia z drugim sposobem zarachowania funduszy dotowanych. Dlaczego tego funduszu nie znajdujemy wśród funduszy dotowanych? Dlaczego przybrał kształt przypisku? Tą drogą idąc, możnaby wszystkie fundusze dotowane wydrukować w formie przypisków. Znowu napotykamy na objaw dowolności rachunkowej. Może nadanie temu funduszowi formy przypisku jest wynikiem dążenia do zmniejszenia nadmiernie wielkiej liczby funduszy? W takim razie byłby to przejaw dobrych chęci. Szkoda, że tym sposobem liczba funduszy dotowanych zmniejsza się tylko pozornie. Forma przypisku nie zmieni faktu, że rzeczywista liczba funduszy dotowanych jest wyższa od wykazanej przez Wydział Krajowy.

Dzieje się to także i z tego powodu, że Wydział Krajowy cały szereg pozycji funduszu krajowego w znaczeniu ściślejszem wpisuje do zamknięć rachunkowych wedle zasad stosowanych w dziale B, tam, gdzie chodzi o fundusze *expressis verbis* dotowanymi nazwane. — Zamknięcie rachunków Wydziału Krajowego obejmuje osiem kolumn. Dwie pierwsze — to liczby rzymskie rubryk, których nazwa (n. p. sprawy zdrowotne) jest napisem poszczególnych stron, i liczby arabskie pozycji. Kolumna trzecia zawiera nazwę pozycji, określającą źródło dochodów, względnie przeznaczenie wydatków (t. zw. „poszczególnienie“ pozycji). Napis kolumny czwartej opiewa: „Wydatki w roku...“ albo „Dochody w roku...“ Kolumna piąta wykazuje kwotę budżetem uchwaloną (względnie kredyty dodatkowe). Kolumna szósta i siódma są zestawieniem dwóch poprzednich. Jeżeli z ich porównania okaże się wydatek mniejszy od budżetem przyzwołonego, rachmistrze Wydziału Krajowego wpisują różnicę do szóstej kolumny, do siódmej

¹⁾ Cyfry sumaryczne funduszu krajowego obejmują tylko te cyfry, a nie inne, zawarte wyłącznie w przypisku.

w przeciwnym przypadku. Jeżeli kolumna piąta i szósta są zupełnie zgodne, wówczas szósta i siódma pozostają niewypełnione. Napis tych kolumn brzmi: „W porównaniu z kwotą budżetem uchwaloną okazują się wynikłości mniejsze lub większe“. Dlaczego przewidywania budżetowe różnią się od rzeczywistości? Na to pytanie daje odpowiedź kolumna ósma: „Uzasadnienie różnic“. Napis za ciasny. Znajdujemy tam nie-raz wytłomaczenie uderzającej, ale tylko pozornej, zupełnej zgodności kolumny czwartej i piątej, czyli rzeczywistości i przewidywań. Znajdujemy tam także różnego rodzaju przypiski i uwagi, objaśniające poszczególne pozycje. O jednym z nich wspomniałem poprzednio (koszta odnowienia zamku na Wawelu). W kolumnie ósmej niejednokrotnie Wydział Krajowy wprowadza na widownię rzeczywiste dochody i wydatki kraju nie objęte ostatecznymi sumami dochodów i wydatków, wylizczanymi wyłącznie z cyfr kolumny czwartej, co oczywiście ogromnie obniża wartość cyfr kolumny czwartej i ich sum — co obniża w dalszym ciągu wartość całego zamknięcia rachunkowego.

Jakim sposobem Wydział Krajowy doszedł do fikcyjnych wpisów w kolumnie czwartej i do cyfr kolumny ósmej? Są one w jej obrębie istną niespodzianką. Wedle napisu kolumna ósma ma zawierać tylko „uzasadnienie różnic“ wiadomych. Napis jest zapewne wspomnieniem przeszłości, wskazówką, że ongi kolumna była wypełnianą tak, jak nią dziś jeszcze wypełnianą być winna. Rozwiązania zagadki szukać należy w stósowaniu metody rachowania funduszami dotowanymi.

Zdarza się, że Wydział Krajowy wpisuje do kolumny czwartej wydatek rzeczywisty. Kto wie, czy nie częściej trzyma się innej praktyki. Kiedy? Także i pod tym względem panuje zupełna dowolność. Na czem polega odmienna praktyka, niech mi wolno będzie objaśnić przykładem jednym z wielu, które przytoczyćby można. Na str. 178 zamknięcia rachunkowego za rok 1910 czytamy, że wydano w tym czasie na „zasiłki dla szkół gospodyń wiejskich“ 19.500 kor. (kolumna czwarta). Zupełnie ta sama cyfra znajduje się obok w kolumnie piątej, wykazującej cyfry budżetu na rok 1910. Ktoby nie czytał kolumny ósmej, przypuszczałby, że w tej

pozycyi rzeczywistość zupełnie odpowiedziała przewidywaniom budżetu — uważałby cyfrę 19.500 kor. wciągniętą do sumy ogólnych wydatków krajowych za rzeczywisty wydatek w tej pozycyi. Przypisek w kolumnie ósmej opiewa:

„Z kredytu pozostałego w r. 1909	
w kwocie	2.091.78 kor.
oraz uchwalonego w tej pozycyi	
na rok 1910 w kwocie . . .	19.500.00 kor.
razem z sumy	21.591.78 kor.
wydano w ciągu roku 1910 kwotę	21.301.96 kor.
resztę zaś w kwocie	289.82 kor.

przeniesiono do dalszej dyspozycji na rok 1911⁴.

Innemi słowy, Wydział Krajowy zawiadamia o zamiarze skutecznienia wydatku, przez Sejm w budżecie na rok 1910 uchwalonego, w latach następnych — przedłuża upoważnienie budżetowe, udzielone przez Sejm, czyli przenosi kredyt.

Mamy tu do czynienia z zastosowaniem poronionej idei funduszków dotowanych. Wydział Krajowy uważa wiele pozycji budżetowych za dotację. A nawet niejednokrotnie nazywa je dotacjami, aczkolwiek niema o nich wzmianki w obrębie funduszków dotowanych, aczkolwiek uchwały budżetowe Sejmu nie zawierają tego określenia ¹⁾. Wydział Krajowy wpisuje w rzeczywiste wydatki kwoty przewidziane budżetem, a ile naprawdę wydał, można się dowiedzieć, ale nie zawsze, z osobnego rachunku kolumny ósmej. Sposób zarachowania jest ten sam, jak funduszków dotowanych. Analogia wystąpi jeszcze silniej na jaw w przypadkach, w których przypiski wykazują dochody własne danej pozycji wydatków (*contradictio in adiecto*), czasem zarachowane w dochodach funduszu krajowego, czasem niezarachowane, a wówczas w jasnym przeciwieństwie do zasady rachowania *brutto*.

Budżet na rok 1910 przeznaczył 12.000 kor. gwoili wypłaty „rozmaitych zasiłków na podniesienie rolnictwa“ (rozdział rolniczego funduszu dyspozycyjnego). Z zamknięcia ra-

¹⁾ Por. spis treści sprawozdania Wydziału Krajowego w przedmiocie utworzenia krajowego patronatu rękodziel i drobnego przemysłu z r. 1910, a mianowicie nagłówkę allegatu V.

chunkowego za rok 1910 (str. 180, kolumna czwarta) dowiadujemy się o wydaniu na ten cel 12.000 koron. Przypisek opiewa:

„Na rachunek kredytu uchwalonego w tej	
pozycei na rok 1910 w kwocie . . .	12.000·00 kor.
tudzież pobranych do tej pozycei docho-	
dów z wydawnictw rolniczych i innych	
zwrotów ¹⁾ w sumie	3 020·28 kor.
razem z sumy	15.020·28 kor.
wydano w r. 1910	22.065·92 kor.
przekroczenie w kwocie	7.045·64 kor.

znajduje pokrycie“....

Dochodów tych, zapisanych w dziale wydatków, nie znalazłem w dochodach funduszu krajowego.

Metoda rachowania funduszami dotowanemi dała początek wstawiania fikcyjnych wydatków do krajowych zamknięć rachunkowych. Do wywołania tego skutku przyczyniła się zapewne także chęć wykazania zgodności między budżetem a zamknięciem rachunkowem. Zgodność tym sposobem osiągnięta jest oczywiście tylko pozorną. W rzeczywistości kryje w sobie nietylko niezgodność z budżetem, ale nieraz obejście budżetu. Sejm uchwała przez trzy lata z rzędu 10.000 kor. na wydawnictwo podręczników rolniczych lub na inny cel. Wydział Krajowy w zamknięciach rachunkowych za dwa pierwsze lata wpisuje co roku w wydatkach owe 10.000 kor., ale w przypiskach zaznacza, że ich nie wydał, że je przeniósł na rachunek lat następnych. W trzecim roku znowu zapisuje w wydatkach 10.000 kor., ale w przypisku stwierdza wydanie w tym roku 30.000 kor. na wydawnictwa rolnicze. Nie może być mowy w podobnych wypadkach o ściśle wykonaniu uchwał sejmowych, zachodzi bowiem opóźnienie w rozpoczęciu akcji, uznanej przez Sejm za wska-

¹⁾ Wyrażenie zbyt zagadkowe. W rubryce IX: »Budowy wodne i melioracye« znajduję również dochody, ale bardzo znaczne, zupełnie w ten sam sposób zapisane i nazwane zagadkowo, lakonicznie »zwroty«: 114.288 kor. (str. 151), 40.927 kor. (str. 145).

zaną. Zdarza się nietylko opóźnienie, ale zużycie na inny cel, a nie na przewidziany w uchwale sejmowej (*ut infra* rozdz. II C).

Łatwoby było powiększyć liczbę przykładów, świadczących o wpisywaniu fikcyjnych wydatków do zamknięć rachunkowych. Bodaj czy nie większa część pozycji rozchodowych jest fikcyjną z powodu uważania ich za dotacje i zaraćowania w powyżej przedstawionej formie funduszu dotowanego. Wkroczenie na drogę fikcyjnych wydatków doprowadziło do wzbogacenia funduszu krajowego fikcyjnemi dochodami. W dochodach rubryki V znajdujemy pozycję 2.000 kor., wyszczególnioną pod nazwą: „niezużyty kredyt z r. 1909 na nagrody konkursowe“ (str. 88 zamknięcia rachunkowego za rok 1910). Wydział Krajowy „wydaje“ w danym roku pewną ilość koron fikcyjnie, to znaczy wpisuje do kolumny czwartej uskutecznienie wydatku, a w przypisku zaznacza przeniesienie całej kwoty rzekomo wydanej lub jej części na rachunek lat następnych. W latach następnych okazuje się, że nie może wydać kwoty przeniesionej na przewidywane cele z tych, czy z innych przyczyn. Nie może jej wydać całkiem, albo może wydać tylko jej część. Kwota ta została wciągniętą ongi do rozchodów, wykazaną w sumie rozchodów krajowych, a przecie *de facto* w całości lub w części jest w kasie. W razie niemożności wydania kwoty pozostałej w kasie, nie pozostaje nic innego, jeno wpisać ją do dochodów ¹⁾. W przeciwnym razie zaszłoby nadużycie kasowe.

¹⁾ W dochodach znalazłem zagadkowy wpis, który nasunął mi podejrzenie, że przebieg wypadków może być inny. Jedna z pozycji dochodowych rubryki »bezpieczeństwo publiczne«, powtarzająca się rokrocznie od lat kilku, opiewa: »Odsetki od kapitału 100.000 kor., złożonego z zaoszczędzeń kwaterunkowego w latach poprzednich«. Kapitał nie jest zapisany w wykazach majątku krajowego. Kwaterunkowe żandarmeryi oplaca kraj do jej rąk. Przypuszczam, że żandarmeryja nie wydala całej kwoty otrzymanej z kasy krajowej i zapisanej w rozchód. Zamiast zwrócić oszczędności krajowi, zachowuje je u siebie, a do kasy kraju uiszcza procent. Wydatek rzeczywisty mniejszy od zapisanego daje początek niewykazywanym oszczędnościom, od których tylko procenta są zapisywane.

Tego rodzaju fikcyjne dochody są często koniecznym następstwem zwyczajów rachunkowych Wydziału Krajowego. Zrozumiałą jest ta operacya, gdy chodzi o rozchody i dochody lat różnych. Wydatki fikcyjne jednego roku w następnym lub później zjawiają się w fikcyjnych dochodach dla uzgodnienia kasy z rachunkiem. Znalazłem kwoty w tych samych latach fikcyjnie dochodowane i rozchodowane (*ut infra*). *Cui bono?* Dlaczego jest fikcyjnie rozchodowana i dochodowana ta pozycya, a nie inne? Tym sposobem możnaby dowolnie zwiększać sumy rocznych dochodów i rozchodów. — Fikcyjnie dochodowane mogą być tylko kwoty w tej samej wysokości fikcyjnie rozchodowane. Takby się zdawało. A jednak bywa inaczej (*ut infra*, rozdz. II C). Uzupełnieniem systemu przenoszenia kredytów jest przenoszenie części rzeczywistych a niewykazanych wydatków na rachunek lat następnych (*ut infra*, rozdz. II C).

Jeszcze jedno następstwo metody rachowania funduszami dotowaniami. W kolumnie czwartej zamknięcia rachunkowego *ex* 1910 (rubr. V, poz. 95, str. 86) mowa o wydaniu w r. 1910 — 2000 kor. Przypisek: „Kredyt uchwalony w r. 1910 w kwocie 2000 kor. jako nieużyty przeniesiono do dyspozycyi na rok 1911 i w tym roku go wydano“. Fikcyjne cyfry dochodów i wydatków doprowadziły do używania fikcyjnych terminów. W dziale wydatków Wydział Krajowy zapisuje dochody; w kolumnie dla rzeczywistych wydatków i dochodów niejednokrotnie powtarza pozycye budżetowe kolumny piątej; pod nazwą „odsetki“ i „amortyzacya“ zapisuje liczby, które nie oznaczają ani odsetek, ani amortyzacyi, w „uzasadnieniu różnic“ cyfry, które z uzasadnieniem różnic nie mają nic wspólnego, pod nagłówkiem „obrót *brutto*“ oblicza stan majątku *netto* (*ut infra*, II C), a w zamknięciu rachunków za rok 1910 znajdujemy wydatki uskutechnione w r. 1911.

„Czyż cyfry Wydziału Krajowego naprawdę są fikcyjne? Zapewne cyfry w kolumnie czwartej nie są prawdziwe, ale kolumna ósma jest na to, ażeby także była czytana“. Niewątpliwie. O fikcyjności cyfr kolumny czwartej dowiadujemy się z kolumny ósmej. Jeżeli Wydział Krajowy każdy fikcyjny dochód i wydatek objaśnia przypiskiem, wówczas w przypis-

skach kolumny ósmej odnajdujemy poszukiwaną rzeczywistość. Można z nich dowiedzieć się o prawdziwych wydatkach, względnie dochodach, ale tylko w granicach pozycyi przypiskiem objaśnionej. Można sobie zdać sprawę z rzeczywistości, biorąc pod uwagę poszczególną pozycję, czyli fundusz, boć w ręku Wydziału Krajowego pozycye stają się aż nadto często funduszami dotowanemi, może nawet nieświadomie — tak bowiem głębokie metoda odrębnych funduszów zapuściła korzenie w myśleniu Wydziału Krajowego, że prawdopodobnie stósuje ją jako „naturalną“ konieczność, rozumiejącą się samo przez się. Ale fikcja bierze górę w sumach, obliczanych z wpisów w kolumnie czwartej w znacznej części fikcyjnych. Kolumna ósma nie jest nigdzie sumowana. Na tem właśnie polega mój zarzut. Rachunkowość krajowa mozołnie utrzymuje w ewidencji nieprzeliczoną moc funduszów, na które rozbiła skarb krajowy, ale ani sobie, ani innym nie zdaje sprawy ze stanu całości, z ogólnej gospodarki skarbowej kraju.

Zapisywanie w przypiskach rzeczywistych wydatków i kredytów przeniesionych nie uchyla fikcyjnych cyfr kolumny czwartej, ponieważ nie wywiera wpływu na ostateczne, końcowe zestawienia cyfrowe. W każdym razie świadczy o dobrej woli zaznajomienia czytelników zamknąć rachunkowych z prawdziwym stanem rzeczy. Kredyta przeniesione, wykazane w przypiskach, nazwałbym półjawnemi w przeciwstawieniu do całkowicie utajonych, bo nie wspomnianych nawet w przypiskach. Istnieją fikcyjne wpisy wydatków w kolumnie czwartej, polegające na przenoszeniu kredytów, o których fikcyjności nie powiadamia nas kolumna ósma (*ut infra*, rozdz. II C). W tych przypadkach trudno stwierdzić dobrą wolę zaznajomienia posłów sejmowych i innych czytelników zamknąć rachunkowych z prawdziwym stanem rzeczy.

Zachodzi pytanie, przez ile lat z rządu Wydział Krajowy przenosi kredyty fikcyjnie rozchodowane na rachunek lat następnych? Niema żadnej granicy maksymalnej. Także i pod tym względem panuje zupełna dowolność. Czasokres, w którym kredyt jest w zawieszeniu, czyli czasokres, który upływa od chwili fikcyjnego rozchodowania do chwili rzeczywistego uskutecznienia rozchodu lub fikcyjnego dochodo-

wania tej kwoty, bywa bardzo różnym, raz krótszym, raz dłuższym. Kwota wydana w r. 1907 fikcyjnie (rubr. V, poz. 70 wyd., str. 84 zamknięcia rachunkowego za rok 1907) z nadmienieniem fikcyjności występuje w kolumnie ósmej zamknięć rachunkowych za dwa lata następne jako nieużyty kredyt, a dopiero w r. 1910 jest znowu fikcyjnie wciągnięta w dochód (rubr. V, poz. 6 doch., str. 88 zamk. rach. *ex* 1910) ¹⁾. Zdarza się, że czasokres przenoszenia kredytów trwa bardzo długo. W pamięci Wydziału Krajowego zaciera się wspomnienie chwili, w której kredyt został fikcyjnie wpisany w dochód. Zaciera się wspomnienie celu, na który został wydany. Czytamy w dochodach rubr. XII str. 254 zamk. rach. za rok 1910: „Reszta nieużytkowanych kredytów z lat dawniejszych — 24.121 kor.“ Nie wiadomo, kiedy i na co wydano fikcyjnie tych 24 tysiące koron? Wydział Krajowy prawdopodobnie nie uważa tej zapiski za niewłaściwą. Nie potrzebuję chyba bliżej uzasadniać mego odmiennego zapatrywania.

Zamknięcie rachunków za rok 1911 dowodzi, że Wydział Krajowy w r. 1910 nie wstawił do dochodów całej reszty nieużytkowanych kredytów z lat dawniejszych, którą w tej pozycji rozporządzał w r. 1910. W dochodach roku 1911 w tej samej rubryce odnajdujemy kwotę 5000 kor., której pochodzenie Wydział Krajowy temi samemi słowy określa. W przypiskach roku 1910 nie ma wzmianki o tem, że wciągnięta do dochodów reszta nieużytkowanych kredytów jest tylko częścią większej całości. Niema podobnej wzmianki w przypiskach z r. 1911, ale, jak dowodzi przeszłość, niepodobna odpowiedzieć na pytanie, czy Wydział Krajowy nie rozporządza jeszcze dalszą resztą nieużytkowanych kredytów? Można by odesłać ciekawego odpowiedzi do dawniejszych zamknięć rachunkowych, powołując się na to, że przypiski uwidoczniają pierwsze przeniesienie kredytu i ostateczne jego wydanie. Pomijam znaczne trudności w przeprowadzaniu tego rodzaju dochodzeń. Zaznaczam jednak, że, jak okaże się, Wydział Krajowy nie zawsze zapisuje pierwsze

¹⁾ Oczywiście przez cały ten czas rzeczywisty stan gotówki krajowej był wyższy o tę kwotę od wykazywanego w zamknięciach rachunkowych.

przeniesienie kredytu. Wpisując pewną kwotę do wydatków, nie zawsze objaśnia nas o niezgodności tego wpisu z rzeczywistością. Niema więc odpowiedzi na to pytanie w zamknięciach rachunkowych.

Metoda rachowania ukrytemi funduszami dotowanemi jest rzeczowo nieuzasadniona. Jest także sprzeczna z obowiązującymi przepisami, doprowadza bowiem do przenoszenia kredytów z roku na rok wbrew instrukcyi, uchwalonej przez Sejm dla Wydziału Krajowego, wedle której: „Każdoroczny budżet stanowi dla siebie całość odrębną; dlatego ani dochody, ani rozchody z jednego roku budżetowego przenoszone być nie mogą na rok drugi“ (§ 7). Jeśli zdaniem Sejmu zachodzi potrzeba przedłużenia upoważnień budżetowych, Sejm w każdym poszczególnym wypadku zezwala na odstępianie od zasady. Doroczne uchwały budżetowe Sejmu wyszczególniają pozycye rozchodów, które Wydział Krajowy może uskuteczniać na ich podstawie także po upływie roku budżetowego, ale tylko do chwili w uchwale oznaczonej. Jak już wspomniałem, ta część uchwał budżetowych jest bez praktycznego znaczenia, ponieważ Wydział Krajowy także i w innych pozycyach przenosi kredyty na lata następne wbrew instrukcyi sejmowej. Ich znaczenie polega chyba tylko na pośrednim stwierdzeniu, że Sejm uważa przenoszenie kredytów za niedozwolone. Gdyby innego był zdania, nie odczuwałby potrzeby zezwalania na nie w poszczególnych przypadkach. „Sejm udziela absolutorium Wydziałowi Krajowemu, zatwierdza zamknięcia rachunkowe przezeń przedkładane, a więc *eo ipso* zawarte w nich przeniesienia kredytów“. Nie widzę w tem rozumowaniu przekonywującej obrony wobec zarzutu przekroczenia instrukcyi. Sejm obraduje krótko. Załatwia wiele spraw. Niema więc możności dokładnego sprawdzania zamknięć rachunkowych.

Obraduje nad nimi i stawia w Sejmie wnioski o udzielenie absolutorium komisya budżetowa, której zadaniem jest także przedkładanie Sejmowi projektu uchwał budżetowych, zawierających zezwolenia na przenoszenie kredytów na lata następne w nielicznych, szczegółowo wymienionych pozycyach. Gdyby komisya budżetowa, a w dalszym ciągu Sejm zdawał sobie sprawę z przenoszenia kredytów także i bez jego zezwolenia,

nia na podstawie zarządzeń Wydziału Krajowego, z pewnością zaniechałby powzięcia uchwał zbędnych, bo udzielających Wydziałowi Krajowemu upoważnień, z których, jeśli chce, korzysta także i bez nich. Gdyby Sejm wyczytał z zamknięć rachunkowych, że przenoszenie kredytów odbywa się na wielką skalę, albo zmieniłby instrukcję, albo zażądałby jej przestrzegania. Jeżeli żadnego z tych dwóch kroków dotąd nie podjął, to tylko dlatego, że nie miał czasu zauważyć przenoszenia kredytów w przypiskach. Można z tego tylko wyciągnąć wniosek o potrzebie kontroli rachunków krajowych przez organ, stojący po za Wydziałem Krajowym i po za Sejmem, spełniający wobec kraju zadania, które wobec państwa spełnia najwyższa Izba Obrachunkowa, ale nie można wyciągać wniosku, że Sejm w ten sposób milcząco uchylił przepisy instrukcyi, niezgodne z praktyką, stosowaną w zamknięciach rachunkowych, że ją zatwierdził lub wziął za nią odpowiedzialność. Instrukcyja sejmowa dla Wydziału Krajowego przestanie obowiązywać z chwilą, gdy Sejm poweźmie uchwały, zawierające w sobie jej zmianę, ale nie traci mocy obowiązującej przez przeoczenie ze strony Sejmu praktyki z nią sprzecznej, a nieujawnionej należycie w zamknięciach rachunkowych. Gdyby nie była utajoną w przypiskach, Sejm z pewnością byłby jej nie przeoczył. Można zrozumieć, że Sejm nie widzi przekroczenia instrukcyi w zamknięciach rachunkowych. Trudniej zrozumieć i usprawiedliwić Wydział Krajowy z przenoszenia kredytów na lata następne wbrew instrukcyi.

Istnienie instrukcyi objawiło się chyba tylko tem, że Wydział Krajowy zapewne w zamiarze uniknięcia zbyt jasnego przekraczania instrukcyi, przenoszenia kredytów uwzględnił jedynie w przypiskach, a utaił je za pomocą fikcyjnych wpisów w kolumnie czwartej, obejmującej rzekomo rzeczywiste wynikiłości rachunkowe, przez co tylko pogorszył sprawę. Oczywiście i ten stan rzeczy jest choć zły, lepszy, niż zdarzające się także zamilczanie w przypiskach wstawiania do rubryki „rzeczywistych“ wydatków cyfr fikcyjnych.

Przenoszenie kredytów jest zbędne, jeśli rok budżetowy obejmuje prócz kalendarzowego nadto pewien dodatkowy czasokres, wówczas bowiem przedłużenie roku czyni zadosyć

potrzebom, w imię których następuje przenoszenie kredytów na lata następne (*ut infra*, II C). Choćby jednak było wskazane, niedopuszczalny, bo szkodliwy, jest sposób przenoszenia kredytów, stosowany w krajowych zamknięciach rachunkowych, oraz brak przepisu, określającego chwilę ich wygaśnięcia. W rozdziale III po wykazaniu, że należy zachować przenoszenie kredytów, a w tym celu zmienić instrukcję, przedstawie, jak je należy przenosić.

Ujemne strony funduszków dają się mniej we znaki, gdy ich ilość jest niewielką. Łatwiej poznać i ocenić zjawisko rozbite na kilka lub kilkanaście części, niż rozkawałkowane na kilkaset. Toteż po rozpatrzeniu różnic, zachodzących między funduszami działu A, a funduszami dotowanemi, chcę zastanowić się nad pytaniem, ile odrębnych funduszków obejmuje sprawozdanie Wydziału Krajowego o zamknięciu rachunków funduszków krajowych za rok 1910 w działach A i B? Spis Wydziału Krajowego wykazuje 68 funduszków w dziale A, 89 w B. Fundusze działu A można by uważać za jeden fundusz na podstawie ich właściwości, już nam znanych. Istnieją atoli w tym dziale wykazy dochodów i rozchodów kraju, nie wyróżnione jako osobne fundusze, a jednak pominięte w cyfrach sumarycznych funduszu krajowego w znaczeniu ściślejszem, nie wchodzące w skład ogólnego obrazu, który nam fundusz krajowy dać winien, a więc stanowiące osobne fundusze, choć nienazwane funduszami *expressis verbis*. Wydział Krajowy rozróżnia w obrębie wielu funduszków majątek obrotowy i zarodowy. W dziale B mamy rubrykę majątku zarodowego, ale nie wypełnioną. W dziale B kwestya ta nie istnieje. W dziale A ma małe znaczenie, chodzi bowiem o stosunkowo małe obroty.

Rachunki przeważnej części, ale nie wszystkich funduszków, włączonych do działu A, rozłożył Wydział Krajowy na rachunki majątku obrotowego i zarodowego. Stosunek rachunkowy majątku obrotowego do zarodowego jest dwójaki. W niektórych wyjątkowych przypadkach Wydział Krajowy wpisał cyfrowe wyniki obrotów w majątku zarodowym w całości do majątku obrotowego, co właściwie nie narusza jedności rachunków, ponieważ odrębność majątku zarodowego nie jest ściśle przeprowadzoną. Rachunek majątku obroto-

wego obejmuje także majątek zarodowy, skutkiem czego łączy w sobie obydwie. Inaczej przedstawia się sprawa w daleko liczniejszych przypadkach zupełnej odrębności rachunkowej obu majątków, polegającej na niewciągnięciu wyników cyfrowych jednego z nich do rachunków drugiego. Wówczas majątek zarodowy i obrotowy istnieją zupełnie niezależnie obok siebie — tworzą fundusze rachunkowo odrębne, aczkolwiek funduszami Wydział Krajowy ich nie nazywał. O ile mogłem rozeznaczyć się w cyfrach majątków zarodowych różnych funduszy, chodzi tu głównie o dochody, zużyte na powiększenie majątku, a nie na bieżące wydatki, n. p. procenta lub dywidendy papierów wartościowych, zużyte na zakupno nowych papierów wartościowych. W ogólnym zestawieniu majątku krajowego jest zliczony majątek obrotowy i zarodowy funduszy, zawartych w głównym zamknięciu rachunków krajowych. Do cyfr sumarycznych funduszu krajowego w znaczeniu ściślejszem wpisał Wydział Krajowy tylko cyfry dochodów i rozchodów do majątku obrotowego zaliczonych. Osobne zarachowanie części dochodów i wydatków krajowych w majątkach zarodowych różnych funduszy działu A zwiększa liczbę funduszy, uszczupla jednolitość rachunków krajowych, której najbliższym prawdy wyrazem jest ów fundusz krajowy w znaczeniu ściślejszem — główny przedmiot naszych rozpatrywań. Okazuje się raz jeszcze, że istnieją po za nim dochody i rozchody krajowe.

Uzasadnieniem osobnego zarachowania majątków zarodowych jest chęć utrzymania w ewidencji majątku i zmian w nim dokonanych. Do tego celu prowadzą także i inne drogi. Okazuje się zresztą, że osobne zarachowanie Wydziału Krajowego nie zapewnia osiągnięcia celu.

W dziale B liczba funduszy jest większa, niż wykazana, z powodu rozbicia wielu funduszy dotowanych na dwa, a nawet na trzy fundusze. Fundusz regulacyjny rzeki Trześniówki rozpada się na fundusz konserwacyjny i rezerwowy, wiele innych funduszy przedsiębiorstw melioracyjnych na fundusze regulacyjne i konserwacyjne. Fundusz obwałowania Wisły i konserwacji obwałowania Wisłoki w powiecie mieleckim rozbił Wydział Krajowy na trzy odrębne fundusze. To samo uczynił z funduszem włości rentowych. Po za fun-

duszami dotowanemi, wymienionemi przez Wydział Krajowy *expressis verbis*, istnieją inne w obrębie funduszu krajowego w znaczeniu ściślejszem, jedne, znane nam z przypisków, drugie zupełnie utajone, których istnienie tylko przypadkowo dochodzi do wiadomości czytelnika druków sejmowych.

Niepodobna stwierdzić ilości odrębnych funduszów, zapisanych w głównem sprawozdaniu Wydziału Krajowego o zamknięciu rachunków. Niektóre z nich nie posiadają znamion zupełnej odrębności: fundusze działu A, o ile chodzi o dochody i wydatki ich majątku obrotowego. Z drugiej strony majątki zarodowe wielu funduszów działu A są zarachowane osobno, a co najważniejsze, liczba funduszów dotowanych jest znacznie większa, niż wyliczona w spisie Wydziału Krajowego. Szereg z nich rozpada się na dwa lub więcej odrębnych funduszów. Nie wiadomo, ile pozycji funduszu krajowego zarachowano w formie funduszów dotowanych, ponieważ z przypisków nie zawsze można się dowiedzieć o przenoszeniu kredytów, na którem polega ten sposób zarachowania. Po za głównem sprawozdaniem rachunkowem istnieją rachunki z funduszu solnego i propinacyjnego. Żaden z nich nie tworzy jednolitej całości. Każdy obejmuje kilka odrębnych funduszów. Ich ogólna liczba dosięga z pewnością kilku setek; prawdopodobnie dochodzi do tysiąca, a może nawet przekracza tę cyfrę. Liczba funduszów w ostatnich latach, zamiast zmniejszać się, szybko wzrasta. Przeglądając zamknięcia rachunków z lat ostatnich, nie widać dążenia do umniejszenia ich nadmiernej liczby. Przeciwnie, przy każdej sposobności Wydział Krajowy tworzy nowe, powiększając tym sposobem chaos w rachunkach. Razem z ich liczbą wzrasta — i to w stopniu znacznie szybszym — szkodliwy wpływ tej metody na dobroć rachunków.

Zachodzi pytanie, na jakiej podstawie Wydział Krajowy pewne części dochodów i wydatków kraju, którym przyznaje znamiona funduszów, ponieważ uważa je za odrębne części gospodarki krajowej, przeprowadza rachunkowo w formie funduszów dotowanych, a inne części dochodów i wydatków kraju ujmuje w formę funduszów, zaliczonych do działu A i zarachowanych metodą w tymże dziale przyjętą? Wydział Krajowy, o ile mi wiadomo, nigdzie nie określa zasad, któ-

remi się w tych wypadkach kieruje. Choćby chciał je określić, nie mógłby tego uczynić. Żadna myśl przewodnia nie jest miarodajną dla przydzielania poszczególnych funduszków działom A i B. Panuje pod tym względem zupełna dowolność, jedna z licznych w metodach rachunkowych kraju.

Rachowanie funduszami dotowanymi wydaje mi się nieuzasadnionem. O słabych stronach stosowania tej metody w obrębie funduszu krajowego bez nazywania pozycji w ten sposób zarachowanych funduszami dotowanymi nie potrzebuję się rozwodzić. Wystarczy przypomnieć wyniki, do których rachunkowość krajowa doszła na tej śliskiej drodze. Ale i funduszków, *expressis verbis* dotowanymi nazwanych w krajowych zamknięciach rachunkowych, trudno bronić. Ich zarachowanie jest sprzeczne z zasadą budżetowania i zamykania rachunków *brutto*, zastosowaną w dziale A. Dawniej także i w dziale A stosowano po części zasadę zamykania rachunków *netto*. Nastąpiła pod tym względem zmiana w r. 1908 pod wpływem komisji budżetowej Sejmu, która w trafnem zrozumieniu rzeczy zaleciła zamykać rachunki *brutto*, a więc ściśle rozdzielić dochody od rozchodów. Zamykanie rachunków *netto* polega na ich łączeniu drogą wzajemnego potrącenia. Powyżej przedstawiony sposób rachowania dochodów i wydatków Akademii dublańskiej w funduszu krajowym jest zastosowaniem zasady zamykania rachunków *brutto*. Gdyby Wydział Krajowy wciągnął do funduszu krajowego tylko jedną cyfrę, stanowiącą różnicę dochodów i rozchodów, a więc w tym wypadku do rozchodów przewyżkę wydatków Akademii nad jej dochodami, wyobrażającą rzeczywistą, czystą dopłatę kraju na rzecz tej instytucji, wówczas mielibyśmy do czynienia z zamykaniem rachunków *netto*. System pierwszy daje niewątpliwie pełniejszy obraz rzeczywistości — pozwala głębiej wnikać w tajniki gospodarki skarbowej. Rachując drugą metodą, można niejedno ukryć.

W dziale B stosuje Wydział Krajowy system, zbliżony raczej do zamykania rachunków *netto*. Wydatek stu tysięcy koron na rzecz funduszu pożyczkowego drogowego w rozchodach funduszu krajowego jest zupełnie fikcyjny. Pokrywa wydatek rzeczywisty o 197·2⁰/₁₀ większy, zamilcza pobranie

przeszło 194 tysięcy koron. Jedna cyfra obejmuje dochody i rozchody. O tych faktach dowiadujemy się, czytając dalsze strony zamknięcia rachunkowego, ale ich wpływ na wysokość ogólnych dochodów i wydatków kraju nie jest nigdzie uwidoczniony. Przebieg wypadków może być oczywiście odmienny. Zamknięcie rachunków wykazuje X koron wydatku tytułem dotacyi, a z rachunku funduszu dotowanego dowiadujemy się, że w tym roku nie było żadnych dochodów, ani wydatków, że rzekomy wydatek tyłu a tyłu tysięcy koron ani o halerza nie uszczuplił rzeczywistych zasobów kraju. Ani prawdziwe dochody i rozchody funduszu pożyczkowego drogowego, ani liczne inne rachunkowo podobne, zawarte w dziale B, nie są objęte żadnem ogólnem zestawieniem wszystkich dochodów i rozchodów kraju. Nie jest niem fundusz krajowy w znaczeniu ściślejszem, ponieważ zawiera tylko cyfrę określającą wysokość dotacyi, a pokrywającą nieraz wydatki rzeczywiste większe lub mniejsze i pobranie dochodów zupełnie w rachunkach funduszu krajowego niewidoczne. Część dochodów i rozchodów kasy krajowej, utajona w poszczególnych funduszach dotowanych i rozbita na szereg pozycji, nie skupionych w żadną całość, nie jest włączona ani do funduszu krajowego, ani do innego zestawienia, skutkiem czego nie można sobie wytworzyć dokładnego obrazu stosunków na podstawie zamknięcia rachunków.

Nadmierna ilość funduszy utrudnia rozejście się w istotnym stanie rzeczy, a w następstwie wszelką jego ocenę i kontrolę, oraz ustalenie finansowego programu działania głównie z powodu wciągania do rachunków wielu fikcyjnych stosunków jednego funduszu do drugiego. Fikcyjnym jest wpis x koron w rozchodach funduszu A z powodu „zaliczenia“, czy „pożyczenia“ funduszowi B x koron, oraz wpis tejże samej kwoty w dochodach funduszu B, który „otrzymał“ x koron „pożyczonych“ z funduszu A. Kwoty te, zliczane z innymi dochodami i wydatkami poczęści rzeczywistymi, poczęści fikcyjnymi, wchodzą do ostatecznych sum dochodów i wydatków, zwiększając je o składniki fikcyjne. Chcąc sobie wytworzyć prawdziwy obraz stosunków skarbowych kraju, należałoby wypłaty, oraz wierzytelności, względnie długi funduszy między sobą wykreślić z rachunków, co jednak przed-

stawia znaczne trudności wobec wielkiej liczby pozycyj tego rodzaju. — Fundusz A „zaliczył“ x koron funduszowi B, skutkiem czego fundusz B jest „winien“ funduszowi A x koron, które znów są wierzytelnością funduszu A do funduszu B. Z tytułu tych rzekomych długów nikt nie może sobie rościć żadnych pretensyj do kasy krajowej. Jeżeli Wydział Krajowy pożyczycy sobie x koron na bieżące wydatki krajowe, na szkoły lub szpitale z funduszu solnego, Sejm może każdej chwili uchylić obowiązek zwrotu funduszowi solnemu tej kwoty. Może wydanie tej części dochodu z handlu solą, prowadzonego przez Wydział Krajowy, na rzecz szkół lub szpitali, uznać za ostateczne. Może przeznaczyć pewną część dochodów solnych na inne wydatki, ze solą nie mające nic wspólnego. Słowem, długi jednych funduszy wobec drugih są fikcją rachunkową, której jedynym celem utrzymanie w ewidencji kwot na pewne cele przeznaczanych. Istota ich jest w głównym zarysie identyczna z istotą kredytów przeniesionych. Do zwiększenia zamieszania, wynikającego z tego powodu, przyczynia się także dopisywanie procentów funduszom, posiadającym „wierzytelności“ z rachunku funduszy krajowych, „obciążonych długami“ na korzyść innych funduszy krajowych. Gdyby stosunki między funduszami ograniczały się do niewielkiej ilości pozycyj lub gdyby Wydział Krajowy przedstawiał osobne rachunki, z których usuwałby wzajemne stosunki funduszy między sobą, wówczas szkoda byłaby mniejszą. Niestety, żadna z tych okoliczności lagodzących nie zachodzi.

Rozbicie skarbu krajowego na liczne fundusze kieruje całą pracę skarbową Sejmu na błędne tory. System rachunkowy Wydziału Krajowego wydobywa na światło dzienne moc szczegółów, która powinna pozostać w aktach Wydziału Krajowego. Nie jest rzeczą pożądaną, ażeby Sejm wtrącał się do drobiazgów. Tylko wytyczne linie administracyi skarbowej powinny być przedmiotem jego troski. Działalność w tym kierunku napotyka na trudności, wynikające ze systemu rachowania funduszami, który, rozpraszając uwagę na szczegóły, odrywa ją od całości, a to tem więcej, że całość jest widoczną tylko w mglistych konturach i to kosztem włożenia znacznej ilości pracy w zapoznanie się z rachunkami.

Posłowie sejmowi, nie mając przed sobą należytego obrazu całości, narażeni są na niebezpieczeństwo zwrócenia uwagi przede wszystkim na szczegóły, podawane im w obfitości. Fikcyjne wydatki i dochody, wynikające z metody funduszków, utrudniają w wysokim stopniu kontrolę budżetu przez Sejm, t. j. odpowiedź na pytanie, w jakim stosunku pozostaje rzeczywistość do przewidywań budżetowych, ponieważ w tym systemie rzeczywistość znana jest tylko w wielce niedokładnem przybliżeniu. Do tej kwestyi powrócę, pisząc wogóle o fikcyjnych pozycjach rachunkowych — są jeszcze i inne prócz wymienionych w rachunkach kraju.

Słów kilka o rozumowaniach, przytaczanych w obronie metody rachowania funduszami dotowanemi.

Głównym tedy powodem dotowania funduszków pewnemi kwotami jest uzbieranie majątku na pokrycie przyszłych kosztów osiągnięcia zamierzonych celów. Sejm lub inne korporacye przeznaczają na określony cel stałe kwoty, które w pierwszych latach nie są w całości potrzebne. Akcya początkowo rozwija się wolno. Później okazać się znaczniejsze potrzeby, których pokrycie może wówczas przedstawiać trudności. Dotacya stała ma właśnie te przewidywane trudności usunąć. Oszczędności, uzyskane w pierwszych latach, mają być tą rezerwą, z której będzie można czerpać w latach późniejszych. Jądrym kwestyi jest rzeczywiste zaoszczędzenie pewnych kwot i odłożenie ich celem późniejszego zużycowania w określonym kierunku. Niewątpliwie w wysokim stopniu pożądanę skuteczniejszą tych oszczędności nie jest związane z przedstawionym powyżej systemem rachowania. Można je skutecznie bez rachunkowego wyodrębniania funduszków. Można nie poczynić oszczędności mimo rachowania funduszami dotowanemi. Z zamknięcia rachunkowego funduszu pożyczkowego dowiadujemy się, że ani z początkiem, ani z końcem roku fundusz pożyczkowy nie rozporządzał żadnym zapasem kasowym, że cały dochód został przelany do funduszu krajowego, a cały rozchód zeń pokryty. A może fundusz krajowy przechowuje oszczędności z lat poprzednich? Rachunki wykazują, że „jest winien“ tyle a tyle funduszowi pożyczkowemu. Oczywiście wierzytelność fikcyjna, boć kraj nie może być sam sobie winien, wierzytelność, oznaczająca

tylko, że Sejm pozwolił jeszcze tę kwotę wydać na pożyczki drogowe dla wydziałów powiatowych, ale w kasie niema tej kwoty. Nigdy jej tam nie było, boć nie została zaoszczędzoną. Ażeby znalazła się w kasie, trzeba będzie przeznaczyć na ten cel część dochodów podatkowych, albo zaciągnąć nowy dług. Obrońcy rachowania funduszami dotowanymi upatrują w niem środek, zapewniający uzbieranie kapitałów, przeznaczonych na zaspokojenie przyszłych potrzeb. Staralem się wykazać, że pogląd ten jest nienzasadnionym, że rachowanie funduszami dotowanymi, samo przez się, jeszcze nie zapewnia rzeczywistego zaoszczędzenia kapitału. Także bez stosowania tej metody można rokrocznie przeznaczać 900.000 koron na popieranie rozwoju sieci kolejowej i zaoszczędzać na ten cel część tej kwoty, w danym roku nie wydaną na rzecz kolei. Chodzi tylko o to, żeby rachunki dokładnie wykazywały, ile rzeczywiście wydano, a ile rzeczywiście odłożono na bok gwoźli poparcia rozwoju kolejowego w latach następnych? Dziś z zamknięć rachunkowych nie można wyczytać odpowiedzi. Dlatego właśnie uważam je za niedostateczne, a winę przypisuję metodzie rachowania funduszami dotowanymi.

Ale ma jedną ważną zaletę: wykazuje rzeczywistą dopłatę kraju. Cele, na które kraj przeznacza dotacje, powodują wydatki, pokrywane nie tylko z dochodów kraju, ale także z innych źródeł. Kasa krajowa otrzymuje mniejsze lub większe kwoty ze skarbu państwa i od stron prywatnych, które łącznie z dotacją kraju tworzą fundusze, przeznaczone na pokrycie wydatków, przewidywanych przy sposobności uchwalania dotacji. Zapisując w rozchodach funduszu krajowego jedynie dotację kraju, a w dochodach funduszu dotowanego oprócz niej wszelkie inne dochody na ten cel pobrane, unikamy łączenia w jedną całość pieniędzy kraju i pieniędzy pochodzących z innych źródeł. Gdyby nie było osobnych rachunków dla funduszy dotowanych, zasiłki państwowe i dopłaty stron interesowanych musiałby być włączone do dochodów funduszu krajowego na równi z dochodami podatkowymi kraju i z majątku krajowego, a wszystkie wydatki z tych dochodów pokrywane musiałby być włączone do rozchodów funduszu krajowego, aczkolwiek tylko częściowo kraj

przyczynił się do ich pokrycia przeznaczeniem na ten cel swoich własnych dochodów, któremi może swobodnie rozporządzać, częściowo zaś pokryte zostały obcemi zasobami pieniężnymi. Tem rozumowaniem nie można obronić odrębnego zarachowania funduszków dotowanych, których jedynym dochodem są dotacye kraju. Co prawda przeważna część funduszków dotowanych rozporządza oprócz dotacyi krajowej innemi źródłami dochodów, nie pochodzącemi z własnych dochodów kraju. Czy w tym wypadku jest wskazane odrębne zarachowanie w formie funduszu dotowanego?

Nie sędzę. Staralem się wykazać, że ta metoda wyklucza ujęcie w jedną całość wszystkich rzeczywistych wydatków kraju. Dotacya w rozchodach funduszu krajowego nie daje dokładnego obrazu faktycznych stosunków. Zmniejsza lub zwiększa wydatki kraju w porównaniu z rzeczywistemi. Utrudnia rozejrzenie się w całości działań, uskutecznianych dzięki pomocy finansowej kraju. Jest wprawdzie rzeczą wielce pożądaną zdawać sobie dokładnie sprawę ze współdziałania obcych pieniędzy w osiągnięciu celu, ale można odpowiedzieć na to pytanie bez rachowania odrębnemi funduszami dotowanemi. Wystarczy uwidocznic w osobnym wykazie zasiłki, wypłacane rokrocznie przez państwo krajowi, dopłaty innych czynników publicznych lub stron interesowanych. Chęć wyłączenia z funduszu krajowego obcych pieniędzy nie jest miarodajną, gdy chodzi o tworzenie funduszków dotowanych. Wspominałem, że niektóre z nich nie rozporządzają dochodami tego rodzaju. Jeśli niemi pokrywają część swoich wydatków, ich wyłączenie z funduszu krajowego jest w wielu wypadkach tylko częściowo przeprowadzone.

Metoda rachowania funduszami jest oddawna rozpowszechniona w gospodarce ciał prawno publicznych, państw, krajów, powiatów, gmin i t. d. Obok wad posiada także zalety, które przemawiają za jej zatrzymaniem. Zaznaczam raz jeszcze, że nie zwalczałem każdego funduszu. Sposób rachowania funduszami w dziale A (z wyjątkiem rozdziału na majątek obrotowy i zarodowy) uważam nietylko za dopuszczalny, ale niejednokrotnie za wskazany, bo nie zaciera obrazu całości i nie narusza jedności rachunków. Uważam

za niewłaściwe fundusze dotowane działu B. — Nie są mi obce pewne korzyści, związane z wyodrębnianiem funduszków. Trudno jednak na ten argument się powoływać w obronie metod rachunkowych Wydziału Krajowego, ponieważ Wydział Krajowy rachuje funduszami w sposób, wykluczający niejednokrotnie osiągnięcie korzyści, właściwych tej metodzie. W rachunkach Wydziału Krajowego wady funduszków występują aż nadto silnie. Zacierają się ich zalety.

Korzyści funduszków tkwią w skupieniu światła na poszczególne części gospodarstwa, w wyświetleniu tym sposobem ich losów, odzwierciedlonych w obrotach i stanie majątku każdej z nich. Poznanie możliwie najdokładniejsze każdej części gospodarstwa ma niewątpliwie doniosłe znaczenie. Dla rolnika przedstawia pierwszorzędną wartość materialną wyrachowanie, ile dochodu daje mu praca i kapitał, włożony w chów świń, w porównaniu z dochodem z obory. Także i w gospodarstwie publicznem poznanie finansowe jego części odgrywa ważną, choć odmienną rolę. Rachowanie funduszami oddać może w tym kierunku pewne usługi tylko pod tym warunkiem, jeśli fundusz skupi w sobie wszystkie pozycje części gospodarstwa dotyczące. W przeciwnym razie fundusz da obraz niedokładny stosunków, bo niepełny. I nie może być inaczej, jeśli w nim część składników opuszczono. Wydział Krajowy niejednokrotnie nie trzyma się tej zasady. Nie włącza do rachunku funduszu pozycji, które doń niewątpliwie rzeczowo należą, ponieważ są istotnie związane z kategorią obrotów, funduszem objętą.

Fundusz kolejowy nie zawiera miliona koron w akcyach zakładowych Spółki akcyjnej wschodnio-galicyjskich kolei lokalnych, wykazywanych pod nazwą pozostałości kasowej od szeregu lat w funduszu krajowym w znaczeniu ściślejszem (str. 16 i 17 zamkn. rach. za rok 1910). W r. 1911 kraj udzielił chwilowej pożyczki w kwocie dwóch milionów koron na budowę kolei Lwów — Stojanów, zapisanej jedynie w rozchodach funduszu krajowego, a więc nie wciągniętej do rachunków funduszu kolejowego (str. 22 zamkn. rach. za rok 1911). Wypłata pensyj urzędnikom, zajęтым w biurze kolejowem, także jest zapisana jedynie w rozchodach funduszu krajowego. Słowem, obliczanie wysokości wydatków ko-

lejoych kraju wyłącznie na podstawie funduszu kolejowego nie daje ich zupełnego obrazu, ponieważ część wydatków kolejowych jest zarachowana w funduszu krajowym. Podobny stan rzeczy odnajdujemy, przeglądając rachunki krajowego składu publicznego w Krakowie. Wprawdzie tworzą osobny fundusz, ale długu zaciągniętego na budowę składu i jego oprocentowania, wartości budynku i maszyn, trzeba szukać w różnych pozycjach funduszu krajowego.

Nieskupianie wszystkich pozycji, przynależnych rzeczowo do funduszu w jego rachunku, wpływa ujemnie na możliwość obliczenia rentowności przedsiębiorstwa, funduszem objętego, które przecie jest jednym z głównych celów tworzenia odrębnych funduszków. Obliczenia rentowności na podstawie rachunków Wydziału Krajowego są wielce utrudnione nie tylko z przyczyny wymienionej przed chwilą, ale także z innych. Wydział Krajowy zazwyczaj — zdaje mi się, że nigdy — nie skutecznie odpisów. Papiery wartościowe wstawia w rachunek w wartości nominalnej lub po kursie nabycia, póki ich nie sprzeda. Wogóle nie zestawia rachunków, mających na celu wykazanie rentowności, czego jeszcze jeden przykład przytoczę w innym związku. Widocznie Wydział Krajowy nie uważa za potrzebne obliczeń rentowności. Ale w takim razie odpada jeden z głównych powodów tworzenia wielu funduszków.

Wspominałem, że sposób rachowania funduszami ma swe zalety. Gdy chodzi o obliczenia rentowności, uważam tworzenie funduszków za wskazane, ale tylko pod warunkiem, że ich ostateczne wyniki w całości wchodzą do zestawienia rachunkowego, obejmującego ogólny pogląd na działalność kraju, gminy lub innej jednostki, której część jest w odrębny fundusz ujętą, że więc zasada jedności nie zostaje nadwężoną przez tworzenie funduszków. Wówczas fundusz jest jakby załącznikiem do głównego rachunku, nie jest zupełnie wyodrębniony — ma rację bytu.

Fundusze dotowane krajowych zamknięć rachunkowych są innego rodzaju. Trudno je połączyć w jedną całość z pozostałymi funduszami. Krajowe Biuro statystyczne, aczkolwiek łatwo mogło postarać się o uzupełnienie zamknięć rachunkowych, jest przecie także organem Wydziału Krajowego,

nie podjęło się trudnego zadania. Przystępując do opracowania krajowej gospodarki skarbowej, ograniczyło się do trzech-krotnego przedstawienia „poglądu na gospodarstwo funduszu krajowego galicyjskiego“¹⁾ (1876 — 1890), a więc z góry zrzekło się usiłowań, skierowanych ku zobrazowaniu całej gospodarki skarbowej kraju. Zadowolniło się funduszem krajowym w znaczeniu ściślejszem.

Ministerstwo skarbu²⁾ i Centralna Komisya statystyczna³⁾, przystępując do opracowania finansów Galicyi, nie uznały za wskazane zadowolnić się istniejącymi krajowymi zamknięciami rachunkowymi, względnie budżetami, z powodu ich rozbicia na nieprzejrzaną ilość funduszów, wykluczającego rozzejrzenie się w całości. Podjęły więc próbę jej stworzenia przez złączenie krajowych funduszów w jeden rachunek, który stanowi systematyczne opracowanie cyfr, zawartych w rachunkach funduszów. Próba dała wyniki mało zadowalniające. Ministerstwo skarbu ograniczyło się do opracowania budżetów z r. 1905, uważając zamknięcia rachunkowe za orzech zbyt trudny do zgryzienia. Wobec znacznych różnic, zachodzących między budżetami a rzeczywistością, zestawienie budżetów z jednego roku niema większej wartości. Centralna Komisya statystyczna weszła na lepszą drogę, podejmując opracowanie zamknięć rachunkowych, ale wynik także i w tym wypadku zawiódł. Oba wydawnictwa włączają do zestawień część funduszów samoistnych, a pomijają część krajowych. Oba niejednokrotnie wstawiają w rozchód dotacje, a nie rzeczywiste wydatki. Naginają cyfry do z góry ułożonego schematu, wspólnego dla wszystkich krajów, a więc nieuwzględniającego ich odrębności. O malej wiarogodności cyfr w wydawnictwie Centralnej Komisji statystycznej świadczy wyliczenie długów, zaciągniętych w r. 1908 rzekomo w kwocie

¹⁾ *Wiadomości statystycznych* tom 8, 9 i 14.

²⁾ *Die Landeshaushalte* l. c.

³⁾ *Statistisches Jahrbuch der autonomen Landesverwaltung in den im Reichsrat vertretenen Königreichen und Ländern*. Herausgegeben durch die k. k. statistische Zentralkommission auf Grund der von den Ländern gelieferten statistischen Tabellen und Materialien. X Jahrgang. Wien, 1912. Por. także roczniki poprzednie.

1½ miliona koron, a wynoszących w rzeczywistości kilkakroć więcej. Zadawalniające złączenie funduszków w jeden rachunek nie wydaje mi się możliwem, ponieważ są zrachowane różnemi metodami. Cyfry ich są niewspółmierne. Trudno je więc zliczać. Metoda rachowania funduszami doprowadziła do błędów, których nie można usunąć. Nieudane próby przedstawienia stanu finansów na podstawie cyfr, tą metodą ugrupowanych, przemawiają wymownie za jej porzuceniem.

Dr. Adam Krzyżanowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka.

— Ludwik Kolankowski: *Zygmunt August, wielki książę Litwy do r. 1548*. »Archiwum naukowe«. Wydawnictwo Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. Dział I, tom VII, zeszyt 1. (Lwów, 1913, str. 418 wraz z dodatkami). — Całą książkę podzielił autor na trzy części: 1) Zygmunt August, 1520 — 1544, 2) Litwa, 1529 — 1544, 3) W. Księstwo Litewskie pod rządami Zygmunta Augusta, 1544 — 1548. W części pierwszej od razu zaznajamia nas autor z królową Boną i jej dążeniem, by za życia Zygmunta Starego uzyskać dla syna koronę polską. Już w trzecim roku życia uznany został wielkim księciem (r. 1522) na wypadek śmierci ojca; ale Polacy nie myślą iść w ślady Litwy. I oto rozpoczyna Bona wytyczoną akcyę. Sprawa Mazowska, gdzie wymarli Piastowie, łączy się z nią ściśle. Królowa sprzeciwia się wcieleniu Mazowska do Korony lub pozostawienia nadal Mazowska w zawisłości od niej pod Hohenzollernami, lecz pragnie zdobyć je dla syna, by przez to jemu, jako posiadaczowi Litwy i Mazowska, utworować drogę do elekcji na króla polskiego za życia ojca. Zabiegi o Mazowsze dla Zygmunta Augusta nie powiodły się, ale dokonano wyniesienia go na tron litewski 18 października 1529 r., a na wieść o tem elekcji w Polsce na sejmie w Piotrkowie 18 grudnia t. r., w roku zaś następnym koronacyi z usunięciem księcia pruskiego od udziału. Gdy tego dwór dokonał, rozpoczyna się akcyja, zmierzająca do stworzenia dynastji dziedzicznej, a spreżyną wszystkiego jest Bona. Ona to wytknęła drogę do celu przez skupienie w rękach królewskich jak najwięcej posiadłości, by oparłszy się o nie i stanawszy na pewnym gruncie, zagarnąć dla króla całą faktyczną władzę przez osłabienie sejmu. Rozpoczyna więc na wielką skalę wykupywanie dóbr królewskich w Koronie i na Litwie na mocy aktu, wydanego jej przez króla w r. 1531. W ten sposób pośród licznych włości, skupionych w Koronie i na Litwie, znalazły

się w rękę królowej Bony dobra mazowieckie i starostwo samoborskie, wywołując walkę z wielmożami koronnymi, zagrożonymi w swem stanowisku potężnych oligarchów, z Szydłowickimi, Tęczyńskimi, Tarnowskimi, Górkami, Kmitami i Ōdrowężami, spokrewnionymi lub spowinowaconymi ze sobą. Środkiem niezawodnym ich ubezwładnienia miało być opanowanie senatu, zastąpienie ich ludźmi oddanymi dworowi i Bonie. W kilka lat dojrzewało dzieło królowej, gdy na arenę walki wystąpił nowy czynnik — koronna szlachta — ziemianie. Poruszona przez chwytających się ostatniej deski ratunku panów, podejmuje walkę z rządem, posuwa się do formalnego rokoszu pod Lwowem, dopełniając klęski dworu na sejmie piotrkowskim z początku r. 1538, a rzucając równocześnie pierwsze podwaliny pod rzeczpospolitą... ale szlachecką. Majestat królewski wyszedł pokonany, uznając elekcyjność korony polskiej — ziemiaństwo święciło tryumf.

Wśród takich stosunków wzrastał Zygmunt August. Wychowanie jego było zaniedbane tak dalece, że troskliwy biskup krakowski, Tomicki, uważał za stosowne przesłać młodemu królowi szereg rad i wskazówek, zredagowanych przez Hozjusza, że myślał sprawę wychowania młodego króla poruszyć na sejmie koronnym, że wreszcie poruszono ją pod Lwowem. Pierwsze występy dorastającego Zygmunta Augusta świadczyły jednak pochlebnie o jego zdolnościach i kazały rokować jak najlepsze nadzieje na przyszłość. W r. 1543 dochodzi do skutku małżeństwo jego z Elżbietą Austryaczką, ułożone jeszcze w r. 1530, po długich latach niezdecydowania Zygmunta Starego, tak ze względu na Turcyę, jak i ubiegającą się o młodego króla dla jednej z królewien Francyę, rywalkę Habsburgów. Zdaniem autora małżeństwo Izabelli, córki Zygmunta I z Janem Zapolją, wpłynęło na dojście do skutku małżeństwa młodego króla z córką Ferdynanda I w myśl metody, stosowanej przez ówczesną politykę Polski pośredniczenia i godzenia, zamiast opowiedzenia się za jedną ze stron. Wszak równocześnie doszła do skutku ugoda wielkowiadrzyńska (16 czerwca 1538 r.).

W drugiej części dzieła stwierdza autor na początku błąd polityki jagiellońskiej przez zaniedbanie agresywnej roli Litwy wobec Moskwy, a zwrócenie się do Czech i Węgier. Przez to pobudzili Jagiellonowie dynastów państw środkowo-europejskich przeciw sobie, którzy, łącząc się z Moskwą, pomogli jej wzrósć do tego stopnia, że podjęła ekspansyę kosztem Litwy, dziedzictwa Jagiellonowego. Przebieglszy pokrótce walki Litwy z Moskwą za Aleksandra i Zygmunta Starego po rok 1523 i straty poniesione przez pierwszą, poświęca autor sporo miejsca zapasom Litwy z Moskwą w latach 1534 — 1537. Zerwała się do nich Litwa, pragnąc odzyskać stracone ziemie, a korzystając

jąc ze śmierci Wasyla i wewnętrznego stańd zamieszania w Moskwie. A chociaż i siły wojskowe i zasoby finansowe były niewystarczające, mogła pokonać Moskwę, zaangażowaną na południu napadem Tatarów (lipiec r. 1534). Jednak Litwa się spóźniła, niebezpieczeństwo tatarskie zmalało, a Moskwa zwróciła swe siły na zachód. Wyprawa litewska już wtedy (sierpień i wrzesień 1534 r.) nie przyniosła pożytku, a sprowadziła srogi odwet Moskwy (grudzień i styczeń 1535 r.), siejący zniszczenie na 300 wiorst w głąb Litwy. Brak sił z powodu niespodziewanego w zimie najazdu Moskwy był główną przyczyną klęski. Następują przygotowania do nowej wyprawy na Moskwę z pomocą Korony, w przymierzu z Tatarami (r. 1535). Tatarzy robią dywersję, ruszywszy na Rjazań, a tymczasem wojska litewsko-polskie pod wodzą hetmana litewskiego, Jerzego Radziwiłła, hetmana polskiego, Jana Tarnowskiego i kasztelana kaliskiego, Andrzeja Górki, odnoszą szereg zwycięstw i powodzeń. Zdobyto Homel, Starodub, Poczep, Radohoszcz, w ręku Litwy była cała prawie Siewierszczyzna. Ale wszystko poszło na marne, zdobytych grodów nie utrzymano, bo ich nie obwarowano, a powodem głównie był brak gotówki, przez co i zaciężnych nie dało się dłużej zatrzymać i walki dalej poprowadzić. W dodatku w sierpniu 1535 r. napada na województwo ruskie gospodar Piotr z poduszczenia Moskwy, robiąc dywersję na jej korzyść. Wróg tymczasem zajął północny skrawek województwa połockiego i wybudował parę twierdz w granicach Litwy. A chociaż przyszły w następnym roku ciężkie czasy na Moskwę tak ze strony Tatarów, jak i wewnętrznych rozruchów, nie mogła Litwa poprowadzić dalej walki bez wojska zaciężnego. Trzeba więc było pertraktować z Moskwą o pokój. Ostatecznie zawarto rozejm na lat pięć w lutym r. 1537. Warunki ugody świadczyły, że Litwa wyszła bez żadnej korzyści. Myśli więc teraz o nowej wojnie z Moskwą po upływie rozejmu. Przygotowania w tym celu, rozpoczęte w r. 1538, polegały na zbieraniu środków finansowych i pozyskaniu Tatarów. A chociaż z końcem r. 1540 pozyskano Krym, a w roku następnym na wieść o pochodzie Moskwy na Kazań ruszyli na nią wszyscy niemal Tatarzy, poparci przez Turcyę, brakło w tej groźnej wyprawie na Moskwę Litwy. Kwestya węgierska nie pozwoliła Zygmuntowi I znaleźć się w koalicji antimoskiewskiej i skłoniła go do przedłużenia rozejmu z Moskwą na lat siedem.

Przyczyn niepowodzenia w polityce zewnętrznej Litwy upatruje autor w jej wewnętrznej słabości. W tym celu zajmuje się z kolei wewnętrzną historją Litwy w latach 1529—1544. Z zanikiem udziałnych terytoryów, gromadzonych przez Bonę, wzrosło w potęgę panowie zamiast wielkiego księcia skutkiem częstej i długiej jego nieobecności na Litwie. Wy-

rośli na służbie publicznej, oparci o ogromne włości ziemskie, mając swych przedstawicieli w »panów radzie«; Radziwiłłowie, Zabrzezińscy, Gasztołdowie, Hlebowicze i inni sprawowali rządy pod nieobecność króla z triumwirami na czele: biskupem wileńskim, wojewodą wileńskim i wojewodą trockim. Radziwiłłowie współzawodniczą z Gasztołdami, z których Olbracht, kanclerz i wojewoda wileński, był formalnym wielkorządcą Litwy. Zbliżenie się tych rodów następuje z powodu gospodarki Bony, wydierającej im dobra przez wykupno. I teraz kreśli autor w jaskrawych barwach tyrańskie rządy spółki Radziwiłłowsko-Gasztołdzińskiej, dające się we znaki szczególnie ziemianstwu, pozbawionemu opieki prawa, skoro sądownictwo było w rękach »panów rady«, a od Zygmunta uzyskano w r. 1542 akt, którym zakazał wytaczania spraw litewskich przed królem w Koronie. Próba wprowadzenia sądów ziemskich też się nie powiodła, zostawiając szlachtę litewską na pastwę panów, praktykujących zajazdy, dopuszczających się gwałtów i bezprawii. W jeszcze gorszym położeniu był stan wieśniaczy, uginający się pod służebnościami. Jedynie w lepszej kondycji było bogate mieszczaństwo, którego znaczenie zacznie się zmniejszać od połowy XVI wieku.

Taką Litwę objął w zarząd młody król, Zygmunt August w r. 1544. Dzieje Litwy pod rządami jego w latach 1544 — 1548 wypełniają część trzecią książki. Stosunki zewnętrzne w tych czasach bardzo niepewne. Turcyja, zajmwszy Wołoszczyznę i Węgry, kierowała się w stronę Polski i Litwy. Dlatego z jednej strony obaj Zygmunowie robią przygotowania na wypadek inwazyi tureckiej, z drugiej dokładają wszelkich sił, głównie król stary, by niedopuszczyć do konfliktu z Turcyą. Nie popiera więc Zygmunt I hospodara Piotra, gdy myśli o wyzwoleniu się z pod zwierzchnictwa Turcyi, wysła się, by usunąć naprężenie w stosunkach z Turcyą, wywołane przez małżeństwo Zygmunta Augusta z córką Ferdynanda (r. 1543), spieszy z zadośćuczynieniem za szkody wyrządzone ze strony polskiej w tureckim Oczakowie, mimo, że wtedy Zygmunt August myślał raczej o zaopatrzeniu granicy południowej. Ale gdy Turcy zaczęli stawiać twierdzę nad granicą litewsko-polską, obaj królowie postanowili temu przeszkodzić i przygotować się na wypadek najazdu tureckiego, składając Turków swemi zarządzeniami do przerwania budowy twierdzy i odnowienia przymierza i pokoju. Sprawy te nie pozwoliły należyście zwrócić uwagi w stronę Niemiec i Inflant. Książę pruski Albrecht, chcąc przeszkodzić cesarzowi w mianowaniu księcia Meklemburskiego mistrzem inflanckim (co było groźnem dla Albrechtowego brata, arcybiskupa ryńskiego, Wilhelma), nadto w akcyi cesarza przeciw książętom protestanckim, próbuje obu królów wciągnąć do Wojny Szmalkaldzkiej. Spotyka się je-

dnak z odmową i zakazem robienia nawet zaciągów w Koronie i Litwie.

Zarząd wewnętrzny Litwy sprawował Zygmunt August przy współudziale »panów rady«, odpierając zakusy szlachty, dążącej do zdobycia sobie pewnej władzy. Jest to stan przejściowy, bo przez rozszerzenie i potwierdzenie przez króla przywilejów prowincyj litewskich budzi się powoli samorząd ziemiański. Omówiwszy uregulowanie granic Litwy przez Zygmunta Augusta, przechodzi autor do spraw ekonomicznych Litwy w tym czasie. Należy tu akcja wymienna celem usunięcia lichej monety świdnickiej, dalej organizacja skarbu wielkoksiażęcego i nadwornego. Wyliczywszy dochody i rozchody skarbu litewskiego, poświęcił autor osobny rozdział dworowi wileńskiemu, którego utrzymanie poważną zajmowało rubrykę w rozchodach skarbu. Był to dwór królowej Elżbiety i dwór litewsko-polski Zygmunta Augusta. Autor przedstawia ich organizację i szerokiem korytem płynące życie dworskie, pełne uczt, maskarad i polowań, którego nawet śmierć Elżbiety nie zatamowała. Dwór wileński był także świetnem ogniskiem kulturalnem, czego dowodzi bogata biblioteka i galeria obrazów oraz napływ artystów różnej narodowości do stolicy Litwy, skupiających się dokoła dworu. Sam król Zygmunt August bierze żywy udział w pracy kulturalnej, odbudowuje zamek dolny, wznosi szereg budowli. Wśród budowniczych jest dużo Polaków.

Książkę kończy autor omówieniem życia Barbary Radziwiłłówny, małżeństwa jej z królem, na nim wymuszonego, oraz stanowiska współczesnych i rodziców wobec dokonanego faktu.

Już z powyższego streszczenia widać, że praca Dr. L. Kolanowskiego jest wielkiej wartości. Oparta w bardzo znacznej części na materyale archiwalnym, porusza cały szereg doniosłych kwestyj i zagadnień, rzucając obfity snop światła na epokę Zygmuntów po rok 1548. Czy weźmiemy pod uwagę elekcję Zygmunta Augusta i świetną w koncepcyi walkę między dworem a społeczeństwem szlacheckiem w Koronie o *Majestatem regni*, czy całkowity niemal i w znacznej mierze nowy obraz stosunków polityki zagranicznej Litwy, czy wreszcie i przede wszystkim stosunki wewnętrzne Litwy, polityczne, społeczne i ekonomiczno-kulturalne, tak mało znane i badane u nas, musimy przyznać wielką zasługę autorowi.

Nie tu miejsce na szczegółową analizę krytyczną dzieła. To też poprzestać należy na uwagach, jakie się nam nasunęły w ciągu lektury. Uderza w pierwszym rzędzie pominięcie stosunków religijnych i kościelnych na Litwie, dalej za słabe uwzględnienie parlamentaryzmu litewskiego (ustęp w przypiskach do stron 218 — 221 nie może na żaden sposób zastąpić tego braku), jak również wpływów Polski na Litwę, zwłaszcza

kulturalnych. Wogóle proces assymilacji Litwy do Polski, widoczny już wtedy w życiu państwowem, społecznem i kulturalnem pierwszej, nie został przez autora wyraziście skreślony. Pewne znowu kwestye są, zdaniem naszym, za bardzo streszczone. Do takich zaliczamy n. p. stosunek Litwy do Inflant (str. 253 — 254), stanowisko Zygmunta Augusta w polityce z Turcyą w latach 1544 — 1547 (str. 240 — 252), przyczem nie nakreślono szerszego tła, jakim była gotująca się wówczas w świecie chrześcijańskim krucjata na Turków.

Jeśli chodzi o stronę metodyczną rozprawy, to uważamy za uchybienie, nie zawsze dość krytyczne korzystanie przez autora ze źródeł. Mam tu na myśli źródła Górskiego t. zw. *Acta Tomiciana* (częściowo też przepisane w *Tekach* Naruszewicza). Wiadomo dzisiaj, że Górski bynajmniej nie był bezstronnym historykiem, że zbierając źródła przerabiał akta i listy swoje i cudze, a nadto opatrywał je w komentarze zjadliwe i tendencyjne¹⁾. Wobec tego zdziwić może czytelnika podanie charakterystyki senatu koronnego w latach 1535 — 1538 (str. 47 — 50) tylko i wyłącznie na podstawie Górskiego (cytowanego z *Tek* Naruszewicza), z wyraźnem, co prawda, odwołaniem się w tekście na niego, co jednak nie zmienia postaci rzeczy, skoro autor, wyciągając z tej charakterystyki wnioski, approbuje ją niejako. I tu ciśnie się pytanie, dlaczego autor nie rozglądał się za innemi jeszcze źródłami lub przynajmniej nie wyrezył się literaturą²⁾, która prócz źródła powyższego rozporządzała jeszcze innemi. W tym wypadku na szczęście wnioski autora nie straciły wartości, bo i według innych źródeł opinia o senatorach wypadłaby nie wiele więcej pochlebnie. Chodzi nam jednak, jak jeszcze raz zaznaczamy, o stronę metodyczną, nie merytoryczną.

Dodamy jeszcze, że autor wogóle zapomina o literaturze, która choć skromna, przecież istnieje, oparta nieraz o te same źródła, które miał autor. Pomijanie literatury nie tylko utrudnia pracę badaczowi, ale jeszcze, co gorsza, pozbawia go prawa własności, skoro zdarzyć się może, że sąd jego w pewnej kwestyi, wydany po zbadaniu odnośnych źródeł, już ktoś inny przed nim wypowiedział, nieraz na podstawie tych samych źródeł. W odniesieniu n. p. do niniejszej książki musimy podnieść, że zasadnicze rzeczy; dotyczące wychowania Zygmunta

¹⁾ W. Zakrzewski: *St. Górski i jego prace historyczne*. Rozprawy Akademii Umiejętności, wyd. hist.-filoz. Serya II, t. 27, r. 1909, str. 284 — 311.

²⁾ X. J. Fijałek: *Stanowisko episkopatu polskiego wobec hołdu pruskiego*. Pamiętnik słuchaczy Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1887 r. — X. Korytkowski: *Arcybiskupi gnieźnieńscy*. — W. Zakrzewski: *Rodzina Łaskich w XVI wieku*. (Ateneum, 1882).

Augusta, zebrał już prof. Finkel¹⁾, korzystając zapewne z tych samych źródeł, co autor, tylko znacznie wcześniej; także usiłowania Albrechta pozyskania królów starego i młodego przeciw cesarzowi w r. 1546 przedstawił już Wotschke²⁾ na podstawie tego samego materiału archiwalnego z Królewca, którym rozporządzał autor. Takich przykładów można wymienić więcej.

Omówione braki, czy pewne usterki nie ujmują jednak wartości pracy Dr. Kolankowskiego, która zbudowana bez zarzutu, przejrzysta, żywo i barwnie napisana, stanowi poważną zdobycz w dorobku naszej literatury historycznej lat ostatnich.

Dr. Władysław Bogatyński.

— *Ilustrowany dwutygodnik artystyczny „Teatr”*. Pierwszy kwartał, grudzień 1912 — luty 1913, zeszytów 6. (Kraków). — Znaczne zainteresowanie się teatrem, jakie dało się u nas zauważyć w połowie ubiegłego stulecia — upadło, a z nim cały szereg ówczesnych wydawnictw. Późniejsze usiłowania, zwrócone w kierunku nadania przejawom sztuki teatralnej własnej literatury, mamy do zawdzięczenia li tylko kilku jednostkom, z pośród których na pierwszym miejscu należy wymienić ś. p. Karola Estreichera, autora najpoważniejszych z tego zakresu prac, o charakterze historyczno-monograficznym, Stanisława Koźmiana (*Rzeczy teatralne*) i Władysława Bogusławskiego.

Dziś należy stwierdzić z ubolewaniem, że teatr, jako sztuka samoistna, teatr polski — jako placówka kulturalna, współczesnej literatury prawie nie posiada. Boć za taką chyba nikt nie uważa sporadycznych artykułów, pisanych z okazji ważniejszych zdarzeń teatralnego życia, recenzyj i sprawozdań, wykazujących czasem pewną w tym lub owym kierunku erudycję, której raczej należy się miano rutyny.

W przeciwstawieniu do polskiej, bogata w dziedzinie sztuki teatralnej, literatura zagraniczna u nas posiada bardzo nielicznych czytelników; co gorzej, jest ona niezmiernie rzadko uwzględniana przez naszego artystę, który, nawet pomimo znajomości obcych języków, bywa zazwyczaj tak dalece zaawansowany w pojęciu swego artystycznego doświadczenia, iż nie ma ochoty oddać się pracy naukowej swego zawodu. Stąd upadek aktorstwa w Polsce najwidoczniejszy: prawie nie mamy aktorów-nauczycieli, mamy mało wytrawnych aktorów-reżyserów, sztuka zaś aktorska wogóle opiera się u nas prze-

¹⁾ *Charakterystyka Zygmunta Augusta*. Przew. nauk. i liter., 1888.

²⁾ *Geschichte der Reformation in Polen*. (Leipzig, 1911, str. 34 i nast.).

ważnie na dyletantyzmie w znaczeniu intuicji artystycznej i poniekąd przechodzi jakby ewolucję z artyzmu w kooperatywę.

Takie zagadnienia, jak: scena i jej zadania, zespół, reżyseria, inscenizacja, dykcja, mimika, charakteryzacja, poza, ruch, styl, kostiumologia, malarstwo i efekta teatralne, — zagadnienia dawniej tak skwapliwie, poczynawszy od starożytności, obserwowane i przechodzące najrozmaitsze epoki i fazy rozwoju, u nas nie budzą zainteresowania, a praca na tem polu nie znajduje ani zrozumienia, ani poparcia ogółu.

A jednak w każdym okresie, nawet najgorszym, pojawiają się *lucida intervalla*. Do tego rodzaju pocieszających objawów należy zaliczyć wydawnictwo p. t. *Teatr*, którego pierwszy zeszyt ukazał się w początkach grudnia zeszłego roku. Zadaniem *Teatru*, ilustrowanego dwutygodnika artystycznego, jest w pierwszym rzędzie wypełnienie najistotniejszych braków na tak zaniedbanem polu naszego czasopiśmiennictwa. Czy jego ideały zostaną urzeczywistnione — to kwestya przyszłości; na razie sympatya powitać z całą sympatya pismo, którego kierunek wskazuje poważne zrozumienie celów, do osiągnięcia których dąży.

Już pierwszy zeszyt przynosi takie nazwiska jak Karola Estreichera — dowód troskliwej pamięci i nawiązania do najszczytniejszych ideałów: artykuł p. t. *Bogumił Dawixson i jego ustąpienie ze sceny polskiej* jest świetnem uzupełnieniem i zaostrzeniem wiadomości, zamieszczonych przez tegoż autora w warszawskim *Wędrowcu* oraz w III. tomie *Teatrów w Polsce*. Na łamach *Teatru* znalazł też uwzględnienie dział pamiętników, u nas zupełnie zaniedbany, a stanowiący pierwszorzędnej wartości materiał historyczny. Pamiętniki Leona Stępowskiego, dotąd nigdzie nie drukowane, są cennem źródłem wiadomości o najwybitniejszych artystach naszej sceny, jak Królikowski, Modrzejewska i inni.

Dalej p. Juliusz Tenner w doskonałym opracowaniu podaje *Nowe odkrycia w dziedzinie głosu ludzkiego*, p. W. Buzek: *Monachijski teatr artystów w zakresie reformy budynku teatralnego* i tenże: *O wzięciu szminki*. Z dziedziny filozofii sztuki znajdujemy artykuły W. Briusowa: *Realizm i umówienie na scenie*, Karola Krzyżanowskiego: *Teatr — Studium*, W. Lemańskiego: *W dążeniu do teatru jednej woli*, W. Brummera: *Granie indywidualności reżysera i aktora* i inne. Chcąc dać przegląd naszych najwybitniejszych sił aktorskich, wprowadził *Teatr* dział sylwetek, w których zamierza przedstawić wszystkie cenniejsze postacie naszej sceny. Z dzieł współczesnej literatury, które drukuje *Teatr* na razie w urywkach, na uwagę zasługuje fragment K. M. Rostworowskiego: *Judasza z Kariothu*. Po za tem każdy zeszyt zawiera ogólne sprawozdania z działalności teatrów zagranicznych niemieckich i francuskich, zaś w prze-

glądzie scen polskich *Teatr* stara się o odtworzenie wyczerpującego obrazu repertuarowych nowości.

Dobór wyszczególnionych tu tematów, ożywionych licznymi ilustracyami, oraz zewnętrzna strona, odznaczająca się starannością i poczuciem artystycznej kultury, wskazują na umiejętny kierunek i poważne traktowanie trudnego zadania przez redakcyę, na której czele stoją pp. Karol Krzyżanowski i Władysław Rutkowski. Bez kwestyi *Teatr* w ciągu pierwszego kwartału swego istnienia nie mógł jeszcze urzeczywistnić wszystkich obranych przez się dążeń, jednak z czasem, oczywiście o ile jego szlachetne usiłowania spotkają się z poparciem ogółu, należy się spodziewać, że będziemy mogli poszczycić się pismem, które niewątpliwie doloży wszelkich starań w kierunku pełnego opanowania swego zakresu, aż stanie się zupełnie fachowem.

Dr. St. Turczyński.

Z literatury powieściowej.

— Gustaw Daniłowski: *Marya Magdalena* ¹⁾. (Spółka nakładowa »Książka«, Kraków, str. 370). — Maurycy Maeterlinck w oryginalnych swych roztrząsaniach p. t. *Skarb pokornych*, rozważając nad ludzkim »życiem głębokiem«, taki pisze ustęp: »Dobrze jest przypominać ludziom, że i najnędnieszy z nich ma możność wyrzeźbić podług modelu, którego nie wybiera, wielką indywidualność moralną, składającą się z dwóch równych części: z niego samego i z ideału. Otóż ta »wielka indywidualność moralna« rzeźbi się nie inaczej, jak w głębokościach życia; a zbiornik niezbędnego ideału powiększa się dzięki tylko nieustannym »podnoszeniom się ku boskości«. Każdy człowiek może dojść w duchu do szczytów życia cnotliwego i wiedzieć w każdej chwili, co należy czynić, by postępować jak bohater lub jak święty. Ale nie to jeszcze jest ważnem. Trzeba, żeby duchowa atmosfera przetworzyła się dookoła nas w taki sposób, iżby stała się podobną do atmosfery pięknych krain złotego wieku Swedenborga, gdzie powietrze niepozwalalo wychodzić z ust kłamstwu. Ale taka atmosfera otacza tylko tych, którzy starali się często przewietrzać swe życie, otwierając drzwi do innego świata. Tylko w pobliżu tych drzwi coś widać. Tylko w pobliżu tych drzwi można kochać...«

Jeżeli — podług Maeterlincka — nawet najnędnieszy człowiek potrafi wyrzeźbić wielką indywidualność moralną, skła-

¹⁾ Powieść niniejsza, skonfiskowana przez c. k. Prokuratorę Państwa, wyszła jako interpellacya posła Regera i towarzyszy. Obecnie wydano zakaz jej sprzedaży.

dającą się i z niego samego i z ideału — to jakież ogrom tej indywidualności moralnej winien dać ze siebie człowiek, którego celem życia: służenie sztuce, którego imię: artysta, dla którego bytem i mieszkaniem: właśnie kraina myśli i ideału!

Jaką »indywidualność moralną« wyrzeźbił p. G. Daniłowski, stwarzając powieść ostatnią *Marya Magdalena*? Co w niej dał z siebie, a co z ideału?

Pytania te stawia się każdej książce, każdemu arcydziełu nawet. Nie czyni się zaś tego bynajmniej ze stanowiska jakowejś etyki (boć przecież sztuka dla sztuki tylko istnieje!), lecz odpowiedzi na to wymaga sam fakt analizowania każdego utworu, jego rozbiór, który w rezultacie winien przynieść wytłómaczenie, co nam dał autor ze siebie, jakimi myślami kierował się tworząc, jaki wreszcie cel jego natchnienia i pracy, jaka też całości wartość, czy to pod względem artystycznym, czy też ideowym, czy jakimkolwiek innym.

Szukajmy tedy najpierw samej »indywidualności« autora w omawianej powieści. Jej bohaterką jest Marya z Magdali, siostra schorowanego Łazarza i mniej niż ona, bardzo jednak pięknej, Marty. Mieszkają we troje. Gdy jednak Łazarz wraz z siostrą wiodą żywot spokojny, cichy, pełen codziennych trosk i zabiegów — to Marya szaleje, rozdając swe wdzięki co najładniejszej i najbogatszej młodzieży. Do tego życia przywiódł ją Judasz z Kariot, »mowny — słowa autora — wykrętacz, noszący w swoim wielkim rudym czerepie chaos niepospolitych myśli, a pod łataną opończą skorpiona potężnych żądz i ambitnych zamiarów, silny i bezwzględny«. On wzbudził w Maryi piekło niezaspokojonej żądz, on pchnął ją na drogę jawnej rozpusty.

Marya nie gardzi nikim, kto tylko w jakikolwiek sposób potrafi zaspokoić jej zmysły. Murzynka, służąca, Greczynka Melitta, kobiety i mężczyźni — wszystko stworzone dla niej, dla jej kaprysów, zachceń i namiętności. To życie Maryi, w najdrobniejszych szczegółach oświecone, jeżeli to w nocy — światłem lamp lub księżyca — opisuje nam... jedna połowa książki.

Pewnego razu, gdy Marya wracała od bogatego i możnego Rzymianina Mucyusza, napadł na nią rozżarty tłum, przed którym obronił Magdalene Chrystus, spieszący właśnie pod dach jej siostry i brata. Odtąd Marya przestaje udzielać się innym — myśli tylko o Chrystusie, o którym zresztą słyszała wiele od innych, zwłaszcza od Judasza. Ten ostatni wierzył, iż Jezus zostanie królem, władcą możnym i potężnym. To też wysługiwał się Chrystusowi wytrwale, przezornie myśląc o przyszłości w formie bodaj posady ministra na Jezusowym dworze.

Marya chodzi za Chrystusem jak cień. Wreszcie doczekała się Jego śmierci. Odurzona wszystkim co zaszło, rozko-

chana w człowieku ukrzyżowanym do ostatnich granic, ucieka na pustynię i tam w historycznym szale pędzi swój żywot. Znaleźli ją uczniowie Chrystusa — prowadzą ze sobą do Pawła Apostoła. W nawracaniu Żydów i pogan — tak rozmyślają — Marya, ten naoczny świadek mąk i śmierci Chrystusa może być bardzo pomocny. Obserwują ją też troskliwie, tem bardziej, że Marya w napadzie szału i histeryi zatrzymała na poranionem ciele, na rękach, nogach i piersi stygmaty, które otwierały się co pewien czas, silnie krwawiąc... Na widok tych cudów, tłum wył, drżał i kajał się. Wreszcie Marya zapragnęła zostać ukrzyżowaną. Spełniono jej życzenie, przybito twarzą do krzyża. Tu dostała Magdalena nowego ataku przywidzenia i histeryi — poczem, wyrwawszy z drzewa gwoździe, runęła bez ducha na ziemię.

Taką jest bohaterka ostatniej powieści p. Daniłowskiego. Czy nowa i pojęta indywidualnie? Nie! Zlepek to dobrze już w literaturze znany, a składający się z dwóch istot: wyrafinowanej rozpustnicy i niepoczytalnej histeryczki, na którą miejsce w szpitalu obłąkanych.

I jeden typ i drugi znany nam aż z nadto dobrze, obrobiony w literaturze po setki razy, tak, że stworzyć go i przedstawić dzisiaj nie sprawia żadnej trudności, nie wymaga ani krzty pisarskiej inwencji. Wystarcza ku temu poczytać kilkanaście odpowiednich książek, aby za ich pomocą tego rodzaju bohaterki mieć gotowe od stóp do głów. Od pojęcia bogini Astarty i Afrodyty, poprzez lesbijską Safonę i Frynę, od heter rzymskich aż do kurtyzan wszelkich wieków i czasów — ten sam to typ, złączony w jedną całość z oszalomionymi kapłankami boga delfickiego, nieszczęśliwymi obłąkańcami wieków średnich, z dzisiejszemi histeryczkami, czy będą niemi młode dziewczęta, wyprawiające orgiastyczne tańce i klujące się szpilkami rzekomo ku czci Boga, czy też dojrzale damy, rozplywające się w łzach, skargach i lamentach bez przyczyny i powodu, a raczej z powodu i przyczyny nieuleczalnej choroby.

Nie wysiliła się artystyczna indywidualność autora na postać i obraz bohaterki, dała nam bowiem kopię tylko oryginałów — oryginalnych naprawdę. Żeby jednak błada kopia świeciła się i nęciła oko — starannie ją autor powerniksował, uczynił to jednak tak *par force*, a zarazem tak niezręcznie, iż nieletni tylko lub niedoświadczony uwierzy w talent i oryginalność rysunku. To, co naiwny będzie uważał za »głębię psychologiczną«, okazuje się tylko grą i igraszką rozigranych nerwów. Zaspakajane przez wszystkich, a nie zaspokojone przez jednego, dziwnie na to obojętnego człowieka, te nerwy musiały rozhulać się w pożądaniu i ląknieniu, musiały wreszcie doprowadzić do rozstroju całe ciało i umysł, umysł ani lotny,

ani szeroki, zanurzony tylko w rozważaniu i zaspokajaniu żądz fizycznych.

Była to konieczność fizyologiczna, nie mająca z głębią psychiczną wspólnego nic a nic. Zresztą — jak wspomniano — gotowe patrony pod ten rysunek znalazł już autor przed sobą w wcale nie małej liczbie. Z siebie tedy autor nie wiele indywidualności wydobył, po za sprawą jedną: oto, przedstawił Maryę w drugiej połowie jej życia wbrew świadectwom i tradycji. Istotnie, wielka w tem siła, wielka indywidualność i wielka... odwaga! Najłatwiejszy to zresztą sposób zwrócenia na siebie i książkę uwagi. Nie potrzeba tylko w tym celu sięgać ani po Chrystusa, ani po Magdalene. Wystarczy n. p. napisać książkę, której bohaterem będzie Mickiewicz, albo Słowacki, albo jaki Kościuszko może, i wystarczy przedstawić ich jako niezrównanych szulerów, pijaków — pokazać, jak ten i ów szukał uciechy i »ukojenia« w nektarze miłości — a zaiste — przyzna to chyba każdy — autor takiej powieści w lot zyska sobie miano »nieustraszonego bojownika w imię prawdy«, »głębokiego psychologa i znawcy ostatnich fibrów duszy człowieka«, »niepospolitego indywidualisty« i pisarza »nowego, nawiąskróś oryginalnego«.

Wszak dzisiaj coraz częściej dochodzimy do tego, że ekscentryczność, brawurę i śmiały tupet w zaprzeczaniu, nazywamy głębią, niepospolitą rozumem, śmiałym charakterem, bujną indywidualnością i t. d. Wszak o zbiorze nowell p. Walewskiej p. t. *Pani El* pisano dosłownie ni mniej ni więcej — tylko takie słowa: »W stosunku do innych młodych naszych pisarek wysuwa się pani Walewska swoją kulturą umysłową bezprzecznie na plan pierwszy«, albo »są to (te nowelle) rzeczy, rozgrzewające swą wyzywającą śmiałością... kto chce serce pokrzepić a umysł odświeżyć, niechaj czyta tę piękną i pożyteczną (sic!) książkę«.

Takich kwiatków i głębokich recenzji przytoczylibyśmy mogli stronnice całą. Lecz nie o to chodzi! Chodzi o stwierdzenie za pomocą dokumentów drukowanych, że dzisiaj w literaturze popłaca przedewszystkiem... wyzywająca śmiałość. Tej wyzywającej śmiałości pozazdrościł p. Daniłowski nawet p. Walewskiej, i upewniwszy się, że jej *Marya Magdalena* choć krótka w rozmiarach, przecież tyle poklasku zyskała, »krzepiąc serca i odświeżając umysł« zabrał się do tego samego tematu, postanowił go tylko rozciągnąć na długość sporego tomu. Zresztą mniejsza o to, kto od kogo pomysłu i »indywidualności« pożytył, czy pani W. od pana D., czy pan D. od pani W., czy też oboje z innych — a przeważnie — obcych czerpali źródła; nam chodzi o stwierdzenie faktu, że postać Maryi u p. Daniłowskiego jest tylko — niestety! — bladą ko-

pią tej samej postaci, przed tem już przez innych autorów narysowanej i ze wszystkich stron przedstawionej.

A chyba od p. Daniłowskiego miał czytelnik prawo wymagać kreacyi oryginalnej i indywidualnej.

Obok Maryi — drugą główną postacią w powieści jest Chrystus. Przedstawiony — rzecz prosta! — wyłącznie tylko jako człowiek, człowiek jednak dobry, poczciwy, żyjący w krainie niepopłacających idealów. Ten to idealista wywarł niezatarte wrażenie na Maryi, gdy ją z pod kamieni hussyckiego pospólstwa ocalił, pytając spokojnie: »Kto z was bez grzechu, niech pierwszy na nią kamieniem rzuci«.

Wogóle z postacią Chrystusa obchodzi się p. Daniłowski bardzo poufale i protekcyjnie. Czasem pogłodzi go po włosach, to znów pogrozi paluszkami, to — kiedy indziej — pokiwa nad nim głową, ot, tak sobie... z dobrego, literackiego serca.

Czuje jednak p. Daniłowski ciągle, że przecież i ta postać druga, i ten Chrystus jego — jakiś naprawdę dziwnie nieoryginalny, że tak Messyasa przedstawiało już setki ludzi a dziesiątki powieściopisarzy — i to przedstawiało lepiej, barwniej. Bo powiedzmy otwarcie, zapominając oczywiście o tem, że postacią tą jest Chrystus sam — ale cała ta kreacya potężnie w książce nudna. Spostrzegł to autor, a że wie, iż krytyka i publiczność wszystko daruje oprócz nieartystycznych a nudnych postaci i rozdziałów, postanowił omawianą jednostkę rozruszać, uczynić zajmującą. Więc najpierw pozwala p. Daniłowski domyslać się czytelnikowi, iż oblubieniec Maryi, tę Maryę — prawdopodobnie — lubił sam... Wszak raz musnął ją nawet ustami po włosach, a wogóle jego zachowanie się wobec Magdaleny jest więcej, niż przyjazne. To jednak dobre dla pensyonarek, gimnazystek. Trzeba również zająć... starszych. W tym celu przedstawia p. Daniłowski Ostatnią Wieczerzę, podczas której »pobłogosławiwszy chleb, Jezus rozłamał go między uczni, i nalawszy im wina, wymówił:

— Spożywając ten chleb, spożywajcie jak gdyby ciało moje, które się za was dawa, a w tych kielichach jest jak gdyby nowy testament ze krwi mojej, która się za was wydawa«.

To »gwiazdka« dla starszych, na powyższych słowach opiera się »indywidualność« i »głębia« pisarza. Tak przynajmniej mówi o tem część »poważnej« krytyki, tak sądzi większość ogółu. Nie chce zaś niejeden zwrócić uwagi na to, że to tylko... wyzywająca śmiałość, brawura, oraz fałszowanie historycznego tekstu, nie mówiąc już — o tradycyi — w tym wypadku aż nadto zbadanej i przetrząśniętej.

O tę śmieszną i wyzywającą brawurę chodzi tu najwięcej, czyni ona bowiem z poważnego pisarza... literackiego kuglarza. Nie mówimy zaś o jednej sprawie. Oto parę tygodni

temu jeden z »najpostępowszych« miesięczników ujął się za... Napoleonem, zarzucając Nowaczyńskiemu, Sardou i Kozłowskiemu, że Napoleona, tego Napoleona, którego wielbili najwięksi w narodzie, jak Mickiewicz — oni, małe pisarki, klepią po brzuszku.

Może się doczekamy, że tego rodzaju laskawe krytyki, zestawiające wspaniałomyślnie Napoleona z Chrystusem, powiedzą to samo o p. Daniłowskim.

Nie oryginalne, skopiowane obie główne postaci. Może reszta książki pomyślana samorzutnie, śmiało, dobytą z własnych myśli i talentu?

Zobaczmy. Jest w książce trochę Rzymu, jest Pilat, jest Mucyusz, są tańce, festyny w ogrodach, jest wszystko, co być powinno, tylko że to już znamy, doskonale, lepiej i głębiej znamy od niejakiego Henryka Sienkiewicza, z jego *Quo vadis*, nie mówiąc znowu o dziesiątkach nawet współczesnych na ten temat pisanych. P. Daniłowski mózgu i literackiej inwencji wysilać nie musiał; obszedł się też bez studyów, książek i muzeów. Sienkiewiczowskie *Quo vadis* dało mu całkowicie gotowe do powieści tło, począwszy od peplum, w którym szukają biesiadnicy tego, czego nie zgubili, skończywszy na opisie greckich i rzymskich ciał, na sposobie myślenia i poruszania się rzymskich dygnitarzy i patrycyuszów. Wystarczyło »własnymi słowami« — opowiadać!

Żeby choć żydowska Rada, żydowscy kapłani, uczeni, Faruze przedstawieni byli w sposób oryginalny a silny i plastyczny. I to nie! Najnudniejsze to stronnice książki. Jeden, jedyny Judasz — sprawiedliwość bezstronna przyznać to każe — narysowany wyraziście, świadomy celu, dążący do pieniędzy i kochanki w sposób bezwzględny, gruby i chytry, tak jak gruby i chytry jego rozczochrany leś. Ale na całą książkę jedna i to epizodyczna postać dobra — to chyba za mało — jednak tak jest!

Nie wydobył tedy w powieści powyższej z siebie p. Daniłowski, jak by to Maeterlinck pragnął, żadnej »indywidualności«, nie mówiąc już o indywidualności »moralnej«. O tej bowiem umyślnie nie chcemy mówić, aby się nie wydawało, że potępiamy książkę dlatego, że »świętości szarga«, że »boli«. Nie! chodzi zupełnie o co innego, o wykazanie, jak mętne są dzisiaj sądy literackie, jaki chaos panuje w rozsądzaniu dzieł sztuki, jak coraz częściej z czelnością i tupetem podane na talerzu plewy bierze się za prawdziwe ziarno, jak skopiowany ale z »wyzywającą śmiałością i przewrotnością« obraz uważa się za »oryginalne, indywidualne, utalentowane« dzieło.

Inna rzecz, że jak przy każdej pracy ludzkiej, tak samo przy powstającej powieści, ma każdy prawo zapytać *cui ona hono?* Dlaczego i w jakim celu powstała?

Co było powodem napisania *Maryi Magdaleny*? O tem, może — powiedzieć autor sam, czytelnikowi wolno tylko domyślać się odpowiedzi. Rzecz prosta, że prawie każdy odpowie: potrzeba artystyczna, natchnienie! Tak, istotnie! W ten sposób powstaje u artystów, większość ich dzieł — niestety, do takich *Maryi Magdaleny* zaliczyć nie możemy. A nie możemy dlatego, że każde natchnienie, każda potrzeba artystyczna stwarza przede wszystkim rzeczy oryginalne, przetrawione i pomyślane w duszy autora, a następnie, że każde prawdziwe natchnienie artysty, przez to natchnieniem się staje, iż odrywa twórcę od ziemi, od brudów, a przenosi go w krainę ideału, piękna, rozkoszy.

Że cała powieść *Marya Magdalena*, to tylko powtórzenie, to tylko silnie powerniksowana kopia postaci i czasów dobrze znanych — o tem już chyba mówić nie potrzeba, ale godzi się zapytać, czy przenosi ona w krainę piękną i ideału, czy tworząc te karty, sam autor wzniósł się od powszedniości na wyżynę? Chyba nie! Połowa książki — to opisy rozpusty; druga — to Marya histeryczka, chora nieuleczalnie, studjum dla lekarza psychiatry i lekarza chorób skórnych.

Czy to jest oderwaniem się od »powszedniości« życia ziemskiego, a wzniesieniem się w sfery wyższe? To raczej wstąpienie z powierzchni ziemi do jej pierwotnych jaskiń, do jej dolów i lochów. A tego chyba żaden człowiek, »bodaj tak przeciętnie zdrowy« za ideał i za artystyczne natchnienie uważać nie będzie.

A zatem? Powodem powstania tej powieści, to chyba rozmilowanie się autora i w takich postaciach i w takich problemach. Jeżeli tak, to wszelka na ten temat dyskusja ustaje.

W jakim celu wyszła ta książka? Rzecz prosta — aby ją czytano, aby — dalej — nowy liść do wieńca laurowego dla autora wplotła. Tego ostatniego nie uzyska, zbyt bowiem »literacko« słaba — ale czytana jest. Cel zatem osiągnięty, tylko nie spostrzegł się autor, że zbyt go tanim kupił kosztem. Tanim i łatwym — dając czytelnikowi fałsz zamiast prawdy, kopię zamiast oryginału, mętę zamiast wody, chorobę zamiast zdrowia, robaczliwą separatkę szpitalną zamiast południowego słońca i nieskalanego błękitu.

Jest to wyzysk — zaiste — niewiemy, czy szlachetny i uczciwy.

Sztuka wiezów nie zna! To prawda, i tak mógłby się p. Daniłowski bronić, gdyby wiedział, że jego powieść ostatnia, to dzieło sztuki. Widzieliśmy jednak, że niem pod żadnym względem nie jest. Wobec tego wniosek prosty, iż jest to robota obmyślana na szerokie masy. Niechby nią była, i niechby niosła i siała pomiędzy płytkimi i nadgnilemi je-

dnostkami truciznę i przewrotność, gdyby tylko nie była dziełem Polaka, w Polsce, dla Polaków pisanem.

U nas jednak, gdy z każdym dniem potrzeba coraz więcej prawdy i stałego przekonania, gdy coraz duszniej i ciśniej, gdy wlecieć w czyste i przestronne pragniemy powietrze, u nas, gdzie starzy umierając, coraz częściej narzą o lepszej doli dla młodszych w przyszłości, u nas, zwłaszcza dziś — odważyć się obniżyć ten lot ku słońcu, zatruci atmosferę ducha, podkopywać wiarę w Boga, w przyszłość, w najpiękniejsze ideały — zaiste, czyn to, na który wprost trudno o dosadną nazwę.

Nie rozводим się nad tem szerzej, wierzymy bowiem że większość czytelników przejdzie nad książką tą do porządku dziennego, tak, jak się z obrzydzeniem strząsa i depce, gdy przypadkiem jakoweś plugastwo na ubranie spadnie.

Zastanowić by tylko się trzeba, jak się to stało, iż p. Daniłowski, którego dotychczasowe utwory bądź co bądź na inny kierunek wskazywały, jał się konkurencyi choćby dla takiej »literatki«, jak p. Walewska?

Odpowiedź weźmiemy z cytowanego już ustępu Maeterlincka: »Trzeba, żeby duchowa atmosfera przetworzyła się dookoła nas w taki sposób, iżby stała się podobną do atmosfery pięknych krain złotego wieku Swedenborga... Ale taka atmosfera otacza tylko tych, którzy starali się często przewietrzać swe życie, otwierając drzwi do innego świata«.

O to przewietrzanie swojego życia chodzi, o tę troskę, by być otoczonym atmosferą czystą, piękną, o tę krainę chodzi z czasu i wieku złotego — Swedenborga, bo tylko w pobliżu tych drzwi coś widać, tylko w pobliżu tych drzwi można kochać.

O to przewietrzanie swojego życia chodzi!

A. E. Balicki.

POLEMIKA.

Replika na recenzję Dr. W. Bogatyńskiego.

W zeszytzie lutowym *Przeglądu Polskiego* umieścił Dr. W. Bogatyński fachową ocenę mej pracy: *O stosunku hetmana Tarnowskiego do reformy Kościoła w XVI wieku*. Stawianych mi jednak zarzutów nie mogę pozostawić bez odpowiedzi, którą szerzej zamierzam umotywować na innem miejscu w szerszych uwagach.

I. Dr. Bogatyński nie uznaje roku 1550 za przełomowy w formowaniu się przekonań religijnych Tarnowskiego (przez

które, jak z toku mych wywodów wynika, rozumiem ustosunkowanie się hetmana do zagadnień reformatorskich), nie widzi różnicy i nadal w postępowaniu Tarnowskiego na sejmie r. 1550 a lat następnych. Uznawać ją muszę i nadal, skoro tak ostro potępiał zachowanie się Zebrzydowskiego w sprawie Krupki, choć rok przedtem affirmował edykt, w którym czytamy: »*Ecclesiasticas personas, earumque iura, immunitates ac privilegia privata et publica defensuros, conservaturos*«, a zatem potwierdzenie wyraźne edyktów z r. 1432, propozycji korektorskich z r. 1535, a nadewszystko konstytucyj sejmowych z r. 1543 (Vol. leg. I, 283), w których król za zgodą wszech stanów uchwała: »*Imprimis ad spiritualium iudicium pertinet judicare differentias... haereseos, schismata, blasphemias contra Deum et apostasias*«. (Potwierdza je Zygmunt August po dłuższem wahaniu się na sejmie r. 1552). Zrozumiałe zatem oburzenie się Zebrzydowskiego.

Porównajmy kilka postulatów, ogłoszonych w mowie Tarnowskiego do króla na sejmie r. 1551, z praktyką kilku następnych lat: 1) potępia urządzenie potajemnych schadzek, a w r. 1556 w czasie synodu urzędującego u siebie zjazd szlachty; 2) kacerzów nie każe do państwa wpuszczać, ich książki niszczyć, a od r. 1555 nawiązuje bądź osobiste, bądź listowne stosunki z tylu »kacerzami«, z najwyższem czyta zajęciem: *a te* (t. j. Kalwina) *de religione scriptos libellos*«. Zmiana zatem poczynająca się po r. 1550 wcale widoczna! Nie bez powodów czujny, jak żóraw, biskup warmiński, trzymający rękę na pulsie życia religijnego, właśnie w r. 1552 poczyną żywć poddejrzenia co do prawowierności Tarnowskiego i nadal je utrzymuje.

II. Zdaniem Dr. Bogatyńskiego hetman Tarnowski »kroczył drogą pokojową, na niej pragnął znaleźć załagodzenie niesnasek i sporów religijno-politycznych«. Sz. recenzent, powołując się na zdanie prof. K. Morawskiego, winien był je dalej pociągnąć, gdzie czytamy, iż »Tarnowski za Zygmunta Augusta wychodzi pod koniec życia na malkontenta«. Jeśli idzie o »drogę pokojową«, to inaczej mówią świadectwa współczesne, mieniające Tarnowskiego turbatorem gorszym od Kmity (*Nam et Tarnovius Kmity ipso turbulentior*. Vita P. K. p. 223), tylekroć wspominające go burzycielem szlachty na sejmy (*Teki Nar.* tom 53). Nie inaczej mówią opracowania. Jeden z ostatnich uczonych, Dr. Kolankowski, opierając się na bardzo rozległym materiale, tak określa dążenia Tarnowskiego: »Burzenie kraju, rwanie obrad sejmowych dla swoich osobistych celów, prywatnych widoków«. Stwierdzają to praktyki lat 1536, 1537 i 1553. A zresztą, by dalej nie sięgać, sam Dr. Bogatyński w swym szkicu o Tarnowskim tak go charakteryzuje: »Wogóle nie da się zaprzeczyć, że Tarnowski miał dużo w sobie z warchołą magnackiego, stając się typowym dla owych

czasów nietylko przez zalety, ale i wady». Czy dziś autor własnym sprzeniewierza się poglądom? Czy podawany królowi projekt zrzućenia jarzma papieskiego przy pomocy nagromadzonego wojska i życzliwych sąsiadów również pójdzie na karb »drogi pokowej w załagodzeniu sporów religijno-politycznych»? Poznałem dokładnie stronę polityczną działalności Tarnowskiego jako wiążącą się częstokroć integralnie ze sprawą reformacyjną i doszedłem do wniosku, iż równie zmiennym, jak w polityce, był i tutaj; stąd niepodobna oznaczyć linii ewolucyjnej jego przekonań, podlegającej ciąglým wahaniom i oscylacyom.

III. Co do zarzutu dwulicowości. W kwietniu r. 1556 pisze Tarnowski do Przerembskiego: »Jak największych spodziewać się należy niezgód i zaburzeń. Mnożą się i rosą w liczbie codziennie ewangelicy. Albowiem i Lismanin jest w królestwie... i inni niemieccy uczeni i teologowie«, a w parę miesięcy okrytemu bannicyą Lismaninowi śle słowa pociechy i oburzenia na proskrypcyę, wydaną wbrew »jego zapatrywaniom i wszelkiej nadziei. Niewątpliwem, iż stało się to staraniem tych, którzy chępią się imieniem duchownych, dziełem i troską — którzy i wielką u króla powagą jaśnieją i poważaniem, w swej władzy dzierżąc pióro i pieczęć KJM.«. (Przerembski, jako duchowny, był podówczas podkanclerzym). Jak nazwać oburzenie się na Lismanina przed podkanclerzym i równoczesne pomstowanie na Przerembskiego przed włoskim zbiegiem?

W cytowanym liście z trwogą hetman wspomina, iż »Łaski speratur«, a w rok nawiązuje z nim serdeczne stosunki, wzywa do siebie do Wiewiórki do prowadzenia dysputy. Takie postępowanie osądzam i dalej mianem dwulicowości. Stanowisko wobec Lippomana płynie z jego pojęć o stanowisku legatów wogóle (por. list do Przerembskiego), stąd zapatrywania ferowane przed Hozyuszem muszą każdego uderzyć.

Przy końcu rozprawy uderzają Dr. Bogatyńskiego pewne wyrażenia. Dla ścisłości jednak winien był dodać, iż powtarzam je, co wyrażnie zaznaczam, za prof. Morawskim, tak miarodajnym gdzieindziej dla Sz. recenzenta. Wówczas odpadłoby podsuwanie mi umotywowania zbyt dalekiego moim wywodom.

Przy końcu swej recenzji, wartość pracy autor umniejsza takim dodatkiem, »iż coprawda rzeczy zasadnicze nie są nowe«. Otóż: 1) Nad tą sprawą, jak Dr. Bogatyński był powiadomiony, zacząłem pracować na dwa lata przed ukazaniem się jego szkicu, równocześnie z ogłoszonymi podówczas *Stosunkami kalwinistów polskich ze Szwajcaryą*. 2) Jeśli Dr. Bogatyński chciał powołać się na jakieś opracowania, to raczej godziło się przytoczyć Wierzbowskiego, Wotschkego, Bukowskiego, czy wreszcie Bidla lub Liubowicza, a nie swoją rozprawę, gdzie autor w 16 dosłownie wierszach, opierając się na

Hosianach i 5 opracowaniach, omawia stosunek do Reformacji. Czy bez uzyskania korespondencyi rękopiśmiennej (w Bibl. Pot. Arch. w Zurychu) i drukowanej, literatury polemicznej, sprawę zasadniczo można rozstrzygnąć, śmiem powątpiewać. Nie mojem było zadaniem problematyczne odkrywanie nowych światów, jak raczej wyjaśnienie zagadnienia tylekroć poruszanego, które mnie jednak nie zadawało. Dlatego się niem zająłem, nie rosząc sobie bynajmniej pretensyi do ostatecznego załatwienia. Wszak mogą znaleźć się nowe materyały i przyczynki (może relacye internuncjuszy gdańskich), które mój sąd obalą i zasadnicze załatwienie Dr. Bogatyńskiego. Jednego tylko jestem pewien, iż całą sprawę traktowałem *sine ira et studio*. Nie dopiero przy końcu rozprawy jasno sprawę postawiłem, ale i w ciągu mych wywodów, pisząc po pierwszych wystęпах Tarnowskiego, iż »im jeszcze bardzo daleko od jakiegokolwiek zboczenia z drogi i tradycyi wiary katolickiej«, a w omawianiu jego stosunku z reformatorem wyraźnie zaznaczyłem, iż »jednak na sprawę Reformacji patrzy ogromnie ostrożnie«.

Jeśli Sz. recenzent stawiał zastrzeżenia co do moich wywodów, powinien był kwestynować te przekazy, na których się opierałem, jak n. p. sąd takiego optymisty, jak Padniewski, który w kreśleniu charakterystyk 10 mężów raczej im przymiotów przydawał, niż nagany udzielał, a który jednak pisał o Tarnowskim: *Mutatione religionis omnem prioris vitae cursum foedavit*.

Dr. Kazimierz Hartleb.

Odpowiedź na replikę Dr. K. Hartleba.

Po przeczytaniu repliki Dr. Hartleba zrobiłem dwa spostrzeżenia: 1) Autor nie rozumiał lub nie chciał zrozumieć moich zarzutów, 2) powtarza co już raz w swej pracy powiedział. (*Kwart. hist.*, 1912, 3). Stąd odpowiedź moja właściwie zbyteczna. Dla umotywowania jednak moich spostrzeżeń odpowiadam na najważniejsze punkta repliki.

1) Różnicę w postępowaniu Tarnowskiego na sejmio w r. 1550, a w latach następnych, widzę i ja w stosunku do Zebrzydowskiego i biskupów wogóle¹⁾; ale jest ona dla mnie zrozumiała (w przeciwieństwie do autora, strona pracy jego

¹⁾ W recenzyi przecież piszę najwyraźniej o sejmie z r. 1550: „Zgoda na ten punkt zwrotny, ale nie w przekonaniach religijnych (scil. Tarnowskiego), bo tych nigdy nie zmieniał, lecz w stanowisku jego do stanu duchownego, biskupów i wogóle instytucji Kościoła“.

256). Posunięcie się biskupów aż do wydawania wyroków bannicy i infamii na szlachcica, oskarżonego o herezję, do których nie byli uprawnieni ani ustawami polskimi, ani edyktem z r. 1550, oburzyło hetmana, który, jak sam autor stwierdza na str. 259 swej pracy, domagał się teraz »sprowadzenia jurysdykcji biskupiej w granice prawa«. Uroszczenia zatem tej jurysdykcji, których przedtem nie było, tłómaczą wystąpienie Tarnowskiego przeciw Zebrzydowskiemu i biskupom wogóle, usuwając tem samem zarzut Zebrzydowskiego, a za nim Dr. Hartleba sprzeniewierzenia się jakoby hetmana własnym przekonaniom. Na tak jasno postawioną w recenzji (zeszyt *Przeгляdu Polskiego* lutowy z b. r., str. 262) kwestyę nie otrzymałem przecież odpowiedzi w replice.

2) W recenzji wspomnianej mówiąc o stanowisku hetmana wobec Reformacyi, wyraziłem się, że »kroczył drogą pokojową, na niej pragnął znaleźć załagodzenie niesnasek i sporów religijno-politycznych«. Odnosiło się to wyłącznie, jeszcze raz z naciskiem zaznaczam, do stanowiska Tarnowskiego wobec Reformacyi. Tymczasem w replice Dr. Hartleb odniósł »drogę pokojową« do całego życia hetmana. Żadna droga pokojowa — mówi autor — skoro Tarnowski był turbatorem, jak świadczą źródła współczesne (tu przytacza autor stroniczy *Żywot Piotra Knity* i równie stronicze źródła Górskiego, pomieszczone w *Tekach Naruszewicza*, tom 53), rozprawa Dr. Kolankowskiego ¹⁾ (sąd o Tarnowskim oparty tam na tychsamych źródłach, jakie wymienia Dr. Hartleb, a nie rozległego materiału, jak mylnie pisze w replice), wreszcie rzekomo świadczą jeszcze moje własne słowa o Tarnowskim w szkicu jemu poświęconym (*Biblioteka Warszawska*, 1911, 3), podnoszące pewne rysy ujemne hetmana. Naturalnie, że w tem zrozumieniu »drogi pokojowej« już nie tylko można się dopatrzeć sprzeczności między moim szkicem a recenzją, ale w samym szkicu, gdzie na str. 329 mówię o wadach Tarnowskiego, a zaraz na stronie następnej wygłaszam zdanie o stanowisku hetmana wobec Reformacyi, tej samej treści, co w recenzji.

3) Z roboty Przerembskiego, sprawcy, zdaniem hetmana, bannicyi Lismanina, nie mógł być zadowolony Tarnowski wobec stanowiska swego względem Reformacyi. Ono też nakazywało mu nie odtrącać zwracających się do niego reformatorów, jak to wykazałem w szkicu i recenzji, tem bardziej, że łączyło go z nimi wspólne dążenie do reformy Kościoła, o czem sam autor mówi w swej rozprawie na str. 290.

Na zdanie o »niepraktyczności i niezdolności do czynu« Tarnowskiego, powtórzone przez autora za prof. Morawskim

¹⁾ *Zygmunt August w. książę Litwy do r. 1548*. Archiwum naukowe. Lwów, 1913, str. 50 i 68.

(czego bynajmniej nie zaznaczył wyraźnie ani w przypisku, ani w tekście, pisząc tylko w tym ostatnim: »Słusznie podniósł historyk polskiego humanizmu« — który? gdzie? — nie wiemy), w innych sądach o hetmanie przemawiającym mi do przekonania, zgodzić się nie mogę, bo nie posunę się do tego, by nie stwierdziwszy tego zdania niezbić faktami, motywować niem stanowisko hetmana wobec reformy Kościoła i Reformacyi.

4. Wartość pracy obniżyłem, twierdząc, że praca nowych rzeczy zasadniczych nie przynosi. Śmiałem się powołać na swój szkic na półtora roku blisko przed rozprawą autora ogłoszony, skoro rezultaty moich badań nad stanowiskiem Tarnowskiego wobec reformy Kościoła i Reformacyi, choć tylko, jak skrupulatnie obliczył Dr. Hartleb na 16 wierszach spisane, są bardzo podobne do zasadniczych wyników autora, podczas gdy prace Wierzbowskiego, Wotschkego i innych różnią się wybitnie. Sam zresztą autor na wstępie swej pracy (str. 251), przyznał, że »w przedstawieniu szeregu momentów« stanęli najbliżej prawdy X. Bukowski i ja.

Na zakończenie uwaga: przekaz Padniewskiego, na którym oparł się autor, jak pisze przy końcu repliki, zakwestynował sam przez ostateczny rezultat swych badań, sprzeczny z przekazem, choć trzeba przyznać mu dużo dobrych chęci po temu, by utrzymać ten przekaz.

Dr. Władysław Bogatyński.

TEATR KRAKOWSKI.

(Nowości: *Pani Bella*, komedia w 4 aktach Tadeusza Konczyńskiego; *Szlakiem Legionów*, dramat w 4 aktach wierszem Ludwika Hieronima Morstina; *Wet za wet* (*Il Rifugio*), sztuka w 3 aktach Doria Niccodemi'ego; *Judas z Kariothu*, dramat w 5 aktach (6 odsłonach) Karola Huberta Rostworowskiego. — Przedstawienie amatorskie).

Przerzucając korespondencję znajomych i przyjaciół C. K. Norwida, bardzo często czytamy o tym poecie mniej więcej następujące uwagi: »Był to za młodu niepośledni, nawet wielki talent... Jego pierwsze utwory zapowiadały wiele na przyszłość, znamionując zdolności wybitne, niepospolite. Ale, jak zaczęli mu kadzić, jak poczęli ku jego czci potworne ody wypisywać (wedle których Norwid miał nową epokę rozpocząć), tak przewróciło się nieszczęśliwemu w głowie... Uwierzył w dymy kadzidel, uwierzył, że jest innym, niż wszyscy, że stoi ponad najznakomitszymi nawet, uwierzył, i... zmarnował się... Jego »pieśni« nie rozumie nikt, dziwolągi to jakieś niezrozumiałe...«.

Nie chodzi nam w tym wypadku ani o Norwida, ani o sprawdzenie, o ile słowa powyższe są słuszne lub przesadzone, zwracamy tylko uwagę na wpływ, jaki — podług świadectwa współczesnych — wywarła na autora »Kra-kusa« nieumiejętna krytyka... Niemal wszyscy z Norwidem bliżej żyjący, jej, tej nieumiejętnej krytyce, przypisują winę spaczenia się Norwidowego talentu.

Fakt to zresztą niejedyny w historii literatur. Takich przykładów i to wybitnych moglibyśmy wszędzie, tak samo i u nas, naliczyć wiele, bardzo wiele. A dadzą się one (rzecz to zresztą stara) podzielić na grupy dwie. Do pierwszej należeć będą te wypadki, kiedy grobowe milczenie lub nieumiejętna, płytka albo partyjna krytyka pisarza zdolnego, pisarza »z przyszłością« zlekceważy, sponiewiera, najniesprawiedliwiej w świecie

odsądzi »od czci i wiary«, łamiąc w ten sposób jego talent, gasząc jego zapal, tłumiąc jego natchnienie i myśli. Do grupy drugiej wejda znów te »krytyki«, które zamieniwszy się w odurzające dymy bursztynowe, tak otuliły i omamiły początkującego pisarza, iż ten po za niemi na świat już wyjrzeć nie może; żyje w głębokiej (rozkosznej naturalnie) kontemplacji, rozmyśla o własnem posłannictwie i przeznaczeniu, wreszcie pada z powodu braku świeżego i czystego powietrza, dusząc się i zabijając temi właśnie kadzidłami. Rzadko się zdarza, ażeby znalazł się uczciwy przyjaciel, któryby z tej fabryki perfum wyprowadził nieszczęśliwą jednostkę na łąkę kwiecistą, żywą i nieklamana, i tam kazał czerpać dalszych soków do życia i twórczości; częściej bywa tak, iż takiego przyjaciela biedny, młody pisarz albo całkiem nie znajdzie, albo że taki przyjaciel zjawi się za późno, albo też że sam poeta tak zatrul sobie organizm ową krytyczną nikotyną, iż wyprowadzony raptem na prądy świeżego powietrza, ogłuszony niemi, pada nieprzytomny. A to wszystko sprawia nieumiejętna krytyka! A przez wyraz »nieumiejętna«, bynajmniej nie rozumiemy w tej chwili braku należytego wykształcenia ze strony krytyka, ani jego dobrego lub złego stylu, ani też swady, z jaką swoje fejeletony ujmuje. Nie, nie o to chodzi! Chodzi natomiast o rzecz daleko ważniejszą, chodzi o jaką taką bezstronność w pisaniu recenzyj i rozpraw, chodzi o uczciwość, z jaką się przedmiot traktuje, chodzi o szczerłość postępowania, polegającą na tem, ażeby to napisać, co się istotnie myśli i sądzi, a nie czuć a nawet mówić zupełnie coś innego, niż się o tej samej rzeczy pisze i drukuje.

O tę moralność krytyki chodzi najwięcej, a przyzna każdy bezstronny, że nigdy ta »moralność« nie stała u nas tak nisko, jak dzisiaj. Dzisiaj pisze się krytyki i osadza pisarza (rzecz prosta, iż są jeszcze, Bogu dzięki, wyjątki liczne!) wedle przynależności do partyi politycznej lub rodowej; sądzi się autora — i to nierzadko — wedle miasta, z którego pochodzi (inaczej »Warszawiaka«, inaczej »Poznaniaka«, inaczej znów tego »u Lwowie«); sądzi i krytykuje podług osobistej z nim bliższej lub dalszej »znajomości«, a gdy się z nim »nie zna«, omawia się jego dzieła wedle autorskiego nosa, oczu, ubrania, a gdy się nawet o tem wszystkim nic nie wie, wtedy rozstrzyga na korzyść lub niekorzyść brzmienie nazwiska lub dobry humor krytykującego.

Że tak jest, przykładów na to dostarczyć można dzieł siatki, setki.

Szczęśliwy jeszcze ten autor, którego krytyka niesprawiedliwie przemilcza albo gnębi i w pracy hamuje. Taki, jeżeli czuje w sobie skrę istotnego natchnienia i siły twórczej, choć zrazi się do świata, przecież tworzyć będzie, pomnąc, iż

Teraźniejszość minie niestateczna,
A przyjdzie przyszłość, korektorka wieczna,

ale naprawdę nieszczęśliwymi są ci pisarze, zwłaszcza młodzi, którzy jakiś talent mają i przy rozsądnych uwagach z biegiem czasu do świetnych mogliby doprowadzić rezultatów, lecz otoczeni niezasłużonemi jeszcze pochwałami, wpadają albo w nienaturalne pathos, albo w maniery, albo tracą swój samokrytycyzm do tego stopnia, iż nawet lichotę, przez siebie napisaną, uważają za... arcydzieło, słowem, tak »w poznawaniu siebie samego« tepieją, iż w końcu zrozumieć tego nie mogą, w jak naprawdę tragicznem (często i śmiesznem) położeniu się znajdują. Winę za upadek i skrzywienie się ich talentów poniesie krytyka, ta krytyka, która kiedyś za tę »nieumiejętność« i »lekkomyślność« ciężki złoży rachunek. Lecz mała to stosunkowo pociecha, jeśli za zbrodniczego kowala powiesi się niewinnego ślusarza; lepiej do tej ostateczności nie dopuszczać, zawczasu natomiast winno się tego rodzaju kadzidlane dymy rozwiewać, rozpraszać, pisarza, zwłaszcza początkującego, wziąć na uwagę i w opiekę, ale opiekę uczciwą, bezstronną i bezinteresowną.

Powyższe uwagi nasunęły się nam przy rozważaniu repertuaru z miesiąca lutego, a odnoszą się one między innemi także do sztuk p. Tadeusza Konczyńskiego. P. Konczyński zawód pisarza dramatycznego rozpoczął pod wcale pomyślnemi auspicjami. *Otchłan*, *Kajetan Orug* wzbudziły niekłamanie zainteresowanie, recenzje wywołały żywe, wszystko zdawało się zapowiadać, iż z p. Konczyńskiego będziemy mieć dobrego i zdolnego dramatycznego pisarza. Czy przepowiednie się sprawdziły? — za wczas o tem dzisiaj mówić i pisać, wszak p. Konczyński młodym jest jeszcze, więc niewiadomo, co jeszcze dać nam może — kto wie, może dzieło europejskiego znaczenia i sławy dla autora, a chwaly dla nas Polaków. Dziś możemy tylko na razie stwierdzić rzecz jedną, iż p. Konczyński w ostatnich sztukach jest znacznie słabszy i mniej interesujący, niż w pierwszych, a już jego komedia ostatnia, *Pani Bella*, jest ze wszystkiego, co dotąd pochodziło od autora, najslabsza.

Piszemy te słowa z wielką przykrością, z nadzieją atoli równoczesną, iż przecież ten stan zmieni się szybko, oczywiście na korzyść. Warto jednak zastanowić się nad powodami tego zasłabnięcia twórczości p. Konczyńskiego. Zdaje nam się, iż na to niedomaganie złożyło się przyczyn kilka, z których za najważniejsze uważamy dwie. Oto zdaje nam się — a powód to niedyspozycji w twórczości pierwszy — że p. Konczyński za wiele pisze i że za często przerzuca się z rodzaju w rodzaj. Wszak autor ten posiada już spory pa-

kunek powieści, nie mniej ładny inwentarz własnych dramatów i komedyj. I nie byłoby w tem nic zdrożnego i dziwnego, gdyby się widziało, że utwory te przychodzą autorowi z łatwością. Tak jednak nie jest. Wprawdzie technicznie może je p. Konczyński pisać szybko, nawet bardzo szybko, znać jednakowoż, iż powieści te i sztuki poczęte zostały raczej w mózgu, w wyszukanym pathosie, posadzone na wymyślnym trójnogu, a nie wzięły pędu z potrzeby tworzenia, z gorącości natchnienia, z owych artystycznych fibrów, kiedy to dusza pisarza drży z niecierpliwości przelania myśli swych i uczuć w nieśmiertelne słowo. Nadto p. Konczyński próbuje różnych rodzajów. To powieść, to komedia, to dramat, to »sztuka«, to jeszcze inne zajęcia, wszystko to razem kłębi się i wiruje na przemiany, jeden temat goni drugi, żaden zaś z nich nie odleży się należycie i nie dojrzewa w artystycznej rozwadze i spokoju.

Za powód drugi obniżenia się poziomu twórczości p. Konczyńskiego — i to powód od pierwszego jeszcze ważniejszy — uważalibyśmy to, o czem wspomnieliśmy we wstępie, mianowicie, zbyt wczesne i zbyt szczodre uznania i pochwały, jakimi przeważnie obsypywała krytyka dotychczasowe utwory autora. Z nielicznymi stosunkowo wyjątkami, przyjmowano prawie każdą jego sztukę czy powieść z uznaniem przerastającym bezwarunkowo rzeczywistą wartość utworu. Reklamowano te ostatnie ustnie i pisemnie, bez słowa życzliwej i przedmiotowej krytyki. Żeby choć w tych recenzjach i ocenach wykazane były istotne zalety pióra p. Konczyńskiego, jeszcze by do nich można się odnosić z ufnością i jeszczeby szkody sobą nie wyrządzały ani autorowi ani publiczności. Często jednak bardzo pisano ocenę w formie pseudoklassycznej ody, gdzie nie było i niema nic, jak tylko szumnie brzmiący a wewnętrznie pusty frazes... Co więcej, nieraz to, co u tego autora jest zupełnie słabe i na co by mu uwagę zwrócić należało, podnoszono, jako oryginalność, zaletę i artystyczną wartość. Nie dziwnego, że w ten sposób nie tylko autora nie wyleczono z wad (a jakież pióro ich nie ma!), lecz owszem, zaślepiono go i kazano mu wierzyć, że droga, którą postępuje, jest dobrą i napewno do szczytu sławy prowadzącą.

Zaiste, niedźwiedzia to przysługa!

Coś podobnego spotkało również czteroaktową komedię *Pani Bella*. Nim ją wystawiono w Krakowie, już mówiono i pisano o niej z przesadnym entuzjazmem, głosząc, że komedia to znakomita, że »dotąd p. Konczyński nie napisał nic równie dobrego«, ba, byli nawet tacy, którzy niby niechęć, robili jej reklamę, jako sztuce, obfitującej... w drastyczne (*ergo* dobre) sceny.

Tymczasem rzecz ma się zgola inaczej, co wykazać właśnie pragniemy. — Pani Izabella, wyszła sobie za mąż za nie-

jakiego p. Leonarda Orolskiego, rzekomo natchnionego muzyka i kompozytora. Już w tem założeniu i początku tkwi w sztuce wielkie nieporozumienie między autorem a publicznością. Ta pani Izabella, jaka jest, taka jest, ale przecież uważa ją autor za osobę wcale intelligentną i bynajmniej nie zaściankowo-naiwną. Otóż trudno wprost przypuścić, jak ta panna czy (już) pani mogła wyjść za mąż za takiego Orolskiego, który, tak go przynajmniej grał p. Stanisławski, nie jest niczem innym, jak tylko skończonym blagierem, próżniakiem, bzikiem pomylnym i matolkiem.

Mniejsza jednak o to, wiemy bowiem, że Titania kochała się w osle...

Po ślubie przekonała się pani Izabella o tem, co widne na pierwszy rzut oka, iż Orolski, to zdrowy i rumiany kretyń. Rozchodzi się z nim tedy, pragnąc nowe rozpocząć życie, co jej tem łatwiej przychodzi, że ładna i pociągająca. Otacza ją tedy rój wielbicieli, a każdy łasy nie tylko na jej wdzięki, lecz także na jej spory mająteczek. Zarzuca zatem na nią sieci prof. Grot, wdycha do niej baron Duszet, parol na nią zagina adwokat Teodowicz, kocha się w niej wreszcie pociechu chemik Dr. Pogoda. Izabella opływa w adoratorów, jak ryba w majonezie. Najniebezpieczniejszym z tych wielbicieli to prof. Grot, zimny, wyrachowany »filozof«, który »bierze« panny i pannie na swoje filozoficzne systematy, mające za ostateczny cel — uduchownienie człowieka, głoszące miłość najszczytniejszą: związek dwóch krewnych duchów... Niemniej adwokat, prowadzący sprawę Izabelli rozwodową, chciałby swą energią i swemi społecznemi teoryami zdobyć jej rękę i sakiewkę, lecz od czegoż na scenie »czysta« miłość i chemik Pogoda. Nie wiele on tam zrazu mówi, ale przecież dość na tyle, ażeby wykazać pani Belli, że to wszystko oszuści i kłamcy. To też jego mądrość i chemiczna cierpliwość nagrodę dostaje, Izabella bowiem poznała się na czystej analizie i postanowiła z Pogodą zawrzeć dogonną syntezę.

To, co się w sztuce dzieje, mogło się stać w dobrej jednoaktówce, o ileby była w jednolitym utrzymana tonie. Niestety, autor wyciągnął aż aktów cztery. Ponieważ powyższa fabuła w boskiej swej prostocie nie dawała okazji do napisania czterech aktów, tedy urozmaicił ją autor przeróżnemi dodatkami, z góry powiedzmy, nieobmyślonemi, złe i naprędce poskiejanemi. Przedewszystkiem nie wiedział p. Koneczyński, co ma z *Pani Belli* zrobić: krotoczwilę wesołą a lekką, żali też poważną psychologiczną rozprawę... Nie wiedząc, na co się zdecydować, wziął wszystkiego po trosze. Jest zatem analiza psychologiczna! W pewnych chwilach zdawałoby się mogło, iż będzie to zmaganie się siły męskiej z odpornością i biernością kobiety... Prof. Grot, o mały włos, a byłby na swoje puste

frazesy złapał panią Belle... Gdyby się to było stało, bylibyśmy mieli z jednej strony sztukę, poświęconą psychologii, z drugiej, krwawą satyrę, jak to niekrytyczne kobiety potrafią dać się omamić cymbałom grzmiącym i miedzi brząkającej. Ale tak się nie stało! Doktor chemii pan Pogoda (ten pan ma u pani Belli... laboratorium chemiczne, gdyż Bella chce się także i z chemią zapoznać), otóż ten pan Pogoda bawił się właśnie elektromagnesem... Gdy wszedł profesor Grot, aby ostatni wykonać atak w kierunku Izabelli, doktor Pogoda kazał mu potrzymać rączki elektromagnesu... co gdy się stało, poczał pan Grot pod wpływem prądu, przeróżne bolesne wykonywać łamańce i skoki. Galerya cieszy się w niebogłosy, a pan Pogoda zmusza teraz profesora Grota w obecności Belli, do samodzielnego zdemaskowania się. Oto, jak się skończyła analiza psychologiczna... Zapomniał tylko autor, że w tej scenie wpadł na pomysł już nie krotochwili, ale cyrkowego efektu, tem smutniejszego, że można było obmyśleć setki innych, naprawdę zabawnych sposobów do zdemaskowania »samiechomości« pana Grota.

Z adwokatem kończy Bella energiczniej. Przekonawszy się, że i on oszust i karyerowicz, żegna go z... rewolwerem w rękę. (Co za tragizm: tam elektromagnes, tu rewolwer! zaiste, bolesna to komedia!). A tak go pożegnać Bella musi, gdyż adwokatomal że nie rzucił się na nią, właśnie wtedy, gdy siedziała na sofie. I ta postać byłaby niepotrzebna, gdyby nie to, że miało być aktów cztery. By je szczerlnie wypełnić, zrobił nam p. Konczyński kawałek satyry na »społeczników« w ogólności, a na adwokatów w szczególności. Widzimy tedy, jak niecznie kancelarya Teodowicza ogałaca ludzi z pieniędzy, jak żyje czelnością i nieszlachetnością i t. d.

Urozmaicenie dalsze wprowadza autor za pomocą pierwszego męża Belli, owego słynnego idyoty, który tak, jak elektromagnes Pogody, służyć ma do kokietowania galeryi. Natomiast rodzice jego winni reprezentować charakter komedyi poważniejszy, jako typowe tego świata głupstwo i blichtr. Słowem, czego tylko dusza zapagnie, wszystko da się w komedyi tej odszukać. Z tem tylko bieda, iż wszystko to robione, klejone, ze sobą nie powiązane, ciągnięte gwałtem za włosy, nie-naturalne, sztuczne i nie zabawne.

A przecież można było z tych figur i z tych sytuacji wykroić sztukę, nader dowcipną lub charakterystyczną. Taki n. p. profesor Grot ze swoją sztuczną powagą, ze swoim systemem filozoficznym, równocześnie ze swą chciwością i drapieżnością mógł dostarczyć ciekawego i oryginalnego konfliktu i dialogu. Albo temat drugi, zgola oddzielny: ów adwokat ze swoją błagą społeczną, kandydaturą na posła, czy coś podobnego, zamaskowany chciwiec i wyzyskiwacz, elegancki i ukła-

dny brutal, również dawał pole do szerszego i wcale zajmującego rozprowadzenia, byle tylko w osobnej sztuce. Jeżeli zaś miał pozostać w tej samej, trzebaby go było w całość wpleść nierozwalnie, organicznie.

Słowem, mamy w *Pani Belli* ze cztery osobne »historye«, ze dwadzieścia niezależnych pomysłów, parę zachceń co do rodzaju sztuki, natomiast nie mamy żadnego harmonijnego układu, ani jednej figury skończonej i wykończonej, ani jednego pomysłu należycie wyzyskanego. Mieszaniua to obyczajowo-komicznie pospolita, p. Konczyńskiemu chwały bynajmniej nie przynosząca. A szkoda, wielka szkoda, gdyż z tych pomysłów parę mogło dać było komedję współczesną, wcale zabawną. Ta, co jest, jest tem niesmaczniejszą, iż sama w sobie nadyma się i rości pretensye do utworu »poważniejszego«.

To, cośmy o *Pani Belli* zaznaczyli, uczyniliśmy z przekonaniem i żalem, żalem zwłaszcza nad tem, że p. Konczyński tak łatwo dal się zwieść co do swej osoby i talentu głosom nieumiejętnej krytyki. Żywimy jednak głęboką nadzieję, że p. Konczyński wejrzy w swój talent, zagłębi się w siebie i w przyszłości dawać nam będzie utwory, godne zasłużonych pochwał i niesztucznego uznania.

Rolę tytułową objęła u nas p. Jarszewska. Żle nie grała, mamy jednakowoż wrażenie, iż rola ta nie dla niej, że tu potrzeba innej postawy, innych, iście salonowych ruchów, innego sposobu mówienia. Orolskiego odtwarzał p. Stanisławski. Jeśli Orolski takim miał być w myśli autora, rola bez zarzutu, dobra i zabawna! Kto wie, czy nie najlepiej ze wszystkich odegrali epizodyczne swe rólki rodziców Orolskiego pp. Czaplińska i Bogusiński. Wiele tam było komizmu, wiele dyskrecyi, role doskonałe. P. Bończa Pogodę grał (jak wszystko) pomysłowo — nie jego wina, że Pogoda taki, a nie inny. P. Jednowski nadętego Grota grał bez zarzutu, również dobrze barona Duszeta p. Noskowski. Adwokat Teodowicz w interpretacji p. Kosińskiego miał momenty szczęśliwe. Reszta z grających (zwłaszcza p. Nowacki w roli dependenty) dzielnie całości dopomagała.

Gdyśmy przed rokiem omawiali sztukę p. Morstina *Lulie*, zakończyliśmy sprawozdanie uwagą, że — mimo wszystkich w utworze tym wad i ułomności — jest przecież w autorze niemały zadatek na pisarza-poetę dobrego i oryginalnego. Trzeba mu się tylko przedewszystkiem otrząść z wpływów obcych i zgubnych (zwłaszcza Wyspiańskiego), trzeba więcej i samodzielniej pogłębiać ładnie postawiony temat i dobrze pomyslane figury.

Od tych samych słów wypada nam rozpocząć omówienie nowego dramatu p. Ludwika Hieronima Morstina p. t. *Szlakiem Legionów*. Tematu podjął się autor bardzo wdzięcznego,

lecz zarazem bardzo trudnego. Pokazać, jak w cichej, spokojnej wsi z nateżeniem i niepokojem nadśluchują wieści o »demokracji« Napoleonie jedni, z jak wielką miłością odnoszą się do niego, z jakim utęsknieniem oczekują wezwania i hasła od Dąbrowskiego, to znowu pokazać, jak drudzy w szlacheckiej pysze gardzą tym, no, tym parweniusem z Korsyki, jak nie dowierzają jego intencjom i obietnicom, przedstawić dalej, jak to życie szlacheckie na tej prowincjonalnej osadzie takie samo, jak przed wiekami, jak zawsze nurtują tam i w poprzek siebie dwa prądy płyną: jeden *velo* niesie na chorągwi, niezawisłość i wolność szlachecką, drugi natomiast Łódź wielką dźwiga, w której wszystkie stany społem żeglują ku jednemu celowi, przedstawić to wszystko i wymalować nie na terenie obozów wielkich wojsk, nie w gabinetach ministrów i salonach »kwiatu inteligencji i umysłowości«, lecz pod cieniem pachnących lip, na tle białych ścian chylącego się dworku — zaiste, zadanie bardzo wdzięczne, bardzo mile, pomysł ładny i śmiały. Lecz trudne to także przedsięwzięcie. A trudne dlatego, że na ten temat napisano i pisze się tak powieści, jakoteż dramatów legion cały, że nie upodobnić się do czegoś, co było już przedtem, jest rzeczą dzisiaj omal że nieprawdopodobną. Trudnością zaś największą jest pokazanie chwili wielkiej, przełomowej, za pomocą wypadków drobnych, całkiem powszednich.

I byłoby się autorowi zadanie to w zupełności powiodło, byłby nagromadzone trudności zwycięsko pokonał, gdyby był temat rozwijał samodzielnie, gdyby pomyślanych postaci, a pomyślanych dobrze, nie skrzywił i w sprzeczności ze sobą nie postawił.

Na Mazowszu mieszka pan Podkomorzy. Ma piękne dwie córki. Właśnie siedzą pod lipą, czytają książki i rozmawiają ze sobą. Z rozmowy tej dowiadujemy się, że córka starsza, panna Helena, przed rokiem poznała pięknego starościca, pana Szczęsnego, że utkwil jej w pamięci i w sercu głęboko, że na wiadomość o jego przyjeździe jest dziwnie wzruszona i lęka się nawet, czy starościc pamięta o tem, jak tu był przed rokiem. Lecz Szczęsny pamięta! Właśnie przyjechał do Podkomorzego z jego synem po dłuższej bytności w Warszawie, i z wielką miłością zwraca się do Heleny, żebrząc o słówko »kocham«. Helena dać go nie chce. Dlaczego? Trudno odgadnąć. Raz zdaje się, że panna to romansowa, pragnąca i wymagająca bohaterских wzruszeń od kawalera, to znowu przypuszczenie powyższe upaść musi, gdy się widzi, że panna to rozumna, że z posłem Damazym wcale zajmująco nawet o polityce rozmawiać potrafi, słowem trudno dojść z nią do ładu i trudno pojąć, dlaczego (a wiemy, że Szczęsnym zajęta!) na jego miłosne wyznania tak odpowiada:

Ja dziś tylko czuję,
 jakbym Waćpana szczerze kochać chciała;
 a na to serca namówić nie można(?)
 więc trzeba widać poczekać dni wiele,
 aż przed ołtarzem staniemy w kościele,
 by się połączyć za życia do śmierci.
 I przecierpieć trzeba

jeszcze nie jedno. Niech się miłość nasza
 chowa, jak biały gołąb pod tą strzechą,
 niech ją poranek swem słońcem okrasza,
 noc tuli cieniem, przed ludźmi w ukryciu,
 niech się do życia sposobi niewola.

Naprawdę tej Heleny, która mówi pięknym wierszem
 (na szczęście nie swoim, tylko autora), nie rozumiemy wcale.
 Szczęsnego kocha, przyłapaliśmy ją bowiem na tym uczynku
 w scenie pierwszej w rozmowie z siostrą, a tu odmawia mu
 ręki, twierdząc, że starościca dopiero kochaćby chciała, na-
 stępnie pragnie być jak gołąbek romantyczną, wreszcie wypo-
 wiada frazes, jakiego nie wymówiła żadna kochanka, iż chce,
 by ich miłość sposobiła się do życia... niewola!

Zapamiętajmy sobie teraz, co na to odpowiada Szczęsny:

Szaleństwo moje jest z ciebie karmione
 twoim uporem, twą krasą pijane.
 Pójdę jak prosty włoski lazzarone
 z sztyletem w rękę za góry i morza,
 lub do francuskich legionów przystanę,
 oni się zawsze gdzieś biją po świecie.

Starościc tedy gotów jest w tej chwili być dla Heleny
 rycerzem-legionistą. Na tę ich rozmowę spada wiadomość, przy-
 niesiona przez Damazego, że

Jan Henryk Dąbrowski
 wzywa do boju z tyranów przemocą,
 polskie chce tworzyć szereg, i
 niby że polskie legiony
 w służbie republiki onej,
 co pierwsza do walki stawia
 za wolności święte prawa.

Wiadomość ta podziała na całą okolicę. Młodzież go-
 tuje się do wymarszu, starsi dzielą się na dwie partye: jedni
 wierzą w zwycięstwo i w Napoleona, drudzy o niczem ani sły-
 sząc nie chcą. Uspokojenia te poznajemy na uczcie u Podko-
 morzego, podczas której dowiadujemy się, że Szczęsny jest sy-

nem Targowiczana. On wprawdzie niewinny, ale jego ojciec był zdrajcą. Słyszysz to Helena i dziw nad dziwy! W jednej chwili zachorowała na Polkę bohaterkę, i oto, w jakich słowach i z jakim żądaniem występuje do Szczęsnego:

Żali myślisz, że ja w duszy
tylko krew i śmierci noszę,
że mnie serca nie rozdziera
przeznaczenia los okrutny,
iż chcę z ciebie bohatera
kosztem szczęścia i ofiarą
uczuć moich? ¹⁾
Lecz, gdy z wiarą
piękną, szlachetną, młodzieńczą
tamci nowe dzieło wieńczą,
to o tobie padło słowo:
zdrajca, syn magnackiej buty,
Targowicy prawe dziecko!
Teraz masz, pij puhar struty,
godność mą szanuj szlachecką
i idź z niemi!
Zdobądź chwałę,
rzuć im w oczy strzęp sztandaru,
zdobytego własną szpadą!
Któż cię wtedy shańbi zdradą,
która dzisiaj twój ród plami,
kiedy wrócisz z legionami,
co tu przyjdą z włoskiej ziemi?
.
Więc bezemnie, albo z niemi!

Rozumiemy tę dziwną bohaterkę coraz mniej. Jakto, czyż ona nie wiedziała przedtem, czym synem jest pan Szczęsny? Wszak jego majątek o miedzę z ich graniczy włościami, wszak sam ojciec Heleny nieraz już opowiadał, jak to ojciec Szczęsnego oświadczył się za królem i Targowicą, a on, Podkomorzy, ostentacyjnie wtedy wyszedł ze sali. Czy Helena tego nie pamięta? To jedno — a po drugie: my ciągle chcemy wierzyć, iż panna to nie przeciętna, owszem, ocytana i rozumna. Czy będąc taką, winiłaby Szczęsnego za niepopelnione winy, za błąd ze strony jego ojca, błąd może z najuczciwszego przekonania popelniony? Jeśli znów istotnie jest tak szlachecko dumna, iż z takiegogo rodu męża by nie wzięła, to czemuż

¹⁾ Zapomniała panienka, co mówiła w akcie pierwszym!

wiedząc o tem wszystkim, już przed rokiem pozwoliła się swemu sercu i wyobraźni zająć przystojnym starościcem?

Nie! Jakkolwiek Helenę tłómaczyć i oświeślać będziemy, zawsze w niekorzystnej przedstawi nam się pozie.

Szczesny replikuje ślicznie i mądrze:

Nikt Waćpannie nie zabroni
pchnąć mnie w samo serce nożem,
lub jak noże słowem krwawem.
Ale ojca mego winy
sądzi dzisiaj Bóg jedyny
Bożem, nie człowieczem prawem.

Wiedz, że nie pójdę... Na honor mej szpady
nie dam nikomu rzucać moim losem,
świecić mi w oczy widmem jakiejś zdrady
niepopelnionej tej szlacheckiej rzezi,
co bratobójczem słowem »hańba« grzeszy —
dać się nieść niby morskiej wścieklej fali,
albo mnie dzisiaj, albo im dasz wiarę,
wybieraj pani...

Odpowiedź wyborna i nie skończylibyśmy się nią cieszyć, gdyby od powyższej sceny zaczynał się cały dramat. Lecz myśmy już słyszeli w akcie pierwszym, że Szczesny gotów jest pójść dla miłości Heleny nawet do francuskich Legionów. Czemuż, jeśli ją kocha, nie idzie teraz? Obrażona duma? Ależ ten argument raczej dla Szczesnego śmieszny, niż poważny. Naprzód taka ubóstwiona nie mogła urazić dumy u kochanka, nie mówiąc nie innego, jak tylko zaszłyszana prawdę, a powtórę taka gorąca miłość, jak starościca dla podkomorzanki, na wszystko jest gotowa, o powody i przyczyny nawet pytać nie chce.

Bądź jak bądź, ani Szczesny ani Helena jednolici nie są, figury pomyślane dobrze, w opracowaniu opacznie powyginane... Lecz idźmy dalej. Do Legionów spieszy większość młodzieży, ucieka także Andrzej, jedyny syn Podkomorzego. Siostry go żegnają czule, w milczeniu okrażając Szczesnego, mimo, że i on jedzie — tylko nie na wojnę, lecz na wojaż do latyńskiej ziemi, oglądać arcydzieła sztuki. Kłamię jednak, gdyż jedzie do Legionów, tylko nie przyznaje się z tem przed Heleną. A więc znowu próżna, bezwartościowa duma, sprawiająca, że te dwie naczelne postacie zamieniają się w przykre historyczne jednostki, drażniące siebie nawzajem bez powodu.

Minęło lat parę, przyszedł rok 1806. W wietrzny dzień listopada przybywają polskie Legiony z Dąbrowskim na czele

do wsi Podkomorzego, a wśród nich starościc Szczęsny w randze kapitana. Niespodzianie stają teraz naprzeciw siebie oboje: on i Helena. Szczęsny, rozkochany jak dawniej, marzący i tęskniący do ukochanej, ona zameżna już i matka dzieciom. Lecz dawna miłość (a więc była!) wybucha w niej nowym, gorącym płomieniem. Helena widzi, jak postąpiła niebacznie, jaką krzywdę wyrządziła Szczęsnemu i oto, co mu teraz mówi:

Patrz, jak ci lecę
na ręce, jak ptak ranny. W mgle nieporozumień
odnajduję dziś duszę przed laty zgubioną,
czuję jak mi przez serce płynie wielki strumień
tej miłości potężnej, którą k'tobie żywię,
zapomnieć chcę, przekreślić tamto ziemskie, szare,
żyć zacząć, w blasku życia chodząc urodziwie..
Niech się wypełni wszystko... Na kraj świata,
wszędzie, gdzie każesz, będę iść za tobą,
gdy skiniesz własny dom rodzinny rzucę,
co mi był dotąd: przybrany żalobą
szczęścia grobowiec...

Szczęsny ofiary tej nie przyjmuje:

Tego — mówi — nie uczynisz!
Utonie łódź, na fale gdy pchnięta rozpaczą.
Jam dziś żołnierz i dolę muszę wieść tułaczą,
już serce nauczyłem słuchać wyższej rangi,
co zwie się przeznaczeniem. I, jako przystoi
żołnierzom, chcę do końca trwać na posterunku...

Szczęsny w tej chwili postępuje z godnością, ale zapytać się trzeba Heleny, jaką właściwie była jej miłość, czego ona chciała naprawdę i — po co wyszła za męża? Jeśli bowiem do ich domu doszła wiadomość, że jej brat, a syn Podkomorzego, Jędrzek, zginął w Legionach na Alpach śnieżnych, to czyż możemy bodaj na chwilę przypuścić, że nie dowiedziano się także tego, że Szczęsny w tem samem wojsku jest, że bije się jak lew, że dobija się nawet coraz wyższej rangi? Sam Szczęsny z pewnością tego nie pisał, ale brat Heleny, nim zginął, ale ich obu przyjaciele, znajomi, czyż posyłając listy na ciche Mazowsze, nie wspomnieli, że z nimi razem służy sąsiad Podkomorzego, starościc Szczęsny?

Postępków Heleny nie wytlómaczy nic od początku do końca jej istnienia w dramacie. Chciał autor nakreślić miłość piękną i tragiczną, nie zauważył, że ta miłość nie ma do zwalczania żadnych innych poważnych przeszkód, jak tylko kaprysy

i ekscentryczne wysokie słabych charakterów, ich dziwnej logiki i konsekwencji w myśleniu.

Ta miłość w omawianym dramacie — to treść i jego podstawa. Dopiero na jej tle przewijają się tu i ówdzie przeróżne epizody, mające malować ówczesną przełomową chwilę, ówczesny sposób zapatrywania się na bieżące wypadki. Legionom i Bonapartemu niedowierza Szczęsny, niedowierza także Podkomorzy. O Szczęsnym już nie mówmy, i tak zbyt wiele zażył nas swoją postacią, ale, dlaczego w tym dramacie niedowierza Podkomorzy — tego zrozumieć nie możemy. Zresztą niedowierzać mógł; takich, jak on, było istotnie wielu. Nie można jednakowoż pojąć, iż on, prawy Polak, za ojczyzną stojący, występujący przeciw Targowicy, nie cieszy się nadzieją i zapowiedzią wolności. W to uwierzyć już trudno, tak, jak trudno uwierzyć, żeby on (przez cały akt czwarty) niechętny był Dąbrowskiemu, głównie dlatego, że w jego Legionach zginął podkomorzyc Andrzej. Wszak, kto na wojnę jedzie, na wszystko musi być przygotowany i pan Podkomorzy, znów jako starej daty Polak prawdziwy, raczej dumny winien być z tego, że syn zginął mężnie i z chwałą, niż żywić do Legionów niechęć i urazę. Uraza ta topnieje i pryska, gdy w dom dumnego szlachcica wszedł sam Dąbrowski. Wtedy powstał na jego powitanie Podkomorzy i ze wzruszeniem za nogi go objął.

W niezbyt jasnym świetle przedstawia się nam także pan ex-posel Damazy, z jednej strony były współpracownik nad Konstytucyą 3-go Maja, z drugiej strony jakiś cichy buntownik panny Heleny przeciwko Szczęsnemu. To niezrozumiałe, bo to nie przystoi człowiekowi tak rozsądnemu i prawemu. Zresztą ten sam pan Damazy wiedział, że Szczęsny jedzie do Legionów z Andrzejem, czemuż tego bodaj od siebie nie powiedział Helenie, zwłaszcza wtedy, gdy ta bez miłości miała wyjść za mąż?

Bardzo dobrze schwycił autor nastrój, panujący między szlachtą na uczie u Podkomorzego w akcie drugim. Poco natomiast sprowadził na scenę chłopca bez żadnego artystycznego umotywowania — nie wiemy. Ten chłop, bijący się pod Kościuszką — ma być jak gdyby wyrzutem do szlachty i społeczeństwa za niedotrzymane słowa. Wszak mówi o tem wyraźnie:

(Kościuszko) wolny, pan mój miłościwy!
 Niech mu Bóg ta niepamięta
 chłopskiej krwi, co szła przez niwy
 wielką rzeką z piersi, z ran.
 Gadał: wolnym będzie chłop!
 Gadał: wolnym będzie pan!
 I cóż — jednych w Sybir zgнали,

drugich zara zabijali;
A kto uciekł — to w łachmanie
odrabia dalej pańszczyznę...

Czyż za to odpowiada Kościuszko, szlachta, społeczeństwo? Chyba nie — a o tem wiedzą już dzisiaj nawet chłopcy sami... Niepotrzebna ta postać w dramacie i niesprawiedliwe jej słowa.

Wogóle o wielu sprawach zasadniczych możnaby i warto było pisać i z autorem dyskutować. Brak miejsca nie pozwala na obszerniejszą wymianę myśli, dlatego kończymy niniejsze sprawozdanie, zbierając nasze spostrzeżenia w parę ogólniejszych uwag.

Talent autor — zdaje się — posiada nieprzeciętny, talent tak poetycki, jak i dramatyczny. Wiersz z pod pióra p. Morstina płynie łatwo, a wiersz ten miejscami nawet bardzo ładny, melodyjny i śpiewny. Rażą w nim jeszcze ciągle niemałe zawisłości od Słowackiego i (co gorsza!) od Wyspiańskiego. Wystarczy n. p. przeczytać bodaj taki ustęp, jak ten:

Tam w Warszawie,
w zgiełku światowym i gwarze
te Waćpanny oczy duże
widziałem za mną goniące.
W książęcym jasnym salonie,
w niewieścich sukien szeleście —
szeptu kwiatów tych na łące
wtedy, wieczorną godziną.
W każdym uśmiechu i geście
obcej nieznamomej twarzy
widziałem twą postać całą!

Wystarczy to przeczytać, aby się przekonać, że Słowacki zaciężył nad poetą niemało i składnią swą i rytmiką. Tożsamo odnosi się do stosunku z Wyspiańskim. Niektóre sceny, jak n. p. ta, kiedy Helena w ostatnim akcie wygląda przez okno i wypatruje konia, a na koniu żołnierz w świetnym mundurze, i inne jeszcze, przypominają aż nadto wyraźnie odpowiednie sceny z utworów autora *Legionu*. Od tych wpływów p. Morstin musi się otrząść koniecznie, co zresztą trudno mu nie przyjdzie, jeśli tylko pogłębi się sam w sobie. Pogłębiać również należy opracowywany temat, unikać sprzeczności i załamania w rozwoju akcji, jakoteż charakterystyce działających osób. Te ostatnie muszą być przedstawione jasno i przejrzysto, nie mogą narażać się w mowie i w czynie na brak konsekwencji. Dzisiaj te uchybienia i wady są liczne — wierzymy jednak w autora, iż na przyszłość uniknie ich z pewnością. O samym zaś dramacie *Szlakiem Le-*

gionów, cokolwiek powiemy dobrego i ujemnego, to jedno śmiało stwierdzić możemy, iż pośród licznych prób, malujących czasy Legionów, ten utwór wyróżnia się korzystnie szlachetną intencją autora, poetyckim w całości nastrojem, oraz uderzeniem w wyższy, donioślejszy ton. Nie jest to naiwna robótka w rodzaju n. p. *Roku 1812*.

Obsadę otrzymał powyższy utwór wcale dobrą, nie wszysce atoli z grających nadawali się do powierzonych sobie ról. I tak, mamy wrażenie, iż postać panny Heleny dla p. Mrozowskiej odpowiednią nie jest. Wprawdzie p. Mrozowska zbyt dobrą jest artystką, aby rolę zepsuć, lecz mimo wszystko nie była ona w tej roli wiejską, szlachecką panienką, zamyśloną, marzącą, to znów uderzającą w silne, bohaterskie pathos. Brakło owej wdzięcznej prostoty, owej melancholijnej krasy, do jakiej przyzwyczaili nas poeci, malarze, kreśląc i malując istotne typy tych czasów i epoki. — Korzystnego wykonawcę w p. Maryańskim miał Podkomorzy. Rola to bardzo dobra. — Doskonale ucharakteryzował się i mówił p. Stanisławski jako ex-posel Damazy. — Starościca grał p. Adwentowicz ze zwykłą sobie starannością i przywiązaniem do roli. — P. Solski, grając chłopą, wpadł w zupełnie niepotrzebne pathos, przypominając aż nadto wyraźnie swoją rolę Wernyhory ze *Snu srebrnego* Słowackiego. — Na uznanie za rolę Zosi zasługuje p. Braunówna, za Andrzeja p. Biegański. Inni z grających ról nie zepsuli.

Pokrótkę załatwimy się z włoską komedią p. t. *Wel za wet* (*Il Rifugio*) Doria Niccodemi'ego. Sztuka to napisana zręcznie, scenicznie i zajmująco, ale ani głęboka psychologicznie, ani też znów tak bardzo pomysłowa. Osnowa jej następująca. Pani Julia zdradza od dłuższego czasu swego męża Gerarda. Ten mąż scen jej za to nie urządza żadnych, tylko pociesza się w miłości za domem, kochając pannę Dorę, narzeczoną przyjaciela, tego samego przyjaciela, który posiadał jego żonę. Z początku czyni to Gerard jako odwet za własne nieszczęście, wnet jednak rozkochuje się w Dorze naprawdę. Ta uszczęśliwiona, i byłaby nią na wieki, gdyby nie jej narzeczony, który, mszcząc się za odbicie kochanki na Gerardzie, twierdzi przed Dorą, iż ona bynajmniej kochaną nie jest, a Gerardowi służy tylko jako narzędzie zemsty. Na szczęście dotychczasowa żona Gerarda, pokutując za własną winę, sama dobrowolnie przywodzi Dorę do upamiętania, z mężem się rozwodzi, aby ten mógł jak najprędzej Dorę zaślubić... Z wielkiej zatem chmury — mały deszcz; w każdym razie familijnego bagienka narobił sporo.

Powodzenie tej sztuki zależy tylko od dobrej gry artystów, a tej u nas nie brakło. Doskonale Gerarda grał p. Adwentowicz, znakomicie (zwłaszcza w akcie I i II) jego żonę Julię p. Mrozowska. Tych dwoje artystów chwilami, gdy byli razem

na scenie, koncert z gry dawali. (Z życzliwości chcemy przestrzedz p. Mrozowską przed jednym brzydkim ruchem, który zauważyliśmy w paru ostatnich sztukach. Oto p. Mrozowska, oburzając się na coś lub dziwiąc czemuś, uderza się dłonią po... sukni. Gest to brzydki, a chwilami, jak panience Helenie w *Szlakiem Legionów* całkiem nie do twarzy. Drobnostka, ale ważna). — P. Bończa dzisiaj liczy się do najlepszych artystów sceny i to nie tylko krakowskiej. Jego Ludwik był rolą bez zarzutu. — Inne pomniejsze role dobrych wykonawców znalazły w reszcie artystów.

Pod koniec lutego odbyło się w teatrze amatorskie przedstawienie na rzecz Rady Opiekuńczej i Pawlikowic. Młodzi amatorowie zgrabnie odegrali pierwszy akt z *Romantycznych* Rostanda. Atrakcją jednakże całego wieczoru była znakomicie obmyślana pantomima do mickiewiczowskiego wiersza p. t. *Renegat*. Piękna muzyka, bogate i stylowe stroje, szlachetne i artystyczne ruchy, giesta i mimika grających, zyskały sobie ogólne uznanie i gorący poklask. Tego rodzaju przedstawienia radziłybyśmy oglądać jak najczęściej.

A. E. Balicki.

Judasz ≈ Kariothu. Dramat w 5 aktach (6 odsłonach) K. H. Rostworowskiego.

Kiedy p. Karola Rostworowskiego znaleźliśmy z jego dramatów dawniejszych (*Pod górę* i *Echo*), myśleliśmy, że on jest taki, jak wielu. Nie odzywaliśmy się z tem niegrzecznem zdaniem, chowaliśmy je dla siebie. Ale dziś, po *Judaszu*, przyznajemy się do niego otwarcie i śmiało, bo z *Judasza* odnieśliśmy wrażenie, że p. Rostworowski nie jest taki, jak wielu. że owszem jest taki, jakich wielu nie ma. Wziąć za przedmiot zbrodnię największą jaka na świecie była i będzie, a oddać ją tak, że uczucie i wyobraźnia czytelnika czy widza nie protestują, nie cofają się zrażone, nie mówią, że przedmiot wielki, ale wykonanie na ten przedmiot za małe, mówią owszem, że tak być mogło, że Judasz mógł tak myśleć, tak czuć, jak w tym dramacie czuje i myśli, na to potrzeba wyobraźni istotnie zdolnej tworzyć, trzeba niepospolitej siły i głębi uczucia, i trzeba wreszcie to, co wyobraźnia wymyśliła, umieć oddać w słowach i formach, godnych treści, jej dorównujących. *Judasz* dowodzi, że p. Rostworowskiego na to stać, że te siły i zdolności w nim są: z radością tedy witamy dzieło, a winszujemy autorowi.

Wyznajemy, że nie lubimy przedmiotów ewangelicznych w teatrze. Przedstawienia pobożne, jak były średniowieczne

misterya, jak dziś jeszcze Męka Pańska w Oberammergau, grały się i grają na chwałę Bożą, w prostocie i szczerości ducha, bez innej myśli i intencji. Rzeczy, pisane po świecku, po literacku, ze względem na warunki sztuki, na wymagania krytyki, a może i nie bez względu (rzecz ludzka) na powodzenie dzieła i chwałę autora, ściągają przedmiot z jego wysokości, każą na niego patrzeć nie na kolanach i w skupieniu serca, nie jak na świętość, ale jak na dzieło sztuki, z artystycznego punktu widzenia i upodobania. Kolęda *Bóg się rodzi* jest piękna i napisana w najszczerzej pobożnem uczuciu, a przecież nie poruszy tak, jak proste *W żłobie leży*, właśnie dlatego, że jest za dobrze, za starannie, za kunsztownie pisana. Z dziełami scenicznymi jest podobnie — tylko w stopniu jeszcze daleko wyższym. Widzieć te sceny i postacie, które się zna z Ewangelii, wcielone w ludzi, pokazane naocznie, zamienione w rzeczywistości niejako, w świetle lamp i w ramach kulis, to jest jakoś niezgodne z tem uczuciem, które sceny i postacie widzi tak wysoko nad sobą, że się do nich tylko modlitwą zbliża, a chce mieć o nich nietknięte i z niczem nie zmieszane to wrażenie, tę wiadomość, jakie znajduje w Ewangelii.

To ogólne zastrzeżenie zrobiwszy, pośpieszamy stwierdzić, że w dziele p. Rostworowskiego niema nic, co by było dla chrześcijańskiego uczucia przykre: owszem, pisane jest widocznie i wyraźnie w uczuciu pobożnem, z wiarą i czcią. Niektórzy mówią, że takie dzieła świeckie, po świecku w teatrze widziane, mogą dobrze działać na takich, co i do kościoła nie pójda i Ewangelii nie czytają: zostawić im jakieś wrażenie, rzucić jaką myśl dobrą w głowę. Daj Boże!

Jaka, i jak długa była praca rozmyślania nad Judaszem, wyobrażenia sobie, jakim on mógł być, jaką drogą, jakim psychologicznym procesem doszedł do swego czynu? Czasem takie rozmyślania trwają całe lata, zanim postać stanie w wyobraźni; czasem staje ona od jednego rzutu, w jednej szczęśliwej chwili, intuicyjnie; jak było w tym razie, nie wiemy. Widzimy tylko rezultat tej pracy tworzenia, naturę Judasza i jego historyę, jak ją p. Rostworowski pojął i postawił. Oto, jakieśmy wyrozumieli jego myśl i zamiar.

Judasz jest człowiek ubogi, upokorzony czy dręczony swoim ubóstwem. Nie jest w nędzy, ma z czego żyć przy tym sklepiku, o którym często wspomina. Ale pragnie więcej. Widzi bogatych opływających we wszystko, i widzi nieskończenie więcej ubogich. To niesprawiedliwość, to nie powinno być. Jest w nim gniew i żądza: nie za siebie jednego może, ale za siebie i dla siebie najwięcej. W takim usposobieniu usłyszał o proroku, który czyni poniżone a doliny wywyższone; Jan mówił, że pagórki będą poniżone a doliny wywyższone; zadrgał nadzieją i radością, zrozumiał to i wytłómaczył na

swoj sposób, i przystał do proroka, bo spodziewał się od niego i przez niego spełnienia swoich marzeń. Ten prorok cudami swemi opanuje lud i kraj, zostanie królem. A wtedy i uczeń jego nie będzie żył w sklepiku, a chodził w koszuli i boso, tylko będzie taki możny, taki wspaniały, jak arcykapłani. Ale czas przechodził, ale były i cuda, a nadzieja się nie spełniała. Mistrz do panowania nie dążył: mówił On, i jego uczniowie, o jakimś królestwie nie z tego świata. Tego Judasz ze swojemi pojęciami i pragnieniami pogodzić nie mógł. Powstał w nim gniew; a z gniewu, przez czas, przez daremne czekanie, powstała złość, nienawiść. Za tę pochwycili go wysłańcy Synagogi i stopniowo doprowadzili do zdrady. Może tak nie było, ale mogło być tak: a te przejścia w duszy człowieka, stopniowanie złego w nim, wymyślone i wykonane są tak, że jest tragiczna postać, jest tragedia.

Pierwszy akt nad jeziorem Genesareth, przy chacie Judasza. On już wyrzucony z równowagi: coś nim szarpie, targa, coś go nosi. Ten Mistrz prawi kazania i każe się modlić, a nic nie robi: ludzie go odstępują, nawet uczniowie. Niech zrobi cud, niech pokaże co może: wtedy uwierzą i pójdą za nim. Żona Judasza, Rachel, przeczuciowa, sensytywna, a zarazem egzaltowana, widzi, że w nim się dzieje coś złego, próbuje na niego wpływać: nie może. W niej jest materyał na męczennicę: ona całą duszą uwierzyła, całą duszą przylgnęła do Mistrza, i ona nie tylko czuje, ale rozumie wzniosłość nauki, boski jej cel. Odważna jest do bohaterstwa; śmierć poniesie bez wahania; męża chce i próbuje ratować, wstrzymać, do ostatniej chwili. Gardzi nim wreszcie, ale go broni od zbrodni ze wszystkich sił swoich. On widzi tylko ziemski cel i interes. Tamten drugi czuje trochę instynktem w sumieniu, ale go znać i miłować nie chce, odpycha go. Na takie usposobienie przychodzą tajni agenci Synagogi. Na pozór chcą poznać, dowiedzieć się: na prawdę chcą upatrzyć drogi i sposoby, jakby tego nauczyciela pochwyć i zgubić. Judasz, zrazu ostrożny, odkrywa jednak stan swojej duszy o tyle, że on opiera ją na nim swoje rachuby, zrobią z niego swoje narzędzie.

W rozmowie z Janem, i z żoną, Judasz wybucha, odślania się zupełnie: w nim jest szatan, którego przemódz nie może, wie się w męczarni. Figura postawiona; ekspozycja, zawiązanie tragedji wyraźne, zupełne. Akt kończy się wiadomością, że Pan z uczniami idzie do Jerozolimy. W Judasza wstępuje nadzieja: tam będzie sposobność do cudów, do porwania całego ludu. Judasz z nim.

Akt drugi. Brzask, wschód słońca, Apostołowie śpią; Piotr i Jan patrzą na miasto, smutni. Czują, że zbliża się stanowcza chwila: Jan mówi, że do Pana jakoś traci śmiałość, jakżeby go miał gdzieś wysoko nad sobą. Judasz nie spał.

On w nocy przygotowywał wjazd do Jeruzalem, zbierał rzesze i nczyl wołać: Hosanna. Z Ewangelii ma się wrażenie, że ten zapal ludu, te okrzyki, były popędowe, samorzutne, wywołane naukami i osobą Pana Jezusa: tu w dramacie jest inaczej, to rzecz sztuczna, przygotowana demonstracya. Ta różnica wywołuje jakieś wrażenie sprzeczne, jakieś niedowierzanie. Nie: to nie tak było. Dla akcyi dramatycznej różnica była zapewne potrzebna, ale jakoś trudno w nią uwierzyć.

Jest druga. W Ewangeliach nie znać nigdzie, iżby Apostołowie byli się domyślali zdrady Judasza. Przy ostatniej wieczery słowo: »Jeden z was mnie zdradzi«, spada na nich jak piorun, każdy pyta: »Czy to ja?« Tu, już w pierwszym akcie, Jan i Piotr, w drugim wszyscy, przewidują coś złego od Judasza, boją się go. Wprawdzie u św. Jana, dużo przed Męką, zaraz po rozmnożeniu chlebów, mówi Pan Jezus: »Jeden z was jest dyabeł«; ale po tej wzmiance nie widać podejrzeń na Judasza. Znowu więc pytanie, czy tak było? Wrażenie, że tak nie było. Ale znowu akcyja dramatyczna potrzebowała tej sytuacji, tych rozmów między Apostołami a Judaszem.

On, rozpalony tym wjazdem, tą nadzieją cudu i ziemskiego królestwa, chce, żeby Jan zarzucił na Pana purpurowy płaszcz, przez Żydów przyniesiony. Jan odrzuca płaszcz ze wzgardą, kurtyna spada.

Cudu nie było. Kiedy go nie było, te rzesze, co przed chwilą wołały: Hosanna, burzą się na tego, co cud obiecywał, na Judasza: chcą kamienować. Na to czekali wysłańcy kapłanów. Rozruch był: Judasz obiecywał ludowi cuda, obiecywał zniesienie podatków i dziesięcin, Judasz burzył lud. Za to kara śmierci. Wymówić się, zaprzeczyć, nie może. Jedna dla niego rada, jeden ratunek, zniżyć się przed Annaszem i naprawić co zrobił, wydać Chrystusa. Pójść tam dziś, zaraz. Judasz się poddaje, obiecuje, ze strachu. Nowy to rys w jego charakterze, dotąd się nie pokazywał: on się boi śmierci, on tchórz. Autor powtarza to kilka razy. I teraz on między strachem a rozpaczą: boi się śmierci, boi się tego, co przyrzekł, rozdarty między tym strachem a sumieniem.

Wraca do domu, gdzie jest Rachel, przyprowadzona przez Magdalenę i Salome. Pocieszyć jej nie mogą: on zgubiony, a ona z nim. Ona wybucha wyrzutami, on mówi, że się powiesi, byle tylko powrót miał. Na to Magdalena odwiązuje sznur, którym jest przepasana i mówi: »Masz«. Uczynność trochę dziwna, jak na świętą. Kiedy zostali sami we dwoje, dopiero bezładnie, bezprzymtomnie, kłębi się w słowach Judasza i dawna żądza, i dawny gniew, i nowa zbrodnia, i rozpacz, i przez to wszystko sumienie, wiara w tego, którego zdradza. To jeden z najpiękniejszych ustępów jego roli i dramatu. Apo-

stołowie, Piotr i Jan, jeszcze próbują, jeszcze namawiają, proszą, żeby poszedł do Pana: na próżno. Przychodzą Żydzi i wołają: »Trzeba iść«.

Akt czwarty w Sanhedrynie. Annasz, Kaifasz, kapłani, skrybowie, radzą, jakby Jezusa pojmać i stracić. Trzeba ostrożnie, zręcznie, żeby lud nie zrobił rozruchu. Na radę wezwani Faryzeusze. Wzajemna niechęć tych i Saduceuszów wybucha gwałtowną kłótnią, prawie bójką. Ale godzą się i łączą w jednym, w nienawiści Nazarejczyka — i kiedy przyprowadzono Judasza, spokój, zgoda. Scena najdramatyczniejsza ze wszystkich. Judasz wzięty na śledztwo, z oporem, z walką, ledwo może odpowiadać na pytania. Gdzie Jezus bywa? wiele ludzi przy nim? Kiedy to już powiedział, rozkazuje: »Jutro go wydasz«. Prośby, błagania, zaklęcia; odpowiedź zawsze jedna: albo to, albo twoja śmierć. Zasłużył na nią; są dowody i świadkowie: wysłańcy, co za nim chodzą od pierwszego aktu. Pójdzie na krzyż. Jeszcze raz Judasz się zrywa, chce być śmiałym, odmawia: dostaje w twarz, i traci już resztę siły, poddaje się, jak człowiek bez woli, jak rzecz. Srebrniki mu przynoszą, kładą do torby. Wpada Rachel. Czy myśli, że go jeszcze powstrzyma? Staje przed tymi kapłanami i daje świadectwo Chrystusowi. Kaifasz każe ją wziąć pod straż i zgładzić. Akt bardzo dramatyczny, bardzo straszny. Judasz w tej sytuacji, tak jedynej na świecie, utrzymany szczęśliwie, pięknie, wrażenie robi wielkie.

Teraz już tylko koniec. Wieczera przygotowana, stół ustawiony, kielich na nim, Apostołowie zebrani: Pan za drzwiami, usnął. Apostołowie wiedzą, że niebezpieczeństwo bliskie, boją się: już widać, że się z Ogrojca rozbiegają. Wchodzi Judasz. Przeraża ich samym wyrazem i postawą, przeraża więcej słowami. Mówi jak obłąkany. Pyta o Pana. »Idź do niego«. »Kiedy śpi« — to się powtarza parę razy, podchodzi pod drzwi, wraca. »Wyprowadźcie go stąd, czempredzej; niebezpieczeństwo, On zdradzony, wydany«. Kto Go wydał? Ja! Potem cofa to, przeczy. Potem gniew i zemsta na Pana: On winien, on go powołał, on go zgubił, czemu go brał, kiedy wiedział, jaki jest? Czemu nie ratował Racheli? Wszystko jeszcze raz z niego wybucha, aż do wspomnień dzieciństwa; a wreszcie przepowiednia zguby dla siebie, i królestwa nie bożego, ale szatana, dla świata. Apostołowie zachwiani: więc koniec? więc tylko męka? więc nic z tego nie zostanie? Ostatnie słowo mówi Jan: »Pozostanie wielki cud!« W głębi otwierają się drzwi, w nich ukazuje się Chrystus Pan — zasłona spada.

Wolelibyśmy, żeby się nie ukazywał. Pan Jezus na scenie? Nie. W Oberammergau, w pobożnej Passyi, może być; w innem przedstawieniu być nie powinien. W *Betleem* Rydla już Matka Boska na scenie jest trochę przeciwna naszemu

uczuciu, choć gdyby nie było stajenki, gdyby nie było Jej, nie byłoby *Betleem polskiego*. Ale Pan Jezus, to więcej; to nie-skończenie więcej, niż nawet Jego matka. Wystarczyłoby może otworzyć drzwi, Apostołom kazać uklęknąć; widz domyślilby się, kto ma wejść.

Piękne dzieło, dzieło prawdziwego, nawet niezwykłego talentu. Jest tragedia i jest tragiczna figura. Czy Judasz był zupełnie taki, jak go poeta pojął i przedstawił, tego się nikt nie dowie: ale mógł być takim, a jak go poeta pojął, tak wniknął w jego duszę do dna, ujrzał i wydobył wszystko, co w tej duszy było. Czy taki był albo nie w rzeczywistości, tragiczny ten Judasz jest. Na śmiałe przedsięwzięcie porwie się lada zarozumiałość: ale śmiałe przedsięwzięcie dobrze wykonać potrafi tylko prawdziwa siła, prawdziwa zdolność. Śmielszego zaś trudno sobie wyobrazić i znaleźć, jak odtworzenie tego zbrodniarza, który w zbrodni przeszedł wszystkich, jacy byli i będą na świecie. A udało się: Judasz jest. Ludzie mówią, że on jest jeszcze więcej nieszczęśliwy, jak występny, że pobudza do litości. To poniekąd prawda. W ostatnich aktach jego rozpacz występuje silniej, jak jego złość, zawiść, podłość. Ale i tamte są, i odzywają się, nie dają o sobie zapomnieć. W człowieku zaś, który za chwilę ma się powiesić, rozpacz musiała dojść do ostateczności, tem straszniejsza, że on wie co zrobił, wie kogo zdradził. Ta rozpacz zaś objawia się dobrze, robi silne wrażenie: a nie zasłania — w naszych oczach przynajmniej — swoich powodów, złości i podłości.

Cóż więcej? Akcja dramatyczna jest żywa, nieustająca; najsłabsza może w akcie drugim, ale jest i w tym; a rośnie, wzmacnia się ciągle. Obok głównej postaci stoją inne, pełne życia i indywidualności, jak Rachel, albo kiedy pobieżniej, to z siłą nakreślone, jak Kaifasz, jak Faryzeusz Ananiel, jak inne. Język i wiersz piękny. Powiedział ktoś, że te wiersze mogłyby się zaczynać od wielkich liter, jak wiersze dawnych poetów, bo mają dźwięk, a nie mają udawania i pretensyi. Jest co chwalić i w treści i w formie.

A ganić czy jest co? Ganić jeżeli jest co, to bardzo mało: ale powiemy otwarcie, czego nam w tym Judaszu brak.

Zakończenia, katastrofy. Gdybyśmy mieli pisać tragedję o Judaszu, doprowadzilibyśmy ją do rzucenia srebrników pod nogi kapłanów, poczem Judasz wieszalby się za kulisami, ale szedłby się powiesić. Nie dlatego, żeby koniecznie śmiercią kończyć, ani dlatego, że tak było, tylko dlatego, żeby Judasza w tej ostatniej chwili pokazać. Rzucenie srebrników byłoby sceną bardzo dramatyczną; a potem jego walka z sobą, walka skruchy z pychą i z rozpaczą. »Pójsz! rzucić mu się do nóg! Przeprósć!« Pycha mówi: »Nie«. Rozpacz mówi: »Nie warto, próżno, On nie może przebaczyć«. W jakimś rozmyślanu

o Męce Pańskiej (czy nie X. Kalinki?) czytaliśmy, że Judasz to jest skrucza bez pokory: sumienie się odzywa i wyrzuca, a pycha nie daje go usłuchać. To: tę walkę w duszy, ten koniec tragedji Judasza chcielibyśmy pokazać, gdybyśmy tę tragedję pisali, chcielibyśmy widzieć, kiedy ona jest napisana. Mówią nam, że to niepotrzebne, bo ta walka występuje wyraźnie w wieczniku, a wszyscy wiedzą, że Judasz się powiesił. Zakończenie zaś to, które jest: kielich na stole, drzwi, przez które Chrystus Pan wejdzie, przeistoczenie chleba i wina w ciało i krew, to jest zakończenie prawdziwe, zakończenie tryumfalne.

Tylko to zakończenie tryumfalne, symboliczne, ujdzie uwagi widza czy czytelnika, nie będzie zrozumianem. Walka zaś w duszy Judasza jest, i widoczna, to prawda: ale w urywanych słowach, w bezładzie myśli, w niedopowiedzeniach, w grze aktora (po znacznej części). Wolelibyśmy, żeby ona się wypowiadała przed Judaszem samym i żeby nie skąpiła słów.

Drugi brak, który nam się czuć daje, to ten, że chcielibyśmy więcej siły, więcej ognia, w słowach Apostołów. Chcielibyśmy, żeby wiara św. Piotra, żeby miłość św. Jana, mówiła tak głośno, tak przejmująco, jak złość i rozpacz Judasza, żeby owszem nad niemi unosiła się i górowała, żeby przejmowała słuchacza tak, jak go przejmują tamte, i podnosiła go w górę swoim wrażeniem. Wiara i miłość są w słowach tych Apostołów, ale nie ma w nich tyle mocy, tyle natchnienia, ileby można pragnąć i oczekiwać.

Powiedziawszy zaś szczerze, czego naszym zdaniem jest brak, powtarzamy równie szczerze, że mamy *Judasza* za dzieło niezwykle piękne, że go witamy, a autorowi winszujemy z radością.

Przedstawienie zasługuje na najszczerze, największe pochwały i wychodzi na chlubę krakowskiego teatru.

Przedewszystkiem to, co najważniejsze, sam Judasz. Zna się dawno p. Solskiego, zna się go jako znakomitego aktora: ale po wszystkich jego dawniejszych rolach, choćby najdoskonalej granych, nie przypuszczało się, iżby mógł być tak tragicznym, tak poetycznie tragicznym. Ta rola, to prawdziwie wielka kreacya, na którą widz patrzy z najszczerzem podziwieniem i przejęciem. Groza tej namiętności, tej zbrodni, tej rozpacz, występuje w całej swojej sile, bez jednej chwili przesady, bez jednego fałszywego tonu, i od pierwszej sceny do ostatniej rośnie, stopniuje się, wzmaga, przykuwa, wstrząsa, zostawia niezatarte, niezapomniane wrażenie. Maski, wyrazy twarzy, postawa, ruchy, wszystko doskonałe. Która scena czy chwila najlepsza? Żadna sądzimy; tylko z sytuacji wynika, że dwa ostatnie akty najsilniej na widza działają.

Rola Racheli, bardzo trudna, wymagająca połączenia przecuciowej nerwowej sensytywności z egzaltacją namiętną i wybuchającą i z bohaterską odwagą, była w dobrych rękach p. Pytlińskiej i wypadła bardzo pięknie. Z ról pomniejszych odznaczył się p. Biegański jako św. Jan, a zwłaszcza p. Bończa jako Faryzeusz Ananiel. Chytry, obłudny, nienawistny, zuchwały, namiętny, z małej roli p. Bończa zrobił typ pewnych natur, a każdym akcentem, każdym ruchem, samą powierzchownością wyrażał i podkreślał pierwiastki i cechy takiej natury.

Całość, zespół wszystkich ról, szlachetna dbałość wszystkich, żeby poszło dobrze, były mile do widzenia, a godne szczerzego uznania. Wystawa rzeczywiście aż dziwna na nasze małe miasto i na skromne środki naszego t. atru. Dekoracje śliczne: takie, że aż za dobre, aż przeszkadzały patrzeć na aktorów, zwłaszcza widok na Jerozolimę w akcie drugim. Układ scen, grupowanie, sceny zbiorowe, doskonale obmyślane i wykonane. Kłótnia między Żydami w Sanhedrynie byłaby świetna na największej scenie, dla najwybredniejszej publiczności.

Wszystko razem wzięwszy, piękny wieczór, piękny szereg wieczorów w teatrze. Nowy talent ukazał się jako bardzo niezwykły; nowe dzieło, do grania i do wystawienia bardzo trudne, ukazało się w pięknym świetle i gry aktorów i gorliwych starań Dyrekcyi. Zaszczyt i wdzięczność, dla młodego poety, i dla teatru.

St. Tarnowski.

Przegląd polityczny.

Kraków, 28 lutego.

Pomimo oficjalnych usiłowań mocarstw doprowadzenia do zawarcia pokoju, wojna na nowo się rozpoczęła. Wynik jej ostateczny zależał od losu trzech twierdz: Adrianopola, Skutari i Janiny. W tym nowym okresie wojny okazało się, że właściwa siła wojskowa Turcyi leży w obrobie, nie w zaczepce. Turcy zawsze byli doskonali w defensywie, słabi w ofensywie. To doświadczenie zrobiły obecnie państwa, należące do Związku bałkańskiego, które spodziewały się, że już w najbliższym czasie będą w stanie zdobyć Adrianopol i urządzić tryumfalny pochód do Konstantynopola. Zamiast tego musiało wojsko bułgarskie inne blisko Adrianopola zająć stanowisko a jego kierownicy rzucili się na nowy teren wojny, półwysep Gallipoli, skąd spodziewali się opanować Bulair, stanowiące przedmurze Dardanellów, a z niemi Konstantynopola.

Jak się stosunki zmieniają! Kiedy książę Ferdynand Koburski wstąpił na tron, Rosya nie chciała go uznać. W niedawno wysłanych pamiętnikach włoskiego ministra Crispi'ego zachodzą się akta dyplomatyczne, dotyczące tej sprawy. Rosya chciała wysłać do Bułgaryi generała Ehrenrota, który miał tam objąć rządy, usuwając Ferdynanda Koburskiego. Jedynie oporowi innych mocarstw i obawie nowych zawiązków w sprawie wschodniej wypada przypisać, że książę Ferdynand Koburski mógł wtedy pozostać w Bułgaryi.

A dzisiaj!

Ten sam Ferdynand Koburski jest królem samodzielnej Bulgaryi, stoi na czele kilkostatystycznej armii przed samemi bramami Konstantynopola i marzy o niezadługim tryumfalnym wjeździe do tego miasta, które według Napoleona I stanowi klucz do rządzenia światem i które od tylu wieków uważane jest za stolicę prawosławia i konieczną siedzibę carów rosyjskich. A dzisiaj lub jutro zamiast cara rosyjskiego wjedzie tam w tryumfie — jeżeli szczęście wojenne dalej dopisze — car bułgarski!

Czy ta perspektywa bardzo jest przyjemną dla carów rosyjskich, wątpić wypada: czy wobec tej perspektywy nie żębnie pobratymstwo słowiańskie i nie budzi się antagonizm rosyjski, trudno to dzisiaj dokładnie ocenić. Chwilowo rozstrzyga jeszcze pobratymstwo słowiańskie — chwilowo życzy Rosya zwycięstwa Bułgarom — ale jaką będzie dal-sza przyszłość? To też nie można dzisiaj jeszcze ocenić, jakie skutki wynikną ze zwycięstwa Bułgarów, jakie z ich klęski. W pierwszym wypadku mogłaby Bułgarya zająć Konstantynopol, ale czy będzie mogła go zatrzymać?

W drugim wypadku mogłaby Rosya wmięszać się w wojnę celem pomocy Bułgaryi i sama zająć Konstantynopol — ale czy mogłaby go zatrzymać? Nie wypada zapominać, że w wojnie rosyjsko-tureckiej Rosya była także już pod bramami Konstantynopola i musiała się stamtąd cofnąć przed flotą angielską.

Konstantynopol stanowi w obecnej wojnie oś, około której obraca się międzynarodowa polityka. Wszystkie inne sprawy dotyczą mniej lub więcej pojedynczych mocarstw, Konstantynopol jest sprawą światową.

Pomiędzy temi innemi sprawami należała kwestya albańska dotąd jeszcze do najwięcej omawianych i dotąd jeszcze nierozstrzygniętych. W tej kwestyi najwięcej interesowane były Austria i Włochy. Jeżeli się rozważy ogólny przebieg sprawy bałkańskiej, to widzi się, że występują najrozmaitsze tendencje na arenę polityki. Dla Austrii i Włoch rozstrzygające jest pytanie, jaki wpływ wywrą zmiany na Bałkanie na pobraże adryatyckie.

Pobraże adryatyckie było dotychczas w faktycznem posiadaniu z jednej strony Włoch, z drugiej Austrii i Tur-

cyi. Turcyja wiele się o to pobraże nie troszczyła; niemając prawie żadnej floty, nie odgrywała na Adryatyku żadnej roli, tak że Adryatyk należał w rzeczywistości tylko do Austrii i Włoch. Obecnie dąży Serbia do opanowania części pobraża, a to zapomocą przyłączenia do powiększonego królestwa serbskiego także części pobraża, zamieszkałego w wielkiej części przez Albańczyków. Przeciwno temu żądaniu wystąpiła Austria, która w imię idei narodowościowej żąda utworzenia osobnego państwa albańskiego. Zasada utworzenia tego państwa została przez konferencyę dyplomatów, która obradowała w Londynie, przyjętą — obecnie rozchodzi się o ustanowienie granic tego nowego państwa. Co do tego pytania zachodzi różnica zdań pomiędzy Austrią a Rosyą i ta różnica stanowi dotychczasowy właściwy możliwy powód do wojennego starcia. I ze strony Rosyi i ze strony Austrii nastąpiła mobilizacya wojsk na granicach. W ubiegłym miesiącu wysłał cesarz Franciszek Józef ks. Gotfryda Hohenlohe do Petersburga z własnoręcznym listem, który, jak się spodziewano, miał położyć koniec konfliktowi i sprowadzić demobilizacyę. Księżę Hohenlohe powrócił z listem cara, odpowiadającym na list cesarza — ale demobilizacya nie nastąpiła. Wojska, jak stały, tak stoją na granicach. Z tego wyciągano wniosek, że list cesarza Franciszka Józefa pozostał bez skutku, że car odpowiedział na ten list grzecznie, ale nie ustępując zasadniczo w żadnej kwestyi.

Przez cały ubiegający miesiąc zapełnione były dzienniki, przedewszystkiem wiedeńskie, raz sporem co do treści wzmiankowanych listów cesarza i cara, a powtórę sporem co do pytania mobilizacyi i demobilizacyi. Zostaną wojska ściągnięte z granicy, czy nie? — było głównem pytaniem. Jedna część dzienników wiedeńskich, z *Neue Freie Presse* na czele, przemawiała za natychmiastową demobilizacyą, za pokojowem załatwieniem sprawy, wywodząc, że kwestya granic Albanii nie jest tak ważną, ażeby mogła doprowadzić do wojennego starcia. Inne dzienniki z innego wychodziły stanowiska. Wskazywały one na fakt, że Serbia uważa dotychczasowy rozwój stosunków na Bałkanie tylko za początek do dalszego rozszerzenia swoich granic. Serbia dąży do połączenia wszyst-

kich Serbów i Serbo-Kroatów pod jedno berło dynastji Karageorgewiczów, a więc do opanowania Bośni, Hercegowiny, Kroacyi, Sławonii i części słoweńskich Krainy i Karyntyi. Austro-Węgry będą się musiały, prędzej czy później, zetrzeć z Serbią, tak, że rozchodzi się tylko o chwilę tego starcia. W obecnej chwili jest Serbia znudzona walką z Turcyą; dziś byłaby wojna z Serbią bardzo łatwą, podczas gdy później, kiedy Serbia się jeszcze więcej wzmocni, walka będzie trudniejszą. Z tem pytaniem połączone oczywiście było dalsze pytanie, czy Austro-Węgry mają do czynienia tylko z samą Serbią, czy też także z Rosyą, za Serbią stojącą. O ile Rosya identyfikowała się z dążnościami Serbii, trudno było w zupełności ocenić. Faktem jest, że poseł rosyjski w Belgradzie, p. Hitrowo, wmięszany był we wszystkie intrygi i intryżki, które doprowadziły do utworzenia Związku bałkańskiego i do wojny z Turcyą. Czy jednakowoż wynik tej wojny i cały przebieg polityki wschodniej ostatnich czasów odpowiadał zamysłom Rosyi, o tem można było wątpić. Przez to, że państewka bałkańskie odniosły zwycięstwa tak prędko i tak łatwo, nie miała Rosya możności wmięszania się w tę wojnę, na co z początku zapewne liczyła.

Państewka bałkańskie wzmocniły się przez tę wojnę ogromnie; jeżeli ostatecznie zwyciężą i wyrugują Turcyę z Europy, to zajmą one historyczne stanowisko oswobodzicieli Balkanu.

Dotychczas była Rosya oswobodzicielką Balkanu; uczucie wdzięczności, jakim musiały być z tego tytułu przejęte wszystkie ludy bałkańskie, będzie osłabione przez uczucie, iż oswobodzenie swojej własnej sile się zawdzięcza. Tak zwycięska wojna położy koniec legendzie o oswobodzicielce Rosyi, na jej miejsce wejdą pieśni o walkach Bułgarów, Serbów i Greków przeciwko Turcyi, o walkach pod Kirkilisze, Luli Burgas, Kumanowo, o walkach na linii Czataldży i t. d. Powstaną zapewne nowi bardowie serbscy, którzy opiewać będą bohaterskie czyny własnego narodu.

Bez względu dalej na ostateczny wynik wojny, pozostanie uczucie solidarności pomiędzy ludami bałkańskimi zapewne i nadal w mocy. Dotychczasowe niesnaski i rywalizacje zasadniczo zapewne znikną.

Bardzo być może, że przy podziale łupu przyjdzie do nieporozumień. Tak jest up. kwestya, do kogo ma należeć Saloniki, bardzo niepewną, i Grecy i Bułgarzy roszczą sobie pretensyę do opanowania tego miasta, stanowiącego prawdziwą perłę dawnej Turcyi; podział Macedonii i Tracyi będzie także bardzo trudny, jeżeli zważać się będzie na etnograficzne różnice — rozmaite narodowości są tam jedne obok drugih osiadłe, tak, że się nie da pociągnąć stała linia graniczna.

Pomimo to wszystko, zdaje się, że w najbliższym czasie nie można liczyć na rozbitcie się Związku bałkańskiego, który stanowić będzie nowy żywioł w polityce europejskiej. i to żywioł, dążący do odegrania samodzielnej roli w tej polityce, a więc nie ulegający ani Rosyi, ani Austrii, ale łączący się albo z trójprzymierzem albo z *triple-entente*. O ile sądzić można, będzie Związek bałkański członkiem *triple-entente*. Na tem opiera się dzisiaj cała polityka tego Związku, na tem opierać się będzie także przyszła polityka europejska; *triple-entente* uzyska w ten sposób przewagę nad trójprzymierzem.

Wszystko to wychodzi z założenia, że wojna zakończy się ogólnem zwycięstwem Związku bałkańskiego i wyrugowaniem Turcyi z Europy. Pomimo że dotychczasowy przebieg wojny był dla Turcyi tak niepomysłny i że trudno liczyć na zupełną zmianę, to przecież niespodzianki nie są wykluczone i być może, że koniec wojny nie odpowie oczekiwaniom członków Związku bałkańskiego.

Że i zwycięstwa Turcyi postawiłyby Europę w trudne stanowisko, jest pewnem. Coby w tym razie poczęła Rosya? coby poczęła Austrya?

Z początkiem przyszłego miesiąca będzie car Mikołaj II obchodził jubileusz trzechsetletniego panowania dynastyi Romanowów. Przy tej sposobności ma car, jak twierdziły dzienniki, wydać ukaz demobilizacyi. Czy wiadomość jest prawdziwa, trudno dzisiaj już ocenić; bardzo być może, że odpowiada ona tylko życzeniom dzienników, dążących do utrzymania pokoju. Gdyby ta wiadomość się sprawdziła, to byłaby ona dowodem, że pomiędzy Austro-Węgrami a Rosyą przyszło do porozumienia na wypadek zwycięstwa Związku i na wypa-

dek jego klęski. Ponieważ jednak takie porozumienie bardzo byłoby trudnem, przeto można uważać za prawdopodobniejsze, że demobilizacya ze strony Rosyi faktycznie nie tak prędko nastąpi. Rząd rosyjski wogóle ciągle officyalnie zaprzeczał, jakoby nakazał mobilizacyę, łatwo byłoby mu więc dowieść i demobilizacyi — na papierze.

Czy ze strony Austrii demobilizacya nastąpi, czy ona nastąpić może, trudno także dzisiaj ocenić, skoro wszystko jest jeszcze w zawieszeniu. Potrzeba przedewszystkiem wyczekać końca wojny, potrzeba wyczekać, jakie stanowisko zajmie konferencya ambasadorów względem sprawy albańskiej, potrzeba wyczekać, jakie stanowisko zajmie Serbia po ukończeniu wojny, czy cofnie ona wojsko z pobrzeża austriackiego, z Durazzo i z Alessio, potrzeba czekać, czy Związek bałkański zachowa solidarność czy też przy podziale łupu się rozchwieje — wszystko to są pytania, brzemiennie w skutki, pytania, od których zależy w wielkiej części przyszłość Austrii. Pomimo to nie jest wykluczone, że demobilizacya nastąpi już niezadługo.

Byłoby to dowodem, że w sferach austriackich nabrano przekonania, że, jakkolwiek będzie ostateczny wynik wszystkich obecnie wiszących kwestyj, pokój nie zostanie naruszony. Byłoby to dowodem, że aspiracye i dążności najrozmaitszego zastoju, jakie są wynikiem ostatnich zająć bałkańskich, nie potrafiły przełamać ogólnej dążności, jaka panuje dzisiaj w Europie, dążności do utrzymania pokoju. Być może, że już odpowiedź cara Mikołaja na list cesarza Franciszka Józefa, jaką przywiózł do Wiednia ks. Hohenlohe, zawierała zapewnienia tego rodzaju. Wszystko to należy jednak jeszcze dzisiaj do tej wielkiej rubryki, jaką muszą obecnie politycy całego świata najwięcej się zajmować, do rubryki: „Być może“. W gruncie rzeczy nie wie dzisiaj nikt w Europie, jaką będzie najbliższa przyszłość polityki. Wszystko jest w zawieszeniu.

W polityce wewnętrznej Austrii rozstrzygającą była kwestya sporu rusko-polskiego. Od tej kwestyi zależał najpierw los przedłożeń finansowych. Rusini zapowiedzieli obstrukcyę w parlamencie przeciwko nowym przedłożeniom finansowym, jak długo rokowania w sprawie reformy wyborczej

galicyjskiej nie doprowadzą do pozytywnego rezultatu. Ponieważ jednak, nawet w razie ugody w sprawie reformy wyborczej, czas aż do Wielkanocy musiałby zostać rezerwowany dla galicyjskiego Sejmu, przeto przedłożenia finansowe będą musiały przyjść pod obrady dopiero po Wielkanocy.

Już niejednokrotnie podnosiliśmy, że rzeczowe narady nad ważnemi sprawami krajowemi są niemożliwe, jeżeli połączone są one z groźbami, dotyczącemi taktyki parlamentarnej. Rządowi zależy oczywiście na usunięciu przeszkód do parlamentarnego załatwienia spraw państwowych, a więc wywiera nacisk na stronnictwa celem prędkiego zawarcia umowy w sprawach krajowych. Nie rzecz rozstrzyga, ale forma, nie treść, ale pośpiech. Z tego wyciągają oczywiście korzyść ci, którzy są właśnie przeszkodą tego pośpiechu i zapomocą groźby obstrukcyi w przemijającej sprawie państwowej wymuszają ustępstwa w zasadniczych, ważnych, o przyszłości rozstrzygających sprawach krajowych. Niema tam czynników o równej sile, ale są czynniki, które mają przewagę nad drugimi. Ta przewaga jest tem większa, jeżeli we własnym obozie znachodzą się ludzie, którzy stoją po stronie przeciwnika. Tak się stało tym razem. Po stronie Rusinów stało stronnictwo ludowe, tak że Polacy musieli liczyć się z rokoszem we własnych szeregach.

A nie trzeba i tego przeoczać, że ta sprawa ugody polsko-ruskiej odbywa się w chwili dla polityki zagranicznej nadzwyczaj ważnej i że odgrywa ona w tej polityce pewną rolę. Wszak w Rosyi stoi „uciemiężanie“ Rusinów w Galicyi, ich „oswobodzenie“, na porządku dziennym wszystkich towarzystw panslawistycznych, ugoda polsko-ruska nabiera więc z tego punktu widzenia niemałego znaczenia dla rozwoju stosunków austriacko-rosyjskich.

Ten wzgląd pomaga oczywiście Rusinom w Wiedniu; a pomagają tam sobie sami groźbą obstrukcyi, przed którą ustępuje zawsze każdy rząd, bo żaden nie ma odwagi jej poskromić i złamać.

Że Rusini zerwali we Lwowie układy o reformę wyborczą, nie dziwimy się, bo wiemy przecie oddawna, że im nie o zgodę chodzi, tylko właśnie o to, żeby ugoda stanąć nie mogła. Gdyby stanęła bowiem, musiałaby się skończyć

ta agitacya, ta propaganda nienawiści, która jest ich celem, bo jest środkiem do odgrywania ról, do znaczenia. Z ich strony więc zerwanie nie jest dziwnem. Ale dziwnem i bardzo dziwnem, że stronnictwa polskie, ludowe i demokratyczne, przyłączyły się do nich przy głosowaniu w komisji reformy wyborczej. Reprezentanci tych stronnictw, zasiadający w komisji, nie mogą nie wiedzieć i nie rozumieć, że zabezpieczenie wpływów polskich w Radach powiatowych jest we wschodniej części kraju interesem narodowym polskim. Nie mogą też nie wiedzieć i nie rozumieć tego, że poddawać Rady powiatowe, na wschodzie czy na zachodzie, pod możliwą i prawdopodobną majoryzację przez pro'etaryat wiejski, to nie jest dobrze służyć gospodarce powiatowej, ani pośrednio krajowi, ani interesowi ludu wiejskiego. Może tego nie rozumieć człowiek czy tłum nieoświecony i nie myślący — wiedzą i rozumieją panowie przewodnicy. Winę zerwania układów zwalają na konserwatystów — znowu wiedzą doskonale, że ci w ustępstwach poszli jak tylko można najdalej, a opierali się nie przy partyjnym, ale przy narodowym interesie. Ale sami na takim stanowisku nie stają.

* * *

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

X. Franciszek Starowieyski: *Mąż stanu francuski z epoki Restauracji*. Odbitka z »Przewodnika naukowego i literackiego«. (Lwów, 1912, str. 37).

X. G. Fouard: *Św. Paweł, ostatnie jego lata*. Z piątego wydania, przejrzanego i poprawionego, przetłómaczył X. J. Bromski. Tom II. »Biblioteka dzieł chrześcijańskich«. Zeszyt 134 i 135. (Warszawa, 1912, str. VIII, 288).

Aleksander Dumas: *Towarzysze Jehudy*. (*Sprzysiężeni*). Powieść historyczna w trzech tomach. Biblioteka »Ciekawych powieści«. (Warszawa, 1912. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Tom I str. 184, tom II str. 192, tom III str. 175).

Jan Czubek: *Rękopisy hr. Morstinów w Krakowie*. (Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności, str. 21).

St. J. Jarkowski: *Literatura dotycząca prasy polskiej*. Notatki krytyczno-bibliograficzne. Odbitka z »Przeglądu Narodowego«. (Warszawa, 1911, nakładem autora, str. 100).

Pamiętnik pierwszego Zjazdu Miłośników ojczyźtych zabytków w Krakowie w dniach 3 i 4 lipca 1911 r. (Kraków, 1912, nakład Grona konserwatorów Galicyi zachodniej, str. 144).

Antoni Gawiński: *Maryan Wawrzemiecki*. Studium. Odbitka ze »Sfinksa«. (Warszawa, 1911, str. 30).

Witold Bunikiewicz: *Złote czasy*. Komedia w trzech aktach. (Warszawa, 1912, Wende i Sp., str. 120).

E. Bougaud, biskup Laval: *Św. Wincenty à Paulo*. Żywot i prace. Tłómaczył z 4-go wydania B. Roszkowski. »Biblioteka dzieł chrześcijańskich«, zeszyt 133 i 136. (Warszawa, 1912, tom II str. 221, tom III str. 181).

Jerzy Moszyński: *Dwa ingresy*. (Kraków, 1912, nakładem autora, str. 49).

Dr. Edward Dubanowicz: *Wywłaszczzenie w ustawodawstwie angielskiem. (1845 — 1907)*. Szkic prawno-historyczny. (Kraków, 1912, nakładem Akademii Umiejętności, str. 108).

Mieczysław Smolarski: *Poezya Legionów*. Czasy, pieśni i jej dzieje. (Kraków, 1912, nakładem Akademii Umiejętności, str. 191).

Ferdynand Kuraś: *Tatarzy w Sandomierzu*. Dwie legendy wierszem opowiedziane, z przedmową Zygmunta Kolaszyńskiego. Z portretem poety i sześcioma ilustracjami w tekście. Wydanie drugie. (Kraków, 1912, nakładem Komitetu obywatelskiego w Tarnobrzegu, str. 65).

Dr. Z. Daszyńska-Golińska: *Alkoholizm w Galicyi i jego zwalczanie*. Odbitka z Nr. 11 »Zdrowia« z r. 1911. (Warszawa, 1911, str. 13).

Tadeusz Sinko: *Trzej poeci polsko-łacińscy z XIX wieku*. Odbitka z Księgi pamiątkowej ku uczczeniu 250-ej rocznicy założenia Uniwersytetu lwowskiego przez króla Jana Kazimierza. (Kraków, 1911, str. 28).

Tadeusz Sinko: *Polski Anti-Lukrecyusz*. Osobne odbicie z Rozpraw Wydziału filologicznego tomu XLIX Akademii Umiejętności w Krakowie. (Kraków, 1911, str. 116).

Leon Piniński: *Pod wrażeniem »Rozmyślań« Marka Aurelego*. (Kraków, 1911, str. 58).

Zygmunt Batowski: *Z korespondencji Norblina*. Listy Norblina, ks. A. Czartoryskiego, Kościuszki, Płońskiego, J. Krasieńskiego. Osobne odbicie z »Lamusa«. Tom II. (Lwów, 1911, str. 18).

Helena d'Abancourt de Franqueville: *Linia i plama w malarstwie*. Odbitka z »Krytyki«. (Kraków, 1911, str. 16).

Zygmunt Batowski: *Norblin*. Wydawnictwo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie pod redakcją Tadeusza Piniego. »Nauka i sztuka«, t. XIII. (Lwów, 1911, str. 219, XXII tablic).

»Biblioteka pisarzy polskich« Nr. 61. *Adryana z Wieszczyckiego Sielanki albo Pieśni*. (1634 r). Wydał Stanisław Rachwał. (Kraków, 1911, nakładem Akademii Umiejętności, str. 24).

X. Dr. Władysław Hozakowski: *Klemens z Aleksandryi o siedmdziesięciu tygodniach Daniela Proroka*. Przyczynek patrystyczny do dziejów wykładu Pisma św. (Poznań, 1912, str. 144).

»Towarzystwo Miłośników historii i zabytków Krakowa«. *Kraków. Album widoków Krakowa*. (Kraków, 1911, tablic 15).